

BIBLIOTEKA
NAJCELNIEJSZYCH OTWORÓW

LITERATURY EUROPEJSKIEJ.

LITERATURA POLSKA.

WARSZAWA.

WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.

Nowy-Swiat № 41.

—
1898.

ALEKSANDER HR. FREDRO.

KOMEDYE

POPZEDZONE WSTEPEM

przez

Piotra Chmielowskiego.

Tom I.

Pan Geldhab. — Cudzoziemczynna. — Damy i huzary. —
Zrzędnosc i przekora. — Mąż i zona. — Nowy Don Kiszot. —
List. — Pierwsza lepsza. — Odludki i poeta. — Przyjaciele. —
Gwałtu co się dzieje. — Nikt mnie nie zna.

WARSZAWA.

WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.

Nowy-Swiat № 41.

—
1898.

57A

Дозволено Цензурою,
Варшава 10 Июля 1897 г.

PAN GELDHAU

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH, WIERSZEM.

Pyszny nądzka, kiedy spanoszeje.

Aut. Maks. Fredro.

O S O B Y:

PAN GELDHAB.

FLORA, córka jego.

KSIĄŻĘ RODOSŁAW.

LUBOMIR, rotmistrz.

MAJOR, przyjaciel Lubomira.

LISIEWICZ, przyjaciel Księcia.

KONTO, intendent Księcia.

PIÓRKO.

KOMISANT.

KRAWIEC.

KAMERDYNER.

LOKAJ.

Scena w Warszawie, w domu Pana Geldhaba.

A K T I.

Teatr wystawia pokój w domu Pana Geldhaba. Na przodzie po prawej stronie stolik z książkami i krzesło, po lewej kanapa, w głębi dwoje drzwi, jedno, któremi wchodzi, drugie otwarte, dają widzieć dalsze pokoje. Drzwi na prawo i na lewo.

SCENA I.

PAN GELDHAB, KOMISANT, KRAWIEC, TAPICER, KUPCZYKI,
KAMERDYNERY, LOKAJE.

(Geldhab w szlafroku, papiery w ręku, zdaje się być bardzo zatrudnionym. Tapicer przybija firanki. Kupczyki w głębi stoją z różnemi sprzętami.)

GELDHAB *(do tapicera).*

A, na mój honor, dobrze, kształtnie i gustownie;
Z firanek kontent jestem, kontent niewymownie;
Haftów, frendzli, muslinu suto i bogato,
Tak u mnie być powinno, Geldhaba stać na to.

(po krótkim milczeniu.)

Przysięgam na mą duszę i majątek stawię,
Że ledwie jest podobnych dwie w całej Warszawie.

(wkrótce tapicer odchodzi.)

KOMISANT *(z papierami w ręku.)*

Panie...

GELDHAB *(do krawca.)*

Cóż, liberya dla dworu gotowa?

KRAWIEC. Oto jest frak na próbę...

GELDHAB.

A nasza umowa?

Waszeć widzęś zapomniiał, jaka była zgoda?

KRAWIEC. I owszem, wszak zrobiłem jak najnowsza moda.

GELDHAB. Moda z jednym galonem? szalony! szalony!

Cóż dwór pański oznacza, jeśli nie galony?

KRAWIEC. Jednak to gust najlepszy.

- GELDHAB (*śmiejąc się*). Takie dobre gusta
Pewnie tacy stanowią, których kieszeń pusta;
Gdzież złotem kto przesadzi? do twarzy mu wszędzie;
Więc galon w mojej barwie niechaj w troje będzie.
- KRAWIEC. Dobrze.
- GELDHAB. By sutą była, jak tylko być może.
Czemuż być niema, powiedz, kiedy na tołożę?
(*krawiec odchodzi*).
(*Geldhab spogląda na papiery, potem wokoło*).
- KOMISANT. Wielmożny...
- GELDHAB. Ale zaraz, jakżeś uprzykrzony.
(*do kamerdynera*).
Dowiedz się, czy w gazecie będę umieszczony?
Chciałbym tam mieć wyraźnie artykuł ten cały:
(*dając kartkę, czyta*)
„Jaśnie Wielmożny Geldhab, dziedzic Samochwały,
„Przybyszowic, Grypsowa, Łówki et cetera,
Et cetera pamiętać! „który równie wspiera”
(*z przyciskiem*)
„Licznych swoich poddanych, jak wszystkich dokoła,
„Których tylko w niedoli wynajdywać zdoła;
„Raczył dać na spalone Bamberga przedmieście,
„Z zwykłą hojnością, złotych polskich: tysiąc dwieście.”
- KOMISANT. Gdy dobroć twoja, Panie, tak dla obcych skora,
Siostra, co w niedostatku, od pół roku chora,
Bez wątpienia, próśb swoich skutkiem się ucieszy,
Gdy Pan procent przyśpieszyć...
- GELDHAB. Nie Pan nie przyśpieszy.
- KOMISANT. Ten list przekona, w jakim strapieniu zostaje.
- GELDHAB (*z niecierpliwością*).
Cóżto, nie wiesz, że córkę za Księcia wydaję?
Gdy mnie fraszkami nudzić ułożyłeś sobie,
Myśleć o nich nie będę w tej tak wielkiej dobie,
Mając innych ważniejszych zatrudnień tysiące;
I termin też wypłaty aż za dwa miesiące.
Napisz Waćpan, że bardzo żałuję niebogi,
Ale pomóż nie zdołam... bywaj zdrów... czas drogi.
(*odwraca się*).
- KOMISANT. Wszakto siostra!
- GELDHAB. Wiem o tém.

KOMISANT.

Chora.

GELDHAB.

To źle.

KOMISANT.

W nędzy.

GELDHAB. Ależ, mój Panie, nudzisz; że nie dam pieniędzy,
Wszak ci już powiedziałem i powtarzam jeszcze;
Klaniam... *(obróciwszy się, do siebie).*

Gdzież tę kanapę, te krzesła umieszczę?
(pokazuje kupczykom, gdzie mają w drugim pokoju postawić. Kupczyki stawiają i odchodzą; tymczasem komisant mówi).

KOMISANT. Za powinny uczynek nie byłby w gazecie,
I na cóż być uczciwym, jeżeli w sekrecie?
Nie dojdzie, niech kto jak chce złości się i puszy,
Prawdziwego szlachectwa, bez szlachetnej duszy.
(komisant odchodzi).

GELDHAB *(dając klucze kamerdynerowi).*

Idź, wynieś na stół wszystkie srebra i ozdoby.

KAMERDYNER. Wszystkie? wszakże mam nakryć na cztery osoby?

GELDHAB. Cóż z tego?

KAMERDYNER. Że nie zmieszczę i w największym tłoku.

GELDHAB Co na stole nie zmieścisz, to stanie na boku.

Czegóż się patrzysz?... Jakże, czym na to kupował,

By nikt ich nie widział? co? będą srebra chował!

Szalony! hm! nie stawiać! chować! to mnie bawi.

Kogo nie stać na srebra, niechże ten postawi!

Luks, luks u mnie być musi, zbytek, przepych wszelki...

(do odchodzącego kamerdynera)

A resztki wina secdzić do jednej butelki.

LOKAJ *(wchodząc).*

Książę Rodosław.

GELDHAB.

Książę? niech wnijdzie łaskawie.

Za chwilę się ubiorę.

(Na stoliku stojącym na przodzie rozkłada książkę i wraca kilka razy, przypatrując się i poprawiając; kładzie złotą tabakierkę i chustkę):

Tak... i to zostawię. *(odchodzi).*

SCENA II.

KSIĄŻĘ, LISIEWICZ, KÓNTÓ.

(Książę we drzwiach się zatrzymuje, jakby słuchał lokaja, który go anonsował; potem obraca się w tył i woła na Konto).

KSIĄŻĘ. Panie Konto! chodź więc, chodź! (na stronie).
Nieznośne stworzenie!

(do Konta).

Jakież cię za mną pędzi tak nagłe zdarzenie?

KONTO (z głębokim ukłonem),
Ach Jaśnie Oświecony...

KSIĄŻĘ (wpadając w mowę). Prędzój.

KONTO. Mości Książę...

Mimo wdzięczności...

KSIĄŻĘ. Prędzój.

KONTO. Która serce wiąże

Do najlepszego...

KSIĄŻĘ. Dalej.

KONTO. Z wielkich książąt Księcia,
Mimo, że tak śmiec mówić, mimo przedsięwzięcia...

KSIĄŻĘ (z niecierpliwością).
Cóż ci do reszty wzięło rozumu niewiele,
Sen, gorączka, czy przestrach jaki?

KONTO (zbliżając się do ucha). Wierzyciele.

KSIĄŻĘ (z gniewem).

Ech, zawsze jedno, jedno, aż już słuchać nudno!

KONTO. Ależ mnie w własnym domu usiedzieć się trudno.
Rzemieślnicy wciąż piszczą, a rabinów roje
Za ul sobie obrały pomieszkanie moje;
Nieczule jak opoki, uparte jak żmije,
Łakomstwa ich nie wzruszą, morały, ni kije.
Dawny szwajcar był wprawdzie wielki moczymorda,
Lecz go się przecież bała wierzycielska horda;
Gdy nie mógł dostojęństwa zatrzymać powagą,
Uczył mores natrętnych pozłacaną lagą;
Ale dzisiaj przy nowym, za pierwszym natłokiem,
Aż do biura wpadnięto niewstrzymanym krokiem
I zelzono haniebnie pod Pańskim obrazem
Całą intendturę z tą osobą razem.

KSIĄŻĘ. Szturmem cię więc dobyto?

KONTO (*korzystając z wesołości Księcia, dobywa papierów i mówi przeglądając*). Książę Pan się śmieje,
A ja dalibóg wkrótce, wkrótce oszaleję.

LISIEWICZ. Jednak kasę odbito.

KONTO (*przeglądając papiery*). Nie w nią nie ruszono..!

KSIĄŻĘ. Bo próżna.

KONTO. Takto niby.

KSIĄŻĘ. Lecz tych gości grono,
Do Waścinéj szkatulki że się nie dobrało,
To szkoda; tam być musi zapasów niemało.

KONTO. Książę Pan najlaskawiej żartem mówić raczy,
Niewiele sług poczciwych sakiewka dziś znaczy:
Ach, gorzkie w tych godzinach, gorzkie zbiory nasze!
(*przybliża się do Księcia z ukłonem, patrząc w papiery*).
Gdyby Książę Pan... przejrzeć...

KSIĄŻĘ (*uderzając ze spodu w papiery*). Ach, nudzisz mnie, Wasze!

LISIEWICZ (*biorąc Konta na stronę*).
Nie uprzykrzaj się Waćpan... przyjdiesz w innéj porze...
(*Konto okazuje nieukontentowanie*).
Nie trzeba Księcia martwić...

KONTO. To nie nie pomoże...

LISIEWICZ (*przytrzymując go*).
Zdrowie Księcia najdroższe...

KONTO (*wyrywając się*). Proszę!... wiem co robię...
(*z uśmiechem*).

Gdyby Jaśnie...

KSIĄŻĘ. Ach, dobrze, że wspomniałem sobie;
Daj Wasze, daj rachunki.

KONTO (*z wielkim ukłonem; do Lisiewicza*). Źle robię?
(*do Księcia*) Niech służą.

KSIĄŻĘ. Lecz staraj się pieniędzy, pieniędzy i dużo.

KONTO. Pie .. pieniędzy?

LISIEWICZ. Pieniądzy, Książę Pan powiada.

KONTO (*w zamysleniu powtarza*).
Pieniądzy!

LISIEWICZ. Wolę Księcia uczynić wypadą.

- KSIĄŻĘ. Rób, co ci się podoba: zastawiaj, sprzedawaj,
Lecz kiedy chcę pieniędzy, to pieniędzy dawaj,
Rozumiesz .. bądź zdrow.
- LISIEWICZ. Książę żegnać się z nim raczej.
- KONTO (*na stronie*).
Bierz licho taką łaskę i takich tłumaczy! (*odchodzi*).

SCENA III.

KSIĄŻĘ, LISIEWICZ.

- LISIEWICZ. Natrętność nadzwyczajna, chceć odbierać długi,
Księżciu! Księżciu bezczelnie odmawiać usługi!
Wszystkie już społeczeństwa zwalone zasady.
Nieznane były dawniej podobne przykłady!
Dziś ten, co w rządzie szlachty ledwie ojca kładzie,
Śmie często Panu z Panów stanąć na zawadzie.
- KSIĄŻĘ. Takich to gmin pożyczał...
- LISIEWICZ. Panowie tracili.
Była przecie różnica; ale co w tej chwili...
- KSIĄŻĘ. Same sknerstwo, natrętność, rozpusta bezbożna.
- LISIEWICZ. Nawet dla Księcia dostać pieniędzy nie można!
- KSIĄŻĘ. Ach, Lisiewiczu, gdyby...
- LISIEWICZ. Próżno mnie łeb boli:
Lichwiarze dać już nie chcą, a panowie goli.
- KSIĄŻĘ. Mamei ja wprawdzie wioski, lecz się wspomnieć boję.
Największe — wierzyciele trzymają jak swoje;
Resztą intendent rządzi, z tych nic nie wykradnę,
I mam tylko co kwartał rachunki dokładne.
(*z niecierpliwością*).
Gdyby pożyczyć chcieli jakie bądź urwisze,
To na ciotce bogatej pewnoś im zapiszę;
Bo jeno się przeniesie do wieczystej chwały,
Biorę po niej majątek czysty i niemający.
Wtedy mając pieniądze, myśli-bym odmienił,
I mniej ceniąc posagi, siebie więcej cenil;
Gdyż nader nie zostając ujęty powabem
Złączenia się tak z blizka z Imć Panem Geldhabem.
Smutno będzie się znaleźć w swych znajomych gronie,
I nowego Kopciuszka widzieć w swojej żonie.
- LISIEWICZ. Ubodzy bez znaczenia niech się boją świata,
Jego zwykły szacunek za pieniądźmi lata;

W dobrej uczcie przez głowę nie przejdzie nikomu,
Za to ręczę, że Księżna Geldhabówna z domu.

KSIĄŻĘ. Zapewne! moja świetność jej nizkość pokryje,
A na odwrót jej złotem mój kredyt ożyje.

LISIEWICZ. Możemy też zapobiedz wczesnym przedsięwzięciem,
Aby się uadał Pan teść nie bratał ze zięciem;
I gdy Książę Pan zechce, to może i żonie (z *ironią*)
Podoba się dalekie od miasta ustronie.

KSIĄŻĘ. Zrobiłbym to niemylnie, gdybym był Wacanem,
Lecz ja nie pragnę zostać mej żony tyranem;
Jest prawny kres wszystkiego, nawet i swawoli,
Który nigdy przestąpić honor nie dozwoli.

LISIEWICZ. Ach, ta wspaniałość duszy jest mi nader znana
I tylko dla rozrywki mówił Księcia Pana.
Ale inne bojaźni muszę wyznać szczerze:
Gdy wspomnę Lubomira, wielki mnie strach bierze:
Może nagle przyjechać w tak znaczącej porze.

KSIĄŻĘ. I cóż stąd?

LISIEWICZ. On się dawniej kochał w Pannie Florze.

KSIĄŻĘ. Ha! tém gorzej dla niego!

LISIEWICZ. Ona go kochała.

KSIĄŻĘ. Cóż stąd? powtarzam jeszcze ..

LISIEWICZ. I słowo mu dała;
Ma zatem prawo...

KSIĄŻĘ. Ależ tak śmiesznym nie będzie,
Stanąc jak współzalnok w jednym ze mną rzędzie?

LISIEWICZ. Wielka-by śmiałość była, temu nikt nie przeczy,
Lecz miłość... zaręczenie... a podobne rzeczy...

KSIĄŻĘ. Miał, co miał, zaręczony czy nie zaręczony,
Niech sobie Pan Lubomir innej szuka żony.

LISIEWICZ. Zapewne. Jednak jeśli powiedzieć się godzi,
W każdym razie ostrożność nic nam nie zaszkodzi;
Zwłaszcza, że bardzo łatwo Księciu Panu będzie,
Mając w swoim znaczeniu tyle związków wszędzie,
Wyrobić najspieszniejsze rozkazu wydanie,
By Lubomir od pułku jechać nie był w stanie.
Tak go więc zatrzymując, jak długo wypadnie,
My tu nasze zamiary ukończymy snadnie.

KSIĄŻĘ. Hm!... nie źle... lecz z Geldhabem pomówimy wprzód,
Może nam nie potrzebne te wszystkie zachody.

SCENA IV.

KSIĄŻĘ, LISIEWICZ, GELDHAB.

GELDHAB. Książę... *(całują się)*
 cieszę się... *(całują się)*
 Książę... *(całują się)*
 czekał, czekał nieco...
 Ale wiesz, u nas... *(do Lisiewicza z hardością)*
 Witam... *(do Księcia)*.
 jak godziny lecą.

LISIEWICZ. Oto papiery, które Pan dałeś dla Księcia,
 Posag nie jest powodem jego przedsięwzięcia...
(Książę śmieje się na stronie)
 Więc nie czytał ich nawet, spokojny w tej mierze.

GELDHAB. Nie trzeba mi to mówić, bardzo temu wierzę.
 Między Panami jeden drugiego nie zdradzi;
 Lecz choć słowo dość u nas, pismo nie zawadzi.
 Więc nie ma o czém mówić, notaryusz zjedzie,
(po krótkim myśleniu)
 Ach, tak dziś pracowałem, że nie czuję głowy...
 Ależ upraszam siedzieć... *(siadają)*
 Jakto w dzień pocztowy;
 Nie mogę się opędzić suplikantów zgrai;
 A że teżto na świecie nie się nie utai!
 Że żyję z ministrami, i choć się nie chwale,
 Przyznać potrzeba, żyję dosyć poufale,
 Dlatego wiejska szlachta ułożyła sobie,
 e jak się za kim wstawię, co zechcę, to zrobić.
 Mogę ja wprawdzie pomódz, mam i wpływu trochę,
 Ale, żebym mógł wszystko, to są myśli płoche;
 Koniec końców, co poczta, jak minister jaki,
 Odbieram oprócz suplik, samych listów paki;
 Do tego jeszcze rządców mych wiosek niewielkich,
 Także pliki raportów i rachunków wszelkich;
 Przy naszym miejskiem życiu rzecz to niby zdrożna,
 Lecz mając duże dobra, gardzić nią nie można.

LISIEWICZ. Szczęśliwy, komu nieba przyjaciela dały,
 Jemu wtedy powierza rządów ciężar cały,
 Ten się wszystkiem zatrudnia odebrawszy wioski,
 A on żyje spokojnie i nie zna, co troski;
 Szczęście! szczęście!... Lecz Pana wypada żałować,
 Że tak sam jeden musisz myśleć i pracować.

GELDHAB. Sam jeden? Waćpan myślisz, że m brudny ów sknera....

LISIEWICZ. Broń Boże!

GELDHAB. Co na złoto tylko się obziera?

LISIEWICZ. Bynajmniej.

GELDHAB. ¶ Że wraz jestem i sługą i panem?

LISIEWICZ. Nie!

GELDHAB. Żem nieumiejącym żyć w świecie balwanem?

LISIEWICZ. Któż to mówi?

GELDHAB. Że płacić sług nie jestem w stanie?...

LISIEWICZ. Ależ mnie nie rozumiesz, mój łaskawy panie.

GELDHAB. Więc nie sam jeden; trzymam rządców, sekretarzy,
Rachmistrzów, budowniczych, mądrych gospodarzy;
Mógłbym słowa nie mówić, tylko ręką kiwać;
Więc nie sam jeden, niema czego utyskiwać.

(po krótkim milczeniu do Księcia)

Donoszą mi...

LISIEWICZ. Zapewne o wojska przechodzie.

GELDHAB. Lecz któż...

LISIEWICZ. Po co się kręci, kiedy wszyscy w zgodzie.

GELDHAB. Pozwól...

LISIEWICZ. Po wsiach bez tego, ubóstwa dokoła.

GELDHAB. Niech skończę...

LISIEWICZ. I pan swoich obronić nie zdoła.

GELDHAB. Czyż mówię...

LISIEWICZ. Które mają ciężarów już tyle...

GELDHAB. Cóż u dyabła...

LISIEWICZ. I nawet, jeśli się nie mylę...

(głośno, patrząc na Księcia)

Pułk, w którym pan Lubomir, już tam postawiono.

KSIĄŻĘ. A! Lubomir... Waćpana znajomym jest pono?

GELDHAB. Lubomir? he?... Lubomir? rotmistrz?

KSIĄŻĘ.

Tak, ten właśnie.

GELDHAB. Nibyto... ale skądże...

KSIAŻĘ. Mówmy zatem jasnie:
Lubomir kochał córkę Waćpana?

GELDHAB. Tak... trochę.

KSIAŻĘ. A ona?

GELDHAB. Nie, nie; ale... tak, jak dzieci płoche,
Niby tak. . swawolili, ale z Floriki strony...

KSIAŻĘ. Wszak mówią, że Lubomir był z nią zaręczony?

GELDHAB. Coś niby obiecałem, bo z ojcem w przyjaźni...

KSIAŻĘ. Dosyć. Wiem, com chciał wiedzieć, pewnie nie z bojaźni,
Lecz wcale z innych przyczyn. Ależ Panna Flora
Gdzie jest? możnaż ją widzieć?

GELDHAB. Jest to właśnie pora,
W której się rozlicznemi-trudni naukami;
Nie wiem wprawdzie, to dziewczę, mówiąc między nami,
Czego się uczyć może, gdy już wszystko umie,
Nauczycieli nawet przewyższa w rozumie.
Pójdę po nią i dobra moje w zakład stawię,
Że ją znajdę przy jakiej uczonój zabawie:
Albo przeziera listy, czyta dykeyouarze,
Albo też czule dumki nuci przy gitarze.
Dyabli ma rozum! przy niej ja znaczę
(pokazuje na palce)

o! tyle!

A jaka poetyczka, aż ją słuchać mile.
Czasem powiem żartując: Florco, powiedz odę,
Naprzykład .. na ten czarny stolik, lub komodę;
Wnet dwieście utnie wierszy nad czarnym stolikiem,
Tak, że niech się schowają Nelson z Kopernikiem.
Idę więc. *(Odchodząc, do siebie)*

Ach, to rozum, rozum niesłychany!
(odchodzi)

LISIEWICZ *(do odchodzącego)*.
Czekamy.

KSIAŻĘ. Ach, to głupiec, głupiec niewidziany!

SCENA V.

KSIĄŻĘ, LISIEWICZ.

- KSIĄŻĘ. Ktoby się chciał zatrudnić człowieka obrazem,
Nagle spanoszonego i dumnego razem,
Niechże sobie z Geldhaba dokładny wzór bierze.
Co słyszałem, na honor, ledwie jeszcze wierzę;
A najbardziej z wszystkiego ta śmiałość mnie bawi,
Śmiałość, z którą o swoim urodzeniu prawi.
Gdybym nie był wiadomym, a słyszał ze strony,
Przysiągłbym, że nasz Geldhab z Lechem pokrewniony;
Wiadomym mówię, jednak to dziwne stworzenie
Nie jest mi dobrze znane, choć się z córką żenię.
- LISIEWICZ. Ma pieniądze, wszak dosyć, na cóż nam dochodzić,
Kto mu ojcem, kto dziadem, kto go może rodzić.
- KSIĄŻĘ. Kiedy *(rozkazując)*
chcę wiedzieć.
- LISIEWICZ. Ha!... więc...
- KSIĄŻĘ. Tylko proszę szczerze.
- LISIEWICZ *(skłania się po chwili milczenia)*.
Ta historia chwilę niedługą zabierze:
Czas, który zwykle wszystko niszczy lub przemienia...
- KSIĄŻĘ *(śmieje się)*.
Zniszczył i świetny wywód Geldhabów imienia.
- LISIEWICZ. Tak jest, albo też raczej Geldhaba majątek
Kładzie w nim pierwszym rodu świetność i początek:
Przybysz, potem mieszczanin, w końcu burmistrz w Schowie...
- KSIĄŻĘ. Pięknie szło sądownictwo, miarkuję po głowie.
- LISIEWICZ. Ach, nie źle, Mości Książę, bo wkrótce miał wioski.
Różnie o tém mówiono... różne były wnioski,
Ale na to potrzeba spoglądać przez szpary...
Kogóż ludzkie języki, kogóż te poczwary...
- KSIĄŻĘ. Tak, tak, tak... i cóż daléj?
- LISIEWICZ. W możniejszym już stanie
Przedsięwziął różnych rzeczy wojsku dostarczanie,
I jak to zwykle bywa, gdy szczęście posłuży,
W dwójnasób jeszcze zwiększył majątek dość duży,

I choć on niby głupi, jak na mękach plecie,
Był niczém, jest bogatym, będzie znaczyl w świecie.
Osobę zaś...

KSIĄŻĘ.

Tę, pozwól, niechaj ja odgadnę,
Na pamięć opisanie czy też dam dokładne:
Geldhab, jak wszystkie jemu podobne istoty,
Których wyrwał z pomiotu zysk, ale nie cnoty,
Których los zbyt rozumnie umieścił na dole,
A ślepe szczęście wzniosło na przewrotném kole,
Jest próżnym i nadętym, brudnym sknerą w domu,
Podły i chciwy w sprawie, uczynny nikomu;
Lecz niechaj świat nań patrzy, gotów dla pozoru
Zostać chwilę wspaniałym i mężem honoru.
Jego ukłon, krok, uśmiech, wszystko wymierzone;
W drobnostkach urażliwy, bo kto w jego stronę
Nie dość się skłoni, spojrzny, zniży kapelusza,
Już mu chybia i godność na wieki obrusza.
Mówisz o gwiazdach, słońcu, lub świata początku,
On zawsze wspomnieć musi o swoim majątku;
U niego *ja i moje*, w jakimkolwiek względzie
I pierwszym i ostatniém słowem zawsze będzie.
Nareszcie, poufałość blizka grubijaństwa
I tylko próżna duma jest w nim cechą państwa.
Jakże? zgadza się Geldhab z mojem opisaniem?
Jestto obraz takiego, który twojem zdaniem:
Był niczém, jest bogatym, będzie znaczyl w świecie.

LISIEWICZ. Taki też Geldhab.

KSIĄŻĘ.

Jego córkę biorę przecie.
Cóżby mój pradziad mówił, gdyby ożył w grobie,
Ze Książę...

LISIEWICZ.

Powiedziałyby: wnuku, wystaw sobie,
Że teraz bez pieniędzy w Księstwie pomoc słaba;
Nie gardź więc złotem, ani osobą Geldhaba;
Nawet prawo powiada wszelkich związków świata:
Bądź zgodnym, dziel się z bliźnim, w człowieku widź brata.

KSIĄŻĘ (*śmieje się*).

Dziel się z bliźnim... wybornie ta myśl wyszukana;
Bawisz mnie jak z urzędu: (*uderzając go po ramieniu*)
lubię też Waćpana.

SCENA VI.

KSIĄŻE, LISIEWICZ, GELDHAB, FLORA.

KSIĄŻE (*do Flory*). (*Przez całą tę scenę Książę mówi z ironią*).

Miłą jaką zabawę przerwaliśmy pewnie?

GELDHAB (*glaszcząc Florę pod brodę*).

Czytała nieboraczka i płakała rzewnie.

KSIĄŻE. Jakicóżto smutne dzieło tak rozczulać zdoła?

FLORA. Ach, nie smutne; to bajka, i dosyć wesoła,
Ale ja nad przyjemnym często stylem płaczę.

KSIĄŻE. Tak?

FLORA. Kwilić się zaczynam, gdy książkę zobaczę,
Kaźde *ach*, lub *niestety!* już mi łzy wyciska,
A cierpię na wspomnienie miłości nazwiska.

KSIĄŻE. To pięknie!

FLORA (*coraz prędzej*). „Cóż dopiero ze mną się nie dzieje,
Jakież niebieskie czucie w sercu mém nie tleje,
Jakiż mojej istoty ogień nie porusza,
Jakże się nie unosi zachwycona dusza!
Kiedy czytam serc tkliwych cudne piórotwory,
Owe sztuki miłości doskonale wzory...
Czyjaż moc przyrodzenia może być tak twarda,
By nie płakać nieszczęścia cnego Abelarda?

KSIĄŻE. Pewnie!

FLORA. Komuż nie straszne Heloizy żale,
Któż ze Safo nie zadrży na okropnej skale?GELDHAB (*do Lisiewicza*).
A co? to moja córka!FLORA. Któż we łzach nie tonie
Przy smutnym i zawczesnym Wirginii zgonie?
Takie dzieła mą duszą, takie dzieła czytam
I w nich światło rozumu z rozczuleniem chwytam.*(znowu z prędkością i uniesieniem)*A w tklwym Floryanie, lub czułym Gesnerze,
Te nadobne pasterki, przyjemni pasterze,
Te miłości wzajemne, ta niewinność prawa,
Do wylewu łez naszych czyż nie mają prawa?

KSIĄŻĘ. Tak!

FLORA. Gdy czytam boskiego duma Ossyana,
 Chwytam gitarę, śpiewam zdrojem łez zalana;
 Zdaje mi się, najczulsze wybierając tony,
 Że wdzięcznej lutni barda dotykam się stróny;
 Z Kornela, Krebillona lub Rasyna dzieła,
 Scenę, która mnie mocą najwięcej ujęła,
 Wnet ołówkiem na papier dokładnie przenoszę.
 Tak, we wszystkim znajduję czucie i rozkoszę,
 One są mym żywiołem, nauki — zabawą.

GELDHAB *(do Księcia)*.

A jak pisze, rachuje, jak tańczy żwawo!

KSIĄŻĘ *(do Lisiewicza cicho)*.

Otóż rozum na sprzedaż, bez żadnego składu.

GELDHAB *(z radością)*

Cóż Książę? nie mówiłem?

LOKAJ *(wchodząc)*.

Dano do obiadu.

GELDHAB. Florko, daj Księciu rękę!... dajże!

(do Lisiewicza) Jak się boi;

Nadto skromna, lecz z czasem z wszystkim się oswoi.

A K T II.

SCENA I.

LUBÓMIR (*sam*).

Niesłychane zdarzenie... cóż czynić wypada?...
Flora mnie kocha... ale ojca... ojca zdrada!...
Mnie córkę obiecuje, a Księcia z nią żeni...
Nie, nie; albo zamysły dobrowolnie zmieni,
Albo też jeszcze dzisiaj zmienić go przymuszę,
Pamięć słowa, powinność, honor w nim poruszę...
Ale nie, cóż to zdziała na miedzianém czole?
Żem o niczem nie słyszał, raczej udać wolę.
Bojaźń jego zwyczajna może mi wygodzi;
Nie będzie śmiał powiedzieć... lecz otóż nadchodzi.

SCENA II.

LUBOMIR, GELDHAB.

LUBOMIR (*biegnąc naprzeciw Geldhaba*).

Jakże się miewasz, przyszedł
(*z przyciskiem*) teściu mój kochany!
(*ściska go*).

Widzę, widzę, żeś hoży, czerstwy i rumiany.
(*Geldhab z pomieszaniem przyjmuje uściśnienie*).
(*po krótkim milczeniu*).

No jakże, panie teściu, nie spełniamże słowa?
Jestem, choć jeszcze czerwca nie zesła połowa.

GELDHAB (*pomieszany*).

Witam Waćpana, witam. .

LUBOMIR.

Cóż za przywitanie?

Nie cieszysz się?...

GELDHAB.

I owszem!

(*na stronie*) Przekłęte spotkanie!

LUBOMIR. Czyż mnie, teściu, nie kochasz?

GELDHAB (*zamyślony*).

Hm!... a z całej siły.

(*na stronie*)

Bogdajbyś był kark skrzył.

(*głośno*) Lecz mój panie miły...

(*na stronie*)

Jak powiedzieć ...

(*głośno*) Myślałem...

LUBOMIR.

Że już nie przyjadę?

GELDHAB (*na stronie*).

Powiem mu.

LUBOMIR.

Na dzień, w którym szczęście moje kładę?

I że tak dawny, święty układ zapomniałem?

Ale jakżeś mógł myśleć, kiedy słowo dałem?

GELDHAB (*na stronie*).

Śmiało!

LUBOMIR.

A kto je łamie, lub złamać się trudzi,

Wzgardy tylko jest godzien od uczciwych ludzi.

GELDHAB (*na stronie*). O! źle.

LUBOMIR (*z wzrastającym zapamiętaniem*).

Jest łgarzem, łotrem, hultajem!

GELDHAB (*na stronie*).

Drzę cały.

LUBOMIR.

Przecie, że na nich sposób dobre nieba dały.

GELDHAB (*na stronie, nie słuchając dalej*).

Ale czegoż się boję?

LUBOMIR.

Tu, z honoru broni

Zwykłą biorą zapłatę.

GELDHAB (*na stronie*).

Książę mnie zasłoni,

Tylko śmiało!

(*głośno*) Gniew pański i śmieszny i próżny

LUBOMIR. Ja się nie gniewam, czegoż...

GELDHAB.

Zbieg zdarzeń jest różny,
Czasem słowa danego nie można dotrzymać;
Więc nie trzeba przeklinać, gniewać się i zżymać.
Właśnie... z Waćpanem... w takim przypadku zostaję,
Gdy... jego narzeczoną za Księcia wydaję.
(*oddycha i pot ociera*).

LUBOMIR. To żart.

GELDHAB. Nie, nie.

LUBOMIR. Ale żart.

GELDHAB. Nie żart, mówię szczerze.

LUBOMIR. Wiem dobrze, żeś uczciwy...

GELDHAB. Nie, wierzaj...

LUBOMIR. Nie wierzę.

GELDHAB. Daję słowo honoru, że tak w samej rzeczy;
Teraz przecie twój upór prawdy nie zaprzeczy?

LUBOMIR. Dajesz słowo honoru, że honoru nie masz,
I chcesz... ale dość tego.

GELDHAB. Cóżto, Waćpan mniemasz
Być rzeczą niepodobną, godną podziwienia,
Że mój rozum ojcowski układy odmienia?
Że dla większego dobra mniejsze dobro mija?
Że Pan z Panem się łączy, że Pan Panu sprzyja?
Wszak Geldhaba stać na to, mogę mówić śmieło.

LUBOMIR (*z ironią*).

O, postrzegam, że Pana stać na bardzo wiele.

GELDHAB. A... a... więc widzisz, mówmy, lecz mówmy bez zwady,
A poznasz, jak prawemi są moje zasady:

(*odchrząknąwszy*)

Znaczenie jest znaczenie, i znaczenie znaczy...

(*po krótkim milczeniu*)

Któż znaczenia w złączeniu z Księciem nie zobaczy?

(*po krótkim milczeniu*)

Nie gniewaj się i rozważ szybko twém pojęciem,
Żeś ty tylko szlachcicem a Książę książęciem!

LUBOMIR. Przodkowie nasi, którzy przez tak długie lata
Mieli godnie nabyte znaczenie u świata,

Którzy męstwem i cnotą ojczyźnie służyli,
 Na samym szczycie sławy tylko szlachtą byli;
 Dla nich z tytułów, w które stroi zagranica,
 Najchlubniejszym był zawsze polskiego szlachcica.

GELDHAB. Hm!... człowiek od człowieka, czas od czasu różny,
 Dziś więcej od Waszmości znaczy Pan Wielmożny,
 Pan Wielmożny mniej znowu, jak Wielmożny Jaśnie,
 A ten Jaśnie przy Jaśnie Oświeconym gaśnie;
 Bo Wielmożni... tak, dobrze... Wielmożni Panowie,
 Nie, nie; lecz Oświeceni... nie tak... w jednym słowie:
 Czém Jaśnie Oświecony, czém jest? hm... czém? Księciem;
 A Oświecony Książę czém? hm? moim zięciem.
 Nie masz co mówić, nie masz; już cię przekonałem,
 Że Florki mieć nie będziesz, choć ci słowo dałem.

LUBOMIR. Gdy rozumieć nie można, trudno odpowiedzieć;
 Jednak dosyć jest dla mnie piękny koniec wiedzieć.
 Zapomnij Waćpan honor i moję zniewagę,
 Lecz na własne swe dobro chciej zwrócić uwagę:
 Czy mniemasz, że Rodosław...

GELDHAB. Książę! suplikuję.

LUBOMIR. Ach, Książę; że do Flory szczerą miłość czuje?

GELDHAB. Mniemam.

LUBOMIR. Falszywie.

GELDHAB. Czy tak?

LUBOMIR. Wszakżeto rok drugi,
 Jak on szuka posagu, by opłacić długi.

GELDHAB. Zazdrość, zazdrość.

LUBOMIR. Nareszcie, wszak uczą przykłady,
 Jakie u wielkich panów w małżeństwie zasady;
 Niechaj gdziebądź dla córki ojciec brzęknie złotem,
 Najpierw pan usłyszy... pędzi orła lotem,
 O sto mil się oświadcza nfuw w urodzenie,
 A jak przejrzy zapisy, kocha się szalenie.

GELDHAB. Mądrze myślą; pieniądze nie są mary płochy.

LUBOMIR. Wszak i ja mam majątek.

GELDHAB. Szarpnąłeś go trochę.

- LUBOMIR. Dałem pół dla ojczyzny, sam poszedłem służyć;
Siebie i majątkości można lepiej użyć?
- GELDHAB. Pięknyto morał, ale...
- LUBOMIR. Dość jeszcze zostało
I dla mnie i dla Flory.
- GELDHAB. Wszystko jest za mało
Przy tytule książęcym, przy tej wielkiej sławie:
Mieć wielką mitrę w herbie, być wielkim w Warszawie.
- LUBOMIR. Gdy rozsądną uwagą nie jesteś ujęty,
Niechże cię wzruszy ojca obowiązek święty:
Chceszże dla cześć próżności przez inne zamęście,
Zniszczyć na całe życie własnej córki szczęście?
- GELDHAB. Ja mam zniszczyć jój szczęście? (*śmiejąc się głośno*)
Ha, to myśl nie lada!
Kiedy ona z radości ledwie się posiada;
I jak się nie ma cieszyć, gdy już ogłoszono,
Ze będzie za dni parę Jaśnie Oświeconą.
- LUBOMIR. Jakto Floraby miała?... ach, to już zawiele,
Tak mnie szarpać i wspierać fałsz fałszem tak śmieie;
Flora pewnie mnie kocha i wątpić nie mogę.
- GELDHAB. Zapytać się jój samój najkrótszą masz drogę.
- LUBOMIR. Tak, niech sama odbierze daną mi nadzieję.
(*na stronie*)
Mamże wierzyć? o nieba!... cóż się ze mną dzieje!
- GELDHAB. O! odbierz; tём jedném najpewniej usłuży,
Ja zaś szczerze pomyślnój życzę ci podróży.
(*odchodzi*).

SCENA III.

LUBOMIR (*sam*).

Ta Flora luba, wdzięczna, skromna przy rozumie,
Miałaby się tak zmienić, dać się uwieść dumie?
I ta twarz, oko szczerze i tak piękne razem,
Miałoby nie być prawym jój duszy obrazem?

SCENA IV.

LUBOMIR, MAJOR.

LUBOMIR. Ach, Majorze!

MAJOR. Wiem wszystko; Geldhab z tobą kręci,
 Dodam ja mu cokolwiek obietnic pamięci!
 Tam do licha!.. aż zadrży... aż mu włos powstanie!
 Bo ja lubię każdemu przelożyć me zdanie
 Grzecznie, ładnie... a Flora byłaże ci rada?

LUBOMIR. Jeszcze z nią nie mówiłem; lecz ojciec powiada...

MAJOR. Temu nie wierz; on kłamie i zawsze i wszędzie,
 Bo jeśli Florka stała, to inaczej będzie;
 Książęta nie książęta *(wskazując na broń)*
 tędy przejdą wprzód.

LUBOMIR. Florka mnie kocha pewnie, lat tylu dowody...

MAJOR. Fraszki! niech cię nadzieja zawczesna nie mami:
 Kobiety, przyjacielu, mówiąc między nami,
 Jestto piękny twór Boga, ale bardzo słaby;
 Okazałość dla kobiet wielkie ma powaby.
 Żądza pochwał, odmiany i znaczenia w świecie
 Często najszlachetniejsze w nich czucia przygniecie.
 Są, które przyznać trzeba, z przyrodzenia ręki
 Wzięły gruntowne cnoty, rozsądek i wdzięk,
 A takich jeszcze w Polsce nie mało naliczę,
 I taką znaleźć Florkę serdecznie ci życzę.

LUBOMIR. Taką pewnie ją znajduję, idę bez bojaźni,
 Resztę twojej szanownej powierzam przyjaźni.
(odchodzi)

MAJOR *(sam)*. Trzeba będzie dziś, widzę, broń z rozumem złączyć,
 I grzecznie, ale dobrze z Geldhabem ukończyć.

SCENA V.

MAJOR, KSIĄŻĘ, LISIEWICZ.

LISIEWICZ *(wchodząc i nie widząc Majora)*.
 Przyjechał, proszę wierzyć, rozkaz późno dany,
 I ten Major przeklęty... *(postrzega Majora)*
 A .. Major... kochany...
 Pozwól, niech cię uściskam. *(pomieszany)*

Dawno tu w Warszawie?

(*na stronie*)

Nie dobrze.

(*głośno*) Ale Księżu niechże cię przedstawię...

Grzeczność wymagał.. jeśli zechcesz tu zabawić...

(*do Księcia*)

Waszój Książęcój Mości mam honor przedstawić...

MAJOR. Nie masz Waćpan honoru, my się z Księciem znamy.

LISIEWICZ (*na stronie*). O! źle....

(*głośno*)

Więc żegnam.

MAJOR. Nie, nie, trochę pogadamy.

LISIEWICZ (*na stronie*).

Uf!

(*obciera pot*)

Otóżto nie zważać na przecucia wieszczce.

MAJOR. Ale ciebie to, bratku, Książę nie zna jeszcze:

(*do Księcia, biorąc za rękę Lisiewicza*)

Jestto Imć Pan Lisiewicz.

LISIEWICZ (*na stronie, trąc oczy*).

W oczach mi się mieni.

MAJOR. Wszystkich szczerzy przyjacieli, a zwłaszcza pieczeni.

Słuchać go... ma majątek w czystym kapitale,

Bez długu, w pewnym ręku, procent duży.. ale...

Proces, zbieg interesów, zawód, ciężkie lata,

Skutkiem, że nie ma grosza, a w słowach intrata.

LISIEWICZ (*cicho do Księcia*).

Podobność, Mości Książę, on zaczepki szuka.

MAJOR. Jak żyje?... tam do licha!.. w tém największa sztuka.

Oto zręcznie latając od domu do domu,

Różne wieści rozdaje, i wie, co dać komu;

Zrana, gdy brukowego towaru nazbiera,

Biegnie, gdzie sprzedać może: jednakże wybiera

Krótką chwilę wprzód, kiedy siadają do stołu,

Nie odmawia, gdy proszą, by siadał pospołu,

I dla dobrego wina, lub smacznej potrawy,

Czerni bliźnich, lub wojny rozrządza wyprawę.

LISIEWICZ (*do Księcia*).

Wszak mi przymawia?

KSIĄŻĘ.

Prawda.

LISIEWICZ (*do Księcia*). I w brzydkim sposobie:

KSIĄŻĘ. Prawda.

LISIEWICZ (*do Księcia*).

Mocno mi chybia!

KSIĄŻĘ.

Nie daj chybiać sobie.

LISIEWICZ (*do Księcia*).

Jak w złość wpadnę?

KSIĄŻĘ.

To wpadnij.

LISIEWICZ (*do Księcia*).

Ach, kiedy się boję..

MAJOR.

To milez.

LISIEWICZ.

Nie, wolę odejść.

MAJOR (*przytrzymując Lisiewicza*).

Zaraz, weź, co twoje.

Jeszcze jedna pochwała... niech Księciu zostanie
Lisiewicz dobrze znanym.

LISIEWICZ (*na stronie, ocierając czoło*).

Lubi zalecanie.

MAJOR.

Nie dosyć, że pozytkiem — gdzie jakiebądź gody,
Żniwem mu jeszcze młodzian wyzwania i zgody.
Gdy się dwóch sprzeczać pocznie, co się często zdarza,
On pierwszy między nimi jeszcze gniew rozżarza,
I temu i tamtemu tyle szepce, plecie,
(O urazie, honorze, o przykładach w świecie,
Gdzie nieraz już się bito o pól słowa prawie,
Aby nie przypisano spokojność obawie),
Póki radzi nieradzi z gniewem czy bez gniewu,
Nie zaborą się do krwi srogiego wylewu;
Wtedy, jak wieher niesie między baby płotkę,
Tu trzeźwi matkę, siostrę, tam pociesza ciotkę;
A gdy wieść pojedynku po mieście rozgada,
Powraca do młodzików i zgodę układa.
Tak więc gdzie miała zostać srodze krew przelana,
Kończy się na ostrygach i koszu szampana.
O, jakież sobie wtenczas nie zjedna zalety!
Lisiewicza pod nieba wynoszą kobiety,
Wszędzie proszon, bo pięknie rzecz tę opowiada,
In gratiam jednej kłótni, sześć obiadów zjada.

Trąba często fałszywa każdego zdarzenia,
 Natręt wielki, tchórz większy, sługa, gdzie pieczenia,
 I gdzie lepiej zapłaca, intrygant do wzięcia:
 Oto Lisiewicz. Jestże przyjacielem Księcia?

KSIĄŻĘ. Ale na cóż, Majorze...

LISIEWICZ (*trochę śmielój*). Tak, na co...

KSIĄŻĘ. Ta mowa.

LISIEWICZ (*śmielój*).
 Ta mowa!

KSIĄŻĘ. Wiem o wszystkiém, więc stracone słowa.

LISIEWICZ (*coraz głośniej*).
 Tak, Książę pan wie wszystko...
 (*zuchwale*). A prawo stanowić...

MAJOR (*tupa nogą i postępuje ku Lisiewiczowi*).
 Ja tak chcę! tam do licha!

LISIEWICZ (*cofając się z ukłonem, pokornie*).
 (*na stronie*)
 A, a... proszę mówić.
 Wiedziałem, że tak będzie.

MAJOR (*do Lisiewicza*). Z tobą już skończyłem,
 Teraz słówko do Księcia.

LISIEWICZ (*na stronie*). Dyable się skłóciłem
 Nauczę ja go kiedyś, jak mnie trzeba cenić!

MAJOR (*do Księcia*).
 Wiesz, Książę, że osoba, z którą się chcesz zenić,
 Zdawna Lubomirowi obiecaną była?
 Że to ich familia z dawna ułożyła,
 I że te dzieci miłość najściślejsza wiąże,
 Którą teraz nie łatwo zerwać? wie to Książę?

KSIĄŻĘ. A ja się znowu spytam: ten ton co ma znaczyć?

MAJOR. O! to chcę i winienem jasno wytłómaczyć:
 Słowo dane jest świętém, cudza własność świętą,
 Tamto łamać, tę chwytać jest lotrom ponętą;
 Ale człowiek uczciwy ściśle zważa na nie...
 Lecz chcąc tłómaczyć, muszę powtórzyć pytanie,
 Czy wiesz....

LISIEWICZ. Że z Księciem mówisz, zapominasz, widzę.

MAJOR. Człowieka w nim uważam, a z tytułów sztydę;
Jeśli duszy nie zdobi prawej cnoty darem,
Ta wstęga i ta ranga tylko mu ciężarem.

KSIĄŻĘ. Mości Panie...

MAJOR. Bez gniewu.

KSIĄŻĘ. Zadługo mu znoszę...

MAJOR. Bez gniewu, tam do licha!

LISIEWICZ (*na stronie*). Gadajże z nim, proszę. ?

MAJOR. Więc widzę, z własnej woli, nie z podstępnej rady,
Sprawiasz smutek i zrywasz tak święte układy!
Mości Książę! dla wszystkich, jak kraju ustawa,
Tak dla wszystkich są równe i honoru prawa.
Lubomira od ciebie spotkała zniewaga,
Więc zadość uczynienia od ciebie wymaga.
(po krótkim milczeniu)
Odstąp twego zamiaru, jeśli pragniesz zgody,
Chcesz zaś przy nim pozostać, bronią zmiierz się wprzód!

KSIĄŻĘ (*nieco pomieszany*).
Lecz... ale....

LISIEWICZ. Bić się z Księciem! Mospanie Majorze?

MAJOR. Tak, tak, strzelać się z Księciem, Mospanie faktorze.

LISIEWICZ (*z zadziwieniem*).
Strzelać do Księcia!

MAJOR. Księstwo nie składa pancierza,
Kula w haft i siermięgę zarówno uderza.

LISIEWICZ (*na stronie*).
Czart, nie Major.

MAJOR. Wybieraj... czyh, Książę, dowoli.

LISIEWICZ. A ja, nim drugi przyjdzie, wymknę się powoli.

(Odchodzi).

SCENA VI.

KSIĄŻĘ, MAJOR.

KSIĄŻĘ *(po krótkim milczeniu z udanym uśmiechem)*.

Cóżto, czyśmy wrócili w te szalone wieki,
 Gdzie płeć piękna wzywała rycerzów opieki?
 Mamyż na Rosynantach, długa dzida w dłoni,
 Zbijając karki po polu w miłosnej pogoni?
 Albo też siłą barków, lub dzielnością ręki
 Wysławiać swęj kochanki przymioty i wdzięki?
 A na końcu tych szaleństw, po odmiennym losie,
 Śpiewać miłość i boje przy echa odgłosie?
 Nie, nie; co to, to pozwól, mój luby Majorze,
 Trudno, ażebyś całkiem odnowił w tój porze.
(śmieje się).

MAJOR. Tam do licha...

LISIEWICZ *(przebiegając w lewe drzwi przez scenę, do siebie)*.
Już idzie.KSIĄŻĘ *(śmiejąc się głośno z przymusem)*.

Tego brakowało.

(seryo ironicznie)

Wprawdzie dla Lubomira największą jest chwałą
 Ścierać się o dziewicę tyrana Geldhaba,
 Ale dla mnie, jak sława, tak nagroda słaba.
(śmieje się, odchodząc).

GELDHAB *(we drzwiach)*.

Gdzież Książę?

KSIĄŻĘ.

Ha! precz *(śmiejąc się)*

Oto nowego masz zięcia.

(Wychodzi).

SCENA VII.

MAJOR, GELDHAB.

GELDHAB. Cóż to znaczy, mój panie, rozgniewałeś Księcia?
 Widzisz go!... to mi śmiałość i śmiałość nie lada.
(Chodzi prędko poprzód Majora, który stoi zamysłony)
 Księcia gniewać... hm... gniewać... jak szalony wpada,
 Moralność, cnotę, związek, mój honor obala...
 Któżto w moim pałacu rządzić się pozwala?

Powtarzam, Lubomira próżne przedsięwzięcia,
A Florka nie forteca dla ciebie do wzięcia;
Zatém szturmuj gdzie indziej, szturmuj sobie wszędzie...

MAJOR (*tupa nogą, Geldhab staje jak wryty*).

A tam do licha! ciszej! pókiż tego będzie?

Milczę, tak mnie oburzył ten dumny niecnota,

A ten sobie rozpuścił w gębie kołowrota.

(*Chodzi w gniewie poprzód Geldhaba, który stoi w miejscu;
do siebie*).

Śmiać się, drwić, kiedy grzecznie... a! tego za wiele;
(*w złości*)

Księcia, i Lisiewicza i...

(*staje przed Geldhabem*)

ciebie zastrzelę.

GELDHAB (*przestraszony*).

Mój Majorciu, Majorciu, siadaj, (*daje krzesło*)

gniew ci szkodzi...

Siadaj, Majorciu, powiedz, o co, o co chodzi?

MAJOR (*do siebie, chodząc*).

Rosynant, nie Rosynant, w dobrym czy złym losie,

Ale ty, Mości Książę, oberwiesz po nosie!

GELDHAB (*na stronie, z zadziwieniem*).

Książę po nosie!

MAJOR.

Słuchaj, oddawna cię znałem

(*za każdym słowem Geldhab się kłania*)

Z rozsądkiem, z sercem, głową; lecz się oszukałem,

Jesteś chciwy, nieczuły, w ucziwości... różny,

Jesteś próżny.

GELDHAB.

Nie, ale...

MAJOR.

Tam do licha, próżny!

(*Geldhab skłania głowę, jakby przystawał na to*).

Bo na cóżbyś dla córki sklejał związek nowy,

Gdyby ci tytuł Księcia nie zawrócił głowy?

Myślisz, że po tym kroku zapomną w Warszawie

Tę mąkę... hm?... ten owies w ostatniej przystawie,

Co to zgniły, rozumiesz? każdy to pamięta;

Jakże w świecie ty będziesz, jak córka przyjęta?

A jeśli ona dumę równą twęj posiada,

Ręczę, widzieć cię w domu, że nie będzie rada;

Wnuki, coby twych późnych lat pociechą były,
Teraz książęta, będą dziada się wstydzili;
Bo ty siebie nie zmienisz oświeconym zięciem,
Geldhab będzie Geldhabem, a Książę Książęciem.

GELDHAB. Córka mnie bardzo kocha, on wielce poważa.

MAJOR. Ech, bajki, on drwi z ciebie, a szkatułkę zważa.
Już dosyć jesteś starym, i mógłbyś już wiedzieć,
Że panowie zwyczajni na dwóch stołkach siedzieć;
Więc twój Książę Jegomość pełen dobrej chęci,
Gdy lepszy związek ujrzy, może jeszcze skręci,
Nareszcie o twém szczęściu niech nie będzie mowa,
Lecz któż cię, tam do licha, uwolnił od słowa?

GELDHAB (*promieszany*).
Musiałem...

MAJOR. Co, co pleciesz, chciój się zastanowić.

GELDHAB. Namowa ..

MAJOR. He?

GELDHAB. Przypadkiem..

MAJOR (*z ironią*). Daleś się namówić.

GELDHAB. Niby, tak; raz Lisiewicz, tak mnie ..

MAJOR. Zbałamucił.

GELDHAB. Nie, lecz słowo...

MAJOR. Podchwycił i na złe obrócił:
Podszedł cię zdradą?

GELDHAB. Ale...

MAJOR. Poczekajno, drabie!

Kiedy tak, daj, daj rękę: (*wstrząsa mocno*)
nie bój się, Geldhabie.

(*Wstrząsa kilka razy ręką Geldhaba*).

Nie bój się! dobrze będzie, zrobimy to snadnie.

(*odchodząc*)

O, drwinkami nie wyjdzie, kto mi w ręce wpadnie.

SCENA VIII.

GELDHAB (*sam*).

Cóż teraz... o dla Boga! cóż czynić potrzeba?

(chodzi)

Zastrzeleń, mówił... Florka... nos Księcia .. o nieba!

(po krótkim myśleniu)

Żeby jak... hej, jest tam kto?... lecz cóż zrobić mogę?

Ha!... będę komendanta prosił o załogę.

*(Siada i pisze. Kładzie pióro).*Cóż potem? wszak on Major, a to będzie żołnierz,
Jeszcze mu za broń weźmie, gdy mi ściśnie koltnerz,
A jak mu w ręce wpadnę, to już po mnie będzie.*(po krótkim myśleniu)*Gdybym jak .. ha, tak dobrze; drzwi niech zamkną
wszędzie.

Jest tam kto?... hej!... dokoła zamknąć, zatasować;

Hej, liberya moja! Niema co żartować.

(Ze wszystkich stron zbiegają się służący).

SCENA IX.

GELDHAB, FLORA, LOKAJE, KOBIETY.

FLORA. O nieba! cóż się dzieje?

GELDHAB (*chodząc i nie widząc nikogo*).

Niech strzela do bramy...

Ja się schowam... jest tam kto?

LOKAJ.

Już dawno czekamy.

GELDHAB. A, jesteście... Ty, Florko, zamknij się w pokoju,
Muszę wszystko w tej chwili urządzić do boju.

FLORA. Jednak...

GELDHAB.

Idź, idź. (*Flora sama odchodzi*).

SCENA X.

GELDHAB, LOKAJE, KOBIETY.

GELDHAB. Potrafię tę chmurę oddalić.

Jest tam kto? (*postrzegając*)

A... drzwi wielkie zamknąć i zawalić.

(*pokazuje*)
 Bierzcie krzesła, kanapy, książki, graty... baby!
 (*Lokaje biorą sprzęty.*
(Po krótkim milczeniu).)
 Cóż z tego... czekać!
 (*krzycząc*) czekać!
 (*do siebie*) wszystko odpór słaby...
 Jak wrzaśnie: tam do licha! nie dostać nie może.
 Liberya moja, precz! (*siada zmęczony*)
 Cóż robić, o Boże!
 (*Lokaje i kobiety odchodzą.*)

SCENA XI.

GELDHAB, LISIEWICZ.

LISIEWICZ (*pokazując głowę*).
 Jest Major?

GELDHAB. Niema.

LISIEWICZ. Pewnie?

GELDHAB. Niema, mówię, niema.

LISIEWICZ (*wchodząc i obzierając się wkoło*).
 Ma szczęście, że już poszedł; (*chodzi prędko*)
 mnie nikt nie dotrzyma;
 Bo jak w złość wpadnę... to... to.. Trzeba słyszeć było,
 Jakaśmy się tu starli, aż wspomnieć nie miło.

GELDHAB (*wstaje i słucha*).
 Pst!... pono idzie.

LISIEWICZ (*biegnąc ku drzwiom przeciwnym*).
 Pójdę...

GELDHAB (*siadając*). Nie, to wiatr zaszumiął

LISIEWICZ. Ma szczęście, że nie przyszedł; lecz on rzecz zrozumiał:
 Ze mną niema żarcików!

GELDHAB. Z nim także, mój panie.

U niego się wyrąbać, jak nam zjeść śniadanie;
 Już on tutaj w Warszawie nie jednego zucha
 Należycie naznaczył od ucha do ucha;
 Albo na pistolety... aż mnie dreszcz przechodzi:
 Kiedy wyzwie, to w sam łeb, lub w serce ugodzi,

Nie wyzywaj go! jutra nie dałby ci dożyć.

LISIEWICZ. Zabije?

GELDHAB.

Jak bekasa.

(*Lisiewicz kiwa głową nie dowierzając*)

No, chcesz się założyć?

LISIEWICZ. A, nie chcę!

GELDHAB.

Tak, dla próby.

LISIEWICZ.

Czyś Waćpan szalony!

GELDHAB.

Wygrałbym, bo jak strzela, jestem zapewniony:
Raz tu przypadkiem strzelił, jednakże nie chybił,
Jak wyrznął! (*pokazując*)

W samo okno, i dwie szyby wybił.

LISIEWICZ. Fraszki.

GELDHAB.

Nic się nie boisz?

LISIEWICZ.

Nie.

GELDHAB.

Wcale?

LISIEWICZ.

Nic wcale.

GELDHAB.

A kiedy tak, więc dobrze, przednio, doskonale.
Słuchajże, przyjacielu: ten major przekłety,
Na mnie, ciebie i Księcia okropnie zawzięty,
Trzeba się bić, lub milcząć, chcąc przywrócić zgodę;
Zatém zrób nam tę grzeczność i wielką wygodę,
Strzelaj się za nas wszystkich, powiem, żeś ty winny...

LISIEWICZ. Nie, nie...

GELDHAB.

Proszę cię.

LISIEWICZ.

Nie chcę, nie; mam projekt inny...

(*myśląc, mówi pomatu*)

Dobrze można... rzecz... skończyć, i bez krwi wylewu...
Trzeba, żebyście z Księciem, nie bojąc się gniewu,
Wpadli z góry na niego. Powiedzcie mu śmiało,
Że nie chcecie odmieniać, co się raz już stało;
Że twoja córka Księżną musi być koniecznie.
Tylko z nim żwawo, huczno, nawet i niegrzecznie,
A on sam zaraz będzie załatwiał tę zwadę.
Tylko krzyczcie...

GELDHAB.

A Waćpan?

LISIEWICZ.

Ja na wieś pojedę.

GELDHAŁ. Tak? Waćpan widzę śmiały do dawania rady;
Lecz taką rzeczą nasze pieniężne układy...

LISIEWICZ. Jakto, mógłbyś je znośić? czyżażeto głowa
Pierwszy projekt wydała? czyżażeto mowa
Księcia nam zniewoliła? Całemi godziny
Chwaliłem mu twe cnoty i twojej rodziny,
Aż nieraz głosu brakło. I za to staranie
Takaż nagroda? taka...

GELDHAŁ. Ale mój Mospanie,
Chciejże sobie rozważyć, za cóż ja mam płacić,
I razem córkę, Księcia i pieniądze tracić?

LISIEWICZ. Wszak jeszcze nie stracona.

GELDHAŁ. Tém lepijć, lecz rada...

LISIEWICZ. Inněj poszukać teraz i działać wypada.
Chodźmy do Księcia, niechaj z komendantem mówi.

GELDHAŁ. Niech idzie do senatu, niech senat stanowi.

LISIEWICZ. Ten poradzi...

GELDHAŁ. Rozstrzygnie...

LISIEWICZ. W najkrótszym sposobie.

GELDHAŁ. Wszak to napaść..

LISIEWICZ. Obelga na mojej osobie.

GELDHAŁ. Gwałt względem mojej córki.

LISIEWICZ. To mniejsza, lecz przecie...

GELDHAŁ. Ale nie mniejsza, proszę...

LISIEWICZ. Któż slyszal na świecie,
Ażby jeden major..

GELDHAŁ. Śmiał mój dom szturmować!

LISIEWICZ. Łajać!

GELDHAŁ. Grozić!

LISIEWICZ. Chcieć strzelać!

GELDHAŁ. Rozbijać!

LISIEWICZ. Rabować.

GELDHAB. Chodźmy.

LISIEWICZ. Chodźmy.

GELDHAB. Zobaczy, z Księciem jaka sprawa.

LISIEWICZ. Jutro Pana Majora nie ujrzy Warszawa.

(przytrzymując Geldhaba)

Jednak mnie przestrzeż, jeśli zoczysz go z daleka;
Chcę unikać, bom w złości, a szkoda człowieka.

A K T III.

SCENA I.

FLORA, LUBOMIR.

(Flora siedzi przy stoliku, przegląda książkę i odpowiada nie patrząc na Lubomira).

LUBOMIR. Wybacz, Pani, że jeszcze do ciebie przychodzę,
Nie skarżyć się, już serca nadzieją nie zwodzę;
Lecz oznajmić, niestety! że pełniąc twą wolę,
Spełniłem szczęście Księcia i moją niedolę.

FLORA. Dziękuję.

LUBOMIR. Zapewniłem go, że z mojej strony,
Zamiar związku waszego nie będzie burzony.

FLORA. Spodziewam się.

LUBOMIR. I owszem, gdy znam chęci twoje,
Odwracać od nich będę troski, niepokoje.

FLORA. Dziękuję.

LUBOMIR. Gdybym dawniej przewidzieć był w stanie,
Nie byłbym ojca twego odrzucał żądanie;
Nie byłbym go na spory niemile wystawił,
A tobie móm przybyciem tyle zmartwień sprawił.
Bądź spokojną, szczęśliwą, kochaj Rodosława,
Innego nie chcę szukać nad twą miłość prawa,
Gdy tę tracę, cóż znaczy twych obietnic siła?
Pocóż masz jój ulegać, gdyś serce zmieniła?
Dziś jeszcze moją duszę łudziłem przyjemnie,
Ze gdy cię tracąc cierpię, ty cierpisz wzajemnie.

Mówiłem z twoim ojcem w zbytecznym zapale,
 Gdyż myśl o twoich moje podwajała żale;
 I gdym groźby używał w ostatniej potrzebie,
 Pamiętałem o tobie, zapomniałem siebie.
 Ach! pochlebiałem sobie twą miłością stałą;
 Kochałem cię nad siły, myśląc, że za mało,
 Że ty jeszcze... Lecz dosyć, niech ci los życzliwy,
 Ile pragnę, da rozkosz, a będę szczęśliwy;
 Jednak smutne przecucie...

FLORA. Ach, nie wróćmy, proszę,
 Do uwag raz skończonych; troski czy rozkosze,
 Szczęście czy też niedola będą mym udziałem,
 Nie troszcz się; wiem, co czynię.

LUBOMIR. Gniewać cię nie chciałem;
 Ale twój wzrok oziębły srodze czuć mi daje,
 Że ci moja rozmowa natrętną się staje.
 Czyś się nawet przyjaźni wyrzekła już teraz,
 I najpierwszej miłości, przysięganęj nieraz,
 Czyż ci nawet niemile i samo wspomnienie?

FLORA (z ironią).
 Zając się nim nie mogę, chociaż wielce cenię.

LUBOMIR. Ach! czemuż cię tracąc, siły nie mam tyle!
 O, jakże was wspomnieć szczęścia drogie chwile?
 Jak pysznym mi się zdawał, jak pięknym świat cały,
 Uciecha, rozkosz dla mnie we wszystkiem jaśniały;
 Com widział, słyszał, uczył, gdzie mnie myśl wabiła,
 Wszystko miłość tajemna wdziękiem swym stroiła.
 Dopiero przy rozstaniu czucie me poznałem,
 Wahać się było wstydem, lecz ileż cierpiełem!
 Tu mnie miłość pociąga, tam ojczyzna woła;
 Lecz na jej głos, kto Polak, któż się oprzeć zdoła?
 Poszedłem, a gdym walczył z wrogiem i przygodą,
 Miłość twa zachęceniem była i nagrodą;
 Gdym krzyż otrzymał, nawet gdym otrzymał ranę,
 Pierwszą miał myśl, że ciębie godniejszym się stanę.
 Wszystkom znosił cierpliwie nadziei oddany,
 Bom cię kochał i byłem, ach! byłem kochany!
 Wróciłem... ciębie... ojca... Ach! Floro, tę chwilę
 Mogłaś ty zapomnieć?

FLORA.

Na cóż jęków tyle?

Nie skarżyć się przychodzę, wszak mówiłeś przecie,
 Zresztą głuche na skargi jest Cytery dziecię,
 A te żale, rozpaczę w miłośnym zawodzie,
 Piękne są w elegii, trenach lub też odzie.
 Wtedy w wierszach wzgląd mając na muzy natchnienia,
 Dla układu czulego, myśli uniesienia,
 Poetycznych obrazów i ważności dzieła,
 Nawet straszne przekleństwa możebym przyjęła;
 Ale tak, wierz mi Waćpan, w zwyczajajęj rozmowie
 Skargi męczą i nudzą.

LUBOMIR.

Już ich nie ponowię,

I wybac mi tą razą; czas przeszły w pamięci,
 Mówilem, co uczulem, mimo własnej chęci.
 Jednak słuchaj mnie jeszcze: nie zazdrość zdradliwa,
 Nie nadzieja mnie wiedzie, lecz przyjaźń troskliwa;
 Odmów Księżciu, by szczęście nadal ci służyło.

FLORA.

Nadto tęg troskliwości i nadto jęg było,
 Wszystko z tęg troskliwości nieszczęsnęj wypływa:
 Z troskliwości nas nudzisz, a major wyzywa.
 Lepięj było pozostać w swych kolegów gronie,
 Ściagać w puszczy niedźwiedzie i ujeżdżać konie;
 Tam major silniejszego znalazłby atletę;
 Niż starca, Lisiewicza i słabą kobietę.
 Tam mógłby godnęj siebie Pan Major dojsć sławy,
 Potém na łonie Bacha spoczywać z wyprawy;
 I Waćpan, pilny uczeń swojego mentora,
 Mógłbyś z czasem z słabemi udawać Hektora.

LUBOMIR.

Co słyszę? Floro! jakież...

FLORA.

Lepięj było zostać,

Niż zmieniać naszą ciszę na Erebu postać;
 I gdy już nie pomogło ni straszyc, ni prosić,
 Heroicznęj miłości poświęcenia głosić.

LUBOMIR.

Na gniew czyż zasłużyłem?

FLORA.

Kto nudzi czas długi,

Na mój gniew sprawiedliwy ma dosyc zaslugi.

LUBOMIR.

Ja ciebie nie poznaję...

FLORA.

Ach, proszę w tęg dobie,

Zapomnijmy o dawnym mówienia sposobie;
 Poufalości z sobą nie miejmy za wiele,
 Myśląc o wzrastajęcym pośród nas przedziele.

- LUBOMIR. Niszczysz miłość ku sobie, zostawże szacunek.
- FLORA. Dla wielkich w dostojęństwie najmniejszy frasunek.
O moję teraz łaskę świat będzie się starać,
Moim wzrokiem nagradzać potrafię i karać,
Szacunek szlachty panom jest winną daniną,
A ich złość i obmowa pośród wzgardy giną.
- LUBOMIR. Tak? nie mam co powiedzieć, ten sposób myślenia
Zadziwia mnie, oświeca, razem czucie zmienia.
- FLORA. Zatem związek zerwany? .
- LUBOMIR. Za twą łaskę liczę;
Żegnaj cię więc, żałuję, jednak szczęścia życzę (*odchodzi*).

SCENA II.

FLORA (*sama*).

Straszna rozpacz nim miota, zazdrość go pożera,
Ale wszak on nie pierwszy z miłości umiera;
Darmo wszystkich nagradzać darem naszej ręki,
Których często powabne zniewałają wdzięki.

(po krótkim milczeniu)

Wprawdzie dawnemi czasy lubiłam go nieco,
Lecz zwykle nasze gusta z godzinami lecą;
Co wczoraj było pięknem, dziś brzydkiem być może,
Mamże dla dawniej woni, zwiędłą nosić różę?
Nareszcie co za śmieszna i razem myśl płocha,
Odmawiać rękę Księżciu, że Lubomir kocha?

(po krótkim milczeniu)

Ach, Jasnie Oświeconą gdy wkrótce zostanę,
Jakież szczęście mojemu będzie porównane!
Ileż dla mnie radości i sławy nie będzie?

(idzie do drzwi, powraca i co mówi, wykonywa).

Wchodzę... wszystko się wzrusza.. wszyscy stoją w rzędzie
Księżna Pani przychodzi! mocny szmer powstaje,
Księżna, Księżna! ten temu do ucha podaje,
Každy zaraz się kłania, a ja? ja, nikomu.

Idę dalej... wzrok w górę... witam panią domu,
Kilka innych wachlarzem, i czem prędjéj łapię
Nawiasem spostrzeżone miejsce na kanapie; (*siada*)
Wtedy sunąc szkło z góry, brzeg na brwiach opieram,
I powoli nakoło z uwagą pozieram;
Každy już niecierpliwy, czy mu wzgląd oznaczę,
Sześć razy mi się kłania, nim go raz zobaczę. (*wstaje*)

Takato jest moc Księstwa! Ja zaś z mojej strony,
(Geldhab wchodzi, czytając list)
 Podług rangi każdego wymierzam ukłony.

SCENA III.

FLORA, GELDHAB *(nie widząc się)*.

FLORA. Które także dla kobiet na stopnie podzielę.
 Na przykład: *(kłania się, tyłem obrócona do ojca)*

GELDHAB. *(czytając list, tyłem obrócony do Flory)*.

Ach! *(kłania się)*

Ach! *(kłania się)*

FLORA *(zawsze się kłania)*.

Albo!

GELDHAB *(kłania się)*.

To łaski za wiele.

(kończy list głośno)

„Do nóg upadam. Książę.” *(kłania się)*

A, bardzo dziękuję.

FLORA *(nizko się kłania)*.

Nareszcie czasem. *(Powtórnie kłania się; obraca się ku ojcu)*.

GELDHAB *(składając list, obraca się z ukłonem do Flory, i mówi do siebie)*.

Mości Książę! wielce czuję...

(postrzegają się; czas krótki zadziwienia)

Ach Florko, czytaj, *(całuje ją)*

czytaj... jak ci się *(daje list)* podoba?

LOKAJ. Pan Piórko.

GELDHAB

Prosić, prosić.

(do siebie) To wielka osoba. *(do Flory)*

Idź do siebie, ciesz się, ciesz, wszystko już skończono,

I w dni kilka powitam Jaśnie Oświeconą. *(patrząc za nią)*

Księżna, Księżna, jak uła!... córeczka kochana!

(Flora odchodzi).

SCENA IV.

GELDHAB, PIÓRKO.

PIÓRKO. Do nóg pańskich upadam.

GELDHAB

A, witam Waćpana;

Hej! liberya moja! hej! *(Lokaje wbiegają)*

Krzesel, łajdaki!

PIÓRKO. Cóż za rozkaz...

GELDHAB (*daje znak lokajom, aby wyszli, potem sadza Piórka i sam siada mówiąc*). Siadajmy, interes jest taki:

Chciałbym mieć rys pokoleń mojego imienia,
Niby drzewo wyrasta z rycerza ramienia;
Z tego pięknie wyrosłe, różne mając związki,
Niechaj idą gałęzie, a z tychże gałązki;
A z pnia najprościejszego jedna w samej górze,
Niechaj będzie ja. Wszystko na jasnym lazurze...

PIÓRKO. Już, już wiem, lecz papiery...

GELDHAB (*dając sakiewkę*). To są, reszta w głowie.

PIÓRKO. Rozumiem, łatwo znajdę, mam nawet w połowie.

GELDHAB. Kto historią umie, ten wzorów dostanie.
Powiedz w notach, na przykład... na przykład, mój panie:
Że pierwszy Geldhab sławny dzieły wojennemi,
Wraz z Henrykiem Walezym z szwedzkiej przybył ziemi;
Potem, że... za... Jagiellów przez czas bardzo długi,
Wielkie zawsze ojczyźnie czynili usługi..
Lecz gdy... Krakus świętego zabił Stanisława,
Wraz z nim, Geldhabów rzymskie wypędziły prawa.

PIÓRKO (*z ironią*).

Pan umie historią.

GELDHAB (*z uśmiechem*).

Ha! widziałeś z mowy. (*przypomniawszy sobie*)
A jeszcze, proszę zważać, by konar środkowy,
Na którym ja wyraźnie w samym będę szczycie,
Wszystkie inne przechodził w honorów zaszczycie.
Włóż kilku wojewodów i kilku hetmanów,
Kancelerzy choć ze czterech, z parę kasztelanów,
I biskupów... ze sześciu, zresztą jak wypadnie;
Rób, jak chcesz, byle było zrobione dokładnie.

PIÓRKO. Rozkaz pański wypełnię; lecz wcześniej powiadam,
Ze temu rysunkowi ważności nie nadam;
Ten poczet senatorów nic nie znaczy wcale,
Jeśli innych dowodów...

GELDHAB. Wiem to doskonale;
Lecz z czasem, gdy zapomną, a ja natrę śmieie,
Będę mógł zostać hrabią?

PIÓRKO. Trudności za wiele.

GELDHAB. Baronem?

PIÓRKO. Wątpię.

GELDHAB. Niczém? (*Piórko wzrusza ramionami*)
No, to Szambelanem?

PIÓRKO. Nie wiem; może nareszcie, będąc wielkim panem...
(*rusza sakiewką*).

GELDHAB (*wstając*).
Jakoś to... ale, ale; czy wiesz, panie Piórko,
Że się Książę Rodosław żeni z moją córką?

PIÓRKO. Słyszałem.

GELDHAB. I to pewnie, kontrakt ułożony.
Powiedz to w mieście... bądź zdrów.

PIÓRKO. Sługa unizony. (*odchodzi*).

SCENA V.

GELDHAB (*sam*).

O, szczęśliwy Geldhabie! szczęśliwy człowieku!
O, najszczęśliwszy panie w dziewiętnastym wieku!
(*po krótkim milczeniu, zacierając ręce z radością*)

Ode mnie na dół idąc całe pokolenie,
Będzie już mitrę nosić, mieć Księstwa znaczenie.
W górę przodków mi brakło, wkrótce ich dostanę;
I jak dla równowagi na pośrodku stanę;
Śmiało się teraz Geldhab pokaże przed światem,
Gdy na dół i do góry zostanie magnatem.
O, szczęście!... córka Księżna, a mój zięć Książęciem,
Ja teściem Księcia, Książę, Księżna móm dziecięciem;
A wnuczki moje, lube wnuczki i wnuczęta:
Wszystko to będzie, wszystko Księżniczki, Książęta;
Zatém... (*biegnie do okna*)

Ktoś wjechał.. Książę... znam turkot karety,
Florko! Florko!... on pewnie.. Florko!... te kobiety...

SCENA VI.

GELDHAB, FLORA.

FLORA. Przebóg, cóż znowu...

GELDHAB. Książę,

FLORA (*po krótkim milczeniu*). Zawsze się tak strwożę.
Czego tak krzyżeć... Książę czy czekać nie może?

SCENA VII.

GELDHAB, FLORA, MAJOR, LISIEWICZ.

MAJOR (*jeszcze za drzwiami*).
Marsz; tam do licha!

LISIEWICZ (*ciągnięty od Majora bez kapelusza, laski i trzewika, które wkrótce lokaj wnosi i oddaje*).
Nieba! za cóż mnie karzecie!
(*do Majora prosząc*)

Puść...

MAJOR (*stawiając go przed Geldhabem*).

Stój! w prawo! równaj się!

GELDHAB (*do Lisiewicza cicho*). Dopadłeś go przecież?

MAJOR. Tu, do oczów niech jeden drugiemu dowodzi,
Który z was obu kłamie i który mnie zwodzi.
(*po krótkim milczeniu*)

Milczycie?

GELDHAB (*pomieszany*). Cóż mam mówić?

LISIEWICZ. Ze mnie dech ucieka.

FLORA (*do Majora*)
Dopókiż...

MAJOR. Już, już kończę, niech panna zaczeka.

FLORA (*z niecierpliwością*).
Ja nie chcę...

MAJOR. Wiem, wiem, zaraz odprawię téż Księcia.

FLORA (*w gniewie*).
Ależ...

MAJOR. Ach, bądź spokojna, znam sztukę ujęcia.

FLORA (*na stronie*).
Cóż gadać z tym dragonem? Gdybym się nie bała,
Zarazbym mu, niestety! oczy wydrapała.

- MAJOR. Nic się więc już nie dowiem?
- LISIEWICZ. Ach, luby Majorze,
Proszę cię, bładam, błagam w największej pokorze,
Puść mnie stąd, wszak pan Geldhab...
- GELDHAB Na cóż na mnie składać
- LISIEWICZ. Jednak...
- GELDHAB Zważaj..-
- LISIEWICZ. Lecz...
- GELDHAB. Pozwól...
- OBYDWA (*razem*). Ach, dajże mi gadać.
- MAJOR. Ech, tam do licha, ciszej!
- FLORA (*zatykając uszy*). Co za krzyk, o nieba!

SCENA VIII.

GELDHAB, FLORA, MAJOR, LISIEWICZ, LUBOMIR.

LISIEWICZ. Lubomir! Ach, Geldhabie, umierać potrzeba!

LUBOMIR (*do Majora*).

Znajduję cię nareszcie, drogi przyjacielu,
Niepotrzebnieś mi służył wśród przykrości wielu,
Nadzieja mnie zawiodła, wszystko się odmienia,
Spadła z oczu zasłona i znikły marzenia
Flora, blaskiem znikomym znaczenia ujęta,
Odrzuca stałą miłość, przysiąg nie pamięta.
Chociaż me serce wzgardę nader wielce czuje,
Jednak nad jej zblakaniem więcej się lituję;
Bo gdzie przyszłość oparta na wielkości chwale,
Tam krótka bywa rozkosz, a zbyt długie żale.
Lecz na cóż raz wzgardzone powtarzam uwagi?

MAJOR. Nasze zatém staranie ..

LUBOMIR. Niema żadnej wagi,
Gdy ulega mniej ojca, niż swój własnej woli.

FLORA (*kłania się bardzo nisko z ironią Majorowi*).
Nieinaczéj.

GELDHAB (*kłaniając się Majorowi*). Do usług.LISIEWICZ (*na stronie*). Ostygam powoli.

- MAJOR (*po krótkim milczeniu*).
Moja Panno!
- LUBOMIR (*prosząc*). Majorze...
- FLORA. Czy nowe wyzwanie?
- MAJOR. Nie; prawdy trochę.
- LUBOMIR (*do Majora*). Proszę...
- FLORA. Słucham ją, mój panie.
- LUBOMIR (*do Majora*).
Nie zaczynaj...
- MAJOR (*do Lubomira*). Grzecznie powiem.
(*po krótkim milczeniu, do Flory*) Tam do licha! proszę...
- LUBOMIR. Majorze!
- FLORA. Waćpan nie wiesz, z tych kilku słów wnoszę,
Że chcąc żyć w świecie, nie dość prawdami szafować,
Nie dość być strasznym, trzeba pleć piękną szanować.
Słabość jest naszym działem, naszą bronią—wdzięki;
Lecz te oręż nie z jednej wytrąciły ręki;
Nie zmieniaj Waćpan prawa, które niebo daje;
Nam w miłości rozstrzygać, wam błagać przystaje.
W pięknym uczuciu serce naszych przymus nie jest znanym,
I musi być podległym, kto chce być kochanym.
Jeśli na to pan Major ma co odpowiedzieć,
Słucham.
- LISIEWICZ (*na stronie*). Śmiało; na honor!
- FLORA (*po krótkim milczeniu*). Prawdę bedę wiedzieć?
- MAJOR. Już szanując pleć piękną, milczeć mi wypada;
Wiem oraz, że rozsądnie nikt jój nie przegada. (*kłania się*).
- FLORA (*urazona, obraca się od niego*).
Grzecznic!
- MAJOR (*biorąc na stronę Lubomira*).
Wolę być grzecznym i ustąpić trochę,
Zresztą nic téż dziwnego, że kobiety płocze.

SCENA IX.

CIZYŃSAM I KSIĄŻĘ.

KSIĄŻĘ. Że wszystkich tu zastaję, najmocniej się cieszę,
Tém bardziej, gdy z pomyslném oświadczeniem śpieszę;
Pomyślném
(do Lubomira) dla Rotmistrza
(do Flory) i dla ciebie, pani,
Coście z dawna kochali i byli kochani;
Ja zaś, lubo mém dziełem (z udanym zalem) srodze szarpię
duszę,

Lecz honor rozkazuje, wypełnić je muszę.

(po krótkim milczeniu)

Nie wiedziałem, jak silna miłość wami włada,
Gdy mnie dzisiaj Majora oświeciła rada.
Zrazu myślałem, jakiej uchwycić się strony,
Wahałem się, nadzieją przyjemną ludzony:
Może on ją zapomni, ona mnie pokocha;
Lecz wnet honor przemówił, umilkła chęć płocha.

(po krótkim milczeniu)

A do tego wiadomość odbieram od brata,
Że ciotka ukochana zeszła z tego świata,
I mnie dała majątek, niestety! po sobie.
Zatém czas, który trzeba poświęcić żalobie,
Smutek, powinność, rozum, ważne zatrudnienia,
Wszystko dzisiaj dawniejsze zaniary odmienia;
Chcę więc je odwołując, prawo moje stracić,

(do Lubomira)

I chociaż w małej części tobie się wypłacić.
Tyś mi poświęcił miłość, w niej szczęścia zasady,
Ja ci tylko poświęcam przyjemne układy.
Bądź kochanym, szczęśliwym, to ci szczerze życzę,
I pozwól, niech cię w rzędzie przyjaciół policzę.

(do Majora wstrząsając mu rękę)

Majorze, z nami zgoda.

(do Flory) Ty, serca powabie,

Floro! żegnam cię, żegnam! (klaniając się)

Bywaj zdrów, Geldhabie (odchodzi)

MAJOR (przytrzymując Lisiewicza).

Dokąd, dokąd, Mospanie? prosim na wesele.

LISIEWICZ. Ach, do nówek upadam, honoru za wiele. (odchodzi).

SCENA X.

GELDHAB, FLORA, MAJOR, LUBOMIR.

*(długie milczenie)*MAJOR *(do Geldhaba)*.

Jakże, Książę... hm... kocha, wielce cię poważa,
 Nie chcę zwiększyć majątku, lecz zaszczyt pomnaża!
(śmieje się)

Być teściem Księcia, Księcia! ach, jak to przyjemnie;
 Lecz nie chcę się naśmiewać, boś słabszy odemnie.

GELDHAB *(do Flory po krótkim milczeniu)*.

Cóż, Florko! he?

(wskazując głową)

Lubomir?...

*(Flora daje znak głową potwierdzając)*MAJOR *(spoglądając na Florę i Lubomira)*.

Z wszystkiego więc wnoszę...

GELDHAB. Co się dotąd zdarzyło, zapomnijmy, proszę,
 Lepiej szukajmy szczęścia w dawnym przedsięwzięciu;
 Lubomirze, pozwalam, bierz Florę po Księciu.

MAJOR. Szczęść Boże, tam do licha!

LUBOMIR.

Nie, w jój duszy zmianie,
 Uczynić ją szczęśliwą nie byłbym już w stanie.

(do Flory)

Kochałem cię zbyt stale, bo cię inną znałem;
 Dziś twój sposób myślenia jest naszym przedziałem.
 Szczęścia twójego pragnę, dar twój ręki cenię,
 Lecz biorąc go, rozsądnych zamiarów nie zmienię.
(kłania się z wielkiem uszanowaniem i odchodzi).

MAJOR *(wysłuchawszy z wielką uwagą)*.

Dobrze! Takato dumy zwykła jest zapłata:
 Nadzieje zawsze próżne i wgarda u świata.

(do Geldhaba).

Nadtoś myślał o księstwie, gdy Książę o groszu,
 Tak osiadłeś na lodzie, a panna na koszu.

CUDZOZIEMCZYŻNA

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH, WIERSZEM.

Kto wielu naśladowe, cudzego nie dojdzie,
a swoje pomiesza.

And. Małs. Fredro.

O S O B Y:

RADOST.

ZOFIA, córka Radosta.

HRABINA JULIA, wdowa w średnim wieku.

ZDZISŁAW, brat młodszy Hrabiny.

ASTOLF.

ETIENNE, kamerdyner Astolfa.

JAKÓB, stary sługa w domu Radosta.

EKONOM I KILKU SŁUŻĄCYCH Radosta.

Scena na wsi, w domu Radosta.

AKT I.

Scena wystawia pokój dobrze umeblowany; po prawej stronie stół, na którym leżą damskie robótki; kilka krzeseł.

SCENA I.

JULIA, ZDZISŁAW.

JULIA (*kładąc robotę i wstając od stołu*).

Nie, nie, panie Zdzisławie, nie będę milczała,
Dzisiaj się wydać musi tajemnica cała.

ZDZISŁAW. Ależ, kochana siostró...

JULIA.

Nie, ścierpieć nie mogę,
Ażeby kto do szczęścia sam utrudniał drogę,
I to przez jakieś śmieszne, niedorzeczne myśli.

ZDZISŁAW. Każdy sobie inaczej drogę szczęścia kręśli.

JULIA.

Dopókim zostawała w niezachwianej wierze,
Że prawdziwój swobody chcesz i szukasz szczerze,
Chociaż zawsze otwartość w każdej sprawie wolę,
Przybyłam tu w sąsiedztwo, wzięłam daną rolę.
Lecz dziś widząc, że właśnie, co kryjesz w uporze,
Zyskać rękę Zofii, zjednać ojca może,
Mamże milczeć? sam rozważ.

ZDZISŁAW.

Lecz powtarzam jeszcze,
W dotrwanii tajemnicy szczęście moje mieszcę.

JULIA.

Kiedy tak, to rób, co chcesz, przeszkód ci nie kładę,
Ale każę zajechać, wsiąść i pojadę.

ZDZISŁAW.

Może długo, niestety, i ja nie zostanę;
Ależ ostatnie słowo jeszcze mi nie dane.

JULIA. Wszak przyjęcie Astolfa za odpowiedź służy.
 ZDZISŁAW. Wprawdzie nie mi dobrego dotychczas nie wróży;
 Lecz Zofii tak prędko wyrzec się nie mogę,
 I źle czy dobrze, skończę przedsięwziętą drogę.

JULIA. Bądź zdrów.

ZDZISŁAW. Dobra Julio, posłuchaj mię trochę;
 Poznasz, że myśli moje nie są tak zbyt płocze:
 Kiedy już kilkoletnią podróżą strudzony
 W miłe swoje nareszcie powróciłem strony,
 Kiedy już ostygł zapal tej radości czystej,
 Którą nas poi widok zagrody ojezystej,
 Doznałem w krótkim czasie, że ta wolność nasza,
 Która się tak okropnie małżeństwem zastrasza,
 Która nad wszelkie dobro najdroższą się zdaje,
 Wcześniej czy później trochę ciężarem zostaje.
 Trzeba mieć swoich działań przyczyny nadane,
 Trzeba nosić i więzy, lecz więzy różane,
 Coraz nowych nadziei nie słuchać już głosu,
 I jeśli nie swobodę, znaleźć zakres losu.

JULIA. Pisałam ci wyraźnie...

ZDZISŁAW. List przerwał dumanie.
 Opis Radosta domu, o Zofii zdanie
 Którą bardzo chwaliłaś, lecz jednak za mało,
 Wszystko z mojem życzeniem zgodnem się być zdało.
 Lecz wstrzymawszy się w mieście, muszę wyznać szczerze,
 Nie bardzo miłe wieści zbierałem w tej mierze:
 „Radost, a! stary Radost” każdy się odzywa,
 „Niezbyt to głowa tęga, lecz dusza poczciwa,
 „Najlepszy Polak w sercu, i jak taki słynie,
 „Lecz dziś cudzoziemczyzną oddechają jedynie:
 „Zrzucił kontusz, pas, czapkę, przywdział modne stroje,
 „Zmienił siebie, dom, sługi, nawet wioski swoje;
 „Uczy się w dzień i w nocy, nie cudzych języków,
 „Lecz tylko słów urywanych, próżnych wykrzykników;
 „Słowem, co cudze, modne, to tylko ma w względzie.
 „Ten, kto nie zna jak Polskę, źle przyjętym będzie,
 „Lecz kto prawi o Rzymie, Paryżu, Londynie,
 „Radosta przyjacielem zostaje w godzinie.”

JULIA. Powziąwszy takie wieści, każdy pewnie zgadnie,
 Stosownie do nich działasz, korzystasz z nich snadnie,

Jak prosto z zagranicy do niego przybywasz,
 Coraz nowym językiem nie chcąc się odzywasz,
 O krajach, modach, dziwach prawisz nieustannie,
 Starasz się ojca bawić a podobać pannie.
 Wcale nie; kto tak mniemał, całkiem się omylił,
 Na inny sposób rozum pan Zdzisław wysilił:
 Przyjeżdżasz... ażem zbladła... srokatych pięć koni,
 Krakowiak z bieza trzaska, każdy chomąt dzwoni,
 Kolaska! jakiej nawet już i nie dostanie,
 A miast kamerdynera, pacholek w żupanie;
 I oznajmiasz bezczelnie, zaraz pierwszej chwili,
 Żeś za Polski granice nie zrobił i mili,
 Że żadnym cudzoziemskim nie mówisz językiem.
 A co lepiej, wszystkiego jesteś przeciwnikiem.
 Wszystko, co tu kto robi, złém ci się wydaje:
 Tu chwałą tylko nowe, ty dawne zwyczaję,
 Tak: tu obiad wieczorem, ty z nami nie siadasz
 I z panem Telembeckim o dwunastój jadasz,
 Ty o siódmój już chrapiesz, tu nie śpią do trzeciej,
 Tu wstają o południu, ty—nim dzień zaświeci.

ZDZISŁAW. Ale na cóż wyliczać te mniemane winy?

Jestem tu dziwakiem, wiem, lecz nie bez przyczyny:
 Byłbym Radosta śmieszność na korzyść obrócił,
 Gdybym się był tą wieścią inną nie zasmucił,
 Że i córka tym błędom ulega powoli;
 I to mnie przymusiło do wzięcia téj roli.
 Zofia dobra, ładna, ma rozumek miły,
 Ale jój—baśnie ojca głowę zawróciły.
 Sama jeszcze wyraźnic nie wie, czego żąda:
 W nieznaną przestrzeń świata z tęsknotą spogląda,
 Światność, znaczenie, moda, są szczęścia obrazem,
 Który sprawdzić i pragnie, i lęka się razem;
 Stąd to mniema, że męża najlepiej wybierze,
 Gdy w nim światową śmiałość i układ postrzeże.
 Przyjechać, blaskiem, wrzaskiem młodą zająć głowę,
 Nie jestto nadal szczęścia ustalić budowę.
 Chcę i poznać dokładnie i tak być poznany;
 Przeto, co mój charakter, ten nie jest udany:
 Jestem z nią samym sobą, i to tylko kryję,
 Że żyłem w wielkim świecie i tam zawsze żyję.
 Jeśli bez téj zalety będę jednak w stanie
 Podobać się Zofii, zmienić jój żądanie,

Jeśli poświęci miłość świata, zabaw, mody,
 Będę miał jój uczucia niemylnie dowody;
 Ale jeśli brak zalet, których nie chcę użyć,
 Za jedyną przeszkodę do szczęścia ma służyć,
 Ha!

JULIA. Ależ, mój paniczku, wszystko dobrze, ładnie;
 Lecz niech ci na myśl Zosi lat szesnaście wypadnie.
 Pewnie panna w tym wieku piękna i wesola,
(z uśmiechem wskazuje Zdzisława)
 Człowieka, co się nażył, zrozumieć nie zdoła;
 A potem, nie wiem czemu każdy szuka żony
 Wtedy dopiero, kiedy już światem znudzony,
 I jeszcze za złe bierze tej młodej osobie,
 Jeśli uciech i zabaw trochę życzy sobie.

ZDZISŁAW. Tak, to... Ale niech skończę, co wyznać zostaje,
 Nieumiejętność cudzych języków udaje,
 Bo romanse, któremi zajmują się damy,
 Których my swoich mało, wiele obcych mamy,
 Gramatyką się stały potocznej rozmowy!
 Żadna nie potrzebuje łamać sobie głowy:
 Myśli, zdania, zwrot sensu, i przyjemność cała
 Staną się jój własnością, byle pamiętała.
 Wzięłam tę broń Zofii; jój sposób myślenia,
 Wdzięk wyrazu i zdania, niech się sam ocenia.

JULIA. Bardzo dobrze...

ZDZISŁAW Z tém wszystkiém, nie będę się chlubił,
 Lecz Zofia mi sprzyja i ojciec polubił.

JULIA. Ale kiedy ty idziesz mądrym, wolnym krokiem,
 Astolf przy tejże mecie stanął jednym skokiem:
 Jego stroje, karykle, konie i żokiety
 Pono nad twój rozsądek lepsze są zalety.

SCENA II.

JULIA, ZOFIA, ZDZISŁAW.

ZOFIA *(wbiegając)*.

Ach, kochana Julio...

*(nagle się wstrzymuje, postrzegłszy Zdzisława. Julia zdaje się czekać,
 co powie, nareszcie)*

- JULIA. Co, Zosiu?
- ZDZISŁAW. Jak wnoszę,
Moja przytomność..
- ZOFIA. Ach nie, proszę zostać, proszę...
Wprawdzie teraz się tylko za wahanie wstydzę,
Bo w tém, com miała mówić, nie zlego nie widzę;
Chciałam prosić Julię, by z nami jechała
Stąd o milkę, na spacer.
- JULIA (z niedowierzaniem). To przyczyna cała?...
- ZOFIA. Ależ bo chciałam także... pokazać ci wprzód...
Astolfa cudny zaprząg, kocz najświeższej mody,
Jakie konie w karyklu, jakie pyszne stroje,
I... znówum się wstrzymała, bo się zawsze boję,
(zbliża się do Julii i mówi ciszéj, ale tak żeby i Zdzisław
słyszał)
Kiedy chwalcę te fraszki, urazić Zdzisława.
- ZDZISŁAW (z ironią pierwszy wiersz).
Ach, więc już do litości postąpiłem prawa!
Ale, piękna Zofio, strać na zawsze twrogę,
Że pochwał w takim względzie zazdrosnym być mogę;
Bo wiem, że jeśli Astolf twoje serce zyska,
To nie dlatego tylko, że koczem polyska.
Takie fraszki dla duszy słabe są ogniwa,
Łatwo ich się dostaje, jeszcze łatwiej zhywa

SCENA III.

JULIA, ZOFIA, ZDZISŁAW, RADOST.

(Radost w surducie, pod spodem spencer i również pantalonny z pończochami; chustka grubo zawiązana. Nalega trochę na nogę i laską się czasem podpiera).

- RADOST. A, charmant, charmant, superbe! już hrabina wstała.
(Zofia w rękę go całuje; Radost głaszcząc ją pod brodę)
Buon giorno, moje dziecię... ślicznaś, moja mała.
A! Zdzisław, ranny ptaszek... cóż?... podług zwyczaju
Może już z polowania?
(Zofia i Julia siadają, Zofia od sceny; haftują).

- ZDZISŁAW. Byłem w blizkim gaju,
Ale psy nie goniły, bardzo ostre pole.

- RADOST. Nie gonily, *a, charmant!* dlatego ja wołę
Par force, par force .. eh goddam! to mi polowanie!
 Husa! przez płoty, rowy, niech się co chce stanie!
 Po angielsku! *a, charmant,* krocie uciech, krocie.
 Mój Tarant, dobry szłapak, lecz staje przy płocie,
 A gdzie rów, to się kładzie, więc nie mogę ścigać;
 Ale mnie na rok przysły, Anglik będzie dźwigać.
 Konie i psy sprowadzam, a wtedy dopiero
 Wszystkich myśliwych proszę, niech się do mnie zbierą.
- JULIA. Ależ, panie Radoście, któż w wieku Waćpana
 Tak poluje.
- RADOST. *Radotage,* komteso kochana!
 Dla wieku nie polować! idea nielada!
 Co tu wiek ma do rzeczy? sam Astolf powiada,
 Ze lord Fic... Fec... jakże... Fen... bodaj się nie święcił...
 On ten, co to rok temu na łowach kark skręcił...
Comment donc, diable! no mniejsza, jak się nominował,
 To gdzie! starszy odemnie, a jednak polował.
- ZOFIA. Nie, ojczy, i ja na to zezwolić nie mogę,
 Dotąd jeszcze kulejesz i cierpisz na nogę.
- RADOST (*prostując nogę*).
 Nie bardzo.
- ZOFIA. Zawsze z koni masz jakieś przypadki.
- RADOST. Tak, prawda, nogęm wybil, byłto *casus* rzadki.
- ZDZISŁAW. Jaktó z konia?
- RADOST (*z fanfaronadą*). Na kursach raz mi się trafiło.
- ZDZISŁAW. Gdzie?
- RADOST (*jak wprzód*). Na kursach, powiadam.
- ZDZISŁAW. Lecz gdzież miejsce było?
- RADOST. Od bramy do arendy.
- ZDZISŁAW. Tu, tu?
- RADOST. Tak, tu u mnie.
- ZDZISŁAW. Po wzgórkach?
- RADOST. Tak.
- ZDZISŁAW. I mostkach?

- RADOST. Nie bardzo rozumnie.
Wiem, wiem, *mais c'était charmant!*
- ZDZISŁAW. I któż tam był jeszcze?
- RADOST. Ja i moi dworzanie. Wszystkich w szereg mieszczę;
W szereg... przy bramie... wszystkich... *superbe!*... staję razem;
Mamy wszyscy wyruszyć za danym rozkazem.
Moja nieboszczka ciotka miała głos jak tuba,
Jeszcze jej dał za dyszkant starego Jakóba;
Słuchamy... wtém oboje już krzyczą, co mogą,
Eh goddam, jak pocisnę Taranta ostrogą!...
Zaraz-em koniuszego przy mostku wyminął,
Ekonom wraz ze siodłem z kobyły się zwinął,
Potém jeden i drugi, obydwaj pisarze,
Zostali ten przy gumnie, tamten przy browarze;
I leśniczy gniademu okładając boki,
Już, już, nie był przedemną, jak na cztery kroki,
Wtém żyd idąc... bo żyda zawsze pełno wszędzie,
Nuż do lisięj kapuzy; a mój Tarant w pędzie
Jak furknie, stanie, wierzgnie... musiałem zeskoczyć.
No, w Anglii na kursach — żyda ani zoczyć;
Lecz u nas, u nas! *goddam!* jak tu kursa robić?
Jednak i moja wina, trzeba przysposobić
Miejsce, konie i ludzi. Wszystko to urządcę.
- JULIA. I wszystko niepotrzebnie.
- ZOFIA. Ach, i ja tak sędzę.
- ZDZISŁAW. Przypadki zawsze będą.
- RADOST (*siadając po lewej stronie sceny*).
O, gadajcie sobie!
A ja na przyszłe lato nowe kursa zrobię.
Ale widzę, że jesteś lęklivy, Zdzisławie.
- ZDZISŁAW (*zbliżając się do Zofii*).
O, czasami i bardzo, lecz nie w takiej sprawie:
Lękam się, kiedy przyszłość położę na szalę,
A nie wiem, co przeważy, nadzieja czy żalę.
- RADOST (*w zamyśleniu*).
W mijaniu cała sztuka, a to łatwo umieć.
- ZDZISŁAW (*do Zofii*).
Kiedy mnie nie rozumią, lub nie chcą rozumieć.

JULIA. Rzecz jasną każdy pojmie, więc niema bojaźni.

ZÓFIA. Dowodem zrozumienia jest dowód przyjaźni.

ZDZISŁAW. Wolę nienawiść, wolę, jak przyjaźni w nagrodę
Nadziei serca, którą...

RADOST (*wstając*). Do skutku przywiode!

ZDZISŁAW (*idąc ku Radostowi i dziękując*).
Ach, Mości dobrodzieju...

RADOST (*odprowadzając na stronę Zdzisławca i pokazując*).
W końcu... meta stanie,
Przy której damy będą; tak, meta, mój panie.
Charmant! superb!... tylko że...
(*wpada w zamyslenie i siada*)

JULIA. Jemu kursa w głowie.

ZDZISŁAW. Ach, kiedy wyrok szczęścia w jedném leży słowie,
Wtedy lada głos ludzki dochodząc zdaleka,
Zdaje się, że spełnienie nadziei wyrzeka;
Ale jakże bolesno, gdy z niczém przemija!
Nieszczęście nas zasmuca, niepewność zabija.
Ach, Zofio! zbliż mało-oddaloną porę;
Błagam cię, dzisiaj, teraz, niech wyrok odbiorę.

ZOFIA. Nie nie słyszę.

ZDZISŁAW. Z tym żartem prośba nie ulata;
Siostró, przyczyni się za mną.

ZOFIA. Nie, za mną proś brata,
Proś, niech mnie nie zawstydzą, niech mnie tak nie dręczy;
Jutro od tego słowa nie mnie nie wyręczy,
Na cóż dzisiaj wspominać chwilę rozstrzygnięcia?
Lękam się coraz bardziej w miarę jej zbliżenia,
I jeśli ojciec zechce, to jeszcze odłożę...
Ale nie, jutro koniec...

RADOST (*wstając*). Nie, to być nie może.

JULIA, ZOFIA, ZDZISŁAW.
Czemu?

RADOST. Bo dwie mil tylko, moim gruntem będzie;
Dwie mało; więc aż Lublin zatrzyma nas w pędzie.

JULIA (*śmieje się*).
Lublin? mil trzy chcesz pędzić?

- RADOST. Z czegoż śmiać się tyle?
Po pięć w Anglii robią.
- ZDZISŁAW. Ależ inne mile.
- RADOST. Inne?
- ZDZISŁAW. Mniejsze.
- RADOST. Tak, *charmant!* przypominam sobie.
O, zaraz w moich drogach taki podział zrobię!
Przecie zimą czy latem, czy polem czy lasem,
Miło, angielską miłą przejechać się czasem.

SCENA IV.

- CIŻ SAMI, ASTOLF (*zupelnie ubrany jak Radost*).
- RADOST (*idąc naprzeciw Astolfa i podając rękę*).
Buon giorno.
- ASTOLF. *Bon jour, Mesdames.*
- RADOST (*obracając się przed idącym Astolfem*).
Patrz, mój surdut nowy.
- ASTOLF (*z uśmiechem spojrzawszy z boku*).
Niezły. (*przysuwa z hałasem krzesło do Zofii; siadając*)
Oż *comtesse Julie*, ustał dziś ból głowy?
(*nie słuchając odpowiedzi i wyciągając się na krześle*)
Panna Zofia zawsze piękna jak nadzieja.
- RADOST (*na stronie; poprawiając surdut*).
Niezły!
- ASTOLF (*do Zdzisława z przyciskiem*).
Do nóg upadam pana dobrodzieja!
- RADOST (*przypatrując się surdutowi Astolfa i swój poprawiając*).
Niezły! taki jak jego.
- ASTOLF (*do Zdzisława, jednym zawsze głosem od początku sceny*).
Pod stopki mnie ściele.
- JULIA (*cicho do Zofii*).
Nieznośny.
- ZOFIA (*podobnie do Julii*).
Prawda, czasem.

ZDZISŁAW (*do Astolfa*) Nacóż słów tak wiele?
 Nacóż się tak z językiem i z myślami biedzić,
 Czyż po polsku, *dzień dobry*, nie można powiedzieć?
 RADOST. *Dobry dzień, czy dzień dobry, twarzo i nie ładnie,*
 A w cudzych mowach, to z ust jak z procy wypadnie:
Bon jour, guten Morgen, good day, skarby, skarby, panie!
Jak się masz? how do you do? co za przywitanie!
Bądź zdrów: farewell, farewell, krótko węzłowato,
Farewell. Dobranoc: good night, good night; cóż ty na to?
 I tak wszystko w angielskim. Naprzykład, rzecz mała:
Dziękuję ci, I thank you; a, czułość wspaniała!
Farewell, I thank you, good night; ha, co za dźwięk
 boski! *)

Ale już nie to, trzeba wyznać, język włoski.

Buon giorno! come sta? ella sta bene?

Per servirla; cosi, cosi, corpo di Baco!

(*krzywi się i kiwa ręką*)

Niemiecka od francuskiej uboższa jest mowa:

(*polskim mocnym akcentem*)

Guten Morgen! Wo kommen Sie denn her? Ich komme aus Lithauen. Sie kommen aus Lithauen und sprechen so gut deutsch. Kann man Ihnen mit einer Schale Kaffe dienen? (krzywi się i kiwa ręką).

Tak więc francuska mowa—wszystkich mów królowa,

To mi zaś w angielszczyźnie najmilszém się zdało,

Że niewyraźność wdziękiem, nawet sztuką całą:

Jeden stara się ukryć, drugi zgadnąć słowa,

Tak zawsze jest zabawa, choć nudna rozmowa.

ASTOLF (*ziewnąwszy*)

Ach, *mon cher Monsieur* Radost i dobry Zdzisławie,

Położcie téż już koniec téj dzielnej rozprawie;

Co nam do takich rzeczy; bogactwo języka

Wszak z bogactwa kieszeni zupełnie wynika.

Twardy język i suchy, kiedy kieszeń pusta,

A z głodu posiniałe, niewymowne usta. (*śmieje się głośno*).

ZOFIA (*do Julii cicho*).

Co za koncept!

JULIA (*podobnież do Zofii*) Niemądry.

*) Wszystkie angielskie słowo podług wymowy policzone *gud-de, hau-du-u-du, fer-uell, gud-najł, aj tsenk ju, goddem*.

RADOST.

Ależ, *mon cher ami*,
Nie możemy się zawsze zatrudniać fraszkami.
(do Zdzisława)

Prawda?

(do Astolfa)

Potrzebne także czasem roztrząśnienia
I nad erudycją.

(do Zdzisława) *N'est-ce pas?*

ZDZISŁAW.

Bez wątpienia.

RADOST. Wszak o literaturach sądzić jestem w stanie?

ZDZISŁAW. Teraz i mniej znający daje swoje zdanie.

ZOFIA (do Julii).

Co téż nie wygadują!

ASTOLF.

Widzę więc, że chcecie,
Bym zasnął, jak wczoraj pan...

RADOST.

O... o... już, już plecie;

(do Zdzisława *uniewinniając się*)

Tak-em był zasnął koło drugiey po północy,
Że się wstrzymać od spania nie było w mój mocy.

ASTOLF.

To nie wiem, czyś pan osłabł, czyś się nami znudził,
Ale to wiem, żeś chrapnął, ażeś się przebudził.

ZDZISŁAW (*śmieje się głośno*).

O, słabości niegodna! noc przepędzić we śnie!

RADOST (*uniewinniając się*)

Ależ bo byłem chory.

ZDZISŁAW.

Ależ bo tak wczesnie.

ASTOLF.

Teraz dopiero Zdzisław powie nam kazanie:
Że śmieszne i szkodliwe długie w noc czuwanie;
Że nasze dziady, baby, prababy, pradziady,
Nie takie zostawiły dla wnuków przykłady;
Że póki z zagranicy nie przyszły zwyczaje,
Szczęśliwe w swój prostocie były nasze kraje;
Nie znano, co to miasta, co bezsenne gody,
Co zbytki w stolach, winach, co wykwintne mody;
Ale siano, młócono, i zjadano... (*z przyciskiem*) hreczkę.

(śmieje się głośno).

ZDZISŁAW. Nie, kazania nie powiem, lecz małą bajeczkę.

„Witaj”, rzekł orzeł „żórawiu, z podróży,
Twój powrót cieszy i wiosnę nam wróży;

Usiądź, zórawiu, na bliższych zagonach,
Powiedz, coś widział w cudzoziemskich stronach.

Ci, co tak daleko lecą,

Zwykle korzystają nieco;

I z twojej pewnie będziemy mieli laski,

Nowe poprawy, nowe wynalazki:

Jak żywność chować,

Gniazda budować,

Wroga unikać,

Jak się czubić... jak i zmykać..."

"Stój" przerwie zóraw', "stój, stary gaduło.

Cóż ci się we łbie usunęło,

Że się każdy trzusi lotem,

By was uczyć za powrotem?...

Przeleciałem cudze kraje,

Bo tak nasze chcą zwyczaje,

A nie po to, by się męczyć,

Wszystko śledzić, siebie dręczyć.

Lecz mądre chodzę, rezolucyj krzyczę,

To umiem, tego uczyć ci się życzę,

A poznasz wkrótce, że te wasze baśnie..."

"Nie kończ!" orzeł wrzaśnie,

"Niech cię sępy porwą w sztuki

Za te myśli i nauki!

Niech na nieszczęście do swych gniazd nie wraca,

Kto pamięć o nich na chwilę utracą,

Kto niebaczny na przykłady,

Przynosząc z sobą pozbierane wady,

Zbiór tylko cudzych śmieszności nam stawi."—

O, jakże wiele jest u nas zórawi!

RADOST.

Charmant! Astolfie, *n'est-ce pas?* dobrze rzecz wystawia,

Taki głupiec podobny całkiem do zórawia,

Co się na naszych łąkach wygładzi, wypasie,

A potem leci schudnąć w trzechmiesięcznym czasie.

A, charmant, charmant, n'est-ce pas?

(*do Astolfa*) Ale nie myśl sobie,

Żeby każdy wojażer miał być w tym sposobie.

(*do Zdzisława*)

Prawda? *n'est-ce pas?*

ZDZISŁAW.

Sens jasny.

JULIA.

O tych tu osnowa,

Których całym rozumem cudzoziemska mowa.

- RADOST. I orzeł dobry, dobry; nie słuchał wólczygi,
I *verba veritatis* wyciął mu jak z księgi;
Lubię go, lubię za to, i więcejbym lubił,
Gdyby pana żórawia był trochę poczuł.
- ASTOLF. O, miał rozum, i słowne przekładał dowody.
- RADOST. Czemu?
- ASTOLF. Bo może stary, a żóraw' był młody.
- RADOST. (*w miarę zapалу odmienia postawę*)
Stary, stary, cóż z tego? Patrzcie-no u kata!
Jak gdyby zwyciężały same tylko lata!
I ja choć-em niemłody, już pod siwym włosom,
Jeszczebym na harc wyszedł z niejednym młokosem.
(*z coraz większym zapalem*)
Coto wiek! teraz, zaraz, niech kto w drodze stanie,
Niech mnie tylko zaczepi! Coto! Ech, Mospanie,
Jak się chwyć do korda...
- (*mówiąc „Ech, Mospanie”, chwytając się za głowę i poprawiając perukę na ucho, jak się czapkę poprawiało, potem przy ostatnim wierszu chce chwycić za kord, w ten moment zdaje się jak przebudzony postrzedz swój ubiór; zostaje chwilę w tej pozycji, potem mówi ze spuszczoną głową powoli i z ciężkim westchnieniem*)
Było to tak... było!
- ASTOLF (*po krótkim milczeniu*)
Eh bien?
- RADOST (*na te francuskie słowa podnosi głowę i podrygując wraca do dawniej przesadnej postawy*)
A, charmant, charmant!
- ASTOLF. Bajek słuchać miło;
Lecz podobno na spacer miały jechać damy.
Jedźmyż...
(*do Dzysława*) Za pozwoleniem... jeśli jechać mamy.
(*Wszyscy się ruszają, Radost i Astolf ku przeciwnym drzwiom. Damy wychodzą.*)
- RADOST (*wywołując*).
Jakóbie!
- ASTOLF (*podobnie*)
Etienne! Daj tu mego kapelusza...

(obracając się ku Zdzisławowi poprawia się)

Mój kapelusz —przepraszam.

ZDZISŁAW. Nikt się nie obrusza.

ASTOLF. Jednakże cię przepraszam; prawdziwie się boję,
Boś gotów na mnie strzelić za polszczyznę moję.

(Zdzisław wzrusza ramionami)

RADOST. Allons! stary! ruszaj się!

(Jakób, Etienne przynoszą kapelusz)

JAKÓB. Ta idę, tfy!

RADOST. Żwawo!

(głaszcząc go po łysinie i śmiejąc się)

Czubka niema? *(damy wracają)*.

JAKÓB *(gniewliwie)* Hm! czubka!

RADOST *(obraca go, śmieje się, sam podrygując na jednej nodze)*

La pirouette!

ASTOLF *(śmieje się)* Brawo!

(Radost Julii podaje rękę, Astolf uprzedza Zdzisława i podaje rękę Zofii).

JAKÓB *(do Radosta, obruszony)*.

Otby panicz statkował.

(Damy, Radost i Astolf wychodzą, Jakób po krótkim milczeniu)

Wiem ja, co się święci.

(spoglądając na Etienna)

Pszczołka tam być nie może, gdzie się truteń kręci.]

(wychodzi przedrzeźniając Etiennowi, który wzajemnie).

SCENA V.

ZDZISŁAW, ETIENNE.

(Zdzisław wrócił ode drzwi, nie widząc za sobą stojącego, mówi pierwsze wiersze).

ZDZISŁAW *(dostając list)*

Nie słucha mnie... zatem list... albo, nie... list wolę;
Siostra... nie, nie, w pokoju położę na stole...

(*chce iść ku drzwiom pokoju Zofii, wraca, postrzegłszy Etienna i siada tyłem do niego*).

Jest natręt!

ETIENNE. Sługa pański! pan się, widzę, nudzi...
Ej, za granicąto żyć!... tam to widać ludzi...
W Francyi nie tak jak tu, tam pastuszek lada
O tyci, a już, panie, po francusku gada.
To, panie, inne rzeczy, to Francya, panie,
Niech się Podlasie schowa!

ZDZISŁAW (*więcej tyłem się obracając; do siebie*).

Przecież raz przestanie.

ETIENNE. Tam pieców niema... tytuś, to bez fajek kurzą;
No, wódka dyabła warta, ale wina dużo;
A dopieroż w Paryżu, albo i Londynie...
Londyn, panie, na wyspie, woda wkoło płynie,
Na krypach nas przewieźli, wtenczas most zerwało.
(*Zdzisław obraca się z zadziwieniem do Etienna*).
Nie pierwszy pan się dziwi, widziałem niemało,
Wiem wszystko; kiedy gadam, nikt mi nie zdrzémie.
A niechno Panu zacznę rozprawiać o Rzymie.

ZDZISŁAW. O Rzymie... (*cicho*)

Astolf milczał...

(*głośno*) Chciałem wspomnieć właśnie;

Tamto przez morza, skały...

ETIENNE (*przerywając śmiechem*). A to co za baśnie!

(*śmieje się*)

Najciężej do Anglii, stamtąd jak po stole.

ZDZISŁAW. Czy tak?

ETIENNE. Ale ja, panie, ja Francją wołę.

ZDZISŁAW. Więc z panem byłeś wszędzie?

ETIENNE.

Ha! niechaj sam powie.

ZDZISŁAW (*na stronie*).

Prawda, sam to powiadał... ależ po tej mowie...

(*zrywa się i chodzi prędko*)

Czyżby i Astolf kłamał?... Zaraz próbę zrobię...

Poczekajno, paniczu, dopiekę ja tobie!

ETIENNE. A o Renie pan slyszal? Ren, panie, to rzeka,
Do *Mayence*, miasta, panie, płynąc już zdaleka. .
(*Zdzisław nagle bierze kapelusz i wychodzi,*
Etienne zdziwiony odprowadzwszy go oczyma).
Ja gadam, on wychodzi... nikt nie chce wiedzieć,
Wartoż tu wojażować, proszę mi powiedzieć?
(*stoi z założonemi rękoma*)

Zasłona spada.

A K T II.

W tym akcie wszystkie prócz Zdzisława inaczej ubrani; Astolf równie z Radostem, Astolf siedzi zamyślony, Radost wychodzi ze swego pokoju bez fraka, który za nim Jakób niesie. Ekonom z papierami.

SCENA I.

RADOST, ASTOLF, EKONOM, JAKÓB.

RADOST. *Mon cher*, patrz, dobrze chustka? guz dobrze ściśnięty?
Po angielsku?

ASTOLF. Żle.

RADOST (*zaglądając Astolfowi pod szyję*).

Jakże?

(*Astolf siedząc poprawia mu niedbale chustkę, Radost wdziawszy frak*)

A frak, patrz, co? wcięty?

ASTOLF. Najpiękniej.

RADOST (*do ekonomy*). Bądź Wasze zdrów.

(*ekonom kłania się i wychodzi, Radost za nim woła*)

A! prawda, *hé! ami!*

Widziałem kilka koni dotąd z ogonami.

Goddam! co to znaczy, he?

EKONOM (*kłaniając się*).

Ależ muchy w lecie.

RADOST (*do ekonomy*).

A w Anglii much niema?

(*do Astolfa*)

N'est-ce pas? co on plecie!

(*do ekonomy*)

Uciąć... A! i twój deresz jeszcze ogon nosi.

EKONOM (*kłaniając się*).

Staruszek, niech pan...

RADOST.

Uciąć! nikt się nie wyprosi.
 Jutro Waszeć bez wąsów, deresz bez ogona;
 Bardzo proszę.
(daje znak ręką. Ekonom i Jakób odchodzą).

SCENA II.

RADOST, ASTOLF.

RADOST.

Przesady, rzecz niezwyceżona!
 Nie nowego nie można do kraju wprowadzić,
 Trzeba się wprzódę zawsze aż do znoju wadzić...
(na stronie)
 Dobrze, zem sobie wspomniał, trzeba go wybadać,
 Czemu dziś Zdzisławowi nie chciał odpowiadać.
 Czy był, czy nie był w Rzymie, muszę dojść koniecznie.

ASTOLF *(usłyszawszy; na stronie z nieukontentowaniem).*

Znowu Rzym! Lecz z nim mogę rozmawiać bezpiecznie.

RADOST *(siadając tyłem trochę do Astolfa przy przeciwnęj stronie sceny; do siebie).*

Od czegoż zacząć?... hm, hm...

ASTOLF *(na stronie).*

Ślepo we mnie wierzy.

RADOST *(na stronie).*

Od zręcznego pytania odkrycie zależy.

(Myśli nad zapytaniem, nucąc piosnkę: „Wlazł kotek na płotek,” głośniejsz albo ciszsz podług myśli, i zażywając tabakę, co powtarza przed każdym zapytaniem)

W Rzymie długo bawiłeś?

ASTOLF.

Bawiłem rok cały.

RADOST *(odwracając się nagle; na stronie).*

Był. Rok nie dzień, skryć trudno...

(obracając się; kontent z konceptu).

W zimie są upały?

ASTOLF. W zimie? nie, niema.

RADOST *(odwracając się, na stronie).*

Nie był. Wszak tam ciepłe kraje.

ASTOLF *(na stronie).*

Chee mnie badać, niedobrze; posądzać się zdaje.

RADOST (*wynuciwszy piosnkę*).

Papieża czy widziałeś?

ASTOLF.

Widziałem i nieraz.

RADOST (*odwracając się*).

Był. Bo gdzieżby go widział. Dojdźże końca teraz?

ASTOLF.

Ach, *mon cher Monsieur*, wielką sprawiłeś mi radość;
Lubię jego ciekawość, uczynię jej zadość,
Będę mu opisywał te powabne kraje.
Z Włoch! z Włoch teraz brać będziem mody i zwyczaję,
Tamto nam w każdym względzie nie braknie na wzorze,
(*kłaniając się*)
A któż lepiej nad niego naśladować może?

RADOST.

Tak, naśladować umiem, niema i gadania,
Lecz słyszałeś, jak silnie ojczyzna się wzbrania.

ASTOLF.

Bo w tém błądzisz przy całym swym wielkim rozumie:
Te polskie ekonomy, żaden nie nie umie,
Wypędź wszystkich; Anglików, Francuzów dostanie,
Którzy choć nie polepszyć, odmienić są w stanie.
Nareszcie i to miło, gdy z czasem usłyszę,
Że swój wojaż do Polski mój ekonom pisze,
Gdzie kraj znajdzie przestrogi w barbarzyństwa względzie,
A *le Baron polonais* co trzy kartki będzie.

RADOST.

Mam jednego Anglika, i ten wszystkiem rządzi,
Ale cóż? wśród Polaków, dlatego téż błądzi.

ASTOLF.

No, ale ma już błądzić ten, co będzie rządził,
To wolę przecie, żeby po angielsku błądził,
Niż po polsku.

RADOST.

A, i ja wolę, oczywiście!

ASTOLF.

Savez-vous quoi? Daj krzyżyk temu żupaniście,
Weź natomiast Anglika, mego masztalerza.

RADOST.

Masztalerz ekonomem?

ASTOLF.

Cóż to tak uderza?

Idą na ochmistrzynie markietanki cudze,
Czemużby *John* polskiemu nie miał zrównać słudze?
Wszak i on cudzoziemiec.

RADOST.

Anglik, prawda i to.
Nieraz com brał za śmieszne, poklaskiem okryto,

A gdym pytał, mówiono: tak robią Anglicy,
 Nawet *croyez-moi, mon cher*, bo byłem w stolicy,
 Gdyby który w but głowę, w czapkę włożył piętę,
 To ubranie z oklaskiem byłoby przyjęte;
Ergo, swego własnego gdy nie mamy zdania,
 Trzeba ślepo brać cudze i to bez pytania.
Charmant! n'est-ce pas! A goddam! ja się tutaj bawię!
 Wybacz, że cię samego na chwilę zostawię,
 Muszę... Otóż i Zosia, godnie mnie zastąpi.
 (odchodzi).

SCENA III.

ZOFIA, ASTOLF.

ASTOLF. Przecież znalazłem chwilę, której los tak skąpi,
 Mogę...

ZOFIA (zwracając się ku drzwiom).
 Zaraz...

ASTOLF (zastępując) Momencik.

ZOFIA (ku drzwiom). Julią...

ASTOLF. Dwa słowa.

ZOFIA. Nie, nie.

ASTOLF (odstępując). Wszakże to nasza ostatnia rozmowa.
 (Zofia zostaje, gdzie stała, i obraca się powoli ku Astolfowi; po krótkim milczeniu)

Chcę Zofią pożegnać.

(Milczenie. Zofia idzie pomatu i staje przy krześle).

Dzisiaj zaraz jadę.

(Milczenie. Zofia siada powoli, opiera się na stole, trochę odwrócona od Astolfa).

Zdzisław został szczęśliwszym... przeszkód mu nie kładę.

ZOFIA (z nieukontentowaniem).
 Zdzisław?

ASTOLF. Ach, gdyby uczuć bez granic, bez miary,
 Którym nie podlegając nie można dać wiary,
 Uczuć, które nasz umysł w ostateczność wiodą,
 Ręka twoja, Zofio, miała być nagrodą,
 Któżby do niej nademnie mógł mieć więcej prawa?
 Ale inne przyczyny wynoszą Zdzisława.

ZOFIA. Przyczyny? i jakieżto?

ASTOLF.

Jego sposób życia.

On żyjąc wśród cichego przed światem ukrycia,
W jednostajnym pokoju, wszystkiem cię otoczy,
Czego twe myśli pragną, a szukają oczy.
Zmieniając twe mieszkanie, nie zmienisz zwyczaju,
Tak jak i tu, słowika słuchać będziesz w gaju,
Jak tu, kwiat czekać będzie dotknięcia twój ręki.
Drogie wiejskie rozkosze!

(po krótkim milczeniu)

Ja, nie jestem w stanie

Twoje, piękna Zofio, uiszczyć żądanie.

(zważając, jakie wrażenie robią jego słowa)

Nieszczęściem, pewien układ zawczasie zrobiony
Przymusza mnie opuścić lubie tobie strony.
Chciałażbyś wyjść ze swego, że tak powiem, świata?
Dobrowolną wygnanką zostać na trzy lata?
Nie widzieć swych przyjaciół i drogiej rodziny?
Ze mną samym dalekie przebiegać krainy,
I niczym niewstrzymana, nieznaną nikomu,
Coraz pod nowem niebem szukać swego domu?
(Milczenie, Astolf zdaje się czekać odpowiedzi. Zofia zdaje się nie móc zebrać się na nią.)

Lecz wiem, że kto w domowej wychowany ciszy,
Niechętnie żyje w miastach, z przykrością zgłębł słyszy;
Że zmienność mody w strojach, ledwie nie co doba;
Tym, co do niej nie zwykli, rzadko się podoba;
I że wszystko, co nowe, ludzie czy zwyczajem,
Lubiącym jednostajność ciężarem się staje.

(podobne milczenie jak wprzód.)

Pojmuję także bardzo, choć mieszkam w Warszawie,
Że można się zakochać w ziemiańskiej zabawie;

(wolno i z przyciskiem)

Dla rozrywki urządzać i hodować trzody,
Sprawiać pieczolowicie warzywne ogrody,
Wglądać w zbiór lnu, konopi, i płócien bielnie,
Patrzeć na wzrost cielątka i krówek dojenie,
Karmić rzadkie kokoszki o złocistym czubie...

ZOFIA *(z niecierpliwością).*

Któż Waćpanu powiedział, że ja tak wiesz lubię?

ASTOLF.

Jakto? piękna Zofia tych zabaw nie lubi,
A Zdzisław jej wyborem wkrótce się pochlubi?

Cóż ci to za myśl każe szukać tam swobody,
 Gdzie w uczuciach zapalał, w chęciach niema zgody?
 Zdziśław choć stanie w świecie obok swojej żony,
 Czuć będzie, bo ma rozum, ile poniżony;
 I bądź pewną, nie długo na scenie zabawi,
 Osadzi cię za Dniestrem, lub samą zostawi.
 Przytém nie myśl, Zofio, że jesteś nieznaną:
 Ciebie i ciebie tylko wszędzie wychwalano,
 Wszyscy cię pragną poznać i widziéć w Warszawie,
 Poznają cię więc wkrótce, ale przy Zdzisławie.

(śmieje się głośno)

Przebacz ten śmiech niewczesny;

(śmieje się)

lecz wystawiam sobie

(śmieje się)

Jak ten dobry wieśniaczek wyda się przy tobie.

(śmieje się)

Lecz ja mu nie uwłaczam, nie czynię zniewagi;
 Człowiek uczciwy, czytał dzieło księdza Wagi,
 Gospodarz pracowity, przystojny mężczyzna,
 Ale trochę... prostaczek, każdy mi to przyzna.

ZOFIA *(wstając)*.

Słucham pana Astolfa, wymowie się dziwié,
 Lecz go dotąd zrozumiéć nie mogę prawdziwie.

ASTOLF. *Nie chcesz zrozumiéć, powiedz, i to męką moją,
 Tyś nieczuła, mnie tylko czucia niepokoją;
 Lecz jeśli chcesz szczerości a gardzisz wymową,
 O, najdroższa Zofio!... (klęka)*

ZOFIA.

Ach! *(wybiega)*

ASTOLF.

Zofio! słowo!

SCENA IV.

ASTOLF *(wstając)*.

Cóżem za głupstwo zrobił!... kląkłem niepotrzebnie;
 Dobrzem zaczął i mówił, a skończył haniebnie.
 Z jaką wzgardą milczała! czy kocha Zdziśława?
 Nie. Lecz mnie już posądza... Przekłéta rozprawa!
 Tak, niema co i wąpiéć, już wpadli na drogę,
 Odkryją tajemnicę, zgubionym być mogé.

Zdzisław, Zdzisław to działał... z układu mnie badał;
Lecz skądże on... ha! *Etienne* może się wygadał.
Etienne! Etienne! Stefanie!

(*otwiera drzwi*)

Ty gapiu, Stefanie!

SCENA V.

ASTOLF, ETIENNE.

ETIENNE (*za drzwiami*).

Słucham, biegnę.

(*postępując za Astolfem, który chodzi dużym krokiem*)

Już jestem... jestem... jestem... panie.

ASTOLF (*w gniewie*).

Ty byłeś gdzieś trębaczem?

ETIENNE (*prostując się*).

W kompanii drugiej

Pułku pierwszego strzelców, na pańskie usługi.

ASTOLF. I dlatego żeś trąbił za Renem dwie mile,
Kłamiesz, he?

ETIENNE. Jak się uda.

ASTOLF.

Dowcipu nie tyle,

Bardzo proszę. Twoja to niewstrzymana mowa
Szkodzi mi tu najwięcej i zgubić gotowa.

ETIENNE. Mnie tu na rękach noszą.

ASTOLF.

Tak jest, na kułakach,

Widać po sinym nosie i czerwonych znakach;
Lecz powiedz, nie lękaj się, wyznaj, czy w tój dobie
Gadałeś co z Zdzisławem, tak, w swoim sposobie?

ETIENNE. I czegożbym się lękał, żem mu duby prawil,
Sam pan jego zdziwieniem byłbyś się ubawił.

ASTOLF (*przystępując*).

Otóż słowo zagadki. Cóż mi trzyma ręce,
Że...

ETIENNE (*cofając się*).

Słowo pańskie, słowo...

ASTOLF.

Że ci łba nie skręcę?

(*Rzuca się na krzesło. Etienne ode drzwi bliżej powoli przystąpiwszy*).

- ETIENNE. Jak pan chciałeś, zostałem wielce poważany,
Na sposób cudzoziemski przerabiam dworzany;
Wczoraj, jak się *John* ze mną do Marka zabierze,
Ostatnie polskie wąsy padły jak paździerze,
A z ferezyi szpencer takem mu wykroił,
Że się dzisiaj z radości, jak *Bela* upoił.
- ASTOLF. Tak, to sposób jedyne: prawdą wesprę baśnie.
Idź, proś pana *Zdzisława*.
- ETIENNE. Otóż i on właśnie.
(*odchodzi*).

SCENA VI.

ASTOLF, ZDZISŁAW.

- ASTOLF. *Zdzisławie*, łatwo zgadnąć, więc nie chcę w to wchodzić,
Komu chciałeś bajeczką przyciąć i zaszkodzić;
Lecz powiem, żeś się bardzo omylił w tój mierze:
Ten, co miał na tój stracić, śmiał się w duszy szczerze.
Ale później o *Włoszech*, gdyś zaczął badanie,
Wkrótce zamilkł... bom nie był odpowiedzieć w stanie.
I wiesz przyczynę?
- ZDZISŁAW (*z uśmiechem*). Nie wiem, lecz mi powiesz może.
- ASTOLF. Zaczawszy od *a* do *zet* odbyte podróże,
Ubóstwianie cudzego, polszczyzny nagana,
Przesada w mój osobie... wszystko rzecz udana.
- ZDZISŁAW. Astolfie!
- ASTOLF. Gdy poznałem, że zła droga prosta,
Tak do serca *Zofii*, jak *względów Radosta*,
Po ich własnych śmiesznościach inną sobie ściele.
Chcąc się córce podobać, na wzór jakich wiele,
Przesadną eleganta przyodziałem postać;
Ojca zaś śmieszność dziele, chcąc mu miłym zostać.
- ZDZISŁAW. I jakież koniec temu?
- ASTOLF. Z panną się ożenię.
- ZDZISŁAW. Czy tak?
- ASTOLF. Młoda i dobra, łatwo ją odmienię.
- ZDZISŁAW. A ojciec?

- ASTOLF. Ten rad nierad musi się przeprosić;
 Że go także nawrócę, mogę sobie wnosić,
 Do czego drogę zwolna już teraz uglądam,
 Gdy każdą jego śmieszność do zbytku przesadzam.
- ZDZISŁAW. Oszukujesz go jednak.
- ASTOLF. Zdzisławie! poprawa
 Nie jest złém oszukaństwem.
- ZDZISŁAW. Nie masz do niej prawa.
- ASTOLF. Chęć dobra.
- ZDZISŁAW. Korzyść własna.
- ASTOLF. Obie w jednym rzędzie.
- ZDZISŁAW. Czemuż mi to powierzasz?
- ASTOLF. Byś milczał w tym względzie.
- ZDZISŁAW. Cóż ci ręczy?
- ASTOLF. Twój honor.
- ZDZISŁAW. Honor?—w fałsz wprowadzać?
- ASTOLF. Honor—szczerze zwierzenie i ufność nie zdradzać.
- ZDZISŁAW. Ostrzedz—powinność moja.
- ASTOLF (*z ironią*). I w dobrym sposobie.
 Bo spełniając ją niby, pamiętasz o sobie.
- ZDZISŁAW. Chcesz, bym ci pomógł?
- ASTOLF. Nie chcę, i nie jesteś w stanie.
 Napraw, coś mi zaszkodził, zarzuć twe badanie,
 I nie zwiększaj śmieszności, którą już ponoszę.
- ZDZISŁAW. Nie, nie, szczerym być muszę.
- ASTOLF. Co za szczerłość, proszę!
 Lecz jesteś zawsze takim? powiedz mi, Zdzisławie!
 Zawsze lubisz otwartość w każdej swojej sprawie?
 Nie myśl, że ja cię nie znam, żeś wszystkich w błąd rzucił:
 Widziałem cię był w Wilnie, gdyś z Paryża wrócił.
 Oba więc bardzo prostą nie idziemy drogą;
 Nie wchodzę, jakie twoje zamiary być mogą,
 I względem oszukaństwa uwag ci nie robię.
 Wydaj mnie, a oddalisz w tejsze samą dobie;
 A gdy sam tu zostaniesz, bez żadnej zawady,
 Łatwiej twoje do skutku przywiedziesz układy.

Zrób tak, ale się spytaj wprzód samego siebie,
 Ulegasz honorowi, czy własnej potrzebie.
(odchodzi).

ZDZISŁAW *(sam).*

O piekielnie! piekielnie! cierpię jak na męce.
 Jestem jego wiernikiem. *(po krótkim myśleniu)*

Ha! związał mi ręce

Mądrze!... Mogłem go odkryć, najłatwiej wysadzić,
 Teraz muszę go bronić; *(w złości)*

bo nie mogę zdradzić!

SCENA VII.

ZDZISŁAW, JULIA.

JULIA. Ach, Zdzisławie, słuchaj mnie! jakie mam domysły,
 Słuchaj, od ich sprawdzenia twe losy zawisły.
 Dzisiaj mi moja Zuzia zrobiła zwierzenie,
 Że się *Etienne* Astolfa kocha w niej szalenie;
 Gdy różne jego słowa powtórzyła ściśle,
 Wiesz, jak teraz z pewnością o Astolfie myślę?

ZDZISŁAW. Naprzykład?

JULIA. Że jest oszust.

ZDZISŁAW. Julio!

JULIA. Udaje!

Zwodzi nas, nigdzie nie był, a o wszystkiém baje;
 Nawet, przypomnij sobie, dziś podczas śniadania,
 Jak się mieszał, jak zamilkł na twoje pytania.

ZDZISŁAW. Co za myśl!

JULIA. Jaktó, wątpisz?

ZDZISŁAW. Wątpię.

JULIA. I z przyczyny?

ZDZISŁAW. Bo... bo go znam.

JULIA. Ty go znasz? wszak przed pół godziny...

ZDZISŁAW. *(coraz bardziej się niecierpliwiąc).*

I cóż z tego, ale wiem.

JULIA. Co wiesz?

- ZDZISŁAW. Kto?
- JULIA. Ty.
- ZDZISŁAW. Co wiem?
- JULIA. To, co mi masz powiedzieć.
- ZDZISŁAW. Ja ci nic nie powiem.
- JULIA. Zdzisławie!
- ZDZISŁAW. Droga siostró, Julio kochana!
Proszę cię, proszę, błagam, padnę na kolana,
Nie pytaj się, nie badaj, nie dręcz, nie męcz tyle,
I zostaw, zostaw, proszę, zostaw mnie na chwilę!
- JULIA. Idę, idę! Zdzisławie, co się z tobą dzieje!
Tak, każdy z was w miłości drzemie lub szaleje.
(*odchodzi*).

SCENA VIII.

ZDZISŁAW (*sam*).

Dobrze, dobrze na honor, dobrze plan zakreślił,
Lecz o lubej Zofii niedość dobrze myślił,
I to go może zgubi. Ojca przyjaźń zyska,
Ale u córki został celem pośmiewiska...
Lecz kto, co, może ręczyć, ręczyć za kobiety?
Kto zgadnie, jakie dla nich trzeba mieć zalety?
Czasem cacko, blyskotka, bawidelko małe
Zajac może ich duszę, zmienić życie całe.

SCENA IX.

ZDZISŁAW, ZOFIA.

ZOFIA (*oddaje list*).

Przyjac nie mogę; na cóż tajemne pisanie?
Czyż nam kto kiedykolwiek rozmowy zabrania?

ZDZISŁAW. Ty, Zofio, zabraniasz, ty unikasz zawsze,
Dawniej i twe wejrzenia bywały laskawsze!
Cóż, że moja nadzieja o dzień się przedłuży?
Twoje ścisłe milczenie szczęścia mi nie wróży.

Może litość... rozumiem, czytam w twojém oku,
 Już mi i jutrzejszego nie trzeba wyroku;
 Wyrwę się z tych miejsc lubych, wyrwę się jak z życia,
 Zapragnę i nie znajdę przed sobą ukrycia,
 A ty wspomnisz, Zofio, bo poznasz, żeś w błędzie,
 Że cię nikt tak nie kochał, nikt kochać nie będzie.

ZOFIA (*z uczuciem*).

Zdzisławie!

ZDZISŁAW. O, Zofio!

ZOFIA (*odsuwając się, na stronie*).

Co czynię, o nieba!

(*po krótkim milczeniu*)

Wola ojca...

ZDZISŁAW. Rozumiem, więcęj nie potrzeba;

Żegnam cię...

(*czeka odpowiedzi*)

ZOFIA (*po krótkim milczeniu*).

Waćpan jedziesz?

ZDZISŁAW.

Na cóż czekać dłużej.

ZOFIA. Jedziesz pewnie?

ZDZISŁAW.

Najpewniej.

ZOFIA (*urazona*).

Szczęśliwój podróży.

ZDZISŁAW. Kazesz jechać?

ZOFIA.

Ja?

ZDZISŁAW.

Kazesz zostać?

ZOFIA.

Ja?

ZDZISŁAW.

Więc jadę.

(*czeka odpowiedzi, po krótkim myśleniu*)

Jechać, czy nie? odpowiedz; dajże mi choć radę.

ZOFIA. Nie, nie, jutro odpowiem.

ZDZISŁAW.

Zaczekam, zostanę;

Lecz jakież obietnice Astolfowi dane?

ZOFIA. Żadne.

ZDZISŁAW (*nie dowierzając*).

Zofio!

ZOFIA.

Żadne.

ZDZISŁAW.

Lecz Radost mu sprzyja.

ZOFIA.

Prawda, Astolf go bawiąc dość zręcznie podbija:
 Ale w waszój rozprawie dzisiaj przy śniadaniu,
 Tak śmiesznym, tak się dziwnym okazał w swém zdaniu,
 Tak sprzecznym z samym sobą, że pono nie zbłądzę,
 Gdy go o chrytry układ i kłamstwo posądzę.
 Jeśli dla mego ojca winnych nie ma względów,
 Kłamię, śmieje się skrycie, a korzysta z błędów,
 O, wtedyby mnie żadna nie wstrzymała siła,
 Ilem dziś obojętną, tylebym gardziła.

ZDZISŁAW (*popędliwie*).

Tak jest, Zofio, Astolf...

(*wstrzymując się*)

wcale mnie nie zwodzi.

RADOST (*wchodząc*).

Zosiu, Julia sama na ogród wychodzi.

(*Zofia wychodzi*).

SCENA X.

RADOST, ZDZISŁAW.

RADOST (*biorąc go na stronę i obzierając się*).

Powiedzno mi w sekrecie, *mon cher*, co to znaczy,
 Że się Astolf o Włoszech tak trudno tłómaczy?

ZDZISŁAW. Alboż ja wiem.

RADOST.

Hm, nie wiesz, ale twoje zdanie?

ZDZISŁAW. Zdanie? Ja nie mam zdania.

RADOST.

O, figlarz! Mospanie.

Masz ty tęgi rozumek! (*biorąc go na stronę*)

Gdys spytał nawiasem,

Jak się zaciął na Rzymiel

ZDZISŁAW (*wyrываяc się*).

Bo się jąka czasem.

RADOST.

Ależ o! cóż bo pleciesz; jak po mydle prawi
 I rzadko komu miejsce na słówko zostawi.

ZDZISŁAW. Może więc nie chciał mówić.

- RADOST. Tak sobie uroił?
Tak, kaprys, widzi mi się... Przecież zaspokoił,
Bóg zapłać, bojaźń moję; zblądziłem, jak widzę,
Bałem się, czy nie kłamie, a ja się tém brzydę.
Więc będzie zięciem...
- ZDZISŁAW. Czyim?
- RADOST. Moim.
- ZDZISŁAW. Co? Waćpana?
- I Zofia chce...
- RADOST. Wprawdzie obietnica dana
Pod warunkiem, pewien punkt jeżeli wyjaśnię...
- ZDZISŁAW. A Zofia?...
- RADOST. Lecz ten punkt wyjaśniłeś właśnie.
- ZDZISŁAW. Ja, jam wyjaśnił? bravo! cieszę się tém szczerze;
Lecz Zofia? Zofia?
- RADOST. Spytana w téj mierze,
Już przed czterema dniami...
- ZDZISŁAW. Przed czterema dniami?
(na stronie)
Falszywał...
- RADOST. Zezwolila.
- ZDZISŁAW (do siebie). Czy mnie sen nie mami?
Więc do tryumfu tylko potrzeba mnie było!
- RADOST. Kontent jestem, że wszystko tak się ukończyło.
Zosi m szczęścia w tém pragnął, Zosia temu rada.
- ZDZISŁAW. Jakto, i mnie jój ojciec, jak nie to powiada?
Mnie, który ją tak kocham i to od tak dawna?
- RADOST. Kochasz ją? jakto, zawsze? a, to rzecz zabawna!
Myślałem, żeś zapomniał.
- ZDZISŁAW. Żarty zbyt bolesne.
- RADOST. A ty porzuć, wierzaj mi, miłostki niewczesne.
Zosia nie jest dla ciebie, to młode i płocze,
A ty już na sensata zakrawasz mi trochę.
Dla twego i jój dobra sprzecznym ci w téj mierze;
Ale wierz mi, Zdzisławie, ja cię kocham szczerze:
Przykro, przykro mi będzie, jak mnie już porzucisz,
Zawsześ się sprzeczał ze mną, lecz teraz zasmucisz.

ZDZISŁAW. Próżne słowa.

RADOST. Niepróżne; jak syna cię lubię,
I wiesz co, jak już Zosia odjedzie po ślubie,
Ot, zostań się tu ze mną, będziem wraz mieszkali.

ZDZISŁAW (*na stronie*).
Zofia mnie zdradziła! (*odchodzi nagle*).

SCENA XI.

RADOST (*po długim milczeniu*).

Kaciże to znali!

(*chodzi poprawiając perukę*)

Ale cóż, Zosia tak chce... tak żałośnie wzdycha!...
Pocziwy, biedny Zdzisław! (*siedzi*) Charmant! fe, do licha!

(*po krótkim myśleniu, bawiąc się tabakierką*)

Hm, hm, hm, *charmant, charmant*, burza po pogodzie!
Jakóbie!

SCENA XII.

RADOST, JAKÓB.

RADOST (*zamysłony*). Gdzie pan Astolf?

JAKÓB. Z paniami w ogrodzie.

RADOST. Słuchaj!

JAKÓB. Słucham.

RADOST. Astolf gdzie?

JAKÓB. W ogrodzie z paniami.

(*po krótkim milczeniu zbliża się do ucha Radosta*)

On mi się nie podoba, mówiąc między nami.

RADOST. Komu?

JAKÓB. Mnie.

RADOST. *Charmant, charmant.*

JAKÓB. On mody wprowadza.

RADOST. Hm, hm.

JAKÓB. On paniczowi wszystko złe doradza.

RADOST. Stary Jakób *radoteur*.

JAKÓB. Za nieboszezki pani

Pytano się; a Jakób, chwali to czy gani?

Jam panicza piastował, czasami i skropił...

RADOST. Pamiętasz, jakem w studni czapkę ci utopił?

JAKÓB. Albożto jedne figle!...

RADOST. Łebski chłopak byłem.

JAKÓB. Ho, ho!

RADOST. Albo do stołu, jak cię raz przyszyłem?
Jéjmość woła Jakóba, a Jakób ze stołem...
(*śmieją się obydwu*).

JAKÓB. A wróbel?

RADOST. O, za wróbla cztery plagi wziąłem.

JAKÓB. Héj, héj! te to czasy! Jakób nie nie umie,
Starszy słudzy po kątach, nowa czeladź szumi:
W stajni Czech, Francuz w kuchni wszystko ściera, tłoczy,
Bigosu nikt nie liźnie, barszczu ani zoczy;
Každy: „Monsie” i „Monsie,” wszystko „à la modé” .
A wszyscy dyabla warcí, wszędzie widać szkodę;
Architekt co zbuduje, to jakby na lato,
A panicz płaci, płaci, tego płaci za to,
I ten Anglik talarki zabiera daremno;
Coto za rządca! Boże, zmiłuj się nademną!
Ja nie jestem gospodarz, lecz przeciwnie ślepy,
Ze na miejscu pszenicy, tysiąc korców rzepy.

RADOST. *Radoteur* stary Jakób.

JAKÓB. Oni jedzą może:
Lecz nam rzepę jeść! naco? kiedy mamy zboże.

RADOST. *Charmant*.

JAKÓB. A co najbardziej serce mi przenika,
Że i z panicza robią powoli... fireyka.

RADOST. Jakóbie, jesteś głupi.

(*Jakób odchodzi ze spuszczoną głową; Radost obciera się za nim i z dobrocią*).

O!... stary!... Jakóbie.

Wróć się..

(*wstaje i głaszcząc go pod brodę*)

No, no, już zgoda... ty wiesz że nie lubię
Kiedy mnie kto poprawia... no, no, zgoda z nami.

(*podnosząc głowę Jakóbowi*)

Śmiej się... pamiętasz wiśnię? (*śmieje się*).

JAKÓB (*w miarę wrzypomnienia rozwesela twarz*)

Te, te, pod siatkami?

(*Radost śmieje się głośno; Jakób zaczyna się śmiać. Oba naprzeciw siebie stojąc, coraz bardziej się śmieją. Zastona spada*).

AKT III.

SCENA I.

(Radost bez fraka, floret w ręku, maska druciana na twarzy, plastron, rękawica, drugi floret na ziemi).

RADOST *(woła ku drzwiom obrócony i podnosi maskę na czoło).*

Astolfie! *goddam!* czekaj!... nietęgi w tój walce...

Aha! możem niechęący okrzyśał mu palce;

Nie umiem pchać i zbijać, kiedy mnie naciska,

I zawsze na krzyż macham, aż mi floret pryska.

Ale nie, nie, do Zosi zapewne pośpieszył.

Kochany! z mego słowa jak dziecko się cieszył;

To mąż, to, dla Zosiuni, z tym użyje świata,

Z tym zwiedzi cudze kraje... lecz Zdzisław u kata

Na sercu cięży... milezy, nikogo nie wini,

Wzdycha... Ha! Zosia tak chce, *c'est charmant! c'est fini!*

(siada i obciera czoło)

Uf! nieznośne laskotki, brońić się nie mogę,

A i nacierać trudno, bo cierpię na nogę.

Jednak broń cudna!... rycerz, kto się dobrze bije.

O, jak lubię: *(fechtuje się siedząc)*

Un, deux, trois, hi, he, ha! nie żyje!

(fechtując posuwa się trochę z krzestem, tak, że ku drzwiom obrócony, mówiąc „ha!” ostatnie dał pchnięcie. Jakób z kilku służącemi w zimowych strojach; lecz wszyscy prócz Jakóba w trzewikach. Radost zmieszany naglém wejściem, mówiąc pierwszy wiersz, rzuca po za siebie maskę, plastron, i t. d.).

SCENA II.

RADOST, JAKÓB, KILKU SŁUŻĄCYCH.

RADOST. Cóż to jest? czego? poco? wehodzić niespodzianie —
Co? he? jak?—Ale wiem, wiem—lecz próżne gadanie —

Krzywdy nie macie — płatnia dobra, a strój *charmant* —
Zatém służyć będziecie — *farewell* — *Allez-vous en!*

PIERWSZY SŁUŻĄCY. Będziem służyć do śmierci, będziem służyć szczerze.

WSZYSOY (*kłaniając się*).

Ale niech nas Jegomość inaczej ubierze.

RADOST. Nie, nie, tak po francusku.

DRUGI SŁUŻĄCY.

Żeby choć trzewików...

RADOST. *Chaussé, chaussé*, tak ładnie. Precz! dosyć tych krzyków.

PIERWSZY SŁUŻĄCY. Już po świętym Marcinie...

DRUGI SŁUŻĄCY.

Wiatr mroźny podeina.

RADOST. A we Francyi niema świętego Marcina?

Chaussé, chaussé, tak pięknie.

PIERWSZY SŁUŻĄCY.

Nikt z nas nie wytrzyma.

JAKÓB. Tam może śniegu niema?

RADOST.

Co? tam śniegu niema?

(*otwierając drzwi do Astolfa*)

Astolfie!... albo i ty... chodźno tu, Mospanie.

SCENA III.

CIŻ SAMI, ETIENNE.

RADOST. Najlepiej was objaśnić ten człowiek jest w stanie;
Człowiek wcale niegłupi.

ETIENNE (*wprzód się skłania; potem prostując się*).

Honoru za wiele.

RADOST. Człowiek robił wojaże.

ETIENNE (*podobnież*).

Pod stopy mnie ściełę.

RADOST (*po krótkim myśleniu*).

W Francyi bywa śnieg?

ETIENNE.

Śnieg? Tak czasem zawieje,

Że ją trudno i znaleźć!

RADOST (*do siebie*).

No, tak się nie dzieje.

(*z przyciskiem po krótkim milczeniu*)

Francuzi znają buty?

ETIENNE.

Znają, lecz nie noszą.

I w najmocniejsze mrozy o trzewiki proszą.

RADOST. Słyszycie! proszą. Niema co i gadać, niema

ETIENNE (*poprawiwszy chustkę na szyi*).

Hm! jakim był w Paryżu, taka była zima,
Że jak największe jodły, drzewa cytrynowe...

RADOST (*niedowierzając, lecz nieśmiało*).

Cytrynowe w Paryżu? cóż za cuda nowe?

ETIENNE. Chciałem rzec migdałowe.

RADOST. A, co tak, to ale. (*na stronie*)

Aha! zarazem postrzegł, że bryknął w zapale.

ETIENNE. Com ja już widział w świecie, com ja krajów zmierzył,
Żeby tu zaczął gadać, niktby nie uwierzył.

JAKÓB. Ja pierwszy.

ETIENNE. Ale ja wiem, wiem, o co tu chodzi:

Tym spleśniałym hajdukom to obuwie szkodzi:
To są tylko wymysły, niech ich pan nie słucha;
Jeśli któremu zimno, niechaj w łapę chucha;
Francuz na takie mrozy, że się w mózgu świeci,
W koszulce i sabotach, jak na sankach, leci.

RADOST. Saboty! brawo! *charmant!* saboty, trzewiki,
Trzewiki z drzewa, *charmant!* ustaną te krzyki.
Zaraz każdemu parę wydłubać rozkażę;
Słyszycie! mieć będziecie sabotów po parze.

(*wytrąca ich powoli*)

No, precz, precz, precz. A *charmant! des sabots, saboty.*

(*odchodząc do swoich drzwi*)

Jakóbie, niech się bednarz weźmie do roboty.

SCENA IV.

JAKÓB, ETIENNE (*długie milczenie*).

JAKÓB (*kłaniając się*).

Pana referendarza... Pana wojażera.

ETIENNE (*z udaną pokorą*).

Wolne żarty Waszmości...

JAKÓB (*kłania się*).

I kamerdynera...

ETIENNE. Mości panie Jakóbie, nie drwij sobie, proszę;

(*z westchnieniem*)

Dosyć ja już i wstydu i strapienia znoszę.

- JAKÓB. A na cóż było jakieś wspominać saboty.
- ETIENNE. Bo przykrzejsze nas własne, niż cudze kłopoty.
- JAKÓB. Czasem.
- ETIENNE. Jak mi pan zagra, tak ja skakać muszę.
Alboż to także mało dręczy moją duszę,
Gdy widzę, jakie dziwy i zbytki w tej chwili!
- JAKÓB. Żeby bednarze z drzewna trzewiki robili!
Serce boli człowieka.
- ETIENNE (*naśladując potrosze sposób mówienia Jakóba*).
Každy panicz młody
Wszystko zaraz po ojcu zmienia podług mody.
- JAKÓB. Zaraz dom stary burzy.
- ETIENNE. A wystawia nowy.
- JAKÓB. Bramę z wieżyczką zrzuca.
- ETIENNE. Zасыpuje rowy,
Tnie strzyżone szpalery.
- JAKÓB. Nawet i altany.
- ETIENNE. Teraz trawnik za grządki.
- JAKÓB. Kwiaty za parkany.
- ETIENNE. Słowem wszystko nie potem, lepiej dawniej było!
- JAKÓB (*częstując go tabaczką*).
No, kiedy tak rozmawiasz, to cię słucham miło.
- ETIENNE. „Jak bywało, niech będzie,“ dopóki mawiano,
Dobre, wesołe myśli i tyńfiki miano.
- JAKÓB. Teraz szum, blask, trzask wszędzie, a pieniędzy mało.
- ETIENNE. Albo ot, jak w ten moment, kiedy to się działo?
Młody śmieje się w duszy, drwinki sobie stroi,
(*naśladując kiwanie głowy i udając głos Jakóba*)
A stary kiwa głową i jak duda stoi.
(*Ucieka. Jakób puszcza się za nim w złości, i bardzo powoli dobiegłszy do drzwi, wraca zadyszany*).
- JAKÓB. Żeby go był uchwycił! byłby miał za swoje!
Poczekaj! ja ci drwinki nie takie wystroję.

Proszę, jak się ułożyć umieją hultaje!

(*postrzega Zofią*)

A! panna Zosia! smutna, i płakać się zdaje.

SCENA V.

ZOFIA, JAKÓB (*na stronie*).

(*Zofia ze spuszczoną głową przychodzi aż na przód sceny. Jakób pokazuje na migi, że się Zofia kocha; potem śmieje się*).

ZOFIA. Czegóż chcę?... kogóż szukam i spotkać się boję?

(*siada*)

Ach, biedna głowa moja!.. biedne serce moje!...

Więc Astolfa, Astolfa mam już zostać żoną,

Któregom nie kochała i nie Kocham pono!

A Zdzisław... Boże! Boże! wszakżem sama chciała.

Ale tak nagle... jego żale... miłość stała...

I moje serce... (*wstaje*) Nie, nie, ulegnę potrzebie:

Mój ojciec już dał słowo za mnie i za siebie.

Ależ dopiéro jutro miałam odpowiedzieć...

Lecz gdy słowo odzyskam, będę-ż znowu wiedzieć,

Komu... Astolfowi?... nie, Zdzisław... Boże, Boże!

Nie wiem, co czynić! wstrzymać; a! mój ojciec może...

Lecz dał słowo, nie złamię. Ach, ja nieszczęśliwa!

Gdzie pójść? co czynić?... Zdzisław może się spodziewa,

Czeka; lecz gdzież jest?... gdybym...

(*Jakób chrząka, Zofia przestrasza się*) Ach, to ty, Jakóbie,

Czy na dół nie schodziłeś?

JAKÓB (*śmieje się skrycie*).

Ja chodzić nie lubię.

ZOFIA. Może widziałeś?

JAKÓB. Kogo?

ZOFIA. Tak, kogo.

JAKÓB. Nikogo.

ZOFIA (*po krótkim milczeniu*).

Czy kto jedzie?

JAKÓB. Jedzie.

ZOFIA. Kto?

JAKÓB. I nie jeden drogą.

- ZOFIA. Lecz stąd nikt nie wyjeżdża?
- JAKÓB. Stąd?
- ZOFIA. Stąd.
- JAKÓB (*śmiejąc się skrycie*) Pan? służący?
- ZOFIA (*z niecierpliwością*).
Pan.
- JAKÓB. Pan? który?
- ZOFIA (*zniecierpliwiona*) Pan Zdzisław.
- JAKÓB (*na stronie*). No, wyszło niechęący.
(*kiwając głową*)
Pan Zdzisław miałby jechać?
- ZOFIA. Właśnie pytam o to.
- JAKÓB. Nie prędko on pojedzie i nigdy z ochotą.
- ZOFIA. Gdzież?... cóż robi? widziałeś?
- JAKÓB (*na stronie*) Muszę trochę zgrzeszyć,
I skłamię odrobinę, aby ją pocieszyć.
(*do Zofii*)
O, widziałem, widziałem, zdrowy i wesoly;
Z panem Astolfem skaczą przez krzesła, przez stoły,
Taki tam śmiech na dole!... taki hałas, wrzawa!
A nikogo nie słyhać, jak pana Zdzisława.
Niech się panna nie smuci, wkrótce go zobaczy
Zdrowego, wesołego... ale cóż to znaczy?
- (*Zofia jedną ręką zasłania oczy, drugą daje znak Jakóbowi,
aby się oddalił, co ten czyni niechętnie.*)
- ZOFIA (*sama*).
Tak, kiedy on się cieszy, to i ja się cieszę,
Pójdę zaraz do ojca, dzień ślubu przyspieszę.
(*ociera tzy*)
Ach, ja się bardzo cieszę, kiedy on się cieszy,
Pójdę, pójdę do ojca, niech mój ślub przyspieszy.

SCENA VI.

ZOFIA, JULIA.

- ZOFIA. Julio! nie uwierzysz, jak jestem szczęśliwa;
Do prawdziwego szczęścia już mi nie nie zbywa,

Ustały wszystkie troski, bojaźni, nadzieje,
 Dziś los mój się ustalił, wszystko mi się śmieje:
 Bo wiesz, Astolf otrzymał ojca przyrzeczenie,
 A ja kocham Astolfa, kocham go szalenie!
 Będziemy zawsze w mieście, zawsze w ciągłej wrzawie,
 Nie myśleć o czém inném, tylko o zabawie;
 Będę u siebie sprawiać bale i wieczory,
 Coraz nowy mieć zaprząg, najświeższe ubiory;
 Będę czytać romanse, trudnić się modami,
 I na wieś tu do ojca przyjadę czasami.
 Wszystko cudnie, wybornie, nie, nie mi nie zbywa,
 Ach, Julio, Julio, jak jestem szczęśliwa! (*śmieje się*).

JULIA. Lecz czemuż, do twych życzeń dochodząc szczęśliwie,
 Te łzy w oczach?

ZOFIA (*ocierając łzy*). Ze śmiechu, ze śmiechu prawdziwie.

JULIA. Zosiu, ty mi coś kryjesz?

ZOFIA. Cóżbym ja ci kryła?
 Wprawdzie trochę-m płakała i stroskana była,
 Myśląc, że moje szczęście zasmuci Zdzisława,
 Który choć do przyjaźni nie był stracił prawa;
 Jego przyszłość zatruta, żal i miłość stała
 Ciężyły na mém sercu, jakby ziemia cała.

JULIA. A teraz?

ZOFIA. Teraz ze mną inaczej się dzieje.
 Zdzisław kontent, z Astolfem jak dziecko szaleje,
 I z kim jeszcze? z Astolfem! nad miarę wesoły;
 W największych krzykach skacze przez krzesła, przez
 stoły,
 I kiedy ja, szalona, kryję się i szlocham,
 On się cieszy niewdzięczny, że go już nie kocham.

JULIA. Potrzebne-ż ci do szczęścia są Zdzisława żale?
 Czyż blasku, jego rozpacz, przyda twojej chwale?
 Igrałaś z jego szczęściem aż prawie do znoju,
 I jeszcze mu zazdrościsz ostatka pokoju.
 Ach, wierzaj mi, Zofio, mnie mówić się godzi,
 Więcej niż miłość własną to czucie dowodzi.

ZOFIA (*rzucając się w objęcia Julii*).

Ach, Julio, Julio! kocham go nad życie!

JULIA. Zatem tej tajemnicy będę mieć odkrycie.

- ZOFIA. Nie znalazłam mego serca i żyłam w tym błędzie,
 Że zawsze wola ojca moją wola będzie;
 Tak, niemylna różnica, co między Zdzisławem
 I Astolfem położył, zdała mi się prawem:
 „Zdzisław”, mawiał mi często „nie jest mąż dla ciebie;
 Człowiek prawy, rozumny, gorliwy w potrzebie,
 Lecz z nim-byś, choć kochana, młodości nie znała,
 Osadziłby cię na wsi, i już przyszłość cała”.
 Przyznam ci się, te słowa nie spełzy daremnie.
 Myśl, że wiek młody stracę, tak utkwila we mnie.
 Z drugiej zaś strony Astolf przyszłość mi zakreślał,
 O jakiej ktoś w swém życiu choć raz nie pomyślał?
 Przyjemny memu ojcu, nawet i mnie miły,
 Byłyby się me czucia ku niemu zwróciły,
 Gdyby zbyt przesada i zajęcie sobą
 Nie były jego skazą, mając być ozdobą.
 Dziś dopiero, gdy ojciec dał już nasze słowo,
 Zaczęłam wszystko dawne przebiegać nanowo,
 I tracąc już Zdzisława, dopiórom poznała,
 Żem jego tylko, jego jednego kochała!
 A wieść, że swój los przyjął bez serca boleści,
 W mojem, teraz wzgardzoném, rozpacz tylko mieści.
- JULIA. I cóż więc myślisz robić?
- ZOFIA. Pójdę do klasztoru.
- JULIA. A, pozwól mi się rozśmiać z twojego wyboru.
 Klasztor?... a bale, mody, ów świat ulubiony?
- ZOFIA. Ach, Julio! bez niego nie chcę i korony.
- JULIA. A z Zdzisławem i chatka...
- ZOFIA. Mścij się, mścij, masz prawo.
- JULIA. Któż ci mówił, że wesół, że skacze tak żwawo?
- ZOFIA (*szlochając*)
 Jakób.
- JULIA. To skłamał. Zdzisław ledwie do poznania,
 Właśnie niosę ci jego smutne pożegnania;
 Odjeżdża, i z wszystkiego to mu najboleśniej,
 Żeś mu czekać kazała, gdy już inny wcześniej...
- ZOFIA. Julio, idź, śpiesz, biegaj, niech nie jedzie w błędzie,
 Idź, powiedz mu, że jestem niewinną w tym względzie.
- JULIA. Jakto?

- ZOFIA. Przed kilku dniami, w zwyczajnej rozmowie,
Gdy wczoraj nie myślała o ostatniem słowie,
Odpowiedziałam ojcu na zwykłe pytanie,
Że zawsze jego rozkaz mają wolać się stanie;
I to było powodem, że, milcząc przede mną,
Astolfa obietnicą zapewnił tajemną.
Zdzisław więc o nieszczerłość może-ż mnie obwinić?
- JULIA. Kochasz go więc?
- ZOFIA. Nad życie.
- JULIA. I cóż będziesz czynić?
- ZOFIA. Mówiłam, do klasztoru...
- JULIA. Nie rób się dziecięciem,
Trzeba nam się ratować innym przedsięwzięciem.
- ZOFIA. Nie, nie, ojca uporu nie w świecie nie nagnie;
Dał słowo, więc nie cofnie, i Astolfa pragnie.
- JULIA. Prośba, lży wiele mogą.
- ZOFIA. I mówić się boję,
Zwłaszcza, że niby zrobił na żądanie moje.
- JULIA. Otóż i on; odważnie.
- ZOFIA. Ach, cała truchleję!
- JULIA. Tylko zwolna.
- ZOFIA. Ratuj mnie.
- JULIA. Płacz i miej nadzieję.

SCENA VII.

RADOST, ZOFIA, JULIA..

RADOST (*mając papiery w ręku*).

Fe, fe, źle, źle, szkaradnie! od kołka do kołka
Wszystkich, wszystkich wypędzę, a przyjmę pachółka;
Ten lepiej rządzić będzie: same tylko szkody,
A na miejscu intraty—ekspensy dowody.

JULIA. Cóż się stało?

RADOST. Wszystko źle: fe! tego nie lubię,
Gdy mnie kto jak indyka i parzy i skubie;

Chciałem cudzoziemczyzny, prawda, ależ sądzę,
 Że się jój nie sprzeciwia—mieć polskie pieniądze.
 A ci obcy służalcy lubią cudze tracić,
 Myślą, że na to wioski, aby ich opłacić.
 Francuzy, Włochy i te przemądre wyspiarze,
 Wszystko jutro precz pójdzie, wszystko wyгнаć każe.

JULIA. Ale cóż?...

RADOST (*pokazując papiery*) Proszę! pisze i pisze bez miary.

(*obracając się ku drzwiom, w największej złości*)

A ja, Monsie Fiurliurluk, ja chcę mieć talary!

(*ochłonawszy*)

Ulice powysadzał i w gwiazdy i w kola,
 A gromada przed drzwiami o swe grunta woła.
 W miejscu dawnych narzędzi—przemądre maszyny,
 Które dwa dni naprawiaj, pójda pół godziny.
 A gdy wszystko parowe, gdzie się okiem rzuci,
 Młyn stoi, browar zgorzał, mlóćarnia nie mlóci.
 Stodoły jak pałace a próżne sąsiedzi,
 I tysiące głupstw jeszcze z tój głupiej opieki.
 Lecz co z tego najprzykrzej, najbardziej niemiło,
 Co mi w tój całej sprawie oczy otworzyło:
 Że mnie trzeba pieniędzy, tu ani tynfika!
 A, Mościa Dobrodziejko, to duszę przenika!

(*do Zosi*)

Czego ty znowu płaczesz?

JULIA.

Ach, wielkie zmartwienie.

RADOST (*z wielkim przyciskiem*).

Twój Astolfek nie zginał, kocha cię szalenie!
 I to panicz, co powie, to zawsze przesadzi;

(*pokazuje na czoło*)

I jeszcze mu tu świta, lub fałszywie radzi.
 No, proszę pani, kiedy teraz mnie namawiał,
 Żeby nad rzeką, w górze, na skale, młyn stawiał,
 A wodę tam na kola będą nieść sikawki.
 Wodą... pstrykać... na kola! chyba dla zabawki.
 I ganiać polskie młyny ten pod niebo wznosi,
 Bo mówi, że to szwedzki... Ale cóżto Zosi?

JULIA.

Nie śmie mówić.

- RADOST. Hm, hm, hm, czémże tak strwożona?
- JULIA. Chce wstąpić do klasztoru.
- RADOST. Do klasztoru? ona?
(*śmieje się*)
- No, do tego klasztoru wiem ja dobrze drogę.
- ZOFIA (*całując rękę ojca*).
Ach, ojcze, ja Astolfa żoną być nie mogę.
- RADOST. Żarty?
- ZOFIA. Nie, dobry ojcze.
- JULIA. A wiedząc dokładnie,
Że zawsze ojca wyrok, kiedy raz zapadnie,
Nie go zmienić nie zdoła, święte jego słowo...
Nie chce się już naprzykrzać, obrażać namową,
(*z westchnieniem*)
I klasztor jój młodości schronieniem się stanie;
Bo słowo tu jest drugim, pierwszym powołaniem.
- RADOST. Ale... cóż-bo waćpani!... chybabym oszalał,
Żebym słowo odbierał, na ten krok zezwalał.
- JULIA. Jednak, panie Radoście, cóż wypadnie z tego,
Że kochając jednego, pójdzie za drugiego?
- RADOST. Co, co, jak, jak, kochając... kochając...
- JULIA. Zdzisława.
- RADOST. Zdzisława? Otóż maciel... (*chodzi, po krótkim myśleniu*)
A, to dziwna sprawa!
A, Zdzisława, Zdzisława... późne obudzenie!
(*po krótkim myśleniu*)
Nie, nie, co raz przyrzekłem, nigdy nie odmienię...
(*do Zofii*)
Wszakżem bo cię się pytał. Ale te dziewczęta,
To zawsze oczki nadół i buzia ściśnięta;
Czy która chce, czy nie chce, to się zawsze wzbrania,
Zawsze siak tak, a potem płacze, jęki, łkania!...
A kaci-ż zgadnąć mogą, co się z niemi dzieje!
- JULIA. No, no, panie Radoście, więc mamy nadzieję...
- RADOST. Nie, Mościa Dobrodziejko, najmniejszej w tym względzie:
Dałem słowo, i słowo dotrzymanem będzie.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, ASTOLF.

ASTOLF. *Permettez, monsieur* Radost, niech z ust pięknych slysze
Pewność słodkiej nadziei, którą się kołysze.

RADOST (*bierze za rękę Astolfa, i przed Zofią mówi*)

Zofo, twój mąż przyszedł.

(*chodzi w głębi sceny zamyślony*)

ASTOLF.

Powtarzać nie trzeba,

Że szczęście, któremu dzisiaj obdarzają nieba,
Wdzięcznością mnie, Zofo, przejmuję ku tobie;
Wdzięcznością, której doznasz w każdej życia dobie.

Tak potem twoim mężem, jak teraz czcicielem,
Szczęście twoje mieć będę, moich życzeń celem;

I tego tylko jeszcze jedynie się boję,

Żebym był zawsze w stanie zgadnąć myśli twoje...

Ale jednakże, przytém, pozwól niech się dziwię...

To milczenie i te lzy... cóż myśleć prawdziwie?

Permettez, monsieur Radost! jakieś duchy wieszcie...

RADOST (*podając mu rękę*)

Zosia twoją, masz rękę, czyż ci nie dość jeszcze?

ASTOLF.

J'en suis charmé; lecz ten żal, który oko czyta...

JULIA.

Kiedy ojciec przyrzeka, któż się córki pyta?

ASTOLF.

Merci... rozumiem trochę. Lecz, łaskawy panie,
Mówiłeś, że przystała na moje żądanie.

I już miałem upraszać, by ślubu nie zwlekać,

Cheąc jak najprędzej z lubej ojczyzny uciekać,

Cheąc przenieść się, jak lotem, w ubóstwione kraje,

Gdzie przyjemniejsze nieba, ludzie i zwyczaje;

Gdy na miejscu radości żal tu w twarzach czytam,

I nikt nie odpowiada, choć się trzykroć pytam.

RADOST.

Słowa nie łamię.

ASTOLF.

Prawda; ale cóż to znaczy,

Niechże kto, z łaski swojej, przecie wytłómaczy.

JULIA.

Kiedy panna chce wstąpić, płacząc, do klasztoru,

Łatwo zgadnąć, czy z ojca kontenta wyboru.

ASTOLF (*odmienny przybiera sposób mowy*).

I zupełnie zgaduję. Lecz że nie jest rada,

Czyż koniecznie w klasztorze zamknąć się wypada?

- JULIA. Jak inaczej uniknąć a nie złamać słowa?
- ASTOLF. Więc ze strachu przede mną to zrobić gotowa?
O, nigdy nie miał myśli, takiej broni użyć.
Wracam słowo, gdym nie mógł miłości zasłużyć.
(*Julia wybiega*).

SCENA IX.

RADOST, ZOFIA, ASTOLF.

- RADOST. Hm, hm, hm.
- ZOFIA. Czy to pewno?
- ASTOLF. Pod jednym warunkiem.
- ZOFIA. A ten?
- ASTOLF. Byś nie gardziła Astolfa szacunkiem.
- ZOFIA. Nigdy, nigdy.
- RADOST. Hm, hm, hm.
- ASTOLF. Jeszcze prośba mała:
Czyś podobną odpowiedź Zdzisławowi dała?
(*po krótkim myśleniu*)
Zdzisław został szczęśliwszym.
- ZOFIA (*ze spuszczoną głową, cicho*). Ja się z tem nie kryję.
- ASTOLF. Dla spełnienia twych życzeń, wszystkiego użyję.
(*do Radosta*)
Zdzisław kocha Zofię, kochany wzajemnie;
Miał rywala, ma teraz przyjaciela we mnie.
Wraz ze mną na ich szczęście pan Radost zezwoli,
Gdy mu będzie wiadoma zmiana naszej roli:
Zdzisław został Astolfem, Astolf zaś Zdzisławem,
To jest: nie zmianą nazwisk, lecz własności prawem.
Ten, co zwiedził Europę, w wielkim świecie żyje,
Jest Zdzisław. Ten, co w blasku skromną duszę kryje,
Co na wsi wychowany, w niej uciechę widzi,
Jest Astolf i swój zdrady przed wami się wstydzi.
- RADOST (*zamyślony*). I ma się czego wstydzić.
- ASTOLF. Lecz choć-em was zwodził,
Przyznajcie, więcej-m pomógł, niżeli zaszkodził.

A gdy każdy z nas pilnie w tój sprawie poszuka,
Dla każdego się znajdzie niemała nauka.

RADOST. No, no, no, prawdać i to, niema co powiedzieć.

ZOFIA (*zachodzi z przeciwnej strony Astolfa i całując rękę Radosta*)
I jakże?

RADOST. Co?

ZOFIA (*wskazując głową*) Z tamtém?

RADOST. Z czém?
(*do Astolfa*) Ale chciałbym wiedziéć,
Czemu się Zdzisław taił?

ASTOLF. O tém sam wam powie.

RADOST. Hm, hm, hm, coto proszę u tych młodych w głowie!
(*wychodzi*).

SCENA X.

ZOFIA, ASTOLF.

ASTOLF. Tracąc cię już, Zofio, lepiej cię poznaję;
Ceniłem twoją duszę zbyt mało, przyznaję.
Biorąc rolę, prawdziwie godną pośmiewiska,
Mógł-żem myśleć, że śmieszność twoje serce zyska;
Lecz przebac; twój wiek młody, ojca twego zdanie
Wprawiły mnie, niestety, w to mylne mniemanie.

ZOFIA. Szukajmy zapomnienia przeszłego stosunku
W dziele stałej przyjaźni i zmianie szacunku.

SCENA XI.

ZOFIA, ASTOLF, JULIA, ZDZISŁAW.

ZDZISŁAW. Ach, Zofio! Astolfie! gdzież wyrazów zbierę...
By tobie wyznać miłość, tobie dzięki szczerze.

ZOFIA. Prędko chciałeś odjechać.

ZDZISŁAW. Mogłem-że inaczej?

ZOFIA. Tak łatwoś mnie porzucił.

ZDZISŁAW. Łatwo? Powiedz raczej:
Tyś chętnie oddalała.

- ZOFIA. Ja chętnie? o Boże!
Lecz mógłżeś się spodziewać...
- ZDZISŁAW. Ale któż się może...
- JULIA. Właśnie czas zacząć kłótnią i skargi rozgłaszać,
A to wszystko dlatego, żeby się przeproszać.
- ZOFIA. Julio!
- JULIA. Ale scenę w ten moment odmienię,
Gdy spytam, czy Radosta macie zezwolenie?
(*długie milczenie*).
- ASTOLF. Zdaje się...
- ZOFIA. Spodziewam się...
- ZDZISŁAW. Mam nadzieję przecie...
- JULIA. Idźcie-że więc do niego, czego stać będziecie?
A że ci zakochani dziecinnieją prawie!
No, idźcie śmiało, Zosiu, dalej-że, Zdzisławie!

SCENA XII.

CIŻ SAMI I RADOST.

(*Radost po polsku ubrany, bez peruki, czapka na bakier, karabela przy boku, wchodzi poprawiając suknię*).

Tak lepiej... i że lepiej, mogę się poszczycić,
Jest przecie co poprawić, (*chwytą się za czapkę*) jest i za co
chwycić (*za kord*).

A Zdzisław! (*grożąc*) Potém waszmość z wszystkiego się
sprawi,

A teraz... Niech was, dzieci, Pan Bóg błogosławi!
Będziem w domu siedzieli razem wszystko troje.
Co cudze, dyabła warte, a najlepsze swoje!

ZDZISŁAW. Nie, wszyscy za granicę jedźmy na lat parę,
Zbierajmy to, co dobre, czy nowe, czy stare;
A potém, gdy wrócimy, każdy z was mi przyzna,
Że miłe cudze kraje, lecz miłsza ojczyzna!

A L B O

MIASTO SCENY X, XI, XII.

SCENA X.

RADOST, ZOFIA, ASTOLF, JULIA, ZDZISŁAW.

ZDZISŁAW. Ach, Zofio! Astolfie! gdzież wyrazów zbierę...

Radoście!... ojcze!... przebacz, niech wyznanie szczere...

RADOST (*surowo*).

Potém, potém się waszmość ze wszystkiego sprawi,

A teraz... Niech was, dzieci, Pan Bóg błogosławi!

Będziem w domu siedzieli razem wszystko troje.

Co cudze, dyabła warte! a najlepsze swoje!

ZDZISŁAW. Nie, wszyscy za granicę jedźmy na lat parę,
Zbierajmy to, co dobre, czy nowe, czy stare,
A potém, gdy wrócimy, każdy z was mi przyzna,
Że miłe cudze kraje, lecz miłsza ojczyzna!

DAMY I HUZARY.

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH, PROZĄ.

Pochlebstwo ma w sobie osobliwy przy-
smak, chociaż go kto rzkomo odrzuca,
przecież ono smakuje.

And. Maks. Fredro.

O S O B Y:

MAJOR	}	pułku HUZARÓW, na urlopie.
ROTMISTRZ		
EDMUND, PORUCZNIK		
KAPELAN (wyznania luterskiego)		
PANI ORGONOWA	}	siostry MAJORA, jedna starsza i gru- bsza od drugiej.
PANI DYNDALSKA		
PANNA ANIELA		
ZOFIA, córka PANI ORGONOWEJ.		
JÓZIA	}	służące.
ZUZIA		
FRUZIA		
GRZEGORZ	}	stare HUZARY.
REMBO		

Scena w domu MAJORA, na wsi.

AKT I.

Duży pokój. Czworo drzwi bocznych; dwoje w głębi. Na środku stół z mapami; stolik po prawej stronie, na którym gra szachów, przy nim wzniesiony krzesła. W głębi broń różna; dzidy, cel, głowy tureckie do karuzelu służące także w głębi.

SCENA I.

MAJOR, ROTMISTRZ, KAPELAN, PORUCZNIK, REMBO. (*Major na środku, ogląda strzelbę; po lewej Porucznik nabija; po prawej Rotmistrz oparty na strzelbie, patrzy na szachy; przy nim siedzi Kapelan zatrudniony strzelbą; w głębi Rembo. Wszyscy w szpencerach ubrani na polowanie, w wojskowych czapczkach.*)

MAJOR. Czy tylko pewnie? bo to czasem...

REMBO. Nie śmiałybym przecie zwodzić pana Majora; niech zaraz zginę, jeśli nie widział na własne oczy kozła i dwie sarny. Wszystko troje wyszło razem do bydła, na ciemną dolinę, jak ten kąt, ta struga... oto jak ta wielka łoża, gdzie ksiądz Kapelan przesłępił zajaca... aż tu obces kundys jeden i drugi: huf, huf!... Ech, panie! jak nie pójda sarny moje! strach! aż się ziemia trzęsła!... przez Garb, Wielką Banią, po nad Bartkowy potok...

MAJOR. Ho, ho, ho!... sarny dotychczas na drugim końcu świata.

REMBO. Zlekły bo się fur idących gościńcem, i hajże łąkami nazad w jasieninę.

MAJOR. Nam więc drogą od kopców zastąpić wypada.

REMBO. Ja z dębniaków cicho psy podpuszczę, a każda na strzelbę, jak na rozeń wpadnie.

MAJOR. Dalej, panowie! I na urlopie nie dam wam próżnować.

KAPELAN. Zaraz, zaraz.

PORUCZNIK. Ja dogonię.

MAJOR (*biorąc hulkę ze środkowego stołu i kiwając głową, do Remba*). Zawołaj Grzesia. (*Rembo odchodzi*).

ROTMISTRZ (*do Kapelana, patrząc na szachy*). Wygram, jeśli wieżę cofnę.

KAPELAN. Wątpię.

ROTMISTRZ. Załóż się.

KAPELAN. Dobrze.

ROTMISTRZ. Nikt tu nam nie ruszy, za powrotem przekonam, i talarka schowam.

SCENA II.

CIŻ SAMI, GRZEGORZ. (*Stary huzar z ogromnemi wąsami*).

MAJOR. Tylem razy, mój Grzesiu, już cię o to prosił, abys kładł wszystko na swoim miejscu. Poco tu na mapach lukę zostawiasz? tam w szafce ma swój numer; nienawidzę nieporządku. (*Oddaje lukę i zdmuchuje mapę*) Otóż, otóż, nie mówiłem? plama... i ta baszta... à propos, a klucznica?

GRZEGORZ. Klusem wywieziona (*odchodzi*).

KAPELAN. Bogu dzięki.

ROTMISTRZ. Ostatnia więc białogłowa usunięta z naszego domu; będzie raz przecie cicho i spokojnie.

MAJOR. Okropnie gadała.

PORUCZNIK. Bo stara, bo stara.

MAJOR. O ho, ho, panie poruczniku, wiem, na co pan zakrawa, ale nic z tego. Wolę huk moździerzy, niż kobiece świergotanie. Nic z tego, i pokażę, że i żołnierz potrafi domem rządzić bez kobiety.

PORUCZNIK. Piękny rząd!

KAPELAN. Dobry, dobry.

ROTMISTRZ. Wyśmienity.

MAJOR. Wyśmienity.

PORUCZNIK. Czy zawszeście go panowie wyśmienitym znajdowali? Czy zawsze przykrém było kobiece świergotanie? (*długie milczenie*).

MAJOR. Chodźmy na polowanie.

REMO (*wbiegając*). Goście jadą!

MAJOR. Któryś z kolegów.

REMO. Gdzie tam! kilka pojazdów! największa parada. (*Odchodzi, oficerowie jeden po drugim, zbliżają się powoli do okna*).

MAJOR. Dla Boga! landara.

PORUCZNIK. I kocz.

ROTMISTRZ. I bryka.

PORUCZNIK (*z ukontentowaniem*). Ach! damy!

MAJOR, ROTMISTRZ (*odskakując na środek pokoju*). Damy!

PORUCZNIK (*rachując*). Jedna, dwie, trzy...

MAJOR, ROTMISTRZ (z żalością spoglądają na siebie). Trzy!

PORUCZNIK. Cztery, pięć..

MAJOR (jak wprzód). Pięć!

ROTMISTRZ (podobnie). Pięć!

PORUCZNIK. Jeszcze jedna..

MAJOR, ROTMISTRZ (razem). Sześć!

PORUCZNIK. Jeszcze jedna.

MAJOR, ROTMISTRZ (razem). Siedm! siedm!

KAPELAN (wstając). Siedm! (Zatykając uszy znowu siada i tak oparty o stół, do końca sceny zostaje).

PORUCZNIK. Co widzę! (wybiega)

ROTMISTRZ (zbliżając się nieśmiało do okna). Cóżto za baby! Co za gmachy! Co za graty!

MAJOR (zbliżając się do okna). Ach, to siostry moje.

ROTMISTRZ. Przepraszam cię...

MAJOR. Niemasz za co, znam ja je dobrze. (chodzi po pokoju coraz prędzej). Siostry, siostry, damy, przyjąc je wypada... Grzesiu, mundur!... mój mundur, Grzesiu!... czy dyabli nadali... Grzesiu, mundur! (Grzegorz z mundurem chodzi za nim) Rad im być muszę... mój mundur, Grzesiu!... mój mundur!... cieszyć się trzeba, czy dyabli nadali!

GRZEGORZ. Niech pan mundur włoży.

(Po lewej stronie sceny Major wdziewa mundur, przez zapomnienie na swój ubiór. Postrzegłszy się, chce zdjąć, i ściąga razem rękaw szpencera; nie może ręki wyrwać, gdy wchodzi pani Dyndalska z dwoma pieskami na ręku, za nią Józia, kosz w rękę ze szczeniętami i kilka pudełek. Przy Majorze dalej w głębsz stoi Rotmistrz, za nim Kapelan; Grzegorz z mundurem wychodzi).

SCENA III.

MAJOR, ROTMISTRZ, KAPELAN;

(następnie)

PANI DYNDALSKA, JÓZIA, PANNA ANIELA, ZUZIA, PANI ORGONOWA,
ZOFIA, FRUZIA, PORUCZNIK, REMBO.

DYNDALSKA. Jak się masz, panie bracie? (do Józii) Ostrożnie, gawronie! nie upuść szceniąt.

MAJOR (pomieszany). Witam, witam.

DYNDALSKA (do Józii). Czegóż trzymasz? połóż! (do Majora) Jakże się miewasz? (do Józii) Czemuż nie na stole? jakieżto głupie dziewczę! (Józia kładzie wszystko na szachach i wychodzi. Dyndal-

ska siada. Aniela wchodzi, za nią Zuzia z dwiema klatkami, w jednej sroka, w drugiej wiewiórka, i z różnemi gratami).

ANIELA. Wieki już, braciszku, jakeśmy się widzieli. (do Zuzi) Postawże klatki, czego będziesz stała?

MAJOR. Witam, witam.

ANIELA (do Zuzi). Gdzie, gdzie, gdzie! ślepa! cóżto stołu nie masz? (Zuzia stawia klatki na mapach i odchodzi. Poruszenie Majora. Rotmistrz go za suknię wstrzymuje).

MAJOR (cicho do Rotmistrza). Mapy.

ROTMISTRZ (do Majora). Pst! (Major stara się pokryć nieukontentowanie i spogląda czasem na mapy. Słychać hałas i krzyk kobiet za sceną).

REMBO (za sceną). Nie rusz; a harap! a fe! a zasię!

ORGONOWA (tyłem wchodząc i trzepiąc rękoma). Zasię! zasię, bo zemdleję. (Rembo za nią wchodzi trzymając kota nad głową, którego we drzwiach Orgonowa odbiera). Biedny Filunio! moja duszka droga! jak się trzęsie! Biedny Filunio!... Jak też możesz, panie bracie, trzymać takie obrzydłe psiska? Jakiemiś kajdankami podcięły mi nogi i tylko co nie rozdarły lubego Filunia.

REMBO. To na sforze Zagraj z Pisklą jak kota zwietrzyły, hajże po kocie! obces na Jejmość! a Grzmocisz i Popraw... (wychodzi na znak Majora).

ORGONOWA. Fi, co za nazwiska! przebrzydłe kundysy... ledwie dy-
szę.. całam w pocie. (Siada przy Dyndalskiej i Anieli. Za Orgono-
wą weszła Zofia z Porucznikiem niosącym klatkę z kanarkiem, którą za-
wieszają w głębi, rozmawiając po cichu. W ciągu tej sceny, dziewczęta
powynosiły kota i pieski).

SCENA IV.

ORGONOWA, DYNDALSKA, ANIELA,
(siedzą w rzędzie po prawej. Po lewej stronie na przeciwko, stoją):

MAJOR, ROTMISTRZ, KAPELAN;

(w głębi)

ZOFIA, PORUCZNIK. *)

MAJOR. Witam, witam panie siostry w moim domu, i bardzo prze-
praszam kota, za niegościnność Piskli i niecnoty Zagraja.

*) Pierwsze drzwi po prawej stronie, do pokoju *Orgonowej*; pierwsze po lewej, do *Dyndalskiej*. Drugie po prawej, do *Majora*; drugie po lewej, do *Rotmistrza* i *Kapelana*. W głębi jedno do pokoju *Anieli*; drugiemu wchodzi.

ORGONOWA. Patrz, panie bracie, moja córka. (*Zofia się zbliża i kłania*) Owa Zosiunia mała. . Anibyś ją poznał pewnie... wyrosła, wyładniała, nieprawdaż? Za jej wychowanie nie powstydzę się także. W pierwszej stolicy świata mogłaby bezpiecznie rozmawiać, i to niejednym językiem. Miała i guwernantkę, Madam znakomitą, i na wyższych naukach w mieście pół roku strawiła.

ANIELA. Talenta gdy rozwinie..

DYNDALSKA. Ach, Anielko luba, co też nie wygadujesz; Już je rozwinęła: czyliż nie śpiewa całego Rossyniego, tak, że każdy słuchać musi? Czyż nie tańczy, tak, że nigdy taktu nie chybi? Czyż nie maluje tak, że jej kwiatek wszystkich zwodził, i że pan Sędzia chcąc powąchać, nosem go zmasał?

ANIELA. To Pan Referendarz.

DYNDALSKA. Ależ Pan Sędzia, mój aniołku!

ORGONOWA. Cicho, cicho, Dyndalsiu; nie trzeba jej w oczy chwalić, ona sama pokaże, co umie.

ANIELA (*do Majora*). Jakże ci się podoba?..

DYNDALSKA. (*szturchając ją łokciem*). Cóżto za pytanie!

ANIELA. Nie dasz mi gadać, kochana siostruniu.

DYNDALSKA. Bo głupstwa gadasz, moja duszko.

ORGONOWA. Cicho, cicho, siostruniu. (*do Majora*) Któż są ci panowie?

MAJOR. Rotmistrz Sławomir. W szkołach jeszcze przyjaźni nas złączyła; razem wdziliśmy mundur, razem go nosili i razem może w jednej złożym go mogile. — Nasz poczciwy Kapelan, także dawny towarzysz, prawdziwy przyjaciel ludzi; wiele robi, mało mówi, nasładować go należy. — To, mój Edmund, już wam po części znany z mojego listu. W jednej nieszczęsnej utarczce, kiedy każdy o sobie tylko myślał, a ja raniony pod ubitym leżałem koniem, on mnie szukał, postrzegł, zebrał kilku walecznych, natarł na nieprzyjaciół i osłonił własnymi piersiami; cofał się, nacierał, znowu się cofał i znowu nacierał, aż póki naszych wzrastająca liczba zwycięstwa nam nie wróciła. Tamto mnie, mnie broniąc, odebrał tę kresę przez skronie, która więcej warta, niż dziesięć wieńców. (*ściska go z rozczuleniem*)

ZOFIA (*mimowolnie*). Ach, to pięknie być odważnym! (*spuszcza oczy na bystre spojrzenie matki i ciotek*)

ORGONOWA. Dobrze, dość tego, teraz do interesu. Chcę pomówić z tobą, Panie bracie, zatem pozwolą panowie... (*Oficerowie odchodzą i Zofia do swego pokoju na znak Orgonowej*).

SCENA V.

ORGONOWA, DYNDALSKA, ANIELA, MAJOR.

ORGONOWA. W jedném zwięzłym słowie wszystko ci opowiem; nie lubię niepotrzebnej przemowy, bo kto ma rozum, łatwo pojmie i zrozumie, gdy mu jasno rzecz przełożę. Zatem bez przemowy; lepiej w krótkości powiedzieć, o co chodzi, a potem dać przyczyny i dowody. Nareszcie, takim mocno czytana, tyłem żyła w wielkim świecie, tyle mam roztropności i przenikliwości, że się w zdaniu nigdy nie mylę i chyba szalona głowa sprzeciwić mi się może. Przystępując więc do rzeczy, powiem, że powziąwszy wiadomość, żeś na urlopie i żeś do wsi swojej przyjechał, zaraz zgadłam, że wojskową służbą znudzony, chcesz ją porzucić i na wsi osiąść. Myśl chwalebna, ale do tego potrzeba...

DYNDALSKA (*przedko*). Pozwól, kochana siostruniu, niech ci przezwę: gdy się kogo chce przekonać, nie zawsze najkrótsza mowa najlepszą mową bywa. Trzeba najprzód dać przyczyny, co do czego nas nakłania, potem rzecz wyłuszczyć, a na końcu dać dowody na poparcie swego zdania. Lecz nim do zamiaru przystąpię, wypada uczynić rzut oka na poprzednicze zdarzenia i obecne położenie. A że to rzecz wielkiej wagi, na rozdziały ją podzielę, w których panu bratu dowiodę: (*licząc na palcach*) Że dotychczas źle miał w głowie, że ponosi wielkie straty, że wojskowość nie niewarta, że na wsi osiąść rzecz najlepsza, że rozumnie radzę..

ANIELA. Lepiej, duszko moja, napisz dzieło o tém, a teraz pozwól, niech najprościej drogą zbliżę się do celu...

ORGONOWA. Gadajcie, o! gadajcie, gdy tak bardzo gadać lubicie; gadajcie, bardzo proszę. Ja nic nie powiem. Ja nic nie wiem. Ja nic nie umiem. Gadajcie, łaskę mi zrobicie.

DYNDALSKA. O, i owszem, ja będę milczała; niech kochana siostra rozprawia, gdy jęć tak przykrą chwila milczenia. Albo ją może wyręczy wymowna Anielka.

ANIELA. Ach, gdzieżbym ja się śmiała porównać w wymowie z kochanymi siostrzyczkami: słuchać będę rozdziałów, lub drugiej przemowy bez przemowy.

ORGONOWA. Proszę mówić, bardzo proszę.

DYNDALSKA. Bez ceremonii, bardzo proszę.

ANIELA. Mówcie, mówcie, bardzo proszę.

ORGONOWA, DYNDALSKA, ANIELA. Bardzo proszę.

ORGONOWA (*idąc ku drzwiom*). Nie przeszkadam.

DYNDALSKA (*podobnie*). Zostawiam.

ANIELA (*podobnie*). Odchodzę.

ORGONOWA, DYNDALSKA, ANIELA (*kłaniając się po kilka razy ode drzwi*). Mówcie, mówcie, proszę; bardzo proszę. (*wychodzą*).

SCENA VI.

MAJOR, ROTMISTRZ, KAPELAN, PORUCZNIK.

(następnie wchodzą zamysłeni i stają przy Majorze, który od początku przeszłej sceny nieporuszenie na środku stoi. Rotmistrz, Porucznik w mundurach; Kapelan w surducie).

ROTMISTRZ *(po krótkim milczeniu)*. Cóż tam słychać?

KAPELAN. Zaprzęgać kaza?

PORUCZNIK. Jakimże rozkazem zaszczyciły nas damy?

MAJOR. Ra ra ra ra ra ra, rozumiecie?

ROTMISTRZ. Któż to zrozumie?

MAJOR. I ja nie zrozumiałem, w uszach mi dzwoni.

ROTMISTRZ. Jednak.

MAJOR. Nic nie wiem.

PORUCZNIK. Przecie...

MAJOR. Nic, nic u kata! Gdy jedna mówi, druga jej zazdrości; jedna od drugiej mędrszą się mniema; tak, chociaż wszystko zawsze w jednym słowie, gadaniu końca niema, a o co rzecz idzie, mądry, kto zgadnie. Jednak, czy się dowiemy czy nie, wypada przyjąć je godnie. Połączmy nasze starania. Nietylko że nikogo nie mamy takiego w domu, coby umiał damy przyjąć.

PORUCZNIK. Aha: źle, kobiet niema.

KAPELAN. Niema gderać komu.

ROTMISTRZ. Szkoda w samej rzeczy, żeśmy się ostatniej pozbyli.

MAJOR. Hej! Grzesiu! Rembo! Zaraz wszystko będzie. *(Rembo i Grzegorz wchodzą — do Remba)* Niech Kutasiński na lysego wsiędzie i dalej w pogoń za klucznicą; a jak ją dojdzie, niech baba nie trzepie, nie rozprawia, i czém prędzej na lysego wsiada.

KAPELAN. Nie uchodzi, nie uchodzi.

PORUCZNIK *(śmiejąc się, do Remba)*. I niech tegim klusem wraca.

KAPELAN. Ale nie uchodzi.

MAJOR. Ale czemu? czyż nie klusują nasze markietanki? *(do Remba)* Zresztą jak zechce, niech zrobi; byle mi *(patrząc na zegarek)* na jedenastą klucznicę przystawił. Marsz! Jedno już jest. *(Rembo odchodzi)*.

ROTMISTRZ. Wszystko to jeszcze fraszka, ale obiad, obiad, to sęk; bo nie zwodzimy się umiejętnością Kordesa. Słynie on wprawdzie w obozie, jak najlepszy kucharz; ale cóż umie dobrze zrobić, mówiąc między nami? huzarską pieczeń i pieczeń huzarską.

KAPELAN. Nie uchodzi, nie uchodzi.

ROTMISTRZ. Dla dam—innych przysmaczków, innych łakoci potrzeba. Trzeba jakiegś na stół ozdoby, coś pięknego, coś lekkiego.

MAJOR. Wiem, czego trzeba. Wszystko to Grześ zrobi. Bywał po

różnych miastach, po różnych dworach, widział różne kuchnie; Grześ, zrobi ciasta.

GRZEGORZ. Ale...

MAJOR. A ty, mój Edmundzie, zatrudnisz się, z łaski swojej, szykiem potraw; bo to, słyszę, teraz rzecz wielkiej wagi, czy ryba po mięsie, czy mięso po rybie. A Grześ, chłopak w ciemę nie bity: robi, choć czego nie umie.

GRZEGORZ. Ale...

MAJOR. Ale zrobisz ciasta.

GRZEGORZ. Ale ja, panie Majorze, dalibóg nie umiem.

MAJOR. Zrobisz; ja każę i basta. Jest więc i drugie. Dobrze nam się wiedzie.

ROTMISTRZ. Trzebaby jeszcze przy stole jakiej rozrywki damom.

MAJOR. Muzyczki? Co mówicie?

ROTMISTRZ. Zapewne, czegoby trzeba; ale skąd?

MAJOR. Skąd? Grześ i Rembo trąbią doskonale.

KAPELAN. Nie uchodzi, nie uchodzi.

MAJOR. O, dajno pokój, Kapelanie; wszystko nie uchodzi.

PORUCZNIK. Ale zmiłuj się, Majorze, wszystkie do jednej wystraszysz z własnego domu.

MAJOR. Czém, czém u dyabła? Nie trąbią walca doskonale? Niech im tylko czasem Kapelan w takt głową kiwnie, a zobaczycie, jak wytrąbią gładko. Ale co za myśl nagle mi przychodzi!... wybornie, przedziwnie!... Ty, ty, Rotmistrzu, nosisz się tēm zająć: każ postawić pod oknami jadalnego pokoju... postawić... wiesz co? zgadnij!... moździerz nabyty... Jak krzyknę: wiwat damy! rym! z moździerza.

KAPELAN. O, na honor, nie uchodzi (*wstaje*).

PORUCZNIK (*wstając*). To żadnym sposobem być nie może. To nie z żołnierzami sprawa.

MAJOR (*wstając*). Ale już proszę...

PORUCZNIK. Uważ przecie, że to kobiety.

MAJOR. Jest i kaznodzieja! Brawo, brawo, kobiety... nie wiedziałem. Coto u dyabła, że ci panowie młodzi myślą, że starzy nigdy młodem nie byli. Jak wy teraz żyjecie, myśmy żyli dawniej... a może i lepiej, i tężej, kiedy o to chodzi. Proszę! hm! Oni tylko wiedzą, jak się z damami obchodzić. I jam całe życie nie rąbał, i jam się bawił z damami i zawszem dogodził! zatem gadaj, nie gadaj, ja z moździerza wystrzelę.

ROTMISTRZ. Można bezpiecznie; bo choć się trochę popłoszą, to zapewne z przestachu złych skutków nie będzie!

MAJOR. Tak jest, złych skutków nie będzie!

ROTMISTRZ. A zabawić trzeba.

MAJOR. A zabawić trzeba. (*do Grzegorza*) Moździerz pod oknem

postawić. Marsz! Ale, ale, proszę cię, mój Grzesiu, jak będziesz trąbił, nie dmij tak mocno, zwłaszcza w drugiej części; na tej odbitej nucie zawsze tak ci w trąbie wrzaśnie, że aż słuchać niemiło; lekko... a patrzeć na Kapelana. (*Grzegorz odchodzi, Fruzia wchodzi dygając na obie strony. Tylko Porucznik jęć się odkłonił; Kapelan odwraca się i odchodzi.*)

SCENA VII.

MAJOR, ROTMISTRZ, PORUCZNIK, FRUZIA.

FRUZIA. Moja pani się kłania, (*dygając*) i prosi pana do siebie.

MAJOR. Kogo? Porucznika?

FRUZIA. Nie, pana Majora. (*dygając*).

MAJOR. Czemuż na niego patrzysz, kiedy mówisz do mnie? (*po krótkim milczeniu*) Idź, powiedz twojej pani, że wieczór służyć jęć będę mojami uszami; tylko proszę, abyśmy sam na sam byli; teraz nie mam czasu. (*Fruzia dyga i odchodzi.*)

SCENA VIII.

MAJOR, ROTMISTRZ, PORUCZNIK.

ROTMISTRZ. Na co odwlekać? wcześniej później trochę. zawsze cię to czeka.

MAJOR. Ach, mój kochany, dobrze i dzień cały.

ROTMISTRZ. Ale taką rzeczą ich odjazd nie prędko nastąpi.

MAJOR. Prawda i to. Odbyć potrzeba tę nieszczęsną rozmowę. Ach, wy sobie nie wystawiacie, co to za rzecz straszna.

SCENA IX.

CIŻ SAMI, FRUZIA.

FRUZIA (*dygając*). Moja pani teraz, nie wieczór chce mówić z panem i zaraz tu przyjdzie.

MAJOR. Twoja pani, jak widzę, nie lubi powtarzać rozkazów.

FRUZIA. O, i bardzo nie lubi!

ROTMISTRZ (*do Porucznika*). Dla nas tu, widzę, dzisiaj miejsca niema, chodźmy przejść się trochę, albo jedźmy konno...

MAJOR. Nie zostawiajcież mnie samego! Idźcie do ogrodu, bądźcie w odwodzie. (*Odchodzi. Krótka scena niema. Major nie chce uważać Fruzi, która wdzięczy się z trzpiotowstwa, odwraca się, pokręca*

wąsy, nuci; jednak mimowolnie jak spojrzy, zaraz się odwraca, spotkawszy jej oczy. Nareszcie Fruzia na znak wchodzącej Orgonowej wychodzi).

SCENA X.

MAJOR, ORGONOWA.

ORGONOWA. Jesteśmy sami.

MAJOR. Tak, jesteśmy sami.

ORGONOWA. W czterech słowach rzecz skończę.

MAJOR. Tego mi trzeba.

ORGONOWA. Sama mówić będę.

MAJOR. Tak, sama jedna.

ORGONOWA. Usiądźmy. (*siadając*) Z początku zaczynając...

MAJOR. A od końca nie możnaby zacząć?

ORGONOWA. Cóż za myśl dzika!

MAJOR. Bardzo roztropna, bo pamiętam, com się dowiedział z przeszłej rozmowy, i jeśli teraz podobnie...

ORGONOWA. Jakim ty się, braciszku, z wiekiem gadułą zrobiłeś!

MAJOR. Milczę.

ORGONOWA. Do słowa przyjść nie mogę.

MAJOR. Słucham.

ORGONOWA. Ponieważ chcesz służbę porzucić...

MAJOR. Ale ja nie chcę służby porzucić.

ORGONOWA. Naco to kryć?

MAJOR. Szczerze mówię.

ORGONOWA. Na wsi chcesz osiąść...

MAJOR. Ani myślę.

ORGONOWA. Tylko nie sprzeczasz się ze mną, bo nigdy nie skończę

MAJOR. Słucham więc.

ORGONOWA. Bardzo robisz rozumnie, ale trzeba... trzeba, trzeba, krótko mówiąc, abyś się ożenił.

MAJOR (*zrywając się*). Czyś waćpani szalona?

ORGONOWA. Grzecznie; niema co mówić.

MAJOR (*siadając*). Chciałem powiedzieć: chyba byłbym szalony!

ORGONOWA. Dlaczego?

MAJOR. Spójrz na mnie, a masz odpowiedź. Mnie? w tym wieku, brać młodą żonę? Co za myśl, co za myśl! Nigdy małżeństwa nie byłem przyjacielem a tém bardziej teraz. W obozie posiwiał, szabla i koń, to moje były kochanki; a jeśliś czasem pokochał, to po huzarsku: póki dobrze, póty miłość. I ja teraz mam się w amory wdawać? Byłbym szalony, a jeszcze szaleńsza ta, coby się za mnie wybrała.

ORGONOWA. Ja więc dziś mówić nie będę.

MAJOR. Gałaj sobie waćpani na wszystkie cztery wiatry, gadaj do sądnego dnia, ale nie o mojem ożenieniu.

ORGONOWA. Chwilę tylko cierpliwości; ożenienie ożenieniu nie równe.

MAJOR (*na stronie*). Zawsze dyabła warte.

ORGONOWA. Nie wiesz, kogo ci za żonę przeznaczam.

MAJOR. Nie ciekawym.

ORGONOWA. Moję Zosię.

MAJOR. To dziecię?

ORGONOWA. Ma lat ośmnaście.

MAJOR. A ja pięćdziesiąt sześć; cztery lata starszy od waćpani.

ORGONOWA. Bez rachuby, bardzo proszę.

MAJOR. Nawet podobno waćpani pięćdziesiąty trzeci.

ORGONOWA. Same, widzę, obelgi odnoszę za moje dobre chęci.

MAJOR. Za dobre chęci dziękuję, a układu nie przyjmuję.

ORGONOWA. Zastanów się tylko, uparty majorze: dziewczyna na wsi bogobojnie wychowana, cały swój los wdzięczna ci będzie, będzie kochała, szanowała, więcej jak ojca, niż męża; a ty otoczony dziećmi...

MAJOR. Trudno, trudno.

ORGONOWA. Będiesz błogosławił chwilę, w której zostałeś powolny moim zamiarom. Nie gardź, proszę cię, szczęściem, które ci się zdarza.

MAJOR. Szczęściem nie gardzę; ale szczęścia nie widzę zatruc czyją młodość dolegliwościami wieku starego i wystawić się na poświęcenie całego pułku huzarów.

ORGONOWA. Co za troska! Niechno się trafi któremukolwiek z tego całego pułku huzarów, młoda, ładna, dobra dziewczyna; a zobaczysz, że co innego drugiemu radzić, a co innego samemu działać. Dlatego proszę pana brata, zaprzestać wszelkich narad z tym swoim Rotmistrzem, z tym swoim Kapelanem i z tym swoim wysmukłym Porucznikiem. Każdy odradzać ci będzie, a sam gdyby mógł, trzy razyby się ożenił. Namysł się więc, ale sam, bardzo proszę. (*odchodzi*).

SCENA XI.

MAJOR. Krótkie namyślenie, bardzo krótkie. Mam rozum, Bogu dzięki. (*woła przez okno*) Chodźcieno, koledzy! — Powiem im: czemu nie mam powiedzieć? Będą się śmieli wraz ze mną. Mnie się żenić? mnie! Dreszcz mnie przechodzi. Młoda żona! ha, ha, ha, piękną zacząłbym kampanią.

SCENA XII.

MAJOR, ROTMISTRZ, KAPELAN, PORUCZNIK.

MAJOR. Siadajcie (*siadają wokół stołu*). Dowiedziałem się nareszcie, o co chodzi. Fraszka! Co powiecie... chcą mnie ożenić.

WSZYSCY. Ożenić?

MAJOR (*śmiejąc się*). Tylko ożenić.

PORUCZNIK. Z kim?

MAJOR. Z Zosią, moją siostrzenicą.

KAPELAN. Nie uchodzi.

PORUCZNIK (*na stronie*). Co słyszę! (*do Majora*) A Major?

MAJOR. I możesz się pytać?

ROTMISTRZ. Nie chcę, oczywiście.

MAJOR. Chybabym oszalał.

KAPELAN. Brawo.

MAJOR. Ale miarkuję, że moje panie siostry nie tak łatwo odstąpią zamiaru.

PORUCZNIK. Przymusić, nie przymuszą.

MAJOR. Zapewne. Ale chciałbym jak najmniej o tém słyszeć.

ROTMISTRZ. Niech gadają, a my nie słuchajmy.

MAJOR. Nie sposób nie słuchać.

ROTMISTRZ. Uprzykrzy im się nareszcie.

MAJOR. Co, gadanie? żartujesz, panie kolego.

PORUCZNIK. Trzeba to rozważyć.

MAJOR. Bylem się nie żenił.

KAPELAN. Nie uchodzi.

ROTMISTRZ. I ja tak myślę.

PORUCZNIK. I ja także. Ale cóż Zosia na to?

MAJOR. Jeszcze nie wiem.

ROTMISTRZ. Moje więc zdanie..

SCENA XIII.

CIEŻ SAMI, ORGONOWA, ZOFIA.

ORGONOWA. Cóżto? rada wojenna? (*Wszyscy wstają, milczenie*).

MAJOR (*cicho do Rotmistrza przy nim stojącego*). Rotmistrzu, powiedz, proszę, że to być nie może.

ROTMISTRZ (*podobnie do Kapelana*). Kapelanie, powiedz jój, co myślisz.

KAPELAN (*do Rotmistrza*). Nie uchodzi; niech major mówi.

ROTMISTRZ (*do Majora*). Powiedz, że nie chcesz.

MAJOR. Uradziliśmy...

ORGONOWA. Pewnie nie dobrego. (*milczenie — biorąc na stronę Majora*) Zostańmy sami.

MAJOR. Dziękuję, tego nie potrzeba.

ORGONOWA. Panowie pozwolą... (*kłania się, oficerowie odchodzą*)
No, Majorze, teraz możesz z Zosią...

MAJOR. Ależ, pani siostró...

ORGONOWA. Zostawiam was sam na sam. *

MAJOR. Ale... zatrzymaj się... później...

ORGONOWA. Trzeba skończyć, Zosiu, słuchaj...

MAJOR (*idąc ku drzwiom*). Pozwól... zaraz... krew z nosa...

ORGONOWA. Ale wrócisz?

MAJOR. Wróćę, wróćę. (*odchodzi*).

SCENA XIV.

ORGONOWA, ZOFIA.

ORGONOWA. Proszę sobie z głowy wybić wszystkie romanse, jakieś tylko kiedykolwiek słyszała, albo może przypadkiem i czytała. Dla losu, nie dla miłości idzie się za męża. Twój wuj jest człowiek uczciwy, ma dobrą wieś, która pewnie w inne wpadnie ręce, jeśli się z tobą nie ożeni.

ZOFIA. Ależ, kochana matko, mam nadto dobre o nim mniemanie, abym mogła myśleć, że mnie zechce mimo mojej woli.

ORGONOWA. Jakto mimo woli? czyż masz waćpanna inną, jak wolę matki?

ZOFIA. Wypełnić ją mogę; ale mieć tę samą, trudno sercu rozkazać.

ORGONOWA. Tylko nie o sercu.

ZOFIA. Nareszcie, może on nie zechce dla siebie samego.

ORGONOWA. Zechce, jak ty zechcesz. Znam go dobrze, nieraz mi już ustąpił dlatego tylko, aby się nie sprzeciwać.

ZOFIA. Dlaczegoż, kochana matko, koniecznie pragniesz tego małżeństwa?

ORGONOWA. Dla twojego szczęścia.

ZOFIA. Ale jeśli to będzie moim nieszczęściem?

ORGONOWA. Nadtoś jeszcze młoda, byś to nadal rozpoznać mogła. Matka za córkę stanowić powinna.

ZOFIA. Jestem jednak w stanie poznać, że jego wiek z moim wcale niestosowny.

ORGONOWA. Jak się zębki przecierają! ktoby się spodziewał... wiek niestosowny... Młodzik jaki, trzpiot, byłby waćpannie dogodniejszym?

ZOFIA. Ten, coby mi się podobał, byłby najdogodniejszym.

ORGONOWA. Dość tego... więcej ani słowa... Nie pójdziesz za Majora, to wiesz, co cię czeka.

ZOFIA. Ach, kochana matko, cóż ja ci przewiniłam? *(placze)*.

ORGONOWA. Słuchaj, Zosiu, jak cię kocham, szczerze twego szczęścia pragnę. Nie bądź więc dzieckiem, nie opuszczaj losu, który ci się zdarza. Mój brat jest charakteru łagodnego, ulegającego, żona z nim zrobi, co zechce; tylko nie trzeba tracić odwagi, jeśli z razu znajdują się trudności. Każdy mąż z początku o tém tylko myśli, aby nie dać się zawojować. Sroży, puszy się, rozkazuje, wszystko na swoim postawić musi, pan, pan samowładny, pierwszych tygodni. Ale tylko cierpliwości, tylko cierpliwości; zmorduje go, sprzykrzy mu się ciągła walka i ciągła straż siebie samego, a żona rozumna, co sobie ułoży, nigdy odstąpić nie powinna i jedną zawsze drogą, krok po kroku stawiąc powoli, powoli, ale niechybnie dojdzie do celu, a tym jest: być panią w domu, *(z pokorą)* a pana uznawać. Zostawiam cię; bądź rozsądną, bądź posłuszną matce, a dobrze wyjdiesz; Major tu zaraz będzie, staraj mu się podobać *(głaszcząc ją pod brodę)* i pamiętaj, że na tém twojem zameściu polega szczęście twojej matki *(odchodzi)*.

SCENA XV.

ZOFIA, później PORUCZNIK.

ZOFIA *(po krótkim myśleniu)*. Myślę, myślę i pewnie nie dobrego nie wymyślę. Matce oprzeć się trudno; szczęścia wyrzec się trzeba, trzeba. Ach, Edmundzie! Edmundzie! nie nie będzie z naszej miłości.

PORUCZNIK *(który się był zatrzymał w głębi)*. Skądże ta smutna wróżba?

ZOFIA. Dobrze, żeś nadszedł. Radź czemdrędziej... zmiłuj się... radź co robić, bo zginiemy oboje.

PORUCZNIK. Zginiemy, a to dlaczego?

ZOFIA. Czyż nie wiesz, że jest wola mojej matki, abym poszła za Majora?

PORUCZNIK. I cóż stąd?

ZOFIA. Edmundzie, cóżto za pytanie? Miałoby twoje oświadczenie przed chwilą nie być szczerze? Miałoby mnie zawieść serce moje?

PORUCZNIK. Ani jedno, ani drugie. Matka chce wydać cię za Majora, a ja właśnie z jego oświadczeniem przychodzę, że bardzo cię kocha i właśnie dlatego, że kocha, zenić się z tobą nie myśli i nie chce.

ZOFIA. To jeszcze nie koniec.

PORUCZNIK. Droga Zofio! miejmy nadzieję; chciejmy ją mieć. Od

chwili, jak cię tu zoczyłem, jakieś niewymowne przeczucie szczęścia duszę moją napełnia. Ciebie tu spotykam, ciebie, której od tak dawna napróżno szukałem.

ZOFIA. Wszystkie i mego ojca były starania daremne; nie mógł się nawet dowiedzieć, z którego pułku żołnierze, na których czele wyrwał go śmierci, a mnie najokropniejszemu nieszczęściu. W ostatniej życia godzinie wspomniał cię z wdzięcznością i mnie ją przekazał w jedynej spuściźnie.

PORUCZNIK. Więcej niż wdzięczność, zyskałem miłość twoją.

ZOFIA. Najszczerszą a i najświętszą, bo uprawnioną ostatnią wolą ojca.

PORUCZNIK. Innych praw nie roszczę.

ZOFIA. A mogę zapomnieć...

PORUCZNIK. Kochana Zofio! wierz mi... moja czynność wychodzącym z niebezpieczeństwa zdała się dziełem anioła; ale w rzeczy, ledwie warto ją wspomnieć. Żałowałem tylko, że zbliżający się nieprzyjaciół nie dozwolił mi zabezpieczyć dalszej waszej podróży i że w tym zamieszaniu żadnej a żadnej nawet o waszém nazwisku nie pozwałem wiadomości.

ZOFIA. Mój ojciec w podróży został przymuszony nagłą słabością zatrzymać się dni kilka w domku jednego leśniczego. W trzy dni po przechodzie naszego wojska, stanęło we wsi kilkuset różnej broni żołnierzy. Rabunek zaczął się wkrótce i do tego stopnia doszedł wściekłości, że podpalano domy bez żadnej przyczyny. Odciągnięta od ojca, widziałam już zajmujący się dach, gdy głos twój, słuch mój uderzył. Zdało mi się zaraz wtenczas, że słyszę głos znajomy, i potem, ilem razy cię wspomniała, zawsze jak dawną znajomość: serce moje twojem było, nim się jeszcze zbliżyłeś do niego.

PORUCZNIK. Jak ja, tak i każdy oficer byłby cię ojcu powrócił i kazał pożar ugasić. Szczęście więc tylko moje, że mnie się to trafiło. Patrz, Zofio, wstążka, którąś upuściła; od tego czasu nie zeszła z serca mego: nie wiedząc gdzie, kto jesteś, jój wierny byłem.

ZOFIA. Zosobna, widzę, Bóg przyjął przysięgi nasze. Ale, Edmundo, moja matka nic nie wie o tym. Nieszczęściem rodzice moi nie żyli z sobą od lat dziesięciu i dośchy było powiedzieć, że to było wolą męża, aby ją nieprześląganą na zawsze uczynić.

PORUCZNIK. Nie więc jój jeszcze o tym nie mówmy.

ZOFIA. Zwierz się Majorowi, wezwijmy jego pomocy.

PORUCZNIK. Mógłbym ufać jego pomocy, gdyby tylko nie w tej mierze. Jest niezwykły nieprzyjaciół małżeństwa i choćby mi nie przeszkadzał, straciłbym pewnie jego przyjaźń, może i szacunek.

ZOFIA. Nieszczęsne uprzedzenia!

PORUCZNIK. Z drugiej strony jestem pewny, że moim rywalem

nie będzie; raz, że się mniej boi całego szwadronu nieprzyjacielskiego, niż jednej żony; a powtóre, że nadto szlachetnie myśli, aby chciał być sprawcą czyjegokolwiek nieszczęścia.

ZOFIA. Ale wiedz jeszcze o tém, że jeżeli nie pójdę za niego, Smętosz, obrzydły człowiek, głupi, brudny, stary lichwiarz moją rękę ma otrzymać.

PORUCZNIK. Czy podobna, aby matka ..

ZOFIA. Według niej, majątek szczęściem, a do tego, mówiąc między nami, jest trochę uparta.

PORUCZNIK. To źle, bardzo źle. (*myśli*)

ZOFIA. Jednak kochających, mówią, Bóg nie opuszcza; może matka zmiękczy się prośbami naszymi.

PORUCZNIK (*po krótkim milczeniu*). Nie, na niepewne losu nie stawmy.

ZOFIA. Dla Boga! to pójdę.

PORUCZNIK. Tego się nie lękaj, ja ręcę. Twoja matka, widząc cię przychylną zamiarowi swojemu, nie straci nadziei przywieść go do skutku i odpowie Smętoszowi, a Major coraz bardziej przynaglany, przyjmie łatwo ostrożnie podsuniętą myśl, mną wyręczyć siebie.

ZOFIA. Ach, toby dobrze było.

PORUCZNIK. Staraj mu się jednak podobać; bo zakochać się nie zakocha, a dobrze będzie, jak pojmie, dlaczego ja kocham.

ZOFIA. Mam więc...

PORUCZNIK. Być matce powolną i Majorowi przyjazną.

ZOFIA. Jesteś jednak pewny, że nie zechce...

PORUCZNIK. Ach, tak pewny jestem, jak ty mojej, ja twojej miłości.

ZOFIA. Jakikolwiek skutek otrzymamy, Edmundzie, serce Zofii twojem do śmierci.

PORUCZNIK (*całując ją w rękę*). Już samo to zapewnienie jest mojem szczęściem. Ale idź, uwiadom matkę o odpowiedzi Majora i postępuj sobie stosownie do naszego układu; miłość i nadzieja niech naszym hasłem będzie.

ZOFIA. Do zgonu.

AKT II.

Ten sam pokój. Zamiast broni pootwierane pudełka ze stroikami; zamiast szachów zwierciadło. Na tureckiej głowie czepeczek, na celu suknia. Mapy, klatki sprząnięte. Słychać za sceną trąbienie, a potem mocny wystrzał.

SCENA I.

FRUZIA, potem JÓZIA, ZUZIA.

FRUZIA (*wybiegając*). Józiu, Józiu! Zuziu! Józiu, Zuziu!

JÓZIA (*wbiegając*). Czego?

ZUZIA (*wbiegając*). Cóż tam?

FRUZIA (*biegając po pokoju*). Panie się zlekły, panie chcą zemdléć.

ZUZIA (*ku drzwiom biegnąc*). Dla Boga!

JÓZIA (*ku drzwiom*). Może zemdlały?

FRUZIA (*wybiegając*). Niema gdzie! niema gdzie!

SCENA II.

(Major prowadzi Panią Orgonową całkiem na nim wspartą, powoli do jej pokoju; przy niej Zosia, za nią Fruzia. Poczekawszy, Rotmistrz prowadzi podobnie Panią Dyndalską z Józią; przechodzą do swojego pokoju. Poczekawszy, Porucznik podobnie pannę Anielę, (Grzegorz z drugiej strony, trąba w ręku) i przy drzwiach zostaje. Kapelan na końcu wchodzi z zawiązaną serwetą, staje w środku na przodzie sceny i tak nieporuszenie stoi do końca sceny, słychać w pokojach): Wody! wody! wody! (Grzegorz wybiega i wkrótce wraca, w jednej ręce trąba, w drugiej konewka ogrodowa).

FRUZIA (*we drzwiach*). Wody! (Grzegorz ku niej biegnie).

JÓZIA (*we drzwiach*). Wody! (Grzegorz ku niej biegnie).

ZUZIA (*we drzwiach*). Wody! prędkiej! (*Grzegorz wybiega za nią, Dziewczęta i Porucznik przebiegają scenę w różnym kierunku z flaszkami, szklankami i t. d.*).

SCENA III.

MAJOR, ROTMISTRZ, KAPELAN, GRZEGORZ. (*Kapelan zawsze w swoim miejscu z założonemi rękoma; Grzegorz zadyszany, w głębi*).

MAJOR (*obcierając czoło*). Ktoby się spodziewał!

ROTMISTRZ (*podobnie*). Któż to mógł przewidzieć!

MAJOR. Nie trzeba było stawiać pod samém oknem.

ROTMISTRZ. Wystrzał był za mocny.

MAJOR. W samą rzecz, że mocny; któż nabijał?

ROTMISTRZ. Grześ.

MAJOR. Pewnie dałeś więcej prochu?

GRZEGORZ. Troszeczkę, troszeczkę tylko, panie Majorze.

MAJOR (*chodząc*). Troszeczkę! U niego to nie nie znaczy! troszeczkę! Otóż masz, co to troszeczkę narobiło.

ROTMISTRZ (*chodząc*). Nie byłyby się tak polekły.

MAJOR (*chodząc*). Tak, nareszcie może byłaby jedna zemdląła.

ROTMISTRZ (*chodząc*). Tak, jedna, a niech i dwie.

MAJOR (*chodząc*). Tak, niech i dwic, ale trzy!

ROTMISTRZ. Trzy od razu!

MAJOR. Trzy, trzy od razu!

KAPELAN. Posłać po doktora .. krew im puścić.

ROTMISTRZ. Nim przyjedzie...

MAJOR. Lepiej niech im Grześ krew puści.

KAPELAN. Nie uchodzi, nie uchodzi.

GRZEGORZ (*stojąc prosto przed Majorem*). Panie Majorze, podejmuje się.

KAPELAN. Nie można.

MAJOR. Ale kiedy umie... sam widziałem... puszczał raz mojemu trębaczowi, jak go koń uderzył... prawda, że nie od razu, ale jednak...

SCENA IV.

CIŻ SAMI, PORUCZNIK.

PORUCZNIK. Przecie nasze damy przysły do siebie. Pani Orgonowa ma jeszcze tylko spazmatyczne ziewanie... Pani Dyndalska lekka kolkę... a panna Aniela cokolwiek dreszczy.

GRZEGORZ. Pan Major nie każe?

MAJOR. Już nie potrzeba. (*Grzegorz odchodzi*).

PORUCZNIK. Wszystko ustanie po chwili spoczynku.

MAJOR. Bogu dzięki.

ROTMISTRZ. Chodźmy do obiadu.

FRUZIA (*wchodzi i dygając przed Majorem*). Moja pani prosi pana, abyś pan kazał, aby konie w stajni nie hałasowały. Bardzo tupają i kichają, a to szkodzi nerwom mojej pani (*odchodzi*). (*Oficerowie spoglądają na siebie w milczeniu*).

ROTMISTRZ. Nerwom szkodzi.

MAJOR. Koniom kazać, aby nie hałasowały. Grzesiu! (*Grzegorz wchodzi, Rotmistrz i Major chodzą*). Konie ze stajni wyprowadzić.

GRZEGORZ. Dokąd?

MAJOR. Dokąd chcesz... niech koczują. (*Grzegorz odchodzi, Józia wchodzi*).

JÓZIA (*dygając przed Majorem*). Moja pani prosi, abyś pan kazał powynosić z domu wszystkie armaty, fuzye i pałasze, bo się lęka nowego przypadku i spać nie może. (*Józia odchodzi—chwila milczenia*).

ROTMISTRZ. Armaty powynosić.

MAJOR. I pałasze. Grzesiu! (*Grzegorz wchodzi*) Broń zabrać i na strych wynieść. (*Grzegorz odchodzi, Zuzia wchodzi*).

ZUZIA (*dygając przed Majorem*). Moja pani prosi, abyś pan kazał zakadzić pod oknami, bo proch bardzo śmierdzi, z czego dreszcz się powiększa. (*odchodzi — chwila milczenia*).

MAJOR. Grzesiu!

ROTMISTRZ. Czegoż chcesz? (*Grzegorz wchodzi*).

MAJOR. Kazać zakadzić.

ROTMISTRZ. Na dworze?

KAPELAN. Bądźcie zdrowi.

MAJOR. Dokąd?

KAPELAN. Jadę.

ROTMISTRZ. Odstępujesz nas?

KAPELAN. Nie wytrzymam.

ROTMISTRZ. A to i ja pojadę.

MAJOR. A to weźcie i mnie z sobą.

PORUCZNIK. Ale, moi panowie, jakże chcecie same damy zostawić.

MAJOR. One sobie tu poradzą.

PORUCZNIK. Ale one was nie puszcza.

MAJOR. Cicho! (*ciszej*) Trzeba w sekrecie odjechać.

ROTMISTRZ (*cicho*). Trzeba uciec w sekrecie.

KAPELAN. Uciekajmy.

MAJOR (*do Grzegorza cicho*). Kulbaczcie konie.

PORUCZNIK. Majorze, Rotmistrzu!...

MAJOR. Pst... zbierzmy się...

ROTMISTRZ. I w nogi. (*odchodzą na palcach do swoich pokojów*).

PORUCZNIK (*sam*). A to pięknie! Jechać nie mogę... sam nie zo-

stanę... co tu robić?... trzeba przeszkodzić téj ucieczce. Gdybym mógł...
(*idzie ku drzwiom Zofii, powoli otwiera; na jego znak Zofia wychodzi*).

SCENA V.

PORUCZNIK, ZOFIA.

PORUCZNIK. Zofio, źle się dzieje.

ZOFIA. Cóż takiego?

PORUCZNIK. Major, Rotmistrz i Kapelan, przestraszeni tém, co się stało, a bojąc się jeszcze bardziej, co ich nadal czeka, ułożyli ucieczkę.

ZOFIA. Jakto? chcą odjechać?

PORUCZNIK. Tak jest, tajemnie. Idź, powiedz to matce; tylko nie mów, że wiesz odemnie. Ja także z niemi muszę się wybierać.

ZOFIA. Cóż pomoże moja matka?

PORUCZNIK. Już ona sobie poradzi, tylko idź i powiedz. (*Odchodzi w przeciwną stronę*).

(*Major, Rotmistrz, Kapelan, wychodzą bardzo ostrożnie i na palcach powoli postępują; mantelzaczki pod pachą, przy pałaszach. Dają sobie znak, aby być cicho, a zszedłszy się na środku, wychodzą oglądając się i powoli. — Fruzia, a potem Józia i Zuzia przebiegają ze drzwi do drzwi jak w scenie drugiej*).

SCENA VI.

ORGONOWA, DYNDALSKA, ANIELA, FRUZIA, JÓZIA, ZUZIA (*wybiegają ze swoich pokojów; za każdą służąca kończąca ubierać. Stają bez tchu na przodzie sceny wkoło tuż koło siebie; żadna przemówić nie może; chwila milczenia*).

DYNDALSKA (*odetchnąwszy*). Chcą uciekać!

ANIELA. Uciekać!

ORGONOWA. ...ciekać!

DYNDALSKA. Nie puszczać!

ORGONOWA. Biegaj, Dyndalsiu!

DYNDALSKA. Skocz, Anielko!

ANIELA (*do dziewcząt*). Biegajcie!

ORGONOWA. Czekaście!... proście... Major niech tu przyjdzie... Nie odstępujcie go i kroku... biegajcie!

SCENA VII.

ORGONOWA, DYNDALSKA, ANIELA (*siadają*).

ORGONOWA. Ten nic nie znaczy.

ANIELA. Nie wierz temu siostruniu.

ORGONOWA. Już ja ci ręczę. On ani pomoże, ani zaszkodzi. Jest, czy go niema, wszystko jedno. Ale ci starzy, ci starzy, jak zaczną ruszać wąsiskami, toby w ogień wlał jeden za drugim.

DYNDALSKA. Póki będą z sobą, póty próżne nasze starania. My gadamy, gadamy, a pan kolega kiwnie głową; i jużci po wszystkimu.

ORGONOWA. Rotmistrz najstraszniejszy.

ANIELA. Kiedy tak... poświęcę się waszemu dobru: pójdę za niego.

DYNDALSKA. Ależ on ma rozum, kochany aniołku.

ANIELA. A dowcip waćpani.

ORGONOWA. Niech się stara mu podobać... albo go podbije, albo go wystraszy; zatém zawsze dobrze.

ANIELA. Chcę wam służyć mimo waszych uragań i obaczycie, że swego dokażę.

ORGONOWA. Majora rozczulać.

DYNDALSKA. Nie dać mu odetchnąć.

ORGONOWA. Ani momentu; jak go zmęczymy, to na wszystko przystanie. Ja go znam dobrze.

DYNDALSKA. Kapelana z obydwoma poróżnić.

ORGONOWA. Ile możności mu dokuczać.

DYNDALSKA. Zręcznie słówko wsunięte najlepszych często poróżni przyjaciół.

ORGONOWA. Już ja biorę na siebie; na waszém świadectwie polegam.

ANIELA. Otóż i Major.

SCENA VIII.

ORGONOWA, DYNDALSKA, ANIELA, MAJOR I DZIEWCZĘTA.

(Fruzia wchodzi poważnie, za nią Major, za nim Józia i Zuzia; zostają przy drzwiach chichotając się między sobą. Chwila milczenia. Na znak Orgonowej dziewczęta odchodzą.)

ORGONOWA. Witamy z podróży. *(Major się kłania.)*

DYNDALSKA *(po krótkim milczeniu)*. Gdzie się pan brat wybierał?

MAJOR. Chciałem konia przejechać.

OBGONOWA. Konia przejechać?

MAJOR. Konia przejechać.

ORGONOWA. Tak, mały spacer zrobić?

MAJOR. Mały spacer zrobić.

ORGONOWA. I wrócić?

MAJOR *(z wstchnieniem)*. I wrócić.

ORGONOWA. Prędko?

MAJOR. Tak... to jest... nie wiem... bo to...

ORGONOWA. Naco to udawać? lepiej prawdę powiedzieć.

MAJOR. Dobrze waćpani mówisz, nie umiem i nie chcę udawać.
(*wstają*).

ORGONOWA. Chciałeś nas więc odjechać?

MAJOR. Chciałem.

ORGONOWA. Same zostawić?

MAJOR. Same zostawić.

ORGONOWA. Tajemnie?

MAJOR. Bez pożegnania.

ORGONOWA. Do tego stopnia posunąłeś niegrzeczność.

MAJOR. Mylisz się waćpani; to nie była niegrzeczność.

ORGONOWA. Tylko uprzejmość.

MAJOR. Nieinaczéj.

ORGONOWA. W nowym wcale sposobie; gości w domu odjeżdżać.

MAJOR. Myślałem, że im beze mnie lepiej będzie. Nie umiem, przyznam się, dam przyjmować, i przy najlepszej chęci mógłbym nabroić z niewiadomości wiele złego. Już raz z mojej winy dostałyście mdłości; któż ręczy, że nie pomrzecie, jak was jeszcze lepiej uczyć zechcę? Mógłsem zgadnąć, że konie powiększają spazmy, proch dreszcz a pałasze kolki? I mogeż wiedzieć, czego wam trzeba, a czego nie trzeba?

ORGONOWA. Wszystkobyś wiedział, gdybyś był kontent z naszego przybycia. Ale niestety! siostry kochające cię... siostry dawno cię niewidzące...

DYNDALSKA. Uścisknione brata uściskać...

ORGONOWA. Mimo wszelkich trudności, wybierają się do ciebie...

DYNDALSKA. W najniegodziwszą drogę...

ANIELA. Ugrzęzłyśmy dwa razy.

MAJOR (*z westchnieniem na stronie*). Ach, któż was wyciągnął na moje biedę?

ORGONOWA. Przyjeżdżają zająć się twojém szczęściem...

DYNDALSKA. Troskliwie o twoje dobro...

ORGONOWA. I tak je przyjmujesz?

ANIELA. Chcesz porzucić.

ORGONOWA. Uciekasz od nich.

DYNDALSKA. Bez względu na ich słabe zdrowie...

ORGONOWA. Nerwy nadwreżone.

DYNDALSKA. Taką to miłość braterska!

ORGONOWA. Taka wdzięczność! ach, to boli! (*zaczyna płakać*).

MAJOR. Ale, moja pani siostro...

DYNDALSKA. Niewdzięczność, i od brata! (*zaczyna płakać*).

MAJOR (*do Dyndalskiej*). Ale, pani siostro...

ANIELA. Odpycha serca nasze! (*zaczyna płakać*).

MAJOR. Ale moja panno siostró...

ORGONOWA. Bądźże tu uczynną; ach! ach!

DYNDALSKA. Ach! ach!

ANIELA. Ach! ach!

DYNDALSKA (*rzucając się na krzesło*). Kolki!

ANIELA (*podobnie*). Słabo mi.

ORGONOWA (*podobnie*). Spazmy!

MAJOR. Tylko nie mdleście, dla Boga! (*milczenie*) Mdleją; co tu robić? Hej! jest tam kto?... wody! wódki! octu!... czy pogłuchli... Grzesiu! Grzesiu! (*wracając się ku nim*) Mdleją! co robić?... Grzesiu, wystrzel z moździerza! (*zrywają się wszystkie*).

ORGONOWA. Nie wystrzel, nie wystrzel!

DYNDALSKA. Dla Boga! nie wystrzel.

ANIELA. Już mi trochę lepiej.

MAJOR. Moje panie siostry, gadajcie, róbcie, co chcecie, tylko nie mdlejcie; bo do wszystkich dyabłów...

ANIELA. Ach, fi! co za brzydkie słowo!

MAJOR. Widzisz Waćpanna, że ani dam przyjmować, ani z niemi umiem rozmawiać. Jednak co każecie, wypełnię, prócz jednego ożenienia; tém służyć nie mogę. (*Dyndalska i Aniela, którym Orgonowa szepnęła, wychodzą do jej pokoju*).

SCENA IX.

ORGONOWA, MAJOR.

ORGONOWA. Któż Waćpana do ożenienia zmusić może? Kto Waćpana ciągnie do ołtarza? Wszak wszystko od twojej woli zależy i tylko uprzejmości trochę od ciebie żądamy. Bądź z nami dni kilka, wierz, że szczerze radzimy, nie słuchaj kolegów i staraj się poznać Zosię.

MAJOR. Na co to się wszystko przyda?

ORGONOWA. Przynajmniej jedno słowo przemów do niej. Dlaczegoż tak niemiłosiernie gardzisz tém biednym dziecięciem! Płacz biedaczka utulić nie może.

MAJOR. Znowu płacz; a to wszyscy...

ORGONOWA. Otóż i ona... (*Zofia przychodzi*) Zostawiam was sam na sam; spodziewam się, że się sobie podobacie. (*do Majora na stronie*) Mięj wzgląd na jej młodość. (*do Zofii na stronie*) Bądź rozsądna, o twój los idzie.

SCENA X.

MAJOR, ZOFIA. (*chwila milczenia*)

MAJOR. Mościa panno...

ZOFIA. Kochany wuju.

MAJOR (*łagodnie*). Moja panienko.

ZOFIA. Co każeś?

MAJOR (*łagodnie*). Moja Zosiu.

ZOFIA. Słucham.

MAJOR (*na stronie*). Dyabli nadali taką sprawę! (*do Zofii*) Zapewne... bez wątpienia... oczywiście... wiesz to... ten... to jest, zamiar twojej matki względem... względem...

ZOFIA. Wiem.

MAJOR. Cóż ty na to?

ZOFIA. Ja, nic.

MAJOR. Mów szczerze.

ZOFIA. Szczerze mówię. (*na stronie*) Pierwsze kłamstwo.

MAJOR. Więc nic?

ZOFIA. Nic.

MAJOR (*na stronie*). Rzecz dziwna! (*do Zofii*) Jednak cię to trochę martwi?

ZOFIA. Bynajmniej.

MAJOR. Widzę z oczów.

ZOFIA. Mylisz się Waćpan dobrodziej.

MAJOR. Mylę się? (*na stronie*) Rzecz dziwna! Jakto tój biedacze powiedziéć: ja ciebie nie chcę? czy dyabli nadali! (*do Zofii, po krótkim myśleniu*) Moja panienko, chciałbym, abyśmy się mogli zrozumiéć.

ZOFIA. I ja tego jedynie pragnę.

MAJOR. Dla dobra nas obojga.

ZOFIA (*na stronie*). Ach, Edmundzie, Edmundzie, jakże trudną mi dales rolę!

MAJOR. Twój los szczerze mnie zajmuje.

ZOFIA (*na stronie*). I ja go muszę zwodzić!

MAJOR. Powiedz mi więc: chcesz iść za mąż?

ZOFIA. Tak jest.

MAJOR. Za mnie?

ZOFIA (*po krótkim wahaniu się, cicho*). Tak jest.

MAJOR. To nie dobrze.

ZOFIA. Dlaczego?

MAJOR. Dlaczego?

ZOFIA. Tak jest, dlaczego nie dobrze?

MAJOR. Zdaje mi się, że Waćpanna możesz to łatwo zmiarkować.

ZOFIA. Wcale nie.

MAJOR. Przynajmniej, dobrego nie nie widzisz?

ZOFIA. I owszem.

MAJOR. I owszem? (*na stronie*) Rzecz dziwna! (*do Zofii*) Muie się zdaje, że nie byłabyś szczęśliwą.

ZOFIA. Od niego to zależeć będzie.

MAJOR. Ach, nietylko od mojej woli zależeć będzie, ale i od wielu, wielu okoliczności.

ZOFIA. Tych trudno przewidzieć.

MAJOR. Po części, moja panienko, po części. Nigdy nie zgłębiałem, co stanowi istotne szczęście w małżeństwie; mniemam jednak, że dwie osoby dobieierać się powinny, jak para koni; równy chód, równy zwrot, równy ogień, wtedy dobrze się jedzie a mniej się morduje. Ale kiedy jeden bystry a drugi leniwy, ten miękki, tamten twardo-usty, ten ciągnie, tamten skacze, to dyabła warto! prawda, panienko? Powiedzże mi teraz Waćpanna, jakbyśmy się pobrali, do której pary koni będziemy podobni? do pierwszej, czy do drugiej? — Podobność do drugiej: Waćpanna-byś biegła, ja się już potykam; Waćpanna byś skakała, ja już pokaszluję. Śmieję się, śmieję; lepiej śmiać się, niż głupstwo zrobić.

ZOFIA. Nie myśl, ale porównanie rozśmieszyło mnie trochę.

MAJOR. Więc bez porównania. Waćpanna młoda, lubisz bawić się, i dobrze, że lubisz, bo to na to pora. Potrzebujesz zatem męża, coby się także lubił bawić; coby cię woził po spacerach, ucztach, balach, teatrach, coby po nocy na piszczałce przygrywał gdzieś tam nad strumykiem, gdzieś tam przy księżycu, jak to tam w waszych romansach opisują. A ja, moja panienko, nie do tego: w dzień służbę zajęty, wieczór fajkę palę a w nocy chrapię, aż się okna trzęsą.

ZOFIA. Czyliż tylko uciech i rozrywek w małżeństwie upatrywać trzeba? Jestże młodość wieczną, abyśmy zapominali o późniejszym wieku? Za nic-że liczyć uczciwość, łagodność, stałość charakteru tego, z którym mamy przebyć jak wiosnę tak i zimę życia naszego? Męskimi tylko cnotami mężczyźni zyskać mogą nasze serca. Dobra sława męża jest także sławą żony, a jednostajna spokojność jest podług mnie istotnym szczęściem.

MAJOR. Bardzo rozsądnie, bardzo, bardzo rozsądnie; z tém wszystkiem mój wiek...

ZOFIA. Wiek doświadczenia.

MAJOR. Niektóre dolegliwości...

ZOFIA. Któż bez nich?

MAJOR. Moje wady...

ZOFIA. Któż ich niema?

MAJOR. Ja sam czuję, że można być grzeczniejszym, przyjemniejszym w towarzystwie. Trudno mi się będzie odmienić; nie umiem w bawelnę obwijać.

ZOFIA. Dowodzi otwartość.

MAJOR. Przykrą czasem bywa ta żołnierska otwartość.

ZOFIA. I owszem.

MAJOR. I owszem? *(na stronie)* Rzecz dziwna! dziewczyna młoda, ładna a rozsądna... rzecz dziwna! *(do Zofii)* Ale, moja panienko, nie mówiąc do ciebie, wiele bardzo idzie za mąż dla zyskania wolności... wolności... rozumiesz Waćpanna, jak ja to rozumiem? Jeśli więc na męża niestworzony, to tém więcej na takiego, coby cierpiał pewne figle.

ZOFIA. Zbytecznej wolności, wolności bez granic nie pragnę, ale i niewoli w małżeństwie nie spodziewam się znaleźć; wzajemne we wszystkim obowiązki rządzić powinny.

MAJOR. Bardzo rozsądnie. *(na stronie)* I chce pójść za mnie... rzecz dziwna! *(do Zofii)* Z tém wszystkim... ja myślę... że potrzebaby...

ZOFIA *(śmiejąc się)*. Wyraźnie, wyraźnie, kochany wuju.

MAJOR *(na stronie)*. Rozsądna!... chce pójść za mnie, żal mi ją zmartwić. *(do Zofii)* Bo widzisz, moja Zosiu, że...

ZOFIA. Na co przyczyn szukać? nie znasz mnie jeszcze Waćpan Dobrodziej... to dosyć... ale mnie poznać możesz... zostawmy więc czasowi a mam nadzieję zyskać na tém.

MAJOR. Nie trudno ci to będzie, moja Zosiu.

ZOFIA. Czy tak?

MAJOR *(zbliżając się)*. Z temi oczkami.

ZOFIA. O! nie o tém mowa.

MAJOR. Z tą buzią.

ZOFIA. O, bardzo proszę.

MAJOR *(biorąc ją za rękę)*. Z tą rączką.

ZOFIA. Panie Majorze!

MAJOR *(obejmując ją)*. Z tym kształtem, z temi...

ZOFIA. Dla Boga, co to jest?

MAJOR. Ja się sam dziwię.

ZOFIA. Spodziewam się.

MAJOR. Wszystkiego się spodziewaj.

ZOFIA *(wyrzuwając się)*. Ach, tego nadto!...

MAJOR. Jeszcze mało!... *(Zofia wybiega do swojego pokoju)*.

SCENA XI.

MAJOR (*prostując się*). Ech! ech, że mi teraz uszła! (*chodzi prostując się*) Odmłodniałem, odmłodniałem... dalibóg czuję, że odmłodniałem... i niedziw; luba dziewczyna, ładna dziewczyna, rozsądna, gwałtem chce iść za mnie!... Gdybym się ożenił?... Niech się co chce dzieje... Nie, to nie; niech się nie dzieje, co chce... ale ja... tylko że to... bo znowu z drugiej strony... ale jednak... nareszcie w przypadku... a dyabła tam, źle! Co tu robić?

SCENA XII.

MAJOR, DYNDALSKA.

DYNDALSKA. No, panie bracie, jakże stoją interesa?

MAJOR. Różnie, różnie.

DYNDALSKA. Zosia pomieszana, Waćpan zamyślony; dobry znak.

MAJOR. Znak nie zły, za prawda.

DYNDALSKA. Jakże ci się podobała?

MAJOR. Ładna dziewczyna, niema co mówić.

DYNDALSKA. A widzisz.

MAJOR. Miła.

DYNDALSKA. A widzisz.

MAJOR. Dobra.

DYNDALSKA. A widzisz.

MAJOR. Rozsądna.

DYNDALSKA. Nie mówiłam?

MAJOR. Bardzo rozsądna.

DYNDALSKA. To wszyscy wiedzą.

MAJOR. Gwałtem chce iść za mnie.

DYNDALSKA. Gwałtem.

MAJOR. To nie źle.

DYNDALSKA. Bardzo dobrze.

MAJOR. Ale z drugiej strony...

DYNDALSKA. Niema drugiej strony... Podobała ci się?

MAJOR. Podobać się, podobała.

DYNDALSKA. Więc się żeń.

MAJOR. Żeń się, łatwo mówić.

DYNDALSKA. Cóż ci przeszkadza?

MAJOR. Co przeszkadza?

DYNDALSKA. Na przykład?

MAJOR. Zgadnij Waćpani.

DYNDALSKA. Nie chcę zgadywać.

MAJOR. Lat pięćdziesiąt sześć.

DYNDALSKA. Fraszki.

MAJOR. Jój lat ośmnaście.

DYNDALSKA. Fraszki.

MAJOR. Złe stąd skutki.

DYNDALSKA. Fraszki.

MAJOR. A, dyabła tam fraszki!

DYNDALSKA. Kobiety prędko się starzeją.

MAJOR. No, to prawda.

DYNDALSKA. Zosia ma lat ośmnaście?

MAJOR. Ośmnaście.

DYNDALSKA. Za dziesięć lat będzie miała dwadzieścia ośm.

MAJOR. To prawda.

DYNDALSKA. Za piętnaście, trzydzieści trzy.

MAJOR. Prawda.

DYNDALSKA. I już po młodości.

MAJOR. I to prawda.

DYNDALSKA. Cóż za wielka różnica między wami?

MAJOR. A jużei!

DYNDALSKA. Żadnej.

MAJOR. Jest, jest, niema co mówić.

DYNDALSKA. Bardzo mała. A potem Waćpan nie masz pięćdziesięciu sześciu lat.

MAJOR. A mam, mam.

DYNDALSKA. Ale nie masz.

MAJOR. Przecież muszę wiedzieć.

DYNDALSKA. Ale ja mówię, że nie masz.

MAJOR. Mylisz się, mylisz.

DYNDALSKA. Ale nie myślę.

MAJOR. Mam metrykę.

DYNDALSKA. Nic nie znaczy. Aniela ma czterdziesty, a ja czterdziesty drugi kończę, pani Orgonowa zacznie czterdziesty szósty, a Waćpan o cztery lata starszy, więc masz rok pięćdziesiąty; rzecz jasna.

MAJOR. Chyba myłka w metryce.

DYNDALSKA. Pewnie.

MAJOR. No, pięćdziesiąt, to co innego.

DYNDALSKA. A potem, powiedz mi, czy nigdy ci się nie trafiało widzieć szczęśliwe małżeństwo, a nierównego wieku.

MAJOR. I owszem. Właśnie niedawno pan Prezes Radosław ożenił się z młodą osobą.

DYNDALSKA. I kontent?

MAJOR. Kontent.

DYNDALSKA. Szczęśliwy?

MAJOR. Szczęśliwy... tylko mówią, że jego własny sekretarz...

DYNDALSKA. Sekretarz, sekretarz; ale ty nie masz sekretarza.

MAJOR. I to prawda. A! a! pan Fontaziński od trzech lat z młodziuchną żoneczką...

DYNDALSKA. Żyją dobrze?

MAJOR. Dobrze... A dyabła tam! zapomniałem, przeszłego roku musiał się rozwieść i jeszcze za rozwód zapłacić.

DYNDALSKA. Ależ bo wyszukujesz przykłady...

MAJOR. Młody Radost, coto się dla dożywocia ożenił...

DYNDALSKA. Żyje szczęśliwie.

MAJOR. Żył dosyć szczęśliwie, tylko że wkrótce zwaryował i zamknąć go musiano.

DYNDALSKA. Na cóż szukać daleko. Wiesz, w jakim wieku był nieboszczyk Dyndalski, kiedym szła za niego; jednak, Bóg widzi, nie miał przyczyny narzekać na mnie.

MAJOR. To prawda. Ale też nieboszczyk był zawsze jak nieboszczyk: Waćpani robiłaś, coś chciała.

DYNDALSKA. Poczciwa dusza! Wreszcie, on tak chciał, a Waćpan jak zechcesz, to żona będzie robiła, co jemu się podoba; wszystko zależy od układu.

MAJOR. I to prawda... niema co mówić... wszystko od układu zależy.

DYNDALSKA. Pójdę więc...

MAJOR. Ale czekajno...

DYNDALSKA. Spuść się na mnie.

MAJOR. Ale bo...

DYNDALSKA. Bądź spokojny.

MAJOR. Nareszcie...

DYNDALSKA. Rzecz skończona.

MAJOR. Tylko niech to jeszcze między nami zostanie, muszę wprzód...

DYNDALSKA. Z koleżkami się naradzić.

MAJOR. Oczywiście.

DYNDALSKA. Niepotrzebnie.

MAJOR. O, proszę...

DYNDALSKA. Niech i tak będzie. *(na stronie)* Nie traćmy czasu. *(odchodzi)*.

SCENA XIII.

MAJOR *(sam)*. No, kiedy mi kto co do rozumu powie, to i ja umiem ustąpić, nie jestem uparty. Nie utrzymuję złego, dlatego aby nie

przyznać, że się dotąd błędziło... Luba dziewczyna!... Ale ci co powie-
dzę?... hm, hm, hm... Miła dziewczyna!... Otóż i oni; trochę na-
trętni, prawdę mówiąc.

SCENA XIV.

MAJOR, ROTMISTRZ, KAPELAN, PORUCZNIK.

MAJOR (*z przymuszonym uśmiechem*). Chcą mnie gwałtem ożenić,
ale to powiadam wam, gwałtem.

ROTMISTRZ. One myślą, że trafiły na swego, z którym zrobią, co
zechcą, którego za nos będą wodzić, (*Major marsa stawia*) gdzie im
się podoba.

PORUCZNIK. Niech sobie daremnie głowy nie łamią. Ale zabawić
tu z nami mogą.

MAJOR. Mam lat pięćdziesiąt.

ROTMISTRZ (*odpowiadając Porucznikowi*). Pewnie, że mogą, bo je
trudno minami wysadzić.

MAJOR. Rozsądna weale dziewczyna.

PORUCZNIK (*odpowiadając Rotmistrzowi*). Nawet nie należy im zu-
pełnie odejmować nadziei dopięcia zamiaru. Niech się same powoli
domyślą.

MAJOR (*z przymuszonym śmiechem*). Koniecznie chce iść za mnie.

ROTMISTRZ. Nie dowodzi wielkiego rozsądku.

MAJOR. Mam lat pięćdziesiąt.

PORUCZNIK (*odpowiadając Rotmistrzowi*). Kto wie, co ją zmusza;
może rozkaz matki... może chęć stania się jej pomocną...

MAJOR. Gwałtem chcą mnie ożenić.

KAPELAN. Nie uchodzi, nie uchodzi.

ROTMISTRZ. Ale to każdy wie.

MAJOR. Bardzo rozsądna.

ROTMISTRZ. Co tam rozsądna, rozsądna... jakby tu szło tylko
o rozsądek.

MAJOR. No, prawdę mówiąc, rozsądek rzecz nie mała.

ROTMISTRZ. Chcesz więc się żenić?

MAJOR. Tego jeszcze nie mówię.

ROTMISTRZ. Jeszcze? ale z czasem?...

MAJOR. Należy wszystko rozważyć... wszystko od układu zależy...
Mam lat pięćdziesiąt.

PORUCZNIK (*na stronie*). Cóżto za odmiana? truchleję, to być nie
może! (*do Majora*) Nie żartuj sobie z nas Majorze; znamy cię dobrze.
Rotmistrz zapala się daremnie, ja gardło moje stawię, że nigdy nie
zrobisz takiego szaleństwa.

MAJOR. Co to szaleństwa! szaleństwa! Proszę być grzeczniejszym, panie poruczniku!... Szaleństwa!

KAPELAN. Porucznik dobrze mówi. Mój Majorze, mój Majorze...

MAJOR. Mój Kapelanie, mój Kapelanie, gadaj prędzej, albo nie gadaj wcale.

ROTMISTRZ. Żenisz się więc?

MAJOR. Żenię czy nie żenię, a szaleństwem mojej czynności nikt nazwać nie ma prawa, i kwita.

KAPELAN. Ale kiedy nie uchodzi..

MAJOR. Co mnie kto ma uczyć, co uchodzi albo nie uchodzi!

KAPELAN. Rób, co chcesz. (*odchodzi*)

PORUCZNIK (*do Kapelana*). Zaczekaj, pójdziemy razem; jeszcze słowo. (*do Majora*) I szczerze to mówisz? bez żartów?...

MAJOR. Nie mam potrzeby sprawiać się przed nikim. (*Porucznik odchodzi z Kapelanem*) Hm! szaleństwo! szaleństwo! jaki do rady!

SCENA XV.

MAJOR, ROTMISTRZ.

ROTMISTRZ. Nie masz się czego gniewać; chciałeś rady, bierz-że taką, jaką dają.

MAJOR. Co innego rada, co innego nagana. Jeślim dotychczas miał fałszywe wyobrażenie o małżeństwie, nie widzę konieczności, abym je do śmierci zachował. Piękna-to rzecz stan wojskowy, ale sprzykrzyć się z czasem może: wolność, wolność głosim a zawsześmy pod rozkazami, i na końcu staremu choremu niema komu i poduszki pod głowę położyć. I cóżto tak straszego mieć miłą, lubą, dobrą, młodą osobę zawsze koło siebie, co o nas pamięta, co nas głaszcze, cacka, pieści; cóż to tak straszego? I dlatego żem nie uparty, mam być szalonym! szalonym? Szalony, kto inaczej myśli. Prawda?

ROTMISTRZ. Nieprawda.

MAJOR. Nieprawda?

ROTMISTRZ. Nieprawda.

MAJOR. Bądź zdrów.

ROTMISTRZ. Najniższy. (*Major odchodzi*)

SCENA XVI.

ROTMISTRZ.

ROTMISTRZ. Przyjechało ich trzy jak jedna, z kotami, mopsami, srokami, małpami, i jak zaczęły, tyr tyr tyr, tur tur tur, tyr tyr tyr... z rozumnego człowieka głupiec. Jemu się żenić i żenić z dzieckiem!

Kiedy już tak zachciał koniecznie, niechby sobie poszukał co dojrzałszego... tylko że to... hm hm... (*siada*)

SCENA XVII.

ROTMISTRZ, ANIELA.

ANIELA. Dobrze, że tu zastaję Waćpana. Jak też możesz być tak spokojnym będąc przyjacielem Majora? jak możesz zezwalać na jego ożenienie?

ROTMISTRZ (*po krótkim milczeniu zadziwiony*). Nie zezwalam.

ANIELA. Ale nie starasz się odwieść od tego szalonego zamiaru.

ROTMISTRZ. Zabronić nie mogę.

ANIELA. Potrzeba jemu odmiany losu? niech mi kto powie.

ROTMISTRZ. Zapewne, że nie.

ANIELA. Cóż przyjemniejszego nad stan wojskowy?

ROTMISTRZ. Zapewne.

ANIELA. Podległy tylko swemu obowiązкови.

ROTMISTRZ. Zasluga jawna, ta za mną mówi, nie potrzebuję łaski niczyj.

ANIELA. Nigdy sam, nigdy opuszczony.

ROTMISTRZ. Zawsze w towarzystwie...

ANIELA. Przyjaciół doświadczonych. Bo gdzież lepiej poznać człowieka jak w trudach, biedzie, niebezpieczeństwie?

ROTMISTRZ. To prawda.

ANIELA. Tam nie popłacają wykształcone słówka.

ROTMISTRZ. Ho, ho!

ANIELA. Tam działać potrzeba.

ROTMISTRZ. Jak na męża przystoi.

ANIELA. I na dobrego żołnierza; źle albo dobrze, ale otwarcie.

ROTMISTRZ. Prostą drogą i śmiało.

ANIELA. Nigdy się nie bać.

ROTMISTRZ. I samego dyabła!

ANIELA. Ach! (*pomarkowawszy się*) O tak, tak .. szczęśliwy, szczęśliwy, kto ten stan obrał. Ach, gdybym nie była kobieta, byłabym żołnierzem całe moje życie.

ROTMISTRZ. Proszę! (*na stronie*) Do rzeczy kobieta.

ANIELA. Raz nawet myśl mi przychodziła, ale to dawniej, ukryć pleć moję, przywdziać mundur i stanąć w szeregu huzarów.

ROTMISTRZ. W szeregu huzarów, i ukryć... (*na stronie*) Rzadka kobieta.

ANIELA. Ale tylko w kawalerii chciałabym służyć.

ROTMISTRZ. W kawalerii?

ANIELA. Tak konie lubię.

ROTMISTRZ. Konie pani lubisz?

ANIELA. Szalenie.

ROTMISTRZ. To rozumu dowodzi.

ANIELA. Sama nawet konno jeżdżę.

ROTMISTRZ. Konno jeździsz? (*na stronie*) Co to za kobieta!

ANIELA. Co to za uciecha dobrego dosiąść rumaka, a jeszcze młodego, trochę dzikiego.

ROTMISTRZ (*z wzrastającym zapalem*). Uczyc go prawie chodzić.

ANIELA. Powoli.

ROTMISTRZ. Cierpliwie jak z dzieckiem.

ANIELA. Potem żwawiej.

ROTMISTRZ. A ostrożnie.

ANIELA. Klusować.

ROTMISTRZ. Niech się wyciąga.

ANIELA. Galopować.

ROTMISTRZ. W koło, w prawo, w lewo.

ANIELA. Spiąć ostrogą.

ROTMISTRZ. A to na co?

ANIELA. Czasem, czasem.

ROTMISTRZ. Ale na co?

ANIELA. Tak... ale...

ROTMISTRZ. Chyba że uparty, i to...

ANIELA. Tak, tak, kiedy uparty, i to...

ROTMISTRZ. Ostrożnie.

ANIELA. O, ostrożnie.

ROTMISTRZ. Bo można znarowić.

ANIELA. O, można znarowić. Cały dzień siedziałabym w stajni: tego, to tamtego, to znowu tego kazałabym przejeżdżać lub sama przejeżdżała. Co to za rozkosz!

ROTMISTRZ (*na stronie*). Na honor, rzadka kobieta.

ANIELA. A potem wieczór fajeczkę zapalić.

ROTMISTRZ. Ten smak trudno damom pojąć.

ANIELA. Jakto? Alboż jedna, ja pierwsza tytuń lubię.

ROTMISTRZ. Lubisz pani?

ANIELA. Sama palę.

ROTMISTRZ. Samą tytuń pali! (*na stronie*) Co to za kobieta! co to za kobieta!

ANIELA. Tak mam odrębne gusta od całej płci mojej, żem dotąd za mąż pójść nie chciała. Ci miejscy panicze pragną, aby żona tylko się stroiła, bawiła, kręciła, trzpiotała, nie mogą pojąć kobiety, coby lubiła życie obozowe.

ROTMISTRZ. Szalone głowy.

ANIELA. Marsze, koczowania, ruch, pracę...

ROTMISTRZ. Lecz czemuż pani wojskowego rączką swoją nie zaszczyliła?

ANIELA. Sama płocha młodzież trafiła mi się tylko.

ROTMISTRZ. Sama płocha młodzież.

ANIELA. Nikt w wieku rozsądnym.

ROTMISTRZ. Nikt w wieku rozsądnym.

ANIELA. Coby cenil mój sposób myślenia.

ROTMISTRZ. Być nie może.

ANIELA (*dotykając jego ręki*). Serca żołnierzy z kamieni.

ROTMISTRZ (*całując w rękę*). Nie zawsze.

ANIELA. Niewzruszone, twarde.

ROTMISTRZ. I lód twardy a przecie się topi od słońca. (*całuje w rękę*)

ANIELA (*niby wyrywając rękę*). Fi, Rotmistrzu.

ROTMISTRZ. Nic złego.

ANIELA. Ach, jak mi gorąco.

ROTMISTRZ (*do siebie*). Co to za kobieta!

ANIELA. Chodźmy do ogrodu, tam chłodniej.

ROTMISTRZ. Może do stajni?

ANIELA. O, potem, później.

ROTMISTRZ. Może fajeczkę?

ANIELA. Później, później.

ROTMISTRZ. Idę, gdzie każesz. (*do siebie*) Co to za kobieta! Co to za kobieta!

A K T III.

Tenże sam pokój, w kwiaty ozdobiony.

SCENA I.

FRUZIA, JÓZIA, ZUZIA. (*Fruzia prasuje; Józia szyje; Zuzia przystraja czepeczek na tureckiej głowie*).

FRUZIA. Cóż ty, Józiu, na to?

JÓZIA. Na co?

FRUZIA. Na tych naszych panów. Jakiśmy przyjechały, jakto się patrzyło, jakto się srożyło!

JÓZIA. Jak gdyby nas połknąć chcieli.

ZUZIA. Żaden dobrego słowa nie przemówił.

FRUZIA. A teraz jak baranki.

JÓZIA. Na jedwabiu możnaby prowadzić każdego.

FRUZIA. Dobrze moja matka mawiała, że kobiety rządzić stworzone.

JÓZIA. Ale czemu nie rządzą?

FRUZIA. Jakie ty dziecko! albożto jedno złe na tym świecie?

ZUZIA. Już ja bym tu i rządzić nie chciała.

JÓZIA. O, i ja nie; mnie strach bierze, jak spotkam którego, a zwłaszcza Majora.

FRUZIA. Mnie się zdaje, że gdybym była najodważniejszym żołnierzem, tobym zaraz uciekła, jakbym go tylko zobaczyła. Co to za wąsy! dla Boga!

JÓZIA. A Rotmistrz jeszcze straszniejszy ze swojemi miotłami (*pokazując*). Jak jedna idzie do góry, to druga na dół; to znowu tamta na dół a ta do góry; aż dreszcz przechodzi.

FRUZIA. To prawda, że tu między temi wąsiskami, człowiek jak w lesie.

ZUZIA. Obrzydle huzary!

FRUZIA. A, dajno pokój, Zuziu, Porucznik...

ZUZIA. A, Porucznik.

JÓZIA. A, Porucznik. Ten wart być Pułkownikiem.

FRUZIA. A jaki swawolny, fe!

JÓZIA. Mnie się o to pytaj.

ZUZIA. Jakie wy szczęśliwe; do mnie i nie zagadał.

JÓZIA. Ale zato pan Grzegorz.

ZUZIA (*śmiejąc się*). To mój kochanek.

FRUZIA (*śmiejąc się*). I mój także.

JÓZIA (*śmiejąc się*). Muszę go wam odebrać.

FRUZIA. Pst!

SCENA II.

FRUZIA, JÓZIA, ZUZIA, GRZEGORZ. (*po krótkim milczeniu*)

FRUZIA. Czemuż pan Grzegorz tak smutny?

GRZEGORZ. Ach!

FRUZIA. I wzdycha.

JÓZIA. Pewnie się kocha.

GRZEGORZ. Ach!

ZUZIA. Szczęśliwa ta, co się podobać umiała.

GRZEGORZ (*na stronie*). Która tu ładniejsza?

FRUZIA. Kochasz się więc Waćpan?

GRZEGORZ. Kocham, dalibóg Kocham.

FRUZIA. Czemuż się nie żenisz?

GRZEGORZ. Myślę, dalibóg myślę.

JÓZIA. Czy jeszcze co przeszkadza?

GRZEGORZ. Nie wiem, czy mnie zechcą.

FRUZIA. Którażby nie chciała!

JÓZIA. Tylko że z Waćpana wielki trzpiot być musi.

GRZEGORZ. Nie, nie, wierz mi Waćpanna, że nie.

FRUZIA. Motylek płochy, niema i wątpienia.

GRZEGORZ (*na stronie*). Nie rozumiem.

FRUZIA (*kiwając głową*). Jakibyto był los biednej żony.

GRZEGORZ. Dlaczego biednej? Mojej żony los byłby najprzyjemniejszy.

FRUZIA, JÓZIA, ZUZIA (*otaczając go; ironicznie przez całą scenę*). Najprzyjemniejszy.

GRZEGORZ. Zaraz po ślubie wróciwszy do pułku, kupiłbym jéd ładnego... konika.

FRUZIA, JÓZIA, ZUZIA (*klaszcząc w ręce*). Konika, ach, konika!

GRZEGORZ. Potém porządną, mocną... baryłeczkę.

FRUZIA, JÓZIA, ZUZIA (*jak wprzódy*). Baryłeczkę, ach, baryłeczkę! GRZEGORZ. I piękny, z przykrywką, zamykany... koszyk.

FRUZIA, JÓZIA, ZUZIA. Koszyk, koszyk! ach to pięknie! to ślicznie! GRZEGORZ. Miałaby trunki i żywność. A że jestem dobrze znany

panom oficerom, moja żonaby im tylko dostarczała.

JÓZIA, ZUZIA. Ach to pięknie! to ślicznie!

FRUZIA. Ale panie Grzegorzu, a w czasie wojny, jak będzie?

GRZEGORZ. Właśnie, wtenczas najlepiej.

FRUZIA. Ale strach!

GRZEGORZ. Gdzie tam strach! To jest, co może być najpiękniejszego. Proszę widzieć, kiedy szwadron huzarów na harc wyjedzie.

FRUZIA. Na harc, słyszycie?

GRZEGORZ. Pif paf, pif paf!

FRUZIA, JÓZIA, ZUZIA. Pif paf.

GRZEGORZ. Dalej picchota: brr... brr...

FRUZIA, JÓZIA, ZUZIA. Br... br...

GRZEGORZ. Tu znowu armaty: bom... bom...

FRUZIA, JÓZIA, ZUZIA. Bom... bom... (*biegnąc i skacząc wkoło niego*) Pif paf... br... br... bom... bom...

GRZEGORZ (*kręcąc się wkoło i patrząc za niemi*). Lube, lube dziewczęta! Teraz żałuję, że nie jestem Turkiem.

FRUZIA. A fe, Turek.

GRZEGORZ. Ja wiem, że fe! ale tą razą dobrzeby mi było, bo mógłbym się z wami trzema razem ożenić.

JÓZIA. Chyba że tak.

DYNDALSKA (*z za sceny*). Józiu!

JÓZIA. Słucham, zaraz idę.

GRZEGORZ (*zatrzymując ją*). Zaczekaj.

JÓZIA. Nie mogę.

GRZEGORZ. Trochę.

JÓZIA. Pani woła. (*odchodzi*)

ANIELA (*z za sceny*). Zuziu!

ZUZIA. Idę.

GRZEGORZ (*zatrzymując*). Nie chodź.

ZUZIA. Muszę; do zobaczenia. (*odchodzi*)

SCENA III.

FRUZIA, GRZEGORZ.

GRZEGORZ. Ach, panno Fruziu! kochasz mnie Waćpanna?

FRUZIA. Jakże kochać, kiedyś jeszcze między nami nie wybrał.

GRZEGORZ. Ciebie wybieram, sroczko moja.

FRUZIA. Pewnie?

GRZEGORZ. Dziś się ożenię, jeśli zechcesz.

FRUZIA. O, na to dość jeszcze czasu.

GRZEGORZ. Ale moja niecierpliwość.

FRUZIA. Tak mnie mocno kochasz?

GRZEGORZ. Więcej, niż własnego mego konia. Jednak muszę ci wyznać, że ci twój los przyszedł ze mną, tylko z pięknej strony wystawił, są i niektóre. .

ORGONOWA (*z za sceny*). Fruziu!

FRUZIA. Zaraz, zaraz.

GRZEGORZ (*zatrzymując ją*). Jakże będzie?

FRUZIA. Wszystko dobrze.

GRZEGORZ. Ach, Fruziu!

FRUZIA. Ach, Grzesiu! (*wybiega*)

GRZEGORZ (*sam*). Mam, którą zechcę. Najlepiej zawsze: z miejsca nacieraj! Co to myśleć; nikt jeszcze samą myślą nie nie zrobił. I Józia ładna... i Zuzia ładna .. i Fruzia ładna... najładniejsza... ta będzie moja.

SCENA IV.

ROTMISTRZ, GRZEGORZ. (*Rotmistrz wchodzi, troskliwiej ubrany, nalezając perfumy z flaszeczki na chustkę*).

GRZEGORZ (*nie widząc Rotmistrza*). Luba dziewczyna!

ROTMISTRZ (*nie widząc Grzegorza*). Rzadka kobieta!

GRZEGORZ (*usłyszawszy*). Pan Rotmistrz ją widział?

ROTMISTRZ (*z uśmiechem*). Widziałem.

GRZEGORZ. Prawda, panie Rotmistrzu, że jak sarneczka.

ROTMISTRZ. Jak sarneczka? hm... tego nie znajduję.

GRZEGORZ. Ciągle skacze.

ROTMISTRZ. Skacze?... hm... tego nie widziałem.

GRZEGORZ. Nigdy stępo, zawsze klusem.

ROTMISTRZ. Klusem... hm... A tak, chcesz powiedzieć, że konno jeździ klusem.

GRZEGORZ. Konno jeździ?

ROTMISTRZ. Jeździ, jeździ.

GRZEGORZ. A do dyabła, za pozwoleniem, w to mi graj; to się każdemu podoba, prawda, panie Rotmistrzu?

ROTMISTRZ (*z uśmiechem*). Grześ ma rozum.

GRZEGORZ. Z taką się żenić.

ROTMISTRZ. Jaki pochlebniś.

GRZEGORZ. Dziś się jeszcze z nią ożenię. (*Rotmistrz odskoczywszy, wpatruje się w niego; milczenie*)

ROTMISTRZ. Ty?

GRZEGORZ. Ja.

ROTMISTRZ. Ty, ty?

GRZEGORZ. Jużci nie pan Rotmistrz.

ROTMISTRZ (*w złości*). Co ty gadasz?

GRZEGORZ. Ja... ja... ja...

ROTMISTRZ. Z kim ty śmiesz się żenić?

GRZEGORZ. Z Fruzią, za pozwoleniem.

ROTMISTRZ. Z Fruzią?... stary gaduła!... idź precz! (*Grzegorz odchodzi*)

ROTMISTRZ (*sam*). Oszalał, jemu się żenić... w tym wieku! Co on sobie dobrego obiecywać może?... Ale coś się panna Aniela tak spóźnia? Może już w ogrodzie... (*patrzy przez okno*) Nie widać. (*podśluchojuje pod jej drzwiami; usłyszawszy nadchodzącego, odskakuje na środek pokoju*).

SCENA V.

ROTMISTRZ, PORUCZNIK.

PORUCZNIK. Mówiłeś z Majorem?

ROTMISTRZ. Mówiłem... ale... (*wzrusza ramionami*)

PORUCZNIK. Uparty.

ROTMISTRZ. Uparty, jeśli to uporem nazwać można.

PORUCZNIK. Ktoby się był spodziewał.

ROTMISTRZ. Rozsądny człowiek, mój kochany, wszystkiego się spodziewa. (*Rotmistrz coraz bardziej roztargniony, patrzy często przez okno, odpowiadając od niechcenia*).

PORUCZNIK. Żadnej więc nadziei, aby zamysłu odstąpił.

ROTMISTRZ. Żadnej, zapewne żadnej.

PORUCZNIK. Wiem, wiem dobrze i jeszcze się pytam. Wprawdzie nie mogę mu radzić, ale i odradzać nie mogę.

ROTMISTRZ. Najlepiej.

PORUCZNIK. Będzie z nią szczęśliwy.

ROTMISTRZ. Będzie, będzie.

PORUCZNIK. Ja odjeżdżam... ale wprzód wymagam od twojej przyjaźni jednej usługi. Słuchaj mnie: przeszłej wojny... (*Rotmistrz spojrzawszy w okno, nagle wybiega*) Cóż to znaczy?... nie rozumiem... nie odkryję mu więc tej smutnej tajemnicy... i lepiej... bo czémżeby mógł mój nagły odjazd uniewinnić przed Majorem? Przyjaźń potępiac mnie będzie, kiedy ja dla niej wszystko poświęcam, wszystkiego się wyrzekam.

SCENA VI.

PORUCZNIK, ZOFIA.

PORUCZNIK. Ach, Zofio!

ZOFIA. Edmundzie, cośmy zrobili! żadnejże już niema nadziei?

PORUCZNIK. Żadnej.

ZOFIA. Rozłączyć się musimy?

PORUCZNIK. Na zawsze.

ZOFIA. Odkryj mu miłość naszą.

PORUCZNIK. Nie mogę. Cóż za cel? Major odstąpiłby pewnie, ale będziesz przez to moją?

ZOFIA. Może matka...

PORUCZNIK. Nie zwódźmy się; nigdy nie zezwoli. W czasie i pomocy przyjaciela pokładałem nadzieję; wszystko mnie zawiodło. Mamże cię za sobą w nieszczęście pociągać? różnić z rodziną? Nareszcie nie Majora, to Smętosza zostaniesz żoną.

ZOFIA. Okropnie.

PORUCZNIK. Odjeżdżam.

ZOFIA. Kiedy?

PORUCZNIK. Tęj godziny.

ZOFIA. Już, już tak prędko.

PORUCZNIK. Mamże być świadkiem...

ZOFIA. Nie kończ, nie kończ. Jedź, uchodź, Edmundzie!

PORUCZNIK. Nasza tajemnica wiecznie nią zostać dla Majora powinna. Kapelan wie tylko i ten jedzie wraz ze mną. Ten uczciwy człowiek wsparł mój chwycający się zamiar i ustalił w drodze, której honor trzymać się każe.

ZOFIA. Sama więc zostanę; znikąd ulgi; znikąd pocieszenia!

PORUCZNIK. Wiele, wiele cierpieć mamy!

ZOFIA. Może nad siły.

PORUCZNIK. Nie, Zofio; siły muszą wystarczyć, gdy czystym jest źródło nieszczęścia.

ZOFIA. Ciebie kochając, drugiemu miłość przysięgać!

PORUCZNIK. Kochając mnie, i jego jak ojca kochać będziesz. Poznasz najlepszego, najszlachetniejszego człowieka. Jedyne, jedyna moja ulga, jedyne pocieszenie, że to dla niego szczęścia się wyrzekam, że on je z tobą znajdzie niezawodnie. Ach, pamiętaj Zofio, że to ja powierzam tobie los, szczęście, spokój dni jego; upiększaj mu każdą chwilę, a przez to i moje życie osładzać będziesz.

ZOFIA (*ocierając łzy*). Ach, czemuż cię coraz więcej kochać muszę!

PORUCZNIK. Serca nasze razem zostaną.

ZOFIA. Na zawsze.

PORUCZNIK. Rozłączeni, oddaleni, myśli nasze szukać, spotykać

się będą. Uspokój się; są jeszcze... dla nas... pociechy... czyste... lube...

ZOFIA. Jak uśmiech konających. (*krótkie milczenie*)

PORUCZNIK. Raz ostatni pewnie cię widzę. Jak już upłynie czasu wiele, jak już o mnie słyszeć nie będziecie, wspominaj mu czasem o mnie; on mnie także kochał. Powiedz mu, że dla niego wyrzekłem się więcej niż życia, bom się wyrzekł ciebie. (*Zofia siada zakrywając oczy*) Albo nie, nie; nie mać swojej i jego spokojności... (*kłękając i biorąc ją za rękę*) Zofio, tém pożegnaniem, tém uściśnieniem, tracę prawo do twójgo serca; zapomnij o mnie.

ZOFIA. Nigdy.

PORUCZNIK. Bądź szczęśliwa.

ZOFIA. Bez ciebie.

PORUCZNIK. Dla mnie.

ZOFIA (*placząc*). O Boże!

PORUCZNIK (*całując ją w rękę*). Raz więc ostatni.

ZOFIA. Edmundzie! raz ostatni... (*skłania się w jego objęcie. Tu wchodzi Aniela, postrzega, wznosi ręce do góry i wbiega do swego pokoju; poczem Porucznik i Zofia w przeciwne strony nagle odchodzą*)

SCENA VII.

(*Dziewczęta w różnym kierunku przebiegają scenę; potem wychodzą śpiesznie.*)

ORGONOWA, DYNDALSKA, ANIELA, DZIEWCZĘTA (*w głębi*).

ORGONOWA. Cóż takiego?

DYNDALSKA. O co idzie?

ANIELA (*między niemi*). O co idzie? co takiego? Będziecie wiedzieć.

ORGONOWA. Słuchamy.

ANIELA. Rzecz straszna!

DYNDALSKA. No, dalej.

ANIELA. Rzecz okropna!

ORGONOWA. Gadajże.

ANIELA. Niespodziewana!

ORGONOWA. Cóż takiego?

ANIELA. Co?

DYNDALSKA. Co? słuchajmy.

ANIELA. Porucznik...

ORGONOWA. Cóż Porucznik?

ANIELA. Porucznik... kocha się... w Zofii.

ORGONOWA. Ha, ha, ha, ha.

DYNDALSKA. Zbytńia przenikliwość.

ANIELA. Kiedy przenikliwość, kiedy ha ha ha, nie powiem, com widziała.

ORGONOWA. Coś widziała?

ANIELA. Na własne oczy.

DYNDALSKA. Cóżś widziała?

ANIELA. To tylko przenikliwość.

ORGONOWA. Powiedz, anioleczku; ty taka dobra, ty się nigdy nie gniewasz; mój anioleczku, prędjź.

ANIELA. Więc słuchajcie.

DYNDALSKA. Słuchamy.

ANIELA. Porucznik...

ORGONOWA. Cóż!

ANIELA. Porucznik... Zofią... w rękę całował.

ORGONOWA, DYNDALSKA. W rękę całował?

ANIELA. W rękę.

ORGONOWA. Czy być może!

ANIELA. To jeszcze nic.

ORGONOWA. Cóż takiego?

DYNDALSKA. Mówże prędjź.

ANIELA. Porucznik...

ORGONOWA. Cóż Porucznik?

ANIELA. Porucznik... klęczał przed nią.

ORGONOWA, DYNDALSKA. Klęczał przed nią?

ANIELA. Klęczał przed nią... tu... w tém miejscu.

DYNDALSKA. Co za zgroza!

ANIELA. To jeszcze nic.

ORGONOWA. Dla Boga, cóż jeszcze?

ANIELA. Porucznik...

DYNDALSKA. No, no.

ANIELA. Porucznik... trzymał ją... w objęciu.

DYNDALSKA. Ach!

ORGONOWA. A Zosia?

ANIELA. Zosia?

ORGONOWA. Zosia, Zosia.

ANIELA. Zosia... była... w jego objęciu.

ORGONOWA. Rzecz straszna!

DYNDALSKA. Niesłychana! *(Chodzą obydwie dużym krokiem, stawając przy każdym zapytaniu koło Anieli, która stoi z założonemi rękoma).*

ORGONOWA. Kocha się.

ANIELA. Kocha.

DYNDALSKA. W rękę całował?

ANIELA. Całował.

ORGONOWA. Klęczał przed nią?

ANIELA. Klęczał.

DYNDALSKA. Trzymał ją w objęciu.

ANIELA. Trzymał.

ORGONOWA. Fruziu! wołaj Zosię. Nie, czekaj... Józiu! biegaj...
czekaj... wołajcie prędko.

DYNDALSKA. Józiu! Porucznika, Porucznika!

ORGONOWA. Nie, nie; czekaj, biegaj, szukaj; biegajcie a prędko.
No, jeszcze tu?

FRUZIA. Gdzie?

JÓZIA. Co?

ZUZIA. Kogo?

} (razem)

ORGONOWA. Majora gawrony, Majora. (*Dziewczęta wybiegają*)
Rzecz straszna! (*obie rzucają się zmordowane na krzesła*) A ja mó-
wiłam, ja mówiłam, że ten Porucznik niebezpieczny. Ja wiem, co to
Porucznik! Ale co ja mówię, to zawsze źle... mnie niema co słuchać...
mnie i gęby otworzyć nie wolno. Otóż teraz pokazało się, że ja ga-
dać muszę. Teraz nikt mnie nie przekona; zawsze, zawsze gadać
będę.

SCENA VIII.

ORGONOWA, DYNDALSKA, ANIELA, MAJOR.

ORGONOWA. Panie bracie, Panie bracie! dla Boga, chodźże prę-
dziej! nic nie wiesz, co się dzieje; wszystko spoczywa na naszych głó-
wach.

MAJOR. Cóż się stało?

ORGONOWA. I jeszcze się pyta!

MAJOR. Ale kiedy nie wiem, muszę się spytać.

ORGONOWA. Ów wysmukły Porucznis, ów przyjaciel, ów towa-
rzysz, ów, już nie wiem co...

MAJOR. Cóż zrobił?

ORGONOWA. Chciał Zosię... słów mi nie staje.

MAJOR. Chciał?...

ORGONOWA. Wykraść ją chciał, wykraść.

MAJOR. To być nie może.

DYNDALSKA. Spytaj się Anielki.

ORGONOWA. Na własne, oczy widziała.

MAJOR. Co widziała?

DYNDALSKA. Że ją kocha, że ją w rękę całował, że klęczał przed
nią, że...

MAJOR. To wszystko być nie może. Anielka źle widziała.

ANIELA. Gdybyś sam widział, możebyś także nie wierzył? To człowiek na męża!

MAJOR. Ale jak, gdzie, kiedy?

ANIELA. Jak? Tak jak wszyscy. Gdzie? Tu w tém miejscu. Kiedy? Przed kwadransem.

MAJOR (*po krótkim myśleniu*). Tegom się nie spodziewał. I Zosia także go kocha?

ORGONOWA. Zosia? Co za myśl! Gdyby kochała, jużby z nim o kilka mil była.

MAJOR. Edmund! Edmund! mój Edmund! mnie zwodzić! wolał byłby strzelić do mnie, ranić, nie tyleby bolało.

ORGONOWA. Takato rada panów kolegów.

DYNDALSKA. Niczyja sprawka, tylko Kapelana; gwałtem stara się przeszkodzić twemu zamiarowi.

ORGONOWA. Starał się nas o różnych rzeczach przekonać, i wcale nie ładnie wyrażał się względem ciebie.

MAJOR. Kapelan? Cóż mówił?

ORGONOWA. Prawdziwie, wstydę się powtórzyć.

DYNDALSKA. Wcale nieobyczajnie się wyrażał; niech Anielka powie.

ANIELA. Ja słyszałam, ale nie rozumiałam; wszystkiego jeszcze zrozumieć nie mogę.

MAJOR. Co, jak on może wiedzieć? co jemu do tego? jak on może zapewnić? Ale Edmund, Edmund!

ORGONOWA. Jeśli nam nie wierzysz, spytaj się Rotmistrza, to godny człowiek.

DYNDALSKA. Ten zawsze jednego zdania będzie z nami.

MAJOR. Bardzo wątpię.

DYNDALSKA. Nie masz co wątpić: kocha się w Anieli.

MAJOR. Nieprawda.

DYNDALSKA. Grzecznie.

MAJOR. Chciałem powiedzieć, że to być nie może.

ANIELA. Ślub nasz przekona.

MAJOR. Co? chce się żenić?

ANIELA. Nie inaczej.

MAJOR. Z Waćpanną?

ANIELA. Ze mną.

MAJOR. Czy oszalał stary!

ANIELA. Tak jak i Waćpan.

DYNDALSKA (*na stronie do Anieli*). Zmiłuj się, ostrożnie.

MAJOR. Ale Edmund, Edmund! Zostawcie mnie, proszę. Grzesiu!

ORGONOWA (*do sióstr, na stronie*). Idę strzedz Zosię.

ANIELA (*podobnie*). Ja Rotmistrza.

DYNDALSKA (*podobnież*). Ja podsłuchiwać będę...

ORGONOWA (*podobnież*). Albo nie, chodźmy się naradzić; tu będziemy same. (*wchodząc do pokoju Dyndalskiej*).

MAJOR (*do Grzegorza*). Proś do mnie pana Porucznika. (*Grzegorz odchodzi*).

SCENA IX.

MAJOR.

MAJOR (*sam*). Żeby był do mnie przyszedł i powiedział: Majorze, i mnie się ta dziewczyna podobała. Działajmy przeciw sobie, ale działajmy otwarcie. Otwarcie, jak ludzie honoru; ale nie jak węże, do stu paralizów, jak węże! Komuż, komuż teraz wierzyć? Takem go kochał! chciałem podzielić się majątkiem, życiem byłbym się podzielił. Ach to boli; ale kwita z przyjaźni, kwita, paniczku: adjutanta mi nie trzeba.

SCENA X.

MAJOR, KAPELAN.

MAJOR. Dobrze, że Waćpan przyszedłeś.

KAPELAN. Szukam cię także.

MAJOR. Coś to Waćpan przed kobietami na mnie nagadał? Domyślam się co... ale to potwarz... i co tobie w to się mieszać? Powiedziałeś dwa tysiące razy: *nie uchodzi, nie uchodzi*, i zrobiłeś swoją powinność; a ja powiadam: *uchodzi, uchodzi i uchodzi*, i zrobię, co mi się dobrém zdawać będzie. Ale tajemnie wdawać się z kobietami, plotki na mnie robić... tegom się prawdziwie nie spodziewałem...

KAPELAN. Ale Majorze, Majorze, co ty gadasz, co ty gadasz?

MAJOR. Siebie się spytaj: co ja gadał, co ja gadał? Namowy z Porucznikiem, spiski, wykradzenie; przystoi to na stan Waćpana! fe! wstydz się. Gdyby dawny towarzysz mnie to powiedział, co ja teraz mówię Waćpanu, tobym się na pierwszym drzewie obwiesił: rozumiesz Waćpan, obwiesiłbym się do stu paralizów! (*odchodzi*)

KAPELAN. Co się dzieje! co się dzieje!

SCENA XI.

KAPELAN, ORGONOWA.

ORGONOWA. Nie kładź palca między drzwi, palca nie przyskrzynią. Kto radę powtarza, natręt z doradcy; złe oczy wszystko krzywo widzą. Pająk szuka jadu, ale pszczoła miodu; rozumiesz Waćpan? Milczenia rzadko kto żałował, a mówności często. Proszę to pamiętać; służa unizona.

KAPELAN (*ukłoniwszy się nisko i tak ją oczami odprowadziwszy*).
Ja mam mówności żałować! Co się dzieje! Co się dzieje!

SCENA XII.

KAPELAN, ANIELA.

ANIELA. Jednego razu byłam w domu mojej przyjaciółki; dawałam jej rady, rady prawdę mówiąc, które więcej moje, niż jej dobro miały na celu. Poznała się w końcu na tém; powiedziała mi, że rad nie potrzebuje i że się jej staje natrętną. Na to oświadczenie... wiesz Waćpan com zrobiła? Kazałam zaprządz i wyjechałam... i wyjechałam. (*odchodzi za Orgonową*).

KAPELAN (*jak wprzód*). Jakie rady? cóż ja zrobiłem? co się dzieje!

SCENA XIII.

KAPELAN, DYNDAŁSKA.

DYNDAŁSKA. Cóżto Mości Panie! Jakieżto jego postęпки? Któżto uprawnił Waćpana w cudze sprawy się mieszać? Pókiż tych plotek, tych namów, tych spisków będzie? Takito z Waćpana przyjaciel? taki doradca? Cobyś miał skłaniać do zgody, pokój ustalać; wzniecasz niesnaski, kłócisz brata z siostrą, siostrę z siostrą, córkę z matką, przyjaciela z przyjacielem. Waćpan tu niezgodę utrzymujesz, Waćpan spiski knowasz, Waćpan zdrady snujesz, Waćpan pragniesz sprzeczeki, kłótni, kłęsk i mordów? (*odchodzi*)

KAPELAN (*najniżej ukłoniwszy się, patrząc za nią; potem ocierając czoło*). Mój dobry Boże! kłęsk i mordów! co ja przewiniłem? co ja przewiniłem?

SCENA XIV.

KAPELAN, ROTMISTRZ.

ROTMISTRZ (*wchodząc prędko*). Gdzie jest Major?

KAPELAN. Nie wiem.

ROTMISTRZ. Szalonym mnie nazywać! szalonym, że się chcę żenić!

KAPELAN (*ubolewając*). Jakto? i ty także?

ROTMISTRZ. Nie o tém mowa; Major mi chybił... boleśnie obraził... Przed panną Anielą nazwał starym szalonym.

KAPELAN. Ale od przyjaciela...

ROTMISTRZ. Uraza nie zna przyjaciela. Gdzie jest Major?

KAPELAN. Nie wiem.

ROTMISTRZ. Ja wiem, że wiesz.

KAPELAN. Ale nie wiem.

ROTMISTRZ. Nie chcesz powiedzieć.

KAPELAN. Dalibóg nie wiem.

ROTMISTRZ. Byleś przeszkodził... byleś się sprzeciwił... hm? wszystko ci szkodzi; nasze szczęście solą w oku.

KAPELAN. Piękne szczęście!

ROTMISTRZ. Wiem, wiem, mówiła mi panna Anna, coś przed nią nagadał; ale nie dbam o to. Rady nie potrzebuję... i na złość się ożenię... rozumiesz mnie Waćpan?

KAPELAN. Dla Boga, słuchaj tylko...

ROTMISTRZ. Nic słyszeć nie potrzebuję.

KAPELAN. Tobie się żenić?

ROTMISTRZ. Mnie, mnie, mnie, i tego nie zabronisz.

KAPELAN. Ale...

ROTMISTRZ. Ale, sam się żenić nie możesz, to chcesz, aby nigdzie małżeństwa nie było.

KAPELAN. Broń Boże; ale twój wiek.

ROTMISTRZ (*w złości*). Mości panie! Lat moich mi nie rachuj. Ja wiem, to dosyć... Nie rachuj! to ci powiadam, do stu piorunów! (*odchodzi*)

KAPELAN. Co się dzieje! Dla Boga, co się dzieje! Mnie się zdaje, że oni poszaleli.

SCENA XV.

KAPELAN, GRZEGORZ.

GRZEGORZ. Upraszałbym jednej łaski.

KAPELAN. Cóż tam, poczciwy Grzegorzu?

GRZEGORZ. Niech się pan za mną wstawi.

KAPELAN. Do kogo?

GRZEGORZ. Do pana Majora.

KAPELAN. I owszem; względem czego?

GRZEGORZ. Chcę się żenić. (*Kapelan odskakuje od niego; milczenie*) Z Fruzią, pokojówką pani Orgonowej. (*milczenie*) Ładna dziewczyna. (*milczenie*) Kocha mnie tego. (*milczenie*) Prosiłbym więc...

KAPELAN. Chcesz się żenić?

GRZEGORZ. Choćby i dzisiaj.

KAPELAN. A, tego już nie mogę.. (*odchodząc*) Niech was Bóg ma w swojej opiece. (*wychodząc*) Co się dzieje! co się dzieje!

GRZEGORZ (*sam*). Hm, hm, hm; nie w swoim humorze. No, odłożone, nie stracone... Kilka dni tu zabawią, mam dość czasu. (*śmiejąc się*) To się koledzy zadziwią.. nie wiedzą, co ich czeka!

SCENA XVI.

GRZEGORZ, REMBO.

REMBO. Winszuję, winszuję, panie Grzegorzu!

GRZEGORZ. Czegóż?

REMBO. O! niby nie wiesz! czegóżbyś winszował, jeśli nie ładnej oblubienicy.

GRZEGORZ. A tak .. dziękuję ci.

REMBO. Jak się ożenisz, będę ci winszował imieniem całego pułku.

GRZEGORZ. Nie rozumiem. Bardzo mądrze gadasz; widać, żeś syn organisty.

REMBO. Wszyscy cieszyć się będą.

GRZEGORZ. To dobrze.

REMBO. Co to przyjaciół będzie miał pan Grzegorz!

GRZEGORZ. Tyle co i teraz.

REMBO. Wszyscy kochać go będą.

GRZEGORZ. Doprawdy?

REMBO. Za to rękę... a nie Grzegorza, to Grzegorzową.

GRZEGORZ. O, tego wcale nie chcę!

REMBO. Chcesz czy nie chcesz, to tak będzie.

GRZEGORZ. Dajno mi pokój... nie lubię takich żartów.

REMBO. Przyzwyczajaj się potrochu.

GRZEGORZ. Szalony! jakby to być musiało.

REMBO. Będzie niezawodnie.

GRZEGORZ. Proszę, cię, dajże mi pokój.

REMBO. Nie dam, bo mi cię żal, że takie robisz głupstwo.

GRZEGORZ. Tobie zazdrość.

REMBO. Ale stary, stary!

GRZEGORZ (*przedrzeźniając*). Ale młodziku, młodziku!

REMBO. Pomiarkuj...

GRZEGORZ. Idź do dyabła!

REMBO. Żeń się, kiedy chcesz; ale potem nie gniewaj się, gdy cię palcem wytykać będą.

GRZEGORZ. Nikt mnie wytykać nie będzie.

REMBO. Ja pierwszy.

GRZEGORZ. Kto mnie wytykać będzie, temu przytnę wąża.

REMBO. Chcąc przyciąć, trzeba swego nadstawić.

GRZEGORZ. Choć nadstawię, bezpiecznie od ciebie.

REMBO. Ciszéj! bo ci pokażę, że nie jest bezpiecznie!

GRZEGORZ. Pokażesz? chodź, chodź! pokaż, pokaż!

REMBO. Jednak...

GRZEGORZ. Aha! boisz się.

REMBO. Co? ja się boję! chodź! weźmiem pałasze!

GRZEGORZ. Chodź! chodź! *(odchodzą do pokoju Majora).*

SCENA XVII.

MAJOR, ROTMISTRZ.

ROTMISTRZ. Jeszcze raz powtarzam, wszystko przyjmę od ciebie między swojemi, którzy wiedzą, jak sobie życzymy; ale nie przed panną Anielą. Tego znieść nie mogę i trzeba, abys mnie przy niej przeprosił...

MAJOR. Tu cię przepraszam, a przy niej nie warto...

ROTMISTRZ. Majorze, z większem uszanowaniem.

MAJOR. Moja siostra, ale tobie lepiej życzę i powiadam, że ten stary grat do niczego.

ROTMISTRZ. Majorze, do stu piorunów!... *(Grzegorz i Rembo wchodzą z pałaszami w ręku).*

SCENA XVIII.

MAJOR, ROTMISTRZ, GRZEGORZ, REMBO.

GRZEGORZ. Chodź, chodź, ja ci zaraz pokażę!

REMBO. Do ogrodu, do ogrodu!

MAJOR. A to co? Co to znaczy? Rembo, gadaj zaraz, co to znaczy?

REMBO. Kiedy pan Major każe, to powiem, jak się ma rzecz cała. Oto Grzegorz, taki jak go tu widzimy, zakochał się w Fruzi... w takim wieku... to proszę pana Majora, trzeba być głupim.

MAJOR. No, no, cóż dalej?

REMBO. I chce się z nią żenić. Na starość żenić się... to proszę pana Majora, trzeba być szalonym.

MAJOR. No, no, cóż dalej?

REMBO. Chciałem mu wystawić, jakiego kłopotu nabędzie, chciałem mu powiedzieć, aby sobie przypomniał, że ile razy mąż stary, żona młoda, albo stara żona, a mąż młody, tyle razy niezgodne małżeństwo. Bo proszę pana Majora, co młode to młode: co stare to stare: ogień pali, woda gasi. Chciałem mu powiedzieć, że jemu tak będzie, jak wszystkim dotąd było w podobnym razie; bo on, proszę pana Majora, myśli, że dla niego inna kobieta urodziła się na żonę i że on inaczej stary, jak wszyscy, co już długo żyją. Otóż zacząłem mu o tém mówić, on mnie nie chciał słuchać, przymówiliśmy sobie i stąd przyszło do kłótni.

GRZEGORZ. Nie mogłem ścierpieć, jak mi powiedział, że mnie kiedzy palcem wytykać będą, jak moja żona, jak... to jest... jak...

MAJOR. Rozumiem.

GRZEGORZ. A ja wiem, że w równym wieku z panem Majorem, i kiedy...

MAJOR. Ciszéj! zgoda!

ROTMISTRZ. Dlaczegoż gwałtem mu radzisz, kiedy on nie chce twojej rady?

REMBÓ. Bo mi go żal, panie Rotmistrzu; na honor żal mi go. I wiem, że sam będzie żałował, wkrótce będzie żałował; bo kto miał rozum do tego wieku, na długo stracić go nie może. Dotychczas był dobry żołnierz, rozsądny człowiek, każdy go lubił, szacował, a teraz takie głupstwo chce zrobić, taką śmieszność na siwą głowę ściągnąć. Mnie to przykro, raz, że mój przyjaciel, a potem, co mam stać w szeregu obok jelenia!

MAJOR. Ciszéj! zgoda!

REMBÓ. Niech mu pan Major także powie z łaski swojej, że kto z młodu się nie ożenił, niech się na starość nie żeni, a jeśli się żeni, to niech sobie każe głowę ogolić...

MAJOR. Precz! dość tego! zgoda! marsz!

SCENA XIX.

MAJOR, ROTMISTRZ. *(Chodzą czas długi gwiżdżąc i nucąc, potem stoją, patrzą na siebie i parsknąwszy śmiechem, ściskają się wzajemnie).*

ROTMISTRZ. Chcieliśmy podobno głupstwo zrobić!

MAJOR. I mnie się tak zdaje.

ROTMISTRZ. Wielkie głupstwo.

MAJOR. Niema co mówić, wielkie głupstwo!

ROTMISTRZ. Niech go Bóg kocha, jak nam ostro prawdę wypowiedział.

MAJOR. Po huzarsku.

ROTMISTRZ. Dawnom się tak nie czerwienil.

MAJOR. Pot ciekl ze mnie.

ROTMISTRZ. „Na długo nie może stracić rozumu“.

MAJOR. I prawda.

ROTMISTRZ *(śmiejąc się)*. „Jeleń w szeregu“.

MAJOR *(śmiejąc się)*. Cóż dopiero przed frontem!

ROTMISTRZ. Co te kobiety z nas nie zrobiły!

MAJOR. W jednym dniu.

ROTMISTRZ. Przewróciły dom cały.

MAJOR. I głowy nasze.

ROTMISTRZ. Chcieliśmy się żenić!

MAJOR. Na co? po co?

ROTMISTRZ. Klóciliśmy się z sobą.

MAJOR. To nie na długo... *(podając mu rękę)*.

ROTMISTRZ. Tego byłyby nadal nie dokazały. (*ściskając się*) Jakże ciębie czuć szalwija.

MAJOR. A ciębie piżmem.

ROTMISTRZ. Panna Aniela tak mnie udarowała. (*stawia flaszeczkę*)

MAJOR. Mnie Dyndalska pokropiła.

SCENA XX.

MAJOR, ROTMISTRZ, KAPELAN.

KAPELAN. Moi panowie, nie wiem, co się tu dzieje... nie chcę wiedzieć... nie chcę i dłużej bawić. Bądźcie zdrowi... szczęścia życzę... bardzo życzę.

MAJOR. Kochany Józefie! przebac, zapomnij, co się działo... zostań... zostań... wszystko już do porządku wróciło.

ROTMISTRZ. Ty stary i na mnie się gniewasz?

KAPELAN. Na żadnego, na żadnego. I cóż się tu dzieje?

MAJOR. Przyszliśmy do rozumu.

KAPELAN. Brawo. (*kładzie kapelusz*)

MAJOR. Kochaliśmy się, chcieliśmy się żenić.

KAPELAN. Nie uchodzi, nie uchodzi.

MAJOR. Teraz się nie Kochamy i nie żenimy.

KAPELAN. Mądrze, mądrze.

MAJOR. Ale wiecie, przyjaciele, nie to żem zblądził na chwilę, nie to mnie boli; bo któż nie potknie się czasem? Ale czynność Edmunda, ta mi na sercu jak kamień.

KAPELAN. Jaka czynność?

MAJOR. Wiedząc, że mi się Zosia podoba, chciał ją zbałamucić, chciał ją wykraść.

ROTMISTRZ. To być nie może!

KAPELAN. Majorze, Majorze, co ty gadasz?

MAJOR. Tak jest, niezawodnie.

ROTMISTRZ. To być nie może.

KAPELAN. Któż ci to powiedział?

MAJOR. Moje siostry.

KAPELAN. I tyś uwierzył jak temu, żem z niemi o tobie rozmawiał.

ROTMISTRZ. Ja niczemu nie wierzę; na raz sztuka.

MAJOR. Klęczał przed nią.

KAPELAN. Prawda, przy pożegnaniu, polecając jej szczęście twoje.

MAJOR. Nie rozumiem.

KAPELAN. Edmund i Zofia kochali się oddawna. Zofia pewna, że jej ręki nie przyjmiesz, ulegając na pozór woli matki, chciała czas zyskać i oddać jakiegoś nienawidzonego zalotnika. Ale jak rzeczy inny obrót wzięły, Edmund postanowił odjechać, wyrzec się miłości,

nigdy już Zofii nie widzieć i abyś nie miał na sercu jego nieszczęścia, wiecznie ci to ukrywać; poświęcił ci więcej niż życie...

MAJOR. Tak, tak Edmund myślał? (*ściskając gwałtownie Kapelana*) Edmundzie! kochany Edmundzie! (*wybiega*)

SCENA XXI.

ROTMISTRZ, KAPELAN, (*następnie*) ORGONOWA, DYNDALSKA, ANIELA.

ORGONOWA. Cóż tu za wiwaty?

ROTMISTRZ. Obchodzimy powrót rozumu.

DYNDALSKA (*do Kapelana*). Waćpan tu jeszcze?

KAPELAN (*kłaniając się*). Tu jeszcze.

ANIELA. Rotmistrzu płochy, czekałam na ciebie.

ROTMISTRZ. Prawdziwie, bardzo żałuję, ale rozważywszy wszystko, widzę że... że jednak... to jest... że pomimo...

MAJOR (*za sceną*). Zosiu, Zosiu! (*wchodząc i prowadząc Porucznika*) Zosiu! (*Zofia wchodzi*)

SCENA XXII.

ORGONOWA, DYNDALSKA, ANIELA, ROTMISTRZ, KAPELAN, MAJOR, ZOFIA, PORUCZNIK.

MAJOR (*do Zofii*). Mój zastępca... twój mąż.

DYNDALSKA. Cóż to jest?

ANIELA. Cóż to znaczy?

ORGONOWA. Panie bracie?

MAJOR. Wraz z moim majątkiem, którym mu już oddawna przeznaczą, zastąpi mnie przy Zofii. Kapelanie, uchodzi?

KAPELAN. Uchodzi, uchodzi i pobłogosławię.

PORUCZNIK. Nie mówiłem ci, Zofio, że jak ojca będziesz go kochać musiała?

ZOFIA. Przyjemny obowiązek, tak zgodny z sercem.

ORGONOWA. Miło mi dostać zięcia, który już zyskał mój szacunek. Bądźcie szczęśliwi.

DYNDALSKA. I pamiętajcie o ciotkach.

ANIELA (*do Rotmistrza*). Jakże będzie?

ROTMISTRZ. Trudno, aby co było.

ANIELA. Przyrzekleś.

ROTMISTRZ. Nie mogę służyć.

ANIELA. Zdrajca!

MAJOR. Cicho, cicho. Niech wam dość będzie, moje damy, żeście huzarów zwyciężyły... że musieli kapitulować i jednego oddać wam w niewolę... i to przyznajcie... najlepszego.

ZRZĘDNOŚĆ I PRZEKORA.

KOMEDYA

W JEDNYM AKCIE, WIERSZEM.

Złej naturze nie wygołzisz: jakbyś węża
ugłaskać chciał, a on przecie kąsa.

And. Maks. Fredro.

O S O B Y:

PAN JAN ZRZĘDA } bracia, opiekuny Zofii.
PAN PIOTR ZRZĘDA }
ZOFLA, Synowica panów Zrzędów.
LUBOMIR.
LOKAJ.

Rzecz dzieje się na wsi, w majątności Zofii.

SCENA I.

Teatr wystawia pokój.

PAN JAN, PAN PIOTR. (*Słychać mocne dzwonienie na lewo i prawo*).

PAN JAN (*po prawej stronie w pokoju*).

Jest tam kto!

PAN PIOTR (*po lewej stronie w pokoju*)

Héj! jest tam kto!

PAN JAN.

Głosu mi nie staje!

PAN PIOTR. To służba!

OBYDWA (*krzyczą*). Jest tam który!

(*wypadają z gabinetów; lokaj ze środkowych drzwi*)

PAN PIOTR.

Łajdakil

PAN JAN.

Hultaje!

Cóżto, czyście pogłuchli? I krzyczę i dzwonię,

Aż mi język odrętwiał, aż mi spuchły dłonie...

Gdzie... poco .. dokąd lata i jeden i drugi?

Wszyscy są do zapłaty, niema do usługi!

Już ja was do porządku doprowadzić muszę,

Ale aż z was każdemu dobrze karku wzruszę.

PAN PIOTR (*mówiąc powoli*).

A że też, panie Janie, zrzędzisz jak najęty!

Jeszcze u ciebie gęby nie widział zamkniętej.

PAN JAN. A pan brat niemy? nigdy, nigdy już nie gada

Ani słówka?

PAN PIOTR.

I owszem, gdy mówić wypada.

PAN JAN. Gdy się klócić wypada, dokuczyć, sprzeciwić;

Bo cóż to może szkodzić, co to może dziwić,

Ze za niepilną służbę służącego łaje?

By siedzieli kamieniem, na to są lokaje.

Musiałem wprzód ochrypnąć, nim usłyszeć raczył.
 Chciałem go właśnie posłać, byś chwilę naznaczył,
 W którejbyśmy raz mogli rozmówić się z sobą:
 Niechaj naprózno dobą nie mija za dobą,
 Niech nasza synowica już dłużej nie czeka,
 A zwłaszcza, niech się skończy ta nudna opieka.

PAN PIOTR. Przyszedłem, jestem, słucham; o cóż ci więc chodzi?
 Czegóż sobie krew psujesz, jeszcze ci zaszkodzi.

PAN JAN. O! i u pana Piotra żółci jest nie mało.

Mówię bialo, on czarno; ja czarno, on bialo,
 I tak prawie od wschodu do zachodu słońca
 Nigdy kłótnie nie mają między nami końca.
 Już dalej żyć nie mogę w nieustannej wojnie,
 Chcę być panem, nie sługą, i rządzić spokojnie.
 Ach, nimem tu przyjechał, bodajem kark skręcił!

PAN PIOTR. Dzień, w którym tu stanąłem, bodaj się nam święcił.

PAN JAN. Mój luby, słodki bracie, powiedzże mi, proszę,
 Jakież tu masz uciechy, jakie masz rozkosze:
 Dla nieznośnej opieki w cudzym domu siedziéć,
 Pannę, jak ochmistrzynię pilnować, strzedz, śledziéć.
 Na co, po co, dlaczego? niechże mi kto powie.
 Dlatego, że Waćpanu ubrdalo się w głowie,
 By moja synowica nie była w mym domu.

PAN PIOTR. Nadanej współopieki nie zwierzę nikomu.
 Zofia nie potrzebuje zakosztować miasta,
 Gdzie, im dłużej się bawi, chęć bawienia wzrasta.
 Cóż tam w rzeczy dobrego nauczyć się może?
 Szukać uciechy w zbytłych a chwały w ubiorze,
 Gadać, prawić bez celu, oczkiem wabić skrycie
 I o niczym nie myśleć przez całe swe życie.
 Nie, tego znać nie będzie nasza synowica:
 Cnotą skromną, lecz trwałą niech duszę zaszczyca,
 Niech czczemi próżnościami nie zaprzęta głowy,
 Niech umie cenić mierność i spokój domowy,
 I na wsi podług stanu niech męża wybierze.

PAN JAN. Na mnie pewnie Zofia spuści się w tój mierze.

PAN PIOTR. W tój mierze na Waćpana wybór nie zezwolę.

PAN JAN. Czemu?

PAN PIOTR. Bo zły.

PAN JAN.

Wszak nie wiesz.

PAN PIOTR.

I nie wiedziéć wolę.

Wiem tylko, że we wszystkiém chcesz stanowić prawa:
 Stąd zawsze, gdzie ty jesteś, te kłótnie, ta wrzawa;

Lecz i ja też czasami chcę mieć moje zdanie,
Nie wszystko zatem tutaj na twojem się stanie,
I jeśli cię opieka tak trudzi, tak dręczy,
Jedź, wracaj...

PAN JAN. A braciszek chętnie mnie wyręczy,
Sam będzie rządzić! dobrze wyszukał to w głowie.
Pojadę, lecz los Zosi pierwój postanowię.

PAN PIOTR. Póki ty tu, nie z tego, żebyś o tém wiedział.

PAN JAN. Ty mnie tu nie przesiedzisz, będę sto lat siedział. (*siadają*)

LOKAJ. Mam czekać?

PAN JAN. Idź do dyabła!

PAN PIOTR. Czekaj!

PAN JAN. Niech więc czeka;

Lecz na cóż masz daremnie udręczać człowieka?

Czyż mu nie wolno zrobić i jednego kroku,

Ma-że wciąż jak niewolnik stać przy twoim boku?

Nie dośćże już nieszczęścia, że musi mieć pana,

Trzebaż jeszcze, by zawsze widział w nim tyrana?

Ach, wolałbym pług ciągnąć, jak służyć u zrządy,

Który tylko we wszystkiem na siebie ma względy,

Który...

PAN PIOTR. Lecz panie Janie, zrządzisz nadaremno,
Służący mi potrzebny i już idzie ze mną. (*Pan Piotr z lokajem odchodzi*)

SCENA II.

PAN JAN. Zrządzisz! proszę, ja zrządzę! brawo, to mnie bawił
Ja zrządzę! Nie, już nigdy świat się nie poprawi,
Wszak takich, jak braciszek, posiada bez miary,
Co liczą chęć poprawy pomiędzy przywary.
Niech mi żona mniej gada, córki mniej się stroją,
Niech mnie słucha rodzeństwo, synowie się boją;
Niech sługa wierny, trzeźwy, zważny na me słowa
Swojej służby pilnuje, a mego nie chowa,
Słowem niech wszystko idzie jak chcę i uložę,
A nigdy nie połaję, — gęby nie otworzę.

SCENA III.

PAN JAN, ZOFIA.

ZOFIA. Miałabym małą prośbę...

PAN JAN. Fe, to wstyd dla Zosi,
Wstyd zawsze dla panienki, kiedy o co prosi:

Proszoną być powinna panna znakomita;
 Ale każda z was dzisiaj o to się nie pyta,
 Czy to tak skromnie, ładnie, czy to tak przystoi,
 I starego panieństwa jedynie się boi,
 A gdy duży majątek obejmie przed czasem,
 Zaraz piskliwy szpaczek zacznie śpiewać basem.
 Przypatrz się której: nóżka naprzód, nosek w górę,
 Wie pewnie, jakto mężom podnoszą fryzurę,
 A przytém są ciekawe, złośliwe, uparte...
 Słowem, żeście wraz wszystkie nic a nic niewarte.
 (odchodzi)

SCENA IV.

ZOFIA; LUBOMIR.

- LUBOMIR. Jakież, piękna Zofio, twojój prośby skutek?
 ZOFIA. Znikły nasze nadzieje, został tylko smutek;
 Nawet mnie stryj nie słuchał, lajał mnie przed czasem,
 Ganił szpaki w fryzurach i odszedł z hałasem.
- LUBOMIR. Przecież coś odpowiedział?
 ZOFIA. Nie, nic, ani słowa.
 Dobrze była w méj głowie ułożona mowa,
 Chciałam wszystko wystawić rozsądnie, dokładnie:
 Że długo nie iść za mąż dla panny nieładnie,
 I że... że... pan Lubomir pokochał mnie szczerze...
- LUBOMIR. I zawsze kochać będzie..
 ZOFIA. I że temu wierzę;
 Więc kiedy mam chęć dobrą i zdatność po temu,
 Trzeba zadość uczynić żądaniu naszemu.
 Lecz cóż? stryjaszek wszystko lajaniem pokrywa,
 (zaczyna płakać)
 Ja już nie wiem, co pocznę dalej, nieszczęśliwa:
 Jeden z drugim się klóci, a mnie uciemięża;
 Nie wiem, co to im szkodzi, abym miała męża.
 O Boże! dobry Boże! coto z tego będzie!
 Że już mam rok szesnasty, mówią o tém wszędzie,
 Za każdą moję wolę odbieram naganę,
 A czas mija... i w końcu zostanę... (szlochając)
 Starą panną...
- LUBOMIR. Zofio! umiem te lzy cenić,
 Lecz się uspokój, nasz los musi się odmienić;
 Stryjowie bez wątpienia przy końcu zezwolą,
 Jeżeli twoje szczęście nad swój upór wolą.

A posądzać ich nie chcę o myśli niegodne:
Nasze majątki równe, nasze serca zgodne,
Żadne więc mych zamiarów sprzeczności nie wzruszą,
I nie dzisiaj, to jutro, spełnione być muszą.

ZOFIA.

Weale mnie nie pociesza ten widok daleki.

LUBOMIR.

Przecież się z czasem kończą najdłuższe opieki.

ZOFIA.

Ach, ja bardzo nie lubię na cokolwiek czekać.

Ale są tacy... o są... co lubią odwlekać

LUBOMIR,

Ach, całe szczęście moje w tój złożone dobie,
W której przysięgnę kochać, żyć wiecznie przy tobie;
I możesz ty postrzegać obojętność we mnie?
Z tamtym stryjem mówiłem.

ZOFIA.

I pewnie daremnie.

LUBOMIR.

I owszem.

ZOFIA.

Owszem? jakto? więc się już nakłania?

LUBOMIR.

Swoim świętym zwyczajem zaczął od łajania.
Kłócił się, choć milczałem, a gdy wyrzekł słowo,
Przeciwnych sto dowodów leciało nanowo,
I już myślałem odejść, ujść tego zapалу;
Gdy przecie w końcu zaczął ostygąć pomalu
I przyrzekł prawie..

ZOFIA.

Prawie!

LUBOMIR.

...Ziścić nasze chęci.

Chciałem nawiasem, niby dla lepszej pamięci
(*pokazując papier*)

Aby nam to podpisał prawne zezwolenie;
Bo zawsze wolę pismo, choć i słowa cenię.

ZOFIA.

Ale...

LUBOMIR.

Odłożył na wolniejszą chwilę.

ZOFIA.

Na nie więc zeszło kłótni i gadania tyle.

LUBOMIR.

Nie, wszak nie potrzebuje, i pewnie nie zwodzi;
O drugie zatém tylko zezwolenie chodzi.
Idź, Zofio najdroższa, błagaj twego stryja,
Kocha cię niezawodnie, bo któż ci nie sprzyja,
Nie będzie więc nieczułym na twoje żądanie
I szczęście nas obojga spełnioném zostanie.
Na wszystkie jego słowa bądź na chwilę głucha,
Powiedz...

ZOFIA.

Wiem, co mam mówić, jeśli mnie posłucha.

LUBOMIR.

Któżby twego boskiego nie chciał słuchać głosu!
Pewnie więc dobre zyskasz rozstrzygnięcie losu;
Ja zaś w czas należyty drugiego sprawadzę,
A jeśli się nie uda, i temu zaradzę. (*odchodzi*).

ZOFIA (*sama*). Żeby mi też kto mądrze wytłómaczył przecie,
 Na co się opiekuny przydadzą na świecie?
 Dla płochych dzieci jeszcze, bo te mogą błądzić;
 Ale dla mnie!... Ja sama potrafię się rządzić,
 Nie potrzebuję, nie chcę w niczém mieć zawady,
 Nikt-by mi, gdybym chciała, nie dał tutaj rady.
 Ach, stryj!..

SCENA V.

ZOFIA, PAN JAN.

PAN JAN. Czegoż waćpanna stoisz na straży?
 Pewnie jakiś koncepcik po głowie się marzy.
 Ale muszą złe myśli błądzić po rozumie:
 Kiedy kto się czém dobrém zatrudnić nie umie,
 Wtedy z kąta do kąta włóczy się i ziewa
 I patrzy, kto odchodzi albo kto przybywa.
 Czegoż waćpanna żadasz, czy dzisiaj usłyszę?
 Przerwijże już laskawie świętobliwą ciszę;
 Nie lubię tój pokory, milczenie mnie nudzi.

ZOFIA. Boję się!.

PAN JAN. Cóżto znowu, czym straszylem ludzi?
 Od jakiegożto czasu tak straszonym zostałem?
 Kiedyż pannie Zofii powód strachu dałem?
 Możem się nie dość umiał jój piękności dziwić,
 Możem się jój układow ośmielił sprzeciwić?

ZOFIA. Ach, nie...

PAN JAN. Skromność, lęklivość, piękne w pleci niewieściój,
 Lecz czasem w tym układzie i chytrność się mieści:
 O, znano już nie jedną z tak miłym pozorem,
 Co była trusią z rana a lwicą wieczorem.
 Jednak raz jeszcze pytam, bo chcąc odpowiedzieć,
 O co rzecz idzie, muszę, muszę przecie wiedzieć?

ZOFIA. Chciałabym pójść... pójść ..

PAN JAN. Dokąd? co? gdzie? mów potrosze.

ZOFIA. Pójść za mąż.

PAN JAN. Czy tak pilno?

ZOFIA. O, i bardzo!

PAN JAN. Proszę!

ZOFIA. Pójść za mąż bardzo łatwo!

ZOFIA. Ach, stryjaszku drogi,
 Niema nic łatwiejszego, bez najmniejszej trwogi!..

PAN JAN. Księdza kazać zawołać, da błogosławieństwo,
Goście się zjadą, spiją i będzie małżeństwo.
(*Zofia biegnie z radością ku drzwiom.*)
Gdzież?

ZOFIA. Po księdza proboszcza!

PAN JAN (*z ironią*). Już go zamówiono.
Ale wiesz też waćpanna, coto jest być żoną?

ZOFIA. O, wiem: trzeba być dobrą... i kochać potrzeba.

PAN JAN. Przy dobroci, miłości potrzeba i chleba,
Trzeba to, co posiadasz, wiedzieć komu zwierzyc
I trzeba przed oltarzem całą przyszłość zmierzyć.
Ale to wszystko u was tylko pośmiewisko.
Być panią, mieć dom własny, odmienić nazwisko,
Wyrwać się z pod opieki, wstrętem płacić za tę.
W mieście tracić w kwartale dwuroczną intratę,
Na balach, jak mężatka zaczynać mazury,
Na mężczyzn patrzeć śmiało a na panny z góry,
W modnych fiokach z ulicy latać na ulicę,
Wzbudzając zazdrość, gnębić swoje rówiennice,
Mieć prawo szczebiotania i wolności w świecie,
Otóż to jest, dlaczego iść za mąż pragniecie.

ZOFIA. Tak wysoko, stryjaszku, myśl moja nie lata:
Pragnę miłości męża i szacunku świata.

PAN JAN. Szacunku każda pragnie, lecz nie każda godna;
I ta, co kielich rozkosz wypila aż do dna,
Co przy zwiędłej piękności z potrzeby cnotliwa,
Obiadem albo balem szacunku przyzywa,
Dom swój dobrego tonu chce uczynić tronem
I zawsze otoczona pieczeniarczów gronem,
Mniema, że nikt nie pomni, co się dawniej działo;
O, jak przenikliwości i rozumu mało!
Každy chętnie zje u niej, butelkę wysuszy,
Wdzięczy się jej i kłania, ale gardzi w duszy.

ZOFIA. Pan Lubomir wie wszystko, zna i świat i ludzi.

PAN JAN. Zatem to pan Lubomir słówkami cię ludzi?

ZOFIA. Nie ludzi, bo mnie kocha.

PAN JAN. O, dziewczyno płocho!

Któż ci, kiedyś bogata, nie powie, że kocha?
Znam ja dobrze paniczów w terażniejszej chwili,
Co już w szesnastym roku pół życia przeżyli.
Paryż! kochany Paryż! to ich hasło łube:
Pędzi jeden i drugi jak na swoją zgubę,

- A gdy tam, co posiada, wszystko wraz utracą,
 Pelen najdroższych wspomnień, ale goły wraca,
 I kiedy już ostatki swój spuścizny trwoni,
 Jak pies gończy za lisem, za posagiem goni
 Dla takiego i przysiądz znaczy bardzo mało,
 Byle mu się najprędzej z bogacić udało;
 Byle mógł, choćby kosztem szczęścia i pokoju,
 Żyć czas jakiś i huczno i w przyjaciół roju.
- ZOFIA. Nie turbuj się, stryjaszku, ja sobie poradzę,
 Jużem przecie nie dziecko, miej to na uwadze;
 Daj tylko zezwolenie: on młody, ja młoda,
 On kocha i ja Kocham, a tak będzie zgoda.
- PAN JAN. Nie jestem opiekunem, jakich wielu liczą,
 Którzy wiecznej opieki chętnie sobie życzą.
 Małoletni dla takich najczystsza intrata,
 I kiedy chce wyjść na świat, nim jeszcze ma lata,
 Musi wprzód opiekuna nie mało opłacić,
 By miał wolność przed czasem swój majątek stracić.
- ZOFIA. Więc jeśli moje szczęście masz szczerze na względzie,
 Zezwól, nasze żądanie niech spełnionem będzie;
 A przez cały ciąg życia, w każdej, w każdej dobie,
 Za wszelkie pomyślności będę wdzięczna tobie.
- PAN JAN. No, więc dobrze, za męża weź swego kochanka,
 Weź, weź tego słodkiego, milego baranka;
 Lecz nigdy mnie już nie nudź w najgorszej potrzebie.
 (na stronie)
 Zbędę się raz kłopotu i wrócę do siebie. (do Zofii)
 Jeszcze ci powiem...

SCENA VII.

PAN JAN, ZOFIA, PAN PIOTR, LUBOMIR.

PAN PIOTR (mając papier w ręku). Dobrze, zaraz ci podpiszę.

ZOFIA (do Ludomira). Oba więc zezwalają?

PAN PIOTR.

Zezwała, co słyszę!

PAN JAN. Zezwała więc to łapka!

PAN PIOTR.

Jegoto układy?

PAN JAN. Tak? chcieliście mnie podejść?

PAN PIOTR.

Nienawidzę zdrady.

PAN JAN. O, nic z tego nie będzie.

PAN PIOTR.

Pewnie, że nie będzie.

Pan Jan z swoim projektem na łodzi osiedzie.

PAN JAN. Wszystko było osnute zręcznie i dokładnie,
Lecz szkoda, że lis stary rzadko w łapkę wpadnie;
Braciszek, krótko mówiąc, chciał mnie stąd oddalić,
Potem, że w pole wywiódł, przed światem się chwalić.
Sam zaś zostawszy w domu, cudzym *nota bene*,
Wyciągnąć swoje łaski na wysoką cenę,
Wśród grona zalotników, jakby sam był panna,
Niszczyć prawem wieczorném obietnicę ranną,
Wymyślać, gderać, zrządzić choćby i dwa wieki!
Słowem: żyć, póki można, plonem téj opieki.

PAN PIOTR. Gdybym cię zrządą nie znał...

LUBOMIR. Panowie łaskawil

Czyż udręczenie drugich tak was wielce bawi?
Jeden i drugi prawo opieki posiada;
Lecz jeśli jeden zniszczy, gdy je drugi nada,
Wieczna kłótnia trwać będzie, końca temu niema,
I nikt ręki Zofii pewnie nie otrzyma.

PAN JAN. Czemużes się wprost do mnie nie udał, mój panie?

LUBOMIR. Wtedy pan Piotr toż samo zadałby pytanie.

ZOFIA (*do pana Piotra*). Ach luby stryju, zezwól...

PAN PIOTR. Nie, to być nie może.

ZOFIA (*do pana Jana*). Stryju, błagam...

PAN JAN. Nic z tego.

ZOFIA. Cóż czynić, o Boże!

(*placze*)

LUBOMIR. Wskażcie mi waćpanowie sposób, czynność, drogę,
Jak Zofią zasłużyć i pozyskać mogę.

PAN JAN. Wcześniej tak trzeba było mówić ze mną szczerze,
A teraz téj pokorze nie ufam, nie wierzę,
I bądź pewnym, że głowy dla kształtu nie noszę.

LUBOMIR. Proszę...

PAN JAN. Dłużej nie nudzić, ja go także proszę.

LUBOMIR. Rzecz dziwna, niesłychana! niechże wiem przyczynę,
Niechże poznam przestępstwo albo moję winę.

PAN PIOTR. Jesteś młodym, więc słuchaj, co stary powiada:
Kaźda, jakabądź władza przywilej posiada,
Że czy szczęściem, czy smutkiem swych niższych nabawia,
Nigdy się i z niczego przed niemi nie sprawia.

LUBOMIR. Szanuję ten przywilej; ale każde dzieło
Musi się kiedyś skończyć, gdy początek wzięło;
Zatem i każda władza, zwłaszcza nadużyta,
W szczęściu lub smutku niższych, niech swój wyrok czyta;

Nie jeden trwogi dozna, co rozrzuca trwogę.
Tę małą, od młodego, chciój przyjąć przestrożę. (*odchodzi*).

SCENA VIII.

PAN JAN, PAN PIOTR, ZOFIA.

(*długie milczenie; wszyscy chodzą wzdłuż i poprzek*).ZOFIA (*głośno z determinacją*).

Kiedy tak... więc powiadam...

PAN JAN, PAN PIOTR (*razem*).

Cóż?

ZOFIA (*przestraszona*).

Nic... lecz chcę prosić.

Chciejcie raz wasze myśli wyraźnie ogłosić,
Aby się pan Lubomir mógł do nich stosować;
Wszak mnie żywą w klasztorze nie chcecie pochować.
Trzeba, abym wiedziała, co się ze mną dzieje,
Chcę się dowiedzieć, jaką mieć mogę nadzieję.
W szesnastym roku życia myśli nie są płocze,
I można swoim losem zatrudnić się trochę;
Ślepo wierzyć nie będę lada jakiej radzie,
Zwłaszcza, gdy mojej woli stanie na zawadzie.
Zatém powiadam... męczcie, dręczcie moję duszę,
Róbcie, co tylko chcecie, ja męża mieć muszę.

PAN PIOTR. Tam do katal! doprawdy?

PAN JAN.

Wszakżem rzekł dopiero,

Że panieńska lekliwość nie zawsze jest szczerą;
Otóż ta, co dwóch zliczyć nie umie z pozorów,
Patrzcie, jak nas odważnie wyzywa do sporu.

PAN PIOTR. Co ja chcę, mościa panno, w jakimkolwiek względzie,
Niech zawsze dla niej prawem, świętém prawem będzie;
Łzom kobiecym nie wierzę, fochów się nie zleknię,
I błagać przebaczenia przed nią nie ukłękę;
Proszę więc pójść i czekać, aż przyślemy po nią.

ZOFIA (*odchodząc, na stronie*). Sami kochać nie mogą, to i drugim bronią.

SCENA IX.

PAN JAN, PAN PIOTR.

PAN PIOTR (*na stronie*). Czy to brata był układ, Bóg to raczy wiedzieć.PAN JAN (*na stronie*). Trzeba więc tutaj sto lat jeszcze siedzieć;

Jednakże nie zezwolę.

PAN PIOTR (*na stronie*).

Zezwolić nie mogę.

PAN JAN (*na stronie*). Byłoby tryumfalną uścielić mu drogę.

PAN PIOTR (*na stronie*). Bo jeśli jego wola, drwiłby potem ze mnie.

PAN JAN (*na stronie*). O zgrozo! chcieć mnie, brata, podejść tak nikczemnie!

Ale może na kogo innego się zgodzi,
A dając Zosi męża, i mnie oswobodzi. (*do pana Piotra*)
Chciałbym, mój panie Piotrze, pomówić z nim szczerze,
I stałe jego zdanie ułyszć w tej mierze.
Kiedy się już tak stało, jak my sobie życzym,
I Lubomir nie wskórał i odjedzie z niczém,
Dobrzeby przecie było ukończyć te zwady
I na jedne, raz w życiu, zgodzić się układy.
Dużo o rękę Zosi... stara się młodzieży,
Kiedyśmy opiekuny, wybrać nam należy.
Zosia dziecko, pomału na wszystko zezwoli;
Nie umie poznać nadal szczęścia lub niedoli
I jedynie nasz rozkaz stanowić tu będzie.
Mów więc, kogo wybierasz w zalotników rzędzie?

PAN PIOTR. A, nie do mnie należy w tej mierze wybierać:
Ja tylko słuchać będę...

PAN JAN.

I będę się spierać.

O, znam tę skromność twoją, nikt z nią nie poradzi,
Niech cię kto, jak chce mija, a przecie zawadzi;
Ale kiedy tak żądasz, bez złości, uporu,
Pierwszy do tak ważnego przystąpię wyboru.
Na przykład: cóżbyś sądził... młody Kasztelaniec?...

PAN PIOTR. Co? ha, ha, ha; ten burda, król wszystkich pijanic,

Który wszystkich zaczepia, aby pił przy zgodzie,
Co ciężarem sąsiadów, zakąłem w swym rodzie?
Jakże go, panie Janie, mogłeś wybrać sobie?
Nikt go trzeźwym nie widział, chybaby w chorobie.
Každy go pilnie stroni, i powab kielicha
Zwabi tylko czasami spragnionego mnicha
Lub tego, co niebaczny, z kim się dzisiaj brata,
Jutro się zmartwi stratą szacunku u świata.
A! pozwól, nad tą myślą niech się jeszcze dziwię,
Chciałeś Zofii zjednać piękny los prawdziwie!
Obcą zawsze, czasami i zbytnią w swym domu,
Być świadkiem, towarzyszką szaleństwa i sromu,
Słyszeć i w dzień i w nocy krzyki i wiwaty,
Bać się i nie móżdź wstrzymać majątku utraty,
Nareszcie zwykłym skutkiem podobnego życia,
Szukać gdzie w cudzym domu lichego ukrycia;

To jest przyszłość niechybna i ta Zosię czeka.

Jeżeli ją tak nasza obdarzy opieką.

Lecz na cóż długo szukać, gdy potrzeby niema?

Pan Smętosz, blizki sąsiad, niechaj ją otrzyma.

PAN JAN. Ten kutwa, co do skrzyni przed gościami się chowa,
Który już wszedł w przysłowie, gdy o skąpych mowa;
Nędza, głodem, wśród złota napół umorzony,
Jakże mu myśl przyjsię mogła szukać sobie żony!
I którażto pomyśli zostać jego żoną?
Nie było jeszcze takiej i nie będzie pono.
Wszakto jego zdarzenie tak sławném zostało,
Że o niem niewiedzących znajdziesz bardzo mało.
Onto, sług wypędziwszy swém sknerstwem bez miary,
Został się sam przy skrzyni, przy bramie pies stary,
Wierny, bo na łańcuchu, zażarty, bo głodny,
Był straszny dla hultajów, dla pana dogodny.
Lecz gdy pan zawsze pościł, jak i teraz pości,
A pies już nie dostawał ni chleba ni kości,
Wychudł... nareszcie skonał jednego wieczora,
A w nim razem i sługa i straży podpora.
Wtedyto nasz pan Smętosz tając śmierć brytana,
Właził w wieczór do budy i szczekał do rana;
Lecz choć dobrze udawał brysia nieboszczyka,
Łotr jakiś z lepszym węchem do domu się wmyka,
I gdy sknera aż chrypnie, tak wyje i szczeka,
Złodziej z jego pieniędzmi szczęśliwie ucieka.

PAN PIOTR. Hm, *specjes* dykteryjki...

PAN JAN. Prawda, prawda czysta,

Zaświadczy sto żyjących, zaświadczy ich trzysta.

A, pozwól, nad tą myślą niech się jeszcze dziwię,

Chciałeś Zofii zjednać piękny los prawdziwie!

Jednak nie mogę myśleć, abyś mówił szczerze;

Żeś się tylko chciał spierać, temu chętniej wierzę.

PAN PIOTR. Czy tak?

PAN JAN. Tak, tak, tak!

PAN PIOTR. Prawda, ja zrzędcę od rana!

PAN JAN. Bo jakże... ale proszę... bo czy rzecz słychana,

Żeby chcieć synowicę zrobić Smętoszową!

Ten, co...

PAN PIOTR. Coś już powiedział, nie wszczynaj na nowo.

Mniejsza z tém... bierz go licha!

PAN JAN.

Kiedy tak, więc za nic

Niech będzie i mój projekt, za nic Kasztelanie;

Bo nie jestem uparty...

PAN PIOTR.

Któż zatem zostaje?

PAN JAN.

Pan szambelan Dorancki godnym mi się zdaje.

PAN PIOTR.

Ten z miechowskim orderkiem freyk posiwiwały,
Co dyabli wiedzą na czém strawił wiek swój cały,
Nie w wojsku, i nie na wsi, ani na podróży,
Z państwem się tylko brata lub mu raczej służy;
Wprawdzie ma dość majątku, posag miernie ceni,
Lecz mniema, że zaszczyci, z którą się ożeni.
Nie odwyknie, do czego nawykał tak długo:
Będzie miał przyjaciółki, żona będzie sługą,
I szczęście, jeśli z wiekiem, w obliczu swych dzieci
Nierządem, jak pan Zdzisław, scen brudnych nie wznieci.
Ale to wszystko mniejsza, bo może się myłé;
Lecz to dobrze zważalem i to razy tyle,
Że kiedy w towarzystwo wejdzie niespodzianie,
Pół słowa na języku każdemu zostanie;
Nikt już śmiało nie mówi, nikt sobie nie wierzy
I nim głosu dobędzie, myśli swoje mierzy.
Nie wiem, co za przyczyna i nie chcę dochodzić,
Lecz, co na szambelana, nie mogę się zgodzić;
Wszakże już pan Rymowicz godniejszy, jak wnoszę.

PAN JAN.

Ach! tylko mi poety nie wspominaj, proszę!
Żaden z nich ni o sobie ni też w sobie myśli:
Jakieś światy nieznane wrzącym duchem kręśli,
Nie lubi się zatrudnić ni dziećmi ni żoną,
Bo go gdzieś jakieś wabi nieśmiertelnych grono;
Lecz gdy się tak z dnia na dzień zajmuje Parnasem,
Tu go na ziemi skubią i kradną tymczasem.
Zostaje potem zwykle bez grosza dochodu,
I chociaż nieśmiertelny, musi umrzeć z głodu.
Tak, jak pan Pegaziński... znałem go przed laty;
Wziął po ojcu majątność, miał piękne intraty,
Lecz cóż, kiedy nieszczęściem pomyślał o Febie
I zapomniał o ludziach, zapomniał o chlebie.
Koło jego wrót jechać bały się sąsiady,
Aby nie spotkać bajki, ody lub balady,
A gdy złapał, to szczęście, jeśli o zachodzie
Mógł kto dwudziestej czwartej wysliznąć się odzie.
O przyszłości nie myślał; wszystko wniwecz tracił,
Długów dużo narobił, podatków nie płacił,
Rymował a rymował i latał Pegazem;
Aż prozą wzięto wioskę za sądu rozkazem,

I teraz gdzieś pod strychem pewnie z nędzy ginie
 I ukończy przy wodzie, co zaczął przy winie.
 Cóż z tego, proszę, dzieciom i zgłodniałej żonie,
 Że mąż w biedzie wawrzymem uwieńczy swe skronie?
 Cóż są te chwały, sławy, świątynie, kościoły,
 Kiedy każdy poeta całe życie goły?

PAN PIOTR. Ten zły i ten niedobry... i cóż, panie Janie,
 Jak tak zaczniesz wybierać, młodzieży nie stanie,
 I chociaż ja niby chętnie się sprzeciwię,
 Milczę całą godzinę... ty gadasz szczęśliwie.

PAN JAN. Więc może znów zrzędzę?

PAN PIOTR. To nie twoja wada.

PAN JAN. Juźci mówię czasami, gdy mówić wypada,
 Zwłaszcza kiedy nie jeden rozprawia od rzeczy,
 Swoje złe utrzymuje, a dobrenu przeczy.

PAN PIOTR. Każdy chętnie swe zdanie za dobre uważa.

PAN JAN. Zbłądziwszy, kto błąd wspiera, swą winę pomnaża.

PAN PIOTR. Więc błądzi, kto waćpanu nie da sobą rządzić.

PAN JAN. Kto się lubi sprzeciwiać musi często błądzić.

PAN PIOTR. Trzeba milczeć, gdy mówisz...

PAN JAN. Lub mówić rozumnie.

Co jest dobrém u świata, jest dobrém i u mnie,
 Nie lubię drugich ganić, roztrząsać ich winy,
 I gęby nie otwieram, gdy nie mam przyczyny;
 Ale ścierpieć nie mogę, zatem nie zezwolę,
 By wtrącić synowicę w dozgonną niewolę.
 Co? miałyby do twego przystąpić wyboru?
 Niech raczej jeszcze dzisiaj idzie do klasztoru.

SCENA X.

PAN JAN, PAN PIOTR, LUBOMIR.

LUBOMIR. Zawsze razem i zawsze w najpiękniejszej zgodzie!
 Drogi przymiot, jak zważam, w ich szlachetnym rodzie-
 Prawdziwie, mało znałem tak uprzejmych braci;
 Żaden z was sposobności najmniejszej nie straci,
 By drugiemu usłużyć, być pomocnym w radzie;
 Uprzedzić, zobowiązać, ustąpić w układzie;
 Bo też nic piękniejszego, jak zgoda w rodzinie:
 Wspólnie podzielać chwałę, gdy dobrze uczynię,

Znaleść wad pobłażenie, przestrożę w złym kroku,
Mieć doradcę w braterskiém i sercu i oku,
Ufnością ufność płacić, wszystko poddać zgodzie,
Znachodzić lżę w strapieniu a uśmiech w swobodzie,
I słowem, do krwi związków, przyjaźń złączyć jeszcze;
Ach, tę rozkosz ja w liczbę boskich rozkosz mieszczę.

PAN PIOTR *(do pana Jana)*.
Drwi z nas pono.

PAN JAN *(do pana Piotra)*. Wyrażnie.

PAN PIOTR *(do pana Jana)*. A może i w błędzie.

PAN JAN *(do pana Piotra)*.
Wszakżeśmy rzadko w zgodzie.

PAN PIOTR *(do pana Jana)*. Mówią o tém wszędzie.

PAN JAN *(do pana Piotra)*.
Czasem nadto się gniewam.

PAN PIOTR *(do pana Jana)*. Jam trochę uparty...

PAN JAN *(do pana Piotra)*. Ale cóż ma za prawo stroić sobie żarty?
(do Ludomira)

Nadszedłeś waćpan właśnie nieszczęściem w tej chwili,
Kiedyśmy trochę z bratem za głośno mówili,
Widzę więc, że te szczęścia i zgody pochwały
W wysmianiu naszej sprzeczki jedyny cel miały.

LUBOMIR. Poznałeś się pan przecie na mnie i na sobie?
Tak jest, chciałem żartować, sekretu nie robię,
I zdaje się, że kiedym tak długo w tym domu,
W którym dobrego słowa nikt nie da nikomu,
Gdzie od samego rana i klótnia i wrzawa,
Zdaje się, że m zrzędzenia już dostąpił prawa.
Prawdziwie, mało znałem tak niezgodnych braci:
Żaden z was sposobności najmniejszej nie traci,
By drugiemu dokuczyć, być nieszczerym w radzie,
Przeciwić się i nudzić w najlichszym układzie.
Złem jest każda niezgoda, lecz zgrozą w rodzinie:
Doznawać wciąż niesnasek, dobrze czy źle czynię,
Mieć zawsze prześladowcę, szpiega w każdym kroku,
Czytać niechęć w braterskiém i sercu i oku,
Chytrością, chytrność płacić, żyć ciągle w niezgodzie,
Widzieć radość w strapieniu a zazdrość w swobodzie,
I czuć, że się serce naszych natura wyrzekła,
Takie życie, móm zdaniem, czysty obraz piekła.

PAN JAN. A, już tego zanadto! cóż to jest u kata?

LUBOMIR. Że waćpan jesteś zrzędą nieznośnym dla świata.

PAN JAN. Ale...

LUBOMIR. Słusznie, niesłusznie, wszystkiemu przyganasz.

PAN JAN. A już!...

LUBOMIR. A od nagany siebie nie zasłaniasz.

PAN JAN. Panie...

LUBOMIR. Co ci dobrém dziś, jutro złém się staje.

PAN JAN. Słuchaj...

LUBOMIR. Nie chęć poprawy, złość nauki daje,

I jak zmija zjadliwa, co się wkoło ciska,

Waćpan tego kaleczysz, kogo zoczysz zblizka.

PAN JAN. Niemieję! czy ja żyję?

LUBOMIR (*do pana Piotra*).

A waćpan, mój panie,

Czego się śmiejesz, czego? tak śmieszne me zdanie?

Ale nie, znam go dobrze; udręczenie brata

Jakby największa rozkosz do duszy mu włata

I ten uśmiech sprowadza; dobrze, wysmienicie!

Pięknemi uczuciami oba się szczycicie!

Waćpan to jesteś pierwszą zawadą do zgody:

Mogące przekonywać zarzucasz dowody,

Najświętsza prawda, równie jak i błędne zdanie,

Znajduje w tobie sprzeczność, podlega naganie;

Myślisz tylko, czém wzniecić, czém utrzymać klótnie,

Smutném zwaśnieniem drugich pastwisz się okrutnie,

I tak jesteś nie tylko dla swoich zgryzotą,

Lecz i całej ludzkości szkodliwą istotą. (*odchodzi*).

SCENA XI.

PAN PIOTR, PAN JAN.

PAN JAN. No, i cóż panie Piotrze, dosyć niespodzianie
Usłyszałeś rzetelne, potężne kazanie.

PAN PIOTR. I waćpan...

PAN JAN. Ostrój prawdy słuchałeś cierpliwie.

PAN PIOTR. I waćpan...

PAN JAN. Jeszcze dotąd śmieję się i dziwię;

Wszak językaś zapomniał...

PAN PIOTR. Ja się także śmieję,

Kiedy wspomnę, jak waćpan...

PAN JAN. Tak się zawsze dzieje,

Kiedy kto zna swoje wady a wspierać je żąda,

Wtedy komubądź w oczy nieśmiało spogląda.

PAN PIOTR. Ależ mój panie Janie...

PAN JAN. I co mnie w tém bawi,
 Że ten, co tak zuchwale zwierciadło ci stawi,
 Jest ów dzisiaj wybrany, ów przyjaciel drogi;
 Dla niegoś spiski knował, szukał krętój drogi,
 Jemuś dawał Zofią, mnieś chciał wywieść w pole.

PAN PIOTR. I może na ten związek jeszcze dziś zezwolę.

PAN JAN. O, raczej na śmierć swoją.

PAN PIOTR. Co zechcę, uczynię!

PAN JAN. Wszystko, wszystko, nie wątpię, prócz tego jedynie,
 By za takie urazy...

PAN PIOTR. Jakież te urazy?

Jeślim słyszał, com nie chciał, waćpan dwa kroć razy,
 I żebym cię przekonał, jak to mało cenię,
 Oto jest opiekunów prawne zezwolenie,
 Siadam i podpisuję. (*siada i podpisuje.*)

PAN JAN (*na stronie*). Ten człowiek szalony!

PAN PIOTR. Któż z nas teraz obydwóch mocniej urażony?
 Masz w rzeczy i przyczynę, łajał cię bez miary.

PAN JAN. Co, mnie?

PAN PIOTR. Wszakże przyrównał do jakiegś poczwary.

PAN JAN. Nie słyszałem.

PAN PIOTR. Co wściekle rzuca się na ludzi.

PAN JAN. Nie słyszałem.

PAN PIOTR. Czyjgoż to śmiechu nie wzbudzi?
 Nie gniewać się nie możesz.

PAN JAN (*na stronie*). Pęknę, umrę, zgine!

PAN PIOTR. A gniewając się, trzeba powiedzieć przyczynę.
 Czemuż się już nie śmiejesz?

PAN JAN. Czemu się nie śmieję?

PAN PIOTR. Zgryzło cię, żem podpisał?

PAN JAN (*na stronie*). Przeklęcie, szaleję! (*głośno*)
 Podpisałeś? więc dobrze; wiem, wszystko rozumiem,
 Znam całą myśl twoją, znam, zamiar pojąć umiem:
 Wszystkobyś wolał stracić, niżli szczęście sprawić
 Tego, co ci tak gorzko śmiał prawdę wystawić.
 Lecz chcesz, bym się sprzeciwił a dogadzał tobie,
 Tak miałbyś plon żądany i tryumf przy sobie,
 Ale nic z tego; gdzie? daj! na złość ci podpiszę.

(*siada i podpisuje*)

PAN PIOTR (*na stronie*). Podpisał! czy szalony!

SCENA XII.

PAN PIOTR, PAN JAN, LUBOMIR.

LUBOMIR (*który we drzwiach podstuchiwał chwilę*).

Co widzę, co słyszę?

Zezwalacie obydwu!

PAN JAN (*podsuwając papier*). Na, masz zezwolenie.PAN PIOTR (*z ironią*). Kaducznie mi dokuczyl!PAN JAN (*z ironią*).

To dla mnie zmartwienie!

PAN PIOTR. Rób, co chcesz, ja odjeżdżam.

PAN JAN.

I ja tu nie bawię.

PAN PIOTR (*odchodząc*). Toś wyszedł doskonale!PAN JAN (*odchodząc*).

Toś zyskał w tej sprawie!

SCENA XIII.

LUBOMIR.

LUBOMIR. Dobrze więc przewidziałem i poznałem braci;
 Za zmartwienie drugiego każdy mi dziś płaci:
 Co nie mogła cierpliwość, nie mogło błaganie,
 Przez sparte, sprzeczne siły spełnioném zostanie.
 Teraz klóćcie się, krzyczcie, zrządźcie w dzień i nocy.
 Wyrok naszego szczęścia już jest w mojej mocy.

SCENA XIV.

LUBOMIR, ZOFIA.

LUBOMIR (*otwiera drzwi*). Zofio! chodź, Zofio! szczęście nam jaśniej!
 (*Zofia wchodzi*)

Spełnione przecie nasze najdroższe nadzieje!

ZOFIA. Czy być może? stryjowie?

LUBOMIR.

Zezwolenie dali.

ZOFIA. Jakże, powiedz, tak prędko, tak nagle przystali?

LUBOMIR. Później twoję ciekawość całkiem zaspokoję.

SCENA XV.

ZOFIA, LUBOMIR, PAN JAN.

(Pan Jan w płaszczu, kapeluszu, laska w ręku, słucha pierwszego wiersza w głębi stojąc).

LUBOMIR. A teraz przyszedłem szczęściem cieszymy się oboje!
 PAN JAN. Szczęście? brawo, wybornie; każdy, co się żeni,
 Chwilę, w której ślub bierze, chwilą szczęścia mieni;
 Ale gdy roczek jeden i drugi upływa,
 Nie każdy dzień swych ślubów dniem szczęścia nazywa.
 Waćpanna pewnie mniemasz, że ów panicz młody
 Zawsze będzie zajęty celem jej swobody?
 Że zawsze znajdziesz w mężu czulego kochanka,
 Jakiego snadnie kreśli romans lub sielanka:
 Coby mierność przekładał nad zaszczyty tronu,
 By swą lubą w zaciszu mógł wielbić do zgonu,
 Któryby pełen czucia, w każdój życia porze
 Miłością jej weselną przypominał zorzę?
 Poznasz, poznasz, lecz późno, coto jest mieć pana,
 I czy tak, jak kochanka, jest żona kochana.
 A waćpan, co się cieszysz, prawie jak szalony,
 Że dojdiesz tego szczęścia i dostąpisz żony,
 Powiedz, czyli nie widzisz, co się z ludźmi dzieje?
 Jak częstokroć mąż płacze, gdy się drugi śmieje,
 Jak rzadko jedność w domu do końca utrzyma,
 I jak głupią gra rolę, gdy pieniędzy niema.
 Na wsi wciąż bawić nudno, w mieście niebezpiecznie,
 Zawsze być na rozkazy i lękać się wiecznie;
 Ach wierzaj, będziesz płakał wolnych chwil utraty,
 Wierzaj mi, mogę mówić, bom i ja żonaty.

SCENA XVI.

ZOFIA, LUBOMIR, PAN JAN, PAN PIOTR.

(Pan Piotr w płaszczu i kapeluszu).

PAN PIOTR *(w głębi)*. Znowu zrzędzi.

PAN JAN.

Cóż z tego?

- PAN PIOTR. Gderaj sobie, ale...
- PAN JAN. Chcesz się klócić?
- PAN PIOTR. Ja?
- PAN JAN. (*idąc ku drzwiom*). A ty.
- PAN PIOTR. Ni e mówię nic wcale...
- PAN JAN. Mówisz albo nie mówisz...
- PAN PIOTR. Zawsze źle.
- PAN JAN. Szkaradnie.
- PAN PIOTR. Czy tak?
- PAN JAN. Tak, bo co myślisz, każdy łatwo zgodnie.
(*ostatnie dwa wiersze mówią idąc, i kończą za drzwiami*)
- ZOFIA. Ach, czyliż między nimi nigdy nie ustanie?
- LUBOMIR. Do nas teraz należy przykładem swobody
Zmusić ich do milczenia, zachęcić do zgody;
A jeśli zawsze kłótnia będzie im tak drogą,
Niech się klóca, że szczęścia zaprzec nam nie mogą.

MAŻ I ŻONA

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH, WIERSZEM.

Gudzego nabywając, swoje często tracim
kto po cudzą stawkę idzie, trzeba, żeby
swoję stawil, czasem i za płacił.

And. Maks. Fredro.

O S O B Y,

HRABIA WACŁAW.

ELWIRA, jego żona.

ALFRED.

JUSTYSIA.

Scena w mieście, w domu hrabiego Wacława.

AKT I.

Pokój; z jednej strony kanapa, z drugiej stół okrągły, na nim lampa z umbrellą, w głębi fortepian.

SCENA I.

ELWIRA, ALFRED (*siedząc przy sobie na kanapie*).

ALFRED. (*trzymając rękę Elwiry*).
Luba Elwiro, kochanko mój duszy,
Z łez, oko twoje, kiedyż się osuszy?
Czemuż rzadkie, drogie chwile,
Które mozem spędzić z sobą,
Lubisz, roniąc żalów tyle,
Smutną pokrywać żalobą?
Czy już miłości tak słaba jest siła,
Że szczęście moje, któreś ty sprawiła,
Nie może zatrzeć blahego wspomnienia
I myśli próżnych nie zmienia?
ELWIRA. Alfredzie, kocham, kocham cię nad życie,
Lecz i to wyraz zbyt słaby;
Jakieżby życie mogło mieć powaby,
Gdybym go z tobą nie dzieliła skrycie?
Myśl, że stając się miłości nagrodą,
Uczyliłam szczęście twoje,
Więcej jest może jak zgryzot osłoda,
Jest... czego nawet wymówię się boję;
Ale czyż mogę bez skrytej tęsknoty
Puszczać w niepamięć obowiązki, cnoty,
Które za młodu w duszę mi wpoili,
Którem w nieszczęsnej przepomniała chwili?
Nareszcie ciągnę obawa...

ALFRED. Obawa?

ELWIRA. Alfredzie, miłość nasza nie jest prawa;
Świat ma oczy przenikliwe...

ALFRED. Miłość nieprawda, marzenie prawdziwe!
Jeśli natura zaród jój płomieni
W każdą istotę włożyła,
Płomieni, których czarująca siła
Byt nieczuły w życie mieni,
Tém samém, jak się wydaje,
Każdą miłość uprawnia.
Czyliż ja przeto występny zostaję,
Że moje serce zauknięte zbyt mało,
Lubiące piękność, rozum, dobroć, wdzięki,
Elwirę kochać musiało?

ELWIRA. Ach i ta miłość, dla której, niestety,
Duszy niewinnej zrzuciłam zalety,
Dla której, widząc zawsze tylko ciebie,
Zapomniałam sama siebie,
Zapomniałam i świat cały,
Ach, jeśli kiedy strawi swe zapaly!
Jeśli twe serce oziębłém zostanie,
Jakież ty o mnie mieć będziesz mniemanie?
Może dowody dziś dane...

ALFRED. Jakto? coś rzekła, gdy kochać przestanę?
Ach nie, Elwiro, serc naszych złączenie,
To z twojem mego równe uderzenie,
Ten pociąg luby i ognisty razem,
Co się tajemnym tłómacząc wyrazem
Spoił czułe nasze dusze,
I ta mgła na świat rzucona,
Gdy cię przyciskam do łona,
Ach, czyż ci powtarzać muszę:
Więcej jak zwykłej miłości zapalem!
To czucie boskie, którego nie znałem,
Którego niegdyś szukałem daremnie,
Już się z życiem spleło we mnie;
Ich węzła nieba nie wzruszą;
Trwać i ginąć razem muszą.

- ELWIRA. O! jakże lubię słuchać twego głosu!
 Upojona tym urokiem
 Tracę pamięć mego losu,
 Ciebie tylko mam przed okiem;
 Słowa z mych piersi wydobyć nie mogę,
 Czuję i rozkosz i żal i trwogę,
 Pożar mnie przenika miły,
 Pałam i pałać się boję,
 I ledwie dosyć mam siły
 Rzucić się w objęcia twoje;
 Czemuż przeznaczenia władza,
 Która nas złączyć umiała,
 Która serca nasze zgadza,
 Ciebie za męża Elwirze nie dała?
 I Wacław może z inną żyjąc żoną,
 Byłby szczęśliwy i ona szczęśliwa,
 I jabym jak dziś nie była zmuszoną
 Być z nim chytrą i fałszywą.
 Miłość ku tobie jedynie
 Mój wrodzony wstręt zwycięża,
 Że w każdej życia godzinie
 Zwodzić muszę mego męża.
- ALFRED. Twojego żalu niesłuszna przyczyna;
 Nie jegożto własna wina,
 Że ci się ciągle podobać nie umiał,
 Gdy już zrazu był lubiony,
 I że szalenie rozumiał
 Powinnością miłość żony?
 Wacław przystojny, bogaty, rozumny,
 W młodości najpierwszym kwiecie,
 Z tylu miłostek i sławny i dumny,
 Wszystkiem kazał wróżyć w świecie,
 Że jego żona, w jakimkolwiek względzie,
 Jedną z najszcześniejszych będzie;
 Alic ledwie cię zaślubił,
 Gdy mu wszędzie zazdroszczono,
 On oziębły z swoją żoną
 Domu swego już nie lubił.
 Ile gdzieindziej pośród zgromadzenia
 Rzadką swą przyjemnością jest celem wielbienia,
 Tyle nieżnośny sam na sam u siebie,
 Zostawił żonę, że powiem, w potrzebie
 Gorętszej duszy szukania,

- Szukania uczuć podziału
I ulegnienia pomału,
Władzy, pod którą natura nas skłania.
- ELWIRA. Gdybym nie była zawsze opuszczoną
Ach, inną byłabym żoną!
- ALFRED. Spędziłaś z nim, powiedz, choć chwilę przyjemną?
- ELWIRA. Ach nie, nigdy, niestety! tak mało żył ze mną.
- ALFRED. Jeśli przyjdzie do ciebie, to siądzie i ziewa.
- ELWIRA. I za to, że się nudzi, na żonę się gniewa.
- ALFRED. Coraz przykrzejszym się staje.
- ELWIRA. Zawsze zrzędzi, gdera, łaje,
Albo ileż mi zawsze czynią zgryzoty
Jego fałszywe pieśczoły,
Którymi zwykle obdarza,
Gdy nas kto trzeci uważa;
Rozkosz, szczęście rozpowiada,
Których dozna, kto się żeni,
Ścisła, pieści, do nóg pada,
Żonę bóstwem swoim mieni;
Lecz ten, co patrzył, drzwi ledwie zatrzaśnie,
Zaraz miłość, grzeczność gaśnie,
I, jakby chciał okupić przyjemność tej chwili,
Na tysiąc niegrzeczności natychmiast się sili.
- ALFRED. Nieznośny.
- ELWIRA. Przykry.
- ALFRED. Bez duszy.
- ELWIRA. Nic go nie ujmie.
- ALFRED. Nie wzruszy,
- ELWIRA. Nie wiedziéć czém mu dogodzić.
- ALFRED. I takiego przykro zwodzić?
- ELWIRA. Nie, nie, on zasłużył na to,
Niech za nieczułość to będzie zapłatą.
- ELWIRA. (*zartując*). Lubisz widzę mężów karać.
- ALFRED. O dobro wszystkich potrzeba się starać.
- ELWIRA. I czasem to staranie jeszcze niechęć wzbudzi!
- ALFRED. Ach, któż w świecie nie doznał niewdzięczności ludzi!
- ELWIRA. Jednak choć tyle przykrości z nim znośę,
Żal mi go.
- ALFRED. (*z długim westchnieniem*). Biedny.
- ELWIRA. (*śmiejąc się*). Nie żałuj go, proszę.
- ALFRED. Jak nie żalować i nie westchając szczerze,
Kiedy mój Wacław w opiekę mnie bierze,

By mnie nauczał, jakie są sposoby
 Zyskania względów kochanej osoby;
 Kiedy, jak długo, trzeba skrycie kochać,
 Kiedy oświadczyć, kiedy jęczeć, szlochać,
 Jakiemi drogami chodzić,
 Jak ospałych mężów zwodzić,
 Słowem, miłostek naucza mnie sztuki.

ELWIAR (*śmiejąc się*). Ciebie?

ALFRED. Mnie.

ELWIRA. A ty?

ALFRED. Ja słucham nauki.

ELWIRA. (*śmiejąc się*). A wybornie, doskonale!
 Prawda, że biedny; nie pojmuję wcale...

SCENA II.

ELWIRA, ALFRED, JUSTYSIA.

JUSTYSIA (*wbiegając*).

Pan, Pan, dla Boga! Pan Hrabia już idzie.

ELWIRA (*zrywając się*).

Tak wczesnie wraca, któżby się spodziewał!

JUSTYSIA (*otwierając okno*).

Ach, prędkiej, prędkiej, bo będziemy w biędzie.

ALFRED. Nieznośny człowiek...

JUSTYSIA. Jutro będziesz pan się gniewał ..

ALFRED (*stając w oknie*).

Nie dać komu spokojnie wieczora przepędzić!

Po to wraca, żeby zrzędzić.

JUSTYSIA. Dalej, bo na honor, zrzucę

ELWIRA (*do Alfreda*). Kiedy?..

ALFRED. Za chwilę powrócę.

(*Elwira siada przy okrągłym stole, bierze robótkę i szyje; Justysia wybiega*).

SCENA III.

ELWIRA, WACŁAW.

(*Wacław wchodzi, spogląda na Elwirę i wzrusza ramionami, rzuca kapelusz i chodzi czas jakiś po pokoju.*)

WACŁAW (*stając przed Elwirą*).

Czemu też raz w rok nie wyjedziesz przecie?

Możnaby się czasami pokazać na świecie.

Zawsze cię w domu, zawsze samę widzę.

ELWIRA. Lubię samotność.

WACŁAW.

Ja jej nienawidzę.

(chodzi, po krótkim milczeniu)

Gust osobliwszy, siedzieć zawsze w domu!

ELWIRA. Gust nieszkodzący nikomu.

WACŁAW. O, zapewne, zapewne, nikomu nie szkodzi;

Ale że nudny, mówić mi się godzi.

(chodzi, po krótkim milczeniu).

Czy także lubisz tę smutną ciemność?

*(dzwoni mocno i do kamerdynera).*Świec! *(przynoszą dwie świece. Siada i ziewa).*

Porzuć też tę robotę,

Zawsze te igły i nitki;

Że u kobiet miary niema!

Albo bale, uczy, zbytki,

Albo też z spuszczonei nad szlarką oczyma,

Jakby w krzesła powrastałe,

Szyją i dębują dnie całe.

(długie milczenie; Elwira siada do fortepianu, cicho zacząwszy, gra coraz mocniej).

WACŁAW (*do siebie*).

A six, cztery honory, as, dama karowa,

I dać im skończyć robra! To gra całkiem nowa!

Rzecz niesłychana! i jemu grać w wiska!

I jeszcze łaje i kartami ciska.

Wygrywam asa, bo się gracza boję...

Ach, kochana Elwiro, uszy, uszy moje!

Daruj im to *Allegro*, daruj im te trele;

Tego harmonicznego hałasu za wiele,

Niemilosiernie uderzasz w klawisze,

Myśleć nie można, sam siebie nie słyszę.

(Elwira wstaje i siada przy stole, otwiera książkę; po krótkim milczeniu).

Nie wiem, co znaczy, wszędzie pełno ludzi,

U nas rzadko kto i każdy się nudzi;

Ha! każdy smutku stroni, wesołości szuka,
O, zrobić dom przyjemnym jest to wielka sztuka.
(*po krótkim milczeniu*).

Jakieżto ważne i zabawne dzieło,
Tak mocno twoją uwagę zajęło?
Pamiętnik.

ELWIRA.

WACŁAW.

Aha! Pamiętnik, nie żarty;
Od dwóch tygodni leżał też otwarty,
Aż się nareszcie doczekał czytania,
Nie wiem czy z nudów, czy też z powołania.
(*Elwira odsuwa książkę; długie milczenie*).

ELWIRA.

WACŁAW.

Weześnieś dziś wrócił.

A gdzież siedzieć miałem?

ELWIRA (*po krótkim milczeniu*).

Nie było wiska?

WACŁAW.

Owszem.

ELWIRA (*po krótkim milczeniu*).

Grales?

WACŁAW.

Grałem.

ELWIRA (*po krótkim milczeniu*).

Szczęśliwie?

WACŁAW.

Nie, (*ziewając*). Był tu kto?

ELWIRA.

Nie było nikogo.

(*po krótkim milczeniu, ziewając*).

Drogo grywacie?

WACŁAW.

Niedrogo.

ELWIRA (*po krótkim milczeniu*).

Pewnie duży mróz dzisiaj?

WACŁAW.

Duży?

ELWIRA (*ziewając*).

Bardzo duży?

WACŁAW (*wstając*).

Ale z tym mrozem nie nudź też mnie dłużej
Cóż mróz, czy upał obchodzić mnie może!
(*chodzi; długie milczenie*).

Ale wszakże dziś teatr, mamy pono łoże?

ELWIRA.

Mamy.

WACŁAW.

Trzeba więc jechać, bo moda minęła,
Z piątego aktu sądzić o dobroci dzieła.
(*Elwira odchodzi*).

SCENA IV.

WACŁAW.

Ach, nim się człowiek, niestety, ożeni,
O, jakże mało swoją wolność ceni!
Aż zakosztuje tej kwaśnej słodyczy,
Dopiero sobie, co miał niegdyś, życzy.

SCENA V.

WACŁAW, JUSTYSIA.

(Justysia wbiega wziąć robótki pani).

- WACŁAW. Dobrze, żeś przyszła, Justysiu kochana.
Dybień na chwilkę od samego rana,
Którąby można przepędzić ze sobą.
Chciałbym cię widzieć i pomówić z tobą,
A mam mówić tyle.
- JUSTYSIA. Ech, gdybyś pan chciał, to nie tylko chwilę,
Znalazłbyś pewnie i całą godzinę.
- WACŁAW. Jakże mnie możesz przypisywać winę?
Wszak wiesz, że proszę, błagam, czy się srożę,
Nic mojej żony stąd ruszyć nie może;
W domu siedzi całe życie,
I chcąc cię kochać, muszę kochać skrycie;
- JUSTYSIA. Już, już rozumiem, puść pan, pani woła.
- WACŁAW. Tak ci się zdaje.
- JUSTYSIA. Nadejdzie, dla Boga!
- WACŁAW. Nie zapominaj o mnie, lubciu droga,
Staraj się wszystkich od siebie wyprawić,
Tak będziemy mogli z sobą godzinkę zabawić.
Pamiętaj o mnie, bo ja w każdej dobie
Lubię pamiętać o tobie.
Patrz, pierścionek dla ciebie oddawna już noszę;
Chciój go przyjąć, bardzo proszę,
Niech go twoja rączka zdobi.
(Justysia kłania się).
Tak mi dziękujesz?
- JUSTYSIA *(z kokieteryą).* A jakże dziękować?
- WACŁAW. Jak, Justysiu? Pocałować. *(chce ją całować).*

JUSTYSIA (*nastawiając się*).

Proszę pana, co pan robi!

(*Elwira wchodzi, Justysia odtrąca Wacława, który stał tyłem do Elwiry*).

SCENA VI.

ELWIRA, WACŁAW, JUSTYSIA.

JUSTYSIA (*chwytając się za głowę*).

Ach, ach! głowa!

(*placze*).

Prawdziwie, powiedzielić się godzi,

Pan hrabia zawsze tak chodzi,

Jakby tylko sam był w domu;

Tak niesłychanie rozbić głowę komu!

Aj, aj, co za ból! oka nie mogę otworzyć.

ELWIRA. Wody zimnej czémprędzej najlepiej przyłożyć.

(*dzwoni i ku drzwiom idąc, do kamerdynera*).

Wody! wody daj prędko!

(*do Justysi*).

To sposób jedyny,

Będziesz zdrowa w pół godziny.

JUSTYSIA. Zdrowa, a siniec?

ELWIRA. Nie wiele zaszkodzi.

(*przynoszą wodę*).

JUSTYSIA. A fe!

Justysi o jój piękność chodzi.

ELWIRA.

Jużci, trzy dni pościć wolę,

JUSTYSIA.

Jak nosić siniec na czole.

(*Elwira sadza Justysię i zawiązuje chustką głowę*).

ELWIRA. Gdziето?

Tu, tu, ach jak boli!

JUSTYSIA.

ELWIRA. Tu?

JUSTYSIA. Tu, ach, tylko powoli!

ELWIRA. I znaku niema, jednak chustka może zostać.

JUSTYSIA (*grożąc hrabiemu po za Elwirą*).

Na honor, że dobrego mogłam guza dostać.

ELWIRA. Poślij tam, z zaprzęganiami niech się jeszcze wstrzyma.

(*Justysia całuje rękę Elwiry i idzie ze spuszczoną głową ku drzwiom; spogląda z pod oka; widząc, że Elwira tyłem stoi, uśmiecha się, hrabiemu grozi i wybiega*).

SCENA VII.

WACŁAW, ELWIRA.

- ELWIRA. Na teatr jeszcze nie czas, wszakże swóstej niema.
 WACŁAW *(który od wejścia Elwiry stał nieporuszony, jakby nagle przebudzony)*.
 A, niema, niema szóstej; tak siódma dopiero,
 Czy piąta, pół do szóstej. Niech konie rozbiera,
 Albo zaprzęgna, jak chcesz.
(na stronie).
 Ten rozum dziewczyny...
- ELWIRA. Co dziewczyny?
 WACŁAW. Nic, żal mi, że z mojej przyczyny
 Cierpi tyle.
 ELWIRA. Nie bardzo, za nadto się pieści.
 WACŁAW. Prawda, lubi się pieścić.
 ELWIRA. Nie wiele boleści,
 Więcej strachu doznała.
 WACŁAW. Tak i mnie się zdaje.
 ELWIRA. Czasem taki przypadek przestrogą się staje.
 Będzie już uważniejszą.
 WACŁAW. Ja także w tej mierze
 Będę patrzył przed siebie. Ale powiem szczerze,
 Trzpiot z niej wielki.
 ELWIRA. Z Justysi? Rozsądna jak mało.
 WACŁAW. Ciekawa.
 ELWIRA. Ciekawego cóżby się tu działo?
 WACŁAW. Zawsze się kręci, śpiewa.
 ELWIRA. Zwyczajnie wesola.
 WACŁAW. Chce zabaw.
 ELWIRA. Nic ją z domu wywabić nie zdoła.
 WACŁAW. I kokietka.
 ELWIRA. Bynajmniej, mam zawsze na oku;
 I beze mnie, bądź pewny, nie zrobi i kroku.
 KAMERDYNER *(anonsując)*.
 Pan hrabia Alfred.
 WACŁAW. Prosić. — Tak rzadko tu bywa.
 ELWIRA. Aż nadto często.
 WACŁAW. Nie w łaskach u pani.
 ELWIRA. Co to, to prawda.
 WACŁAW. Chimera prawdziwa:
 Co wszyscy chwala, moja żona gani:
 Grzeczny, dowcipny i pefen humoru,

- Cóż mu zarzucić nawet i z pozoru?
 ELWIRA. Chytry, fałszywy, zwłaszcza z kobietami.
 WACŁAW. Przepraszam, szczerzy aż nadto czasami.
 ELWIRA. Sobą tylko zatrudniony.
 WACŁAW. Tak się zdaje, bo nieśmiały.
 ELWIRA. Bez stałości...
 WACŁAW (*śmiejąc się*). A! z téj strony..
 ELWIRA. Jakto, doprawdy niestały?..
 Więc widzisz, że się nie mylę,
 I czyż wad jego ma być tylko tyle?
 Gracz..
- WACŁAW. On? kart nie zna.
 ELWIRA. Zły.
 WACŁAW. Najlepszy w świecie.
 Niech będzie jak chce, a ja proszę przecie
 Dobrze przyjmować mego przyjaciela.
 ELWIRA. Mniemanie moje wszak was nie rozdziela,
 Żadnej sprzeczności nie postrzeżesz we mnie,
 Niech tu wciąż bawi, gdy ci to przyjemnie.
 WACŁAW. Prawdziwie, dziś gdy przyjaźni nieznana się staje,
 On rzadkie mi dowody przychylności daje

SCENA VIII.

ELWIRA, WACŁAW, ALFRED.

- WACŁAW. Zapomniałeś nas całkiem, kochany Alfredzie,
 Przecie dziś jakies bóstwo łaskawe cię wiedzie;
 Trzy dni się niewidzenia, to wieczność prawdziwa.
 ELWIRA. Pewnie w téj części miasta rzadko kiedy bywa,
 Inaczéj swych przyjaciół nie mijałyby zawsze.
 ALFRED. Nie mogą być, prawdziwie, wymówki łaskawsze,
 Lecz przytém niezasłużone.
 WACŁAW. Będziem więc słyszeć obronę.
 ALFRED. Naszój szkody, że pani dość samotność lubi,
 Jestem, rzadko bywając, dotychczas pamiętny;
 Lecz w miłym towarzystwie, gdy się pamięć gubi,
 Byłbym wkrótce rad sobie a pani natrętny.
 WACŁAW. Zła, zła obrona.
 ALFRED. Ciebie zaś mój, panie,
 Sam przyznasz, rzadko kto w domu zastanie.

WACŁAW. I owszem, bardzo często, dziś cały dzień prawie,
Nie chcąc słabą zostawić, przy Elwirze bawię.

ALFRED (*do Elwiry*)

Czy pani słaba?

ELWIRA (*z pomieszaniem*). Tak...

WACŁAW (*zblizając się*). Słaba nieboga (*pieszcząc się*).

Moja kochanka, moja pani droga.

ALFRED. Pewnie ból głowy, widać to z wejrzenia.

WACŁAW. Tak.. katar.. katar zaraz oczy zmienia.

ALFRED. Katary teraz mocne, nie trzeba wychodzić.

WACŁAW (*z pośpiechem*).

O, i owszem, i owszem, nie może zaszkodzić:

W domu siedzieć, to niezdrowo. (*do Elwiry*).

Jakże najdroższe życie, jakże z twoją głową?

ELWIRA. Nie wiem, czy będę ..

WACŁAW (*nie słuchając odpowiedzi, do Alfreda*).

Wiesz, dostałem charta ...

Co za skład, wielkość! rzecz widzenia warta.

Zmartwię Henryka, bo takiego niema;

Żaden z nim porównania pewnie nie wytrzyma,

O, i twój Sokół za nic, tą razą wybaczysz:

Tyli, czarny, jak galka, a kita... zobaczysz.

Ale teraz powiedz mi, co się z tobą działo?

Tak cię w świecie widać mało,

Zwłaszcza wieczorem unikas zabawy.

Cóż dziś robiłeś? żądam ściśłej sprawy.

ELWIRA. Może w tém tajemnica, nie wypada śledzić.

WACŁAW. Pewnie nie dla mnie.

ALFRED. O, wszystkim powiedzieć

I ściśłą sprawę zdać mogę,

Jaką odbyłem dziś drogę:

Byłem u Stolnikowój; po co? nie wiem prawie.

WACŁAW. Cóż tam słyszałeś? udziel nam łaskawie

ALFRED. Kaszlu dużo.

WACŁAW. To nie wiele.

ALFRED. I plotek trochę.

ELWIRA. A to nadto dużo.

ALFRED. Jednak powtórzyć możnaby je śmieie,

Bo chyba tylko za przestrożę służyć:

Wszystko oddawna zapomniane dzieje;

Sama rozprawia, sama się i śmieje.

ELWIRA. Tak, ale dobrze mówi.

- WACŁAW. O, bardzo wymowna.
 ELWIRA. Bardzo godna osoba.
 WACŁAW. Najlepsza.
 ALFRED. Szanowna.
 WACŁAW. Ależ nudna! Jak zacznie i gadać i gadać,
 Trzeba, żeby nie zasnąć, rzadką moc posiadać.
 ALFRED. Wkrótce przybyła Aniela w żalobie.
 ELWIRA. Po kim?
 ALFRED. Po mężu.
 WACŁAW. Umarł?
 ALFRED. Żyje sobie,
 Lecz dziś na wieś wyjechał, a jutro powróci.
 WACŁAW. Cóż za czułość! Lecz czemuż w domu się nie smuci?
 ALFRED. W domu? dobre pytanie? któżby o tém wiedział?
 Ledwie mi jój brat rzecz tę rozpowiedział,
 Weszła Julia do naszego grona.
 ELWIRA. W złym humorze?
 WACŁAW. Jak zwykle.
 ALFRED. Ściśnięta, upstrzona.
 WACŁAW. Gipsem pruszająca.
 ALFRED. Postrach mego fraka.
 ELWIRA. Co przy téj, trudno zasnąć.
 WACŁAW. Bo budzi tabaka.
 ELWIRA. I słówka ostre.
 ALFRED. Bardzo ostre zblizka.
 WACŁAW. Czego ona się stroi, złoci, bieli, ściska?
 Na co jój walczyć z naturą?
 ALFRED (*kończąc*).
 Była niegdyś jaszczurką, teraz jest jaszczurą.
 WACŁAW. Wszędzie coś gani, coś śmiesznego widzi,
 Zawsze się dąsa, zawsze z kogoś szydzi..
 Ale mów o kim innym, nie lubię téj baby.
 ALFRED. Był więc Erazm: rumiany, chociaż niby słaby,
 Zawsze słodko mówiący, choć pół głosu chował.
 Najzulej Stolnikowój urodzin wieszował,
 Mnie zaś imienin w dziesiątej oktawie,
 Panu Janowi, że mieszka w Warszawie,
 Księciu, że w domu dwoje dzieci zastał,
 I tak się mocno rozmachał, rozszastał,
 Że i Staroście wieszował,
 Że żonę pochował.
 WACŁAW. Gdy do mnie idzie albo przy mnie staje,
 Zem solenizant, zaraz mi się zdaje,

I wprawdzie ta figura zawsze winszująca,
Śmiejąca, kochająca, jest bardzo nudząca.

ELWIRA.

Dobre ma serce.

ALFRED.

Jak gdyby baranek.

WACŁAW.

Słodki jak Lukrecya, dobry jak rumianek.

ALFRED.

Bylbym w uwagach czas dłuższy tam strawił,
Gdyby Kasztelan strachem nie nabawił;

Postrzegłszy, że już ku mnie rozpuścił swe żagle,
Nie chcąc słuhać procesów, wymknąłem się nagle.

WACŁAW.

Dokąd?

ALFRED.

Do baronowstwa.

WACŁAW.

Cóż dobra barona?

ALFRED.

Dobra barona kontent, kocha swego żona.

WACŁAW.

Zastależ pułkownika?

ALFRED.

A cóż za pytanie!

To się rozumie, któż go nie zastanie?

ELWIRA.

Na bardzo piękną napadliście drogę,

Obmawiacie od godziny.

ALFRED.

Co wszyscy wiedzą, czyż mówić nie mogę?

Jestże tu co mojej winy?...

WACŁAW.

Że baronowa wojskowości sprzyja.

Nareszcie czyżto dzisiejsze odkrycie?

ELWIRA.

Zapewne, wina jój samój, nie czyja;

Lecz któż bez *ale*, mówią pospolicie.

WACŁAW.

Ależ bo baronowej za grube jest *ale*

I bardzo proszę nie bronić jój wcale.

ELWIRA.

Sam ją chwaliłeś.

WACŁAW.

Trzeba też mieć względy

Na słabość kobiet, ich tak miłe błędy.

WACŁAW (*do Alfreda*).

Żarty.

(*do Elwiry*).

Chwaliłem rozum, milcząc o honorze;

Bo jeżeli szacunku taka pragnąć może,

Która zdeptawszy skromność, obowiązki, cnotę,

Wyrzekła się już wstydu, lubi swą sromotę,

Co z tajemnych miłostek w jawny nierząd leci,

Którą gardzą uczciwi, gardzić będą dzieci,

Jeżeli taka chlubne zyska zdanie,

Cóż się więc dla tej zostanie,

Co szczęście wkoło siebie ustalając sobą,

Jest wzorem cnoty, płci pięknej ozdobą?

ALFRED.

Co za rozprawa grzmiąco wyłuszczone!

WACŁAW.

Wróćmy więc do weselszój, wróćmy do barona:

Że mu się żona... tam... te... wiemy, co się dzieje...
 No, cóż ma robić? Lecz z czego się śmieję,
 To, że tak kocha tego pułkownika,
 Który sumiennie czasami unika;
 Ale ten gwałtem przy sobie go mieści,
 Zaprasza, trzyma, ledwie że nie pieści:
 Z nim musi zawsze, z nim musi być wszędzie,
 Słowem, że jak odjedzie, baron żyć nie będzie.
(śmiejąc się).

A, to rzecz śmieszna!

ALFRED. Prawda, że zabawna.
 WACŁAW. Tak się zaślepić i to od tak dawna!

I spokojnie żyją z sobą,
 Żyją, jak ja z tobą. *(śmieje się).*
 A co najbardziej śmieszności pomnaża,
 Że cudze kroki dowcipnie uwaaż,
 Umię postrzegać, umię i wyszydzić,
 I wszystko może, oprócz siebie widziéć.

ALFRED. Pocziwa dusza!

WACŁAW. A, gap' prawdziwy!
 ALFRED. O! to zaostro; za cóż tak niegrzecznie?
 WACŁAW. Gap', gap', mąż taki, to wyraz właściwy.
 ALFRED. Niech i tak będzie, kiedy chcesz koniecznie.
 WACŁAW. Jego ta pewność, na której spoczywa,
 Czasem mnie cieszy; lecz czasem i gniewa,
 I nieraz chęćka mnie bierze
 Wszystko powiedziéć mu szczerze. *(śmieje się).*
 Toby się zdziwił!

ALFRED. I miałby przyczynę
 WACŁAW. Wystaw go sobie, jaką miałby minę.
 ALFRED. Nie chciałby wierzyć.
 WACŁAW. Dowodybym złożył.
 ALFRED. Toby się gniewał.
 WACŁAW. Nie, stałby jak wryty.

(udając minę barona).

Oczy wytrzeszczył i gębę otworzył.

ALFRED *(śmiejąc się).*

Niech pani spojrzy, jaki wysmienity:
 Baron prawdziwy!

(dotychczas Elwira ze spuszczoną głową, przeglądając książkę śmiata się skrycie, teraz głośno się śmieje spojrzawszy na męża).
(po krótkim czasie).

Na zegarek patrzę,
Bo jeżeli będziecie państwo na teatrze:
Siódma minęła.

WACŁAW (*dzwoni, potem mówi do kamerdynera*).
Pojazd.

KAMERDYNER. Zaprzężony.

WACŁAW. Do naszój łoży jesteś zaproszony,
Jutro zaś przyjedź, do dziesiątej z rana
Z konną jazdą zaczekam na mojego pana,
Potém u nas na obiedzie;
Dobrze, kochany Alfredzie?

ALFRED (*podając rękę Elwirze*).
Chętnie przyjmuję wszystkie zaproszenia,
Oprócz do łoży; mam co do czynienia..

WACŁAW. Zatém do jutra.

ALFRED (*idąc ku drzwiom*).

Tak, jutro, Waclawie,
Na twoje miłe rozkazy się stawię.

SCENA XI.

(*Kamerdynerzy wnoszą kandelabry ze świecami, lampa zostaje*).

JUSTYSIA (*sama*).

(*wygląda; potem wybiega; patrzy za drzwi, którei wyszli; zamyka i wraca*).

Wiem, wiem, kto wróci, przysięglabym prawie,
Wkrótce usłyszę do okna pukanie.

Ach, mądry, kto na dole wymyślił mieszkanie!
(*palec z palcem spotykając*).

Otworzyć, nie otworzyć, otworzyć, otworzyć,
Otworzyć! aha, tak z losu wypadło.

Muszę też i panicza trochę upokorzyć:
Niech choć raz własne zobaczy zwierciadło.
Justysia nie trzpiot, pomyśli o sobie,
Ważycь wszystkiego nie chce w każdej dobie;
Jutro więc całkiem postać rzeczy zmienię,

(*wyniosło*).

Bo tak mi każe honor i sumienie.
(*siada przy stole i po krótkim myśleniu*).
Ale cóż znaczy, że go dotąd niema?
Jednak podobnoś dał mi znak oczyma.

Gdyby... ha!... ciszej... jakiś szmer w ogrodzie.

Tak... on .. niemylnie: poznaję po chodzie

(*obraca się tyłem do okna i zaczyna czytać; słycać pukanie w okno*).
(*odskakując na środek*).

Ach! ach!

ALFRED (*za oknem*). Justysiu! to ja, otwórz.

JUSTYSIA. Ja się boję.

ALFRED. Otwórzże prędkiej; bo na zimnie stoję.

Justysiu! (*puka*).

JUSTYSIA (*cicho*).

Będę krzyzcć: Franciszku, Stefanie!

Gwałtu krzyzcć, Janie! Janie!

ALFRED. Ale Justysiu, co robisz, dla Boga!

To ja, ja; na cóż ten hałas, ta trwoga

JUSTYSIA (*otwierając okno*).

Ach, to pan jesteś.

SCENA X.

JUSTYSIA, ALFRED.

ALFRED (*w oknie*). A któżby też inny,

Tak odważny i tak czynny?

JUSTYSIA. Takem się zlekła, że ledwie co żyję;

Jak serce bije!

ALFRED (*kładąc rękę*). Czy doprawdy bije?

JUSTYSIA. Dotąd jeszcze przyjść do siebie nie mogę.

Jak można komu taką sprawić trwogę?

ALFRED. Przepraszam cię, przepraszam.

JUSTYSIA. Tak! Rzecz niesłychana.

To okno, to drzwi dla pana.

ALFRED. Prawda, wygodne.

JUSTYSIA. O, wiem, że nie trudzi

Przez okno łązić, ale straszyc ludzi...

ALFRED (*klekając żartem*).

Przepraszam cię, królowo!

JUSTYSIA (*tym samym tonem*). Przebaczam.

ALFRED. Więc siadam.

JUSTYSIA (*stając przed siedzącym na kanapie*)

Co ja się panu zawsze nie nagadam,

Poco tu przychodzić,

Mnie i panią zwodzić?

ALFRED (*biorąc ją za rękę*).

Brawo, Justysiu, morały!

JUSTYSIA. Zdałyby się panu, zdały.

ALFRED. Tak sądzisz?

JUSTYSIA. Zapewne, bo...

ALFRED (*sadzając koło siebie*).

Tylko gadaj zblizka,

Z daleka nic nie słyszę.

JUSTYSIA.

Niechże pan nie ściska.

ALFRED. Inaczej być nie może: chcąc pojąć morały,
Trzeba, aby do serca blizki przechód miały.

JUSTYSIA. Pan wielki filut!

ALFRED. Początek wspaniały.

JUSTYSIA. Bo czy też może na świecie uchodzić,
Żeby tak brzydko moją panią zwodzić?

ALFRED. A któż ją zwodzi?

JUSTYSIA. Piękne zapytanie!

Wszakże jój pan przysięgasz do śmierci kochanie;
I dziś słyszałam, stojąc pode drzwiami,
Jak ją pan łudzisz pięknymi słówkami
(*udając Alfreda*).

„Chciałbym zapomnieć daremnie;

„Miłość ze życiem spleta się już we mnie,

„Ich węzła nieba nie wruszą,

„Trwać i ginąć razem muszą”.

ALFRED (*śmiejąc się*).

No i cóż dalej?

JUSTYSIA.

Alboż jeszcze mało?

ALFRED. Cóż tak dziwnego w tém ci się wydało!

Mówię, że kocham, ona zostaje w tej wierze,
Bo też ja ją kocham szczerze.

JUSTYSIA. Hm, czy tak? a mnież?

ALFRED. Za tobą szaleję!

JUSTYSIA. Lecz moja pani inną ma nadzieję;

Jedynie kochając pana,

Chce tylko sama jedna być kochana.

ALFRED. Sama jedna? co o tém, to nie było mowy,

Tegom nie przyrzekł, to artykuł nowy;

Ale słuchaj, Justysiu, rok już blisko mija,

Rok, jak kocham Elwirę i ona mi sprzyja,

Rok, Justysiu, to nie doba!

Cóż więc dziwnego, że mi się podoba

Twarzyczka luba, dowcipne wejrzenie,
Co raz zgon wróży, raz ciska płomienie,
Uśmiech, co z marszem pomieszać się lubi,
Uśmiech zdradziecki, co każdego zgubi,
Usteczka małe, całuskom stworzone,

Objęcie pieszczone,
Przyjemność boska, boska postać cała;
Słowem, że się Justysia sercu podobała.

JUSTYSIA. Słówek nie braknie i choć im nie wierzę,
Nie wiem, dlaczego dotąd kocham szczerze,
Lecz gdy pan nad rok już nie kochasz więcej,
To mnie tylko zostaje pono sześć miesięcy?

ALFRED. Nie, ciebie kochać będę nad wszelkie kochanie,
Póki będę mógł kochać, póki życia stanie,
Przysięgam!...

JUSTYSIA. Hola! stój pan, nie przysięgaj, proszę:
Gdzie przysięg trzeba, tam nikną rozkosze.

ALFRED. W jakimże dzisiaj Justysia humorze?
Łajesz mnie ciągle, ja słucham w pokorze.

JUSTYSIA. Jeszcze raz tylko polaję.

ALFRED. Jeszcze raz jeden, przystaję,

Ale potem...

JUSTYSIA. Naco téż pisać listów tyle?
Mogą nas wydać, przykre sprawić chwile.
Dawniej je pani przy sobie nosiła,
Lecz teraz taka plika się zrobiła,
Że trudno unieść; więc je wszędzie kładzie:
Pełno ich w łóżku i w każdój szufladzie...
Ja umiem po francusku.

ALFRED. A wiem, doskonale.

JUSTYSIA. Wzięłam więc kilka.

ALFRED. Niepotrzebnie wcale.

JUSTYSIA. Zda się wiedzieć o wszystkiém, więcem je czytała:
Jakieżto nudne! Nigdybym nie chciała,
Żeby kto do mnie pisywał podobnie.
Nie jestże bardziej sposobnie,
Gdy sam przyjdzie i zabawi,
I lepij wszystko wystawi.

ALFRED. Justysia ma rozsądek i woli rozprawiać,
Jak się listkami zabawiać;
Lecz twoja pani inne ma żądania
I do tych moja powolność się skłania.

- JUSTYSIA. Ależ listy mogą zdradzić
I panią, mnie i pana w nieszczęście wprowadzić.
- ALFRED. Nie mnie, bo ja ich nie piszę.
- JUSTYSIA. Któż taki? nie pan? co słyszeli!
- ALFRED. Gdzież byłbym w stanie pisać te arkusze?
Ale gdy co dzień jeden list dać muszę,
Siedzi tam przy mnie jakiś Francuz stary,
Co gada dużo i pisze bez miary:
Jemu więc czasem dyktuję,
Czasem bezemnie przepisuje,
Czasem co doda, ja potem poprawię,
I tak co doba jeden list wystawię.
- JUSTYSIA. Lecz i takie wydać mogą.
- ALFRED. Nie wymieniam tam nikogo
I pismo nie moje,
Więc się niezego nie boję.
- JUSTYSIA. Wież to pani?
- ALFRED. Broń Boże!
- JUSTYSIA. I to się tak godzi?
- ALFRED. I to niby! pan nie zwodzi?
A? już gdérania dziś przebierasz miarę,
Więc pocałuj mnie za karę.
(*Justysia się odsuwa*)
Co, nie chcesz? więc ja ciebie za wszystkie urazy
Pocałuję cztery razy
- JUSTYSIA. Nic z tego. (*ucieką*)
- ALFRED. Bliziej.
- JUSTYSIA. Dalej.
- ALFRED. Zmuszę.
- JUSTYSIA. Wzbronię.
- (*ucieką zastaniając się krzestami*)
- ALFRED. Proszę.
- JUSTYSIA. Nie.
- ALFRED. Nie?
- JUSTYSIA. Nie.
- ALFRED. Ale jak dogonię?
(*Alfred goni za Justysią pomiędzy krzestami; zastona spada.*)

AKT II.

SCENA I.

JUSTYSIA.

JUSTYSIA.

Ciągle się lękać, być ciągle na straży,
Gdy inna miłość bezpieczna się darzy,
Niema co myśleć, już wybór zrobiony:
Wacław zostaje, Alfred oddalony.
Tak... lecz od pani jakże go oddalić?
Jak? żeby siebie we wszystkiem ocalić.
Trzeba dowodów... mamże służyć za nie
I wydawać przeszłe nasze zachowanie?
Nie... listy... zazdrość... bajeczkę ułożę,
Pani uwierzy... on się wplątać może.
Tak, dobrze... przytém, gdy wiedziéć nie będzie.
Kto zdradził, a ja utrzymam go w błędzie
Przez łzy, przysięgi, rozpacz i szlochanie,
Co było, skrytém na zawsze zostanie.

SCENA II.

JUSTYSIA, WACŁAW.

WACŁAW (*wyglądając*).

Jest jeszcze pani?

JUSTYSIA.

Niema, już w kościele.

WACŁAW.

O, jakżem teraz polubił niedzielę!

W niej tylko chwilkę mogę żyć przy tobie;

Lecz nadal muszę myśleć o sposobie,

Jakbyśmy mogli bez ciągłej przeszkody
Wzajemnych uczuć udzielać dowody.

Lecz cóż, gdy do ciebie śpieszę
Z czulej miłości zapalem,
Kiedy naprzód się już cieszę
Szczęścia mojego podziałem,
Widzę cię smutną, oziębłą, nieśmiałą,
I lzy... cóżto... Cóż się stało?

JUSTYSIA. Kochany panie, nie badaj przyczyny,
Nie troszcz się losem nieszczęsnej dziewczyny.

WACŁAW. Jako, twój smutek niema mnie obchodzić?
Taką miłość widzisz we mnie?

JUSTYSIA. Nic mego żalu nie może osłodzić,
Na cóż wyjawiać daremnie?

WACŁAW. Zwierzyć swój smutek, to ulga jedyna:
Powiedz więc, jakaś łez twoich przyczyna?
Jeśli mnie kochasz!

JUSTYSIA. Ach, jakież żądanie!

WACŁAW (*prosząc*).
Luba Justysiu!

JUSTYSIA. Luby, drogi panie!
Pozwól, niech milczę.

WACŁAW. Nie, to być nie może.

JUSTYSIA. Później się dowiesz.

WACŁAW. Nie, teraz chcę wiedzieć.

JUSTYSIA. Smutku nie cofniesz.

WACŁAW. Koniec mu położę.

JUSTYSIA. Nie mogę.

WACŁAW. Dobrze, możesz nie powiedzieć,
Wiem, te lzy twoje, wiem, co mogło sprawić,
Płaczesz, bo nie śmiesz w oczy mi wyjawić,
Żeś mnie już kochać tak prędko przestała;
Otóż to twoja tajemnica cała.

JUSTYSIA. Cóż pan wyrzekł! Ach, takie mniemanie
Wyrwa przykre z ust moich wyznanie,
Że się na zawsze z panem rozstać muszę,
Że to jest tajemnica, co dręczy mą duszę.

WACŁAW. Rozstać się z mną?

JUSTYSIA. Tak, i to w tój dobie.

WACŁAW. Justysia żartuje sobie.

JUSTYSIA. Nie, panie, nie żartuję: wolę miejsce stracić,
Niżli za dobrodziejstwa niewdzięcznością płacić.

Nie, nigdy mojej pani zmartwienia nie sprawię,
Téj, z którąm wychowana od kolebki prawie,
Która mnie nieustannie łaskami obdarza
I we mnie przyjaciółkę, nie służę uważa.

WACŁAW. Bądź więc jej przyjaciółką, ale bądź i moja.

JUSTYSIA. Nie, takie związki dla nas całkiem nie przystoją:
Zbłądziłam już zbyt wiele, lecz błędy poznaję;
A ponieważ żal szczery każdemu zostaje,
Wstąpię dziś do klasztoru: tam w ostrój pokucie
Odkupię przeszłe grzechy, zgaszę błędne czucie.
Ach, dawniej tak uczynić potrzeba mi było!
Lecz nie znałam, co to jest, że mi z panem miło,
Nie znałam, co się dzieje, gdym pana kochała,
Bom, niestety, okropnej miłości nie znała.

WACŁAW. Lecz dlaczegoż okropnej, Justysiu kochana?
Okropność tylko przy tych, którym jest nieznana;
Stare tylko matrony miłością was straszą,
Niech mówią, co chcą: miłość jest uciechą naszą!
Cóż tak straszego w pieśczęt niewinnej słodczy?
Pewnie nie, kiedy każdy pieśczęt sobie życzy.
A co zaś do klasztoru, powiem, że w téj mierze
Jestem trochę niewierny, rzadko kiedy wierzę:

Takie zamiary często się odmienia,

Są to zwyczajne panieńskie marzenia,

I ta, co do klasztoru śpiesznie się wybiera,

Pewnie za ślubnym wieńcem z pragnienia umiera.

JUSTYSIA. Jakto, zwodzę?

WACŁAW. Nie mówię, żebyś miała zwodzić,
Lecz mówię, że się mylisz, zresztą pocóż wchodzić,
Szczere czyli nie szczere twoje powołanie,
Dość, że spełnioném nigdy nie zostanie.
Kocham cię, ty mnie kochasz, niech będzie dość na tem,
Bo cię na wszelki sposób pogodzę ze światem.

JUSTYSIA. Nareszcie ehoćbym nie szła do klasztoru,
Muszę się stąd oddalić dla mego honoru.
Jakąż mnie przyszłość czeka, jakąż mieć nadzieję!
Że biedną, opuszczoną... Ach, cała truchleję!

WACŁAW. A, miej lepsze mniemanie o moim honorze.
Że się kiedyś rozłączym, to wszystko być może;
Lecz opuszczoną Justysia nie będzie:
Jéj los przedwszystkiém mieć będę na względzie.

- Posag panięskie zwykł pomnażać wdzięki:
 Gdy go Justysia do swoich przyłączy,
 Nie jeden pewnie zapragnie jej ręki,
 Tak nie klasztorem wszystko się ukończy,
 I jeśli słowom nie dowierzasz może,
 Dziś jeszcze pismo w twoje ręce złożę;
 Bo szkoda tę twarzyczkę kratami zasłaniać.
 No jakże? Słówko. Myślisz... zdajesz się nakłaniać...
- JUSTYSIA. Ach, łatwo pan zwycięstwo nade mną odnosisz,
 Bo nie mogę odmówić, kiedy o co prosisz.
- WACŁAW. Więc zostajesz?
- JUSTYSIA. Zostaję.
- WACŁAW. Bardzo mnie to cieszy.
 Ale kto prawdę kryje, ten najwięcej grzeszy;
 Wyznajże szczerze, ja się nie urażę,
 Czy w rzeczy klasztor był w twoim zamiarze?
 Lub też czyś może chciała w mniej ostrym sposobie,
 Do swój pokuty przybrać towarzysza sobie?
- JUSTYSIA. Oto piękne zapytanie! *(płacząc)*
 Otóż nagroda za moje kochanie!
- WACŁAW. Kiedyż bo zaraz płaczesz.
- JUSTYSIA.. Powinnabym szlochać,
 Że na moje nieszczęście muszę pana kochać;
 Mogłam pójść za męża, być panią bogatą,
 Jednak dla pana nie zważałam na to. *(płacząc)*
 Ale kiedy tak... kiedy tak pan mniemasz,
 Kiedy ufności w mojej enocie nie masz,
 Dostanę sobie męża, będę swój dom miała
 I będę sobie innych, grzeczniejszych kochała.
- WACŁAW. Ależ Justysiu, cóżto za myśl płocha?
 Kto za męża idzie, ten innych nie kocha.
- JUSTYSIA. A kto się żeni?
- WACŁAW. Kto się, mówisz, żeni?
 Kto już żonaty?... to jest kto ma żonę?...
 To co innego... bo choć stan odmieni...
 Mężczyźnie wszystko pozwolone
- JUSTYSIA *(do okaa biegnąc)*.
 Ktoś wjeżdża... Pani! *(wybiega z pokoju)*
- WACŁAW *(sam)*. Jest, wraca, no, proszę.
 Co ja z tą żoną utrapienia znoszę!
 To rzecz nieznośna a nawet i zdrożna,
 Że w swoim domu nie robić nie można.

SCENA III.

WACŁAW, ELWIRA.

WACŁAW. Wierz mi, Elwiro, złą obierasz drogę;
Spokojnie patrzeć i milczeć nie mogę;
Czy moda, czy cudza rada,
Obie zarzucić wypada.
Wesołość, zabawy, stroje,
Wszystko to ma miejsce swoje;
Lecz obowiązki, zwłaszcza względem nieba,
Zawsze naprzód kłaść potrzeba,
Mieszać ich z sobą nigdy nie przystoi
I kto nagany się boi,
Ten swe czynności z każdą porą zgodzi.

ELWIRA. Ależ nie wiem, o co chodzi.

WACŁAW. Wszakże powiadam, że wcale nie ładnie,
Kiedy która jak wichur do kościoła wpadnie,
Dziesięć razy się ruszy i wstanie i siedzieć,
A zabawiwszy kwadrans wylatuje w pędzić,
Rzuca się do karety z równym szmerem, trzaskiem,
I próżniackiej gawiedzi cieszy się oklaskiem,
Która podobnie w niedzielnej oprawie
W publicznych miejscach stoi na wystawie.
Czy to do mnie?

ELWIRA. Trzech minut nie byłeś w kościele;

WACŁAW. Ale nie będę rozprawiał zbyt wiele,
Powiem ci tylko, że to śmieszne bardzo,
Kiedy kobiety pozcrami gardzą.
Nie dość być w duszy nabożną, enotliwą,
Nie dość uważną i kłiwą
Na najdrobniejszy uszczerbek honoru:
Potrzeba być tém wszystkiém także i z pozoru.

ELWIRA. Tę bardzo słuszną przestrożę
Zdawna mam w duszy, więc przyjąć nie mogę.
Widząc szczęście w cichej enocie,
O wrzasku świata nie myślę,
Ale nabożna w istocie
I na pozór zważam ściśle.

WACŁAW. Czemuż tak prędko wracać?

ELWIRA. Z jak najlepszej chęci.

Nie mogłam być spokojną i wyrwać z pamięci,
Że stangret na mroz taki stać musi na dworze,
Że cierpi dla mnie tylko, gdy nie cierpieć może.

WACŁAW. Mróz? dzisiaj mróz? gorąco! tak pięknych dni mało.
ELWIRA. Czy doprawdy nie zimno? więc mi się tak zdało.

Jestem szczerze nabożna i bywam w kościele,
Na rzecz jak i na pozór zważam bardzo wiele,
Lecz czuję, że nad wszelkie nasze powinności
Jest najświętsza, nieść ulgę cierpiącej ludzkości.

WACŁAW. Choć bardzo pięknie mówisz, rozprawiasz gorąco,
Gdzież tu przyłatać ludzkość i ludzkość cierpiącą,
Że stangret w dobrém futrze godzinę zaczeka?

Jakże się prędko wasz umysł zacieka!
Litość z rozsądkiem piękna, lubię ją i cenię;
Lecz przesadzona, w śmieszne zmienia się marzenie.

ELWIRA. W śmieszne marzenie, przyznaję;

Lecz choć zamiar się nie ziści,

To chęć dobra się zostaje

W niezawodnej nam korzyści.

O, jak słodko i przyjemnie,

Gdy pomyśléć mogę sobie,

Że ktoś pomoc znalazł wemnie,

Że cierpieniom ulgę robię.

Ach, mój mężu! mów, co chcesz, licz między przywary,

Litość i dobroczynność nigdy niema miary;

Ach, ludzkość bóstwem mojem, jój powab, jój siła...

*(Wacław przed ostatnim wierszem wzruszył ramionami i odszedł, tak,
że Elwira nie postrzegła jego niebytności).*

SCENA IV.

ELWIRA, JUSTYSIA.

JUSTYSIA. Tak prędko pani wróciła?

ELWIRA. Ach, jakżem wrócić nie miała,

Kiedym list do Alfreda oddać zapomniała,

Weź i wręcz zaraz, jak tylko przyjedzie,

A tak mieć będę odpis przy obiedzie.

JUSTYSIA *(biorąc list, kucyjąc głową).*

List do pana Alfreda?

ELWIRA.

Cóż znaczą te miny?

JUSTYSIA. Boję się mówić.

ELWIRA.

Tylko bez przemowy.

JUSTYSIA. Lepiej nie oddać.

ELWIRA.

Nie oddać? z przyczyny?

JUSTYSIA. Uwierzysz pani?...

- ELWIRA. Nie kłóże mi głowy,
Mów, co masz mówić, bez tego zachodu:
Wszystkiemu wierzę, lecz trzeba dowodu.
- JUSTYSIA. Ale wprzód pani przyrzekniesz milczenie,
I że jakiegobądź wypadnie zdarzenie,
Nie wydasz, skąd wiesz, co ci chcę wyjawić,
Gdyż to na zeniętę może mnie wystawić,
A często dobra sława niewinnej dziewczyny
Może przez tych paniczów zginąć w pół godziny.
- ELWIRA. Wszystko ci obiecuję, zaręczam, przyrzekam,
Tylko niech dłużej nie czekam.
- JUSTYSIA. Wyznam więc szczerze... ale ktoś nadchodzi,
Idźmy do siebie, nikt nam nie przeszkodzi.
- ELWIRA. Wielkie nieba! cóż się dzieje!
Cóż będę słyszcć! ach, cała truchleję! (*odchodzą*).

SCENA V.

ALFRED.

ALFRED (*do kamerdynera pierwszy wiersz*).

Proszę powiedzieć panu, że go czekam.

(po krótkim milczeniu)

Długo wprawdzie z Elwirą zerwanie odwlekam,

Ależ bo ta Justysia to luba dziewczyna

Rzadką jakąś nade mną władzę brać zaczyna.

Jój wesołość i jój wdzięki

Okraszają Elwiry nieustanne jęki;

I tak mnie kocha to niewinne dziecko,

Tak tylko mnie jednego widzi na tym świecie,

Że się jój duszy i mym czuciom dziwię;

Nareszcie i myśl przyjemna prawdziwie,

Żem był jój mistrzem w nauce kochania,

Wszystko mnie ku niej mimowolnie skłania.

SCENA VI.

ALFRED, WACŁAW.

ALFRED. A, cóżto za mars? cóż ci to, Wacławie?

WACŁAW. Ból głowy.

ALFRED.

Mnie się nie zdaje,

Raczej przeszkoda w jakiej czułej sprawie

Panu memu w drodze staje.

WACŁAW. Cóż! mówisz do mnie jak przed dwoma laty,
Czyś zapomniał, żem żonaty?

ALFRED. Bynajmniej, tego zapomnieć nie mogę,
Lecz choć w tę ciężką puściłeś się drogę,
Wiem, że się trzymasz twoich zasad wiernie:
Rwiesz same kwiaty a omijasz ciernie;
Że nie chcesz bitym postępując torem,
Stać się małżonków sielankowych wzorem
I ślubnym prawom nie kładąc granicy,
Kądziel w ujęciu, u nóg połowicy,
Nie zechcesz ołowianej używać swobody;
Nadtoś żył w świetle, nadtoś jeszcze młody.
Jako, ów Wacław, cel tyłu zazdrości,
Dziecko popsute szczęścia i miłości,
Trzecia osoba przy każdym małżeństwie,
Nigdy nie syty odmiany w zwycięstwie,
Co trwogą mężów, zdradą żon się wslawił,
Co tyle rozkosz a potem łez sprawił,
Miałoby przestać na dawniejszych czynach
I już spoczywać na swoich wawrzynach?

WACŁAW. Tak, na wawrzynach spoczywam, Alfredzie.
Pókiśmy wolni, lepiej nam się wiedzie:
Tytuł małżonka powagi dodawa,
A ta najmniej jest potrzebną,
I do ufności nabyte już prawa
Nie są rzeczą nam pochlebną;
Wolę ja zawsze, kiedy mnie się boją:
Wtedy przyjaźnią nie zwodzą się moją,
W swoim znaczeniu biorą każde słowo,
I zwykłą drogę skracają polową.

ALFRED. Jakżeś mnie zdziwił tą nauką nową!
O mój mistrzu doskonały,
Czemuż twe dla mnie przykłady ustały!

WACŁAW. O mój uczniu najmilszy! poznasz w swojej porze,
Że inaczej być nie może.
Niech się żonaty gdziekolwiek udaje,
Ileż przeszkód nie zastaje!
I jego żona, i mąż z drugiej strony,
Spokój domowy, familijne rady,
A co najgorsza nad wszelkie zawady,
Te, jak bijące na krogulca wrony,
Co swe grzechy przeżyły, stugębne matrony.

Jeśli zaś ujdę ich sowiemu oku
 I skrytym będę w każdym moim kroku,
 Jeśli nieznany zwiodę i oddalę
 Tak opiekuny, jak jawne rywale,
 Choć szczęśliwym zostanę w jak najwyższym względzie,
 Cóż? kiedy o tém nikt wiedziéć nie będzie.
 Tak więc mężowie spokojni być mogą?
 Najspokojniejsi, nie tylko przeze mnie:
 Nikt ich już teraz nie nabawi trwogą

ALFRED.
 WACŁAW.

Albo nabawi daremnie.
 Dzisiejsza młodzież zakochana w sobie,
 Myśląca tylko o swojej ozdobie,
 Co wszystkie kobiet śmieszności przejęła
 I której jeszcze do całości dzieła
 Spazmów i muszek tylko nie dostaje,
 Mniema, że dosyć, kiedy w szrankach staje,
 Raz się pokazać i raz się pochwalić,
 By wszystkie serca miłością zapalić.
 Któryż dziś umie w miłosnej potrzebie
 Nie znać, zapomniéć i poświęcić siebie?
 Wyrzec się zdania, swojej duszy prawie,
 Być w szczęściu, smutku, nadziei, obawie,
 Przez tę jedynie, dla której wzdychamy... (ciszej)
 Póki ją jeszcze o co prosić mamy.

ALFRED.
 WACŁAW.

A kiedy już nie mamy? cóż wtedy, Wacławie?
 Trzeba nagle zmienić postać,
 I z węża lwem zostać.

ALFRED.

A, niechże cię uściskam za takie nauki;
 Zmiluj się, wydaj statut, a wdzięczne prawnuki
 Imię twoje będą czeili.

WACŁAW.

Nie żartuj sobie, własne me przykłady
 Mogłyby służyć za pewne zasady.

ALFRED.

Żebyś pisał, żarty były;
 Ale to myślę prawdziwie,
 Że gdyś w miłości szczęśliwie

Podobania się sztukę przywiódł tak wysoko,
 Warteś ściągnąć na siebie naśladowcze oko;
 Że nikt pierwszeństwa nie dojdzie w tym względzie,
 Kto zawsze tobie podobnym nie będzie,
 Że winien w twoje postępować ślady,
 A ty żeś winien udzielać swój rady.
 Udzielać rady? komu, po co, na co?
 Ospała młodzież, mężowie nie tracą.

WACŁAW.

- Jako z nich jeden, ja się z tego cieszę
 I z oświeceniem nigdy nie pośpieszę;
 Lecz dla dobrego, jak ty, przyjaciela,
 Chętnie się rada udziela,
 A gdy dobrze użyjesz nauki ci dane,
 Ja nagrodzonym za pracę zostanę.
 Czyś ty myślał, że się smucę,
 Gdy na spokój małżeński oko moje zwrócę?
 O nie, ja tylko mówię, coby wyznać należy,
 Że niema teraz trwożącej młodzieży.
- ALFRED. Nie pogardzaj nią zbyt wiele:
 Wszakże z popiołów powstają mściciele.
- WACŁAW. Mówią to, że kto zwodzi, ten bywa zwiedziony,
 Że zawsze takie same i męża i żony,
 I że pewny przypadek nikogo nie chybi,
Hodie mihi, cras tibi,
 Ale ja temu nie wierzę,
 Mam na to sposoby moje,
 Więc wszystkich przysłów w tój mierze
 I mścicieli się nie boję.
- ALFRED. Ty się nie boisz! ha, toś mnie zabawił!
 Bo któżby się też obok ciebie stawił!
 Któżby popełnił szaleństwo,
 Walczyć z tobą o pierwszeństwo!
- WACŁAW. Poznam takiego gacha za pierwszym wejrzeniem.
- ALFRED. Nie wielka też to sztuka z twojem doświadczeniem.
- WACŁAW. I muszę sobie przyznać, że mam wzrok nie lada.
- ALFRED. Wiele przenikliwości, to każdy powiada.
- WACŁAW. Jakbym zecheiał, to ledwie że myśli nie zgadnę.
- ALFRED. Poznasz więc chytre słówka.
- WACŁAW. I w sidła nie wpadnę.
 Jestem przytém ostrożny.
- ALFRED. Aż się nieraz dziwię.
- WACŁAW. Ale nigdy zazdrosny.
- ALFRED. Bardzo sprawiedliwie;
 Bo też niema szkodliwszej nad zazdrość przywary
 I mąż zazdrosny godzien zawsze kary.
- WACŁAW. Nareszcie z drugiej uważając strony,
 Pewnym mnie czynią przymioty mój żony;
 Jój szczera miłość, dobre wychowanie...
 Za sto Argusów stanic!
- ALFRED. Lubi samotność.
- WACŁAW. Ustalisz ją snadnie.
- ALFRED.

WACŁAW. Skromna, nieśmiała.

ALFRED. Ach, znam ją dokładnie!

WACŁAW. A nadewszystko, że bardzo nabożna.

ALFRED. Większej rękojmi czyliż pragnąć można?

WACŁAW. Tak więc jestem bezpieczny we wszelkim sposobie:

Ufam czasom, Elvirze, a najwięcej sobie.

Znam ja, bom niemi chodził, wszystkie ścieżki, drogi,

Któremi się skradają chytre mężów wrogi;

Mam ja wszystkie fortele dokładnie w pamięci,

Nikt mnie nie minie, nikt się nie wykreści,

Bo wierzaj mi, że zawsze wódz biegły i stary

Młodzika w pierwszej wojnie niwcezy zamiary;

Nareszcie, jak gra szachów, jest miłostek sztuka:

Każdy w niej do zwalczenia skrytej drogi szuka,

Lecz jeśli znawca jaki z zimną krwią zobaczy

Dwóch przeciw sobie zapalonych graczy,

Łatwo plan zgadnie i postrzeże wady;

A gdy jednemu zechce dawać rady

I przy nim ciągle jak na straży będzie,

Gdy laufrow przejmie i zatrzyma w pędzie,

Konika zbije w najlepszym zamachu,

A zwłaszcza gdy królowę ustrzeże od szachu,

Wtedy drugiego nieochybna strata:

Musi się poddać albo dostać mata.

ALFRED.

Warteś katedry, ja zawsze powtarzam,

Nawet twoją naukę za ważną uważam,

I gdybym kiedy gdzie urządził szkoły,

Zniósłbym dla niej prawnictwa nieznośne mozoly;

Bo dlaczegoż, naprzykład, uczyć się w tej chwili,

Jak się przed laty Rzymianie rządzili;

Albo też wiele skudów zapłacić potrzeba,

By w kardynalskiej todze dostać się do nieba?

W miejscu więc mecenasów, ty na miękkim tronie

W liczném słuchaczów i słuchaczek gronie,

Uczyłbyś snadnie potrzebniejszej rzeczy,

Tak potrzebniejszej; ho któż mi zaprzeczy,

Że sposób jak najwięcej rozkoszy nabycia

Jest, czego każdy szuka przez cały ciąg życia.

KAMERDYNER (*wchodząc*). Już jedenasta i konie gotowe.

WACŁAW. Byłbym jazdę zapomniał przez twoją rozmowę;

Shuję ci, jadę, gdzie panu wypada.

ALFRED.

Mnie wszystko jedno.

WACŁAW.

To się nie powiada

I ja nie pytam, lecz w każdój potrzebie
Slepym i głuchym zostanę dla ciebie.

(chcąc odchodzić, kamerdyner wchodzi i oddaje bilet Wacławowi).

WACŁAW *(prze czytawszy).*

A że też dzisiaj nie mi się nie wiedzie!...
Zrób mi tę grzeczność, kochany Alfredzie,
Zaczekaj chwilkę, nie długo zabawię,
Tylko wiadomość zasięgnę o sprawie,
Któręj już dłużej nie mogę odwlekać;
Albo jeśli chcesz, to się gdzie spotkamy?

ALFRED.

Nie, nie, tu wolę poczekać;
Jeszcze dosyć czasu mamy. *(Wacław odchodzi)*

SCENA VII.

ALFRED.

ALFRED. Nie ludzie nami rządzą, lecz własne słabości,
Sens moralny tej rozmowy.
Kto pozna słabą stronę swego Jegomości,
Ma do domu klucz gotowy,
Wszystko mu stoi otworem
I wygodnym idzie torem...
Lecz sumienie, sumienie przyjaciela zwodzić!
Ha! a!e też małżeństwo powinno się godzić;
Jeśli mniej kocham męża, za to więcej żonę,
Więc zawsze między niemi serce podzielone;
Żartuj sobie, Alfredzie, świat ci to odplaci,
Żadna w nim czynność waloru nie traci.
Ach, czy nic obyczajów nie zdoła odmienić,
Jak się będą żenić!

SCENA VIII.

ALFRED, ELWIRA.

ELWIRA. Ach! *(na stronie)*

Boże! on tu jeszcze!

ALFRED *(z troskliwością).*

Elwiro kochana,

Cóż znaczy, powiedz, ta twarz zapłakana?

Jeśli ci jeszcze drogie moje życie,

Uśmierz niepewność sroższą nad wszelkie odkrycie,

Ach, powiedz, duszo moja, co się ze mną dzieje?

ELWIRA. Zdrajco! i ty się pytasz, czemu ja łzy leję?
 Jakto? i oka ode mnie nie zwracasz?
 Czyż głos sumienia już nie znany tobie?
 Za czułą miłość wzgardą mi odpłacasz,
 Przysięgasz, zdradzasz, dwakroć w jednej dobie,
 Łód w twojej duszy, kiedy ja goreję,
 I ty się jeszcze pytasz, czemu ja łzy leję?
 Tak jest, płakałam, bo się sobą brzydzę,
 I teraz jeszcze płaczę, lecz że ciebie widzę.
 Ale nie myśl, że miłość łzy moje wysącza,
 Chytróść twoja mnie z tobą na zawsze rozłącza,
 Ile kochałam, tyle nienawidzę,
 Cieszę się nawet, czuję rozkosz w duszy,
 Żeś mnie z miłosnej uwolnił katuszy,
 Żeś mnie objaśnił, ile godne wiary
 Tobie podobne poczwary.

ALFRED. Uspokój się, Elwiro...

ELWIRA.

Łatwo z mojej zguby
 Przyszło ci dostąpić chluby;
 Bez doświadczenia, bez rodziców rady,
 Rzucona w świata szkodliwe przykłady,
 Z pragnącą duszą dzielenia się z drugą,
 Zyskać mą ufność nie bawiło długo.
 Oziębłość męża i twoje zalety,
 O których zawszem słyszała, niestety!
 Wszystko ku tobie me serce skłaniało,
 Wszystko walczyło, odporu już mało;
 Zwyciężyłeś, lecz kiedy ja w szczerzej żalobie,
 Kochając, cnotę poświęciłam tobie,
 Ty swoją zdradą cieszyłeś się skrycie;
 Lecz niczém zdrady byłoby użycie,
 Niczém i sztuka uwodzenia cała,
 Gdybym cię tylko mniej była kochała!

ALFRED. Możeszże myśleć...

ELWIRA.

Jestem występna, przyznaję,
 Nie chcę taić moich błędów,
 Hańbą okrytą zostaję
 I niewartą żadnych względów.
 Zdeptałam świętość skromności i wiary,
 Godnam tak bolesnej kary.
 Ale czyliżto tobie karać mnie przystało?
 Krwawić serce, że ciebie swoim bóstwem miało?

Jeśliś nigdy nie kochał, nie znał ognia duszy,
 Co namiętnym pożarem źródło życia suszy,
 Co w serce wciska i razem w niém mieści
 Obok lubej rozkoszy najstrozsze boleści,
 Cóż nieszczęsna Elwira mogła ci przewinić,
 Żeś ją starał się gwałtem występna uczynić?
 Cóżem zrobił?..

ALFRED.

ELWIRA.

Ach, Alfredzie,
 To być nie może, mnie błędna myśl wiedzie,
 Ty mieć nie możesz duszy tak nیکezemnej,
 Nie zdeptałbyś ludzkości dla chluby daremnej
 I łzami memi twój cnoty nie zmasał:
 Tyś musiał mnie porzucić, honor ci tak kazał.
 Wszak prawda? powiedz, musiałeś mnie zwodzić,
 Ciężkim pociskiem w to serce ugodzić;
 Ach, powiedz, zaklinam cię, zmniejsz, skryj twoją winę,
 Jak najplonniejszą wynalez przyczynę,
 Jak najmniej wiary godną, ja chcę, ja uwierzę;
 Lada pozor uchwycę się szczerze,
 Nie żebym w dawnych marzeniach została,
 Lecz żebym ciebie cnotliwszym widziała.

ALFRED.

Zgaduję teraz twych żalów przyczynę:
 Zazdrośnaś, i o kogo? O biedną Alinę;
 Ale jakżeś ją mogła porównywać z sobą?
 Ty, która jesteś poci pięknej ozdoba,
 Ty, przed którą pół świata musi się uniżać,
 Ach, jakżeś mogła tak sobie ubliżać
 I brać za miłość rozrywkę z mój strony?
 Lecz żebym cię przekonał, ile jest ceniony
 Każdy zadatek uczucia Aliny,
 Oto jej bilet, w swym guście jedyny,
 Mocny morałem i wczesną obroną,
 Obok obietnic, o co nie proszono. (*drąc list*)
 Zdieram go w sztuki, bądź pewna, że szczerze,
 I u nóg twoich kładę go w ofierze. (*zbliża się*)
 Zgoda zatem, Elwiro, niechaj znowu stanie,
 Przebaczam nawet dla niej krzywdzące mniemanie.
 Precz ode mnie, poczwaro! O łaskawe nieba!
 Ileż podłości poznawać mi trzeba!
 Alinę? ty? Alinę?... czyż mnie słuch nie myli?
 W tej samej dobie, w tejże samej chwili,
 Kiedy przysięgasz?... Nie, nie, wielki Boże!
 Głos mój tej zgroy wyrazić nie może:

ELWIRA.

(do siebie)

I toż jest dusza, którąm ja wielbiła! (do Alfreda)

Więc i Alina twe żądze wzbudziła?

Jeszcześ winniejszy, jeszcze wina nowa.

Lecz tu nie o Alinie między nami mowa.

ALFRED. O kimże?

ELWIRA. O Justysi, zdrajco!

ALFRED (na stronie). Dażem sobie...

ELWIRA. Nie szukaj zdrady, nie myśl o sposobie

W inném świetle się wystawić,

Wiem wszystko, nic nie zdołasz zaprzeć lub wyjawić.

Lecz nie chcę z tobą i minuty strawić:

Skróćę przykre nam uczucie,

Kładąc koniec téj rozprawie.

Sama oddam się pokucie,

Ciebie zgryzotom zostawie,

Ale nie, tego co spodlił mi duszę,

Nieszczęsna, łaski jeszcze błagać muszę,

Udział spodlonych! krok pierwszy sromoty!

Zaklinam cię więc, na najświętsze prawa

Litości, jeśli nie enoty,

Zachowuj przyjaźń Wacława.

ALFRED. Ale słuchaj mnie!...

ELWIRA. Zbyt nagle zerwanie

Może skazówką dla świata zostanie.

Jeśli mam tyle cierpieć, niechże cierpię skrycie...

Albo nie, idź, głoś, chwal się, zatruj nędzne życie,

Powiedz światu, uciesz go mych błędów obrazem,

Uciesz; ale powiedz razem,

Że ile zgryzot cierpię z utraty honoru,

Tyle wstydzić się muszę mojego wyboru. (odchodzi)

SCENA IX.

ALFRED.

ALFRED (po krótkim milczeniu).

Ach, jakże ładna, kiedy się rozgniewa!

Jeszcze tak ładną nigdy nie widziałem;

O, na honor, przeproszę, niech się nie spodziewa...

Ale stój, hola! wszak się rozstać chciałem?

Dobra sposobność; lecz tak wypędzony,

Złajany, wzgardzony...

Nie, nie, pójdę, przepraszę, a potem... cóż potem?
 Porzucę... fe! i cóżbym zyskał takim zwrotem?
 Zostawmy im tę chlubę, której każda cheiwa,
 Że to one rwą zawsze miłośne ogniwa.

(po krótkim myśleniu)

Podarłem bilet, kaci wiedzą na co;
 Nie bardzom gładko postąpił w tej mierze.
(zbierając kawałki podartego listu)

Lecz te kawałki waloru nie tracą,
 Owszem, z nich każdy dwakroć większy bierze:
 Powiem, zem uratowałem od zazdrosnej ręki,

A za to Aliny wdzięki...

Aj, wdzięki nie zbyt wdzięczne, to przyznać wypada;
 Rozumu jak na próbkę, długa, prosta, blada...
 Ale mąż, mąż zazdrosny; uciecha jedyna!

Niechaj tylko ten utraci,

A co mi ujmie z rozkoszy Alina,
 Mąż zazdrością dwakroć spleci.

Ale biedna Justysia, ktoś to nas mógł zdradzić?..
 Mniejsza z tém... miejsce straci... potrzeba zaradzić...

U Aliny ją umieszczę!

Brawo, brawo, wyśmienicie!

Żyj, Alfredzie, krótkie życie!

Lecz z Elwirą chciałem jeszcze

Choć na pozór się pogodzić.

Ale jak ją ułagodzić?

KAMERDYNER *(wchodzi)*.

Pan hrabia czeka i prosi do siebie.

ALFRED *(biorąc kapelusz)*.

Ha! zobaczymy, koncept przychodzi w potrzebie.

(wychodzi).

A K T III.

SCENA I.

ELWIRA, JUSTYSIA. (*Elwira siedzi oparta na stole, trzymając chustkę na oczach.*)

JUSTYSIA (*wnosząc kilka pakietów.*)

Otóż pana Alfreda słodziutki bilety,
Zewsząd, gdzie mogła zgadnąć, zbierałam pakiety:
Z środka kanapy ta największa plika,
Ta z pod krosienek, a ta ze stolika,
Te zaś z komody związane łańcuszkiem,
Ten pakiet był za biurkiem, a te dwa za łóżkiem;
Patrzałam, szukałam wszędzie,
I zdaje mi się, że już wszystko będzie.
Jeszcze nie wszystko.

ELWIRA.

JUSTYSIA.

Jeszcze nie? gdzież skryte,

Niech pani powie, te skarby obficie?

ELWIRA.

Są jeszcze za portretem.

JUSTYSIA.

Czym?

ELWIRA (*z westchnieniem.*)

Mego męża.

(*do odchodzącej*)

Ach, i pod ołtarzykiem, gdzie się modłę codziennie.

(*Justysia odchodzi.*)

SCENA II.

ELWIRA.

ELWIRA. O, jakże litości godzien,
Kogo miłość uciemieża!
Próżno rozsądku przyzywa,
I nienawiść nieci w sobie,
Wrzące czucie wszystko zrywa,
Próżno powtarzam, że go nienawidzę,
Że się taką duszą brzydzę,
Ach, próżno w męstwo, wstręt, we wzgardę się zbroję:
Jego serca szuka moje,
Chcąc mych nieszczęsę dojść przyczyny,
Moim kosztem go tłumaczę,
Chcąc żałować mojej winy,
Jego straty tylko płaczę.

SCENA III.

ELWIRA, JUSTYSIA.

JUSTYSIA. Tą razą pewnie wszystkie, i kącika niéma,
Gdziebym nie była własnymi oczyma;
A teraz ogień czém prędzėj rozłożę,
Niechaj jeden po drugim, jak złoczyńca, zgorze.

ELWIRA. Jakże, Justysiu, twego zezwolenia czekał?
Chciał cię stąd wykraść i stałość przyrzekał?

JUSTYSIA. Wszak już mówiłam: chciał mnie uprowadzić,
Miłość przysięgał, lecz ja nie chcąc zdradzić...

ELWIRA. On cię także nie kocha i tylko cię zwodzi.

JUSTYSIA. Tego nie wiem.

ELWIRA. O, pewnie, wątpić się nie godzi,
Gdziezby mógł Alfred zakochać się w tobie?

JUSTYSIA (*urazona*).
Czemuż nie? Cóż to pani widzisz w méj osobie,
Coby mi w sercach odrazę czyniło?

ELWIRA. No, no, mniejsza z tém, jak było, tak było.
Ale trzeba odesłać wszystkie jego dary;
Nie możesz ich zachować.

JUSTYSIA. Wszak dla lepszej wiary
Wzięłam i dotąd mam jeszcze przy sobie,
Lecz co pani rozkaże, to z niemi dziś zrobię.

- ELWIRA. Jakże, Justysiu, nie on pisał listy?
 JUSTYSIA. Wszak dałam pani dowód oczywisty
 I sam wyznał niestałość, czyliż jeszcze mało?
 Lecz na cóż myśleć o tem, co się stało?
- ELWIRA. Dobrze mówisz, Justysiu, już myśleć nie trzeba.
 Za moję ufność tak zdradzić, o nieba!
 Takem wierzyła, takem go kochała,
 W niego już przeszła dusza moja cała!
- JUSTYSIA. Cóż z téj miłości, kiedy zawsze z trwogą,
 Kiedy z jéj łaski lzy oschnąć nie mogą;
 Od jéj zawiązku w jakiejbądź zabawie,
 Wesolą panią nie widziałam prawie.
 Leżą w szufladach paryskie ubiory,
 Tak innym damom do nabycia trudne:
 Czepeczki, wstążki, batysty i mory,
 A pelerynki, pelerynki cudne,
 Szlarki anielskie, a zwłaszcza te wążki,
 Leżą nietknięte jakby stare rąbki.
 (*z rozczuleniem*).
 Wszystko pani przegładasz obojętnym wzrokiem,
 Kaszmir, jak i perkalik równém widzisz okiem,
 (*coraz bardziej rozczulona*).
 Girlandny nie chcesz nosić, stronisz od zwierciadła,
 Słowem, okropność w tym domu osiadła!
 Wszystko to téj miłości nieszczęsne są skutki;
 Lecz teraz przecie, jak miną te smutki,
 Powróci spokój, zgryzoty się zmniejszą.
- ELWIRA. Dobrze mówisz, Justysiu, będę spokojniejszą.
 Chwile rozkoszy! nie was nie zatrzyma
 I nadziei nawet niema!
 Zniknął sen szczęścia, zniknął mój świat cały,
 Tylko żale mi zostały!
- JUSTYSIA. Miną i żale jak i tamte chwile.
 Lecz nacóż wspominać tyle,
 Nacóż rozmową zawsze je odnawiać?
- ELWIRA. Dobrze mówisz, Justysiu, nie trzeba rozmawiać.
 Ale powiedz sama, jakie miał wejście,
 Kiedy swych uczuć dawał zapewnienie:
 Ten uśmiech czarujący i ten wyraz w twarzy,
 Którym Bóg tylko kochających darzy!
- JUSTYSIA. Prawda, miły, przystojny i przysięg nie skąpi;
 Ależ mu i pan hrabia w niczém nie ustąpi.

Także przyjemny, przystojny i młody,
Pragnie spokojnej, domowej swobody,
I choć teraz oziębły, ja powiadam przecie,
Że niezadługo kochać się będziecie;
Niechaj się tylko pan Alfred oddali.

ELWIRA. Dobrze mówisz, Justysiu, będziem się kochali.
Ale jestśes ty pewna, że on nie żartował?
Może on tylko ufnosci próbował?

JUSTYSIA. Czy tak? no, to wiem, co wszystko ma znaczyć:
Niechże i zaraz przyjętym zostanie;
Możesz się pani przed nim wytłómaczyć,
Nawet przeprosić po wziętej naganie.

ELWIRA, Kto? ja? ja tego zdrajcę miałabym zobaczyć?
Jeszcze przed nim się tłómaczyć?
Ja go nie cierpię! ja go nienawidzę!
Samém wspomnieniem się brzydźę!
Daj, daj te listy.

JUSTYSIA. Na cóż pani bierze?

ELWIRA. Pójdę do siostry.

JUSTYSIA. Więc można zostawić.

ELWIRA. Nie; unikając domysłów w tej mierze,
Stamtąd chcę wszystko do niego wyprawić.
Ty zostań, powiedz, jak Wacław przyjedzie,
Że już nie będę w domu na obiedzie,
Bo przy słabszej dziś siostrze cały dzień zabawię.
(Elwira zabiera pakiety listów w swój szal i odchodzi).

SCENA IV.

JUSTYSIA.

JUSTYSIA. Ciesz się, Justysiu, i ciesz się, Wacławie!
Otóżto główka, dalibóg nie lada.
Wszystko, co chciała, najlepiej wypada!
Nie będę teraz lękać się co chwilę,
Będę tu panią, kochać i żyć mile,
Wszystko spokojnie, wszystko z dobrą sławą,
Brawo Justysiu! brawo! *(śpiewa i tańcuje).*

Brawo, brawo, brawo!

(Wacław wchodzi i staje w głębi).

Brawo, Justysiu, brawo!

WACŁAW *(kończy na tę samą nutę).* Brawo, brawo, brawo!
(nastawia ręce, Justysia wpada w objęcie).

SCENA V.

JUSTYSIA, WACŁAW.

JUSTYSIA. Ach, trzymaj mnie pan! w głowie mi się kręci.,
Aj, aj, upadnę!

WACŁAW. Nie brak mi na chęci:
Będę cię trzymał nawet i do nocy
I choćbym osłabł, znów przyjdę do mocy.

JUSTYSIA. Nie, sięść wolę. *(Idzie do kanapy wsparta na Wacławie).*

WACŁAW. I owszem, usiadziemy sobie. *(siadając).*

JUSTYSIA. Wszystko to fraszka, ale ja źle robię,
Że pana szukam, cobym miała stronić;
Będę ja za to leż niemaló ronić...
Niechże pan, proszę, trochę dalej siędzie.

WACŁAW. Wszystko to fraszka, co było i będzie,
Byle cię tylko przycisnąć do łona...

JUSTYSIA. Ale słuchajno, gdzie jest moja żona?
Poszła do siostry, która bardzo chora;
Przysłała po nią, zatém do wieczora,
Jeśli nie dłużej, będzie przy niej siedzieć,
O czém mi panu kazała powiedzieć.

WACŁAW *(śpiewając na tę samą nutę).*

Brawo, Justysiu, brawo, brawo, brawo!
Raz przecie nie potrzeba dręczyć się obawą.
Od rana do wieczora będziemy tylko dwoje;
A, niechże cię uściskam za poselstwo twoje! *(całuje ją).*

SCENA VI.

WACŁAW, JUSTYSIA, ELWIRA.

ELWIRA *(wbiegając).*
Zapomniałam... *(postrzegając).*

Cóż to jest? cóż to jest? Wacławie?

WACŁAW. Co to jest? he... takto te... takto nie chcąc prawie,
Jakieś figle się wzięły... łaskotek się bała...
(śmiejąc się z przynusem).

Łaskotek. . otóż jakoś... i tak się rzecz stała.

ELWIRA *(do Justysi).*

Precz! idź mi z oczu, jaszczurko zjadliwa,
Którą przy sercu pieściła tak długo!
Taką nagrodę bierze przyjaźni tkliwa?...
Precz z gódomu, teraz tylko sługo,

Nie wartaś słyżć i słowa ode mnie.
 Prowadź tak życie, jak zdradzasz nikczemnie!
(Justysia oddała się w głębsz sceny powoli i zatrzymuje się ze spuszczonei oczyma).

(do Waclawa po krótkim milczeniu).
 Ach, mężu, jakżeś w jednej mógł zapomnieć dobie,
 Coś winien swojej żonie, coś winien sam sobie?
 Takimże związkiem Waclaw się zaszczyca?
 Taką rywalkę daje mi, niestety?
(spoglądając na Justysię).
 Lecz gdzież ta piękność, która was zachwyca?
 Jakież przymioty, jakież to zalety
 Tak wasze głowy zajęły szalenie?
(z ironią).

Niechże je poznam, niechże i ja cenię;
 Gdy już z tém bóstwem równać się nie ważę.
(kłaniając się Justysi).

Niechże dziś cześcią, przeszłą winę zmażę.
 Teraz dopiero dochodzę przyczyny,
 Czemu oziębły zawsze byłeś ze mną;
 Jam oddalała życzeń cel jedyny,
 Jam tylko w domu nie była przyjemną;
 Dlategoś chciał zawsze mnie wyprawić,
 Abyś mógł częściej godziny z nią trawić.
 Otóżto wszyscy tacyście mężowie:

Czuli, wierni, tylko w mowie,
(coraz prędzej).

Sami zły przykład dajecie,
 A dobre żony mieć chcecie;
 Chcecie, aby biedna żona,
 Choć zwiedziona, choć wzgardzona
 Zawsze równie was kochała,
 Wam wierzyła, was słuchała,
 I za wszystkie swoje męki
 Jeszcze panu niesła dzięki,
 Żeby jego znała wolę,
 Ukrywała swą niedolę,
 Żeby tylko służą była ..

(tu pakiet jeden listów wypada z szuła).

Ach! ach!

(chce podnieść, pakiet drugi wypada i następnie wszystkie).

O nieba! cóżem uczyniła!

(zakrywa oczy chustką i rzuca się na krzesło. Justysia się przybliża).

WACŁAW (*podnosząc jeden pakiet*).

Co to znaczy, Elwiro? aj... Elwiro! żono!

Co to jest? te... te listy, to do ciebie pono.

A to pięknie! to śmiesznie! (*przewracając listy*).

Od kogo? do kogo?

Powiedzcie, czyje te listy być mogą?

(*trąc list w rękę; z wzrastającą niespokojnością*).

Powiedz, duszyczko, ja cię bardzo proszę,

Ja stąd nic złego całkiem nic nie wnoszę,

Ja nie posądzam; ależ to nie ładnie

Czekać, aż twój mąż tajemnicę zgadnie.

Czyjeż te listy? żono droga, miła!

Tylko jedno, jedno słowo,

Dopieroś tyle mówiła!

Odpowiedzcie mi, daj znak, kiwnij głową.

Nie mogę.

ELWIRA.

WACŁAW.

ELWIRA.

Dziwnie! Jednak wiedzieć muszę.

Chętniebym całą odkryła ci duszę,

Ale przysięgam, nie o mnie mi chodzi.

ALFRED (*wchodzi i chce się cofnąć*). A przepraszam.

WACŁAW.

Nic nie szkodzi.

ALFRED. Może w zły czas...

WACŁAW.

I owszem; mam pomówić z tobą.

ELWIRA (*wstając*). A, tego już nie zniosę. (*odchodzi*).

JUSTYSIA (*przybliża się do Wacława*). Przed obcą osobą...

WACŁAW. Oddal się. (*dzwoni, i mówi do kamerdynera*).

Wejść tu teraz niewolno nikomu:

Wszystkim powiadać, że mnie niema w domu.

(*Justysia odchodzi*).

SCENA V.

WACŁAW, ALFRED.

(*Alfred wszedłszy i postrzegłszy swoje listy, okazuje wewnętrzne pomieszanie, zaciiera ręce i wici czasami, poglądając raz na listy, raz na Wacława. Wacław zamyka drzwi, któremi Elwira wyszła*).

ALFRED (*z przymuszonym śmiechem*). Cóż zamykasz?

WACŁAW.

Zamykam.

(*długie milczenie. Alfred zawsze niespokojny a Wacław drugie boczne drzwi zamyka*).

Nikt nam nie przeszkodzi.

Alfredzie, przykre dla mnie zdarzenie zachodzi,

Przykre i wyznać, ale znając serce twoje,
 Znając i szczerą przyjaźń, chybić się nie boję,
 Gdy miłość własną przytłumiając w sobie,
 Zgryzot domowych wyznanie ci zrobię.
 Właśnie nim wszedłeś, minut kilka, moja żona,
 Nie wiem, przeciw tam czemu gniewem uniesiona,
 Upuściła przypadkiem tych listów tysiące;
 Jój krzyk, jój pomieszanie, wszystkie członki drżące,
 Jakaś w tém tajemnicę wskazywać się zdały.
 Podnoszę, czytam i staję zdumiały.
 Czy uwierzysz? patrz, same miłosne wyznania,
 Jakieś skryte umowy, jakieś rady, zdania,
 Przysiąg krociami... słowem znajduję bilety,
 Jakie się zwykle piszą do kobiety,
 Która nam uczuć całkiem już nie kryje
 I z którą się... nareszcie jak najlepiej żyje.
 Pytam, proszę, zgaduję, błagam, czy się dziwię,
 Elwira milezy.

ALFRED.

Milczy?

WACŁAW.

Milczy uporeczywie,

I tyłkom to mógł wyrwać z pomiędzy szlochania,
 Że ją w tém obce dobro do milezenia skłania.
 Co tu więc z tego wnosić, co czynić wypada,
 Powiedz, i niech mnie twoja objaśni w tém rada.

ALFRED.

Ja sędzę, że Elwira całkiem jest niewinna,
 Chyba w tém, że ci kryje, co zrobiła inna!
 Ależ trudno wymagać po czulój osobie,
 By zwierzenia przyjaźni powierzała tobie.

WACŁAW.

Ale czyjeż być mogą? jój związki mi znane,
 A potém, przyjaciółki gdzie są tak wylane,
 Aby sobie podobne powierzały rzeczy?

ALFRED.

Prawda, dobra uwaga, lecz któż mi zaprzeczy,
 Gdy te listy pisane przynajmniej od roku,
 Że ten związek twojemu nie uszedłby oku?

WACŁAW.

Znasz mnie, na co mam gadać, jabym téż nie zoczył!
 Dla tego to z Elwirą rozmowę odroczył;
 Nie chciałem, aby zgadła, co się ze mną działo,
 I myślała, że sobie i jój ufam mało.
 Nareszcie na uwagę wszystko biorąc ściśle,
 O rozumie Elwiry z większą chlubą myślę:
 Lepiejby przecie pisał od niej ulubiony.

ALFRED.

Czemu?

WACŁAW.

To jakiś student sztychował androny.

ALFRED (*urazony*). Dlaczegoż student?

WACŁAW. Bo głupie potrosze.

ALFRED. Ale dlaczego głupie, powiedzże mi, proszę?

WACŁAW. Na, masz; weź ich kilka, czytaj,
A potem, czemu głupie, sam siebie zapytaj.

Nie do mojej więc żony te listy pisane;
Pewnie jednak spokojnym póty nie zostanę,
Póki całej nie będę tajemnicy wiedzieć.

ALFRED. Niepotrzebna ciekawość cudze sprawy śledzić.

WACŁAW. Wybacz, nie bardzo cudze, gdy o żonę chodzi.

ALFRED. Fe! wstydz się, fe! Wacławie, zazdrość cię uwodzi.

WACŁAW. Zazdrość?

ALFRED. Zazdrość.

WACŁAW. Mylisz się.

ALFRED. Porzuć więc badanie,

Zwróć listy, przeproś żonę i koniec się stanie.

WACŁAW. Nie, nie, zazdrość nie zazdrość, niechaj co chce będzie,

Ja dzisiaj objaśnionym muszę być w tym względzie.

(*po krótkim milczeniu*).

Niech tylko jaki pozór na myśl mi przypadnie ..

Z kimże żyje Elwira? wszystkich znam dokładnie.

ALFRED. Czekaj, co za myśl! Może... tak jest, nie inaczej;

Justysia jej służąca, przyjaciółka raczej,

Co się swą francuszczyzną często lubi chwalić,

Wszak łatwo mogła kogo miłością zapalić;

A naśladować modę i wieku zwyczaje,

Chociaż Polka, po polsku w miłość się nie wdaje:

Wszystko więc po francusku, bilet i rozmowa.

Tak robią nasze panie, tak świata połowa,

Dlaczegożby Justysia nie tak robić miała

I umiając inaczej po polsku pisała?

Nawet przypomnij sobie, gdy w wszedł niespodzianie,

Szła, wróciła i pono... prawda, wyśmienicie,

Chciała ci mowę przerwać i wstrzymać odkrycie;

Tak wierzaj mi, niepróżne są domysły moje.

WACŁAW. Justysia? to być może, wiesz, tego się boję.

ALFRED. A tobie coto szkodzi?

WACŁAW. No, już ci nie szkodzi,

Ale to w moim domu... jakoś nie uchodzi...

Aby pod moim bokiem... moralność cierpiała!

ALFRED (*z ironią powtarzając*).

Aha, moralność!

WACŁAW. Zatem jest to rzecz nie mała...

Ale na cóż przed tobą mam się kryć w tej mierze,
 Kiedym zaczął się zwierzać, z wszystkiego się zwierzę:
 Oto widzisz, Justysia... ale nie wnoś sobie,
 Że ona jest służącą w zwyczajnym sposobie;
 Ona wzrosła z Elwira, wzięła wychowanie,
 Któreby dobrém było nawet w wyższym stanie,
 Od swych nauczycieli korzystała wiele,
 I znając ją dokładnie, mogę wyznać śmielem...

ALFRED (*z niecierpliwością*). No i cóż ta Justysia?

WACŁAW. Otóż ta dziewczyna...

Chciałbym, żebyś z nią mówił, to rozkosz jedyna!
 Trudno prawdziwie wierzyć, jak ma dobrze w głowie,
 Jak rozsądna, przyjemna, wesola w rozmowie...

ALFRED. No, no, i cóż Justysia?

WACŁAW. Wszystko wyznać muszę:

Otóż... a co najbardziej zaszczyca jej duszę,
 To jest dobroć anielska z tym czułym wyrazem...

ALFRED (*z niecierpliwością*). Ale cóż ta...

WACŁAW. A zwłaszcza... ma... coś... coś... tak razem...

ALFRED. Ma coś, ma, ma, wiem ja, wiem; ale skończ u kata!

Cóż ta Justysia? ta ozdoba świata...

WACŁAW (*wpadając w mowę*). Bardzo mi się podobała.

ALFRED. Tak?

WACŁAW (*prędko*). Kochamy się wzajemnie

I umiemy żyć przyjemnie,

Otóż okoliczność cała.

ALFRED. Umiecie żyć przyjemnie? umiejętność rzadka;
 Lecz jakże już trwa dawno ta dla mnie zagadka?

WACŁAW. Od dwóch tygodni jestem pewny, że mnie kocha.

ALFRED (*na stronie*). Od dwóch tygodni mnie zwodzi.

WACŁAW (*zasłyszawszy*). Czy zwodzi?

Otóżto właśnie i mnie o to chodzi;

Ale znowu nie jest płocho

I te listy w takim zbiorze,

Nie, to być nie może.

Ale, hm, prawda, przypominam sobie,
 Ktoś się w niej kochał młody i bogaty,
 Raz mi wspomniała w dość dziwnym sposobie,
 Nawet się śmiała z kochanka utraty.
 Lecz jeśli mając te przymioty,

To jest, młodość i klucz złoty,

Nie umiał panicz wyszukać sprężyny,

Do ustalenia tak młodej dziewczyny,

To już być musiał mówiąc między nami,
Gap', ale gap' nad gapiami.

ALFRED (*nieukontentowany*).

Jakież dziś domyślny!

WACŁAW.

Więc tém się nie straszę.

Ale to próżne są domysły nasze;

Wolę Justysię tu przysłać do ciebie.

Staraj się, proszę, w pewność ją wprowadzić,

Że chcesz dopomódz, tę sprawę zagładzić;

Ofiaruj się jój w potrzebie,

Że przyjmiesz nawet i listy na siebie,

Że... ale ty potrafisz sobie z nią poradzić,

A ja tymczasem aż do nóg zniżony,

Będę o spokój wszystkich prosić mojej żony. (*odchodzi*).

SCENA VIII.

ALFRED.

ALFRED (*ciska listy o ziemię*).

Niech cię!... wierz tu kobietom, bądź szczery, bądź stały,
W pole cię wyprowadzi lada noszek mały.

(*chodzi dużym krokiem*).

Dziecko... niewinność... słoweczka pieszczone...

No proszę, prócz niój, każdy był zwiedziony;

Żona od męża, mąż znowu od żony,

Ja zaś zwodziłem i męża i żonę,

A ta najlepiej, duszyczka kochana,

Bo zwiodła i muie i panią i pana.

SCENA IX.

ALFRED, JUSTYSIA.

ALFRED. Pięknie, panno Justyno, najpiękniej, wybornie!
Czemuż oczki spuszczone? czemu tak pokornie?

Już mnie nie zwiodą te minki udane:

Znane jój serce, nadto dobrze znane;

Nic nie chcę słuchać, nie zmiękczyc nie zdoła.

(*po krótkim milczeniu*).

Cóż, nic nie mówisz? nie śmiesz podnieść czoła?

Zwiodłaś mnie dla drugiego, zastąpi go trzeci,

Fe, wstyd się, mościa panno; nie bardziej nie szpeci

Jak płochość, chytrość, zmienność i nieczulość razem,

A wszystkich tych przymiotów waćpanna obrazem.

(Justysia, która dotąd stała ze spuszczonei oczyma i pokornie słuchała, parska śmiechem spojrzawszy mu w oczy. Alfred zdziwiony i trochę zmieszany).

Cóżto jest?

JUSTYSIA *(śmiejąc się)*.

Ach, ach, jakże mnie to bawi,

Kiedy się pan gniewa;

Lecz za cóż mi pan to kazanie prawi?

Za cóż tak przezywa?

ALFRED. Czemuż mnie i Waclawa uwodzisz, fałszywa?

W jednej, tej samej dobie, ledwie nie w godzinie

Nie mówiszze obydwom, że kochasz jedynie?

JUSTYSIA. Ni pana, ni też jego nie zwodzę w tej mierze;

Mówię mu, że go kocham, bo też kocham szczerze.

ALFRED. A mnież niewdzięczna?

JUSTYSIA *(śmiejąc się)*. Za panem szaleję!

ALFRED. Sama się śmiejesz.

JUSTYSIA.

Bo się pan nie śmieje.

Lecz tu nie pora na kłótniach czas trawić,

Potrzeba panią z nieszczęścia wybawić;

Jak tu zniweczyć dowód oczywisty,

Te listy pańskie, te nieszczęsne listy?

ALFRED *(bierze kapelusz i chce odchodzić)*.

Co mnie do tego? Umiecie nas zwodzić,

Umiecie broić, umiejcież i godzić!

(wraca się i pierwszy wiersz mówi z namyśleniem, dalej z wzrastającą złością).

Powiedz, że były do ciebie pisane...

Że... w tobie całe miasto zakochane,

Rząd, senat, armia cała,

Wszystkie uczniu, profesory,

Mecenasy i doktory...

Żeś od wszystkich listy miała,

Żeś... powiedz, co będziesz chciała,

A jeśli Waclaw twojej nie uwierzy mówie,

Niechaj się mnie zapyta, wszystkiego się dowie.

(chce wychodzić; Waclaw, który przed kilku wierszami wszedł trzymając rękę Elwiry, zatrzymuje Alfreda).

SCENA X.

ELWIRA, WACŁAW, ALFRED, JUSTYSIA.

WACŁAW. Już się dowiedział.

(*do Justysi*). Ty, panienko miła,
Znalazłaś sobie równą, co ciebie zdradziła.
Twoje miłostki, zdrady, usługi obfite,

Wszystkie już wiemy, wszystko już odkryte,
A że masz do klasztoru szczere powołanie,
Dziś twojej chęci zadosyć się stanie.

JUSTYSIA (*placząc*)

Ja do klasztoru! wprzód umrę dwa razy!

(*wychodzi szlochając*).

WACŁAW.

Alfredzie, nie chcę wspominać urazy,
Którą za ufność odebrał od ciebie:
Wiem twą odpowiedź w podobnej potrzebie;
Ale znając cię dobrze, znanym będąc tobie,
Wszystko w chlubniejszym chcę skończyć sposobie,
Nadto pewny, że wiedząc, ile honor cenię,
Nie podłączaj bojaźni dasz temu znaczenie.

Elwira sama błąd mi swój wyznała,
Nad moję zemstę droższa mi jęj chwala,
Żalom jęj wierzę, miłości przebaczam,
Tak ją szanuję, sobie nie uwłaczam.

ALFRED.

Przeciw obojgu występny zbyt wiele,
Już się i przebaczenia błagać nie ośmielę;
Lecz chociaż nas w tęg chwili konieczność rozdziela,
Znajdziecie we mnie nadal zawsze przyjaciela.

(*odchodzi*).ELWIRA (*chcąc przykleknąć*).

Przebacz, Wacławie!

WACŁAW (*nie dopuszczając*).

I ty mnie wzajemnie!
Ufnością twoją znajdziesz ufność we mnie,
A błędy nasze zostając przestroga,
Spokojność z czasem przywrócić nam mogą.

THE

ANNUAL REPORT

OF THE

COMMISSIONERS OF THE LAND OFFICE

FOR THE YEAR 1848

IN

THE

MONTH OF

MAY

1849

LONDON:

PRINTED BY

RICHARD CLAY AND COMPANY,

BUNGAY, SUFFOLK.

LONDON:

PRINTED BY

RICHARD CLAY AND COMPANY,

BUNGAY, SUFFOLK.

NOWY DON KISZOT

CZYLI

STO SZALEŃSTW.

KROTOCHWIŁA

WE TRZECH AKTACH, WIERSZEM ZE ŚPIEWAMI.

Szaleństwo, nie ochota, silić się
dla niczego.

And. Maks. Fredro.

O S O B Y:

KASZTELAN.

KAROL syn
ZOFIA synowica } Kasztelana.

MATEUSZ SĘDZIŁKO, burmistrz blizkiego miasteczka.

MICHAŁ, służący Karola.

JAKÓB, stary sługa Kasztelana.

BORUTA, leśniczy i karczmarz w dobrach Kasztelana.

MAŁGORZATA, jego żona.

POCZTYLION.

KMOTR, stróż karczmy.

WÓJT. WIEŚNIACY. WIEŚNIACZKI. INWALID. DWORZANIE Kasztelana.

Scena w dobrach Kasztelana.

AKT I.

Izba karczemna; drzwi w środku, na prawo i lewo; w głębi stół, za nim ława. Po prawej stronie sceny ławka, po lewej stolik.

BORUTA, MAŁGORZATA, KMOTR, WIEŚNIACY; (potém) STRÓŻ NOCNY.
(*Wieśniacy piją przy stołach i tytuń palą. Małgorzata z jednemi się rachuje, drugim Boruta trunku dostarcza.*)

WIEŚNIACY (*śpiewają*). Dalej żwawo i wesolo,
Pijmy, pijmy, pijmy wkoło!
Ja do ciebie a ty do mnie:
Twoje zdrowie, moje zdrowie!
Kto nie pije, żyje skromnie,
Temu świta zawsze w głowie;
Dalej żwawo i wesolo,
Pijmy, pijmy, pijmy wkoło!

STRÓŻ NOCNY (*wchodząc z latarnią w rękę*).
Mospanowie gospodarze,
Już dziesiąta na zegarze!

WIEŚNIACY.
Czy dziesiąta, czy dziewiąta,
Niech to myśli nie zaprzęta,
Kto wypije, niech się święci,
Kto nie pije, niech kark skręci!
Dalej żwawo i wesolo,
Pijmy, pijmy, pijmy wkoło!

BORUTA, MAŁGORZATA, STRÓŻ.
Idźcie, idźcie, gospodarze,
Już dziesiąta na zegarze.

WIEŚNIACY.

Odłożone, niestracone,
 Chodźmy każdy w swoją stronę;
 Jutro wrócim, będziemy pili,
 Huczno, zwawo będziemy żyli!
 Teraz kończmy, choć wesoło,
 Kończmy, kończmy szklanki wkoło!

(wychodzą nucąc tę samą pieśń; głos się gubi w oddaleniu).

SCENA II.

BÓRUTA, MAŁGORZATA, KMOTR *(Kmotr sprząta, potem kładzie się spać w głębi na ławie. Boruta bierze łaskę i kapelusz).*

MAŁGORZATA. Dokądże znowu, dokąd, tak późno?

BORUTA.

Do lasu.

MAŁGORZATA. Proszę, jaki mi pilny! Nie masz to w dzień czasu?

BORUTA.

No, no; tylko ty idź spać, nie troszcz sobie głowy;
 Muszę obejść granicę, dziedzic przybył nowy;
 Nie będzie mię się pytał nad skradzioną sosną,
 Czy też mnie Bóg nie skarał żoneczką zazdrosną.

MAŁGORZATA.

Hm, dziedzic przybył nowy. Jakto Waszmość umiesz...

BORUTA.

Dobranoc ci, Małgosiu, dobranoc, rozumiesz.

(do siebie)

Być karczmarzem, leśniczym, mieć zazdrosną żonę,
 To można męczennika zasłużyć koronę. *(odchodzi)*

MAŁGORZATA.

Hm... do lasu, do lasu! co noc mi wychodzi;
 Ledwiebym nie przysięgła, że mnie hultaj zwodzi.
 Ale twoje wykręty nie będą trwać wiecznie;
 Gdybym miała rok nie spać, dojdę ich koniecznie.
(odchodzi)

SCENA III.

(słychać trąbkę pocztarską coraz bliżej).

KMOTR *(przebudzony).*

Co za wicher gwałtowny, aż się dom kołysze,
 Chociaż mówią, że głuchy, jednak ja to słyszę.
(słychać wolne kołatanie. Kmotr podnosi się i nadstuchuje).
 Grzmi.

MICHAŁ *(za drzwiami).* Otwórz!

KMOTR.

O, grzmi!

MICHAŁ *(głośniej).*

Otwórz!

- KMOTR (*kładąc się*). Czy prędko ustanie!
(słysząc mocne uderzenie we drzwi; Kmotr się zrywa).
 Piorun walnął we wrota, Święty Floryanie!
(biega po izbie z konewką)
- MALGORZATA. Héj Kmotrze!... Kmotrze!...
- KMOTR. Słucham.
- MALGORZATA. Idź otwórz gospodę.
- KMOTR. W wodę... wpadł, chwała Bogu, małą zrobił szkodę.
(znowu kołatanie)
 Ej złe... grzmi; ależ to grzmi! ogniście i srodze!
 Chyba pono pies jeden byłby teraz w drodze.
- MALGORZATA (*z alkierza*).
 A cóż, nie słyszysz? głuchy! ktoś we drzwi kołacza!
- KMOTR. Skacze? *(do siebie)*
 Ogluchła baba!
(głośno) Taćto grzmi, nie skacze.
(do siebie)
 Jednakże wielkie dziwy, piorunuje zblizka,
 Ażeby też raz jeden, to się nie zabłyska.
(idzie do okna)
 Taćto pogoda! tylko rześista ciemnota.
 Aj, aj. . niby wóz jakiś... ktoś stuka we wrota...
 Czyto mnie się tak widzi, czyli w rzeczy saméj?
- MICHAŁ (*ze dworu*).
 Otworzyszże nam? gapiu! godzinę czekamy.
 Proszę, a to wisielec!... zwabić go nie mogę.
- KMOTR. Do Kielec?... a, do Kielec pytacie o drogę?
- MICHAŁ. Głuchy!
- KMOTR. Trakt suchy.
- MICHAŁ (*groźąc*). Będziesz bity!
- KMOTR. I ubity.
- MICHAŁ. Ej basy!
- KMOTR. Są i lasy.
- POCZTYLION (*za drzwiami*). Głuchy albo spity.
- MICHAŁ. To łotr!
- KMOTR. A Kmotr... Do usług.
- MICHAŁ. Gdzież masz, łotrze, uszy?
- KMOTR. Jak się mam?... Dobrze, dobrze.
- MICHAŁ. Hultaj się nie ruszy,
 I pono tę noc całą stać będziem na dworze.
- KMOTR. Czy otworzę?... I owszem, zaraz wam otworzę.
(do siebie, biorąc światło)

Jacyś, widzę, znajomi: po głosie poznali;
Grzeczni ludzie, najpierw o zdrowie pytali. (*odchodzi*).

SCENA IV.

KARÓL, MICHAŁ (*stawia strzelbę przy drzwiach lewego alkierza*).

KMOTR (*powróciwszy, kładzie się znowu na ławie i zasypia*).

KAROL (*kładąc pistolety*).

Błądzenie... zbójcy... walka wśród nocnej ciemnoty,
Dawnych dziejów rycerskich, o! godne kłopoty!
Przeciwność zachęceniem, trudy mym żywiołem.
No i jakże, *Pedrillo*, źle podróż zacząłem?

MICHAŁ. Michałem mnie ochrzczono i tak mnie zwać proszę;
Jak zostałem *Pedrillum*, pełno guzów noszę.

KAROL. *Pedrillo*, ty narzekasz?

MICHAŁ. O, nie; ja się śmieję.

KAROL. Próżnom więc, widzę, w tobie położył nadzieję.
Nie masz serca!

MICHAŁ. Żałuję, że pana zawiodłem.

KAROL. Jakto, honor i męstwo, kiedy naszym godłem,
Kiedy bronić niewinność jest naszym zamiarem,
Mogąż te małe trudy być dla nas ciężarem?

MICHAŁ. Niech pan stroi, ubiera, to wszystko do woli,
Lecz co kole to kole, co boli to boli.

Nie dość... Mogęż być szczerym i mówić, co czuję?

KAROL. Możesz; kłamstwem się brzydzę, a prawdę szanuję.

MICHAŁ. Nie dość, żeśmy błądzili przez pola, las, krzaki,
Trzeba, żebyś jeszcze pan za zbójców wziął pniaki.

„Panie, to pniaki” mówię. „Nie, to są hultaje.”

„Jak Boga kocham, pniaki.” „Nie; daj strzelbę!” Daję.

Jak też się wystrzeliło, szkapy z piekła rodem,
Które nas usypiały swoim żółwim chodem,
Nuż w nogi! wołam .. trzymam, aż mi w krzyżach pryska,
Nareszcie rym! do dyabła z jakiegoś urwiska.

Koniec końców *Pedrillum* czy dawnym Michałem,
To wiem tylko, że w czoło dwa sińce dostałem;
Proszę więc pana za co i po co?

KAROL.

Dla sławy.

MICHAŁ.

Ach, lepiej bez niéj; sami wróćmy do Warszawy.

KAROL.

Nikczemna duszo!

MICHAŁ.

Wszakże w każdej tam wyprawie
Błyszczałem jakby gwiazda, w nieśmiertelnej sławie.

Tam znani wzdłuż i wpoprzek do samych rogatek
 Od żydów, bab, drożkarzy, panien i mężatek,
 Słowem, znani przystojnie w całym wielkim świecie,
 Choć się co i zbroiło, uszło jakoś przecie;
 Ale tu, przewiduję, źle, źle z nami będzie.
 To czemu?

KAROL.
 MICHAŁ.

Oczy na nas wytrzeszczają wszędzie.
 Na cóż ten płaszcz, kapelusz, te palone buty?
 Jak z domu waryatów a najmniej z reduty.
 W drodze napastujemy ludzi.

KAROL.
 MICHAŁ.
 KAROL.

W dobrej sprawie!
 Wszak mozem za nią walczyć, i lepiej, w Warszawie.
 Słuchaj, nie jestem panem, jak bywają drudzy,
 Których niewolnikami ledwie nie są słudzy:
 Ja pragnąłem mieć w tobie razem przyjaciela,
 Który szczęście, przygody, myśl nawet podziela,
 Jak niegdyś wierne giermki dla rycerzów były.
 Ty wiesz, jakie przyczyny mój odjazd zagnaliły:
 Wiesz, zem miał pojedynek?

MICHAŁ.
 KAROL.

Napaś z pańskiej strony.
 Jako! mógłżem płci pięknej odmówić obrony?
 Każdy słabszy w ucisku, w jakimkolwiek względzie,
 Zawsze prawo do mojej opieki mieć będzie.
 A dopieroż kobiety, ten piękny twór Boga,
 Których słabość powabem, powabem i trwoga,
 Których uśmiech tak miły i władający tyle
 Od kolebki nas wiedzie w późne życia chwile,
 Podwaja każdą rozkosz, uśmierza zgryzoty,
 Zachęca nas, nagradza, unosi do cnoty;
 Mająż z najświętszych uczuć czynić nam ofiary,
 A barbarzyństwo mężów zostawać bez kary?
 Nie, póki serce bije, władać mogą dlonie,
 Dopóty walczyć będę w płci pięknej obronie.

MICHAŁ.

Dobrze, niech i tak będzie. Lecz gdy strasznym losem
 Ów mąż, cnót ciemniźyciel, rozstał się z swym nosem,
 Gdyś już pan tak chwalebnie użył swojej broni,
 Dłaczegóż uciekamy, kiedy nikt nie goni?

KAROL.

Miałżem czekać spokojnie na zazdrosnych wrzaski,
 Na dziękczynienia kobiet i ludu oklaski?
 Nie, ja tylko w mój duszy chcę znaleźć pochwałę.
 Nareszcie jedno miasto jest pole zamale:
 Obu światom chcę zostać chwalebny przykładem.
 Niech więcęj młodzian idzie za wskazanym śladem,

Niech ze mną śmiało prawdy zaświecą pochodnie,
 Bronią dręczoną cnotę a zgramiają zbrodnie.
 Nie pytam, w jakie kraje losy mnie powiodą,
 Ludzkość oswobodzona będzie mi nagrodą;
 Stronictwo — mych zamiarów nie wzruszy, nie zaćmi,
 Świat cały mi ojczyzną, wszyscy ludzie braćmi.

MICHAŁ (*rozczulony*).

Ach!

KAROL. Wzięłem cię ze sobą, bom mniemał, niestety,
 Że na prawego giermka masz dosyć zalety!

MICHAŁ. Ach!

KAROL. Że dzieląc wraz ze mną trudy i wyprawy,
 Będiesz godnym mych względów i dostąpisz sławy.

MICHAŁ (*coraz bardziej rozczulony*).

Ach! ach!

KAROL. Że kiedyś kończąc podróże i boje,
 Dwakroć błogosławione w świecie imię twoje
 W księdze nieśmiertelności umieszczoném będzie
 Obok mojego, w dzielnych bohaterów rzędzie.

MICHAŁ. Ach! ach!

KAROL. Zbłądziłem, lecz dość téj mowy z Michałem:
 Teraz oddał się, gdzie chceś, lecz pomnij, że chciałem...

MICHAŁ. Ach! chcę być nieśmiertelnym! wybacz, wybacz, panie,
 Występne, ale krótkie zmysłów obłąkanie.

KAROL. Idź, wracaj do Warszawy... pędź życie bez chwały!

MICHAŁ. Nie, sroższe, szlachetniejsze parzą mnie zapaly;
 Będę walczył walecznie z godłem i ludzkością;
 Ach panie, żalującą zmiękcź się mą żalnością!
 Patrzaj, jak serce bije, jakie lzy wytaczam.

KAROL. *Pedrillo!*

MICHAŁ. *Don Karlosie! przebacz!*

Wstań, przebaczam.

MICHAŁ (*wstaje*).

Oby mógł się ktokolwiek teraz mi nawinać,
 Musiałby zaraz z moich rycerskich rąk zginąć.
 Oby kto pana skrzywdził, uczynił zuiewagę,
 Popuściłbym na niego nagłą odwagę.

KAROL. Bravo, *Pedrillo!* czasu nie traćmy więc marnie,
 Chodź ze mną.

MICHAŁ. Chodź?... ja?... dokąd?

KAROL. Bierz broń i latarnie.

MICHAŁ. Ale zaraz, niech sobie z odwagi odpocznę.

KAROL. Nie, nie, nasze działanie musi być niezwłoczne.

- MICHAŁ. Ach, cóżes pan nowego tak prędko wyszukał?
- KAROL. Słuchaj i ciesz się. Wtedy, gdyś we wrota pukał,
Mimo ciemnoty, z drogi o kawalek mały,
Niby duże budynki widzieć mi się dały.
Ale dalej poszedłszy, rozpoznałem zblizka,
Że to jakichciś murów stare są zwaliska.
Takie miejsca być zwykły złoczyńców siedliskiem,
W takich często niewinność jęczy pod uciskiem
Moźniejszych barbarzyńców; chodźmy więc się starać
Cnotę z więzów uwolnić, lub przestępstwo skarać.
- MICHAŁ (*mysli*).
Hm... nie lepiejże będzie, gdy dnia zaczekamy?
Pocóż w nocy jak zbójcy atakować mamy?
Fe, panie! fe! jak zbójcy; dalibóg nieładnie.
Jeszcze nas jaki taki zuienacka napadnie.
Idziesz, czy nie?
- KAROL. Hm... ale niech pan zważy sobie...
- MICHAŁ. Zważam, zważam, że męstwo już zasnęło w tobie.
- KAROL. Nie... ja strasznie odważny, jednakże się boję...
- MICHAŁ. Zostańże, zostań tchórz, wstrzymuj dzielność swoją.
(*wychodzi*)
- MICHAŁ. Jakto, mam tu sam zostać? panie! *Don Karlosie!*

SCENA V.

MICHAŁ, KMOTR (*śpiący*).

- MICHAŁ. Wolę pójść... nie, zostanę... o przekłety losie!
O rycerstwo! o sławo! gdzieżeś mnie zawiodła!
Co mi z nieśmiertelności i honoru godła,
Kiedy choć czasem trochę odwagi nazbieram,
Ledwie przyjdzie do czego, ze strachu umieram.
(*siada po lewej ręce sceny*)
O Warszawo! Podwalu! o panno Justyno!
Gdybyś mogła lzy widzieć, co za tobą płyną!
(*po krótkim myśleniu*)
Zginę nie dziś, to jutro. Mój Boże, mój Boże!
Nacóż człowiek człowiekiem? ktoś to zgadnąć może?
Żyje, jak mysz, co... co się .. jak ptaszki, co siedzą...
Albo życie? jest właśnie... jak... jak dyabli wiedzą!

SCENA VI.

MICHAŁ, POCZTYLION, KMOTR (*śpiący*).

POCZTYLION. Niech piorun trzaśnie w takie niegodziwe domy!

Błoto w stajni po uszy, ni siana ni słomy,
Ni koni gdzie przywiązać; żłoby na cieleta...

Daje mi się we znaki ta podróż przekłeta.

I chomąta porwałem na drobne kawałki...

Bierz je dyabeł... Héj! słyszysz, karczmarz! daj gorzalki!

(*Kmotr wstaje i nalewa, pocztylion postrzega Michała*)

A, pan Michał! (*siada naprzeciw Michała*)

Stół tutaj... prędko... w ręce twoje! (*pije*)

(*Kmotr stawia między siedzącymi po lewej stronie sceny stół, który stał przy drzwiach prawego alkierza*)

Ale cóż, czyż cię słowa nie wzruszają moje?

Milczysz, kiwasz się, dumasz, jak żyd nad pacierzem.

He?

MICHAŁ.

Szczęśliwy człowieku, nie jesteś rycerzem,

Nie poświęciłeś sławie, jak ja, swoje życie.

I cóż mi z tego? powiedz? na cóż jój nabycie?

Cóż jest sława? (*pocztylion pije*)

A dobra wódka?

POCZTYLION.

Doskonała!

MICHAŁ. Ach! ach! (*pije*)

Wszystko marności, człowiek, życie, chwała.

Choć znam filozofią, ty nie... jednak przecie

Poznasz, że sama nędza panuje na świecie (*ciszéj*)

Dolój trochę.

POCZTYLION.

Już niema.

MICHAŁ (*pije*).

Wszystko się przebiera.

Człowiek rodzi się, żyje, na końcu umiera!

POCZTYLION (*rozczulony*).

Umiera, prawda, prawda.

MICHAŁ.

Jak umrze...

POCZTYLION (*plącząc*).

Nie żyje.

MICHAŁ. I już więcej nie chodzi, nie gada, nie pije.

Ty płaczesz?

POCZTYLION.

Placę, placę, bo gadasz wspaniale.

MICHAŁ (*wstaje i ściska pocztyliona*).

Szanowny pocztylionie!

POCZTYLION (*ściska Michała*). Mój panie Michale!

MICHAŁ. Wierzej, zem cię szacował, zaledwie poznałem.

POCZTYLION. I ja cię wielce kocham i zaraz kochałem.

MICHAŁ (z determinacją).

Bądź zdrów!

POCZTYLION (przestraszony). Stój, gdzie idziesz?

MICHAŁ.

Spać!

POCZTYLION.

Spać? Idź w imię boże.

(*idąc, pod rękę się trzymając i biorąc świecę*)

MICHAŁ. Niema gdzie... chyba razem z głuchym się położę.

(*kładzie się*)

KMOTR. Héj! héj!

MICHAŁ.

Ustąp się.

POCZTYLION.

Idź precz!

KMOTR.

To moje posłanie!

POCZTYLION (*ciągnąc Kmotra*).

Prędko.

KMOTR (*wstaje grożąc*). Ale Mospanie!

POCZTYLION (*wypychając Kmotra za drzwi*). Eh, ruszaj, bałwanie!

(*wychodzi*)

SCENA VII.

BURMISTRZ (*wychodzi ze świecą z lewych drzwi, w szlafroku*),

MICHAŁ (*śpiący*).

BURMISTRZ. Cóż tu za hałas, wrzawa, ciężko oko zmrużyć!

Lepiej było podróży godzinę przedłużyć,

Jak w tém piekle nocować. Pewnieby w mém mieście

Takich krzyków żołnierzy nie zrobiło dwieście;

Bo moja głowa czuwa i wszystko układa,

Bo Mateusz Sędziłko jest burmistrz nie lada.

Cóż to było? nikogo niema? tam do kata!

Hm! jakiś Hiszpan?... Hiszpan? co za dziwna szata!

Jakie zęby... twarz... nozdrze!

(*Słychać strzał, Burmistrz ucieka ku drzwiom swoim,*

świeca mu wypada, gaśnie, on szturcha o stół).

Cóżto, stół? dla Boga!

Ach jakże mnie gwałtownie przeraziła trwoga!

Byłbym do gospodyni wleciał mimo chęci:

Tuż przy jej drzwiach stał stolik, mam dobrze w pamięci.

Pięknieby było; w nocy Burmistrz w łóżko włązi...

Fe, fe... nigdy roztropnych czyn taki nie skazi.

(*odchodzi do alkierza po prawej ręce*)

SCENA VIII.

BURMISTRZ, MICHAŁ, MAŁGORZATA.

MAŁGORZATA (*w alkierzu*).Ach, kto tu! gwałtu! gwałtu! (*po krótkim milczeniu*)

Poczekajno, lotrze!

A, mam cię, mam cię ptaszku! łapaj, łapaj, Kmotrze!

(Wypada Burmistrz, zawadza nogą o tapczan, na którym spał Michał i upada; zrywa się Michał, którego chwytą Małgorzata; tymczasem Burmistrz podnosi się i w najbliższym miejscu przy stronie staje).

A, jesteś!

MICHAŁ (*przestraszony*). A . . a... jestem.

MAŁGORZATA.

Luby niedoperzu.

Po nocy łazisz?

MICHAŁ.

Kto?

MAŁGORZATA.

Ty!

MICHAŁ.

Gdzie?

MAŁGORZATA.

W moim alkierzu.

Puś mi ręce, hultaju.

MICHAŁ.

Puś mi kołnierz, babo!

BURMISTRZ (*na stronie*).

Co tu robić, pot ze mnie ciecze, aż mi słabo!

MAŁGORZATA. Stój... stój... teraz poznaję; omyłka się stała.

Tamtén nie był ubrany, jakżem zapomniała! (*odsuwa się*)

Dobry wieczór Waćpanu.

MICHAŁ.

Najniższy Jejmości.

MAŁGORZATA. Jestem tu gospodynią.

MICHAŁ.

Nieżle witasz gości.

MAŁGORZATA. Wybacz Waćpan. Zaledwíem zamrużyła oczy,

Poczułam, że coś śmiało do łóżka się tłoczy.

Tylko com nie zemdląła w tak strasznej potrzebie,

I nie mogąc się ocknąć, nagle przyjsz do siebie,

Wycięłam dwa policzki... lotr się nieco zmieszał,

Wyśliznął mi się szybko i w te drzwi pośpieszał,

Jam też za nim goniła, gdyś mi wleciał w ręce.

Widziałeś przecie kogo?

BURMISTRZ (*na stronie*).

Stoję, jak na mece.

MICHAŁ. Nie widziałem, lecz czułem, bo ta mara z piekła,

Na środek mnie śpiącego z tapczanem wywlekał,

Zerwałem się odważnie, aż tu mnie coś dusi.

MAŁGORZATA. Jeśli drzwiami nie ruszył, tu jeszcze być musi.

MICHAŁ. Nie; tylko się coś jak pies po ziemi drapało.

BURMISTRZ *(na stronie)*.

Jak pies!... ja pies!...

MAŁGORZATA.

Szukajmy, gdyby się udało!

T R I O.

MAŁGORZATA. Pst!... pst!... cicho!.. . coś tu słyszę.

MICHAŁ.

BURMISTRZ.

Razem } Tam do kata, ledwie dyszę.
 } O dla Boga, ledwie dyszę.

R A Z E M

MAŁGORZATA. Tę zuchwałość skarać muszę,
 Już nie ujdzie mojej ręki;
 A gdy wszystko wstrząsnę, wzruszę,
 Mieć go będę, Bogu dzięki!

BURMISTRZ. Choć niewinny, cierpieć muszę,
 Już nie ujdę srogięj ręki;
 Czy stać będę, czy się ruszę,
 Pełnej hańby doznam męki.

MICHAŁ. Za niewinność walczyć muszę,
 Wnet użyję dzielnej ręki;
 Lecz gdy wszystko wstrząsnę, wzruszę,
 Jeśli ujdzie, Bogu dzięki!

* * *

MAŁGORZATA. Pst!... pst!... cicho! przeszedł pono.

MICHAŁ.

BURMISTRZ.

Razem } By nie spotkać, pójdę stronę.
 } Trza się sunąć inną stronę.

R A Z E M.

MAŁGORZATA. Każdy o tém wiedzieć będzie,
 Jaka cnota w mej osobie;
 Sama nawet powiem wszędzie,
 Co się działo w nocnej dobie.

BURMISTRZ. Gospodyni milczćć będzie,
 Gdy się pozna na osobie;
 Ale Hiszpan powie wszędzie,
 Co za figle w nocy robię.

MICHAŁ. Niechaj będzie, co chce będzie,
 Niechaj panicz zmyka sobie;
 Ja go wstrzymać nie chcę w pędzie,
 I najlepiej pono zrobię.

* * *

MAŁGORZATA. Tu... tu... w okniem go widziała.
 MICHAŁ.
 BURMISTRZ (*raczkciem*). *Razem* { Czy ta baba oszalała!
 { Czy ta baba oszalała!

R A Z E M.

MAŁGORZATA. Śmiało tylko, śmiało, śmiało,
 Już niedługo będzie wodzić:
 Pozna wkrótce i niemało,
 Jak po nocy trzeba chodzić.
 BURMISTRZ. Za cóż niebo mię skaralo,
 Wszak nie chciałem jój uwodzić;
 I że babie coś się zdało,
 Burmistrz musi raczkciem chodzić.
 MICHAŁ. Takich kobiet w świecie mało,
 Któreby tak chciały szkodzić;
 Że się komuś dobrze zdało
 Po ich izbie w nocy chodzić.

* * *

(Jakiś czas cicho chodzą; nareszcie Burmistrz bojąc się, aby do światła go nie zobaczyli, na rękach się czolgając umyka się przed Michałem; ale tyłem wsuwa się pod nogi Małgorzaty. Ta mu na krzyżę upada i chwytą go za szyję; on się zrywa i tak z nią wiszącą chce uciekać).

BURMISTRZ. Ach!

MAŁGORZATA Ach!

MICHAŁ (*w głąb uciekając wrzeszczy z całego gardła ze strachu*).

Stój! trzymaj go! stój!

MAŁGORZATA. Niesie mnie, dla Boga!

BURMISTRZ. Ciszéj no, ciszéj! pocóż ten hałas, ta trwoga!

Uspokój się i słuchaj.

MAŁGORZATA. Co słyszé? ta mowa...

BURMISTRZ. To ja.

MAŁGORZATA. Pan Burmistrz!

BURMISTRZ. Ja, ja.

MAŁGORZATA. Ale...

BURMISTRZ. Ani słowa!

MAŁGORZATA. Dobrze, ale bo jednak...

BURMISTRZ. Widzisz, moje dziecie,

Jako pozór częstokroć zwodzi na tym świecie!

Zmylenie drzwi pociemku i całe zdarzenie

Sprawiło, jak miarkuję, stołu przestawienie.

Ale o tém rozmowę odłożmy do rana,
 Teraz idź spać. To szczęście, że niema Hiszpana
 I nikt przecie z służących nie słyszał nas w domu.
 Idź spać, a co się stało, nie mówmy nikomu.
 (*odchodzi do siebie*)

MAŁGORZATA (*chodzi jakiś czas zamyślona, potem idzie do drzwi, otwiera i woła*). Kmotrze!

KMOTR. He!

MAŁGORZATA. Zapal świecę... nie odchodź i kroku...
 Spać się nie kładź, chodź wszędzie, miej wszystko na oku.
 (*po krótkim myśleniu do siebie*)

Tak, wolę pójść nocować do której sąsiadki,
 Bo tu jeszcze niepewne są dalsze wypadki:
 Nie bardzo jemu wierzę, nie wierzę i sobie. (*odchodzi*)

KMOTR (*przynosi zapaloną świecę, stawia ją i siada na ławie przy stole*).
 Świeca jest... spać się kładę i kroku nie zrobię.

SCENA IX.

MICHAŁ, KMOTR (*śpiący*)

MICHAŁ (*który w głębi się utaił*).

Hh... hm... hm... nie źle, nie źle... Pan Burmistrz wesoly!
 Proszę, co to czasami wyrabiają stoły!
 Stół go zbudził, zabłąkał... i stół pełen złości
 Wyjednał dwa policzki Burmistrzowskiej Mości.

SCENA X.

KAROL, MICHAŁ, KMOTR (*śpiący*).

MICHAŁ. Jakżeto pan wyglądasz? mój Boże kochany!
 Bez broni, kapelusza, mokry, zawalany.

KAROL. Ach *Pedrillo*, żeś został, masz tchórza węż rzadki.
 Słuchaj, jakim miał dziwne w tym zamku przypadki.

(*śpiewa*)

Wszedłem pod czarne sklepienie,
 Głuche tam było milczenie
 Światła mnie promyk wiódł błądy,
 Gdzie ludzkie starte już ślady.

Aż tu słyszeć szmer się daje,
 Jakieś widmo z gruzów wstaje:

Wzrok iskrzący, broda biała
 Do nóg kręto mu wisiała;
 Mileżąca, groźna, obrzydła
 Postawa była straszydła.
 Chcę na nią śmiało uderzyć
 I choćby z czartem się zmierzyć;
 Lecz daremnie, wciąż mnie stroni;
 Stanę, stoi; wracam, goni;
 I ścigając czas już długi,
 Strzelam w końcu raz i drugi.
 Na ten huk, ptactwa gromada
 Wnet wrzeszcząc wkoło opada;
 Naprózno odpór jej stawię,
 Wzrok tracę w czarnej kurzawie.
 Wracam, pędzę; lecz w tym biegu
 Padam w przepaść, bez dna, brzegu;
 I w tym dole, piekło właśnie,
 Broń mi ginie, światło gaśnie.

Otoczony ciemnotą, bez żadnej pomocy,
 Myślałem, że tam resztę przepędzę tej nocy,
 Gdy przecie jakąś gałąź schwycić się udało
 I po wielu trudnościach i znoju nie mało
 Ujrzałem ucieszony, jak z grobu dobyty,
 I ponure zwałiska i niebios błękity.

MICHAŁ (*trzęsącym głosem*).

Panie... źle... uciekajmy... (*kłęk*)

Panie! uciekajmy!

Widmom, ptakom i zamkom święty pokój dajmy!

Ach.. słuchaj mojej prośby!

KAROL.

Kto, ja mam uciekać?

Nie, nie; jutro będziemy tych strachów dociekać.

MICHAŁ.

Jutro jeszcze daleko, a te czarne ptaki

Mogą być strasznej śmierci nieochybne znaki.

KAROL.

Z takich znaków żartuję i z tych duchów razem.

MICHAŁ (*chrząka, jak gdyby chciał przeszkodzić, aby nie słyszano mowy Pana*). Pst!...

KAROL.

Nie jeden z nich zginął katowskiem żelazem.

Jutro te tajemnice odsłonić się muszą.

MICHAŁ.

Ach zmiłuj się nad twoją i nad moją duszą.

KAROL.

Pedrillo... honor... męstwo...

MICHAŁ.

Ach! honor i męstwo

Wielka chwala, lecz uciec większe bezpieczeństwo.

Ach, gdybyś pan raz jeden chciał słuchać mej rady,
 Wrócić do domu, ojca wypełnić układy,
 Strachy, godła porzucić, zamiary odmienić,
 Z panną Zofią pięknie, ładnie się ożenić;
 Jabym z panną Justysią także się skojarzył,
 Panbyś kochał, polował, a ja gospodarzył:
 Takbyśmy sobie *en quatre* żyli doskonale.

KAROL.

Zła głowa, zła i rada, Mospanie Michale.
 Dlatego, że mój ojciec lubi synowicę,
 Że jej wioski od naszych tylko o granicę,
 Żem... żem ją kochał niegdyś... lecz skąd to wspomnienie,
 Wszakżem ci już w tej mierze nakazał mileczenie (*do siebie*)
 Trudno mi dotąd jeszcze serce moje zmienić,
 Umieć wdzięki Zofii i jej enoty cenić. (*z westchnieniem*)
 Kochałem!... kocham może... zapomnieć nie mogę;
 Lecz żądza sławy inną wskazała mi drogę,
 I wszakżeto dla kobiet chcę mej broni użyć;
 Zapomnijmy więc jednę, aby wszystkim służyć.

(*do Michała*)

Twój pałasz... księżyc wschodzi... nie nadchodząc zblizka,
 Rozpoznam z ostrożnością te dziwne zwaliska.
 Ty...

MICHAŁ.

Ja?

KAROL.

Zostań; do boju bądź jednak gotowy.
 (*odchodzi*)

SCENA XI.

MICHAŁ, KMOTR (*śpiący*).

MICHAŁ.

Do boju! gdzie? jak? po co? co za koncept nowy!
 Sam udaje rycerza, niebezpieczeństw szuka,
 Bo się nigdy nie boi, to mi wielka sztuka!
 Ale bójno się trochę, jak ja się wciąż boję,
 A zobaczysz, czy mile te trudy i boje.
 O, ratujże mnie, ratuj, święty Dezydery!
 Spójrzyj! młodzieniec pełen nadziei, maniery,
 Z tą twarzą, kształtem, chodem, w talenta obfity...
 I ginąć marnie w lesie, jak człek pospolicity!
 Nie, nie zginę... ucieknę; lecz jak?... w tym ubiorze...
 Bez pasportu... uwiężą i... powieszają może.
 Gdy!... tak!... lecz... poszukam... dobrze, wyśmienicie.
 (*wchodzi do alkierza po prawej ręce sceny i wynosi ubiór Małgorzaty*)
 Otóż jest... łatwiej zawsze przemknąć się kobięcie;

I panowie strażniki, co tak chętnie skubią,
Dla nadobnej figurki popoľgować lubią.

Wszystko czego potrzeba. (*ubierając się*)

Paradesu, spódnica,

Kornet, to skryje oczy i wąsate lica.

A mój strój? (*chce przez okno wyrzucić*)

Nie, myśl dobra... ubiorę bałwana,

Śpiąc, może *Don Karlosa* oszukać do rana.

(*Śpiącego Kmotra ubiera w swój płaszcz i kapelusz, potem
węgłem maluje mu wąsy i bródkę.*)

Tym wąsem... i tą bródką... *Pedrillem* cię robie,

Moję sławę i guzy przekazuję tobie. (*idzie*)

Teraz... (*wraca*)

Ha! jak tam ciemno! Ale widma, boje...

Chodźmy... O, mój patronie, wiedźże kroki moje!

(*odchodzi*)

SCENA XII.

KMOTR (*śpiący*), BURMISTRZ, (*później*) WÓJT, WIEŚNIACY.

BURMISTRZ (*wychodząc zawiadza i wywraca strzelbę, którą Michał po-
stawił przy drzwiach; podnosząc mówi wierz pierwszy*).

Cóż to znowu? tu wrzawie, widzę, końca niema.

(*Wieśniacy wchodzi pędkiem z latarniami*)

PIERWSZY WIEŚNIAK (*zobaczywszy strzelbę w ręku Burmistrza*).

Otóż jest! oto, oto! jeszcze strzelbę trzyma.

Do aresztu!

WÓJT.

BURMISTRZ.

Ja! za co?

WÓJT.

Daléj z tym paniczem!

BURMISTRZ.

Ale za co? powiedzcie... ja nie wiem o niczém.

WÓJT.

Wszystko to się pokaże.

PIERWSZY WIEŚNIAK.

Kręciecie daremnie.

WÓJT.

Daléj...

BURMISTRZ.

Wicieście, lotry, co za godność we mnie?

WÓJT.

Waszeć sam lotr a ja Wójt, i iść z nami radzę;
Bo co z gwałtu wypadnie, tego nie zagładzę.

BURMISTRZ.

Lecz, *neminem captivabimus nisi jure...*

PIERWSZY WIEŚNIAK.

Tak, *jure...* jaki Francuz!... zapłaćno za dziurę.

WÓJT.

O, *jure* czy nie *jure*, a Waszeć do kozy!

BURMISTRZ.

Więc niczém są już prawa? o godzino zgrozy!

INWALID (*jeden z wieśniaków*).

Nie są niczém, mój panie: choćemy wieśniacy,
Znamy, coto są prawa, bo i my Polacy;

- WÓJT. I co pradziad ułożył, każdy bronić umie.
Otbyście daremnie nie gwarzyli, kumie;
Niech po nocy nie lazi.
- DRUGI WIEŚNIAK. Co mu się sprawować!
- PIERWSZY WIEŚNIAK. Odkądzeto już wolno ludzi napastować?
- BURMISTRZ (*na stronie*). Ach! przebóg... wszakto... tak jest sprawa go-
spodyni.
- O, hańba! (*do wieśniaków*)
Moi ludzie, czasem się uczyni
Niechący...
- PIERWSZY WIEŚNIAK. Tak, niechący... taką wybić dziurę.
- BURMISTRZ. Dziurę!
- PIERWSZY WIEŚNIAK. A pan co powie, gdy mu oddam skórę!

SCENA XIII.

CIŻ I KAROL.

- KAROL. Cóżto jest? jakieś gwałty, o cóżto wam chodzi?
- PIERWSZY WIEŚNIAK. Waćpanu co do tego?
- KAROL. Powiedziéć się godzi.
- PIERWSZY WIEŚNIAK. Więc powiem... Niedaleko, o kroków stąd parę
Są mury...
- KAROL. Mury? duże?
- PIERWSZY WIEŚNIAK. Ot, zwałiska stare.
Był niegdys browar...
- KAROL. Browar!
- PIERWSZY WIEŚNIAK. Ale jak się spalił,
Że go nikt nie naprawił, do reszty się zwałił.
I teraz nie tam niema oprócz mojej chaty.
Tam więc spałem, aż tu stuk! rymło jak z armaty;
Zląkłem się tego... w żonce jak duszy nie było.
Aż tu znów stuk! pół okna na izbę rzuciło.
O, strach! niema co czekać... tfy, coto być może?
Ha, pójdę... czy nie zginę... idę na podwórze,
Aż tu pański cap biały przed nogami pada.
Cap biały!
- KAROL. Żle! co to jest? biegnę do sąsiada,
Z nim po wsi i tak żwawo wszyscy się zerwali,
Żeśmy jeszcze ze strzelbą panicza zastali.
- PIERWSZY WIEŚNIAK. Więc to browar! cap biały!... o hańbo, o wstydzie!
(*do wieśniaków*).
Zatém wam, jak miarkuję, o zapłatę idzie.
(*dostając sakiewkę*).

Jam to zrobił te szkody... na, macie... Bóg z wami.
 WÓJT. Hm!... nie... kiedyście winni, chodźcie i wy z nami.
 KAROL (*dostając sakiwkę położył pałasz, który zaraz wziął jeden z wieśniaków*).

Co, ja? zobaczę!... (*nie widząc pałasza*).
 Wzięli! muszę uleść sile,
 Lecz za mnie ten jegomość nacóż cierpi tyle!

F I N A Ł.

KAROL. On niewinien, wyznać trzeba.
 BURMISTRZ. Ach, niewinien, widzą nieba!
 WÓJT. Co, nie winien?...
 WÓJT I WIEŚNIACY. Do więzienia!

Dla wszelkiego objaśnienia.

R A Z E M.

WÓJT I WIEŚNIACY. Choć nie winien, do więzienia!
 Dla wszelkiego objaśnienia.
 KAROL I BURMISTRZ. Ach, co słyseż! do więzienia!
 Bez żadnego przewinienia.

* * *

KAROL. Za cóż wolność mamy stracić,
 Kiedy szkody chcę zapłacić?
 WÓJT. Chce zapłacić?...

WÓJT I WIEŚNIACY. Do więzienia!
 Dla wszelkiego objaśnienia.

R A Z E M.

WÓJT I WIEŚNIACY. Choć nie winien, do więzienia
 Dla wszelkiego objaśnienia.
 KAROL I BURMISTRZ. Ach, co słyseż! do więzienia!
 Bez żadnego przewinienia.

PIERWSZY WIEŚNIAK (*wskazując Kmotra*).

Jeszcze jeden w tym ubiorze.
 KAROL. To mój sługa, zostać może.
 WÓJT. Jego sługa?...

WÓJT I WIEŚNIACY. Do więzienia!
 Dla wszelkiego objaśnienia.

R A Z E M.

WÓJT I WIEŚNIACY. I bez tego opóźnienia,
 Chodźcie, chodźcie do więzienia.
 KAROL. Gdy tak każą przeznaczenia,
 Chodźmy, chodźmy do więzienia.
 BURMISTRZ. Nie za moje przewinienia,
 Chodźmy, chodźmy do więzienia.

AKT II.

(Las; księżyc świeci. Po lewej i po prawej na prozdie sceny drzewa).

SCENA I.

KAROL, BURMISTRZ.

(przychodzą, duże kije w ręku).

- KAROL. Brawo, wyszliśmy przecie na ubitą drogę.
BURMISTRZ. Ach, muszę trochę spocząć, dalej iść nie mogę.
Co za ból!
- KAROL. Nie mnie winuj, ale twój brzuch raczej;
Powiedzże sam, czy mogłem postąpić inaczej?
Kiedyś uwiązał w okienku i zaczął się dławić,
Musiałem tego ciągnąć lub w dziurze zostawić.
- BURMISTRZ. Wolałbym pewnie zostać, jak z takić pomocy
Kulawy i zdrapany włóczyć się po nocy.
- KAROL. Tak, prawda; wielka szkoda, żeśmy uszli oba;
O, jakże pełna chluby czekała nas doba!
Prowadzeni od chłopów, jak podle hultaje,
Bylibyśmy ciekawych zabawiali zgraje,
I jaki burmistrz, głupi, jacto czasem bywa,
Więziłby nas do woli... wszak strata prawdziwa?
Gdy teraz najbliższego z dniem doszedłszy dworu,
Wszystko łatwo wyjaśnim bez skazy honoru,
I tylko przygód śmieszne wspomnienie zostanie.
- BURMISTRZ. Bardzo śmieszne.
- KAROL. A zwłaszcza to nasze spotkanie
I burmistrza w szlafroku, podróż mimo chęci,
Warte są dwóch rozdziałów, warte żyć w pamięci.
- BURMISTRZ. Są przekłete, wsteteczne: tém wszystkiem się brzydzę.
KAROL. Bądź zdrow!
- BURMISTRZ. Co? jak to, bądź zdrow?
KAROL. Jęków nienawidzę.
Idź zatem w swoją stronę a ja pójde w swoją.
- BURMISTRZ. To być nie może.
- KAROL. Czemu?
BURMISTRZ. Bo się zostać boję.

Pełno wilków i lisów włóczy się po borze,
Człowiek nie jest bezpiecznym, życie stracić może.
A jak zginę...

KAROL. I cóż stąd?

BURMISTRZ. Piękne zapytanie.

KAROL. Niewdzięcznych nie chcę bronić.

BURMISTRZ. O, łaskawy panie!

(*pada na kolana*).

Miěj wzgląd na moję godność, co przed tobą znika,
Zlituj się... gardź osobą, ratuj urzędnika;
Nie opuszczaj w těj puszczy bliźniego w niedoli.
KAROL. Dobrze, zadość uczynię jeszcze raz twęj woli;
Lecz nie chcę jęków słyszcć, posłuszeństwa żądam,
I niech na twarz ponurą więcėj nie poglądam.
Bądź wesół... Kto wie, może ręka przeznaczenia
Mierne twe powołanie na chwalebne zmienia,
Może przypadkiem drogę znalazłeś do sławy.

BURMISTRZ. Obym znalazł do domu.

KAROL.

Lecz z całej wyprawy
To mnie martwi, *Pedrilla* żem musiał zostawić.
Osobno zamkniętego nie mogłem wybawić;
Lecz go jutro uwolnię w jakim bądź sposobie.
A teraz, mój burmistrzu, odpocznijmy sobie. (*siadają*).
(*po krótkim milczeniu*).

Powiedz mi, bo najlepiej noc spędzim w rozmowie,
Czy kochałeś się kiedy?

BURMISTRZ.

Ej, gdzie mi to w głowie!

KAROL.

Dawniej...

BURMISTRZ.

Nigdy, nie dla mnie to czucie szalone.

KAROL.

Więc nie żonatyś?

BURMISTRZ.

Owszem, już czwartą mam żonę.

KAROL.

Czteryś razy się żenił, razu nie kochałeś,
Cztery razy więc w życiu już siebie sprzedałeś.
Nie kochać! o człowieku jedyny w naturze!
Ach, gdybym był to wiedział, byłbyś został w dziurze.

(*śpiewa*).

Święty ogień, dar bogini,
Co się w duszę wkrada skrycie;
Co nam niebem ziemię czyni,
Co uświetnia krótkie życie!
Kto go nie zna, nie posiada,
Biada temu, biada, biada!

Przez miłości boskie tchnienia,
 Szczęście, rozkosz, przyszłość cała,
 W tę osobę się przemienia,
 Co się wdzięcznie nam rozśmiała.
 Ach, to czucie, kim nie włada,
 Biada temu, biada, biada!

Nawet troska i cierpienie
 Miłym żalem duszę pieści;
 Łza miłości i westchnienie
 Krocie słodycz w sobie mięści.
 Ach, kto hołdu jej nie składa,
 Biada temu, biada, biada!

(podczas gdy Karol śpiewał, burmistrz usnął).
 Usnął, widzę, przy śpiewu melodyjnym tonie,
 Sapie, chrapie i dmucha, jak przy czwartej żonie.
 Zemszczę się nad nieczułym... samego zostawię,
 Skryty, cieszyć się będę, widząc go w obawie. *(odchodzi).*

SCENA II.

BURMISTRZ, MICHAŁ.

*(w ubiorze kobiecym; później) KAROL.*MICHAŁ *(za sceną).*Co za gąszcz, co za pniaki! *(na scenie).*

Ha przecież i droga.

Lecz dokąd się obrócić? dokąd? o, dla Boga!

Gdzie mam iść, gdzie uciekać, czy w prawo czy w lewo?

Każdy krzak dla mnie wilkiem, wrogiem każde drzewo;

Co za strach! drzę... trzęsę się.. las się trzęsie ze mną,

Lepsza noc najciemniejsza, bo kiedy jest ciemno...

(Burmistrz przebudzony ziewa)

MICHAŁ.

He!

BURMISTRZ.

He?

MICHAŁ.

He?

BURMISTRZ.

Co?

MICHAŁ.

Coś gada!

BURMISTRZ.

To nie on!

MICHAŁ.

Coś gada...

BURMISTRZ.

Don... Ka... Karolu!

MICHAŁ.

Aj, coś! czy nie upiór!

BURMISTRZ.

Biada!

T R I O.

BURMISTRZ, MICHAŁ.

Gdy nas bojaźń ogarnie,
O, jak przykre męczarnie:
Nim zwolna przeminie,
Wiek cały w godzinie!

Nie widać słońca,
Ta noc bez końca!
Zbliż się, zbliż, dniu drogi,
I wybaw mnie z trwogi!

MICHAŁ.

Czy kara boska, czy co! jak stał tak i stoi.

BURMISTRZ. Ani się ruszył... *(chrząka)*.

Stoi.. brr... nie się nie boi.

MICHAŁ. Jak warczy... niema żartu... on się do mnie chwyci.

BURMISTRZ. Na mnie tylko czatuje.

MICHAŁ.

Jak oczyma świeci.

Drapnę, albo co? drapnę... niema czego czekać!

BURMISTRZ. Niema czemu dowierzać i lepiej uciekać.

*(puszczają się wraz w jedną stronę i wnet wracają; ale już bliżej siebie,
tyłem obróćeni)*.

MICHAŁ. Otóż masz!

BURMISTRZ.

Wszak mówiłem!

MICHAŁ.

Zlituje się może.

BURMISTRZ. Jeśli nie czuła prośba, to nic nie pomoże. *(na kolanach)*.

Zlituj się...

MICHAŁ *(także na kolanach)*. Ach, zlituj się, ratuj!BURMISTRZ *(wstając)*.

Co? ratować!

MICHAŁ *(udanym głosem)*.

Nie chciéj nieszczęsną panią zabijać, mordować,
Wielkie są cnoty moje, wielkie urodzenie;
Lecz mnie dziś w awantury pełnęło przeznaczenie,
Jeśli walczysz za ludzkość i godło masz w duszy,
Niech cię moja najczystsza niewinność poruszy.
Ja, płeć piękna, w niedoli do ciebie się tulę,
Lituj się, bo gdy serca twego nie rozczulę,
Ach! któż przed srogim losem zdoła mnie zasłonić?

KAROL *(występując)*. Ja!MICHAŁ *(na stronie)*. O, dla Boga, mój pan!

KAROL.

Ja cię będę bronić;

O, nie lękaj się pani, los przyjazny tobie

Obronę ci...

MICHAŁ.

I dyabła!

KAROL.

Zesłał w méj osobie.

Zaufaj mi... Ktokolwiek twym ciemnięzycielem,
Jeśli gnębi niewinność, jest mój zemsty celem.
Zwierz mi twoje nieszczęścia, wskaż mi tylko drogę,
Którą i oswobodzić i pomścić cię mogę. (*do burmistrza*).
Ciesz się, ciesz się, burmistrzu!

BURMISTRZ. Cieszę się i bardzo.

KAROL. Ciesz się, naszą usługą, jak widzę, nie gardzą,
Teraz pora dla cnoty zwyciężyć lub zginąć!

BURMISTRZ (*do siebie*). Nie, ten człowiek szalony.

MICHAŁ (*do siebie*). Jak tu się wywinąć?

KAROL. Znam go dobrze... i mówię i milcząc się boję.

Odkryj nam tajemnice i nieszczęścia twoje.
Pewnie srogi opiekun lub młoda macocha
Broni ci kochać tego, który ciebie kocha?
Lub okrutna rodzina majątku łaknąca...

MICHAŁ. Ach!

KAROL. Klasztor ci przeznaczą, za kraty cię wtrąca,
Gdzie na powabów życia zamkniętym już grobie,
Znudzona dusza wieki w każdej żyje dobie?

Lub też zuchwalec jaki, bogacz posiwiwały
Pieniędzmi chce zastąpić miłośne zapaly,
I mimo twojej woli, co się często zdarza,
Ujęty twą pięknnością ciągnie do ołtarza?
(*po krótkim milczeniu bierze za rękę*).

Cóż?... O, jak drży ta rączka! (*całując*).

Rączka luba, mała.

O, przysięgam! nie ścierpię, by się jego stała!
Lecz czemuż ta zasłona?

MICHAŁ (*do siebie*). Jak na szpilkach stoję.

KAROL. Ach, czyż się boisz zdrady?

MICHAŁ (*na stronie*). Ach, guzów się boję.

KAROL. Powiedz, jakieżto smutek duszę twoję rani?

MICHAŁ (*do siebie*). Żeby się jako wymknąć!

KAROL. Kto więc jesteś, pani?

Twoje imię?

MICHAŁ. Ach! imię...

KAROL. Tak, imię.

MICHAŁ (*po krótkim myśleniu*). Palmira.

KAROL. Dobrze, a familijne?

MICHAŁ (*do siebie*). A to mnie przypiera! (*głośno*).

Nie, nie, nie mogę... bądź zdrow.

KAROL. Wzgardzasz memi chęci?

MICHAŁ (*do siebie*). Wspierajcieże mój zamiśl, o wy wszyscy święci!

- KAROL. Niebaczna! sama lecisz na nowe przygody.
- MICHAŁ. Ach, słabo mi! ach, mdleję! spazma... wody... wody!
(*upada na ręce burmistrza*).
- KAROL. Przebóg! zemdlala... ratuj! nim powrócę z wodą,
Ratuj! jój wdzięczny uśmiech będzie ci nagrodą.
(*odchodzi*).
- BURMISTRZ. Żeby cię razem wszyscy... temu końca niema
Z jednej do... Co za ciężar! a któż go utrzyma!
Mało dziesięć centnarów... ledwie ruszyć mogę.
(*kładzie pod drzewem*).
- Panno! trzeźwij się sama, ja ci nie pomogę.
(*staje na prodzie sceny, tyłem do Michała*).
- O, nocy pełna zgrozy, czyż już nie masz końca?
Z przygód lecać w przygody, nie doczekam słońca!
- MICHAŁ (*z tyłu zachodząc, chwytając burmistrza za głowę; potem ściąga na oczy szlafmycę i mówi swoim głosem*).
Stój! drzyj! milcz! jedno słowo, a będziesz bez ducha!
Dziesięć kul wnet ugrzęźnie w głębi twego brzucha!
(*udając głos kobiety*).
- Ach, niestety! ach, przebóg! biednaż ja dziewczica!
(*swoim głosem*).
- Bierzcie! niech was jój piękność dłużej nie zachwyca.
(*innym głosem, uderzając burmistrza po ramieniu*).
- Tego zabić? (*swoim głosem przechodząc na drugą stronę*).
- Nie jeszcze! zostań, przyjacielu,
Miej strzelbę w pogotowiu, trzymaj go na celu;
Jeśli ruszy choć palcem, niech zaraz umiera! (*odchodzi*).

SCENA III.

BURMISTRZ, KAROL.

- BURMISTRZ (*w miejscu, gdzie stał stół, pada na kolana*).
Pardon! (*Karol nadchodzi z wodą*). Pardon!
- KAROL. Cóż to jest?
- BURMISTRZ. Pardon!
- KAROL. Gdzież Palmira?
Palmira gdzie, czy słyszysz? a cóżto do kata!
Paraliż, oniemia, czy rozumu strata?
(*podnosi mu szlafmycę*).
- No!.. cóż?... he?... a gadajże! (*lejąc wodę w oczy*).
- BURMISTRZ (*wstając*). Czy nie jestem ranny?
- KAROL. Gdzie?
- BURMISTRZ. Tu.
- KAROL. Nie.
- BURMISTRZ (*oglądając się*). Chwała Bogu... niema ciężkiej panny?

- KAROL. Ja cię się pytam...
- BURMISTRZ. A ten co na celu trzyma?
- KAROL. Wytlómacz się, prócz nas dwóch, nikogo tu niema.
- BURMISTRZ. Musiał uciec: ach panie, co się tutaj działo!
Ledwie odszedłeś, dziesięć, gdzie tam, dziesięć mało,
Dwadzieścia wpadło na mnie zbrojnego żołnierza
Raz, dwa, trzy, każdy strzelbę do brzucha mi zmierza,
Rzecz nie mała... struchlałem, aż tu dwóch przyskoczy
I zatykają naraz i głowę i oczy.
Stój, drzyj, milcz! wszyscy wrzaśli, bo jak palcem kiwniesz,
Sto kul zaraz cię trafi, tak, że ani ziwniesz!
Pannę także chwyтали tęgo i zażarcie.
- KAROL. Przebóg!
- BURMISTRZ. Jeden zaś przy mnie został się na warcie,
Nawet pono wystrzelił.
- KAROL. W którąż uszli stronę?
- BURMISTRZ. A, Bóg to raczy wiedzieć.
- KAROL. Wszystko więc stracone!
- BURMISTRZ. Nie wiem, kto jój tyranem, gdzie miejsce niewoli!
- BURMISTRZ. Szkoda.
- KAROL. Nie będę w stanie wyrwać ją z niedoli,
Ujdzie karzącej ręki złoczyńca zuchwały.
Ach, i dziwić się dziełom nie będzie świat cały!
- BURMISTRZ. Aj, aj.
- KAROL. Cóż tam?
- BURMISTRZ. Ktoś idzie!
- KAROL. Prawda, jakieś głosy.
Może ją powracają przyjazne nam losy.
Usuńmy się na stronę... i zważajmy pilnie
(*odchodzą w głąb sceny*).

SCENA VI.

CIŻ (*w głębi*) I WIEŚNIACZKI.

- PIERWSZA WIEŚNIACZKA. Ostrożnieże w tym lesie, trzymajże ją silnie.
- KAROL (*do burmistrza*). Trzymaj? słyszysz, to ona!
- DRUGA WIEŚNIACZKA. Trzymam z całej mocy.
- TRZECIA WIEŚNIACZKA. Jak raz jeszcze ucieknie, wśród lasu i nocy,
Już jój więcej nie złapiesz.
- PIERWSZA WIEŚNIACZKA. Związać ją potrzeba.
- DRUGA WIEŚNIACZKA. Zaczekajcie trochę!
- KAROL (*w głębi*). Wiąza ją, o nieba!

- PIERWSZA WIEŚNIACZKA. I, lepiej czekać; może nadejdą chłopaki,
Nie zastąpi nam drogi przecie ladajaki.
Jonek za Kasią śpieszy, nadbiegnie za chwilę.
- TRZECIA WIEŚNIACZKA. I weselęj iść razem i strachu nie tyle
- DRUGA WIEŚNIACZKA. Prawdziwe tóż z was baby, boicie się lasu.
Nikt tu w nim nie zaginął od dawnego czasu.
Taś i chata leśnego ledwie o stajanie..
Ale nie lękajcie się, nie nam się nie stanie:
Chodźmy, nie traćmy czasu.. nie siedzmy do
(*zbierają się*). [rana.]
- KAROL (*do burmistrza*). Słyszysz?
- BURMISTRZ. Słyszę głos kobiet.
- KAROL. Wszystko rzecz udana:
Baba, chłop, Jonek, a ta chata blisko
Nie co, tylko okropne tyrana zamczysko.
(*zastępując drogę odchodzącym*).
Stójcie!
- BURMISTRZ (*chowając się za niego*).
Złóćcie broń!
- KAROL. Stójcie, obrzydłe poczwary!
- BURMISTRZ (*chowając się za niego*). Złóćcie broń!
Gdzież jest? gdzież jest? nie ujdziecie kary!
- KAROL. Mówcie, gdzie jest nieszczęсна?
- DRUGA WIEŚNIACZKA. Czego się tak pchacie,
Wszak ich dwóch a wy młode, i kułaki maciel
Puśćcie ją zaraz!
- KAROL. O, wéj!
- DRUGA WIEŚNIACZKA. Lecz gdzież jest ukryta?
Puśćcie!
- DRUGA WIEŚNIACZKA. Nie puszczę!
- KAROL. Musisz!
- DRUGA WIEŚNIACZKA. Nie puszczę, i kwita!
- KAROL. Rozwiążcie ją natychmiast.
- PIERWSZA WIEŚNIACZKA. Tak, żeby uciekła.
- KAROL. Jakiem prawem więzecie, zwolennicy piekła!
Jakiem prawem bezczelna wstrzymuje ją siła?
- DRUGA WIEŚNIACZKA. Prawem, bo moja.
- KAROL. Twoja!
- DRUGA WIEŚNIACZKA. Moja, bom kupiła.
- KAROL. Może i przedasz?
- DRUGA WIEŚNIACZKA. Jużci, jak mi kto zapłaci.
- KAROL. Gdzieżto jestem? o nieba! jestżem wśród współ-
braci?

Cóżem słyszał! Niepomni i Boga i enoty,
Możecie się dopuszczać podobnej sromoty!
Ludźmi frymarczył!

WIEŚNIACZKI.

Ludźmi?

KAROL.

Na to nie zezwolę!

Nie przedacie Palmiry... skończę ję niewolę!

WIEŚNIACZKI (*razem*). Papiery!

PIERWSZA WIEŚNIACZKA.

Ta to waryat!

DRUGA WIEŚNIACZKA.

My tego nie znamy.

KAROL.

Próżne wasze wykrety, wiary im nie damy.

Słyszałem, coście z sobą tu idąc mówili:

„Trzymaj ją dobrze!” wszak tak?

PIERWSZA WIEŚNIACZKA.

A tak!

KAROL.

A. po chwili:

„Trzeba ją związać.”

PIERWSZA WIEŚNIACZKA.

Prawda.

KAROL.

Gdzież się więc ukrywa?

Gdzież jest? mówcie poczwary; gdzież jest nie-
szczęśliwa?

DRUGA WIEŚNIACZKA. W kobiałce.

KAROL.

W kobiałce? kto?

DRUGA WIEŚNIACZKA.

Gęś.

KAROL I BURMISTRZ.

Gęś?

WIEŚNIACZKI (*razem*).

Gęś.

KAROL (*po długim milczeniu*).

Co słyszę!

BURMISTRZ.

O tój gęsi rozdziału pewnie nie napiszcie.

PIERWSZA WIEŚNIACZKA. Wyszłyśmy w nocy, żeby w mieście stanąć
zrana,

Aż tu nam taki kłopot dała gęś związana.

Ale pono Waszmoście chcieli sięgnąć po nią?

Szkoda, że i kobiety czasami się bronią.

KAROL (*na stronie*).

Co za wstyd...

BURMISTRZ.

Dzięki Bogu, że dał koniec taki.

WIEŚNIACZKI (*razem*). Patrzcieno, jak się wstydzą, jak stoją junaki!

· Ś P I E W .

WIEŚNIACZKI.

To junaki, to mi śmiałki,
To mi zuchy do kobiałki!

KAROL.

O przekłęcie!

Razem.

BURMISTRZ.

O wybornie!

WIEŚNIACZKI.

Co za śmiałość, w nich powstała!

KAROL.

Co za hańba!

Razem.

BURMISTRZ.

Ca za hańba!

- WIEŚNIACZKI. Na kobiety dwóch uderza,
Ha, ha, ha, ha, co za chwala!
- KAROL. Dobręj chęci uszła chwala!
- BURMISTRZ. Z tyle strachu, co za chwala!
- WIEŚNIACZKI. Dla rycerzów ha, ha, ha, ha!
- KAROL. A wstyd został dla rycerza!
- BURMISTRZ. A wstyd, hańba, dla rycerza!
- WIEŚNIACZKI. To junaki, to mi śmiałki,
To mi zuchy do kobiałki!
- KAROL. O, przekłęcie!
- BURMISTRZ. O, wybornie!
- WIEŚNIACZKI. Teraz oba w naszój mocy;
- KAROL. Co za hańba!
- BURMISTRZ. Co za hańba!
- WIEŚNIACZKI. Lecz przebaczyć im wypada.
Ha, ha, ha, ha, dobrój nocy!
- KAROL. O, przekłeta ciemność nocy!
- BURMISTRZ. O, przekłeta ciemność nocy!
- WIEŚNIACZKI. Życzym wszystkie, ha, ha, ha, ha!
- KAROL. Jak zdradliwie nami włada!
- BURMISTRZ. Jak zdradliwie nami włada!
- (*Wieśniaczki odchodzą śmiejąc się*)
- BURMISTRZ. Wszak mówilem...
- KAROL. Mówileś, milcze teraz, proszę.
- BURMISTRZ. Wszakże wszystko cierpliwie i bez płaczu znoszę;
Ale zgadłem.
- KAROL. Cóż zgadłeś, rzekłeś, zrozumiałeś,
Pojąłeś? przeniknąłeś i przepowiedziałeś?
Co? co? mów!... no, co? gadaj... ale bądź mi cicho;
Bo ciebie i te baby nadesłało liecho!
Idziesz czy nie?... nie? bądź zdrow. (*odchodzi*)
- BURMISTRZ (*idąc za Karolem*). Ale idę, idę.
Ach, kiedyż Bóg łaskawy skończy moję biędę!

SCENA V.

*(Scena się odmienia. Brzeg lasu; dnieje).*MICHAŁ, (*później*) BORUTA.MICHAŁ (*jeszcze po kobiecemu, wbiega*).Ha, już telu we mnie niema, nie wiem czyli żyję;
Drżą nogi... w gardle sucho... serce mocno bije. (*siada*)

BORUTA. Któżto pobiegł tak nagle? coś się złego święci.

MICHAŁ (*do siebie*).

Jest! .. ktoś idzie .. czy dyabeł wszystkich do mnie nęci?

BORUTA (*spozstrzega Michała*).

Jakaś kobieta. (*Michał chrapie*)

Hm, hm! tak prędko uspiona!...

Ta suknia... ten... ten kornet? ta to... moja żona!

MICHAŁ (*na stronie*).

Jest... kochankam się pozbył a dostałem męża.

BORUTA (*do Michała*).

Znowu cię ta przeklęta zazdrość uciemieża;

Małgosiu! Ej, Małgosiu! po nocy, po lesie!

Powiedz, jakiż cię zły duch, jaka wściekłość niesie?

Nie śpij, Małgosiu! póki proszę!

MICHAŁ (*na stronie*).

Ej do kata!

Może ten mąż czasami żonie skórę lata!

BORUTA.

Zostawiłaś gości, dom, któż cię tam wyręczy?

Ta zazdrość w końcu i mnie i ciebie zamęczy.

Dosyć tego, Małgosiu, wstawaj... dalej w drogę!

Czy słyszysz?... A, do kroćset, już ścierpieć nie mogę.

(*Michał ucieka przed Borutą*)

SCENA VI.

KAROL, BURMISTRZ, MICHAŁ, BORUTA.

KAROL (*chwytając Borutę za kark*).

Mam cię, lotrze! Mój zemście nieba cię wydały.

BORUTA. Cóż to jest? jakto? coto?

KAROL.

Złoczyńco zuchwały!

Tyś więc to jest ów tyran tój lubój dziewicy?

Twoi to, równi tobie, podli niewolnicy

Ukradli ją przed chwilą z pod mojej obrony

I na powrót oddali w twe zbrodnicze szpony.

Ty jesteś ów opiekun bez wiary, honoru,

Który ufnosć nagradzasz kratami klasztoru!

Lub może... krew się burzy! Może, duszo dzika,

Ku nadobnej Palmirze miłość cię przenika?

Chcesz zgwałcić wstręt ku tobie i ufając w złoto,

Chcesz w twój i jój osobie zbrodnię złączyć z cnotą!

O, przysięgam na niebo, na ziemię, świat cały!

Nigdy twoją nie będzie, próżne twe zapaly. (*do Michała*)

Przysięgam, będziesz wolną i będziesz zemszczoną.

- BORUTA. Nie rozumiem... lecz to wiem, że jest moją żoną
I nikt jęj kochać, bronić i mścić nie ma prawa.
- KAROL. Palmira jego żoną!
- BURMISTRZ. Znowu próżna wrzawa.
- KAROL (*do Michała*).
Jestże tak w rzeczy, powiedz?
- MICHAŁ. O, nie, nie! broń Boże!
- BORUTA (*niespokojny*).
Małgosiu, co to znaczy?
- KAROL. Milcz!
- BORUTA. Ale...
- KAROL. Milcz!
- BORUTA. Może...
- KAROL. Ani słowa!
- BORUTA. Lękasz się...
- KAROL. Precz! (*chce odchodzić*)
- BORUTA. Wszystko przebaczę...
(*placząc ze złości*)
Małgosiu, co to znaczy?...
- KAROL. Ja ci wytłómaczę.
- BORUTA. Aj, żono droga, luba!...
- KAROL. Staję w jęj obronie.
- BORUTA. Ja bo nie chcę...
- KAROL. Przed światem twój zamiar odsłonię.
- BORUTA. Chodź, żonciu...
- KAROL. Ani kroku! przed światem ogłoszę,
Że za cnotę w ucisku zemsty podnoszę.
(*z Michałem chce odchodzić*)
- BORUTA. Gwałtu! żonę mi biorą!
- KAROL. O kroków stąd parę,
Do południa cię czekam...
- BORUTA (*do Michała*). Wspomnijże na wiarę...
- KAROL. Przynies z sobą broń równą; tam się z tobą zmierzę.
Teraz idź, albo zginiesz! (*odchodzą z Michałem*)
- BORUTA (*sam*). I żonę mi bierz!...
(*biega po scenie*)
A to miło! to pięknie! ja jęj nie porzucę.
Nie... nie... pójdę po ludzi; ale nim się wrócę?
Naco czekać południa?... nie trzeba godziny...
Zebym był... Boże! Boże! wszystko z mojęj winy.

A K T III

Pokój w domu Kasztelana; nakryto do śniadania.

SCENA I.

ZOFIA (*sama*).

(*śpiewa*)

Com widziała wśród marzenia,
Czém mnie lube sny pieściły,
Dziś w istotę się przemienia,
Wraca ten, co sercu miły!
O rozkoszy niezrównana,
Kocham wzajemnie kochana!
Łzy tęsknoty, łzy miłości!
Już nadzieja was osuszy;
Prócz dla szczęścia, dla radości,
Niema miejsca w mojej duszy!
O rozkoszy niezrównana,
Kocham nawzajem kochana!
Lećcie, chwile oddalania,
Ale potem stańcie w pędzie,
Kiedy serca uderzenia
Lube serce liczyć będzie!
O rozkoszy niezrównana,
Kocham nawzajem kochana!

SCENA II.

ZOFIA, KASZTELAN.

KASZTELAN. Dobrze, kochana Zosiu, lubię, żeś wesola.

ZOFIA. Jakże nie być, gdy szczęście postrzegam dookoła.
(*całując w rękę*)

Stryj mnie kocha jak ojciec i ..

KASZTELAN.

I Karol wraca...

Wszak to I, to ma znaczyć? Przeszłe troski, praca,
Wszystko wraz nagrodzone was obojga szczęściem,
Wszystkie nadzieje waszém spełnią się zamęciami.
Dotrzymam, co przyrzekłem bratu już przy zgonie,
Gdy cię jeszcze dziecięciem złożył na mém łonie:
Będiesz i moją córką i zawsze mi drogą.

ZOFIA. Kochać cię będą dzieci, odwdzięczyć nie mogą.

KASZTELAN. I tego tylko żądam. (*Lokaj wchodzi i oddaje listy*)
A! listy z Warszawy.

ZOFIA. Listy!

KASZTELAN. Potém czytanie, a teraz do kawy. (*siada*)

ZOFIA. O, jeszcze nie gotowa, niech stryjaszek czyta,
Jeśli... (*wstrzymuje się, i ciszej*)
chce czytać.

KASZTELAN. Pewnie mój Lubosz mnie wita
Przybyłego w te strony: dobry teżto stary,
Pocziwy!

ZOFIA. Ma stryjaszek swoje okulary?

KASZTELAN (*szuka przy sobie*)

Nie... (*Zofia wybiega*)

Nie mam, tam są pono... tam koło komina.

ZOFIA (*przynosi okulary*).

To są!

KASZTELAN. A co?

ZOFIA. Co?

KASZTELAN. Kawa! Nudzić mnie zaczyna...

ZOFIA. Już, już daję. Pan Lubosz, to człowiek jedyny,
Zawsze wie i donosi najświeższe nowiny.

KASZTELAN. Nowiny? dobrze mówisz, zobaczę w gazecie...
Ależ, kocdana Zosiu, lejesz po serwecie.

ZOFIA. Ach!

KASZTELAN. Lubię ja nowiny byle nie o wojnie:
Chciałbym, aby świat cały żył sobie spokojnic;
Ale kiedy o bitwach gazety donoszą,
To mordy, to pożogi, to zburzenia głoszą,
Ach, wtedy z cudzych nieszczęść przykra mi zabawa.

ZOFIA. Może co w liście będzie ..

KASZTELAN. Widzę, żeś ciekawa!

ZOFIA. Kochany stryju!

KASZTELAN (*bijąc się po głowie*). Aj, aj! co myślisz, łbie stary!

Jamto, Zosiu, przewinił, jamto godzien kary:

W liście jest o Karolu, a listu nie czytam

I jeszcze o przyczynę ciekawości pytam. (*czyta list cicho*)

Tak?... dobrze... wyśmienicie... pięknie... doskonale!

Nie, tegom się po synie nie spodziewał wcale!

ZOFIA. O Boże! cóż takiego?

KASZTELAN. A, już przebrał miarę...

Słuchaj, proszę cię, słuchaj; czy dasz temu wiarę?

(czyta list)

„Niedobre nowiny donieść ci muszę, kochany przyjacielu!
 „Ukończywszy zupełnie interesa względem kupna dóbr,
 „w których się teraz znajdujesz, na rzecz Karola i Zofii,
 „Ta nowa łaska...

ZOFIA.

KASZTELAN (czyta dalej). Słuchaj!

„czekałem momentu podług twojego rozkazu, aby o tém
 „uwiadomić i wysłać go do ciebie; ale tymczasem smutne
 „doszły mnie wieści, że Karol drugim stał się Don Kiszotem.
 „Byłem u niego, odpowiedział, że chce odnowić dawne
 „wne czasy rycerstwa, kiedy słabość i cnota uciemniona
 „znajdowały obronę w dzielnej młodzieży, i że chce być
 „wzorem dla świata...”

Trzeba być waryatem,

Aby chcieć świat przerobić, walczyć z całym światem.

(czyta)

„Po moich odwiedzinach pierwszego dnia, wpadł do klasztoru zakonnic, nie pomnę których, w czasie gdy jedna osoba *votum* czyniła, i mniemając pewnie, że jest przymuszoną, chciał gwałtem ją wyrwać, jak mówił, barbarzyństwu...”

Proszę. (czyta)

„Drugiego dnia chciał przez okno wyrzucić złe mówiącego o całej płci pięknej...”

Co mu do tego! (czyta dalej)

„A dowiedziawszy się, że jakiś Jegomość w najgorszym sposobie obchodzi się ze swoją żoną, wyzwiał i obciął go dnia trzeciego, a czwartego wyjechał stąd nie wiem dokąd, zapewne dla wypełnienia swoich szalonych zamiarów. — P. S. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że zawsze myśli uczciwie i Zofią szczerze kocha. Bądź zdrów. — Twój przyjaciel — Lubosz.”

ZOFIA.

On mnie zawsze kocha!

Nie gniewaj się, stryjasku, myśl jego za płocha,
 Ale serce szlachetne, wierne, dusza stała.

KASZTELAN. Widzę, żeś na przypisek tylko uważała.

Ze młodzież zwykle płocha, ma swoje przywary,
 Nie jestem zbyt surowy i patrzę przez szpary,
 Ale co taka czynność, to szaleństwo znaczy,
 I chociaż ja przebaczę, świat jej nie przebaczy.
 Nie, nie jestem surowy, znam wszystkiego miarę,
 Nawet nie w moim guście te młodziki stare,
 Te poważne młokosy, zawczesne sensaty:
 Młodość ma swoje prawa, jak wiosna ma kwiaty,

Nie lubię, gdy młodzieniec trwoźny i nieśmiały
Z dziewiczej układności poszukuje chwały,
Zawsze w sobie zamknięty, milczący, ponury,
Nie otwiera swój duszy ponętom natury;
Nawet często się zdarza, często się odkrywa,
Że z wielkiego sensata wielki głupiec bywa.

ZOFIA. Gdzie my go teraz znajdziemy? wyjechał z Warszawy.
KASZTELAN. Poco, naco, dlaczego włączyć w cudze sprawy?
Chcieć przez okno wyrzucić... i ta zakonnica... (*śmieje się*)
Ale... ale zuch chłopak, obciosał szlacheć!

SCENA III.

CIŻ I JAKÓB.

JAKÓB (*kiwa palcem na Kasztelana*).

Proszę pana na sekret...

KASZTELAN. Mój stary Jakóbie,
Całe życie sekreta: sekretów nie lubię,
I proszę cię w sekrecie, niech sekret ustanie.

JAKÓB. Jak Boga kocham, sekret, wielki sekret, panie,
Gdzieś tam w lesie jakichś chłopci połapali.

KASZTELAN. Do wójta!...

JAKÓB. Ale proszę, niech pan słucha dalej;
Boto leśniczy, panie, co karczmarzem razem,
Jeno dzień do wsi przypadł i śpiesznym rozkazem,
(*śmieje się*)

Wszystkich w las pędzi, ale... gdy biega i śpieszy,
Pada, nogę wykręca...

KASZTELAN. I to cię tak śmieszny?

JAKÓB. Otóż w tym sekret, panie, kto są ci panowie:
Bo, że na panów patrzą, widać po ich mowie;
Wprawdzie ich nie widziałem, lecz kuchmistrz powiada.
A!... i ta pani z niemi, to pani nie lada;
To jakaś tęga pani, tak krzyczy, rozprawia,
Że dworzan i gromadę w zadumienie wprawia.
Otóż więc dla odkrycia całej tajemnicy,
Obu Ichmościów razem zamknięto w piwnicy.
A tę panią... ekonom ze mną się naradził,
I ponieważ to dama, do śpichlerza wsadził.

KASZTELAN. O, gapie! takto czcicie gościnności prawo?
Idź, prosz, aby tu przysła! biegajże a żwawo!
(*Jakób odchodzi*)

SCENA IV.

KASZTELAN, ZOFIA.

KASZTELAN. Może ją jaki tutaj przypadek sprowadził,
A ten głupiec bez względu do śpiachlerza wsadził.
Wcale mi nie na rękę te nowe zdarzenia,
Jak gdybym nie miał dosyć swojego strapienia.

SCENA V.

CIŻ, JAKÓB, MICHAŁ *(po kobiecemu)*.

JAKÓB. Właśnie tu idzie. *(bierze Kasztelana na stronę)*.
Sekret.

KASZTELAN. Wraz z tobą mnie nudzi.
(przypatrując się Michałowi, na stronie)
A to co! *(do Michała)*

Proszę bliżej... za śmiałość mych ludzi...
I niegrzeczność... przeprosić... panią mi wypada.

ZOFIA. Cóż za dziwna figura!

KASZTELAN *(przypatrując się)*. Niechże pani siada...

MICHAŁ. Ach, co widzę! *(kłęka)* Ach, przebacz, przebacz Kasztelanie!

KASZTELAN. Cóż to jest? .. Michał!... Michał!

MICHAŁ. Jato jestem, panie!

KASZTELAN. A mój syn?

ZOFIA. Gdzież jest Karol?

JAKÓB. Michał, czy szalony!

MICHAŁ. Razem go ze mną chłopci przywiedli w te strony.

ZOFIA. Tu jest, tu Karol, śpieszę...

KASZTELAN. Zatrzymaj się, proszę.

Cośto w tém niedobrego być musi, jak wnoszę.

Zaczóż, poco was wzięto? jak lotrów, jak zbiegów.

MICHAŁ. Czy mam mówić z początku?

KASZTELAN. Tylko bez wybiegów.

MICHAŁ *(odchrząknąwszy, po krótkim milczeniu)*.

Jeszcze pan był dziecięciem...

KASZTELAN. Tegom nie ciekawy.

Chcę od wyjazdu z miasta wiedzieć wasze sprawy.

MICHAŁ. Ledwieśmy za warszawskie wystąpili mury,
Jechał mój pan na bryczce smutny i ponury,
Ja na koźle milczałem, on nie mówił słowa,
Aż się nareszcie nasza skończyła rozmowa.
Spałem... woźnica chrapał a wychudłe szkapy,
Niepomne na głos pana, na jego harapy,

Co krok się potykając, szły z głową spuszczoną
 I zdały się przejmować myśl naszą strapioną:
 Wtém z rowu jakiś hałas przeraża nam uszy,
 Strach nam i dzwoni w zęby i włata do duszy,
 Aż tu jakiś dziwotwór w powietrze się wzbija,
 Skrzydła czarne, dziób groźny, w troje zgięta szyja,
 Nie czapla, i nie jastrząb, i nie kaczor dziki,
 Okropna jego postać, okropniejsze krzyki,
 Wtedy pan chwytą strzelbę, mierzy, spuszcza, strzela
 I obrzydłą poczwarą drogę nam zaściela,
 A przelekle rumaki, co jak martwe były,
 Nagle z miejsca ruszając... kłusem się puściły.
 Ale wśród tój przygody oś, niestety, pryska
 I wszystkich nas trzech razem o sto kroków ciska.
 Wszyscyśmy razem wstali, konie się wstrzymały,
 I tak się przecie skończył ten przypadek cały.

KASZTELAN. Gadał, gadał i gadał, i cóżes wygadał?

Któż cię o takie głupstwo i szaleństwo badał?

MICHAŁ. Zaraz będzie ciekawsze; dopiero zacząłem.

Teraz o bitwie.

KASZTELAN I ZOFIA.

Bitwie!

MICHAŁ.

Tak, pod Ryczywołem.

Gdyśmy już przejechali ryczywolskie śmiecia,
 Przy drodze nad żeńcami stał jakiś z waszecia:
 Kurta, was tęgi, w ręku boćkowskie narzędzie,
 Którém nadto gorliwie błogosławił wszędzie.
 „Wszyscyśmy ludzie równi przed światem i Bogiem,
 „Nie dajcie się ciemżyć, naganiać batogiem,
 „Skropcie dwakroć tyrana, kiedy on was kropi!”
 Mówił mój pan w zapale. Rzucili się chłopci,
 A że grzbiet ekonoma,— rzecz dla nich łakoma,
 Łupu cupu, ten i ów... zbili ekonoma.
 Ale...

KASZTELAN. Głupiś i głupiś; nie ciekawym boju.

Mów, co Karol tu robi i ty w takim stroju?

MICHAŁ. Widząc się zawsze z panem w życiu jak na brzegu,

Zbłądziwszy w nocy z drogi, uciekłem z noclegu;

A że zawsze o pasport pytają w stolicy,

By się łatwiej przemycić, wlażłem do spodnicy.

Ale, gdy w mój ucieczce tłuę się po lesie,

Za mną jakies złe licho pana mego niesie

I ledwiem mu się wymknął. znowu mnie dogonił;

Lecz tą razą szczęśliwie, bo grzbiet mój ochronił

Od kogoś, co mym mężem chciał zostać koniecznie;
A żem nie chciał być żoną, stawił mu się sprzecznie,
Wyszli chłopci, jak raniemam za jego rozkazem
I tu mnie zaprosili z moim panem razem.

KASZTELAN. Poznałże cię Karol?

MICHAŁ.

Nie.

KASZTELAN.

Czy wie, że jest u mnie?

MICHAŁ. Nie.

KASZTELAN. Z tym paniczem trzeba postąpić rozumnie.

(po krótkim myśleniu)

Dobra myśl... Chodźcie, wszystkim porozdaję role.

ZOFIA. Ja wolę pójść do niego.

KASZTELAN.

Ja poprawić wolę. *(odchodzą)*

(Scena się odmienia; piwnica)

SCENA VI.

KAROL, BURMISTRZ.

BURMISTRZ. To zgroza! co krok koza.

KAROL.

Smutne przeznaczenie:

Za najlepsze zamysły, hańba i więzienie.

Niczem więc będą moje najświętsze zamiary.

BURMISTRZ. Lecz ktoś panu dał władzę i sądu i kary?

KAROL.

Tak wrodzony wstręt zbrodni, jak i miłość cnoty.

BURMISTRZ. Powinnyby przekonać dzisiejsze kłopoty,

Jak próżny taki zamiar... Cóż zrobionem było,

Coby więcj na chlubę, niż śmiech zasłużyło?

Ja pierwszy, człowiek słuszny, szanowny z urzędu,

Stałem się dziś ofiarą szaleństwa i błędu.

SCENA VII.

CIŻ I SŁUGA.

SŁUGA. Który z panów Burmistrzem?

BURMISTRZ.

Ja, ja, ja! cóż powiesz?

SŁUGA. Proszę z sobą.

BURMISTRZ.

A po co?

SŁUGA.

Zaraz się pan dowiesz.

BURMISTRZ. Wolałbym jednak razem...

KAROL.

Nie bój się, idź śmiało:

Zaświadczę, żeś jest niczem albo bardzo mało.

SCENA VIII.

KAROL (*sam*), (*później*) ZOFIA (*za sceną*).

KAROL. Jednak dobrze powiedział... Tęj nocy wyprawy
Przyniosły wstydu wiele a najmniejszej sławy:
Jak włóczęga, napastnik, prawnie oskarżony,
Będę musiał się zniżyć do słownej obrony.
Wzbiłem się wprawdzie śmiało nad zwykłe koleje,
Lecz sam się teraz pytam, działał czy szaleję?

ZOFIA (*śpiewa za sceną*).

D U M A.

Jak błysnięcie w nocy ginie,
Jak głos fletu wiatr przewieje,
Jak schnie rosa na drzewinie,
Tak zaginę me nadzieje!
Czemuż do mnie nie powraca?
Któż go kochać będzie tyle!
Ach, zapomniał dawne chwile,
Niewdzięcznością mi odpłaca.

KAROL. Nieba! co słyszę! ten głos, te słowa, o nieba!

ZOFIA (*śpiewa*). Jak nie wróci dzień, gdy minie,
Zgasła iskra nie zatleje,
Jak łza czysta, co wypłynie,
Tak nie wrócą me nadzieje!

Ach już do mnie nie powróci
Ten, którego Kocham tyle!
Już zapomniał dawne chwile,
Ach, on życie moje skróci.

KAROL. Tak, to jęj głos... jęj słowa, czyż mi więcję trzeba?

(*śpiewa*) Jak świat codzien zorza budzi,
Jak się wiosna co rok śmieje,
Jak jest miłość szczęściem ludzi,
Tak niemylnie twe nadzieje.
Twój kochanek w każdęj dobie,
Jak kochanym, kocha tyle,
Nie zapomniał dawne chwile,
Wróci, wróci żyć przy tobie.

SCENA IX.

KAROL, SŁUGA.

KAROL. Gdzież, gdzież jest? wszakto ona... mów... powiedz choć słowo!
SŁUGA. Kto?

KAROL. Zofia, Zofia, niepojętna głowo!

SŁUGA. Nie wiem.

KAROL. Któż śpiewał?

SŁUGA. Nie wiem.

KAROL. Któż panem tój włości?

Gdzież jestem?

Nie wiem.

SŁUGA.

KAROL.

Głupis.

SŁUGA.

KAROL.

Nie wiem.

Cierpliwości!

O, święta cierpliwości, wspieraj mnie w tój dobie.

(*dobywa sakiewkę i daje służącemu*)

Na... masz... tylko mnie słuchaj.

(*szuka jeszcze koło siebie pieniędzy*)

Weż, co mam przy sobie,

Pozwól tylko, bym wyszedł, bym mógł ją zobaczyć,

(*do siebie*)

Może zechce wysłuchać, i raczy przebaczyć:

Wyznam jój moje błędy, do nóg się jój rzucę... (*do sługi*)

Przysięgam ci na wszystko, sam się zaraz wrócę.

(*do siebie*)

Cierpliwie znosić będę nieprawę więzienie,

Bo mnie głos jój umocni, ożywi wejrzenie.

SŁUGA (*oddając list*).

List.

KAROL.

List? od kogo?

SŁUGA.

Nie wiem.

KAROL (*czyta*). „Chciałeś mnie ratować w nieszczęściu. Miłość wzajemna, jako nagroda, czeka na ciebie. Za twoją miłość, miłość i wolność cię czeka. Oddawca tego biletu, będzie twoim przewodnikiem. — Palmira.”

Co! miłość mnie czeka?

Cóżto? kto chce ratować, czy miłość przyrzeka?

Nie, idź, powiedz... Ale nie... Ty mnie masz prowadzić?

Ja.

SŁUGA.

KAROL.

Chodźmy... będąc wolnym, wszak łatwiej poradzić.

SŁUGA.

Lecz pierwej oczy chustką kazano zasłonić.

KAROL.

Naco?

SŁUGA.

Nie wiem.

KAROL (*po krótkim myśleniu*). Zezwala, kto nie może wzbronić.

(*sługa zawiązuje mu oczy i wyprowadza, scena się odmienia; pokój w domu Kasztelana*).

SCENA X.

KASZTELAN, ZOFIA, BURMISTRZ, JAKÓB.

KASZTELAN (*do Burmistrza*).

Waćpan, panie Burmistrzu, idź, wracaj do domu
I nie mów o przygodach téj nocy nikomu;
Bo każdy pewnie powie: młody godzien kary,
Lecz można mu przebaczyć; ale kiedy stary...
Rozumiesz?

BURMISTRZ.

Milczéć będę i twa łaska, panie,

W mojej czulej pamięci na zawsze zostanie. (*odchodzi*)

ZOFIA.

Lecz go bardzo, stryjaszku, dręczyć się nie godzi.

Szybszałeś, jak mnie kocha...

KASZTELAN.

Cicho, już nadchodzi.

SCENA XI.

KASZTELAN, ZOFIA, KAROL, MICHAŁ (*po kobiecemu; oknem włożą*).KAROL (*w oknie*). Ale gdzież nasz przewodnik?MICHAŁ (*w oknie*).

Wiem już dalej drogę.

(*już w pokoju*)

Ach! czy tylko mnie kochasz?

KAROL.

Teraz przejrzyć mogę.

(*zdejmuje chustkę z oczów*) Cóż to jest?

KASZTELAN.

Dół na wilka.

KAROL.

Zofia! mój ojciec!

KASZTELAN. Potrafiłem nareszcie twoich sprawek dociec.

Do tegożto dażyły wszystkie twoje dzieła?

Tażto jest piękność, która twą duszę zajęła?

Wielkie muszą być wdzięki, wielkie jéj powaby,

Kiedy, aby cię wstrzymać, honor był za słaby;

Tak honor... boś bezwstydnie złamał słowo dane,

Aby wolno zamiary spełniać wyuzdane.

Miłość Zofii miałaś, szczęście cię czekało;

Lecz nie mogłeś ich cenić, boś ich godzien mało.

Zapomniałeś, coś winien i światu i sobie,

Zapomniałeś i ojca, co wszystko miał w tobie.

KAROL.

Ach, ojczu, ojczu, słuchaj!

KASZTELAN.

Cóż ta skrytość znaczy?

(*odslania Michała*)

Niechże i moje oko tę piękność zobaczy.

KAROL.

Co! Michał! A hultaju! ty śmiałaś mnie zwodzić?

MICHAŁ (*klęka*). Nie zwodzić chciałem, tylko siebie oswobodzić:

Wyznam wszystko.

- KAROL. Nie mogę gniewać się w tej chwili.
Wstań... przebaczam ci... Oby i mnie przebaczyli!
Lecz w kimże znajdę dla mnie uczucie łaskawsze?
(do Zofii)
Tak, ty... ach, ty Zofio, którąm kochał zawsze,
Ty przebaczysz, Zofio?
- ZOFIA. I możesz się pytać?
Ty, coś tak niegdyś umiał w moich oczach czytać!
Nigdy ciebie nie winiąc, nad sobą płakała,
Żem tak mało twe serce pozyskać umiała;
Lecz tu, tu przebaczenia błagajmy oboje.
- KAROL (na kolanach).
Tak, u nóg twoich, ojcze.
- KASZTELAN. Wstańcie, dzieci moje.
Karolu, łatwo ojciec przebłagać się dając:
Uciecha jego dzieci szczęściem mu się staje,
Lecz pamiętaj, pamiętaj, Don Kiszocie nowy,
Że dawne myśli trzeba wyrugować z głowy.
- KAROL. Tylko daleki od was mogłem zbłądzić z drogi.
- MICHAŁ. Jeśli na nowe boje przestąpię te progi,
Niech od dziś dnia kobietą na zawsze zostanę.
- KASZTELAN (biorąc Zofię za rękę).
Weź z rąk moich jój rękę... serce ci już dane,
Jesteś kochanym... kochaj... i nie pragnij wiele,
A rzeczywiste szczęście otrzymasz w udziale.

F I N A Ł.

Nie szukajmy wśród marzenia
Szczęścia, co się stokroć zmienia,
Jak cień własny nas uwodzi,
Gdy go gonim, to uchodzi!
Między swemi,
W swojej ziemi,
Żyjmy zgodnie
I swobodnie!
Tylko miłość, stałość, enoty,
Mogą wrócić nam wiek złoty!

L I S T.
KOMEDYA *)
W JEDNYM AKCIE, WIERSZEM.

Pokazuje, że może być oszukany, kto się
łatwo stracha, aby nie był oszukany.

And. Maks. Fredro.

*) Podług niemieckiej powieści: „Der unruhige Abend“.

O S O B Y,

ÓRGON, kupiec, człowiek w średnim wieku.

CELINA, jego żona.

ZOFIA, siostrzenica Orgona.

RADOST, stryj Zdzisława.

ZDZISŁAW.

Scena w ogrodzie Orgona, na przedmieściu.

SCENA I.

Noc. Księżyc świeci. Ogród otoczony murem; w głębi furтка. Po prawej stronie róg domu; drzwi, okno wysoko tak, że dostać można, drugie okno w dachu. Po lewej altana, w której siedzenie i stół. W środku drzewo.

ZDZISŁAW.

*(wskakuje przez mur do ogrodu; kapelusz na oczy nasunięty;
w płaszczu).*

ZDZISŁAW. W ogrodzie jestem, i przed domem stoję,
Ale przed czym? to wielkie pytanie.
A nuż to nie jest Orgona mieszkanie?
(po krótkim myśleniu).

Dzisiaj, przeczuwam, coś dziwnego zbroję.
Bo choć tu jest Zofia, jakże ją wyszukać?

Wołać nie można... nie wypada pukać...
Nie znam jój opiekuna, ani jego żony,

Będę więc pewnie z niczym odprawiony.

Tak... i Zofia pisze „nie zwierzę się nikomu”
(chodzi zamysłony).

Ha! sto trzydzieści ma być numer domu.

(czyta nade drzwiami spinając się i zachodząc z różnych stron).

Jeden, jest... lecz to?... pięć... nie, trzy, trzy oczywiście!

Ach, nie trzy; ośm, nie, to jest... Niech cię piorun trzaśnie!

Głupiec napisał jakby datę w liście. *(chodzi),*

Tak drobno, cienko, jak na drwiny właśnie.

Łokciowe być powinny numera na bramie,

Niech nikt oczów nie psuje i głowy nie łamie;

Przekłętę drobne numera!

Ha!... dalej w nogi, ktoś furtkę otwiera.

(odchodzi za dom).

SCENA II.

ORGON, RADOST (*wchodzą furtką*).

ORGON. Otóż i w domu. Jak miłe ustronie!
Nieprawdaż, lube; domek! co? a drzewa?
Złe kupno? powiedz.

RADOST. Kochany Orgonie...

ORGON (*ogładając się w zachwyceniu*).

Jaka spokojność!

RADOST. Niech cię to nie gniewa...

ORGON (*jak wprzód*) Co za powietrze! tylko pociąg nosem,
Al... słodycz!... rozkosz!

Nie jestem ciekawy;

RADOST. Każdy niech swoim zatrudnia się losem,
Święte dla mnie cudze sprawy...

ORGON (*nie słuchając*).

To nie miejskie wyziewy, tu odetchnąć miło,
Bodajto na przedmieściu zawsze mieszkać było!

RADOST.

Nie jestem, mówię, ciekawy,

Nie chcę twoich myśli śledzić;

Ale chciałbym jednak wiedzieć,

Czemu o wdziękach przedmieścia rozprawiasz

A o zysku ani słowa;

W ręku służących twój handel zostawiasz,

Wszakci to strata gotowa.

ORGON.

Wolę mniej zysku a więcej spokoju;

Z młodem pracowałem do krwawego znoju,

Dziś choć nie stary, ale i niemłody,

Nie dziw, że lepszéj chcę użyć wygody.

RADOST.

Niewielkie w mieście były twoje trudy,

No, i zabawy bywały nagrodą,

Ale tu poznasz, poznasz, co to nudy...

Lecz z drugiejsz strony, kto ma żonę młodą...

ORGON.

Co?... młodą żonę? i cóż stąd wynika?

RADOST.

Nic, dobrze...

ORGON.

Dobrze, ja wiem, wysmieniecie!

Ale rozumiem.. Coto za myśl dzika!

Wierzyć nie można żadnej już kobiecie?

Każda więc żona, każda ma być płochą?

Otóż ja, ja mojej wierzę.

RADOST.

Nie wątpię .. wiem, że cię kocha.

ORGON.

Kocha, tak kocha, bo jęj ufam szczerze.

RADOST.

Hm, hm, czyż się o to pytam?

ORGON.

O, wiem, co myślisz... w twoich oczach czytam:
Wiem... myślisz, że się z miasta wyniosł na ustronie
Dlatego, że zazdrośny, że nie ufam żonie
I że się boję... boję...

RADOST.

Czego?

ORGON (*zniecierpliwiony*).

Czego?... tego...

Wszak rozumiesz?

RADOST.

Nie.

ORGON

No, wszystkiego złego,

Co najczęściej stąd wypływa,
Kiedy młoda, ładna żona,
Sama sobie zostawiona
W towarzystwach ciągle bywa.
Mężatka młoda osoba,
Oczywiście się podoba,
A na trzpiotach nam nie braknie:
Nieproszony zaraz leci
Jeden i drugi i trzeci: -

(*coraz z większym zapalem i wszystko mocno giestykulując*).

Już cudzego jak wilk łaknie,
Już się skrada i przemyka,
To się skrada i przemyka,
To się sroży, to się leści,
To naciera, to unika,
To się pięknem słówkiem pieści,
Coraz wielbi wdzięki nowe;
A na męża jak na sowę,
Bij zabij, z krzykiem, hałasem,
Że mąż biedny tracąc głowę,
Jeszcze mu się kłania czasem ..

Słowem, póty się łąsi i rozczula,

I przymila i przytula;

Aż prysk... Jejmość wzdycha...

Piekło w domu... pan się gniewa...

Jak się nie gniewać u licha,

Chociażby się było z drzewa?

(*w największym zapale*).

O, gdybym schwycił gdzie takiego trzpiota,

Duszęby wydał w mym ręku niecnota;

Gniótlbym, męczyłbym, szarpałbym jak węża,

Niech wie, coto prawo męża!

- RADOST. Ależ Orgonie! cóż tobie to szkodzi?
Ciebie wszakże nikt nie zwodzi?
- ORGON (*postrzegłszy swoją niewagę, zmieszany*).
Co?... mnie... nie szkodzi. Otóż egoista!
Jakże, dobro powszechnie niczem już u pana?
(*chodzi*).
Hm! . Nikt nie zwodzi... to rzecz oczywista,
Bo ufam żonie... zazdrość mi nieznana.
- RADOST (*ziewając*). Ufasz nie ufasz, na co mnie to wiedzieć.
- ORGON. Lecz proszę cię, Radoście, wyznaj z swojej łaski,
Żem ja zazdrośny, kto ci mógł powiedzieć?
Skądże wyszła ta bajeczka?
Czyto naszego miasta wyuzdane wrzaski,
Czy może koncept z twojego miasteczka?
- RADOST. Bodajżem był rok cały jeszcze w domu siedział!
Żeś jest zazdrośny, czym słowo powiedział?
- ORGON. Ja nie jestem zazdrośny, zazdrością się brzydzę,
Nad zazdrośnego męża głupszego nie widzę.
- RADOST (*uśmiechając się*). I ja toż samo.
- ORGON. Bo jeśli zabronię...
Czego się śmiejesz?
- RADOST. Jakaś myśl szalona...
- ORGON (*biorąc go gwałtownie za rękę i na stronę odprowadzając*).
Możesz co o mojej żonie?...
(*pomiarkowawszy się, puszcza nagle rękę*).
O, to anioł, moja żona!
Anioł, powiadam, chwalić nie wypada,
Lecz rzadko która te cnoty posiada.
- RADOST (*ziewając*). O, wiem, Celina wzorem żon być może,
Ale pozwól, sąsiedzie, niech się spać położę.
Przyznam ci się, żem zmęczony;
Zbiegłem za tobą wszystkie miasta strony,
Bo nawet w twoim sklepie więcej nie wiedziano,
Tylko, żeś na przedmieście wyniósł się dziś rano,
Łażę i łażę, od bramy do bramy,
Aż cię nareszcie spotykam szczęśliwie.
O ważnych rzeczach rozmówić się mamy,
Lecz potem o tém.
- ORGON. Teraz się nie dziwię,
Co cię do miasta z domu wyruszyło;
Interes, niech i tak będzie,
Zawsze w jakimkolwiek względzie
Oglądać cię miło.

- RADOST. Chciałem ci przywieźć mego synowca, Zdzisława;
Ale takim paniczom nie w guście zabawa,
Gdzie stryj spogląda i czasem poprawi;
Jednak rad nie rad przyjedzie do ciebie,
I jeśli zechcesz, dni kilka zabawi.
- ORGON.
RADOST. Coto za wieczór! jak czysto na niebie!
Parę tygodni jak wrócił z Krakowa;
Chłopiec jak lalka, nie dla kształtu głowa,
I dobre serce, nie mogą się skarżyć,
Gdyby chciał tylko trochę więcej ważyć
Tak moje rady, jak i moję władzę.
Chcę go ożenić.
- ORGON. O, to, to, ożenić!
Ożenić chłopca jak najprędzej radzę,
Nim zacznie nadto swoją wolność cenić,
Nim się nauczy w terażniejszej szkole
Nie szukać innej chluby nad sprośną swawolę.
- RADOST. Wybrałem mu już żonę; ale panicz młody
Chce wiedzieć, kto, jak, co, i kochać się wprzód;
A ja nie chcę... To głupstwo... niepotrzebna pycha:
Jak pójdzie do ołtarza, niechaj wtenczas wzdycha.
(*Celina ze światłem wchodzi do pokoju*).
- ORGON (*wskazując na okno*).
Patrz, moja żona. Anioł! królowa! kochanie!
Coto za skarb, nie jesteś nawet pojąć w stanie.
Ach, tyle cnoty! ach i wdzięków tyle!
Idź, idź, Radoście, zostaw mnie na chwilę,
Zaraz za tobą pośpieszę,
Tylko się wprzód mem szczęściem nacieszę.
- (*Staje obrócony ku Celinie z wyciągniętymi rękoma. Radost odchodzi. Orgon poczekawszy zbliża się do okna, spina się i zagląda. Celina wstaje od stolika, przy którym pisała, i otwiera okno. Orgon staje pod drzewem*).

SCENA III.

ORGON, CELINA.

CELINA (*w oknie*).

O, witaj, chwilo, mój umysł pieszczący
Witaj! w córy Latony srebrzystej osłonie,
Twoje skrzydelko na ziemię potrąca,
Elizejską spokojność i Eteru wonie.

ORGON (*na stronie przez całą scenę*).

Hm, hm, hm.

CELINA. Wietrzyk milczy, listek nie szeleści,
 Łza czystej rosy lono kwiatów pieści,
 Z więzów poziomych uwolniona dusza,
 Tęsknym uczuciem rozkosznie się wzrusza!

ORGON (*z wrastającym nieukontentowaniem*).

Tęsknym uczuciem!

CELINA. Już czuję zbliżenie
 Tęgo, co moje wyciska westchnienie,
 Co mnie zachwyca, co mnie nad świat wznosi,
 Tak, zbliżenie, przytomność, serce moje głosi.

ORGON.

Tam do katal!

CELINA. Przybywaj w tej cichej godzinie,
 Gwiazdo! pochodnio myśli! spocznij przy Celinie,
 Niech cię całkiem obejmę, ukryję wśród łona!
 Z tobą szczęśliwa, bom z tobą wzniesiona!

ORGON (*chwyając się drzewa*). Febra mnie trzęsie.

CELINA. Czemuż zważać uprzedzenie,

Co ciasny zakres nadaje kobiecie,
 Czemuż mierząc trwożliwie zawodów przestrzenie,
 Najpiękniejszemu nie oddać się w świecie?
 Tak, uczuć moich szlachetnych nie zmienię;
 Lecz mąż poczciwy o tém się nie dowie,
 Jemu nawet to nie w głowie,
 Nic nie przeczuwa.

ORGON. Dyabła, nie przeczuwa!

CELINA. Wszelki pozór od ciebie twa żona odsuwa;
 Ach, tak być musi, kochany Orgonie!
 (*zamyka okno; siada i pisze*).

SCENA IV.

ORGON.

(*trzymając się obiema rękoma drzewa, zsuwa się aż na ziemię; słabym głosem*).

ORGON. Ach, tak być musi... (*zrywa się*). Nie widzę przyczyny
 (*chodzi coraz prędzej*).

Tak być nie musi, i to tej godziny...

Czuje zbliżenie! chce go ukryć w łonie!

Tak?... Najpiękniejszego w świecie...

I czemu się nie oddać?... Dobre zapytanie! (*prawie biega*).

I mąż pocziwy... (*śmieje się*).

No, pocziwy przecie!

Nic się nie dowie. Dowie się, kochanie,

Drogie kochanie, aniele!

Wie już nawet, wie za wiele...

Otóż to żony! oto szczęście nasze!

Gwiazda! ha, gwiazda! (*tupa nogą*).

Ja, ja ją zagaszę.

(*wolniej chodząc*).

Tylko Orgonie, nie bądź tak gorący,

Może to wszystko stało się niechcący;

Nie bądź zazdrośnym, to śmiesznie nieładnie,

Dla Boga, nie bądź zazdrośnym Orgonie!

Czasem są rzeczy, których nikt nie zgadnie,

(*prędzej chodząc*).

A zazdrość głupstwo, trzeba ufać żonie.

Zazdrość to zjadliwa żmija!

(*biega bijąc się w piersi*).

Tak się tam obwija, (*szarpiąc kamizelkę*).

Tak szarpie, tak dusi,

Drepczy, piecze, wierci, (*bijąc się w piersi*).

I tu zostać musi

Aż do samej śmierci. (*zadychany*).

Zatém, a zatém... kto zazdrośny, głupi;

Głupi, ja mówię, głupi i szalony,

Straci swój rozum, rozumu nie kupi,

(*z westchnieniem bez wzgardy*).

A żony... No, żony...

(*siada osłabiony; po krótkim milczeniu*).

Ale tak nagle, bez żadnej przyczyny,

Z dobrej, cnotliwej Celinie

Tożby się stać miało? (*z ukontentowaniem*).

Aha! ona mnie widziała, (*śpiewającym głosem*).

I figielek zrobić chciała,

Ale jęć się nie udało!

(*śmiejąc się idzie do okna i mówi jakby do Celinie głośno, dalej ciszej, ostatnią sylabę cicho*).

Wcale się nie...u...da...da... to...

Pisze! hm, pisze!... cóżbo pisać może?

(*spina się patrząc przez lornetkę*).

List... (*odskakując od okna*).

I cóż stąd? (*spina się do okna i odchodząc*).

List, głowę moję łożę...

Ale do kogo?... Czyż nie ma do kogo?
Kobiety najszcześliwsze, kiedy pisać mogą...

SCENA V.

ORGON, ZDZISŁAW.

)Orgon wchodząc do domu, postrzega skradającego się po pod mur Zdzisława, zachodzi mu drogę powoli, przypatrując się z uwagą. Zdzisław, nie mogąc uniknąć, staje. Orgon toż samo; długie milczenie, przez które patrzą na siebie nieporuszenie).

ORGON *(uchylając kapelusz).*

Dobry wieczór.

ZDZISŁAW *(podobnież).* Dobranoc.

ORGON.

Pan chodzi?..

ZDZISŁAW.

Być może.

ORGON. Noc piękna.

ZDZISŁAW.

Śliczna.

ORGON.

Jasna.

ZDZISŁAW.

Jak dzień.

ORGON.

Cicha.

ZDZISŁAW. Jak noc *(milczenie).*

ORGON.

Co?

ZDZISŁAW.

Nic.

(po krótkim milczeniu).

ORGON.

Lubię być na dworze.

ZDZISŁAW. Tak?

ORGON.

Waćpan?

ZDZISŁAW.

I ja ... *(na stronie)*

A cóż tam u licha!

Niema końca téj rozprawie. *(do Orgona).*

Dobrej nocy.

ORGON.

Wzajemnie. *(krótkie milczenie).*ZDZISŁAW *(na stronie).*

Jak stał, tak i stoi.

(odchodząc w głąb sceny).

Bodajżeś pękl!

ORGON.

Milczący.. Wygadać się boi...

Hm, hm, ale ja, ptaszku, tu cię nie zostawię;

W cudzém gniazdeczku nie będziesz mi siedział;

Zawołam ludzi... A fe! Każdyby powiedział,

Że mąż zazdrośny; fe! Niech sobie chodzi,

Pod mojm okiem nie wiele zaszkodzi.

(chodzą obydwa przy przeciwnych stronach sceny).

- ZDZISŁAW (*raptownie*). Jaki tu numer domu, mogę się zapytać?
 ORGON. I owszem... gdybym tylko mógł po nocy czytać.
 ZDZISŁAW. Więc waćpan nie wiesz?
 ORGON. Nie wiem.
 ZDZISŁAW. To dobrze.
 ORGON. Być może.
 ZDZISŁAW. Waćpan bywasz w tym domu?
 ORGON. Czasem.
 ZDZISŁAW. O tej porze?
 ORGON. Różnie.
 ZDZISŁAW (*nagle*). I mieszkasz?
 ORGON. Mam dom w mieście.
 ZDZISŁAW. Tak?
 ORGON. Tak.
 ZDZISŁAW. Ładnie.
 ORGON. Któż tu mieszka?
 ZDZISŁAW. Właściciel.
 ORGON. Resztę każdy zgadnie;
 ZDZISŁAW. Dobra odpowiedź.
 ORGON. Dobra?... to! dobrze.
 ZDZISŁAW. Wybornie.
 ORGON. Cieszy mnie to.
 ZDZISŁAW. Lecz wolnoż spytać się pokornie;
 ORGON. Pan, tak zwany właściciel, sam zajął mieszkanie?
 ZDZISŁAW. Sam, z rodziną.
 ORGON. To jest?
 ZDZISŁAW. On, on i dwie panie.
 ORGON. Dwie? jedna żona?
 ZDZISŁAW. Żona.
 ORGON. Druga, może krewna?
 ZDZISŁAW. Tak niby. (*na stronie*).
 ORGON. Jaki bystry.
 ZDZISŁAW (*na stronie*). Orgon, to rzecz pewna.
 ORGON. Mospanie! masz dobrego we mnie przyjaciela,
 ZDZISŁAW. Zatem radzę nie czekać pana właściciela,
 Na mój honor, radzę szczerze,
 Ruszaj sobie w dalszą drogę.
 Jego czuciom bardzo wierzę,
 I dziękuję za przestrożę.
 ORGON. Jestto człowiek bardzo żywy.
 ZDZISŁAW. Żywy?
 ORGON. I jaki!
 ZDZISŁAW. To dobrze.

- ORGON. Nawet popędliwy.
- ZDZISŁAW. Oho!
- ORGON. I lubi, co ma, mieć dla siebie.
- ZDZISŁAW. Ale się dzieli w potrzebie.
- ORGON (*krzycząc co siły*). Nigdy.
- ZDZISŁAW. Proszę!
- ORGON (*wstrzymując się*).
Nie lubi, gdy kto bez powodu
Wejdzie do jego własnego ogrodu,
I tu i ówdzie jak po swoim chodzi.
- ZDZISŁAW. Nie lubi?
- ORGON. I nietylko, że nie chce, nie lubi,
Ale czasem i wyczubi.
- ZDZISŁAW (*z udanym przestrawem*).
Taki zły?
- ORGON. Zły.
- ZDZISŁAW (*jak wprzód*). Doprawdy?
- ORGON (*grożąc*). O, zły!
- ZDZISŁAW. Nie nie szkodzi.
- ORGON (*w złości*). Mospanic!...
- ZDZISŁAW. Ale cóż mu szkodzić mogą
Ludzie..
- ORGON. Dosyć, że mu szkodzą;
Zwłaszcza goście nocną porą,
Co, niech to będzie przestroga,
Nie wiedzieć skąd i jak wchodzi.
ZDZISŁAW. Jako nie wiedzieć?
- ORGON. Którędyż? proszę powiedzieć.
- ZDZISŁAW. Przez mur.
- ORGON. Przez mur? górą?
- ZDZISŁAW. Górą.
- ORRON. Tak, *sans façons?*
- ZDZISŁAW. *Sans façons.*
- ORGON (*wpół do siebie*). No proszę ja kogo,
I kontent, jakby wjechał wysadzoną drogą.
(*odsuwając się na stronę*).
Ech! jakaż mnie chętką bierze
Porachować mu pacierze!
(*do Zdzisława*).
Ale panie *sans façons*, coś sobie rad wszędzie,
Wiadomo ci pewnie będzie,
Nawet łatwe do pojęcia,
Na co są mury.

ZDZISŁAW. Na co?
 ORGON. Dla zamknięcia.
 ZDZISŁAW. Tak?... A furtka?
 ORGON. Dla wchodu.
 ZDZISŁAW. I cóż stąd wynika?
 Ze głupi, kto ją zamyka;
 Bo gdyby była otwarta,
 Po cóżbym przez mur drapał się, u czarta?
 ORGON (*wstrzymując się w złości*).
 Mój mądry panie, luby, mój kochany panie,
 Radzę ci, nie chciej zważać na te względy,
 I nim cię tutaj pan domu zastanie,
 Którędyś przyszedł, wynoś się tamtędy.
 (*Zdzisław idzie ku furtce, Orgon wchodzi do domu*)

SCENA VI.

ZDZISŁAW (*wracając*).

ZDZISŁAW. Więc to pan Orgon... tak, Orgon o życie...
 Zazdrośny, to widziałem; lecz zazdrośny skrycie,
 Tego mi właśnie trzeba. Będzie mi nie wszędzie
 I póty mi się nie zbędzie,
 Póki się za mułą do stryja nie wstawi,
 I dając mi Zofią, siebie nie wybawi.
 Jeszcze z nią razem rozważę to ściśle,
 Zresztą lepsza niż żadna, nadzieja daleka!
 Ale czegoż ja tu myślę?
 Czas ucieka,
 A Zosia może z tamtej strony czeka.
 (*odchodzi za dom*)

SCENA VII.

ORGON (*otwiera okno, mając list w ręku; wygląda*).

ORGON. Poszedł sobie przecie.
 Czeka, paniczu, tak wykwinny w mowie,
 Gwiazdo, pochodnio, najpiękniejszy w świecie,
 Ten list o wszystkim najlepiej mi powie.
 (*czyta do księżycy*)

„Księżyc, malownie cieniuąc przedmioty kwiecistego przy-

„rodzenia, zadawalniając zmysłowość i budząc wyobraźnię,
„lube tworzy ideały...”

Niech pękne, jeśli rozumiem,
A przecież po polsku umiem.

„Ale to światło ulubione, w moich oczach poblądło, nieste-
tyl bo nie świeci szczęściu naszemu. W całe mocy za-
chwytu duszy nie widzę ciebie, drogi przyjacielu!”

Piękny przyjaciel, niech go piorun trzaśnie!

„Wracam się więc w tę małą cząstkę ogromu wieczności,
„kiedy pi... pi... pijany...”

To zrozumiałe.

„Kiedy pijany rozkoszą i ujęty naiwnością duszy mojej,
„zaszczepiłeś pierwszą latorośl miłości. Przybądź ko-
„chanku...”

Już jest, już jest, wszystko jaśnie.

„Przybądź kochanku, ideale mój! spocznij [na bijącym
„sercu, gdzie tyle razy...”

Co u paraliżował co! „gdzie tyle razy!”

I to są własne mój żony wyrazy?

List nieskończony .. ale doś mi na tem.

(*trze list w rękach*).

Pokażę przed całym światem! (*żalośnie*)

Pokażę wszystkim, jak mnie zdradzają nikeszemnie!

Pokażę, żona co zrobiła. ze mnie!

O Boże! Boże! co się ze mną dzieje!

Wścickam się... szaleję...

A świat spokojny... każdy chodzi śmiało,

Jakby się najlepiej działo.

(*po krótkim milczeniu*)

Precz, trucizno! Niech w piekle cierpi ból wieczysty

Ten, co kobiety uczył pisać listy!

(*rzuca list i okno zatrzaska*)

SCENA VIII.

ZDZISŁAW, (*później*) ZOFIA.

ZDZISŁAW (*wychodząc z za rogu, dostaje listem w twarz*).

Ha! co to znaczy? coś na mnie rzucono...

Coś wielkiego... papier pono...

Otóż jest... papier, jakaś kartka, pognieciona;

To figiel Zosi... a może w obawie,

By nie wziąć za mnie samego Orgona...

Czy to ty, Zosiu?

ZOFIA (*z okienka wyższego*). Czy to ty, Zdzisławie?
Ach zaraz, zaraz; dawnom już zejść chciała,
Lecz nie wiesz, pod jakimi tu jestem oczyma.

ZDZISŁAW. Tylko odważnie.

ZOFIA. Będę próbowała,
Jeśli mnie tylko wujaszek nie wstrzyma;
Wciąż słucha, patrzy, śledzi, co ja robię;
I ty uważaj, bo tam poszedł właśnie.

ZDZISŁAW. To mój przyjaciel.

ZOFIA. Czy żartujesz sobie?

ZDZISŁAW. Nie, nie, tylko chodź; wszystko ci wyjaśnię.

(*Zofia zamyka okienko*)

List... list jakiś, czytajmy. O! la la la la la!

Szumno gorąco bilecik ulany.

Od kogo do kogo

Te strzały być mogą?

Samaze się to Jejmość tak moeno zapala?

A któżby inny! Nie do mnie pisany;

Ale że go mam w ręku, to się dobrze stało.

Zazdrośnyś, czujny, ale jeszcze mało;

Biedny, o! biedny Orgonie!

Nie pomogą tobie mury.

(*drzwi otwierają się*)

Otóż Zosia. Niech szuka, zaczekam na stronie,

Wet za wet, moja panno. (*cofa się za róg domu*)

SCENA IX.

RADOST, (*później*) ZOFIA.

(*Radost w białym szlafroku, czepku nocnym wstążką związanym, wychodząc kładzie chustkę na głowę od rosy się strzegąc i trzymając pod brodą*).

RADOST.

A, do wszystkich katów!

Tur tur tur na dół, tur tur tur do góry...

Ani wytrzymać... jak w domu waryatów.

(*Zdzisław zachodzi z tyłu na palcach, chwytając za ramiona i całuje w twarz przez ramie*)

RADOST (*zadziwiony*). A!

ZDZISŁAW (*odskakując kilka kroków w tył*).

A! (*milczenie*)

RADOST (*kłaniając się*). Dziękuję.

ZDZISŁAW (*skłaniając głowę*). Niema za co.
 RADOST (*na stronie*). Wszakcito Zdzisław! O, ladaco!
 Co on tu robi?

ZDZISŁAW (*na stronie*). Któż to?
 RADOST (*na stronie*). O tój porze.
 ZDZISŁAW (*na stronie*). Jedno straszydło po drugiem wylazi.
 RADOST (*na stronie*). Nie poznał mnie.
 ZDZISŁAW (*na stronie*). Hm! szpieg może.

(*niby do siebie głośno*)
 Niechże mi się nie narazi,
 Ja mu teraz szczerze radzę,
 Bo, na poczciwość, przez mur go przesadzę.
 RADOST (*na stronie*). Grozi, grozi, nie nie szkodzi;
 Nie takby on zaraz śpiewał,
 Gdyby się postrzegł, albo się spodziewał,
 Że tu stoi obok stryja.
 Dobrze... niech się jeszcze zwodzi,
 Mnie to wszystko dziwnie sprzyja:
 Poznam i zamiar i sposób myślenia.

ZDZISŁAW (*na stronie*).
 Do mnie wysłany... niema i wątpienia...
 Szpieg poczciwy! szpieg Orgona!
 Ale poczekaj! nieźle ucieszysz patrona:
 Sam będzie szukał, sam mnie prosić musi,
 Jeżeli go dziś jeszcze zazdrość nie udusi. (*do Radosta*)
 Waćpan zapewne jesteś z tego domu?
 Do usług.

RADOST.
 ZDZISŁAW. Gdybyś nie wydał nikomu,
 Miałbym do niego prośbę... bardzo małą.
 RADOST. Nie, nie nie wydam... proszę mówić śmiało.
 ZDZISŁAW. Ale nie zdradzisz?

RADOST. Tego nie umiem.
 ZDZISŁAW (*na stronie*). Nie umie.

(*do Radosta*)
 Będziesz więc milczał pewnie?
 RADOST. Ach, to się rozumie.

ZDZISŁAW. Jak grób?
 RADOST. Jak grób.
 ZDZISŁAW. Słowo?
 RADOST. Słowo.

ZDZISŁAW (*na stronie*). Hultaj! onby ręczył głową. (*do Radosta*)
 Otóż ta mała prośba... lecz wprzódzy zwierzanie.

RADOST. Słucham, słucham.

ZDZISŁAW. Kocham się... ale to szalenie!

RADOST. W kim?

ZDZISŁAW. W pani tego domu.

RADOST. Jakto! w cudzej żonie?

ZDZISŁAW. Dlatego też mi właśnie trzeba twój pomocy.

RADOST (*na stronie*).

Aj! aj!

ZDZISŁAW. Chciałbym z nią mówić...

RADOST (*na stronie*). O; biedny Orgonie!

ZDZISŁAW. Nie mógłbyś nam tej fraszki ułatwić tej nocy?

RADOST (*na stronie płaczącym głosem*).

Fraszki! o Boże! Boże! cóżem się dowiedział!

Bodajżem był w domu siedział!

Złajać lotra, nie pomoże...

Żle, jak zamilczę... gorzej, jak powtórzę...

Między młotem a kowadłem.

Po cóż ja tu z nieba spadłem!

Ach, na lichoż mnie to wiedzieć!

Ach, w domu mi było siedzieć!

ZDZISŁAW (*na stronie*). Jak się śmieje, jak się cieszy,

Że już siatka na mnie spada!

Już do pana myślą śpieszy,

By oznajmić, co wybada. (*do Radosta*)

Powiem nawet Waćpanu, że piękna Celina

Moje zabiegi postrzegać zaczyna;

Widzę ją w oknie każdego wieczora.

RADOST (*zatykając uszy chce odejść; na stronie*).

O, Sodoma i Gomora!

ZDZISŁAW (*zatrzymując go*).

Jakże? Chcesz mnie zostawić? A fe, to nie ładnie.

Wysłuchajże przynajmniej całą rzecz dokładnie.

RADOST (*na stronie, płaczącym głosem*).

Ach, na lichoż mnie to wiedzieć!

Ach, w domu mi było siedzieć!

Ach przyjacielu, ty przeczuwać musisz,

Dlatego tak się kręcisz i dławisz i krztusisz.

ZDZISŁAW. Gdybym był pewny twego milczenia...

RADOST (*na stronie*). Ach Boże, wybaw z tego poniżenia!

ZDZISŁAW. Pokazałbym ci dowody z jej strony.

Czytaj... znasz rękę. (*odsuwając się na stronę*)

Co czynię, szalony!

Honor Celiny... szczęście... nawet życie może
 Na moje dobro nieroztropnie łożyć? (*do Radosta*)
 Nie, mój panie, to bajka, ten list jest udany,
 Nieprawdęm mówił, byłem obłąkany.

Idź, idź, powiedz, Celina jest najlepszą żoną.

RADOST (*odchodząc*). Do nóg upadam.

ZDZISŁAW (*zatrzymując go*).

Śluchaj... I kocha Orgona.

RADOST (*odchodząc*). Do nóg upadam.

ZDZISŁAW (*zatrzymując, już bliżej domu*).

Śluchaj... wszystko, com powiedział,
 Kłamstwo, kłamstwo, rozumiesz? żebyś o tém wiedział!
 A kto na mojem nie przestałby słowie,
 Przyslij go do mnie, ja się z nim rozmówię.

RADOST (*odchodząc*). Do nóg upadam.

ZDZISŁAW (*zatrzymując, bliżej domu*).

Zaraz... jeszcze ci coś powiem:

Jeśli kiedybądź się dowiem,
 Że najmniejszej przykrości Celina doznaje;
 Jeśli jój wolność, pokój, rozrywki, zwyczaje,
 Skutkiem tej rozmowy z tobą,
 W czembądź się odmienia;
 To jak mnie widzisz przed sobą,
 Tak się łby wasze w mym ręku wylenią,
 Łeb o łeb walić, trzeć będę jak dynie,
 Aż wam szpiegostwa chęć całkiem przeminie.

RADOST (*odchodząc*). Do nóg upadam.

ZDZISŁAW (*zatrzymując, przy drzwiach*).

Powiedz, że przez swoje cnoty,
 Wdzięki, rozum i przymioty,
 Jest od wszystkich poważana,
 Szacowana, szanowana,
 I lepszego szczęścia warta.

RADOST (*wydzierając się*). Do nóg upadam. (*odchodzi*)

ZDZISŁAW (*puszczając mu rękę*). Ruszajże do czarta!

SCENA X.

ZDZISŁAW (*sam*).

ZDZISŁAW.

Zatém, zatém, mój plan za nic...
 Ale nie, względem Celiny,

Honoru nie przestąpię granic:
 Nie chcę oszczerstwem powiększać jój winy;
 Ale męża będę cieniem,
 Wszędzie mnie zoczy za każdym wejrzeniem,
 Tak, że kiedy mnie ozeni,
 Najszczęśliwszym się oceni.

SCENA XI.

ORGON, CELINA (*Orgon w płaszczu; Zdzisław ustępuje za altanę.*)

CELINA. Idziesz do miasta?

ORGON (*zimno*). Idę.

CELINA. Tak późno.

ORGON. Nie szkodzi.

CELINA. Sam.

ORGON. Nic to.

CELINA. Nie chodź.

ORGON. Muszę. (*odchodzi*)

CELINA. Pożegnać się godzi.

(*Orgon zatrzymuje się, niezupełnie ku niej obrócony; Celina biorąc go za rękę*)

Cóż tak nagłego z domu cię wygania?

ORGON. O, coś nagłego!

CELINA. I kryjesz przede mną?

ORGON. Jutro ci powiem.

CELINA. Cóż teraz zabrania?

ORGON. Czasu...

CELINA. Nie trudź się wymówką daremną:

Na to trzeba czasu mało.

Powiedzże duszko, bo się będę gniewać;

Czy ci się co złego stało?

ORGON. Że się jeszcze nie stało, pozwól się spodziewać;

Ale stać się łatwo może.

Przeto nie zrobię od rzeczy,

Gdy taką tamę położę,

Co mnie nadal zabezpieczy.

CELINA. Aj mężu, mężu, coś tu się w tém święci,

Na co szczerze westchnąć muszę;

Ja to podobono, ja to mimo chęci,

Zasmuciłam twoję duszę.

Ale dlaczegoż chcesz działać tajemnie?

Czemuż smutek kryjesz w sobie?

Spełnić twą wolę będzie mi przyjemnie,
 Wszystko, wszystko dla cię zrobić.
 Jeślim zbłądziła, jeżeli mam wady,
 Czém w twém sercu sobie szkodzę,
 Popraw otwarcie, udziel swojej rady,
 A wdzięcznością ci nagrodzę.
 Ach powiedz, mężu, co twoja Celina
 Przewinić mogła? W czém troszek przyczyna?

Wiesz mi, twoja nieufność niemało mnie boli;
 Lecz na spełnienie każdej twojej woli,
 Wszelkiego odtąd starania dołożę.

ORGON.

Kochana żono! *(na stronie)*Nie, to być nie może! *(do Celiny)*

Moja Celino, ty mnie kochasz szczerze,
 Ja muszę temu wierzyć... i ja temu wierzę;
 Bądź więc spokojna w tym względzie.
 Luba Celino! wszystko dobrze będzie,
 Ale wyjdź muszę, ty nie chodź po dworze:
 Kaszlasz trochę, rosa pada,
 Zaszkozić ci może.

Wróć się, i wiesz co, jaka moja rada?

(myśląc, co ma powiedzieć)

Nim wrócę... z Zosią nudzić się będziecie...
 Zasiądź więc sobie... w żółtym gabinecie...

ZDZISŁAW *(z za altany, niebardzo głośno)*.

W żółtym.

ORGON *(oglądając się)*.

He?

CELINA.

W żółtym?

ORGON *(spoglądając w stronę Zdzisława i odprowadzając ją w przeciwną.)*

O, nie, niekoniecznie:

(cicho) W zielonym lepij.

CELINA.

I cóż?

ORGON.

Przegraj te sonatki,

Co to zrobione były na ślub mojej matki. *(śpiewa początek)*
 A jutro moję żonkę jak poproszę grzecznie,
 Zrobi mi koncertik mały. *(całuje ją w czoło)*

CELINA.

Najchętniej, ale wszak nuty zostały,
 Nawet i arfa dotąd jeszcze w mieście.

ORGON.

A mówiłem: arfę weźcie!
 Mówiłem najmniej trzy razy;
 Ale to jest groch na ścianę,
 Dawać tym gapiom rozkazy.
 Łatwo będzie odzyskane,

CELINA.

To nie wielkie opóźnienie.

ORGON (*patrząc się w stronę Zdzisława*).

Lecz czekaj... dam ci inne zatrudnienie:

Skończ mi ten kwiatek, coś penzlem zaczęła,

Kwiateczek cudny, maleńki,

Lubię wszystkie takie dzieła,

Osobliwie twojej ręki.

Celiniu, aj Celiniu, tak malujesz ładnie,

I gdyby nie to, że mi czasem na myśl wpadnie,

Tobys całkiem zaniedbała.

A to to to do roboty,

Ty ty ty próżniaczkó mała!

(*żartując zagania ją ku domowi, spoglądając w stronę przeciwną*)

CELINA.

Skończę ten kwiatek, niebrak mi ochoty,

Zwłaszcza, gdy tyle cenisz moją pracę,

Ale już nie dziś, penzle także w tamtej pace.

ORGON.

Bierzże dyabł wszystkie paki

I wraz z niemi czeladź całą!

Hultaje! (*myśląc*)

Proszę... bo to... lada jaki..

Ale ty ziewasz?

CELINA.

Ja?

ORGON.

Tak mi się zdało.

CELINA.

Jutro do miasta potrzeba wyprawić.

ORGON.

Tobie się spać chce.

CELINA.

Co za przywidzenie!

ORGON.

Kiedy ja widzę.

CELINA.

Ale wierz mi, że nie.

ORGON.

Bo ty przez grzeczność nie chcesz mnie zostawić.

CELINA.

Na honor, że nie.

ORGON.

A oczy zamyka;

Śpiący nie słucha nawet i słowika.

Idź, idź, duszko.

CELINA.

Nie myślę...

ORGON.

Co za ceregiele!

CELINA.

Ale...

ORGON.

No, no.

CELINA.

Bo...

ORGON.

Idź, idź!

(*ceremoniując się z nią wprowadził do domu i zamykając drzwi za nią, mówi*).

Dobranoc, aniele.

SCENA XII.

ORGON, ZDZISŁAW (*Orgon idzie ku altanie, gdzie głos słyszał, obchodzi ją, a przed nim Zdzisław, tak, że na swoje miejsce niewidziany od Orgona wraca.*)

ORGON.

Anioł prawdziwy! anioł moja żona!

(*po krótkim myśleniu*)

Ach cnota to jest, cnota niezmiernona,
Kiedy kto umie utrzymać się ściśle,
Kiedy jak mędrzec swoim czuciem włada.
Naprzykład chciałem, i inaczej myślę,
Choć jeszcze nie wiem, co myśleć wypada.

(*po krótkim milczeniu*)

Wszystko byłoby dobrze... byłbym i spokojny,

Gdyby nie w liście zawada;

Bo z paniczem krótka rada:

Dowcipny, młody, przekłęcie przystojny,

Sroży się, sroży, ale tchórz tymczasem:

Parę pogrózek rzuconych nawiasem, (*śmiejąc się*)

A już się wyniósł, jakby go nie było.

(*w ciągu tej mowy zbliżał się do Zdzisława, tak, że mówiąc wiersz ostąpił tuż koło altany, stanął przy nim*)

ZDZISŁAW.

Bardzo przepraszam, nie wyniósł się jeszcze.

(*Orgon odstąpiwszy kilka kroków, wpatruje się w niego, po krótkim milczeniu*)

ORGON.

Bardzo się cieszę. (*kłaniając się*)

Bardzo mi to miło.

ZDZISŁAW.

I ja w tym także szczęście moje mieszczę.

ORGON.

W czym?

ZDZISŁAW.

Że tu jestem, że widzę Waćpana,

Z którym dziś przyjaźń świeżo zawiązana,

Wróży mi nadał najpiękniejszy związek.

Przeto wypełnię miły obowiązek

Równie wdzięczności jak uszanowania,

Gdy jutro służyć będę wśród jego mieszkania.

ORGON (*porywczo*). Co? waćpan u mnie?

(*wstrzymując się*). Zbytek łaski, zbytek,

Wielka mu niedogodność...

ZDZISŁAW.

Wielki i pożytek.

ORGON (*porywczo*). Jaki pożytek?

ZDZISŁAW (*kłaniając się*)

Mieć w nim przyjaciela.

ORGON (*kłaniając się*). O!

ZDZISŁAW.

Tak jest, będę...

- ORGON. Nie, nie, choć serce podziela...
Albo wiesz, gdzie ja mieszkam?
- ZDZISŁAW. Waćpan mi to powieśz.
- ORGON. Tego waćpan się nie dowieśz.
- ZDZISŁAW. Nie
- ORGON. Nie.
- ZDZISŁAW. To dobrze.
- ORGON. Być może.
- ZDZISŁAW. Tak w rzeczy.
- ORGON (*na stronie*). Cóż, jeśli nie dom własny, dalej zabezpieczy?
(*zamyśla się*).
- ZDZISŁAW (*po krótkim milczeniu*). To bardzo piękna kobieta.
- ORGON (*przyskakując do niego*). Kto? co? jak? gdzie?
- ZDZISŁAW (*obojętnie*). Ta dama, co weszła do domu,
Mówię, że piękna.
- ORGON. Któż się o to pyta?
- ZDZISŁAW. Tak tylko mówię.
- ORGON. Cóż to szkodzi komu?
- ZDZISŁAW. Nie szkodzi, owszem, bardzo się podoba.
- ORGON (*porywczo*). Mospanie. (*zatrzymując się*).
A, tak, przystojna osoba.
- ZDZISŁAW. Młoda.
- ORGON. Tak.
- ZDZISŁAW. Świeża.
- ORGON. Dosyć.
- ZDZISŁAW. Kształt, godność w postaci.
- ORGON. Tak, tak, niczego, niczego.
- ZDZISŁAW. Któż bo tak zimno hołd piękności płaci?
- ORGON. A waćpanu co do tego,
Zimno czy letnio, gorąco czy chłodno?
- ZDZISŁAW. Czy mnie do tego... nikt wiedzieć nie może.
(*dlugie milczenie; Orgon wpatruje się w niego*).
- ORGON (*uderzając go po ramieniu*).
Tak, dobrze mówisz, jest osobą godną:
Miła... wzrost piękny... lica świeże, hoże...
Dobra, przyjemna... wszak ją znasz dokładnie?
(*czeka odpowiedzi*).
- A jój dusza!
- ZDZISŁAW. Najczulsza.
- ORGON (*z westchnieniem*). A jak pisze ładnie!
- ZDZISŁAW. Najnowszym stylem, z ogniem i tęsknotą razem.
Naprzykład, gdyby chciała zająć się obrazem

- Tėj cichėj chwili pięknego wieczora,
 Cóżby równego wyszło kiedy z pióra!
(Orgon odskakuje kilka kroków wtył i po krótkim milczeniu bierze za rękę Zdzisława).
- ORGON. Mój panie, działać nie lubię w połowie;
 U mnie co w sercu, to w mowie:
 Waćpan mi się podobasz, i to niewymownie,
(wstrząsając mocno ręką).
 Ach, podobasz się gwałtownie.
 Jesteś prawdziwie rzadką w tych czasach osobą;
 Zatem w przyjaźni musim żyć ze sobą,
 A jako przyjaciele, to pierwsza umowa,
 Niech nie jeden przed drugim w swém sercu nie chowa.
- ZDZISŁAW. Cóż dalej?
- ORGON. Przyznaj mi się.
- ZDZISŁAW. Co?
- ORGON. Miěj ufność we mnie.
- ZDZISŁAW. Dobrze.
- ORGON. Powiedz, ty się tu nie kręcisz daremnie?
 U takich młodych panów ja wiem, co to bywa:
 Ta dama?
- ZDZISŁAW. No, ta dama?
- ORGON *(puszczając mu rękę gwałtownie)*. Jest dama uczciwa;
 Niechaj kark skręci, kto mówi inaczej.
- ZDZISŁAW. Ja więc nie skręcę, ustalę go raczej.
- ORGON *(poufale przysuwając się z uśmiechem)*.
 Podoba ci się... to jest prawda szczerą;
 Na co to się zapierać?
- ZDZISŁAW. A któż się zapiera?
- ORGON. Więc wszystko zgadłem, prawda?
- ZDZISŁAW. Hm! po części.
- ORGON. Chciałbyś z nią mówić?
- ZDZISŁAW. Jeśli się poszczęści.
- ORGON. I jak odejdę...
- ZDZISŁAW. Ach, uczyni to przecie.
- ORGON *(porywczo)*. Co? jakto?
(wstrzymując się i na stronę odprowadzając; cicho).
 Ale zmiluj się, w sekrecie,
 Bo wiesz, jakby mąż...
- ZDZISŁAW. Co mnie tam to cielę...
- ORGON. Nóżki całuję.
(na stronie). To trochę za wiele.
- ZDZISŁAW *(odpowiadając)*. Bądź zdrów.

- ORGON. Więć pójdę.
ZDZISŁAW. Może kroków dwieście?
- ORGON. A fe!
ZDZISŁAW. No gdzież?
ORGON. Przejdę się po mieście.
Długo zabawię.
- ZDZISŁAW. A, co tak, to ładnie.
ORGON (*odchodząc*). *Servus*.
ZDZISŁAW. Najniższy.
ORGON (*wracając, na stronie*). Co ma paś, niech padnie.
(*do Zdzisława*). Wiesz, że cię kocham i kocham niemało.
Radzę ci więc szczerze,
Tylko prędko, tylko śmiało.
- ZDZISŁAW. O bądź spokojny w téj mierze.
ORGON (*poglądając ze złością tamowaną, potem gwałtownie ściskając*).
A więc bywaj zdrów, drogi przyjacielu. (*wracając się*).
Ale proszę cię dla samego siebie:
Miej obyczajność, miej zawsze na celu.
- ZDZISŁAW. Jak w każdej potrzebie.
ORGON. Droga respektu.
ZDZISŁAW. Nigdy z niej nie zszedł.
ORGON (*na stronie, uściskawszy go*).
Bodajś łbem na dół przez okno wyskoczył!
(*wychodzi furtką i wkrótce pokazuje się na murze koło altany, przelazi,
zostaje czas jakiś na rękach zawieszony, potem się puszcza, zbiera
płaszcz i kapelusz i kulejąc kryje się do altany*).
- ZDZISŁAW. Poszedł... rzecz dziwna... ale nim będzie z powrotem,
Żebym mógł jako Zosię uwiadomić o tem,
Może i przyjdzie.. nikt ją nie zatrzyma...
(*chodząc koło domu*).
Wszędzie już cicho... światła nigdzie niema.
(*światło pokazuje się w oknie, Zdzisław kryje się za róg domu;
w pokoju okno otwarte*).

SCENA XIII.

CIŻ SAMI, CELINA.

- CELINA. Gdzież się mógł podziać? zwiedzam każdy kąt;
Lecz tu go zostawiłam... mam dobrze w pamięci...
(*Celina świecę wystawia i patrzy pod okno*).
ORGON (*w altanie trzymając się za kolano*). Aha! światło, znak!
CELINA. Tak piękny początek!
Może wiatr porwał.. może nim już kręci...

Może, podarty obraz duszy niesie
Po wdzięcznym polu, albo dzikim lesie...

(po krótkim milczeniu).

Ale tak cicho na dworze. *(zamyka okno).*

Aha! zejdzie po list może.

ORGON.

SCENA XIV.

ZDZISŁAW, ORGON, ZOSIA.

(wszyscy prawie razem mówią).

Zdzisławie!

ZOSIA.

ZDZISŁAW.

Zosiu!

ORGON.

Ha! otóż i ona.

(Orgon chrząka. Zosia idzie, palec na ustach, druga ręka wyciągnięta przed siebie ku altanie).

ZOSIA *(do siebie)*. Znajdę ja ciebie.

ORGON *(na stronie)*.

To mi luba żona!

(Orgon łapiąc ją za rękę, cienkim i cichym głosem śpiewa).

Koło siatki

Dzierlatki

Latały;

Aż się w siatki

Dzierlatki

(swoim głosem w złości) Złapały!

ZOSIA *(uciekając ku domowi i ciągnąc za sobą Orgona, który ją wstrzymać usiłuje)*. Ach! gwałtu!

SCENA XV.

CIŻ SAMI, CELINA *(ze świecą)*.

CELINA.

Cóżto za wrzawa?

Czy to okoliczność cała,

Którój widzieć nie mam prawa?

Tegom się nie spodziewała.

Wcałe!

ZOSIA.

I ja nie!

ORGON *(macając się za kolano)*. I ja nie. *(Celina świecę stawia).*

ZDZISŁAW.

I ja nie.

ORGON.

Ależ nie myślisz, najdroższe kochanie,

Że ona, że ja... że... żeśmy oboje...

Żem chciał za inną chwycić, jak za twoję

Rączkę.

- ZDZISŁAW. Mnie się także zdaje,
 Że mój przyjaciel pomylił się trochę.
- ZOSIA. I ja tak myślę.
- CELINA (*zartując*). Niechże go wyląję
 Za działanie tak zbyt płocze.
- ORGON. O, ja dobrze wiedziałem, że mnie nie posądzisz,
 Znasz moją stałość, wierzysz, i wcale nie błądzisz;
 Lecz względem innych osób, to inaczej całkiem,
 Mógłbym je tu zawstydzić nie jednym kawałkiem:
 Schadzki wieczorne, znaki... mam ja dobre oczy,
 Mam także uszy, i nie lada uszy,
 Widzę, kto jak skoczy,
 Słyszę, jak się ruszy;
 Umiem i czytać, uczyłem się przecie;
 Poznam litery, nawet i... w bilcie.
- ZDZISŁAW (*deklamując*).
 „Ale to światło ulubione, w moich oczach poblądło
 niestety, bo...”
- ORGON. Co waćpan możesz wiedzieć, dlaczego poblądło?
- ZDZISŁAW. A mogę bardzo wiedzieć, kiedy na nos spadło.
- CELINA. Co?
- ZDZISŁAW (*zbliżając się do niej*). Mówić?
- CELINA (*głośno*). Proszę.
- ZDZISŁAW (*oddając list*). Oto.
- CELINA. Mój list?
- ZDZISŁAW. Tak.
- CELINA. Mój panie!
- To kłamstwo!
- ZDZISŁAW. Wybacz pani...
- ORGON. Na co to gadanie?
- List był...
- ZDZISŁAW. Ja to wiem, że niegodna głowa
 W pędzie omylnym przyjęła jej słowa!
 Ale i to wiem, że stąd wyleciały;
 A że dość silno, nie żadnym przypadkiem,
 Nos mój świadkiem.
- CELINA. To być nie może.
- ORGON (*tupając nogą*). Na cóż ten protokół cały,
 List miłość oświadczający,
 Czują, górny i gorący,
 Czy to on spada z nieba, czy z ziemi wyrasta,
 Tyś go pisała, i basta!

- CELINA. A ty wzięłeś ze stolika.
 ORGON. Zgadła jejmość dobrodzika.
 CELINA. Więc i tamtych zostawiać nie było potrzeba.
 ORGON. Jakich tamtych? wielkie nieba!
 CELINA. Jest pakiet cały.
 ORGON. Pakiet?
 CELINA. Poznałbyś osnowę.
 ORGON. Osnowę?
 CELINA. Tak jest, mam blisko połowę,
 ORGON. Czego?
 CELINA. Czego? romansu.
 ORGON. Romansu, co slyszyć!
 CELINA. Tak jest, muszę więc wyznać: romans piszę;
 Lecz wiedząc dobrze, że w dzisiejszym świecie,
 Nie pozwolono mieć rozum kobiecie,
 Że każdy za złe zwykle jój pocztyta,
 Gdy pióro bierze albo lutnią chwyta;
 Kryłam się z pracą, kryłam się, niestety!
 Pragnąc zabawy, nie żadnej zalety...
(kłaniając się mężowi).
 Lecz ci, co do serc naszych prawo sobie roszcza,
 Nawet w marzeniu, szczęścia nam zazdroszcza.
 ORGON. Nie, moja lubciu... Przepraszam cię szczerze,
 Nigdy ci sprzecznym nie będę w tój mierze;
 Na cóż mi wszelka twych działań wiadomość?
 Ale powiedz mi, kto jest ten jegomość?
 CELINA. Chciałam cię się spytać właśnie.

SCENA XIV.

CIŻ SAMI, RADOST.

(Radost ukazawszy głowę przez drzwi, przysłuchiwał się tój scenie, później wszedł).

- RADOST. To zjawienie ja objaśnij.
 ZDZISŁAW. Mój stryj!
 WSZYSCY. Stryj?
 RADOST. Stryj tego trzpiota.
 Ale umieć przebaczać jestto piękna cnota:
 Tój się, Orgonie, spodziewam po tobie.
 ORGON. I owszem, owszem... Niech już idzie sobie.
 ZDZISŁAW *(do Radosta)*. Zatem to stryj dobrodziej...
 RADOST *(do Zdzisława)*. Ciszej, chłopcze, ciszej.

ZDZISŁAW (*do Radosta*). Przebacz mi...

RADOST (*do Zdzisława*). Dobrze, dobrze, niech nas nikt nie słyszy.
(*do Orgona*).

Prosić o rękę Zosi dla pana Zdzisława

Celem mój podróży było;

Lecz po tem, co się zdarzyło,

Na zawsze nim kierować, nie chcę mieć już prawa.

ZDZISŁAW. Ach, stryju mój kochany, nie odsuwaj ręki,
Tysiączne ci co chwila składać będę dzięki;

Ja kocham Zosię.

ORGON, CELINA, RADOST. Kochasz ją?

CELINA.

A ona?

ZOSIA. Czyż trudno zgadnąć!

ORGON (*oddychając i biorąc się za kolano*). No, rzecz wyjaśniona.

RADOST (*do Orgona*). I jakże?

ORGON.

Z duszy, z serca: jeszcze był w Krakowie,

A mnie się już ten związek uwijał po głowie. (*łącząc ich*).

Pobierzcie się i życie jak gołąbki w parze;

Wszak ty chcesz, Zosiu?

ZOSIA.

Kiedy wujaszek tak każe...

ORGON.

Hm! jakie posłuszne dziecię.

RADOST. Szczeńś wam, Boże!

ZDZISŁAW.

No, proszę, co za plotki w świecie:

Mówiono, że pan Orgon nikomu, nikomu

Nie da i na krok wstąpić do swojego domu;

I ażeby wszelkiego powodu unikać,

Woli i siostrzenicę wraz z żoną zamykać.

Stąd cała moja skrytość i wszystkie przygody.

RADOST.

Co dowodzi, że stary ma rozum, a młody... (*dmucha w rękę*).

ORGON.

Dosyć już dosyć, dla Boga!

Niech się raz skończy gadanina cała.

Wy się pobierzcie, ty zaś, lubciu droga!

(*z westchnieniem*).

Gdyś do romansów ochoty nabrała,

To już wolisz je pisać, a tak najmniej straćę,

Chociaż za sprzedaż księgarzom dopłacę.

PIERWSZA LEPSZA

CZYLI

NAUKA BAWIENNA.

KOMEDYA

W JEDNYM AKCIE, WIERSZEM.

Niepuszczaj się w studnię, aż wprzód
opatrzysz, jako z niej wyleść.

And. Maks. Fredro.

SCENA I.

(Ogród, na przodzie sceny altana; w głębi ulica; stoły. Z obu stron ławki).

ALFRED, ZDZISŁAW.

ZDZISŁAW. Jakto? młodą czy starą, czy brzydką czy ładną?

ALFRED. Tak jest, starą czy młodą, piękną czy szkaradną,
Pierwszą, którą tu spotkam, obieram za żonę;
Wszystkie więc twoje słowa w tej mierze stracone.

ZDZISŁAW. Co za myśl!

ALFRED. Jak najnowsza; szczytna, doskonała!
Równiej dotąd natura jeszcze nie wydała.

ZDZISŁAW. Nie wątpię.

ALFRED. Od sześciu lat chcę nudy odmienić,
Chcę się ożywić, wskrzesić, słowem chcę się żenić,
I przez rady, rozsądek, słabość, punkt honoru,
Nie mogę się odważyć uczynić wyboru.
Ta przyjemna, powabna, ale nadto płocha,
Ta znowu zimna, mądra, siebie tylko kocha,
Tu jest dobroć bez kształtu, tu kształt bez dobroci,
Tam wszystko liche wewnątrz, posąg tylko złoci,
Tu zaś wszystko anielskie, lecz majątku niema,
Z tej słowa nie wycedzisz, ta strzela oczyma,
Tu strach ojca, tu matki, tam złe wychowanie,
Dość, że każda swe *ale* ode mnie dostanie.

ZDZISŁAW. Czemuż się żenić?

ALFRED. Wolę, jak sobie w łeb strzelić;
Kto wie, ten krok mnie jeszcze może rozweselić.
Wszystkiemu już próbowałem, wszystko mnie znudziło,
I zawsze zyskam, byle tak, jak jest, nie było;
Dlatego się ożenię, dzisiaj się ożenię,
I nie mogąc w tém działać, zdam na przeznaczenie.

(*wzniosło*)

Krocie wieków upłynie, za stu wieków śladem,
A ja będę w tym razie jedynym przykładem.

ZDZISŁAW. Nawet potomność temu szaleństwu bez miary
I nie uwierzy.

ALFRED. Jakto? czemu nie da wiary?
Každy twór ludzkiej myśli, w podobieństwa rzędzie,
Albo był wykonanym albo z czasem będzie.

ZDZISŁAW. Wszystko być może, ale jedyny Alfredzie,
Wiesz, ta oryginalność dokąd cię zawiedzie?

ALFRED. To wiem, wiem, mój Zdzisławie, lecz co bym rad wiedział:
Czemu o to się pytasz, na com odpowiedział?
Od wczoraj ci jest znany mój zamiar dokładnie.

ZDZISŁAW. Probuje, czy rozsądek na myśl ci nie wpadnie.

ALFRED. Kiedy więc ty powtarzasz i ja ci powtórzę,
Ze już zamiar zmienionym dzisiaj być nie może:
Zapis posłany, którym majątku dział robię,
Jeśli jakiejbądź żony nie znajdę w tej dobie,
Słowo dane po dwakroć znajomej młodzieży,
Która się dziwi, wielbi, lecz jednak nie wierzy,
I ty, świadek wybrany, stróż mego honoru,
Ze pierwszą lepszą wezmę nie czyniąc wyboru,
Wszystko mi do cofnienia zagraża już drogę.

ZDZISŁAW. Wszystko, prawda: lecz jednak ratować cię mogę:
Powróć się do Julii, tak godna osoba,
Kocha cię niezawodnie, tobie się podoba.

ALFRED. Wprawdzie z wszystkich Julią najwięcej ja cenię;
Lecz sześć lat stracę, jeszcze się z nią nie ożenię.
Piękna, dobra, bogata, i kocha mnie stale,
Ale coś mnie wstrzymuje, ale...

ZDZISŁAW. Ale, ale?

ALFRED. Ale Julia wdowa.

ZDZISŁAW. Wiem.

ALFRED. A każda wdowa
Cnoty męża pamięta a wady z nim chowa;
Zawsze przeszłość i przeszłość wspomina ze żalem,
I mąż świętej pamięci jest wiecznym rywalem.
Jednak wszystko to fraszki,

ZDZISŁAW. Albo żarty raczój.

ALFRED. Miłość jest szczęściem, mówią, ja myślę inaczej,
Miłość szczęścia zasada, lecz nie wszystkiem jeszcze:
W powabach, wdziękach duszy, także wiele mieszczę,
Bez nich i rozum przykry i miłość natrętna,
Bez nich srogiego nudów nie unikniesz piętna.
Julia, jak powiadasz, kocha mnie: to wiele,
Świat ją szanuje, wielbi: ja to zdanie dziele,

Ma rozum, cnoty, stałość, rozsądek: przyznaję;
 Lecz zawsze w jednym kształcie to wszystko zostaje.
 Nie, nie, tego Julia jeszcze ma za mało,
 Coby do rozważnego wyboru skłaniało.
 O, jak drogą jest w żonie ta pociągu władza,
 Która nas w coraz nowe rozkosze wprowadza,
 To źródło nieprzebrane czucia, przymilenia,
 Co zawsze jedném będąc, zawsze się odmienia;
 Ten dowcip, wdzięk pomysłów, lecz zawsze w przelocie.
 Co ozdoby dodaje nawet skromnej enocie,
 Co ciągle uprągniony, nigdy dość nieznany,
 Samę stałość ustala powabem odmiany.

ZDZISŁAW. Nie jesteś, mój Alfredzie, widzę, z sobą w zgodzie,
 Takiejże żony szukasz w publicznym ogrodzie?

ALFRED. Gdybym wybierał, taką chciałbym mieć koniecznie,
 Ale nie chcę wybierać, bobym szukał wiecznie;
 I gdy nie dla swobody, lecz zmiany się żenię,
 Przyjmę dość obojętnie, co da przeznaczenie.

ZDZISŁAW. Zobaczę... ale kiedy tak zważasz małżeństwo,
 Kiedy gwałtem chcesz skończyć zaczęte szaleństwo,
 Czemuż jakich warunków nie kładziesz w tym względzie?
 Z pozoru pojąć żonę, dość szaleństwa będzie.

ALFRED. Gdybym jeden warunek z mej strony położył,
 Ten jedenby sto innych w ten moment pomnożył;
 I już kłótnie, procesa, lub dawne wahanie.
 Nie... raz, dwa, trzy! mam żonę, niech się co chce stanie!

ZDZISŁAW. Pewnie ta czynność twoja zadziwienie sprawi,
 I choć pochwał nie zyska, cały świat ubawi;
 Głosić ją będą listy, opiewać gazety,
 Ale gorzko ten zaszczyt opłacisz, niestety!...
 Cóż tam znowu rysujesz?

ALFRED (*laską kreskę robiąc*). Granicę.

ZDZISŁAW. Granicę?

ALFRED. Bo nuż ku nam się zbliżą dwie razem dziewice
 Lub trzy, którąż wziąć? Więc patrz... kreska wyciągniona:
 Tamtędy pójdzie kto chce, tędy moja żona.

ZDZISŁAW. Alfredzie, wszystkom robił, co było w mej mocy:
 Śmiałeś się z mojej rady, nie chciałeś pomocy,
 Zatem już teraz, jako świadek ci dodany,
 Strzedz cię muszę: każdy krok będzie zapisany.
 Dotrzymasz słowa czy nie, opis będzie szczery.

ALFRED (*dając papiery*).

Masz, panie sekretarzu, potrzebne papiery;

Stan mojego majątku.

ZDZISŁAW.

Dokument potrzebny.

ALFRED (*dając drugi papier*).

Jakim jestem, co umiem.

ZDZISŁAW.

Dokument chwalebny.

ALFRED (*dając trzeci papier*).

To, kontrakt podpisany, przez świadków stwierdzony,
I jedynie brakuje podpisu mój żony. (*dając czwarty papier*)
To zaś, cały mój zamiar, i prośba ode mnie...
Bo każdą trzeba prosić.

ZDZISŁAW.

I czasem daremnie.

Potém, łatwiej na piśmie ofiarować siebie.

ALFRED (*dając papiery*).

Weźże to wszystko, proszę, i użyj w potrzebie.

Ach! (*Elwira idzie ulicą czytając książkę, w głębi czasem stojąc*).

ZDZISŁAW (*oglądając się*). Co tam?

ALFRED (*patrząc na Elwirę*).

Lekkość w chodzie, wspaniałość w postawie.

Tu pójdzie... nie, tam... nie, tu! tu! A co, Zdzisławie?

Przypatrzże się dokładnie, moją idzie stronę:

Jakieżem mąż szczęśliwy! o, kochana żono!

SCENA II.

ALFRED, ZDZISŁAW, ELWIRA. (*Elwira nie widząc Alfreda i Zdzisława, czytając siada przy przeciwnej stronie sceny*).

ALFRED (*na stronie do Zdzisława, chcąc brać papier*).

Mój charakter niech idzie na samym początku.

ZDZISŁAW. Nie, wiesz, to wielka dama, zacznij od majątku.

ALFRED (*podając pismo Elwirze*).

Racz pani rzucić okiem. (*Elwira nie patrząc, rzuca na papier jałmużnę i dalej czyta*).

ZDZISŁAW (*śmiejąc się, zapisuje*). Jałmużna zdobyta.

ALFRED (*do Elwiry*). Innęj litości żądam... Niech pani przeczyta:
(*podając papiery następnie*)

Mój majątek.

ELWIRA.

Dość mierny.

ALFRED.

Charakter.

ELWIRA.

Dość śmieszny.

ALFRED.

I prośba.

ELWIRA.

Dość szalona.

- ZDZISŁAW (*na stronie*). Prolog... dość ucieszny!
Lecz sztuka jaka będzie?
- ALFRED (*pomieszany, do czytającej książkę Elwiry, po krótkim myśleniu*). Pani.. lecz.. prawdziwie...
Zdzisławie, co tu robić?
- ZDZISŁAW. Prosić ją cierpliwie.
- ALFRED. Mogęż prośbę powtórzyć, odpowiedzi żądać?
Chciój pani piękném okiem łaskawiej spoglądać,
Mój pomysł jest szalony, każdy będzie sądził,
Lecz gdy spojrzy na ciebie, wnet przyzna, że zblądził.
- ELWIRA (*wstając*). Ze się Waćpan*) chcesz żenić, nie dziwię się wcale,
Żeś zaś obrał ten sposób, ni ganię, ni chwale;
Każdy ma swój rozsądek, ma swoje mniemanie,
Lecz odpowiem życzeniem na jego żądanie:
Chciałabym znaleźć męża, gdy będę wybierać,
Któryby wziętym prawom nie chciał się opierać;
Któryby umiał cenić świętych ślubów związek,
Umiał, nim na się przyjmie, zmierzyć obowiązek,
I niegardzący wszystkiem ani też gardzony,
Miał jeszcze iskrę czucia
(*z przyciskiem*) dla wybranej żony;
Chciałabym, żeby mój mąż był już stałej duszy,
Któręj poklask szalonych nie zajmie, nie wzruszy;
Żeby śmiały, odważny, był razem łagodny,
Niechelpiący się nigdy, ale pochwał godny,
Żeby mnie poznał dobrze, był równie poznany,
Potem, żeby tak kochał, jak będzie kochany;
Zresztą, niech ma majątek i przyjemną postać:
(*klaniając się nisko*)
Zatém Waćpan, jak widzisz, nie możesz nim zostać.
(*odchodzi; chwila milczenia*).

SCENA III.

ALFRED, ZDZISŁAW.

- ALFRED. „Zatém Waćpan, jak widzisz, nie możesz nim zostać.“
Czemu? „Niech ma majątek i przyjemną postać.“
Jakąż ja mam, do licha? „Majątek, majątek!“
Wszak mam. Cóż ona myśli?

*) Życzyłbym przyjąć w deklamacyi abrewiacyą: *Acan*, jako więcej do ucha.

- ZDZISŁAW. Wyborny początek. (*zapisując*)
 Jałmużna... obraz meża... wzgarda..
- ALFRED. Czyż szalony!
- ZDZISŁAW. Na cóż to wszystko pisać?
- ZDZISŁAW (*pisząc*). Alfred urażony...
- ALFRED. Nie pisz tego, Zdzisławie!
- ZDZISŁAW. Ja z urzędu piszę,
 I pisać będę wszystko, co tylko usłyszę.
- ALFRED. Ale jak można pisać, co czasem w rozmowie...

SCENA IV.

ALFRED, ZDZISŁAW, ZOSIA.

- ZOSIA (*mając koszyk w ręku; niewidziana dotąd*).
 Nie chcą panowie malin? maliny, panowie!
- ALFRED (*obracając się, z zadziwieniem*).
 Chcemy, chcemy, aniolku, ale razem z tobą.
- ZOSIA. O, tak! Bardzo dziękuję.
- ALFRED. Pobierzem się z sobą.
- ZOSIA. Bardzo pięknie dziękuję.
- ALFRED. Ja bo nie żartuję.
- ZOSIA. Być może.
- ALFRED. Jakto, nie chcesz być panią?
- ZOSIA. Dziękuję.
- ALFRED. Jakże ci imię?
- ZOSIA. Zosia.
- ALFRED. Więc, Zosiuniu mała,
 Trzeba, ażebyś na to dobrze uważała,
 Że się nie zawsze spotkasz z takim wielkiem szczęściem.
- ZOSIA. Dziękuję.
- ALFRED. Czemuż, powiedz, gardzisz tém zameściem?
- ZOSIA. Ja mam sobie równego, i kocham go szczerze.
- ALFRED. Zapomnisz... i on sobie niech inną wybierze.
 A ty, jak jego pani, dam mu dom i rolę...
 Jakże?
- ZOSIA. Bardzo dziękuję, ja Pawelka wolę.
- ZDZISŁAW (*pisząc*). Pawelka woli.
- ALFRED. Ale Zosiu, zważaj, proszę,
 Jakie ciebie w tym stanie czekają rozkosze:
 Czego tylko dziś pragniesz, będziesz w nim używać,
 Teraz słuchasz, a potem będziesz rozkazywać,

Teraz słyszysz, a potem będą służyć tobie,
 Teraz myślisz o pracy, potem o ozdobie,
 Teraz chodzisz, a przy mnie usiądziesz w karęcie,
 A wstążek co mieć będziesz! nad wszelkie użycie.
 Już ja Pawelka wolę.

ZOSIA.

ALFRED.

I moja osoba,
 Zdaje mi się, bez chluby, łatwo się podoba,
 Nawet nie raz i nie dwa już mi to mówiono;
 Będę mężem dość wiernym, ty bądź wierną żoną,
 Bo o to bardzo proszę... i o cóż ci chodzi? *(obraca się)*
 Przypatrz się tylko dobrze, wszak cię wzrok nie zwodzi.

ZOSIA *(po dłuższym przypatrzeniu się)*.

O, ja wolę Pawelka.

ALFRED.

A, cóż tam u kata!

Z tym przeklętym Pawelkiem czy mnie licho brata?

(do Zosi)

Może bierzesz za żarty? oto są dowody.

Umiesz czytać? *(tu w głębi się pokazuje panna Marta; okulary zielone, jakich się od kurzu używa, plaster na brodzie, kapełusz, kwef, i t. d.; dziwacznie ubrana; słucha Alfreda)*.

ZOSIA.

Trochę.

ALFRED.

Lecz powiem ci wprzód,

Dlaczego, twojem zdaniem, tak dziwną rzecz robię:

Chcąc się prędko ożenić, ułożyłem sobie,

Ze pierwsza, którą spotkam, byle tylko chciała,

Będzie i moją rękę i majątek miała,

Choćby stara i brzydka, a żeś ty i młoda

I ładna i przyjemna, zatem prędsza zgoda.

Czytaj, oto mój podpis, drugiego brakuje.

Która podpisze, męża mieć będzie.

ZOSIA.

Dziękuję.

ALFRED.

A gdybym później, czytaj, nie dotrzymał słowa,

Narzeczonej przypada majątku połowa.

Wierz mi, Zosiu, tém wszystkiem i panie nie gardzą.

ZOSIA.

Już ja wolę Pawelka, i dziękuję bardzo...

ALFRED *(urazony; wstrzymuje się)*.

Ależ moja Zosiuniu; kiedyś tak uparta...

(Panna Marta wyrywa pismo z rąk Alfreda, rzuca się obok Zdzisława, wyrywa pióro i podpisuje; Zosia śmiejąc się wybiega. Alfred i Zdzisław przestraszeni, długo zostają w nieporuszonem zadziwieniu).

SCENA V.

ALFRED, ZDZISŁAW, PANNA MARTA.

PANNA MARTA (*podpisawszy, przypatruje się obu i mówi litewskim akcentem*).

Tak, dobrze? wszak prawda, co? przecież więcej warta,
Jak to głupie dziewczęc... co? ni brzydkam, ni stara,
Będzie z nas nader miła i dobrana para!
Szlachetnegom jest rodu, dzwonek w herbie noszę,
Śmigalińska Marta, co? nie znacie mię, proszę!

(*przejrząwszy, chowa papiery*)

Więc Alfred. No Alfredzie, będę twoją żoną.
Co?

ZDZISŁAW. Ale którą Jejmość przybyła tu stroną?
Co?

PANNA MARTA. Da tędy, rybeńko, koło tój topoli.

ALFRED. Niestety!

PANNA MARTA. Ty wdychasz? co? powoli, powoli,
Nie udawaj miłości, gdy jej nie masz w duszy,
To udane westchnienie serca mi nie wzruszy.
Że mnie kiedyś pokochasz, łatwo temu wierzę,
Ale ja jestem bardzo rozsądna w tój mierze,
I wiem, że żadne wdzięki nie mają dość siły,
By tak nagle westchnienia miłosne wzbudziły;
Nie chciój więc nagłym ogniem wzniecić me zapaly,
Lecz staraj się powoli zwalczyć odpór stały:
Niech nieznacznie sentyment, którego się boję,
Trwożliwą narzeczoną odda w ręce twoje.
Co? ach! przyjdzie czas, kiedy figlarz Kupidynek,
Przerwie dziewiczej duszy niewinny spoczynek,
Kiedy na małą strzałkę, jak srogi mordeca,
Nadzieje nasze, czuciem gorejące serca,
A płomyczek afektu nad niemi wzniesiony,
W płomień, a dalej w pożar zostanie zmieniony.
Co? Ale cierpliwości, Alfredzie, potrzeba,
Tobie bystrość, mnie skromność udzieliły nieba.
Kiedyż zatem ślub będzie? co? siadaj, kochanie.

Co? (*sadza gwałtem przy sobie Alfreda, posuwając się ku*

Zdzisławowi, który się przed nią usuwa i nareszcie wstać musi)

ZDZISŁAW. Raz, dwa, trzy! mam żonę, niech się co chce stanie!

ALFRED (*do Zdzisława*). Co tu robić?

ZDZISŁAW.

Ha! uledez władzy przeznaczenia.

PANNA MARTA. Przeznaczenie najstalsze zamiary odmienia.

Wyjeżdżając ze Żmudzi... byłeś w Żmudzi kiedy?
 Co? nigdy? no, to ze mną będziesz. Otóż tedy
 Wyjeżdżając ze Żmudzi... bo mam proces duży,
 Lubisz procesa? co? nie? jak co komu służy.
 Otóż więc proces; wiele byłoby powiadać,
 Jak, co, więc krótko mówiąc, bo nie lubię gadać,
 Chcę, choć jeszcze lat nie mam, pozbyć się opieki...

ZDZISŁAW. Opieka więc na Żmudzi trwać musi dwa wicki.

PANNA MARTA. Jest to cnota nad cnotami,

Trzymać język za zębami;

Co? niema się co mówić, trzeba cicho siedzieć,
 Lepiej, rybeńko, milczeć, niż głupstwo powiedzieć.

(do Alfreda)

Wyjeżdżając ze Żmudzi, czym się spodziewała,
 Że na miejscu dekretu będę męża miała,
 Że na twoje zbawienie, jakby z nieba spadnę?
 Otożez przeznaczenie. Co? a zatem żadne...

ZDZISŁAW. Alfredzie, dosyć żartów, dosyć i zabawy;
 Panienska może przez nas nie wygra swój sprawy;
 Przeciąganiem tej sceny możemy zaszkodzić.

PANNA MARTA. Sceny? co?

ZDZISŁAW. Małoletnich nie wypada zwodzić.

ALFRED. W samą rzecz, zbyt długo ciągną się te żarty;
 Nie chcemy już wstrzymywać Jejmość panny Marty;
 Niech się więc panienka mym losem nie trudzi,
 I przebaczy, że razem nie wrócim do Żmudzi.

ZDZISŁAW (kłaniając się).

Sługa jej uniżony i wielbiciel szczerzy.

ALFRED (kłaniając się). Najniższy.

ZDZISŁAW. Ale, ale, proszę dać papiery,
 Trzeba je zaraz zniszczyć, by śladu nie było,
 Co się tu Jejmość pannie przykrego trafiło.

PANNA MARTA (do Zdzisława).

Nadto, nadto rozumu, a powiem nawiasem,
 Że dwie ostateczności tykają się czasem,
 Rozumiesz rybeńko? co? Żarty, czy nie żarty,
 Alfred już nie odstąpi Śmigalińskiej Marty.
 Papiery są, i chowam dla lepszego śladu
 Naszego tu spotkania i cnego układu.
 Co?

ZDZISŁAW (do Alfreda). Zostawmy papiery.

ALFRED (do Zdzisława). To wszystko rozgłosi.

ZDZISŁAW. Może trochę pieniędzy łatwiej je wyprosi.

ALFRED (*do Marty*). Gotów jestem nagrodzić, pewną, znaczną kwotą.

PANNA MARTA. Ach, takiego małżonka dostanę za złoto?

ALFRED. Ja, małżonkiem Waćpanny? utopię się raczej.

PANNA MARTA. To i ja z tobą, rybko.

ZDZISŁAW (*do Alfreda*). Nie drażń, bo inaczej
Całe miasto się dowie o tój śmiesznej sprawie,
A papiery jednakże zostaną w zastawie;
Owszem, jak teraz zważam, pochlebiać należy,
Niech się cieszy nadzieją, niech miłości wierzy:
Powiedz, że do niej przyjdiesz, spyta, gdzie mieszkanie;
Czasu, czasu nam trzeba, by zacząć działanie.

ALFRED. A, to mnie dyabeł takim nabawił kłopotem!

Żenić się nie ożenię, ale...

ZDZISŁAW. Potem o tём.

ALFRED (*do Marty*). Nie jest pora ni miejsce, o tём dłużej prawić,¹
Przyjdę więc wkrótce do niej; lecz gdzież się mam stawić?

PANNA MARTA. Jeszcze nie mam mieszkania, dopiero wysiadła,
I że nie trzeba będzie, tak jak gdybym zgadła:
Odstąpisz mi izdebki, tak będziem przy sobie.
Co?

ZDZISŁAW (*na stronie*). Boże! cierpliwości!

ALFRED (*do Zdzisława*). Cóż z nią teraz zrobię?

PANNA MARTA. Może mieszkasz w gospodzie? co? to lepiej będzie,
Bo niedobrych języków zawsze pełno wszędzie!
A w gospodzie ujdzie. Co?

(*do Zdzisława*) Teraz z swojej łaski,
Czybyś pan nie mógł mojej odszukać kolaski:
Stoi, gdzie... ten dom... ten staw... ten ładny pagórek.
Wiesz? Wsiądzie do niej, tylko nie poduś wiewiórek,
I przyjedź do Alfreda. Co?

ZDZISŁAW. Dobrze, przyjadę.

ALFRED. (*z przest్రachem*). Ja tu sam nie zostanę!

PANNA MARTA. Więc dam inną radę:
Idźmy wszyscy troje. Co?

ZDZISŁAW (*na stronę biorąc Alfreda*). Ja pójdę wyprawić
Kolaskę za rogatki, ty myśl się wybawić;
Tak, nim Martusia znajdzie kolaskę i ciebie,
My musimy poradzić w tój przykrój potrzebie.

PANNA MARTA. Wprawdzie miejsce na troje trochę ciasne będzie,
Da coże robić! jeden przy drugim usiedzie,
A ja choć, przeprosiwszy, na kolanach sięde.

ALFRED. O dla Bęga! nie... wolę... w domu czekać będę.

PANNA MARTA (*do Zdzisława*).

Da waćpan już trafisz! co? Tylko zawsze w prawo,
W prawo, a potem prosto... skoczcie, skocz, a żwawo!
Abyś gdzie nie przeslepił, nie pożałuj wzroku:
Kolaska popielata, landszafty na boku,
Spód żółto malowany, jedno koło białe,
Koń dropiaty, klacz kara i źrebiątko małe,
Dziewka zowie się Magda a furman Kasperek...
Patrzajżeż, z tyłu tłumok, na przodzie kuferek,
Na wierzech sroka w klatce, słyhać ją zdaleka...
Da poznasz i po pieskach: Filuś cienko szczeka,
A chrapliwie Pinetka; co? Nie traćżeż czasu
I choćby jak najdalej, wracaj bez popasu.

ZDZISŁAW. Wszystko podług rozkazu najdokładniej zrobię.

PANNA MARTA. Idźcież, idź!

ZDZISŁAW (*biorąc na stronę Alfreda*).

Ty, Alfredzie, myśl dobrze o sobie;

Jak się trafi sposobność, nie masz czego czekać,
Zwiń się zręcznie i drapnij... ale masz uciekać,
Uciekajże potężnie, bo to nie są żarty:
Każda, chociażby jeszcze i starsza od Marty,
Pędzi jak strzała z łuku za mężem w pogoni;
A gdy cię raz dopadnie, nie cię nie obroni. (*odchodzi*).

SCENA VI.

ALFRED, PANNA MARTA.

PANNA MARTA. Przecieśmy się pozbyli natrętnego świadka.

Skądżeż, moja rybeńko, rybeniczko rzadka,
Klejnocie mojej duszy, da usiądźżeż, proszę;
Będziem słodką rozmową płodzili rozkosze.
Co? Ach, miło powtarzać, choćby i sto razy:
Kochasz mnie? Da cię kocham? O, lube wyrazy!...
Lecz czemuż się ode mnie odwracasz, okrutny?
Zasmucasz moje serce, kiedyś taki smutny.

(*z westchnieniem*).

Charakteru więc twego opis zbyt prawdziwy!

ALFRED. Falszywy, mościa panno, wierzaj mi, falszywy.

Oprócz żem smutny, wszystko inaczej się dzieje.

Jeśli więc twego szczęścia opierasz nadzieję,
Na tych przymiotach duszy, któreś tam postrzegła,
Wcaleś w przeciwną stronę od celu odbiegła.

Każdy zawsze na siebie łaskawiej spoziera
 I malując swój obraz, dobrych farb dobiera:
 Wady przesuwa ciemną, jasną znaczy cnoty,
 I nawet same błędy przekształca w przymioty.
 Takto złość w dowcip, głupstwo w łagodność przemienia,
 Podły egoizm w wielkość podziwienia,
 Popędliwość w odwagę; w gorliwość namiętność;
 Próżność jest żądzą sławy, śmiałością natrętność;
 Chytrość rozsądku, stałość ma miejsce uporu,
 A rozwiąłość się stroi w wesołość humoru...
 Słowem, rozum obrazu pierwszy zarys robi,
 Lecz miłość własna później kolorem go zdobi.
 Tak się też postąpiło malując mą duszę,
 Wstydzę się bardzo, wstydzę; ale wyznać muszę..

PANNA MARTA. Hm! i w czymżeż ten obraz tak bardzo fałszywy?

ALFRED. We wszystkim.

PANNA MARTA. Naprzykład? Co?

ALFRED.

Jestem popędliwy:

Czasem mnie lada fraszka w taki gniew wprowadzi,
 Że każdy mi jest przykrym, każdy mi zawadzi;
 Na każdego się rzucam, nic nie mam na względzie,
 Winnych, niewinnych gromię w szalonym zapędzie
 I w tym okropnym stanie niewstrzymanej złości,
 Gotówbym... nawet żonie... nadwerżyć kości.

PANNA MARTA. Da, zmiłuj się!... kto tłucze, ten bywa tłuczony;

Wiem więc, że nigdy takim nie będziesz dla żony.
 Że się czasem małżeństwo poskubie, podrapie,
 No, to coże to szkodzi? kto złapie, ten złapie;
 I cicho, i sza! zgoda! lecz naruszać kości!
 Czyś sfiksował? Nie, nie, nie, nie masz tyle złości.

ALFRED (*po krótkim milczeniu*).

Mam także nałóg brzydki i z tym się nie kryję:
 Lubię pić i czasami aż nad miarę piję.

PANNA MARTA. Likworek, co? likworek? Ach, rzecz wyśmienita!

ALFRED (*na stronie*). Wybornie! do wszystkiego! To miła kobieta!
 (*po krótkim myśleniu*).

Ale co jest najgorsza, czém pewnie się zgubię:
 Karty, jak własne życie, w dzień i w nocy lubię.
 Pół majątku już wzięła ta namiętność dzika.

PANA MARTA. Co *halbewelwe*, czy ćwik? O, ja lubie ćwika;

Lecz z musem czy bez musu, jakże tu grywacie?

ALFRED (*na stronie*). A, cóż u tej baby wszystko na warsztacie!
 (*z niecierpliwością do Marty*).

Nareszcie z moich chorób tysiączne kłopoty:

Mam podagrę, chiragrę, spazmy i suchoty.

PANNA MARTA. Ach, więc nam wraz obojgu leczyć się potrzeba,

Bo i mnie słabościami obarczyły nieba:

Cierpię mocny romatyzm w rękę, w nodze, boku,

Mam kaszel, zawrót głowy i bielmo na oku.

ALFRED (*na stronie*). Niechże cię licho porwie!

PANNA MARTA. Ach, takto na świecie!...

Da czekajże, rybeńko! sam nie pójdziesz przecie? (*odchodzą*).

SCENA VII.

ELWIRA, ZDZISŁAW.

(*wychodzą z przeciwnej strony, w którą Alfred odszedł i patrzą śmiejąc się za odchodzącymi*).

ZDZISŁAW. Jednakże Alfred...

ELWIRA.

Niema do litości prawa!

Niech trochę cierpi, teraz najgorsza przeprawa.

Myśli, że jęć ucieknie; o bardzo się myli:

Zobaczym ich tu razem po niedługiej chwili.

ZDZISŁAW. Prawdziwie pięknym ustom trudno nie dać wiary.

Lecz jak wierzyć, że ten kwef, plaster, okulary,

Kryją, kogo? Julię; że wdzięki, powaby,

Mogły się tak zakopać w bezecność téj baby,

I że ten głos ściśniętym wychodzący nosem,

Tak przykry, ostry jest...

ELWIRA.

Jest mojej siostry głosem.

Tak, nie inaczej.

ZDZISŁAW.

Wprawdzie trochę się i wstydzę.

Lecz i to mógłbym zgadnąć, że Elwirę widzę,

Gdym wiedział, że się miała zatrzymać w Berlinie.

ELWIRA.

Właśnie wczoraj wróciła i w téjże godzinie,

Widząc miłość Julii, plan spisku podaję,

Który będąc poprawą, nagrodą się staje.

Musiałam wprawdzie zwalczyć te niezdolne względy,

Co pęd duszy hamując, lepiej kryją błędy,

Te wieczne: *to nie ujdzie! to rzecz niewidziana!*

Cóż będzie? cóż powiedzą? lecz ja przekonana,

Że przy czystém sumieniu gorsza chwila smutku...

Niż tysiąc: *co powiedzą*, przywiodłam do skutku...

ZDZISŁAW. Zamiar, z którego nigdy nie wypłyną żale.

I jak poznasz Alfreda...

ELWIRA.

Znam go doskonale,

Nie tylko z pochlebnego Julii obrazu,
 Lecz taki się charakter poznaje od razu,
 Jak kłębek, zaczep koniec a rozwiniesz cały.
 Alfred ma wszystkie wady, co się duszą stały
 Tych, co chcąc użyć życia w każdej jego chwili,
 Nie dla trosek, lecz uciech, świat sobie sprzykrzyli.
 Syty niby już życia, przyszłością się trudzi,
 Gardzi ludźmi a tkliwy na mniemanie ludzi,
 Bojąc się zbłądzić czuciem, czucia się wyrzeka,
 W urojone granice przed sobą ucicka,
 Obojętny z układu, szydzi, gdy się lęka,
 Tak, zawsze z samym sobą w nieustannym sporze
 I znieść jarzma nie zdoła i zrzucić nie może.

ZDZISŁAW. Z niektórych względów obraz rzetelny, niestety!
 Lecz z drugiej strony Alfred posiada zalety,
 Które....

ELWIRA.

Pst. Otóż oni. Oddalić się wolę;

Waćpan, panie Zdzisławie, pamiętaj na rolę.

(odchodzi z panną Martą razem, zatrzymawszy się nieco w głębi).

SCENA VIII.

ALFRED, ZDZISŁAW.

(wyrwawszy się Marcie w pół ulicy, zmordowany).

ALFRED. Ach Zdzisławie, Zdzisławie! tego już za wiele,
 Dziś jeszcze albo sobie, albo jój w łeb strzelę.

ZDZISŁAW. Ależ dlaczegoż znowu rozpaczać tak bardzo?
 Przykro, pewnie; lecz ludzie, co tak jak ty gardzą....

ALFRED. Żenić się, nie ożenić, nie to mnie zastrasza,
 Lecz kłopot, śmieszność ściągę. . wieść się już rozgłasza.

ZDZISŁAW. Ha! wcześniej, później, trzeba szaleństwa opłacić.

ALFRED. I owszem... wszakżem mówił, chcę zapis utracić.

Lecz ta mara piekielna, krwawa moja plaga,
 Ręki mojej jedynie gwałtem się domaga.
 Powiada, że sąd tylko rozłączyć nas może;
 Pozywajże się teraz! A jeśli położę
 Nagłym odjazdem koniec tój przeklętej sprawie,
 Jeśli wszystko bez względu losowi zostawię,
 Zatem nie uczyniwszy wyboru w tój dobie,
 Nie zatrzymam i reszty majątku przy sobie.

ZDZISŁAW. Ha! w samą rzecz przykro, jest na co narzekać,
 Ale dobrze zrobiłeś, żeś nie chciał uciekać.

ALFRED. Nie było sposobności; szukałem oczyma,
 Czy jakiej gdzie uliczki lub zakątku niema,
 Którędyby najprędzej ujsć można pogoni,
 Lecz nie mogłem mej ręki wydobyć z jęj dłoni;
 A gdym chciał trochę silniej od siebie oddalić,
 Poczęła tak się gniewać, tak piskliwie żalić,
 Że bojąc się wśród ludzi wznawiać takie wrzaski,
 Szedłem rad nie rad szukać nieszczęsnęj kolaski.

ZDZISŁAW (*śmiejąc się*). Zasłyszała więc pewnie nasz układ w tój mierze?

ALFRED. Pewnie. Wystawże sobie, jaki mnie strach bierze,
 Gdy widzę, że mnie ciągnie przez sam środek miasta:
 Im dalej, tём okropniej moja hańba wzrasta;
 Lecz ona nie nie pyta, mimo ścieżki broczy,
 Wrzeszczy, staje, rozprawia, ściąga na nas oczy,
 A ja teraz z nią razem, celem pośmiewiska,
 Zakrywam się, krew ledwie z twarzy mi nie pryska,
 I modłę się gorąco, by ziemia prysnęła,
 I mnie bez tój poczwary w głębi pochłonęła.
 W końcu kilku znajomych postrzegam zdaleka..
 Zimny pot mnie oblewa, wiem już, co mnie czeka,
 I tak nagle uczuвам i hańbę i trwogę,
 Że zbladły i bez technienia postąpić nie mogę.
 Wtedy spojrzawszy na mnie przewodniczka sroga,
 Zwraca się, milczy, pędzi gdzie najkrótsza droga,
 I nimem mógł zmiarkować, już byłem w ogrodzie.
 (*po krótkim milczeniu*).

Cóż teraz będziemy robić?

ZDZISŁAW. Myśleć o rozwodzie.

ALFRED (*śmiejąc się*). Alboż mam żonę?

ZDZISŁAW. Żenić? Ale żenić się wypada.

ALFRED. Żenić? Całuję nóżki! A to piękna rada!

ZDZISŁAW. Wierz mi, Alfredzie, z tobą wybiegów nie robię;
 Oryginalność w ludziach śmieszna sama w sobie;
 Ale ten jeszcze więcej śmiech szyderski wzbudza,
 Co ciągle za nią goniąc próżno się utrudza;
 Co zawsze ogłaszając, że tam czegoś dopnie,
 Miast na wyższe, na niższe, przenosi się stopnie,
 A ci, którzy myśleli coś rzadkiego widzieć,
 Muszą się tylko w końcu swęj uwagi wstydzić.
 Wierz mi, ta wśród hałasu bezowocna praca,
 Jest zawsze w oczach świata koziołkiem pajaca.

ALFRED. Wesolys, jak uważam, pelen wyobraźni:
 Nie tegom się spodziewał po twójej przyjaźni.
 Zatem, mam się z nią żenić? (*śmieje się z przymusem*).

ZDZISŁAW.

Niech cię to nie gniewa,

Lecz jak ja, tak i każdy tego się spodziewa.
Pan Alfred, każdy powie, czyniąc te układy,
Mógł wszystkie w swych życzeniach przewidzieć zawady,
Zatem, ślub z panną Martą... lub wiara złamana.
Bo jakim bądź sposobem, kiedykolwiek dana,
Święta zostać powinna każda obietnica.

ALFRED.

Między radą a dziełem wielka jest różnica.
Lecz to zdanie tak nowe, pan mi pewnie powie,
Cóż za łasec przypisać?

ZDZISŁAW.

Memu rozsądkowi.

ALFRED. Mieć rozsądek dla siebie jest już bardzo wiele.

SCENA IX.

ALFRED, ZDZISŁAW, PANNA MARTA, (później) ELWIRA.

PANNA MARTA. A coże to, kłótnia? co? zaraz was rozdzieli,
Chodźżeż do domu.

(*bierze pod rękę Alfreda i ciągnie ku wychodowi, gdzie ich Elwira spotyka*)

ALFRED (*nie uważając idzie z Martą, zajęty Zdzisławem*).

Łatwo pan przemieniasz zdania.

PANNA MARTA. Da, już dziesiąta biwszy a ja bez śniadania.

ELWIRA. A, wiesz! jak widzę, wszystko już skończono:
Jéjmość panna zapewne jego narzeczona?

PANNA MARTA. Da jestem, dobry Boże! choć się człowiek wzbraunia,
Jednak go w końcu zmiękczą usilne błagania;
Nie mogłam dłużej patrzeć na miłośną mękę,
Rumieniec skrył jagody, i oddałam rękę.

ELWIRA. Mogę z panem Alfredem pomówić, dwa słowa? .

PANNA MARTA. O, na wszystkim, panienko, zezwolić gotowa.

Nie trzeba być zazdrośną, co? (*do Alfreda*)

Prawda, kochanie?

Między nami to czucie nigdy nie powstanie.

Ją z tym panem tymczasem... lecz jak ty beze mnie?...

ZDZISŁAW (*podając rękę Marcie*).

Fraszki.. wszak wiem, gdzie mieszka... kryłby się daremnie.
(*odchodzi*).

SCENA X.

ELWIRA, ALFRED.

ELWIRA. Julii tu przed sobą widzisz waćpan siostrę.

ALFRED. Julii?

- ELWIRA. Tak, przebacz mi, wyrazy dość ostre...
- ALFRED. Julii? więc Elwiro?...
 ELWIRA. Tak jest.
 ALFRED. W jakiż porze
 Poznają cię, Elwiro! Cóż cię wracać może?
 Ach, jakim przeznaczeniem, jakimże przypadkiem
 Powtórnie moich szaleństw stajesz się dziś świadkiem?
- ELWIRA. Kiedy więc błąd poznajesz, przebaczysz wyrazy
 Mszczące się mojej siostry bolesnej urazy.
 Przyznam się nawet szczerze, że ledwiem przybyła,
 Całą moję wymowę ku temum zwróciła,
 Aby miłość Julii w obojętność zmienić,
 Któręj dzielić nie możesz, bo nie umiesz cenić;
 A gdy dziwném zdarzeniem, nadszedłszy tu rano,
 Poznałam cię, Alfredzie, przez prośbę podaną,
 Gdym o twoim zamysle wiadomość powzięła,
 Myślałam, że z nią łatwiej dokonam już dzieła;
 Ale próżne mniemanie i próżna wymowa:
 Julia mnie nie słucha, giną moje słowa
 I nie dość jeszcze na tém... prośbami mnie skłania,
 Bym wróciła do ciebie, mimo mego zdania,
 I jej rękę z majątkiem przyniosła ci w darze,
 Jeżeli ci los w twoim nie sprzyjał zamiarze.
- ALFRED. Julia cię przysyła? ona to zrobiła?
- ELWIRA. Tak, ona to zrobiła, ona mnie przysyła.
- ALFRED. Julia, której miłość, zawsze w jednym stanie,
 Stwierdzała codzieln we mnie to mylne mniemanie,
 Że ni władza bojaźni, ni popęd nadziei,
 Nic jej wyrwać nie zdoła z zwyczajnej kolei;
 Że mając tylko w duszy sąd świata na względzie,
 Każdą swą czynność ściśle poddawać mu będzie,
 I że u niej, dać rękę błaganą w pokorze,
 Jest wszystkiem, czego miłość odważyć się może?
 I ona teraz dla mnie łamiąc wszystkie względy,
 Niepomna swój urazy, przebacząc błędy,
 Pierwsza miłość oświadcza, sama rękę daje?
 Ach, teraz los dopióro srogim mi się staje!
 Teraz widzę nieszczęście w niezbędnym rozdziele;
 Teraz dopióro czuję, jak straciłem wiele!
- ELWIRA. Straciłeś? albo myślisz...
- ALFRED. Tę pojąć za żonę.
 O, nie! Ale spełniwszy układy zrobione,

Będę... jestem już wolny... ale bez majątku...
 Mało mi się zostanie, a chociaż z początku
 Julia mym uczuciom prawdziwym uwierzy,
 To później, gdy rozważą moją czynność zmierzy,
 Może innym powodom...

ELWIRA. Porzuć wczesną trwogę;
 Miłości jój...

ALFRED. Miłości jój wyrzec się mogę,
 Ale szacunku nigdy... poddam się losowi,
 A co cierpię... gdy kocha... niech jój serce powie.

ELWIRA. Alfredzie, twoje słowa dojdą niezawodnie;
 Zbłądziłeś wprawdzie, lecz błąd naprawiłeś godnie,
 I jeśli me życzenia zostaną spełnione,
 Znajdziesz w małej odmianie, i szczęście i żonę.
(odchodzi).

SCENA XI.

ALFRED.

ALFRED. Teraz dopiero szaleństw obfity plon zbieram:
 Szczęściu całego życia gwałtem się wydzieram.
 Nie dość, żem nieszczęśliwy, nie dość, żem szalony,
 Złamię słowo honoru i będę wzgardzony
(rzuca się na krzesło i opiera się o stół).

SCENA XII.

ALFRED, PANNA MARTA.

PANNA MARTA. Coże tu na rozmowach minie doba cała?

ALFRED *(nie widząc jój)*.

Ach Julio! zemszczonaś została!

PANNA MARTA *(siada koło Alfreda, który tyłem obrócony, i mówi, tracąc akcent nieznacznie, swoim głosem)*.

Alfredzie, czemuż znowu ten smutek posępny?

Nie mogę nawet myśleć, abyś był występny.

Oko twoje zaświadcza spokojność sumienia,

Odsłoń mi twoją duszę, powierz mi strapienia:

Już moim obowiązkiem twoje troski słodzić.

Powiedz... poniósłżeś straty?... Te można nagrodzić,

A nie można, to w czasie poszukaj osłody.

Możesz sobie świat sprzykrzył? Alfredzie, tak młody!

Jeżeli masz przykrości, masz także nadzieję,
Wszak dla ciebie kwiat szczęścia dopięro się sieje.

(po krótkim myśleniu).

Możesz miłości ufal, miłość cię zdradziła?
Może w zbytnim szafunku osłabiła jęj siła?
Albo każdy twój zapal, zowiąc tēm nazwiskiem,
Czystyś jęj urok zrobił twych zmysłów igrzyskiem?
Może rozsądek wszelkie uczucie zwycięża,
Jako niegodne duszy nieczgiętego męża?
Wierz mi, w nagrodę cierpien niebo miłość dało,
Nie szafujmy nią nadto, ani nadto mało,
Niegodna nas upodla, uszlachetnia prawa;
Ona, jak anioł cnoty, w świecie przy nas stawa,
I powolnym jęj wodzy, wspartym na jęj lonie,
Zapewnia szczęście w życiu, lżę czystą po zgonie.
Ach, czyż do twego serca zniszczyłeś już drogę?
Nie będziesz mnie kochał?

ALFRED *(który z razu nie słuchał, potēm uważał, na końcu zapomniat, kto mówi i z przyjazném uczuciem się obraca, postrzegłszy jęj brzyd-kość, mówi, znouwu się odwracając).* Dalibóg nie mogę.

PANNA MARTA *(mówi akcentem litewskim, zdejmując kapelusz i t. d.).*

Dobrze, niewdzięczny, dobrze, łamiesz twoje słowo;
Zechcesz, lecz po niewczasie dać mi go na nowo...
Nie potrzebuję serca, które tak uparte...
Zapis, nie zapis, zdzieram. *(drze i rzuca papiery).*
Masz, poznajżęz Martę!

ALFRED *(obraca się).*

Julia!... Ty?... Julia!..

JULIA *(z akcentem).* Cożę cię to dziwi?

ALFRED. Ty... ty... bylaś.. jesteś!.. tą?...

SCENA XIII.

ALFRED, JULIA, ELWIRA, ZDZISŁAW.

ELWIRA. Co cię uszczęśliwi.

JULIA *(pół żartem).* Nie, wzgardził moją ręką.

ALFRED. Tyle jestem winny,
Że sam nie śmiem, lecz za mnie, niech błaga kto inny:
Elwiro i Zdzisławie...

JULIA. Nie, nie.

ELWIRA. No, szal! zgodal
Alfred klęknie, Julia... *(bierze za rękę Julię).*

- JULIA (*nie wzbraniając się*). Nie, nie...
 ELWIRA. Rękę poda. (*łączy ręce*).
 Tak, otóż macie koniec.
- JULIA. Ale mnie się zdaje,
 Że ja w tym razie nadto powolną zostaję.
- ZDZISŁAW. Prawda, nie trzeba było jeszcze dawać ręki;
 Panicz wart nie za jedno trochę dłuższej męki.
- ALFRED. Nie, na uszczęśliwienie nigdy nie jest wcześniej,
 Zwłaszcza tych, którym chwile snują się boleśnie.
- ZDZISŁAW (*do Alfreda*). Teraz odmiany zdania. .
- ALFRED (*ściskając mu rękę*). Kochany Zdzisławie!
 Objasnienia zaś wszystkie na potém zostawię.
- JULIA. Wszak wszystko łatwo zgadnąć: ogrodnik tą drogą,
 Niby dla jój naprawy, nie puszczał nikogo.
- ELWIRA. Ja i moja służąca, co Pawełka woli,
 Ułatwialiśmy tylko wstęp główniejszej roli.
- JULIA. A twój Jan, gdy się pana szaleństwem zatrwożył,
 Ów sławny twój testament w moje ręce złożył.
- ALFRED. Gdy się więc wszystko kończy w najlepszym sposobie,
 Gdy już znajduję żonę, z nią szczęście w tój dobie,
 Przyznajcież mi waćpaństwo, ach, przyznajcie szczerze,
 Że jest snąć jakieś bóstwo, co szalonych strzeże.

ODLUDKI I POETA.

KOMEDYA

W JEDNYM AKCIE, WIERSZEM.

Pająk szuka jadu, ale pszczoła miodu.
And. Maks. Fredro.

O S O B Y,

ASTOLF.

CZESŁAW.

KAPKA, oberzysta.

ZUZIA, jego córka.

EDWIN.

Scena w oberży małego miasteczka.

SCENA I.

(sala; drzwi numerowane; stoliki po obu stronach).

KAPKA, ZUZIA. (*Zuzia przy stoliku czyta z wielką uwagą rękopism*).

KAPKA (*za drzwiami*).

Kawa pod numer czwarty! na salę herbata!
Jest tam kto! aj, śmietanka! aj! tamże do kata!
Jest tam kto! Zuziu! Zuziu! (*wbiega trzępiąc palcami, po-
strzega czytającą, skrada się i wyrywa poszyt*)
To czas na czytanie?

ZUZIA (*zrywając się*).

Ja zaraz... ja bo, ojczec... (*chce odejść*).

KAPKA (*groźnie*).

Zuzia tu zostanie!

Dopókiż gadać będę i jedno powtarzać,
Aby wszędzie zaglądnąć, na wszystko uważać,
Śmietanka już w popiele, ojciec w palce dmucha,
A moja panna Zuzia nie patrzy, nie słucha.
Córko! czy ty chcesz zniszczyć mego domu sławę?
Panowie od godziny czekają na kawę,
A kawa jeszcze w puszcze, może nie zmielona.

(*zalamując ręce*)

Córko! na moją hańbę wyszłaś z mego łona!...
Jeden już ostrém słowem dał się słyszeć przy mnie,
Drugi, gdym zaczął mówić o dzisiejszym zimnie,
Najgrzeczniej ani mruknął, ale drzwi otworzył;
A lubcia czyta... i co!... dłońbym w ogień włożył,
Ze... (*patrzy w poszyt, Zuzia chce odebrać*)

ZUZIA.

Już kawa...

KAPKA.

Że wiersze.

ZUZIA (*chcąc dostać*).

Proszę.

KAPKA (*odsuwając się*).

I ja proszę.

Wiersze! I ja przez wiersze taki wstyd ponoszę?
(*wyrzuca przez okno*)

Precz!

ZUZIA.

Cóż pan Edwin powie?

KAPKA.

Bardzo o to stoję.

Niech się rozgniewa... owszem... I lekcye twoje
Już się dziś skończyć muszą...

ZUZIA.

Już?

KAPKA.

Nie dość pół roku?

ZUZIA.

Czemu dłużej nie można?

KAPKA.

Bo mam rozum w oku.

ZUZIA.

Ależ ja mało umiem.

KAPKA.

Lepiej umieć mało,

Jak się przeuczyć.

ZUZIA.

Jeszcze choć rokby się zdało...

KAPKA.

To, to, to, proszę kogo! rok!... czemu nie dwa, trzy?
Lecz moje oko widzi, gdzie pan Edwin patrzy,
Gdzie i panna Zuzanna .. widzi doskonale,
Nie w książkę, szkoda mówić, o, nie w książkę wcale;
Wiem, co znaczy, gdy jedno przy drugim usiedzie,
Lecz jakim Józef Kapka, nie z tego nie będzie.

ZUZIA (*plącząc i całując go w rękę*). Mój ojczel!

KAPKA.

Ba, ba, ba, ba, o lzy tu nie idzie,
Wtedyby szło dopiero, jakbyś była w biędzie.
Twój Edwin jest poeta... pięknie wiersze składa;
Ale jak każdy drugi, i poeta jada,
I żcna przy miłości sławą żyć nie zdoła,
Wkrótce i dziecko także, papuniu, zawoła,
A on choć dniem i nocą popracuje szczerze,
Da wam odę na obiad, bajkę na wieszczkę;
Ale oda nie rosół, bajka nie pieczenia,
A zatem nie nie będzie z waszego marzenia.

ZUZIA (*plącząc*). Niedawno był i dobry, i mądry, i grzeczny,
Ale dziś, dziś na wszystko pada wyrok sprzeczny.

KAPKA.

Dawniej dość go lubilem, nikt tego nie przeczy,
Pókim myślał, że z niego będzie co do rzeczy;
Ale, kiedy pan Edwin, jak szalał, szaleje,
Darmo-że mam tę samą zachować nadzieję.
Został pisarzem miejskim, urząd nie pętelka,
Stąd godność i estyma, stąd i korzyść wszelka:
Kiedy wyjdzie na rynek, każdy czapkę chwytą.
Mówi mu, *mój Jegomość*, i uprzejmie wita.
Płaca także uczciwa co kwartał do worka,
Nie bez tego, by nie szła czasem i sikorka;
Mógłby już przyjść do czegoś... ale nie zatrzyma-
Szastum prastum tu, ówdzie... nigdy grosza niema.

I pan Burmistrz się skarży, już to nieraz słyszę,
 Że zamiast protokołów, wiersze tylko pisze,
 I tak mu dom przekreślił, o, hańbo! o, zgrozo!
 Że pani Burmistrzowa nie chce gadać prozą;
 I dzieci, mamki, czeladź, co chodzi, co gada,
 Ani zapędź do pierza, bo poezye składa.

Nawet stary pacholek, próżniak nad próżniaki,
 Zrobił, czy dyabeł nadał, cztery krakowiaki.

ZUZIA. To wszystko tylko bajki, wierz, ojczu kochany.

KAPKA. O nie... tu u mnie takiej nie będzie odmiany;

Więc abym wcześniej wszelakiej zapobiegł zdrożności,

Niech sobie pan poeta w innych domach gości,

Niech już nieba, co gromią, miłości, co dręczą,

Jęczą, męczą, kawęczą, w uszach mi nie bręczą.

SCENA II.

KAPKA, ZUZIA, ASTOLF.

ASTOLF. Czyś Waćpan dziś oszalał!

KAPKA (*kłaniając się*). To jest ostre słowo.

ASTOLF. Kawa! (*Zuzia wybiega*)

KAPKA (*chwytając się za głowę*).

Kawa, ach kawa, biednaż moja głowo!

(*obracając się, gdzie Zuzia stała*)

A biegajże mi żwawo... A, łaskawy Boże,

Jak która zacznie gadać, to skończyć nie może.

Zaraz wyborna kawka... zaraz... zaraz będzie.

(*ścierając stół, na stronie*)

Wszystko to ten poeta! (*do Astolfa*)

Niechże pan usiędzie.

ASTOLF (*wyciągając się na krześle*).

Uprzejmość zawsze miła, choćby i o głodzie,

Przecież już w polskich karczmach grzeczność teraz w modzie.

KAPKA. Karczmach?

ASTOLF. Jakże zwać ten dom i brudny i długi,

Gdzie konie obok ludzi, gdzie jeden i drugi

Wchodzi, wjeżdża, wyjeżdża, zamyka, otwiera,

A jeden tylko mieszka i tych wszystkich zdziera.

KAPKA. To nader ostre słowo.

SCENA III.

ASTOLF, KAPKA, CZESŁAW.

CZESŁAW (*siadając przy stoliku po lewej stronie*).

Herbaty!

KAPKA.

Już daję. (*ku drzwiom*).Herbaty! (*ścierając stół, na stronie*).

To poeta tak mi w gardle staje;

Poczekaj!

ASTOLF.

Gospodarzu, wszakże ta osada,

Jak mi się zdaje, tytuł miasteczka posiada?

KAPKA.

Która?

ASTOLF.

Ta, gdzie jesteśmy.

KAPKA (*otwierając okno*).

To jest do widzenia.

ASTOLF.

Ha! cóż tu do widzenia? co? Jakie sklepienia

Podziemnych lochów, więzień! gdzie dla ciekawości

Dotąd jeszcze w łańcuchach trupiejszej kości?

Zabytki złotych wieków, tych wieków prostoty,

Za którymi utulić nie mogę tęsknoty!...

A może wieża, kolos, co chmury różnąca,

Pomnik sławy jednego, ucisku tysiąca?

Pokażże, pokaż prędko.

KAPKA.

Wprawdzie ak dalece ..

ASTOLF.

Albo może tamten most, na wyschniętej rzece,

Co się trzęsie jak w febrze? za który się płaci?

KAPKA.

Most podupadł, a płaca...

ASTOLF.

Dla dobra współbraci.

KAPKA.

Pan Burmistrz ustanowił...

ASTOLF.

Wyrokiem uświęcił:

Niech podróżny zapłaci, że karku nie skręcił.

Lecz więcej z dawnych dziwów, czyż to miasto niema?

Cóż? jakie żebro tura, albo żąb olbrzymia;

Albo skałę, co dyabeł upuścił z niemocy,

Jak kogut we wsi zapał o samą północy?

KAPKA.

Jest stary ratusz... (*odchrząknąwszy*).

Mówią, że gdy panowanie...

ASTOLF.

Gospodarzu, czy kawy w tym mieście dostanie?

KAPKA.

Ach zaraz! (*na stronie*)O poeto, niech cię piorun trzaśnie! (*ku drzwiom*)

Héj kawy! kawy prędzej!... Otóż niosą właśnie.

(*służący przynosi kawę i herbatę i stawia na stoliku; do Astolfa*)

Arcy wyborna... mokka...

(*do Czesława*) Sam kwiat, arcy czysta...

ASTOLF. Jak się Waćpan nazywasz, panie oberżysta?

KNPKA. Józef Kapka, do usług... (*na stronie*)

Cel-em pośmiewiska...

ASTOLF. Hm! prawdziwem szlachectwem jest piękność nazwiska.

KAPKA (*klaniając się*).

Łatwiej czasem wznieść śmieszne, niż utrzymać piękne.

ASTOLF. Jest więc i sentencya.

KAPKA. Zginę, umrę, pęknę...

O, przeklęty poeto!... Wszystko przewidziałem...

Poczekaj!

CZESŁAW (*z flegmą*). To rumianek, ja herbaty chciałem.

KAPKA. O dla Boga! rumianek!... to dla mojej żony...

O wiersze, wiersze! przez was jakżem dziś zhańbiony!

(*wynosi tacę*)

SCENA IV.

ASTOLF CZESŁAW.

ASTOLF. Co temu tylko wiersze i poeta w głowie?

(*po krótkim milczeniu*)

Cóż tam, panie Czesławie, jakże dzisiaj zdrowie?

CZESŁAW. Jak zawsze.

ASTOLF. Spaleś długo.

CZESŁAW. Dość życia zostało.

ASTOLF. Wiem... w śnie chcesz szukać szczęścia; ale go tam mało.

Raczej resztę w nim stracisz. I z tegoto względu

Nie lubię chwili, często przyjemnego błędu:

Wznosić nieszczęśliwego z zwyczajnej kolei,

By mu pokazać szczęście lub powab nadziei,

By obudzić uśpione jego serca bicie,

I znowu go wytrącić w oplakane życie,

Gdzie ledwie wytrwać może pod losu uciskiem,

To jest tylko szyderskiem natury igrzyskiem.

CZESŁAW. Ach, ulgą, powiedz.

ASTOLF. Ulgą, jakiej ten doznaje,

Komu płomień zwalniają, gdy na stosie staje.

Dusza, co wytrwać może, wytrwa tylko tyle;

Ale odsuń marzenia, zostaw własnej sile!

I gdy ciężar cierpienia nieść mamy po świecie,

Nieśmyż go bez spoczynku, póki nas nie zgniecie.

(*długie milczenie*)

Wszakże razem i dalej pojedziem ze sobą?

CZESŁAW. Nie.

ASTOLF. Dlaczego? A prawda, z weselszą osobą,
Przyjemniej ci czas minie. Weź więc towarzysza,
Który rozmową bawi i sobą rozśmięsza;
Weź miejskiego trefnusia, co ten dar posiada,
Co umie łatkę przypiąć, dwuznaczności gada,
Z wszystkiego do wszystkiego jak motylek lata,
Co kontent z siebie, ciebie i całego świata,
I który na początku ostrój życia drogi,
Skacze jak cap ofiarny, gdy mu złocą rogi.

CZESŁAW. Nie, Astolfie... nie szukam wesołości wcale,
Owszem... wesołość razi... zwiększa moje zale;
Lecz twój sposób myślenia, to ci powiem szczerze,
Dwa razy nieznośniejszym dla mnie jest w tej mierze:
Twojem czuciem nienawiść, nienawiść rozkoszą,
Każdemu twoje słowa co chwila ją głoszą,
Ulgi nie szukasz, nie chcesz w innym mieć sposobie,
Jak lejąc w cudze serce żółć, co karmisz w sobie.
Kto celem twych urągania, na cóż mieć na względzie?
Niech wszyscy cierpią... wszystkich w jednym stawiasz
rzędzie:

Ciebie i nędzny żebrak na drodze zatrzyma,
Jeśli na swoją nędzę dość uczucia niema.
Zgasić jakąbądź wiarę, jeżeli w nim tleje,
I wyrwać z jego łona ostatnią nadzieję,
To staje ci się ulgą... to twój umysł budzi.
Tak w twym smutku nie stronisz, ale ścigasz ludzi.

ASTOLF. Czemuż mnie to wyrzucasz... Niech ci los zda sprawę,
Dlaczego moje serce tak gorzkie, tak krwawe.

I mnie w Arkadyi pierwszy dzień zabłysnął,

I mnie natura radość w życiu

Zaprzysięgła przy powieciu,

I mnie w Arkadyi pierwszy dzień zabłysnął,

Jednak lży tylko czas rączy wycisnął. *)

CZESŁAW. Któż tego z boskim wieszczem powtórzyć nie może!
Komuż choć raz nie błysły piękne życia zorze,
Któż nie doznał nadziei, i któż jój nie tracił!
Ach, któż uśmiech przelotny łzami nie opłacił!...
I ja się w świat rzuciłem, jak w matki objęcie,
Na tyle szczęścia, zrazu słabe-m miał pojęcie,

*) Schiller, Resignation.

Miłość, czynność, uczciwość, żebrząc podawałem,
 Lecz mnie nie zrozumiano. Czynnego z zapalem
 Zimny przyjął rachunek... ufnego zdradzili...
 Kochającego, w krótkiej zapomniano chwili...
 Odparte wszelkie czucie w sereu tylko wrzało...
 Wygorzało nareszcie... śladu nie zostało. *(spokojniej)*
 Sam więc bez towarzyszków idę w dalszą drogę,
 Stronię ludzi, bo z nimi zgodzić się nie mogę,
 Nie kocham, nie szacuję, lecz nie nienawidzę.
 ASTOLF. Dla mnie nienawiść mało, ja się nimi brzydzę:
 Czy z własnej winy, czy też z natury układu,
 Co ma złości hyena, co padalec jadu,
 Złącz z fałszem, zemstą, myślą, co wszystko docieka,
 I dodaj okrucieństwo, masz duszę człowieka.

SCENA V.

ASTOLF, CZESŁAW, KAPKA *(z herbatą)*.

KAPKA. To mi herbata! lepszej i sultan nie pije...
 To zapach! to moc! Ledwie doniosł, tak w nos bije.
(stawiając herbatę)
 Dodałem pół łyżeczki... kto czeka nie traci...
(do kosztującego)
 Prawda? *(na stronie)*
 Za pół łyżeczki poeta zapłaci. *(do Czesława)*
 Co za smak! prawda? zapach! angielska prawdziwa;
 Cieszy się nosek pański... języzek używa.
(Czesław odwraca się od Kapki, podpierając się na łokciu; — na stronie)
 Nikomum przez poetę dzisiaj nie dogodził.
 ASTOLF. Panie Kapko, czyś Waćpan poetą się rodził?
 KAPKA. Jakto?
 ASTOLF. Czy piszesz wiersze?
 KAPKA. Czy ja wiersze piszę?
 ASTOLF. Ja? Niech mnie Pan Bóg broni.
 Czemuż zawsze słyszę,
 Że poezją wzywasz?
 KAPKA. Ach, wzywam, niestety!
 Bo w gardle stoją wiersze jednego poety.
 ASTOLF. Jakto?
 KAPKA. Rok temu, jakaś pani, stara, chora,
 Wdowa skądś, jakiegoś, nie wiem, profesora,
 Przybyła do nas z synem. Nikt tego nie przeczy,
 Zrazu Edwin był chłopcem dobrym i do rzeczy,

Zarabiał jak mógł, pismem, rachunkiem, usługą,
 A gdy lichy zarobek nie starczył na długo,
 Chętnie, nad siły często, do pracy się stawiał,
 By tylko swojej matce jaką ulgę sprawił;
 Nareszcie sprzedał książki i sprzętów ostatki,
 Na najnędrniejszy pogrzeb, ale pogrzeb matki.
 Ta uczciwość ściągnęła wszystkich mieszczan oczy,
 Każdy dać mu zarobek był zaraz ochoczy;
 A nasz pan Burmistrz, który na wszystko uważa,
 Od razu go posunął na urząd pisarza.
 I ja mu także dałem darmo dwa pokoje,
 By tam czego nauczył Zuzię, córkę moję.
 Ale pan Edwin wkrótce, jak się odpał nieco,
 Nuż do wierszy... a wiersze jakby z worka lecą:
 Zagadki, bajki, ody, czart tam wie nazwiska!
 Piszę a pisze, panie, aż mu pióro pryska.
 Nie dość, całe już miasto jego wiersze czyta,
 Zwłaszcza kobiety, każda jak marcypan chwytą.
 Żadna nie wie, co kura, co jaja, kureczęta,
 Nie wie, co mąka, krupy, a wiersze pamięta;
 A moja panna Zuzia najbardziej bryknęła,
 Czytywać jego wiersze i lubić zaczęła.
 No, myślę sobie, wiersze, kto tam to uważa;
 Ba! aż tu dalej panna z wierszy do wierszarza.
 Hola Mospanie! nie ucz! dyabli z tój nauki!
 Co mi z tego dobrego?

Z tój nauki, wnuki.

ASTOLF.

Do nóg upadam.

KAPKA.

Nie chcesz?

ASTOLF.

Pan nadto wesoły.

KAPKA.

Co, nie chcesz dać mu córki? dlaczego?

ASTOLF.

Bo goly.

KAPKA.

Cóż ci to może szkodzić?

ASTOLF.

A cóż więcęj szkodzi?

KAPKA.

Ale, kiedy córka chce, wszakto o nią chodzi.

ASTOLF.

Jakto, własnemu dziecku nie mam wskazać drogę?
 Nie zapobiedz nieszczęściu, gdy przewidzieć mogę?

KAPKA.

A cóż więc ku rodzicom miłość, wdzięczność wznieci?
 Baśnie, stare powieści o wdzięczności dzieci.

ASTOLF.

Pókiś córce potrzebny, pótyś ojciec drogi,
 Sprzeciwiysz się w czémkolwiek: z ojca tyran srogi.
 Zmusileś ją nareszcie i dobrze się stało:
 To dobro, nienajlepsze, dla nięj zawsze mało;

A cóż dopiero, przymus gdy zły obrót bierze:
 Złorzeczenia rodzicom, to dziecka pacierze.
 I jakąż z losu córki możesz mieć nadzieję?
 Czego się troszczysz, po co głowa ci siwieje?...
 A chceszli gwałtem jaką zniewolić usługą,
 Daj majątek... a dawszy, nie popasaj długo.
 Wtedy dzwony, żaloby, oświadezą ci dzięki
 I dostaniesz nagrobek z twego zięcia ręki.

KAPKA. Już niech tam będzie co chce, ja się nie odmienię...
 Nareszcie i sumienie...

ASTOLF. Co to jest si mienie?

KAPKA (*cofając się*). Co to jest?

ASTOLF. Tak — co to jest.

KAPKA. No... kto ma zasady...

ASTOLF. W dramach, prawda, widziałem okropne przykłady,
 Jak zgryzota sumienia zbrodniarza karząca
 Szarpie w nocach bezsennych i z łoża wytrąca —
 Włos zjeżony—wzrok dziki—w pół nagi—bez technienia.
 I kiedy dobry aktor, dość robi wrażenia.

Lecz w świecie! ile razy widzieć ci się zdarzy,
 Widzisz łotrów opasłych, rumianych zbrodniarzy,
 Chrapią na miękkich łożach i z sumieniem razem,
 Kolysani w śnie jeszcze swych zysków obrazem.

KAPKA. Dobrzej nocy im życzę.

ASTOLF. Nie dręcz się więc trwogą.

Wydaj córkę, niech idzie zwykłą teraz drogą;
 Że ci najlepiej radzę, poznasz w rok dopiero.
 Bo widzisz, kochają się, potem się pobierają,
 Potem ona go zwiedzie, potem on porzuci,
 Potem płacz, jęk, a potem do ciebie powróci.

(*śmiejąc się wychodzi*).

SCENA VI.

KAPKA, CZESŁAW (*dostaje książkę i czyta*).

KAPKA. To mi panicz do rady, niechże Pan Bóg bronii!
 Aż mi się w głowie kręci, aż mi w uszach dzwoni.
 A to jakiś heretyk, a to bez czci, wiary!

A co za język!... Czekał, nie ujdiesz bez kary.

(*siała przy stoliku, dobywa z pugilaresu rachunek i ołówki; mrucząc*)

Stancya, światło, kawa, wino, sér, sałata...

Summa złotych dwanaście... zapłacisz dukata.

(*chowając rachunek*)

Wszystko zganił, obgadał, we wszystko się wścibił...
I ten... siedzi jak mruk... hm!... także mi uchybił...

(*dostaje drugi rachunek*)

Od niego... złotych dziewięć... dwanaście zapłaci;
Tak... niech kochają ludzi jakby własnych braci.

SCENA VII.

KAPKA, ZUZIA, CZESŁAW (*czyta, tyłem do nich obrócony*).

KAPKA. Panno Zuzanno!... bliżej... jeszcze... w górę głowa...
Jeszcze... uważać teraz wszystkie moje słowa:
Jestem ojcem Waćpanny... wiesz o tém Waćpanna?
Wiesz?

ZUZIA. Wiem.

KAPKA. Kocha cię Edwin? (*milczenie*)
Odpowie Zuzanna?

ZUZIA (*cicho*). Kocha.

KAPKA. Kochasz ty jego?

ZUZIA (*ciszéj*). Kocham.

KAPKA. Chce się żenić?

ZUZIA. Chce.

KAPKA. Ty, chcesz pójść za niego?

ZUZIA. Jeżeli mam cenić...

KAPKA. Chcesz czy nie?

ZUZIA. Chcę, chcę.

KAPKA. Szczerze?

ZUZIA. Całą duszą moją.

KAPKA. Gdy więc twoje nauki na tym stopniu stoją,
Gdy on kocha, ty kochasz, kochacie wzajemnie,
Gdy tylko pozwolenia czekacie ode mnie,
Jako ojciec troskliwy o swe własne plemię,
Ojciec dobry, powolny, a nie bity w ciemię,
Twoje dobro jedynie mający na względzie,
Daję rękę... że z tego... nic a nie będzie.
ZUZIA. Spodziewam się...

KAPKA. Zuzanna niech się nie spodziewa.

Izdebka darmo dana, gdzie poeta śpiewa,
Na kapustę potrzebna. Niech mi się wynosi,
I po innych już strychach swoje wiersze głosi.
ZUZIA. Za cóż go tak wypędzać, i znieważać za co?
Toż on zasłużył od nas swoją szczerą pracą?

- Jeżeli go nie kochać, wdzięczną mu być muszę,
On stworzył, ukształcił i wznosił moją duszę;
Dlaczegoż tobie, ojcze, niema być przyjemnie
Widzieć ten postęp świata, tę odmianę we mnie?
- KAPKA. Nadto, nadto jej rozum za tém światłem śpieszy;
Mędrszą już od prababki, i to mnie nie cieszy.
Naco, poco tych nauk? jak Kapki Kapkami,
Żadna Kapczanka nauk nie brała wierszami.
- ZUZIA. Ależ kochany ojcze, mylnie wnosisz sobie,
Że nad czytanie wierszy, nie więcej nie robię,
Przeciwnie, te czytywać niedawnom zaczęła.
- KAPKA. Cóż więc? czego się uczysz? jakie umiesz dzieła?
- ZUZIA. Uczę się historyi.
- KAPKA. Na co to się zdało!
Wiedz, co się z tobą dzieje, nie, co gdzieś się działo.
- ZUZIA. Także geografii.
- KAPKA. Jeszcze czego, proszę!
Jaka na filozofa! I ja mylnie wnoszę?
Żeby choć jeden przedmiot, jeden nienaganny!
Także obcych języków.
- ZUZIA. Dość jeden dla panny.
Rachować, czytać, pisać, to mądrość kobiety;
Summa summarum żoną nie będziesz poety.
Powiedz mu, jak tu przyjdzie, jakie me rozkazy,
I powiedz, że jednego nie mawiam dwa razy.

SCENA VIII.

ZUZIA, CZESŁAW (*jak wprzód*).

- ZUZIA. Skończyły się dni szczęścia, zaczęły niedoli,
Jak tamte szybko zbiegły, te pójdą powoli.
Czemuż świat nowy moja rozpoznała dusza,
Kiedy stan mój w dawniejszym zostawać przymusza?
Na toż poznając miłość, najczystsza-m poznała,
Aby ją tracąc, boleść dwojaką się stała?

SCENA IX.

ZUZIA, EDWIN, CZESŁAW (*jak wprzód*).*(Edwin mówi zawsze z czuciem, często z uniesieniem)*

- EDWIN. Wiadomość, droga Zuziu, obojgu nam miła...

Ale nie jesteś sama...

- ZUZIA (*ciszéj, przy przeciwnéj stronie Czesława*).

Jakbym sama była:

- Od godziny tak siedzi, nie słyszy, nie gada,
Chcąc nawet aby słuchał, prosić go wypada.
Czy głuchy?
- EDWIN. Nic.
ZUZIA. Niemy?
EDWIN. Nie.
ZUZIA. Cóż?
EDWIN. Nie wiem.
ZUZIA. Choroba?
- To wiem tylko, że mi się całkiem nie podoba.
Dwóch, jeden jak i drugi, zły, groźny, ponury,
Zajechali tu wczoraj jak dwie czarne chmury,
A juźci grzmoty, hałas nieustanny w domu,
I na nas wszystko spada, co zagrozi komu.
- EDWIN. Jakto?
ZUZIA. Znasz mego ojca, jak rozmawiać lubi,
Jak się chętnie dostatkim swego domu chlubi,
Jak go boli i martwi, kiedy kto co zgani;
A ci jemu na przekór jak gdyby wybrani,
Jeden z nim mówić nie chce, drugi wciąż go laje,
Albo drażni drwinkami, gdy nagan nie staje,
Tak, że się już mój ojciec nie posiada w złości
I ciebie tém obdarza, czém nie może gości.
- EDWIN. Mnie?
ZUZIA. A ciebie, bo twoja sprawiła sielanka,
Że kiedy ją czytała, wybiegła śmietanka;
Że kiedy z sparzonemi wpadł ojciec palcami,
Byłam zajęta... i czém, niestety!... wierszami.
Ztąd spadła wszystkich nieszczęść na wiersze przyczyna,
A z wierszy na nauki, z nauk na Edwina;
Słowem przyrzekł, że mając me szczęście na względzie,
Z naszój czulej miłości nie a nie nie będzie.
Mojój prośby nie słucha, z moich łez się śmieje,
A ja widzę, że próżno mieć dalej nadzieję.
- EDWIN. Ja tak myśleć nie mogę. Ach Zuziu kochana,
Nie tak skąpo nadzieja sercom naszym dana,
Aby lada przeciwność mogła ją niweczyć.
Przykre nasze stosunki, trudno temu przeczyć;
Ale miłość prawdziwą, i czystą jak nieba,
Aby zniszczyć... o, ileżto na to nie trzeba!
Węzeł duszę łączący nie tak łatwo skruszyć.
Wzdryga się ludzka władza siłą go naruszyć,

Przeznaczenie go nawet szanować się zdaje,
 A każda mu sekunda świętości dodaje.
 Jeśli więc czasem chmura słońce nam zasłoni,
 Czekajmy, może wkrótce wietrzyk ją przegoni;
 Jeśli nam przeciwności przygaszą nadzieje,
 Czekajmy, może wkrótce znowu nam zatleje.

ZUZIA. Ty wzięłaś moją duszę, ja nie mam jej w sobie,
 Myślę, gdy ciebie słucham, żyję, gdym przy tobie,
 W tobie mój los obecny, moja przyszłość cała,
 Ty nie tracisz nadziei, jam ją odzyskała.

EDWIN. Oto właśnie z stolicy listy odebrałem:
 Sztukę moją już grano... przyjęto z zapalem.
 Imię autora, ojca zasługi wspomniało,
 Którego wiele czczono, nagrodzono mało;
 Kilka już osób ceniąc mój talent laskawie,
 Obiecało wyrobić, bym miał chleb przy sławie:
 Urząd przy bibliotece nieznaczący wiele,
 Ale który do wyższych drogę mi uściele.
 Weź listy, pokaż ojcu, pokaż i gazety,
 Wyrocznią teraz jedną biednego poety;
 Trudno, by dla tych wieści zmienił swoje zdanie,
 Ale w rozłączeniu nas, mniej skorym się stanie.

ZUZIA. O, ręczę, że jak tylko o wszystkim się dowie,
 Przeciw naszej miłości i słowa nie powie:
 Jesteś sławnym autorem, jesteś na urzędzie,
 Czegoż chce jeszcze... biegnę... wszystko dobrze będzie.

 SCENA X.

EDWIN, CZESŁAW (*jak wprzód*).

EDWIN. Jestem więc „na urzędzie... i sławnym autorem.“
 Szkoda tylko, że światu nie może być wzorem,
 Zatem urząd i sława w nadziei zostanie,
 Lubo droższe nad świata jest kochanki zdanie.

 SCENA XI.

EDWIN, ASTOLF, CZESŁAW (*jak wprzód*).

ASTOLF (*z ironią*).

Pewnie pan Edwin? (*Czesław słucha rozmowy*)

EDWIN.

Tak jest.

ASTOLF.

Wiem z ust gospodarza,

Jakie mu jego talent przeciwności zdarza.
Mówił, że kochasz Zuzię...

EDWIN.

Mówił, ach mój panie,

Ale jak kocham, tego mówić nie był w stanie,
Pierwszym wzbudził jęć czucie, nową duszę stworzył,
Nie, myślę się, jam tylko jęć duszę otworzył.
W zawiązku były nieba najpiękniejsze dary,
Pojęcie, cnota, godność, i miłość bez miary,
Nie mdły rzut oka w oku wysledzał nagrody,
Nimeśmy się kochali, znaliśmy się wprzód;
Przyjaźń zbliżała zwolna nasz zakres daleki,
Nim dusze w jedną istność spłynęły na wieki.

ASTOLF.

Prawdziwie, wieszczym duchem obraz utworzony;
Ale pozwól niech w niego spojrzę z drugiej strony:
Jesteś poeta. . a stąd oczywiste zyski.
Dla poety, to wiemy, każdy stopień nizki,
Przed nim i ścieżka życia w przestrzeń się rozdyma,
Końca na szczytach świata, ani granic niema;
Żeniąc się zaś tak młodo z córką oberżysty,
Zniknie w dymie kuchennym Feba promień czysty.
Dlaczegoż twojej sławie raz zadajesz zgubny?
Stracisz wartość u siebie, stracisz wieniec chlubny,
Co może jakiś, kiedyś gazeciara ci poda,
I tych krwawych poświęceń, jakąż jest nagroda?
Jęć miłość, moje szczęście, to istotne zyski,
I tych pewnie nie zniszczą satyry pociski.

EDWIN.

ASTOLF.

Miłość! miłość kobiety ma wszystko nagrodzić?
Miłoby nam było tym snem się uwodzić,
Gdyby nie przebudzenie, zablizkie niestety!
Wierzysz, biedny, kobietom, nie znasz, co kobiety!
Kocha cię, mówisz, kocha? przysięgać ci będzie,
Życie swoje narazi w szalonym obłądnie,
Spuszcza, byleby z tobą, powabem ją znęci,
Spokój... imię... majątek. . wszystko ci poświęci,
Wtedy tylu dowodom raz zaufasz przecie,
Uwierzysz, że nad ciebie nie już niema w świecie,
Pomyślisz, że i cnotą chcąc się jeszcze szczyścić,
Musi jak powój drzewa, ciebie się uchwycić;
Ale nie! Sama nie wie, mniej czuła niż płochą,
Czy jutro kochać będzie tego, co dziś kocha;
Ginie, kona dla ciebie... i nie zna po chwili.
Wtenczas niech się twój umysł wstrzymać jęć nie sili;

Twoje prawa są niczém, twój gniew nie nie znaczy,
 Z twoich wyrzutów śmieje, cieszy się z rozpaczy.
 O! ten, co swoje szczęście połączył z kobietą,
 Chwycił gałąź bluszczową nad przepaścią skrytą:
 Urywa ją i pada, ginie wśród kamieni,
 A na górze bluszcz bluszczem znowu się zieleni.

EDWIN.

Podług złej malój cząstki całego nie mierzę,
 I będę czczył pleć piękną, póki w cnoty wierzę:
 Pierwszy mój uśmiech, usta do kobiety wzruszył,
 Pierwszą łzę moję oddech kobiety osuszył,
 Pierwsze słowo jęj mowa kształciła pieczęzono,
 Do kobiety najpierw wyciągnął ramiona,
 I kiedy w mgłę dzieciństwa matkę poznawałem,
 Nie wiedząc, co kochanie, kobietę kochałem.
 A jeśli później ojca surowe nauki
 Uczyły, jak żyć trzeba, i cierpienia sztuki,
 Jeśli im winien jestem miłość, stałość w cnocie,
 Nie mniej mozem jest winien i matki pieczęzocie:
 Dobroć, miłość, cierpliwość, najświętsze zasady
 Wpajała w młode serce własnymi przykłady.
 I poznałem, gdym przejrzał lat młodych ciemnoty,
 Że życie dobrej matki—pierwszą szkołą cnoty.
 Upodobanie stałe tój samėj zagrody,
 Gdzie, jakby sen pieczęzający przesnuł się wiek młody,
 Powab, co z blasku świata i sławy zapiału
 W cichy obwód rodziny przyciąga pomału,
 Władzę, co lekkim tknięciem duszę naszą budzi,
 Drażni, aby nagradzać, by upewnić, ludzi,
 I ta pewność, ta pewność, szczęścia czyste źródło!
 Zem zyskał drugie serce, że jest całkiem moje,
 Ta pewność, że w dwóch sercach jedno tylko bicie,
 Komu winni jesteśmy, jeśli nie kobiecie?

ASTOLF.

Wieszczu, teraz postrzegam, już jesteś zgubiony,
 Niema dla cię ratunku... szukaj sobie żony.
 Twój upór jakby siedział we krwi, a nie w duszy,
 Łatwiej go jaki plaster, niżli dowód wzruszy.
 Ale gdy teraz na bok broń satyry złożę,
 Powiedz, u nas twój talent co obiecać może?
 Każdy, co pisze, pisze dla zysku lub chwały;
 Zysku nie znajdziesz wcale, albo bardzo mały;
 I choćbyś był Homerem, gdy pieniędzy nie masz,
 Twój rękopism w szufladzie do śmierci zatrzymasz;

Albo nareszcie drukarz, gdy poprosisz czule,
 Z długim myłek rejestrem wyda na bibule,
 Ale cóż? Nic i z tego... nikt się i nie spyta,
 Bo każdy dziś chce pisać, a mało kto czyta.
 Sława więc, powiesz. Dla nas już minęła pora:
 Europa teraz cała ojezyzną autora
 Niemiec, Włoch i Francyi krzyżują się dzieła;
 Nasze? jakżeto ciasna granica objęła!
 Dwa albo trzy teatry i wózek księgarza,
 To teraz pole sławy polskiego pisarza;
 A te biedne teatry, gdzie na jednej scenie
 Dzisiaj klaszcza Barbarze a jutro Syrenie,
 I szczęście jeszcze, jeśli nie te same usta
 Głoszą śpiew Terefercia i żale Augusta.
 Jednak, jeśli wystąpisz uczniem Melpomeny
 I na pięć długich aktów rozwałkujesz treny,
 Każdy widz już przychodząc smutku się spodziewa,
 I jeśli lez nie roni, to przynajmniej ziewa.
 Lecz wesolej Talii gdy podniesiesz maskę,
 Tylu sprzecznych rozumów jakże zyskać łaskę?
 Ten prawdę, tamten dowcip, ten koziolki lubi,
 Ten znowu z cyrklem tylko, w rozmiarach się gubi;
 Tamten scenie zazdrości jój własnej przestrzeżni,
 Temu ciasna i duszna, gdy się w świat nie zmieni;
 A ci zaś, którym *Geoffroy* pozawracał głowy,
 Którym gazety płacą ich wyrok surowy,
 Co uczą pisać drugich, nim nauczą siebie,
 Białe dotąd swe pióra zaczernią dla ciebie.
 I gdy ich tylko głosy przerwą czasem ciszę,
 Musisz się w końcu spytać: Dla kogo ja piszę?
 Niech nie kazi świętego nazwiska poety,
 Kto trwożném okiem szuka zamierzonej mety:
 Nie zabrzmi lutnią wdzięcznie; próżno w nią uderza,
 Kto liczy własne zyski, korzyści przemierza.
 A jeśli nucić będzie za Fortuny kołem,
 Jeśli swój byt powlecze korném bijąc czołem,
 Nie znajdzie różeczki lauru na spodłone skronie,
 Nie przejdzie grobu sławą i umrze przy zgonie.

(ze wzrastającgm zapalem)

W wyższą, jaśniejszą przestrzeń wieszcz prawy poziera,
 Jemu źródło światłości, niebo się otwiera:
 Stamtąd promień ściągnięty w luby dźwięk rozradza
 I na świat błędnych marzeń nowy świat sprowadza.

EDWIN.

Niech chwyci złoty bardon, wzniesie świetne pienie,
 Leje w duszę, jak strumień, własne uniesienie:
 Za nim błagalne chóry brzmią w świątyniach Boga,
 Nadzieja poi prawych a występnych trwoga;
 Za nim powtórzą wnuki swych pradziadów dzieje,
 A w najzimniejszych sercach chcą sławy zatleje;
 Miłość, co jednym wieńcem objęła świat cały,
 Przejmuje łono wieszczą i wiedzie do chwały;
 Miłość przez jego usta sama siebie głosi,
 I do enoty i zgody każde czucie wznosi.
 A jeśli mu nad grobem wawrzyn się zagęści,
 Jeżeli się przyłożył choć w najmniejszej części
 Do sławy swego kraju, do dobra współbraci,
 To nagroda poety, tej nigdy nie straci!

CZESŁAW. O, zachowuj te myśli: są duszy ozdoba,
 Ich urok sięga wkoło, porywa za sobą. .
 Pomogę ci do szczęścia, spełnię twą nadzieję
 I przy ogniu serc waszych i moje zagrzęję.

SCENA XII.

ASTOLF, CZESŁAW, EDWIN, KAPKA, ZUZIA.

KAPKA (*mając gazety i list w ręku*).

Tam do kata! to dobra! to mi kapitały!
 Krytyki dwa arkusze, trzy wiersze pochwały. (*do Edwina*)
 Jednak gdzieindziej proszę szukać sobie żony,
 Mówilem i powtarzam... Sługa uniżony.

CZESŁAW.

Słuchaj mnie, panie Kapko. Jestem dość bogaty,
 Żyję sam bez przyjaciół, krewnych, nieżonaty;
 Wyrzekłem się już szczęścia, wyrzekłem się ludzi,
 Myślałem, że méj duszy nic już nie obudzi;
 Dzisiaj zapał młodzieńczy, to czyste wejrzenie
 W piękny dar życia, w przyszłość, w całe przyrodzenie,
 Wstrząsało moją istotę... Mogłem łzę uronić...
 Choćby zuów błędnym czuciom nie chcę serca bronić;
 Chcę zapomnieć, com cierpiał, żyć szczęściem Edwina:
 Niech się żeni z twą córką, biorę go za syna.

(*do Edwina i Zuzi*).

Nie chcę od was wdzięczności, miłości nie żądam,
 Niech tylko przy was będąc na szczęście spoglądam.
 Za tyle dobrodziejstwa...

ZUZIA.

CZESŁAW.

Nic darmo nie daję.

EDWIN. Lecz całe szczęście nasze...

CZESŁAW. Mojém się już staje.

KAPKA. Milczałeś pan, to prawda, i to czas niemaly,
Lecz warto milczéć, warto, choéby i rok cały,
Byle się tak odezwać, jak się pan odzywa.

EDWIN (*do Kapki*). Mogę się więc spodziewać...

ZUZIA (*do Kapki*). Będę więc szczęśliwa?..

KAPKA (*dając rękę córki Edwinowi*).

Na, masz, bierz, szczęść ci Boże, teraz rymuj sobie.

ASTOLF (*do siebie*).

Sam, sam jestem na świecie, postrzegam w tój dobie;

Ten, równie nieszczęśliwy, pociechę otrzyma,

Dla mnie tylko natura i uśmiechu niéma. (*w złości*)

Kapko! ty Kapko! koni, bo sobie w łeb strzelę.

(*wychodzi i trzaska drzwiami*)

KAPKA (*biegnąc ku drzwiom*).

Dla Boga, niechże jedzie!

(*wraca i ogląda się, cicho do Zuzi*)

Za tydzień wesele. (*głośno*)

A mój dom, co był dotąd pod francuską szpadą,

Od dziś dnia jest oberżą pod czulą balladą.

PRZYJACIELE.

KOMEDYA

WE CZTERECH AKTACH, WIERSZEM.

Wpatrz jeno się dobrze, obaczysz inaczej.

And. Maks. Fredro.

O S O B Y:

ZOFIA.

CZESŁAW.

BARON ANTENACKI.

WTORKIEWICZ.

ZDZISŁAW.

PANNA BOBINÉ.

SMAKOSZ.

KRUPKOWSKI.

STEFAN, kamerdyner.

Drugi kamerdyner.

Rzecz dzieje się w domu Zofii na wsi.

AKT I

Pokój duży; na stoliku zegar i książki; kilkoro drzwi i okno; Krupkowski drżenie, prosto siedząc, klucze w ręku.

SCENA I.

KRUPKOWSKI, STEFAN.

STEFAN (*wchodząc*).

Panie Krupkowski!

KRUPKOWSKI (*zrywając się*). He! he!

STEFAN. Gość jakiś przybywa.

KRUPKOWSKI. Jeszcze ich mało! tfy! tfy! szarańcza prawdziwa.

STEFAN. Który pokój?...

KRUPKOWSKI. Hm! pokój! proszę, jaki skory!

O! tobie tylko w to graj, tyś rad każdej pory,

Kiedy się miłych gości, jak śledzi, naspycha.

Naco pokoju? jak zjé, niech rusza do licha!

STEFAN. Ależ panie marszałku, pokój nie zatrzyma,

A pani zawsze każe...

KRUPKOWSKI. Już pokoju niema.

STEFAN. Pójdę pani powiedzieć...

KRUPKOWSKI (*oddając klucz*). No, no, czekaj, zrzędo!

To pewnie jakieś nowe zalotniki będą,

Zatém podle Barona w salonie postawić.

STEFAN. Baron go wziął i wczoraj nie przestawał prawić,

Że mniej, jak dwa pokoje, Baron mieć nie może.

KRUPKOWSKI. Ej! nie jeden, mój panie, mieszkał i na dworze.

Lecz dobrze i tak; zatém na dole umieszczę.

STEFAN. Tam się panna Bobiné dziś ma przenieść jeszcze.

KRUPKOWSKI. Czy kaduk tę Francuzkę po pałacu wodzi?

To tu, to tam, wszędzie źle, wszędzie jéj coś szkodzi,

Daléj panią Hrabinę wypędzić gotowa.

STEFAN. Czemu nie!

KRUPKOWSKI.

Pani dobra, nie powie i słowa.

STEFAN. Jużci dobra, i nadto, gdy ją dotąd trzyma.

KRUPKOWSKI. Była jej guwernantką.

STEFAN. Jak się to nadymał

Jak się to puszy! sroży!...

KRUPKOWSKI. Jakby jaka pani.

STEFAN. Gorzej! dziesięć pań tyle nie złaje, nie zgani.
Nigdy jej nie dogodzisz, choćbyś szedł na głowie.
Słyszysz! ty! idź tam! zrób to! inaczej nie powie,
A nie zrobisz w tej chwili? nudzi cię, jak mucha,
Albo leci już z płaczem, że jej nikt nie słucha

KRUPKOWSKI. To jeszcze wielkie szczęście, pociecha prawdziwa,
Po jednej guwernantce że na dworach bywa,
Gdyby po dwie, trzy...

STEFAN. Gwałtu! a niech Pan Bóg broni!

Żadenby chrześcijanin nie wybrnął z tej toni.

KRUPKOWSKI (*uśmiewszy się*).

Na, na, Stefanku, weź klucz, otwórz dwa pokoje,
Na drugim piętrze; wiesz?

STEFAN.

Wiem.

KRUPKOWSKI.

Gość ma prawo swoje,

Trzeba być zawsze grzecznym; idź, panie Stefanie.

(*Stefan odchodzi*)

KRUPKOWSKI (*sam*).

Ma łeb chłopak, za czasem mój urząd dostanie.

SCENA II.

PANNA BOBINÉ, KRUPKOWSKI. (*Bobiné w rannym ubiorze*).

BOBINÉ. Cóżto, panie Krupkowski? czy mnie niema w domu?

KRUPKOWSKI. Któżby o tém zapomniał?

BOBINÉ.

Ani w myśli komu,

Ani się nawet spyta, czym jeszcze dziś chora.

KRUPKOWSKI (*na stronie*).

Aj, wiem ja, wiem, jakiego trzeba ci doktora.

BOBINÉ. W tej Polsce, jak o konia, dbają o człowieka.

KRUPKOWSKI. Czemuż panna z tej Polski prędko nie ucieka?

BOBINÉ. Rady nie potrzebuję.

KRUPKOWSKI.

To tylko pytanie.

BOBINÉ. Które bez odpowiedzi tą razą zostanie.

KRUPKOWSKI. Dobrze.

BOBINÉ.

Wolałbyś waćpan myśleć o czém inném,

Pelnić dane rozkazy, być pilnym, być czynnym:

Jak go zowią marszałkiem, zawsze się uśmieję.
Piękny marszałek! nie wie, co się w domu dzieje;
Co za nierząd! sług dużo, a usługi mało;
Prawdziwy polski nieład!

KRUPKOWSKI (*z udanym przest్రachem*). Cóż się to dziś stało?

BOBINÉ. Kaszka na bulionie...

KRUPKOWSKI (*jak wyżej*). Cóż?

BOBINÉ.

Dawaj tu rozkazy!

Wszak jeszcze wczoraj wieczór, raz po raz, trzy razy,
Rozkazałam, by kaszka była na dziś rano.

KRUPKOWSKI Na mojem oczy widział, jak z kuchni wydano.

BOBINÉ Wydano, przyniesiono i dano mopsowi;

Bo u nas we Francyi, każdy mu to powie,

Psom tylko, by ostudzić, leją na talerze;

Dla ludzi są supierki.

KRUPKOWSKI (*z przesadną gorliwością*).

I zaraz ..

BOBINÉ.

Zaraz, już, jest, lube w Polsce słowa;

Ale, dawajcie kaszkę—kaszka nie gotowa.

Śmiesznie, że każdy robi, co mu się podoba,

Śmieszniej, że taka jak ja, znosi to osoba.

KRUPKOWSKI (*na stronie*).

Osoba! hm! myślałbyś, że ze krwi książęcej,

A to nad guwernantkę, ani jota więcej.

SCENA III.

PANNA BOBINÉ, KRUPKOWSKI, ZDZISŁAW.

BOBINÉ. Ach, Zdzisław! o mój Boże, jakże nagle wchodzi!

(*poprawiając chustkę i ściągając kilka papilotów*)

Ach, jakże ja wyglądam!

ZDZISŁAW.

Ale cóż to szkodzi!

BOBINÉ. Właśnie chciałam... chciałabym... chcę z panem Zdzisławem...

Proszę się tu zatrzymać, powrócę niebawem (*wybiega*)

SCENA IV.

ZDZISŁAW, KRUPKOWSKI.

KRUPKOWSKI. Ach, dałbym konia z rzędem, jeszcze co dodatku,

Zebyś mi stąd wyleciał, francuski gagatku!

ZDZISŁAW. Skądże taki zły humor?

KRUPKOWSKI.

Skąd dobrego dostać?

Sto głów, nie moja jedna, nie potrafi sprostać!

Chodź, łaź, krzycz, dbaj o wszystko, miej wszystko w pamięci,

A tu wciąż jak na targu, aż się w mózgu kręci.
Już co prawda, to nie grzech: dobra nasza pani,
Nikt pewnie, sto mil w koło, nie w nią nie przygani,
Imię, godność, łaskawość, majątek, uroda,
Ale jakim Krupkowski, jeszcze trochę młoda.
Nie tak bywało, nie tak, za świętej pamięci
Rodziców: grzecznie, pięknie, zawsze dobrej chęci,
Jak sam pan, tak i pani, byli dla swych gości.
Ależ była, u licha, miara w gościnności;
Był czasem i spoczynek, drzémnęło się czasem,
A jeśli się bawiono, to nie z tym hałasem;
Kobiety dryzlowały, nikt o nich nie wiedział,
Jegomości z ichmościami w swój komnacie siedział,
Tam gwarząc przy kieliszku, radzili nie mało;
Ale teraz... o, nie tak, nie tak tu bywało!

ZDZISŁAW. I czemuż tu się dziwić? i cóż to dowodzi?
Inaczej żyją starzy, a inaczej młodzi.
I któż ma użyć świata, w całym jego kwiecie,
Jeżeli nie to szczęścia rozpieszczone dziecię,
Jeżeli nie Zofia? Cóż jej wzbraniać może?
Wdowa, pani swój woli, w życia pięknej porze,
W której wspomnień nie trzeba, nadzieja spoczywa,
W której duszy wystarcza obecność szczęśliwa.

KRUPKOWSKI (*z pośpiechem*).

Czemuż tę guwernantkę dotąd jeszcze trzyma?

ZDZISŁAW. Już teraz przyjaciółka, guwernantki niema.

KRUPKOWSKI. Przyjaźń złego z dobrem nieznane przykłady, -
I gdyby pani słuchać chciała mojej rady,
Dzisiaj panna Bobiné: Adie, wojaż, madam;
Ale pani się śmieje, kiedy ja co gadam;
Albo i w mieście, z płaczem błagałem ją prawie:
Na miłość boską, pani, zostańmy w Warszawie,
Bo na wsi, niedaleko stołecznego miasta,
Gość każdego momentu, jak z ziemi wyrasta.
I jakim przepowiedział, tak się też i dzieje:
Czy pogoda piekąca, czy jak z cebra leje,
Ledwieś pomyślał, ledwieś bąknął o obiedzie,
Ledwie komin zadymił — trzask z bicza, już jedzie.
I cóż z nim robić? proszę? i któż z nim poradzi?
Zamkniesz, zabijesz wrota, on przez płot przesadzi,

A jak się wkręci, bądź zdrow! skrzyp, nie skrzyp wrotami,
 On, jakby nie do niego, już zamieszkał z nami;
 Wprawdzie i nic dziwnego, czemu mieszkać nie ma,
 Kiedy pani każdego zaprosi, przytrzyma,
 Byle tylko zgiełk, hałas....

ZDZISŁAW. Kiedy ją to bawi!

KRUPKOWSKI. A bawić nie powinno; czemu nie odprawi
 Tój zgrai zalotników, co jak rój osiada?
 Wybrać jednego i dość.

ZDZISŁAW *(śmiejąc się)*. Taka twoja rada?
 Ale może Zofia inaczéj rzecz bierze;
 A ja sądzić nie będę, kto błądzi w tój mierze.
 Lecz przykroby jój było usłyszéć ze strony,
 Że jój stary Krupkowski, tak od niéj lubiony,
 Dobréj, młodéj, swéj pani zbyt ostro przygania.

KRUPKOWSKI *(niekonteat z siebie, poprawiając perukę)*.
 Hm! bo nie ma co zawsze słuchać mego zdania;
 Czasem się, jakoś niechcąc, i głupstwo wypowie,
 Pani ma więcéj w palcu, niżeli ja w głowie....
 Pewnie... i dobrze robi, robiąc podług woli....
 Ale jednak mi przykro i niemało boli,
 Że każdy tu panuje, jak gdyby u siebie ...
 Ha! tak bywało. . miło żyć o cudzym chlebie.

ZDZISŁAW. Ach, nie bardzo to miło!

KRUPKOWSKI. Ej! cóż u kaduka!

Któż bo zawsze złéj strony w każdém słowie szuka?
 Ach, jak, panie Zdzisławie.... ażem się zecerwienił....
 Jak możesz brać do siebie, com niechcąc namienił?
 Fe, fe, ja jestem sługą, nie posiadam wiele,
 A lichym moim kątkiem chętnie się podzielę
 Z każdym, co aby w kraju rodak żył spokojnie,
 Niewygody, głód, zimno, cierpiał gdzieś na wojnie;
 Co może, kiedym drzémał smacznie przy kominku,
 Nie znalazł w dzień pokarmu, w nocy odpoczynku,
 I kiedy w ciepłym łóżku mogłem w puchu spłynąć;
 On może nie miał w polu czém rany zawinąć!
 Fe, fe! *(ocierając tęż)* panie Zdzisławie, nie tak myśli stary.

ZDZISŁAW *(wstrząsając mu rękę)*.

Starego serce znane, dusza godna wiary;
 Lecz mojato myśl była, co trwa nawet we śnie,
 Że mimo wszelkich przyczyn, smutno i boleśnie,
 W cudzym domu wyglądać dalekiego końca.

KRUPKOWSKI. Synem jest w każdym domu ojczyzny obrońca,

Nareszcie, tuś pan wyrósł, od kolébki prawie
Wychowany wraz z panią.

ZDZISŁAW. Bez celu dni trawię.
KRUPKOWSKI. Maszże je w nędzy trawić, że ręka zrąbana
Szabli dźwignąć nie może?

ZDZISŁAW. Służyć...
KRUPKOWSKI. Proszę pana!

Dajmy już temu pokój, bo krew mi się burzy!
Niech pan jeszcze przed panią te myśli wynurzy;
Ona, co się tak ciesz, co tak mocno rada,
Że swego przyjaciela w swym domu posiada,
Ile razy list przyszedł, zaraz do czytania,
Potém do mnie: „Krupkowski, Zdzisław ci się kłania,
Ale pamiętaj o nim, on sam nie powie,
Może mu czego trzeba”; — i nie dość na słowie,
Póty nas nie odstąpi; póty nie usiędzie,
Póki paka zamknięta na bryce nie będzie;
Albo nieraz czas na bal, grzmi cała Warszawa,
A ona książki składa dla pana Zdzisława;
Możnaż więc i bratu przyjaźni dowodzić!

ZDZISŁAW. *(na stronie).*

O Zofio! Zofio! czémże ci nagrodzić?

KRUPKOWSKI. I chciałbyś pan teraz za to ją zasmucać?
Dom, w którym cię tak lubią, niewdzięcznie porzucac?

ZDZISŁAW. Zasmucać? nie, w jój woli święte dla mnie prawo.

BOBINÉ *(wchodząc, do Krupkowskiego).*

Pani go potrzebuje.

KRUPKOWSKI *(biegnąc).*

Biegnę.

BOBINÉ *(śmiejąc się).*

Tylko żwawo.

SCENA V.

ZDZISŁAW, BOBINÉ *(papiloty rozwinięte, mocno uróżowana)*

BOBINÉ *(na stronie)*

Serce bije, głos niknie, cała drzę i płonę,

Ach, twojeto, miłości, pociski szalone!

(po krótkim milczeniu, głośno).

Wprawdzie nie wiem, jak zacząć.

ZDZISŁAW *(obojętnie).*

Cóż tak wielkiej wagi?

BOBINÉ. Czy wielkiej, nie wiem, tylko...

ZDZISŁAW *(sens kończąc).*

Potrzeba odwagi.

BOBINÉ. I to nie.

ZDZISŁAW.

Cóż? *(na stronie).* Zapewnie na kogoś się żali.

BOBINÉ. Nie wiem jak zacząć.

ZDZISŁAW. Jakbądź, koniec dzieło chwali.

BOBINÉ. Portret — portret znajomy — jest początkiem dzieła.

ZDZISŁAW (*zmieszany*).

Portret, panno Bobiné?

BOBINÉ.

Teraz, gdym zaczęła,

Powiem, że patrzącego na ten portret mile,

Widziałam cię, Zdzisławie, i to razy tyle!

ZDZISŁAW. Mnie, mnie, panno Bobiné?

BOBINÉ.

Ciebie, ciebie, panie.

Nawet ci większe teraz uczynię wyznanie;

Widziałam raz ukryta.... ja wiem, że nie ładnie;

Lecz cóż robić, tak było, widziałam dokładnie,

Jak do sercaś go cisnął, dotykał ustami.

ZDZISŁAW (*zmieszany*). Ja, ja, panno Bobiné?

BOBINÉ.

Mówiąc między nami,

Nie ma nic złego.

ZDZISŁAW

Jakto?

BOBINÉ.

I pragnęłam szczerze,

Twym życzeniom zadosyć uczynić w tej mierze.

ZDZISŁAW. Życzeniom?

BOBINÉ.

Posiadać go czyż nie życzysz sobie? —

Myślałam więc dlatego tylko o sposobie,

Bo nie wiem, czy postrzegłeś (*ironicznie*) ów zbytek czułości:

Że na przeciwnej stronie, na tej samej kości,

Portret Zosi....

ZDZISŁAW. Czym postrzegł? jakto? (*na stronie*) cóż to znaczy?

BOBINÉ.

Czy jeszcze nie dość jasno wszystko się tłómaczy?

Za rozkazem jój matki był niegdyś zrobiony,

Ja jestem, jak wiesz, z jednéj, Zosia z drugiejj strony;

Nie mogłam więc dać siebie, nie dając i Zosi;

Ale czas, jak to mówią, i radę przynosi.

Kazać nowy malować było nierozsądnie.

Często, gdzie mu nie trzeba, nie jeden zaglądnie,

A potem z dodatkami, jak nieraz powtórzy,

Z najmniejszego robaczka, w końcu słonia stworzy.

Twój honor zaś mi ręczy, że zachowasz ściśle,

Co skrytém być powinno, co ci zwierzyć myślę,

Wolałam więc inaczej, toż samo zostawić:

W pularesie kazałam portrety oprawić,

Jeden skryty na zawsze, a drugi zostaje,

I ten ci w upominku mój przyjaźni daję.

(*kładzie mu pulares na rękę i wybiega*).

SCENA VI.

ZDZISŁAW (*po krótkim myśleniu*).

Rozumiem cię, rozumiem, zgadłaś czucia moje,
 W osłonie niesiesz ulgę, której się sam boję,
 Żaden głos, ni mój własny, nigdy nie wyjawi
 Tę pozerczą namiętność, co mi duszę trawi.
 Między mną a Zofią, przedział jest bez miary,
 Nadziejaby w tym razie wartą była kary;
 I jeślibym znieś nie mógł, być wzgardzonym od niej,
 Ona gardząc, postąpić nie mogłaby godniej.
 Przyjaźni, dobrodziejstwa, taż ma być nagroda?
 Każdaż łaska do nowych, nowe żądze poda?
 I za to, że mnie swoim zwała przyjacielem,
 Ma-że oszczerezych plotek zostać jeszcze celem?
 Nigdy! — krom mój miłości, wszystko przewycięzę,
 Uczynić ją szczęśliwą wszelkich sił natężę,
 I w drugiego objęciu... (*z goryczą i przymusem*) gdzie ją
 sam umieszczę,

Potrafę, chcę ją widzieć, widzieć i żyć jeszcze.
 (*po krótkim myśleniu, uspokoiwszy się*).

Ale rysy jej twarzy, jej, jej lubiej twarzy,
 Gdy mnie tak niespodzianie los dziś niemi darzy,
 Już nie odstąpią serca, które dla nich bije,
 One przyjmą lzy moje, im męki odkryję.

(*otwiera pularę*)

Tak swój portret mi dała, lecz wskazała drogę,
 Jedynie pożądaną jak otrzymać mogę.

(*odkrywa portret, obraca do ust, przyciska, a słysząc nadchodzącego, prędko kryje*)

SCENA VII.

ZDZISŁAW, CZESŁAW.

CZESŁAW. Dzień nam więc po dniu mija, wszystko w jednym stanie.
 I obym był złym wieszczem, na zawsze zostanie.

DZISŁAW (*patrząc w okno*).

Jakto? czy dziś na słońce?

CZESŁAW.

Nie, wierz mi, nie chmury,

Jak mówisz, moim myślom dają zwrot ponury;

Ni też czucie lęklive, którym miłość poi,

Już w szczęściu, jeszcze szczęścia spodziewać się boi,

Nie, com myślał wczoraj, dziś i jutro powtórzę;
 Chęć i zapal zwiesić mogą, rozsadek nie może.
 Biorę rzecz w swoim świetle, roztrząsam dokładnie,
 A roztrząsnawszy, widzę, że źle mi wypadnie.
 Od pierwszego dnia prawie, jak przez rady twoje,
 W niosących cześć Zofii licznym rzędzie stoję,
 Powiedz sam, czym w jej sercu aby krok uczynił.

ZDZISŁAW. Ja zas o brak pośpiechu nie będę was winił,
 Owszem, czas wam zbyt drogi małoście trwonili,
 Lecz kto głowy zawracał zaraz pierwszej chwili?

CZESŁAW. Tylko daj pokój żartom, co drwinkami trąca.

ZDZISŁAW. Ależbo, mój Czesławie, nie pędź tak gorąco.
 Bądźże trochę cierpliwym, tu szczęście na szali.

CZESŁAW. Tak, tak, chwal mi cierpliwość, jak wilk posty chwali.

ZDZISŁAW (*ironicznie*).

I jakżeto już dawno, jak na me wezwanie,
 Porzuciłeś leniwo samotne mieszkanie?
 Dziewięćdziesiąt dni spelna, jeśli się nie mylę,
 I już wzdycha tak długo! już wycierpiał tyle!
 Już nie chce mieć nadziei, szczęścia się wyrzeka.

CZESŁAW. Prawdziwie, toby nie znał, słuchał nas zdaleka,
 Myślałby niezawodnie, przysiądź byłby w stanie,
 Że z nas dwóch rozsądniejszy ten, czyje kazanie;
 Że nie zna, co kraj marzeń, kontent z swego świata,
 Po ziemi chodzi, nigdy po niebie nie lata.

ZDZISŁAW. Jest! dawna piosnka, zawsze wyjeżdża w potrzebie.
 Ale ja, jeśli latam, jak mówisz, po niebie,
 To może i dlatego, że mi źle na ziemi...
 Ale daj pokój, na bok z troskami mojemu,
 Powiedz mi raczej, czemu, mierząc twe nadzieje,
 Na wszystkich dobrych punktach twój cyrkiel kuleje?
 Niczem dla cię szacunek, nawet przyjaźń tkliwa,
 A przyjaźń, dnia pierwszego wraz z deszczem nie sływa.
 I zdania wasze jedne, lub skłonne do zgody;
 I ta uprzejmość, której odbierasz dowody....

CZESŁAW. Uprzejmość i uprzejmość, — wszak ja ją rozumiem,
 Znam, pozwolisz, jej cienie i rozróżnić umiem:
 Inną nam tylko grzeczność, inną serce daje,
 Pierwszszam musiał otrzymać, drugiej mi nie staje.
 Stan zimnego szacunku, a nawet przyjaźni,
 Kiedy duszę w swój ciszy nie wcale nie drażni,
 Mało gorętszym czuciom może dać korzyści.
 Więcej, wierz mi, wyciągniesz z samej nienawiści.

ZDZISŁAW. Gorących uczuć pragniesz, aż serce w nich spłonie,
A jakimże ty jesteś, starając się o nie?

CZESŁAW. Prawda, już tém nie jestem, czém bywałem może.
Życie, jak i dzień, jedną tylko miewa zorzę.
Co się nosło nadziei w najmniejszej iskieerce,
To później dać pewności ociąga się serce.
Ociąga, nie wyrzeka i czuję w tój dobie,
Ile miłość z mój duszy może spłacić sobie;
Ile mógłbym poświęcić, wdzięcznością wiedziony,
Szczęściu mnie kochającej, szczęściu mojej żony.

ZDZISŁAW (*z uniesieniem*).

Ach, tyś godzien Zofii, nikt więcéj nad ciebie!
Wasze szczęście zostanie gwiazdą na mém niebie,
W nią wpatrywać się będę całe moje życie.
Jój promyk strącać będzie łzę wylaną skrycie.
Ach, będziecie szczęśliwi, szczęśliwi ze sobą!

(przerywając rozczulenie)

Ale, rycerzu smutku, nie kryj się żalobą:
Owszem, pełen nadziei, nie szcędź chlubnych znoj,
Póki kochanka wstęgą nie przepasze zbroi.

CZESŁAW. I cóż znaczy ta liczna zalotników rzęsa,
Z których dwóch tu nas nudzi, więcéj niż rozśmiesza?
Ten Wtorkiewicz, którego zalety na wadze,
Nie wiem, krocie czy głupstwo, na sam dół sprowadzę;
Ten baron Antenacki, hardy z swego rodu,
Co na szesnastym herbie może umrzeć z głodu,
Baron, co z ojca, dziada, sługa obcych dworów,
Powiększył w Polsce liczbę głupiośmiesznych wzorów;
Na spróchniałym już pniaku, głowa jeszcze w kwiecie,
O miłosnej nadziei, jak w malignie plecie.
Między nim Zofia nie zrobi wyboru,
Czemuż nie ma usunąć nawet i pozoru?
Chluby dla niój nie widzę, choć stu równych będzie,
A i innym nie miło stawać w takim rzędzie.

ZDZISŁAW. Zapewnie ją to bawi.

CZESŁAW.

Tak, pochlebstwem bawi.

ZDZISŁAW. W saméj rzeczy, jest pozór i w złém świetle stawi,
Lecz znam ją dobrze: ona zapomnieć się sili,
Że swój los ma rozstrzygnąć w tój stanowczej chwili;
Chce gwałtem myśli tłumić, co ją niepokoją,
Dlatego nie jest taką, jaką będzie twoją.

CZESŁAW. I jeśli zważać fraszki, coto nic nie znaczą,
A jednak kochającym tak wiele łomaczą,

Każdy z nich dwakroć więcej odbiera nade mnie;
 Wyjść ze zwykłej rozmowy trudzę się daremnie,
 I zgadnij, czém najwięcej mogę ją zabawić?
 Godzinę słucha, byle o wojnie jój prawić;
 I nie dosyć że słucha, pyta się ciekawie,
 Muszę sto razy mówić o każdej wyprawie,
 Gdzieś był ze mną, gdzieś nie był, gdzieśmy ranni byli,
 Ledwie nie cośmy w każdym biewaku mówili.
 Czy mniema tém nagradzać, nie mogąc kocharaniem?
 Ty wiesz, jak o tém myślę, jak śmieszny mém zdaniem
 Ten, co kiedy kobiety wkoło niego siedzą,
 Kobiety, czule, trwożne, co za ledwie wiedzą,
 Że parapet nie czepek, czworobok nie szlarki,
 Granat nie kolor wstążki, kartacz nie sucharki —
 Rozprawia o swych dziełach, srogie walki toczy,
 Morduje, ręce we krwi aż po łokcie broczy,
 I wciąż słysząc: ach! i och! nakoniec uwierzy,
 Że jest w samój istocie z najtęższych rycerzy.

ZDZISŁAW (*śmiejąc się*).

Złą stronę w każdej rzeczy znajdzie, kto jój szuka:
 Tak żony może zbawić wojownicza sztuka.

CZESŁAW. Mój Zdzisławie, nie mógłbyś, miast morały prawić,
 Własne zdanie Zofii nieznacznie wystawić?
 I wybaść pomału, co się ze mną dzieje?

ZDZISŁAW. Będę z nią dzisiaj mówił, miej dobrą nadzieję.

(*biorąc za rękę Czesława*)

Będzie z tobą szczęśliwa. Wszak będzie, Czesławie?

CZESŁAW. Pytasz się?

ZDZISŁAW.

Nie, wiem pewnie, siebie w zakład stawię.
 (*wychodzi przedko*).

SCENA VIII.

CZESŁAW, BARON.

BARON (*który we drzwiach spotkał Zdzisława*).

Powiedz mi, tento Zdzisław, co w tym domu z młodu..

CZESŁAW. Ten, ten sam.

BARON.

Szlachcic?

CZESŁAW.

Szlachcic.

BARON.

Ale tak od spodu?

CZESŁAW. O nie, był oficerem, jest człowiek honoru,
 Jego szlachectwo nawet wiele ma waloru,

- Bo gdyby go był nie miał, byłby go zasłużył.
- BARON. Protegujesz go, widzę...
- CZESŁAW. Wybacz, aleś użył
Dość śmiesznego wyrazu.
- BARON. Śmiesznego? to czemu?
Každy z nas protekcyą daje nie jednemu.
- CZESŁAW. Proteguj więc, kiedy chcesz, ja nie jestem w stanie,
I tylko mój przyjaciel w Zdzisławie zostanie.
- BARON. Za nadtoś popularny.
- CZESŁAW. Czy tak ci się zdaje?
- BARON. Przyjacielem zwać kogo, co w służbie zostaje!
- CZESŁAW (*znieczierpliwiony*). Któż ci mówi, że służy?
Cóż tu robi? pytam.
- BARON.
- CZESŁAW. Przyjaźń...
- BARON. Jest, znowu przyjaźń, po raz drugi witam;
Przyjacieli! siedzi, rządzi i pieniądze bierze;
Ale takiej dziś klasie najlepiej w tój mierze.
Tylko dla nas, noblesy, ciężki czas za katy!
Dostojeństwo toż samo, szczuplejsze intraty;
Na honor, ciężkie czasy, i gdyś wspomniał o tém,
Nie wiesz gdzie jakiej sumki?
- CZESŁAW. Nie, nie wiem, a potem
Sambym wziął!
- BARON. Dla noblesy złe czasy nad miarę,
Zresztą z dwieście dukatów wziąłbym na lat parę,
Jakem Baron, bez żartu, wziąłbym bez wahania.
- CZESŁAW. Bardzo wierzę.
- BARON. Prawdziwie, śmiesznie do wyznania,
Potrzebuję.
- CZESŁAW. Ja także.
- BARON. A nie mam.
- CZESŁAW. A nie mam.
- BARON. No, ale ci różnicy nie robi, jak mniemam,
Pięćdziesiąt czątych?
- CZESŁAW. Wziąć?
- BARON. Nie, żebyś mnie pożyczyl.
- CZESŁAW. Hm! mniejsza z tém, pożyczę.
- BARON. Tenby sobie życzył,
Ten, ten ten.... pan Wtorkiewicz, mieć podpis mój ręki,
Sypnały i tysiącem, niosąc jeszcze dzięki;
Lecz ten dowód szacunku wołałem dać tobie,
Jestem rywal wspaniały... czy nie masz przy sobie?

CZESŁAW. Nie mam, ale dam pewnie.

BARON. Wprawdzie nie do wiary,
 Urodzenie jak wielkie nakłada ciężary,
 Jaki koszt, że się z nami lada kto nie brata;
 I my, którzy jesteśmy równowagą świata,
 Często sami, że powiem, równowagę tracim,
 I za dobro czynione, własném dobrem placim.

SCENA IX.

CZESŁAW, BARON, WTORKIEWICZ.

(*Wtorkiewicz zawsze bardzo głośno mówi i często mowę przerywa głośnym śmiechem, który dla uniknięcia powtarzania nadal znakiem = oznaczać się będzie.*)

WTORKIEWICZ. Dzień dobry wam = dzień dobry, jakże się wam spało?
 BARON (*przedrzeźniając*).

Nie źle ha, ha, ha (*na stronie*) głupiec!

WTORKIEWICZ.

Miłość go budzi = miłość!

(*do Czesława cicho*). A bardziej gołizna.

BARON (*zawsze z przyciskiem nazywając*)

Panu Wtorkiewiczowi nikt tego nie przyzna.

WTORKIEWICZ (*do Czesława*).

A pewnie, że nie = pewnie! — miłość to mi licha,
 W której smętny kochanek jak wzdycha tak wzdycha.
 Westchnienie jeszcze ujdzie, kiedy z jakiej straty,
 Albo kiedy = (*dmucha w rękę*) rozumiesz?

BARON (*na stronie, wzruszając ramionami*).

Kontent, że bogaty!

WTORKIEWICZ (*dobytując pudełko safianowe*).

U mnie takie westchnienia, ja takie lzy ronię.

Patrzcie, te perły, a co? patrzajże, Baronie.

BARON. Nie znam pereł.

WTORKIEWICZ (*idąc za nim*). Patrz!

BARON (*rzuciwszy okiem*).

Patrzę.

WTORKIEWICZ.

Cóż?

BARON.

Perły, nie więcej.

WTORKIEWICZ. Kupiłem dla Zofii, wszakże dar książęcy?

CZESŁAW. Dla Zofii? zawcześnie.

WTORKIEWICZ.

Zawcześnie, mój Hrabio?

Żadnej miłości w świecie dary nie osłabia.

CZESŁAW. Nie każdą przecie, pozwól, i wzmocnić są w stanie.

WTORKIEWICZ. Chyba i mnie nie zechce:

CZESŁAW.

A i to pytanie.

BARON. Dawno, dawno! przodkowie pana Wtorkiewicza

Cenili może miłość, co zyski przelicza;

Lecz dziś czucie z rachubą nie może być w zgodzie,

I te dary już nie są, choć bywały w modzie.

WTORKIEWICZ. Pan Baron, widzę, zawsze jak najświeższej mody. ==

BARON. Wstydzilibym się kochance nieść takie dowody.

WTORKIEWICZ. Niema niebezpieczeństwa, nigdy się nie spłonisz. ==

O, nigdy! tego wstydu kaducznie się chronisz! ==

(*Lokaj wchodzi z listami i następnie oddaje*).

CZESŁAW. Poczta (*odbiera list i daje skrycie służącemu parę złotych*).

WTORKIEWICZ (*odebrałszy, rzuca na ziemię dukata*).

Na, masz dukata.

BARON (*na stronie*).

Ten zawsze dukata! (*do służącego*).

Masz łaskę....

WTORKIEWICZ.

Łaskę! łaskę! to dyabła zapłata.

CZESŁAW (*przeczytawszy, na stronie*).

Tak, dobra rada, mój los dziś rozstrzygnąć muszę.

Co ma być, już jest teraz.

BARON (*przeczytawszy, na stronie*).

Ach, na moję duszę!

Resztę mi wzięli, wszystko!

WTORKIEWICZ (*przeczytawszy*).

Wiwat! wieś kupiona.

BARON. Ciszéj, któżbo tak krzyczy? (*na stronie*) Złe koło Barona.

WTORKIEWICZ. Kupiłem wieś w sąsiedztwie.

BARON.

To mi wielkie dziwy!

Za złoto wsi dostanie: (*na stronie*) kontent, że szczęśliwy!

WTORKIEWICZ. Wsi za złoto == za złoto! a któż wątpi o tem!

Wszystko i baronowstwo ciągnie się za złotem. ==

SCENA X.

CZESŁAW, BARON, WTORKIEWICZ ZOFIA.

(*Zofia przez całą scenę z równą dla wszystkich, znaczną kokieteriją*)

ZOFIA. Listy z poczty, jak widzę, czy dobre nowiny?

CZESŁAW. Pani to wiesz najlepiej — jakież tój godziny?

ZOFIA. Nigdy złe.

CZESŁAW.

Ale mierne.

WTORKIEWICZ.

Kupiłem Strumienie,

Lecz niech mię dyabli wezmą, jeśli nie mniej cenie,

Niż jedno piękne oczko (*całując ją w rękę*) choć trochę

U mnie wdzięki, dalibóg, więcêj niż wieś warte. [uparte==

- ZOFIA. Pochlebstwo zawsze straszne, tém straszniejsze bywa,
Im zřęczniejsze. Pan właśnie takiego używa;
O! muszę być ostrożną. — Cóż, panie Baronie?
- BARON (*jak przebudzony*).
Co każeś?
- ZOFIA. Jego myśli w jakiej były stronie?
- BARON. Przy tobie, pani, zawsze.
- ZOFIA. Cóż ci tam donoszą?
- BARON. Abym dworek odstąpił, koniecznie mię proszą,
I przystaną podobno (*na stronie*), bo sami zabierają.
- ZOFIA (*do Czesława*).
Ale gdzie nasz przyjaciel?
- CZESŁAW. Wyszedł stąd dopiero.
- ZOFIA (*dzwoniąc*). Szczerze jestem zazdrosną, tracę moje prawa:
Całkiem mię zapomina, dla pana Czesława. (*do Stefana*)
Gdzie pan Zdzisław? prosić go.
- CZESŁAW. Niechże choć w przyjaźni
Wzbudzę trochę zazdrości i trochę bojaźni;
Ale choć się najlepiej powiedzie w tym względzie,
Zawsze tylko odwetem bardzo słabym będzie.
- WTORKIEWICZ. Dalibóg =! na mój honor, nie rozumiem słowa.
- BARON. O, bardzo temu wierzę, ręczy za to głowa. (*Zofia dzwoni*).
Trudno bywa zrozumieć, kiedy nie jak młotem,
Bo wszystko krom rozumu ciągnie się za złotem.
- ZOFIA (*do Stefana, który wszedł*)
Gdzie pan Zdzisław?
- STEFAN. Niema go.
- ZOFIA. Baron w złym humorze.
- WTORKIEWICZ. Cóż mu jest? żal mu jeszcze za pałacem może? =
- BARON, W tak dobre ręce oddać, wcale żalu niema:
Stryj pana Wtorkiewicza pewnie go otrzyma.
A stryj jego tak godny, tak dobrą ma sławę
I słuszną, bo, na honor, na całą Warszawę
Nikt takich świec nie robi i nawet niedrogo:
Po czemu téż w tych czasach najlepsze być mogą?
- WTORKIEWICZ. Ty Baronie pod kredą, herbarzu podarty!
To nie mój stryj.
- CZESŁAW. Panowie, wszak to wszystko żarty.

SCENA XI.

ZOFIA, CZESŁAW, BARON, WTORKIEWICZ, SMAKOSZ.

(*Smakosz wygodnie ubrany, duży kapelusz słomiany*).

SOFIA. A! Smakosz.

SMAKOSZ (*pocałowałszy w rękę, rzuca się na krzesło*).

Ach królowo! twój podnózek skona,

Jeśli nie dasz rumianku; niestrawność szalona.

ZOFIA (*dzwoniąc*).

Kiedy też już przestaniesz i truć się i leczyć?

SMAKOSZ (*do Stefana*).

Rumianku! ach, rumianku! — nie mogę ja przeczyć,

Że serdecznie jeść lubię, bo któż jeść nie lubi?

Lecz dziś nie przysmak żaden ze świata mię gubi.

CZESŁAW. I cóż więc? może naczecz wyjechałeś z domu.

SMAKOSZ (*trzymając się*).

Jak można takie głupstwo przypisywać komu! (*siada*).

WTORKIEWICZ. Ha! ha! ha!

BARON. Nasz pan Smakosz nie umrze ze czezości.

WTORKIEWICZ. I niech mię dyabli wezmą, dobrze że nie pości.

Kto ma dużo pieniędzy, ten głodu nie znosi

I nie czeka, aż sąsiad na obiad zaprosi.

BARON (*na stronie*).

A we wszystkiem pieniądze, aż słuchać niemilo.

ZOFIA. Powiedz nam więc, Smakoszu, cóż ci się trafiło?

SMAKOSZ (*westchnąwszy ciężko*).

Wyjechałem zdrów jak sum, lekki jak opłatek,

Czulem już nawet głodu ten drogi zadatek,

Któregom od tak dawna nie miał ani śladu,

Co to tak miłą czyni nadzieję obiadu;

Aż furman wytechnąć koniom gdzieś przy karczynie staje.

Siedzę, czekam... wtém... (*wąchając*) jakiś zapach czuć się

Wącham. . . niby jarzyna. . . niby coś z mięsiwa, [daje:

Wysiadam, idę spojrzeć, skąd ten wiatr przybywa.

Patrzę, śliczna na różnie pieczeń się rumieni,

A mam słabość do pięknej cielecój pieczeni.

Mówię więc: parę zrazów ukrój mi do rynki,

Dołóż mi masła, bulki, pieprzu i cytrynki,

Postaw trochę na węglach i dawaj gorąco. —

Przynosi mi soczystą, wybornie pachnącą,

Kraje, jem zraz po zrazie, ale zaraz czuję,

Że jest coś niedobrego, że czegoś brakuje;

Wolam więc, słyszysz! dajno jeszcze ze trzy zrazy!
 Zjadłszy, jakby z przeczucia dostałem odrazy,
 I więcej anim ruszył. — Ale ledwie w drogę,
 Słabo mi mi, słabo... słabo... A! już znieść nie mogę,
 To poty na mnie biją, to dreszcz jak we febrze...
 Stój!.. czekaj!.. w pierwszym dworku tchem ostatnim
 żebrzę,

By omlecek zrobiono, chcąc wybić klin klinem.
 (z westchnieniem) Zjadłem... i sztukę sera i skropiłem
 winem...

Napróżno, tu jak kamieii; — rumianku, dla Boga!
 Czas pędzi, obiad czeka, każda chwila droga,
 Do tego podwieczorek Radost dzisiaj daje.
 (słabym głosem) O siódmój tam być muszę... brr! jak klin
 tu staje.

- ZOFIA. Smakosz otruty, płaczcie kuchnie! płaczcie rzewnie!
 SMAKOSZ. Przeklęty *empoisonneur*, nie dopiekł jój pewnie.
 ZOFIA. Z tém wszystkiém, mam nadzieję, że to jakoś będzie,
 Że zdrowie wraz z Smakoszem do obiadu siędzie.
 Teraz chodź do ogrodu.
- SMAKOSZ (*żałośnie*). Pocóż do ogrodu?
 ZOFIA. Przejsć się ze mną.
 SMAKOSZ. Tak, ale...
 ZOFIA. Dla nabycia głodu.
 SMAKOSZ. Ach! gdyby to był sposób, mieszkałbym w ogrodzie;
 Ale pozwól, królowo, niech zostanę w chłodzie.
 ZOFIA. Rób, co chcesz, lecz myśl o tém i popracuj głową,
 Jakbyś dziś wyleczony mógł się struć na nowo.
*podając rękę Czesławowi, odchodzą, za niemi Wtorkiewicz
 i Baron — przy drzwiach przesadne ceremonie Wtorkie-
 wicza — ze wzgardą od Barona przyjęte*
- SMAKOSZ (*sam*). Dałbym rocznie na szpital, dałbym złotych trzysta,
 Żebym był zawsze głodny... ale to jak glista.

SCENA XII.

SMAKOŚZ, STEFAN, KAMERDYNER.

(*Kamerdyner przynosi rumianek, Stefan z wazką na tacy przechodzi
 scenę*)

SMAKOSZ (*siedząc*).(*biorąc rumianek*)Ach!... (*do Stefana*) Co tam niesiesz? słuchaj! (*kiwa na niego*)

- STEFAN. Kaszkę na bulionie.
 SMAKOSZ. Kaszkę? (*odkrywa wazkę*) kaszka, ha! pachnie! wonie!
 ślicznie wonie!
- Dla kogoż? (*dobywa z kieszeni pulares, z niego łyżkę*)
 STEFAN. Dla Francuzki.
 SMAKOSZ. Czy tylko nie słona? (*kosztuje*)
- Słaba?
 STEFAN. Kaszka?
 SMAKOSZ. Bobiné (*znówu łyżkę*)
 STEFAN. Słaba.
 SMAKOSZ (*coraz częściej kosztując*) Pachnie!
- STEFAN. Ona?
 SMAKOSZ. Kaszka — więc słaba?
 STEFAN. Słaba.
 SMAKOSZ. O biedne pannisko!
 (*odbiera wazkę*)
 Powiedzże mi, więc słaba? (*odpychając tacę z rumiankiem*)
 Proszę nie tak blisko!
 (*jedząc*) Hm!... no jakże?... cóż?... ale, jak się kuchmistrz
 zowie?
- STEFAN. Troto.
 SMAKOSZ. Troto... Troto... hm! — coś chodzi po głowie...
 Troto... Aha! wiem już, wiem: Jean, brunet, bezzenny.
 Miał swój dom, potem... wiem, wiem... ba! to *Kant* ku-
 chenny,
- A kuchnia jaka u was? na blasze? parowa?
 STEFAN. Parowa.
 SMAKOSZ. A, to lubię: i czysta i zdrowa.
 Wyborna była kaszka. A teraz, kochanku,
 Pokażesz mi, gdzie kuchnia. . nie trzeba rumianku.

AKT II.

SCENA I.

(Po prawej stronie siedzi Zofia, przy niej Baron z jednej, z drugiej strony stoi Wtorkiewicz sparty na poręczy jej krzesła, po lewej stronie sceny Czesław siedzi, przy nim Zdzisław wsparty na stoliku, książkę przezierną).

WTORKIEWICZ. Niechże mię dyabli wezmą, jeśli wam źle radzę:

Jak balonem do miasta wszystkich przeprowadzę. =

Tak, balonem, powiadam, bo cugi rozstawię:

O piątą stąd ruszamy, przed siódmą w Warszawie,

O siódmą na teatrze = wszyscy na teatrze...

Ja dyable lubię teatr, bo jak się zapatrzę,

To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi;

Albo znowu jak zasnę, to aż koniec zbudzi.

A po teatrze, słowa nie mówiąc nikomu,

Hajże w koczce, karety, trzask z bicia do domu. —

A cóż państwo mówicie? zła rada? = zła rada? =

ZOFIA. Niezła, ale tych panów spytać się wypada.

Panie Baronie... ale jakżeś dziś ponury,

Prawdziwie nie mam prawa, lecz ten mars wart bury.

BARON. Ach, trudno śmiać się zawsze, jak się drudzy śmieją,

Kiedy serce miotane trwożliwą nadzieją;

Ale mię teraz właśnie już nie dręczy tyle,

Kiedym twoją uwagę ściągnął choć na chwilę.

CZESŁAW *(do Zdzisława na stronie).*

Dobrze mówi.

ZOFIA. Nadzieja niech się jeszcze schowa;

Co dziś robić będziemy, o tém była mowa.

BARON. Będziemy dziś, jak zawsze, spełniać twe rozkazy,

Ale jeśli mam wyznać *(do Wtorkiewicza)* bez pańskiej
urazy,

Dziwnie, cugi rozstawiać, chcieć miejsce odmienić,

Gdy jedną tu minuty nie można ocenić.

ZOFIA (*skłoniwszy głowę Baronowi*).

Lecz pani domu winna myśleć o zabawie..
Jeżeli pojedziemy, ty z nami, Zdzisławie?
Dalej miasta nie poznasz.

ZDZISŁAW.

Jeśli panie każe.

ZOFIA. Jeśli każe!.. Baronie, gdy lepiej rozważę,
Widzę, żeś dobrze mówił, nigdzie nie pojedę.

BARON (*z ukontentowaniem*).

Ach! z łaskiś tylko pani przyjęła mą radę.

ZOFIA. Lecz całą dziś zabawę zdajemy na ciebie.

BARON. Podwajać się twój Baron potrafi w potrzebie.

W gry różne grać możemy na wszelki przypadek.

WTORKIEWICZ. Co? Baron w ciuciubabkę? A, to ciuciudziadek

Nie ciuciubabka będzie; Baron, susy! skoki! ==

Dalibóg! na mój honor, trzeba zerwać boki. ==

BARON (*zrywając się i cicho do Czesława*).

Nie zniosę tych przekąsów, wyzwę i zabiję.

CZESŁAW (*podobnie*).

Ej, daj mu pokój, przebacz, niechaj sobie żyje.

BARON (*jak wyżej*). Dam pokój, ale kiedyś tak mu kurtę skroję!..

ZOFIA. Ach, tylko żadnych spisków, tajemnic się boję.

CZESŁAW. Tobieżto skrytych myśli lękać się wypada?

Odkryj wszystkie — a każda nową korzyść nada.

ZOFIA. We względzie prawdy, może.

CZESŁAW.

A prawda ci sprzyja.

ZOFIA. A nuż się myśl Czesława przede mną rozwija?

— Cóż w niej widzę!

CZESŁAW.

Nic złego.

ZOFIA.

Nie, troszkę nagany.

CZESŁAW. Pani...

ZOFIA.

Gdyby głos cichy tej myśli był dany,
A mnie święta cierpliwość wysłuchać, co powie,
Możeby coś słyszała w podobnej osnowie:
„Zofia (*tak myśl mówi*) dość mi się podoba,
„Bo Zofia jest dobra, przyjemna osoba;
„Dość ładna, (dość, wszakże myśl nie przesadza wcale).
„Ale... ale (dla Boga! teraz długie *ale*)
„Ale zbytnia wesołość płochości dotyka;
„Pierwsza mija rozsądek, druga go unika;
„Zbytnia cheiwość oklasków nie czyni wyboru,
„Nie zgłębia ich wartości, chwytą się pozoru,
„I dusza, której odmet potrzebnym się staje,
„Nadal prawego szczęścia pewności nie daje.

Tak głos myśli przemawia, kto to wie, czy błądzi?

CZESŁAW (*zmieszany*).

Czém mogłem?...
 ZOFIA (*podając mu rękę*). Nic, nic zlego — to przyjaźni tak sądzi...

Jakże, panie Wtorkiewicz, cóż robić będziemy?

Ale widzę, jak drudzy i Wtorkiewicz niemy;
 (*spojrzawszy na Zdzisława*)

Prędko zaraza splinów sięgnęła dokoła;
 Ja więc sama za wszystkich jestem dziś wesola.

WTORKIEWICZ. A niech mię dyabli wezmą! moja śliczna pani,
 Jeśli co nad twe oczy, moje serce rani.

Na jutro mam już w myśli projekta gotowe:
 Zwiedzimy piękny pałac, moje kupno nowe,

Mój pałac zwiedzisz pani, bom go kupił na to. =

ZOFIA. Dobrze, wodą popłyniem, Zdzisława fregatą;

Ale sobie wymawiam, że będzie przy sterze...

(*do Wtorkiewicza*)

Nas tylko dwoje myśli, jak się bawić szczerze...

Baronie, proszę prędko czoło rozweselić...

(*do Czesława i Zdzisława*)

Panów zaś o to prosić, trudno się ośmielić. (*odchodzi*)

CZESŁAW. Dziwnie.

ZDZISŁAW. Wszakże mówiłem.

CZESŁAW. Chciałbym wierzyć z duszy.

WTORKIEWICZ (*na stronie*).

Biedny Czesław! A Baron? ten w koszu po uszy. (*odchodzi*)

SCENA II.

BARON.

BARON. Kocha Barona! miłość we wszystkim przebija,

Ach, sam zaledwie wierzę szczęściu, co mi sprzyja!

Jak chciała wszystkich rady, aby przyjąć moje,

A jakie jęj mój smutek sprawił niepokoję!

Dla wszystkich grzeczność była, dla mnie uśmiech skryty,

Puszczałem też wejrzenia, jak ostre dziiryty.

(*po krótkim milczeniu*)

Czesław. zimny cokolwiek — ten głupi ha, ha, ha,

Nie miała więc co myśleć, i jeśli się waha,

To moje dawne figle są przyczyną trochę, (*z uśmiechem*)

I prawdę mówiąc, miałem serce dyable płochę!

SCENA III.

BARON, PANNA BOBINÉ.

BOBINÉ. A, już panie Baronie, jasno ci przelożę,
Ze tylko w jednej Polsce trafić to się może,
Ze to rzecz niepojęta, nigdzie niewidziana,
Aby w kraju płeć piękna za nie była miana,
Aby człowiek comme il faut, znaczący coś w świecie,
Mógł taką awanią wyrządzić kobiecie.

BARON. Piękna panno Bobiné, cóż ja przewiniłem?
Z własnej woli płci pięknej nigdy nie chybiłem;
Ani ja, ani żaden Baron mego rodu.

BOBINÉ. Jeśli nie z własnej woli, to zapewne z głodu.

BARON. Ostra panno Bobiné, zważ bez uniesienia,
Ze głód nie jest dla ludzi mego urodzenia,
I jeśli z méj przyczyny, może jaka fraszka...

BOBINÉ. Ha! łakomy Baronie, gdzie jest moja kaszka?

BARON. Kaszka?

BOBINÉ. Zjadłeś ją gwałtem, bez względu i sromu.

BARON. Nie zjadłem, ale jeśli kto co połknął w domu,
Wszakże Smakosz przyjechał.

Przyjechał?

BOBINÉ.

BARON.

Dziś rano.

BOBINÉ. A, więc przebac, Baronie, źle mi powiedziano.

BARON. Gdy mi prawo przebaczać udzielasz łaskawie,
Przy zupełnym odpuszczeniu warunek postawię.

BOBINÉ. Żarłok! gdzie odpust?

BARON.

Mówię, że odpuszczę winę,

Jeśli mi zechce pomódz nadobna Bobiné.

BOBINÉ. Pomódz? w czym?

BARON.

Przed Zofią rzucić słówko czasem,

Do rozstrzygnięcia rzeczy zachęcać nawiasem;

Bo jakie będzie, już wiem, nie o to mi chodzi,

Ale względem pośpiechu namowa nie szkodzi.

Co się tyczy wdzięczności, proszę być spokojną,

Choć wiele zasłużoną, więcej będzie hojną,

I co tylko zapragniesz, w jakinikolwiek względzie,

Spuść się na mnie, stać będę w protektorów rzędzie;

Nawet w każdym przypadku możesz mówić śmiało,

Ze Baron Antenacki sprzyja ci niemało.

SCENA IV.

BARON, BOBINÉ, WTORKIEWICZ.

WTORKIEWICZ. Myślałem, że cię, panno, już niema na świecicie.
 Szukając cały ranek, przydybałem przecie, =
 Przydybałem nakoniec. = Przyszły mi klejnoty,
 Między niemi ten krzyżyk wyborniej roboty,
 Wyborniejszej wartości. Jaki ogień żywy!
 Szmaragdy wcale czyste.

BARON (*na stronie*). Bogacz obrzydliwy!

WTORKIEWICZ. I brylant wcale duży.

BARON (*na stronie*). Gotów jęj darować.

WTORKIEWICZ. Do pięciudziesiąt czątych możnaby szacować,
 Daruję ci go, panno, weź go, weź go sobie.

BARON (*wzruszając ramionami*).

Nie mówiłem.

WTORKIEWICZ. A zato o mojej osobie
 Przebąknij tam czasami=nieznacznie, rozumiesz?
 Przebąknij. =

BOBINÉ. Pan dość jasno tłómaczyć się umiesz.

BARON (*sentymentalnie, na stronie*).

Czém jest bogaty w złoto, gdy w cnoty ubogi!

BOBINÉ. Ten dar, że z jego ręki, dla tego jest drogi.

WTORKIEWICZ. A, niech mię dyabli wezmą, i brylant nie tani.

BOBINÉ (*na stronie*).

Prostak! ale do rzeczy.

WTORKIEWICZ. Głupi, kto go zgani.

Wszakże piękny, Baronie?

BARON (*wzrusza ramionami i odchodzi wgląb*).

BOBINÉ. Wszelkich sił dołożę,

Aby mu być pomocną, choć daremnie może,

Bo tam, gdzie pan Wtorkiewicz zwycięstwo zakreślił,

Już zwyciężył zapewne, nim drugi pomyślił.

(*nizko się kłania i odchodzi*)

SCENA V.

BARON, WTORKIEWICZ.

WTORKIEWICZ. Baronie, Baroneczku, nie dmuchaj tak szumnie,

Zbliż się, daj rękę, słuchaj, pomówmy rozumnie.

(*po krótkim milczeniu*)

Niechaj mię dyabli wezmą, jeśli cię się boję,

Ale chcę twego dobra, gdym zapewnił swoje:

- Od wdówki nie odsadzisz, choćbyś miał dwie głowy,
 Pocóż czekasz, powiedz mi, na wieniec grochowy?
 Powierz się lepiej Bogu w tój przykrój potrzebie,
 I wynieś się cichutko, nie patrząc za siebie;
 To radzę, a ty radą nie pogardzaj zdrową.
- BARON. Z początku aż do końca, wszystko słowo w słowo,
 Proszę powtórzyć jeszcze, do siebie, ode mnie.
- WTORKIEWICZ. Kocham Zofią.
- BARON. I ja.
- WTORKIEWICZ. Kochany wzajemnie.
- BARON. Bardzo wątpię.
- WTORKIEWICZ (*ironicznie*). Tak? może sprzyja Czesławowi?
- BARON. Nie Czesławowi.
- WTORKIEWICZ. Komuż więc?
- BARON. To się nie mówi.
- WTORKIEWICZ. Ha, ha, ha! daj go katu! A przecież nie tobie?
- BARON. I gdzież pewnoś, że nie mnie?
- WTORKIEWICZ. Ach, w twojój osobie.
- BARON. Mości panie Wtorkiewicz, ta mowa zuchwała...
- WTORKIEWICZ. Bo dłaczegóż Zofia kochaćby cię miała?
- BARON. A dłaczego waćpana?
- WTORKIEWICZ. To dobre pytanie!
- BARON. Dla złota?
- WTORKIEWICZ. Dla twych herbów?
- BARON. To mi porównanie!
- WTORKIEWICZ. Ja mogę jój powiedzieć: szczęściem ci odpłacę,
 Masz, czego tylko pragniesz, ogrody, pałace,
- BARON. Gdzie jeszcze resztki znajdziesz pieprzu i rozynek,
 Co z handlu swego tatki schował skrzętny synek.
- WTORKIEWICZ. Lepszy i funt rozynek, niż pergamin stary,
 Który ledwie się przyda na utkanie szpary.
- BARON. Co za honor być matką najświeższego rodu!
- WTORKIEWICZ. Co za honor wziąć męża, co mógł umrzeć z głodu.
- BARON. Neofit wyzłocony!
- WTORKIEWICZ. Pan o cudzym chlebie!
- BARON. Dość już! — zabiję! zginiesz...
- WTORKIEWICZ. Po twoim pogrzebie.

SCENA VI.

BARON, WTORKIEWICZ, CZESŁAW, ZDZISŁAW.

CZESŁAW. Panowie! cóżto za zgielk?

BARON (*w największej złości*). Już dopełnił miary.

WŁORKIEWICZ (*odchodząc*).

Niechże mi schodzi z drogi ten szalenięc stary.

BARON (*biegnąc za nim kończy za drzwiami*).

Sta. . sta .. sta... stary?

SCENA VII.

CZESŁAW, ZDZISŁAW.

CZESŁAW (*otwarty list w ręku*). Chodźmy, pogodzić ich trzeba.

ZDZISŁAW. Nie lękaj się, nie zginą, łaskawe są nieba.

Jak na nas zgodę zdadzą, pewnośc jęj osiągną,

Będa się srożyć, puszyć i klótnię przeciagną.

CZESŁAW. Niech się czubią, nie czubią, my myślmy o sobie;

Czytales, zatęm słuchaj, ja pono tak zrobię:

Jechać muszę koniecznie, ale nim pojedę,

Chciałbym wiedzić, Zofia jak przyjmie twą radę,

Bo lubo nas ujęła swoich wad zeznaniem,

Jeśli się nie poprawi, na miejsu zostaniem.

ZDZISŁAW. Powiem jęj, to bądź pewny, moje myśli szczerze,

I że je dobrze przyjmie, chętnie sobie wierzę,

Zwłaszcza, że i tęg chwili, choć to niby w żarcie,

Jak dobrze zna swe błędy, zeznała otwarcie;

Ale się nie spodziejaj, abym jak z ambony,

Gorliwym kaznodziei żarem rozogniony,

Ni z tego ni z owego miał prawić morały;

Pozwól, by jęj uwagi wstęp mi do nich dały,

Bo lubo przyjaźń prawo rzec prawdę udziela,

Nie bardzo prawda miła i od przyjaciela.

CZESŁAW. Łatwo znajdziesz sposobność, łatwo tęg i ona,

Czy się zechce odmienić, o tęg nas przekona;

Niech jednego, drugiego dla żartu nie łudzi,

Niech się za roztargnieniem tak mocno nie trudzi,

Jak gdyby już rozsądek, choć na jedną chwilę

Miał w sobie tyle nudów i przykrości tyle!

Wtedy, lubo sam czuję, że ważę zbyt wiele,

Stanowczęj odpowiedzi żadać się ośmielę.

Ale jeżeli twoje uwagi w tęg mierze

Przyjmie takim umysłem jak i każde bierze,

Wysłucha, zważy, ziewnie, potęm się rozśmieje,

To dziwnie dłużęj chować jakąbądź nadzieję.

I nie chcąc z baronami turniejów wyprawić,
 Ni sobą w tym obrazie miejsc próżnych zastawić,
 Najrozsądniej uczynię, gdy mój pobyt skrócę,
 Wyjadę na czas jakiś... a nigdy nie wrócę.

ZDZISŁAW. Gdybym cię dobrze nie znał, uważał na słowa,
 Zbrodnią względem Zofii byłaby namowa;
 Bo w czémżebym miał pewność szczęśliwego losu,
 Tej duszy pełnej czucia, pragnącej odgłosu;
 Któręj jedyną skazą (jeśli skazą mienić),
 Że nie chce w porze wiosny jój kwiatów nie cenić.

CZESŁAW. Ależ...

ZDZISŁAW. Że nawet może za nadto je ceni,
 Że przesuwają się tylko po świata przestrzeni,
 Bojąc się dotknąć silniej bądźto jakiej strony,
 Aby nie trafić na cierń, którym świat zjeżony.
 Ale ja cię znam dobrze, ta oziębłość twoja
 Jestto oręż z papieru, z pajęczyny zbroja.

CZESŁAW. Nie taktó wszystko słabe, kiedy dotąd strzeże;
 Ale wierz mi, Zdzisławie, z tobą mówię szczerze,
 Jak nigdy nie udawał, i dziś nie udaję,
 I jeżeli sam z sobą niezgodny się staję,
 To dlatego, że równych dwóch godzin tu niema,
 A chwiać się musi każdy, kto się trzciny trzyma.

SCENA VIII.

CZESŁAW, ZDZISŁAW, KRUPKOWSKI.

KRUPKOWSKI *(do Zdzisława)*.

Dobrze, że tu pan jesteś, szukałem go wszędzie.
 Pani za nim wysłała i zaraz tu będzie.

(spozierając na Czestawę).

Chce pomówić sam na sam.

CZESŁAW *(śmiejąc się)*. A za drzwi, kto trzeci.
(Krupkowski kłania się nisko). *(do Zdzisława)*.

Otóż i ta sposobność sama przed nas leci:
 Że użyjesz najlepiej, przyjaźń twoja ręczy,
 Lecz pomnij, że chcę prawdy; niepewność mię dręczy.
(odchodzi).

SCENA IX.

ZDZISŁAW, KRUPKOWSKI.

KRUPKOWSKI. Hm, hm, dziwy ja, dziwy, tu jeszcze zobaczę.

Pani jawnie się cieszy, a po kątach płacze.

ZDZISŁAW. Płacze?

KRUPKOWSKI. Nie dziś tylko (*tajemnie*) codzien, codzien, panie.ZDZISŁAW (*do siebie*)

Codzien płacze.

KRUPKOWSKI.

Jak czasem wnijdę niespodzianie,

I zastanę ją samą, ledwie okiem rzuci,

Zaraz, niby tam coś, prędko się odwróci,

I albo w okno patrzy, albo czegoś szuka,

A to, bym lez nie widział, ale stara sztuka!

Znam ją przecież od dziecka: jeśli nie oczyma,

To i po głosie poznam, że tam śmiechu niema;

Albo nieraz... (*śmieje się*) mój Boże, odpuść grzechy moje!

Staje, gdzie? przed zwierciadłem, a ja za nią stoję.

Milczałem dotąd ściśle, nie pisałem słowa,

Lecz gdy płacze...

ZOFIA. (*która weszła przed ostatnim wierszem*).

Kto płacze? o kimże tu mowa?

(*po krótkim milczeniu*).

Nie wiedziałam, że wszystko Krupkowski uważa,

A mniej jeszcze, że wszystko, co widzi, powtarza.

(*Krupkowski odchodzi naciągając perukę*).

SCENA X.

ZOFIA, ZDZISŁAW.

ZOFIA. Prawdę mówiąc, mam dosyć do płaczu przyczyny;

Winną jestem, a odkryć nie mogę tej winy,

Przez którą mych przyjaciół oddalam od siebie.

ZDZISŁAW. Czy do mnie to zmierza?

ZOFIA.

Tak, Zdzisławie, do ciebie.

Ale nie chcę się żalić, chcę wysłuchać wprzód:

Może w samej istocie masz jakie powody,

Dla których moja przyjaźń, niegdyś miła tobie,

Tak bardzo uciążliwą stała się w tój dobie.

ZDZISŁAW. Czym zasłużył, Zofio, na takie mniemanie?

ZOFIA.

Jeżeliś nie zasłużył, chcesz zasłużyć na nie.

Od dnia mego przybycia smutny i milczący,

Jeśli dzielisz zabawy, to jakby niechcący;

Jeśli zejdziem się z sobą, nie chcę czuć a czuję,
 Jak twoja myśl skwapliwa minuty rachuje,
 Czémże straciłam przyjaźń?... ale i to mało,
 Bo i spojrzenie na mnie przykrém ci się stało.

ZDZISŁAW. Wątpisz o méj przyjaźni.—Ach, to mocno boli!
 Na takimże to stopniu stanąłem niedoli,
 Że go nawet i pojąć myśl nie była zdolną?!
 Zofio! którą siostrą nazywać mi wolno...

ZOFIA. O, minęło już z czasem dawnych uczuć godło.

ZDZISŁAW. Pani!...

ZOFIA (*porywczo*). Zdzisławie, dość już (*boleśnie kładąc rękę na sercu*)•

To krwawo ubodło!

Widzę, że się już nasze oderwały dusze,
 Kiedy każdy mój wyraz tłómaczyć ci muszę;
 Zwałeś mię niegdyś siostrą, ja cię zwałam bratem,
 Przestałeś—czemu? ty wiesz, a ja się znam na tem;
 I powinnabym może tém samém odplacić
 Może nadto się lękam twą przychylność stracić,
 Może mnie i uniża ten zbytek bojaźni,
 Lecz me serce nawykło do twojéj przyjaźni.
 I z dzieciństwa ostatniéj pamiątki zatrata
 Tak bardzo mię sierotą uczyni wśród świata!

ZDZISŁAW (*na stronie*). Zgubię się, ale wyznam.

ZOFIA (*zaskłyszawszy*). Jakież to wyznanie?
 Powiedz, któż jest nad twoję przyjaciółkę w stanie...

ZDZISŁAW (*na stronie*). Przyjaciółkę!...

ZOFIA. Troskliwiéj twój smutek
 Powiedz... [uśmierzyć,

ZDZISŁAW. Nie, nie... mylisz się, nie ci nie mam zwierzyć.

ZOFIA. Może ci jest nie miło w moim domu bawić?

ZDZISŁAW. Czyliż...

ZOFIA. I w tém odmianę łatwo będzie sprawić.

ZDZISŁAW. Przestań, przestań, Zofio! winnym mnie być mniemasz
 I w łaskach coraz nowych już litości nie masz.
 Przyjaźń nasza lat tylu z życiem tylko zgaśnie,
 Jest mi drogą, jak była, i dla niéj to właśnie
 Błagam cię, miej tę ufność, którąś miała we mnie.
 Jeżeli jaki smutek dręczy mię tajemnie,
 Nie chciéj przyczyn dochodzić troskliwością twoją,
 Wierz mi, są nieznaczące... same się ukoją...
 I to, wierz mi, niebawem... to są tylko spliny,
 Ale w tém, przyznać muszę, wiele mojéj winy,

Że kiedy ścigam cienie, coś z niczego robię,
Lepiej dziwacznych myśli nie ukrywam w sobie,
A raz już dostrzeżonych trudno się zapierać,
Nadto wprawna z dzieciństwa w mą duszę poziierać.

ZOFIA. I dlatego też właśnie, zem poziierać wprawna,
Widzę, jaka dziś przyjaźń, jaka była dawna;
I wiem, jak mam rozumieć, coś mówił tój chwili...
Dość ukrył się przede mną, kto się ukryć sili,
Nareszcie, na cóż w prawdy puszczać się bezdroże?
Kiedy pozór przyjemny, dość nam na pozorze;
Niech dzień po dniu przemija, niech mija jak strzała,
Byle radość początek i koniec mu dała;
A radość z tego źródła, czy z owego płynie,
Będziem kiedyś roztrząsać w późniejszej godzinie,
Kiedy ciężką rozważę czuciem się oplaci,
Śmiech przejdzie, a zwierciadło całkiem łaskę straci.

ZDZISŁAW. Nie tak myślisz, jak mówisz, i ja tak nie myślę;
Z jakiego źródła radość, zważasz bardzo ściśle;
Lecz jakie o tém światu nadajesz mniemanie,
Zofio, pozwól wyznać, to wielkie pytanie.

ZOFIA. O! świat, stary świętoszek, co się zawsze złości,
Pobożnie złe podwaja, a dobra zazdrości.
Kto cierpi, że już cierpi, nie dość-że mu na tem?
Trzeba-ż koniecznie płakać i jęczeć przed światem?
Jeżeli jaki smutek los w duszy umieści,
Nie możnaż i na chwilę wyrwać ją boleści?
Trzeba-ż swój żal ukochać, strzedz go nawet święcie?
Nie wolno-ż sobie spocząć w durzącym odmęcie?
Wszak i ze łzami w oczach uśmiechać się można;
A chęć zabaw wesola jest-że to chęć zdroźna?

ZDZISŁAW. Chęć zabaw w twoim wieku nie jest zdroźną wcale,
Owszem, nikt jój nie gani, ja ją nawet chwale!
Ale gdy chcesz szczerości, szczerze ci przelożę,
Jak każdy, co cię nie zna, dzisiaj sądzić może.
Dziwnie widzieć tę przy niej zalotników zgraję,
Bo jeśli nie odprawia, nadzieję im daje;
Wybiera - ale komuż wiadomóm nie będzie,
Że Wtorkiewicz i Baron także stoją w rzędzie?
Astolf, Edmund, Rodosław, z nią jechać nie śmieli,
Lecz ona bale na wsi daje co niedzieli.
Tam więc pole otwarte, każdy jój cześć składa,
Ona zaś nie osobom, ale cześci rada;

Lecz cóż ręczy, że biorąc zwodnicze nadzieje,
 Prawdziwe, w jakim sercu, czucie nie zatleje?
 Czémże potem nagrodzić cały poczet złego,
 Nienawiść świata, ludzi i siebie samego?
 Ach, kochać niekochanym, męka nazbyt krwawa,
 Powiedz-że mi, Zofio, jest-że to zabawa?

(Zofia przy przedostatnim wierszu, zastoniwszy oczy chustką, zostaje w milczeniu — Zdzisław po krótkim milczeniu postrzegłszy to).

Ach! przebac! przebac! jeśli zbyt cnym zapalem...
 Twego, ach twego tylko, twego dobra chciałem.
 ZOFIA. Teraz znowu-m znalazła dawnego Zdzisława,
 Teraz do méj przyjaźni nowes nabył prawa;
 Chciałam, choć z własną szkodą, chciałam roztargnienia.
 Lecz światło, któreś rzucił, całkiem rzecz odmienia.
 Inną, lepszą mnie ujrzysz i wszystko tak zrobie,
 Bym nadal moje dobro była winna tobie.

(Podaje mu rękę, którą Zdzisław z uczuciem całuje, długo za odchodzącą spogląda, wznosi z westchnieniem oczy ku niebu i zamysłony w boczne drzwi odchodzi).

SCENA XI.

SMAKOSZ, BARON, WTORKIEWICZ.

(Smakosz, wyrrywając się, wchodzi między dwoma w szlafmycy i serwetą zapasany, które wkrótce zdejmuje).

SMAKOSZ. Ale dajcież mi pokój! czegoż mi dręczycie?
 Nie nauczę się sosu, a wam drogie życie;
 Na cóż ta klótnia wasza, na co to wyzwanie?
 Żeby to jeszcze w mieście, byłoby śniadanie;
 Ale tu, w cudzym domu, służąc jeszcze damie,
 Wolicie jeść, pić dobrze, niż myśleć o szramie.
 BARON. Tu o szramę nie idzie; ja nie na zagrodzie,
 Bym demeszkę szlifował po sąsiedzkiej brodzie;
 Szpada u wszystkich dworów zostaje w honorze,
 A zatem szpada tylko Baron walczyć może.
 Lecz jako przynaglony do broni ujęcia,
 Wymawiam sobie z miejsca, najpierwsze dwa pchnięcia.
 WTORKIEWICZ. Ja-bo strzelać się będę.

BARON.

Więc pierwsze dwa strzały.

WTORKIEWICZ. Czemu nie sześ, mój panie? nadtoś widzę śmiały?

SMAKOSZ. Moi panowie! chciejcie słuchać mojej rady:

Porzucicie halabardy, krucice i szpady,
 A pozwólcie powiedzieć, szczerze, choć zuchwale,
 Że obu krwi puszczenie nie zaszkodzi wcale.

Jeden i drugi puszy: jeden, że bogaty,
 Drugi, że liczy herby, jak tamten intraty,
 I cóż z tego trzeciemu, że wasz zaszczyt prawy?
 Kat mi z cudzego złota! kat mi z cudzej sławy!
 Dyabli z tego dmuchania, co go nikt nie słucha!
 Kto daje dobry obiad, niech ten wtedy dmucha.
 Bardzo pięknie, zaszczytnie i chlubnie bez miary,
 Że jeden dziad zbił Szwedy, a drugi Tatory,
 Że bezzębnych prababek poczet niezliczony,
 Które wszystkie dźwigały królewskie ogony,
 Ale ja tym zaszczytom bijąc korném czołem,
 (*cicho*) Kiedy mam zdrów żołądek, nie dbam, skąd go wzię-
 słowem, moi panowie, niech to was nie gniewa, [tem.
 Bo złość apetyt psuje, lecz to rzecz prawdziwa,
 Że tak nędznego człeka nie dały niebiosy,
 Któryby w duszy nie drwił z zadartego nosa.

WTORKIEWICZ. Dalibóg, prawdę mówisz, — śmieszny nos zadarty,
 (*do Smakosza, spoglądając na Barona*).

A cóż dopiero wtedy, gdy łokieć wytarty?

SMAKOSZ. Klótnia wasza z miłości i miłość zagubi.

Czyliż Zofia kiedy zabójcę polubi,

A tém mniej jeszcze tego, co wyzionie ducha;

Miałaby zmarłych słuchać, a żywych nie słucha.

BARON. (*biorąc go na stronę*).

Wprawdzie on i tak biedny.

SMAKOSZ. Ach, biedny, bez miary!

WTORKIEWICZ (*biorąc go na stronę*).

Ten Baron i tak nędzny.

SMAKOSZ. Nędzny nie do wiary. —

BARON. (*odprowadzając go*). Na cóż się pastwić nad nim? na koszu

SMAKOSZ. Otóż i ja tak mówię, takie moje zdanie. [zostanie.

WTORKIEWICZ (*odprowadzając go*).

Zdmuchnąwszy mu kochankę, przebaczyć wypada.

SMAKOSZ. Otóż i ja tak mówię, taka moja rada.

(*sprowadzając ich i łącząc ręce*).

Zgoda.

BARON (*odwrócony*). Panie Wtorkiewicz..

WTORKIEWICZ.

Ha, ha, ha, Baronie.

SMAKOSZ (*zmuszając do uściśnienia*).

Niech w szczerém uściśnieniu gniew cały ochłonie.

Od Zofii czekajcie rozstrzygnięna losu,

I żeńcie się, nie żeńcie. — Ja wracam do sosu.

AKT III.

SCENA I.

ZOFIA, KRUPKOWSKI.

ZOFIA (*siedząc oparta na stoliku*).

Krupkowski!

KRUPKOWSKI.

Słucham.

ZOFIA.

Balu w niedzielę nie będzie.

(*po krótkim milczeniu*).

Balu nie będzie.

KRUPKOWSKI.

Słyszę.

ZOFIA.

Porozysłać wszędzie,

Przeprosić, że wyjeżdżam... albo nie, żem chora...

Nie, nie... że do innego odkładam wieczora,

Bo... dlaczegoż odkładam?

KRUPKOWSKI.

Alboż ja wiem, pani.

ZOFIA.

Najlepiej, żem jest słaba; niech śpieszą wysłani,

A wy bądźcie gotowi, pojedziemy w drogę. (*do siebie*).

Już tych miejsc, lubyh niegdyś, dłużej znieść nie mogę.

KRUPKOWSKI. Do Warszawy?

ZOFIA.

O nie, nie.

KRUPKOWSKI.

Daleko?

ZOFIA (*zamyślona*).

Bóg to wie!

KRUPKOWSKI. Na długo?

ZOFIA (*do siebie*).

Czy na długo? któż na to odpowie?

(*po krótkim milczeniu, do siebie w zamyśleniu*).

Na długo! alboż kto wie, co go nadal czeka?

Jedno czucie czas skraca, drugie go przewleka.

Długo—niedługo—cóż jest? to rozmiar przyszłości.

Przeszłość im i dwóch punktów osobnych zazdrości,

Krótką radość—żał długi—wszystko w jedno sływa.

Zrazu słońce, wnet gwiazda, potem w punkt ubywa,

Potem w nie, nie wcale—nie!

KRUPKOWSKI.

Pani!

ZOFIA.

Kto?

KRUPKOWSKI.

Ja czekam

Dalszych twoich rozkazów.

ZOFIA (*znowu zamysłona*).

Przed sobą uciekam,

Ale gdzie, gdzie schronienie, przed swą własną zdradą?

KRUPKOWSKI. Czy prędko?...

ZOFIA.

Jak najprędzej.

KRUPKOWSKI.

Wszyscy więc pojada.

ZOFIA, Wszyscy —wszysecy—a, pewnie—sam tylko zostanie.

KRUPKOWSKI. Nikt tu zostać nie zechce, powszechne wygnanie.

ZOFIA. Jakto nikt? wszakże Zdzisław.

KRUPKOWSKI.

A więc zgodłem przecie,

Ze pani o tém nie wiesz (*zbliżając się*) wszystko więc w se-

ZOFIA. Co w sekrecie?

[krecie.

KRUPKOWSKI (*do siebie*). No proszę, co to to za głowa!ZOFIA (*uśmiechnąwszy się*).

Pewnie o wychowawcu ulubionym mowa,

Pewnie do mnie ze skargą; cóż Zdzisławek zbroił?

KRUPKOWSKI (*trochę nieukontentowany*).

Pani zawssze żartuje, żem sobie uroił,

Niby... niby opiekę nad panem Zdzisławem,

No, opieki tu niéma, bo jakiémże prawem,

Ale pod mojem okiem wyrósł jak topola,

I jak własne mi życie, droga jego dola.

ZOFIA (*na stronie*). Ach, nie tobie jednemu!

KRUPKOWSKI.

Proszę więc, niech pani

Te wszystkie widzimi się nie pomalu zgani.

(*tajemnie*).

Złajac go! — pani ujdzie, a mnie się nie godzi:

Kiego dyabła... z respektem... jakby nie swój chodzi.

Dawniej, mój dobry Boże! jeszcze tyli, tyci,

To gwizdał, śpiewał, skakał, jak wróblík na nici,

Zawsze go z panią w parze inaczéj nie zoczył,

A za swoją siostrzyczkę byłby w ogień skoczył.

Ale téz krom niéj, rzadko chciał kogo usłuchać,

O! mały bęben nie dał sobie w kaszę dmuchać:

Było Zosię zaczepić, to zaraz się czubił.

Nieboszczyk nasz jegomość bardzo go był lubił,

Jejmość już nie tak, zwłaszcza ostatniego roku...

A jak wdział mundur! cacko! kord tęgi przy boku,

A pani w płacz! aj gwałtu, co to płaczu było!

Lecz jemu tylko w polu i przy koniu miło.—

I pan Czesław powiada, że to żołnierz dyabli,
Niech go tam licho weźmie, jaki zuch do szabli.
A teraz jak kapucyn chodzi zamysłony,
Lecz co gorzej, chce jechać gdzieś w dalekie strony.

ZOFIA. Kto? Zdzisław? nie nie mówił.

KRUPKOWSKI. Bo się mówić boi.

ZOFIA. Jakże wiiesz?

KRUPKOWSKI. Wszak wszystko przed oczami stoi:

Psy, strzelby rozdarował, wierzchowiec przedany.

ZOFIA. Ale czemuż to skrycie...

KRUPKOWSKI. By nie był wstrzymany.

ZOFIA (*do siebie*). Mogłażem się spodziewać!

KRUPKOWSKI. Niech mu pani powie.

ZOFIA (*na stronie*). To już nie obojętność, to się wstrętem zowie,

Ale za co? ach za co?

(*do Krupkowskiego*). Ja temu nie wierzę.

Pan Zdzisław żadnych przeszkód nie miałby w tej mierze.

(*na stronie*). Jedź kiedy chcesz.

(*do Krupkowskiego z żywością*). Pojadę czy zostanę w domu,

Nie chcę, aby wiedziano — nie mówić nikomu. (*odchodzi*).

SCENA II.

KRUPKOWSKI.

Żadnych przeszkód — nieprawda, muszą być przeszkody.

Niech wyjawi przynajmniej, jakie ma powody.

Rozgniewała się troszkę — dobrze, że się gniewa.

Tfy! tfy! i ja się gniewam! A! jak mi zaśpiewa

Jeszcze raz swoją piosnkę, to Krupkowski powie:

Panie Zdzisławie... panie... panu świta w głowie:

SCENA III.

KRUPKOWSKI, ZDZISŁAW (*zamysłony wchodzi*).

ZDZISŁAW (*nie widząc Krupkowskiego*).

To zawiele! zawiele! nadto na me siły!

KRUPKOWSKI (*z czułością*).

Otóż, otóż go macie (*do Zdzisława*) mój, mój paunie miły,

Łaski stary Krupkowski ośmiela się błagać.

ZDZISŁAW (*śmiejąc się z goryczą*).

Mojój łaski? prawdziwie, to mało wymagać.

KRUPKOWSKI. (*chcąc go w rękę całować*).

Panie Zdzisławie, powiedz, uczyni mi zwierzenie:
Czemuś teraz tak smutny?

ZDZISŁAW. Smutny? przywidzenie!
I któż to uważał?

KRUPKOWSKI. Ja.

ZDZISŁAW. Nadto zważasz ściśle.

KRUPKOWSKI. Myślisz pan jechać.

ZDZISŁAW. Czy tak? któż zgadł, co ja myślę?

KRUPKOWSKI. Ja!

ZDZISŁAW. Proszę! ale pozwól, jabym o tém wiedział.

KRUPKOWSKI. I pani już wie teraz.

ZDZISŁAW (*z niecierpliwością*). I któż ję powiedział?

KRUPKOWSKI. Ja!

ZDZISŁAW. Ja i ja, ale ja czasem plotkę zrobię.

I co Zofia, proszę, co pomyśli sobie?

Nie powinnażby ona pierwsza wiedzieć o tem?

Wierz mi, czasem i dobroć nabawi kłopotem.

KRUPKOWSKI. Niech mię pan łaje, jak chce, ja milczéć nie umiem,

Zwłaszcza .. że niby... niby... troszkę rzecz rozumiem:

Ten smutek, hm, stąd pono (*wskazuje na serce*).

ZDZISŁAW (*niespokojnie*). Słuchaj!

KRUPKOWSKI. Nic nie szkodzi. (*z minami*)

Nasza pani...

ZDZISŁAW (*surowo*). Krupkowski! — to miarę przechodzi.

KRUPKOWSKI. Ale niéma nic złego.

ZDZISŁAW. Więcej ani słowa,

Ani pół. Ta myśl dzika dojsćby ją gotowa.

KRUPKOWSKI. Ale niéma nic złego.

ZDZISŁAW. To mylne mniemanie,

Lubo mylne, mnie jednak szkodliwém zostanie.

KRUPKOWSKI. Ale czemu? mój Boże!

ZDZISŁAW. Na co ta rozmowa?

Choćby ci sto lat gadał, nie pojdziesz i słowa;

Ale proszę, zaklinam w najświętszym sposobie,

Nie powtarzaj, coś wyrzekł, i samemu sobie.

Ję przyjaźń, ję szacunek, to tylko posiadam,

To tylko jeszcze moje i to dziś postradam.

KRUPKOWSKI. Ale przez cóż, u licha, przyjaźń się utraci?

Najwięcej, gdy wzajemném czuciem nie odplaci.

Wszakże ją ze stu kocha, ona się nie gniewa:

Czyż to grzech, że się człowiek przy ogniu rozgrzewa?

To pan Zdzisław tam nie śmie, gdzie śmie taki siaki?
 Cóż to? pan jesteś Turek, czy muzułman jaki?
 I pani téż ma oczy i patrzy oczyma,
 I pewnie sama powie, że nie złego niéma.
 Gdybym nią był, a do mnie pół srebrny, pół złoty
 Basza amerykański przyjechał w zaloty,
 Tobym mu powiedziała: ruszaj sobie wasze,
 Bo ja Zdzisława wolę, niż samego baszę.
 Ale kiedym ja głupi.. no, tom głupi może...
 I co ich tak rozdziela? O mój miły Boże!
 Ale Krupkowski głupi, głupi, dobre i to...
 Bogata! jednak w złocie szczęścia nie ukryto,
 Jednak (*uderzając się w piersi*) dobrego serca za złoto nie
 Ale ja, Bogu dzięki, głupi, tfy, tfy, głupi! [kupi,
 (*odchodzi w złości rozprawiając rękami*).

ZDZISŁAW (*po krótkim milczeniu*).

Chciałbym się gniewać, chciałbym, na honor, nie mogę.
 Wyjawil więc głos obcy... lecz czy zwiększył trwogę?..

SCENA IV.

ZDZISŁAW, BOBINÉ.

ZDZISŁAW. Jest! znowu przyjaciółka z śledczemi oczyma;
 Ach, czyż nieprzyjaciela na tym świecie niéma!

BOBINÉ. A zawsze sam.

ZDZISŁAW. Ach, nigdy.

BOBINÉ.

Czemuż to westchnienie?

ZDZISŁAW. Przypadkiem.

BOBINÉ.

Zawszcś smutny.

ZDZISŁAW.

Już się nie odmienię.

BOBINÉ. Posiadając, Zdzisławie, tak szlachetną duszę.

ZDZISŁAW (*kłaniając się*).

O, proszę...

BOBINÉ.

Nie, raz wszystko wypowiedzieć muszę.

ZDZISŁAW. Ależ..

BOBINÉ.

Takie zalety...

ZDZISŁAW.

Ach!

BOBINÉ.

Rozum...

ZDZISŁAW.

Dla Boga...

BOBINÉ. Jakaż od świata ciągnie, jaka władza sroga?

Mogąc być towarzystwa zaszczytem, ozdoba...

ZDZISŁAW. Ale czemuż...

BOBINÉ.

Cheesz tylko żyć ze samym sobą. (*z kokieterią*).

Jakgdybys był o siebie zazdrośnym, wistocie.

ZDZISŁAW. Nie wiem ..

BOBINÉ (z czułością). Ach, drugich zostaw w tym miłym kłopotcie.

ZDZISŁAW. Ależ, dla Boga, dosyć! za takie wyrazy,
Do nógby trzeba upaść, upaść ze sto razy,
Gdyby skryte wejrzenie żartu nie wydało.

BOBINÉ. Nie, nie; prawdziwie, wierz mi, cenisz się za mało.
Twoja skromność, lekliwość, aż przesadną bywa;
A kiedy na nieszczęście Zdzisław utyskiwa,
Niewdzięcznością dla losu duszę swoją plami;
I jeśli chcesz mój rady, mówiąc między nami...

ZDZISŁAW. Ach, wiem już, wiem, do czego ściąga ta przemowa;
Moja panno Bobiné, skończ, nie mów i słowa.

BOBINÉ. Zawsze panno Bobiné i panno Bobiné!
Wszak się przecie już znamy nie pierwszą godzinę.
Ten styl etykietalny zostaw obcym sobie,
Mnie mów po przyjacielsku, jak ja mówię tobie.
Niech w Rozynie z Margrabiów de Koniak Bobiné,
Zdzisław tylko swą czułą postrzega Rozynę.

ZDZISŁAW (zniecierpliwiony).
Umiem, na honor, umiem twoję przyjaźń cenić,
Ale chciéjże przez litość rozmowę odmienić;
I to, czegoś bywała, jak powiadasz, świadkiem,
Coś z duszy nie dość skrytej wyrwała przypadkiem,
Zapomnij raz na zawsze, zamknij jakby w grobie,
Jeżeli moję wdzięczność chcesz zapewnić sobie.

BOBINÉ. Ale dlaczego, powiedz?

ZDZISŁAW. Chcesz mię stąd wygonić?

BOBINÉ (zatrzymując go).

Ale czemuż mi nie chcesz twój myśli odsłonić?

ZDZISŁAW. Ach, zgadłaś ją, niestety!

BOBINÉ (z przymiśleniem i ze spuszczonej oczyma). Zgadłam?

ZDZISŁAW. To za wiele!

BOBINÉ (zatrzymując go).

Ale jeśli poradzę, twe troski podzielę?

ZDZISŁAW. Niema rady.

BOBINÉ. Niewdzięczny! jeszczeże ci mało,

Co serce mimowolnie z tajemnie wydało?

Twój umysł chciwy przeszkód sam je sobie roi,

Nie wie, jak czego żąda, tak czego się boi.

Chce widzieć wszystko czarne, gdzie wszystko różowe,

I ściąga z błędnych marzeń troski coraz nowe.

Lękasz się?—miłość prawa nie tak bywa trwoźna.
 I próbuje to wszystko, co próbować można.
 Ale nie, ty już zgadłeś, wiesz wszystko dokładnie,
 Lecz zmieniwszy życzenia, chcesz się wymknąć snadnie;
 Nie udawaj więc dalej, nie tak wielka strata!
 Jaka w czuciu zasługa, taka i odplata. (*odchodzi*).

SCENA V.

ZDZISŁAW (*biegnąc za nią*).

ZDZISŁAW. Z Zofią chciałbym mówić... (*wróciwszy, po krótkim milczeniu*). Co się ze mną dzieje?

Jakto? jój towarzyszka każe mieć nadzieję,
 Marzeniem tylko zowie dzielące przeszkody.
 Miałaby... ta jój przyjaźń... te liczne dowody..
 Czyż jój ubliżę?... ja jój?—nierówność nas dzieli,
 Lecz jakieżże przepaści miłość nie zaścieli?
 Ha! Czesław.

• SCENA VI.

ZDZISŁAW, CZESŁAW.

CZESŁAW.

Mówiłeś z nią?

ZDZISŁAW.

Przyszedłem dopiero.

CZESŁAW. Odkryj jój moję duszę, proś, niech będzie szczera,
 Tylko znowu nie naglij!... Ale co mnie w głowie:
 Kiedy ty, za mną mówisz, wygrałem w połowie.
 Ufam twojej przyjaźni, mów, proś, ja uciekam.
 Śpiesz się jednak...

ZDZISŁAW.

Już wiem, wiem.

CZESŁAW.

W tym pokoju cze-

ZDZISŁAW (*sam*).[kam. (*odchodzi*).

„Ufam twojej przyjaźni”—tak, ufaj Czesławie:
 Zofii twe żądanie gorliwie przedstawię,
 Lecz jeżeli nie przyjmie?—czyż moje nadzieje?...
 Ale jeżeli przyjmie?—jeżeli?... truchleję!

SCENA VII.

ZDZISŁAW, ZOFIA.

ZOFIA (*zimno, nie patrząc na niego*).

Czy prawda, że odjeżdżasz?

ZDZISŁAW.

Chciałem... by daremna...

ZOFIA.

Przyszedłeś więc zapewne pożegnać się ze mną;

Może ci czego będzie potrzeba na drogę,
 Proszę tylko rozkazać, czém mu służyć mogę.
 Więcej robić zapytań nie śmiem i nie robię.
(spojrzawszy na niego).

Ach, jakiś ty blady!

ZDZISŁAW.

Ja?

ZOFIA.

Dla Boga! co tobie?

ZDZISŁAW. Mnie? nic.

ZOFIA.

Tyś słaby.

ZDZISŁAW.

Ja nie.

ZOFIA.

Widzę.

ZDZISŁAW.

Ręka boli.

ZOFIA. Skąd dziś ból tak gwałtowny?

ZDZISŁAW *(z westchnieniem).*

Już mija powoli.

ZOFIA. Jeszcześ blady, siądź.

ZDZISŁAW.

Nie, nie.

ZOFIA.

W takimżeto stanie

Chcesz porzucić spokojne, twe własne mieszkanie?

Jeszcze z niezgojonemi zupełnie ranami;

Jeśli możesz, proszę cię, zostań jeszcze z nami. —

Nie? Jedź więc, kiedy tak chcesz, nie mogę, nie bronię,

Lecz jeśli znajdziesz szczęście gdzie w dalekiej stronie,

Któregoś tu nie znalazł, mimo naszej chęci,

(rozczuła się coraz więcej).

Nie wymazuj Zofii zupełnie z pamięci;

Jakbądź los cię obdarzy, skapo czy łaskawie,

Niech choć słówko .. bo zawsze... żegnam cię, Zdzisławie.

(odwrócona, by tży ukryć, rękę mu podaje).

ZDZISŁAW. Zofio moja .. przyjaźń, jaką jest, zostanie,

Wszakże to nie ostatnie nasze pożegnanie.

ZOFIA *(odwrócona).*

Na długo?

ZDZISŁAW.

Jeszcze nie wiem — i w innym zamiarze...

Chciałem... *(na stronie)* głosu nie staje *(do Zofii)* moja przy-

(nagle) Czesław dał mi zlecenie...

[jaźń każe...

ZOFIA *(żywo).*

Wiem już, o co chodzi,

Ale niech się nadzieją daremną nie zwodzi.

ZDZISŁAW. Jeżeli moja rada...

ZOFIA.

Próżną, ręczę, będzie.

ZDZISŁAW. Godzien jednak...

ZOFIA *(z żywością).*

Szacunku, w każdym, w każdym względzie,

I właśnie dowód tego szacunku dziś daję,

Gdy mu prędko i szczerze moje myśl wyznaję.

ZDZISŁAW. Zastanów się, Zofio, że ręka Czesława
Przynajmniej do rozwagi dość liczne ma prawa,
Że mało jemu równych możesz znaleźć w świecie.

ZOFIA (*porywczo*). Ale, że już nie znajduję, nie straszysz mnie przecie?

ZDZISŁAW. Nie chciałem cię urazić.

ZOFIA (*jak wprzód*). Dlaczegoż tak chciwie
Chcesz mi za mąż wyprawić? zdaje się prawdziwie,
Że gdyby Czesław nie chciał, chwyciłbyś barona,
Była była czém prędej para skojarzona.

ZDZISŁAW. Radząc, miałem na względzie tylko dobro twoje,
I czym dość był gorliwym, o to się już boję;
Obowiązek przyjaźni czasem jest nad siły.

ZOFIA. Nad siły?

ZDZISŁAW. Nie w tym razie... owszem... dla mnie miły,
I jakkolwiek przyjętą będzie moja rada,
Mnie raz jeszcze ostatni powtórzyć wypada:

ZOFIA (*na stronie*).

Gdyby!.. (*nie słucha dalej w zamyśleniu*).

ZDZISŁAW (*z pośpiechem*). Że Czesław godzien, godzien w każdej mierze
Twojego serca, twój ręki, ja to mówię szczerze...

I pamiętaj, Zofio, że w tej całej sprawie
Jam ci radził usilnie, ja błagałem prawie.

ZOFIA (*na stronie*).

Tak, spróbujmy. (*do Zdzisława*). Przebacz mi, przebacz,
Z dobrego serca radzisz, masz dobro na celu, [przyjacielu,
A ja, porywca zawsze, jeszcze się urażam.

Ale chcę się poprawić i teraz uważam,
Że w małżonka wyborze, tym tak ważnym kroku,
Lepiej słuchać rozsądku, niż serca wyroku.

A że, wcześniej czy później, potrzeba wyboru,
Wiedzieć każda powinna, co nie chce klasztoru.

Czesław mało ma równych, coś mówił powtórze,
Wahać się zawsze. .

ZDZISŁAW. Jakto? spodziewać się może?

ZOFIA. Jest...

ZDZISŁAW. Czy może? czy może?

ZOFIA. Jest człowiek uczciwy...

ZDZISŁAW. Więc chcesz?

ZOFIA. Jeśli...

ZDZISŁAW (*idąc ku drzwiom*). Czesławie!...

ZOFIA. Stój! gdzie...

ZDZISŁAW (*ściskając gwałtownie Czesława*). Bądź szczęśliwy.
(*wychodzi prędko*).

SCENA VIII.

ZOFIA, CZESŁAW.

CZESŁAW. Mamże wierzyć, Zofio?

ZOFIA (*nieukontentowana*). Nie zrozumiał wcale.CZESŁAW. Nic? — A więc *ja* rozumiem teraz doskonale.

ZOFIA. Wprawdzie... wierz mi... szacunek... przyznany ci wszędzie.

CZESŁAW. Osłódź, jak chcesz, odmowę, to odmową będzie.

Zyskałem twój szacunek, nigdy go nie zmienisz,

Wiele, więcęj nad innych *me* życzenia cenisz,

I w każdym innym razie spełniłabyś szczerze,

Oprócz tylko w tój jednej, tój jedynęj mierze.

To pani chcesz powiedzieć.

ZOFIA. Lecz przyjaźń prawdziwa

Z nadzieją bliższych związków razem się nie zrywa,

To chcesz mi odpowiedzieć. — Ale nie dość jeszcze:

Ja obok mojęj winy prośbę dziś umieszczę.

CZESŁAW. Prośbę? chcesz pani zatęm swój wyrok osłodzić.

Ale słucham, co każeś?

ZOFIA. Proszę mię nie zwodzić,

Szczerze mi wyznać: Zdziśław dlaczego tajemnie

Chciał nas odjechać?

CZESŁAW. Zdziśław?

ZOFIA. Nie taj się daremnie,

Wiem, że ci to wiadomo.

CZESŁAW. Nie, honorem ręczę.

ZOFIA. Czém go mogłam urazić, próżno pamięć dręcę.

CZESŁAW. I za to ręczyć mogę, że urazy niema.

ZOFIA. Skądże ta nagle podróż? czemuż skrytą trzyma?

Powiedz.

CZESŁAW. Wszystko to dla mnie rzeczą całkiem nową.

Mawiał wprawdzie, że pragnie wejść w służbę krajową,

Lecz, żeby miał tak dziwnie, nagle, po kryjomu

Z twego przyjacielskiego chciéć wyjechać domu,

To mię dziwi nad miarę, temu ledwie wierzę.

ZOFIA. Wysłędz więc z łaski swojęj i powtórz mi szczerze;

Jakakolwiek przyczyna, wiedziéć mi się godzi.

Jego los tak mi drogi, tak wiele obchodzi!

CZESŁAW. Idę do niego.

ZOFIA. Jeszcze jedno mam żądanie:

Proś Czesława, niech z nami czas jaki zostanie.

CZESŁAW. Ten rozkaz byłby szczęściem jeszcze dzisiaj rano.

ZOFIA. Dziś Baron i Wtorkiewicz nudzić mię przestaną.

CZESŁAW. Rozumiem.

ZOFIA. Nie chciałabym...

CZESŁAW. Abym w jednym rzędzie....

ZOFIA. Co zaszło między nami, tajemnicą będzie.

CZESŁAW. Mam się taić z uczuciem, które moją chlubą?
Traciż zamiar swą wartość z nadziei zagubą?

ZOFIA (*prosząc*). Ja proszę.

CZESŁAW. Dobrze zatém; niech się tém pocieszę,
Że twój woli nie badam, lecz ją pełnić śpieszę.
(*odchodzi*).

SCENA IX.

ZOFIA, BOBINÉ.

BOBINÉ. Czesław smutny odchodzi, coś posępnie wzdycha.

ZOFIA. Doprawdy?

BOBINÉ. Baron mdleje, Wtorkiewicz usycha,
A ciebie widzę bawią miłośne katusze.

ZOFIA. Co za myśl!

BOBINÉ. Wiiesz, Zofio, przyznać ci się muszę,
Każdemu z nich przyrzekłam moje dobre słowo,
Każdemu, że u ciebie wesprę ge namową,
I od każdego wzięłam jak najczulsze dzięki.
Ale z nich Czesław tylko godzien twojej ręki.
Wierz mi, szkoda nam czasu, skończ jeszcze w tej dobie.
A potem... potem może... pomówię o sobie.

SCENA X.

ZOFIA, BOBINÉ, SMAKOSZ, BARON, WTORKIEWICZ.

SMAKOSZ. Przebacz, moja królowo, zem kuchnią zarządził:

Prosiłem pana Troto, by rozbif sporządził.
Wyśmienite francuskie, leciuchne potrawy,
Kiedy rozbif i bifszyk doda im podstawy.

WTORKIEWICZ (*cicho do Smakosza*).

Ale mówże, masz mówić.

BARON (*z drugiej strony podobnie*). Przystąpże do rzeczy.

SMAKOSZ (*przeglądając kartkę*).

Capilotade de volaille przednie, nikt nie przeczy,
Ris de veau aux truffes, cudne, w gębie się rozplywa,
Suprême de poulet, łąkoć, łąkotka prawdziwa,
Tourte de flet à la Béhamel, za trzech zjadam.

WTORKIEWICZ (*wyrywając mu kartkę*).

Ale pęknieś mi = pęknieś! =

BARON (*cicho do Smakosza*).

W twoje ręce składam...

SMAKOSZ. Niech da wszystko, to dobre, to się lekko trawi,

Ale niech wprzód nakarmi, a potem się bawi.

WTORKIEWICZ (*do Smakosza*).

Obetrzyjże raz gębę i mów, o com prosił.

BARON (*do Smakosza*). Mospanie, jeśli drwinki, nie będę ich znosił!

SMAKOSZ. A, kara pana Boga! dwóch mi w ucho krzyczy.

Twojej ręki, królowo, dwóch ich sobie życzy:

Jak ich widzisz, tak ich pisz, — stoją przed oczyma,

Wybieraj! jest w czém wybrać.

(*cicho do Zofii*) Dalibóg, że niema.

(*głośno*) Teraz róbcie, co chcecie, dziewczosłab odpocznie.

(*siada*).

BARON (*klękając*). Pani serca mego! daj wyrok niezwłocznie.

ZOFIA (*zrywając się*). Ależ cóżto, Baronie, czy komedią gramy?

BARON. Zapukaj a otworzą, pukam do twój bramy.

ZOFIA. Proszę wstać.

BARON.

Nie, nie wstanę, aż z twą ręką razem.

SMAKOSZ (*na stronie*).

Umrze baron na klęczkach.

BARON.

Nie czyn serca głazem.

Baronów Antenackich ostatni potomek,

Tego pnia zaszczytnego!...

SMAKOSZ (*na stronie*).

Spróchniały ułomek....

BARON.

Ufa!...

ZOFIA.

Abys więc kolan nie zranił, Baronie,

Prędko, w najkrótszych słowach myśl moję odsłoń,

A tą jest, że ci zadość uczynić w tym względzie,

Wybacz, nie mogę.

BARON.

Jakto? z nami...

ZOFIA.

Nie nie będzie.

BARON (*wstając*).

A cóż ja będę robił?

ZOFIA.

A, co się podoba.

BARON.

Okrutna!

ZOFIA.

Tylko proszę...

BARON.

O, nieszczęsna doba!

Dwakroć, dwakroć nieszczęsna, kiedy ujrzał ciebie.

Opuszczasz ród baronów w okropnej potrzebie!

Przez zniszczoną nadzieję w tej srogięj godzinie

Plemię na wieki wieków Antenackich ginie! (*odchodzi*).

SCENA XI.

ZOFIA, BOBINÉ, SMAKOSZ, WTORKIEWICZ.

WTORKIEWICZ. A niech mię dyabli wezmą! ten człowiek szaleje.
(*biorąc za rękę Zofię*).No, moja pani, ze mną, co się w sercu dzieje?
Puka trochę, nieprawdaż? — na mój honor, puka —ZOFIA (*wyrwawszy rękę*).

W samą rzecz, mój panie...

WTORKIEWICZ.

Niech mi słów nie szuka,

Rozumiem i westchnienie = dalibóg rozumiem.

ZOFIA (*urazona*). Ale ja tej pewności zrozumieć nie umiem.

WTORKIEWICZ. Wiem więc, wiem, o co idzie: czas do namyslenia.

ZOFIA. Wiek cały równych moim przedsięwzięć nie zmienia.
Więc nie pójdę za niego, święcie mu przyrzekam;
Teraz dosyć wyraźnie?

WTORKIEWICZ.

Ja jednak zaczekam.

ZOFIA.

Wolno.

WTORKIEWICZ.

To tylko próba.

ZOFIA.

Cierpliwości próba.

WTORKIEWICZ. Kochasz mię?

ZOFIA.

Nie, nie kocham.

WTORKIEWICZ.

To skromność.

ZOFIA.

To chluba.

WTORKIEWICZ. Ach, pójdiesz za mnie.

ZOFIA.

Nigdy.

WTORKIEWICZ (*przysuwając się*).

Lecz jedno wejrzenie...

ZOFIA.

I cztery.

WTORKIEWICZ (*czule*).

Pojdziesz za mnie?

ZOFIA (*w złości*).

Nie, na honor, że nie.

WTORKIEWICZ.

Ale... (*zatrzymując ją*) pojadę.

ZOFIA.

Żegnam.

WTORKIEWICZ.

A jutro powrócę.

(*całując rękę*).I jutro, pewny jestem, to wahanie skrócę. =
(*odchodzi*).

SCENA XII.

ZOFIA, BOBINÉ, SMAKOSZ.

SMAKOSZ. Obiad dają, on jedzie, to trzeba waryata.

ZOFIA. Ucieknę dziś, ucieknę na sam koniec świata;

Mówię, że go nie kocham, nie chcę, nienawidzę,
 On mówi, że go kocham, chcę, bóstwo w nim widzę;
 Słyszał kto co takiego?... ale o mój Boże!
 Bobinko, powiedz, byłam niegrzeczną z nim może?
 Dobrze mu, niech nie nudzi.

BOBINÉ.

ZOFIA.

SMAKOSZ.

Ach, tak jestem żywą!
 To jest, dręczyć się troską pleci pięknej właściwą;
 Padł Baron, padł Wtorkiewicz: dwóch na raz ubiła,
 Teraz myśli, czy gromiąc dosyć grzeczną była.

SCENA XIII.

ZOFIA, BOBINÉ, SMAKOSZ, CZESŁAW.

CZESŁAW. I tu niema Zdzisława? niema więc na świecic;
 Jak kamień w wodę...

BOBINÉ.

ZOFIA (dzwoniąc).

Jakto?

Nie odjechał przecie?

(do Stefana).

Nie widział kto Zdzisława?

STEFAN.

Właśnie Jan powiada,

Że konno gdzieś wyjechał.

ZOFIA (na stronie).

Co moment zawada.

(Stefan odchodzi).

SMAKOSZ.

Ale co wam się marzy, co po głowie chodzi?

Wiedzieć, gdzie Bóg szalonych zakochanych wodzi.

ZOFIA.

Zakochanych?

Czy Zdzisław?...

CZESŁAW.

SMAKOSZ.

Jak kot!

CZESŁAW.

Bajesz, bajesz.

ZOFIA.

Skąd wiesz?

SMAKOSZ.

To wy nie wiecie?

ZOFIA.

Z czegoż ty poznajesz?

SMAKOSZ.

Alboż to? poznać trudno?

BOBINÉ (na stronie)

Jak mi serce bije.

CZESŁAW.

Naprzykład?

SMAKOSZ.

Primo...

ZOFIA.

Primo?

SMAKOSZ.

Nic nie je, nie pije.

CZESŁAW.

Godna ciebie uwaga.

SMAKOSZ.

Godna, czy niegodna,

Lecz wiem, że tylko miłość lubi, kiedy głodna.

I niedość: przeszła razą, gdym tu pani służył,

Podlem niego nocował — i okam nie zmrużył.

Myślałem już na honor, że zmysły postradał:
Całą noc chodził, biegał, wzdychał, jęczał, gadał;
A że ja się szalonych niewymownie boję,
Wstałem cicho i krzesłem drzwi podparłem moje.

CZESŁAW.

Cóżto wszystko dowodzi?

SMAKOSZ.

Jakto nie dowodzi?

W potach noc przepędziłem.

ZOFIA.

Tu nie o to chodzi.

SMAKOSZ.

Ależ tłukł się, powiadam, jak Marek po piekle.

CZESŁAW.

Nie kocha...

SMAKOSZ.

Więc lunatyk...

CZESŁAW.

Że wzdychał...

SMAKOSZ.

Tak wściekle!..

CZESŁAW. To nic nie znaczy.

BOBINÉ (na stronie).

Serce wyskoczy mi z łona.

SMAKOSZ.

No, więc dzisiejszy dowód najlepiej przekona.

Przed godziną, niechcący, tak go zszedłem z cicha,

Żem stanął krok za nim — słucham, a on wzdycha,

Patrzę z wolna przez ramię, a on portret trzyma.

ZOFIA I CZESŁAW. Portret?

SMAKOSZ.

W pularesiku — spojrzeć grzechu niema;

Spozieram — jakaś dama, widzę po ubiorze,

Ale nic więcej, czekaj, okulary włożę.

Wkładając okulary, w sam nos się szturchnąłem,

A szturchnąwszy się w sam nos, jak z procy kichnąłem.

Kichnąwszy w samo ucho, Zdzisław na mnie krzyknął,

Okulary się stłukły a pulares zniknął, —

Żeby mi choć był za to powiedział, na zdrowie.

STEFAN (wchodząc). Już do stołu..

SMAKOSZ.

Ach, mój sos! co tam Troto powie!

(wybiega).

SCENA XIV.

ZOFIA, BOBINÉ, CZESŁAW.

ZOFIA.

Rzecz dziwna!

CZESŁAW.

Wiem, co myślisz, lecz mylne mniemanie,

I co powiem, niech jego obroną zostanie.

Lecz gdyby cię i kochał w tak tajnym sposobie,

Mniej gniewu niż litości winien wzbudzić w tobie;

Ale w jego czynnościach dowody gotowe:

Przez niego ciebiem poznał, przez jego namowę

Wszedłem na drogę szczęścia, z której dzisiaj schodzę;
 Jego przyjaźń wspierała w nieustanną trwodze,
 Tłumiła złe przecucia, nadzieje karmiła,
 Słowem, moją przewodnią i opieką była.

BOBINÉ. Kiedy tak rzeczy stoją, miłość jego jawna;
 Nie mam już kryć potrzeby, co ukrywam zdawna:
 Mniemam, mnie Zdzisław kocha, za mną on szaleje.

ZOFIA. Bobinko, co ty gadasz? Pan Czesław się śmieje?

BOBINÉ. Śmieję się w rzeczy samej, bo nie bardzo wierzę.

CZESŁAW. Dlaczegoż miałby Zdzisław tać się w tej mierze?
 Dlaczegoż to zagadka.

BOBINÉ. Od ciebie zadana.

ZOFIA. Człowieku, ale gdzie Edyp?

CZESŁAW (na stronie). Sfinks, ale gdzie Edyp?

BOBINÉ. Że jestem kochana.

Zaraz wam tu przysięgnę.

ZOFIA (porywczo). Nie, to być nie może.

BOBINÉ. Ach, tysiące dowodów, jak zechcę, to złożę.

CZESŁAW. Aby jeden.

BOBINÉ. Powiem więc, chociaż się zapłonę.

CZESŁAW. Ho! ho!

BOBINÉ. To przez Smakosza odkrycie zrobione,
 Ten portret jest... jest moim.

ZOFIA (na stronie). Ha, to nadto boli!

BOBINÉ. Dając go dzisiaj, jego uległam w tej woli,
 I miłość czułą, stałą, tak dawno tajemną,
 Na cóż mam się zapierać, odplacam wzajemną.

ZOFIA (na stronie)

Kochał inuą i znał, znał, jaka moja męka!

Dobrze (do Czesława). Czesławie, chciałeś, oto moja ręka.

CZESŁAW (zdziwiony).

Z wdzięcznością ją przyjmuję... chociaż niespodzianie;

Nie mniej jednak to szczęście drogiem mi zostanie.

ZOFIA. Ile będzie w mej mocy, tyle go przyrzekam.

SMAKOSZ. (we drzwiach).

Ależ państwo kochane, od godziny czekam!

Miejcieżcie przecie litość! miejcie Boga w duszy!

Obiad już dawno gotów, wszystko się wysuszy.

(odchodzi za nim zamysłeni).

AKT IV.

SCENA I.

SMAKOSZ, KRUPKOWSKI.

(*Smakosz śpi na środku w krześle, duża gałąź od much w ręku*).

KRUPKOWSKI (*wchodząc*).

Hm! hm! spoczął po pracy, to mi gość łaskawy!
Od *a* do *ziet*, *żet* żadnej nie minął potrawy.
Jak się naje, śpi, jak się wyśpi, je; to żyjel
Ale kat mi do tego, niech je zdrow i pije.
Dobrze, że nam już gości ubywa potrosze,
Ale pono potężne biorą z sobą kosze.
Baron jęczał, nie wzdychał, włącząc na skarbniczek;
Wtorkiewicz gwizdać gwizdał, ale jak kuliczek;
Czesław jeszcze się trzyma, jeszcze się nie rusza,
Lecz i on pono wkótce beknie Tadeusza.

SCENA II.

BOBINÉ, KRUPKOWSKI, SMAKOSZ (*śpiący*).

BOBINÉ. Ciesz się, Krupkowski.

KRUPKOWSKI.

Już się cieszę.

BOBINÉ.

Wiesz?

KRUPKOWSKI.

Co?

BOBINÉ.

Szczęście,

Które nas czeka.

KRUPKOWSKI.

A to?

BOBINÉ.

Zofii zameścić.

KRUPKOWSKI. Co? za mąż idzie?

BOBINÉ.

Czesław jój rękę otrzyma.

KRUPKOWSKI. Kto? Czesław? (*na stronie*) zjedzże dyabła! tu radości niema

BOBINÉ. Dobrana będzie para.

KRUPKOWSKI. Gdzie dwoje, tam para.

BOBINÉ. Ale naszego szczęścia nie tu jeszcze miara;
Czesław lubo osiągnie cel życzeń i chluby,
Jego towarzysz broni i przyjaciel luby
Równie będzie szczęśliwy.

KRUPKOWSKI. Oba razem? oba?

BOBINÉ. Równie czuła i miła czeka go osoba.

KRUPKOWSKI (*powtarza pomatu, przypatrując się jej*).

Równie czuła i miła; czuła, hm! i miła...

(*na stronie z gniewem*),

Boże mnie skarż! wszak ona siebie nastroiła.

BOBINÉ. Proszę cię więc, idź, Zdzisław jeżeli z powrotem,
Przyślij go tu czémprędź, lecz nie mów o tem.
Powiedz tylko, że zgoda, zgoda między nami.

KRUPKOWSKI (*na stronie*).

Albo ja głupi, albo... (*kładąc palec na usta*) cnota nad cnota
(*odchodzi*). [mi!...

SCENA III.

BOBINÉ, SMAKOSZ.

BOBINÉ. Ach! żeby ten pasibrzuch mógł już jechać sobie!

(*patrzy na zegar*).

Po czwartą—aż na siódmą. . ha! wiem, wiem, co zrobić:
Zegar posunę. (*posuwa*). Ale niedość... tylko śmiało!

(*wyciąga mu zegarek z kamizelki, posuwa, potem uderza mocno książką o stolik*).

SMAKOSZ (*zrywając się*).

Ho, ho! trzymajże, gapiu!—u! a mnie się zdało,

Że jakiś człowiek miły, przyjemnej postaci,

Ze strasburskim paszтетem równowagę traci,

I leci, leci, leci... a niech piorun trzaśnie!

Człowiek musi się martwić, nawet kiedy zaśnie!

BOBINÉ. Ależ tak spać! cóż w nocy z waćpanem się dzieje!

SMAKOSZ. Tak spać! pięć minut czasu... (*patrząc na zegar*) ten zegar
Pół do szóstej! [szaleje!

Nie, to być... (*dobytując swój zegarek*). Przebóg!

(*wołając przez okno*) hej, mospanie!

Każ zaprzadź—pół do szóstej! (*idąc do drzwi*).

O nieszczęsne spanie!

(*wołając za drzwi*).

Niech tam zaprzęga, prędko! (*wołając*) czy opium zażyłem? Gdzież mój kapelusz? (*przez okno*) śpiesz się! wszakże ci może na siódmą w Warszawie muszę być koniecznie — [wilem, (*do siebie*) Bankiet jak w błoto rzucił...

(*do śmiejącej się Bobiné z gniewem*). A śmiać się niegrzecznie. (*szuka pod stołem*). [nie.

Gdzież laska u kaduka! to mi sen nietani!
(*do wchodzącego z jednej strony Czesława*).

Zaprzągi! a, to ty bądź zdrow!

(*do wchodzącej Zofii z drugiej strony*) Zaprzągi! a, to pani! Żegnam was, żegnam, żegnam.

(*odchodząc*). Tom się pięknie sprawił.

(*za drzwiami*).

A cóż? zajechał czy nie? bodaj się udławił!

SCENA IV.

ZOFIA, BOBINÉ, CZESŁAW.

BOBINÉ. Śmiać mi się chce, prawdziwie.

CZESŁAW.

Czegoż tak się śpieszy?

BOBINÉ.

Wiem, że jego tu bytność niebardzo was cieszy,
Że w miłości szczęśliwej świadek zawsze na nic.

ZOFIA.

I że miłość szczęśliwa w mowie nie zna granic.

BOBINÉ.

Ależ twój humor, Zosiu, wcale nie miłośny...

ZOFIA.

Cóż Smakosz? (*na stronie*). Jakże jej głos piskliwy, nieczno-

BOBINÉ.

Posuńlam zegarki i stąd jego twoga; [śny!
Lecz mówny o Zdzisławie.

CZESŁAW (*na stronie*).

Szaleje nieboga!

BOBINÉ.

Odkryłam wam już szczerze położenie moje;
Widzicie, że choć w szczęściu, jeszcze drżąca stoję;
Lękam się nawet jego miłości bez miary,
Która wzajemnym uczuciom nie umie dać wiary,
Która jeszcze natenczas poświęcenia marzy,
Kiedy wszystko poprostu, najlepiej się darzy.

ZOFIA (*na stronie*).

Poprostu, co za wyraz!

CZESŁAW (*na stronie*).

Nie, to być nie może.

BOBINÉ.

Jednak z waszą pomocą kres troskom położę;
Do twojej, luba Zosiu, mam niemylnie prawa,
Równe pan dajesz, jako przyjaciel Zdzisława;
Chciejcie zatem objaśnić, zapewnić, wybadać:
Niech się żeni, ja czekam, nacóż to odkładać? (*odchodzi*).

SCENA V.

ZOFIA, CZESŁAW.

CZESŁAW. Miłość ślepa, tak mówią, ale przyjaźń widzi.

ZOFIA. Ale miłość ta ślepa i z przyjaźni szydzi

CZESŁAW. Nie, moje oko wprawne w jego duszy czytać:

Wstyd mi go nawet będzie o tę bajkę pytać.

ZOFIA. Pytać się też nie trzeba, tam gdzie dowód jasny.

CZESŁAW. Nie, nie, znam tę Bobinę, znam i jak mój własny
Jego sposób myślenia.ZOFIA (*z westchnieniem*). I jam znać myślała.

CZESŁAW. Na cóż kosztem szczerości ta skrytość się zdała?

ZOFIA. Nic o to tu już chodzi.

CZESŁAW. Bardzo, bardzo chodzi.

Wszystko, com dotąd słyszał, nic mi nie dowodzi,

I póki mi sześć razy, raz po raz nie powie,

Że mu się w samej rzeczy przewróciło w głowie,

Póty ja wszystkim w świącie Bobinkom nie wierzę.

ZOFIA. O, pewnie sam pan Zdzisław teraz wyzna szczerze,

Powie nam swoje troski, jęki, męki, żale...

Otóż i on! (*na stronie*). Prawdziwie, nie kocham go wcale.

SCENA VI.

ZOFIA, CZESŁAW, ZDZISŁAW.

CZESŁAW. Gdzież byłeś?

ZDZISŁAW. Konnom jeździł.

CZESŁAW. Po takim upale?

ZDZISŁAW. Chciałem przerwać ból głowy.

CZESŁAW. I tak długoś bawił?

ZDZISŁAW. Koń mi nagle zakulał, w karczmie-m go zostawił,

A sam pieszo do domu.

CZESŁAW. Głodny bez wątpienia?

ZOFIA (*na stronie*).

Niech nie je, kiedy kocha.

ZDZISŁAW. Niewarto mówienia. —

(*biorąc go za rękę*).Winszuję ci raz jeszcze. (*drżącym głosem*). Zofio i tobie...(*Zofia skłania głową*).

Wszystkie moje życzenia zamknąłem w tój dobie ..

Bądźcie zawsze szczęśliwi... razem życia drogę...

Ach, to serce tak pełne... ja mówić nie mogę.

CZESŁAW. Dajmy pokój wymowie; to ściśnienie ręki

Łączy wszystkie życzenia i wszystkie podzięki.

Twojém to prawie dziełem szczęście otrzymane:
Pamiętać i być wdzięcznym nigdy nie przestanę.
A teraz czyniąc odwet, w opiekę cię biorę,
I przynaj nam się szczerze, może w dobrą porę.

ZDZISŁAW. Nie rozumiem.

CZESŁAW. To dobrze... to jest, z jednej strony.

ZDZISŁAW. Mów jasno, nie zgadnę, jestem roztargniony.

CZESŁAW. Roztargniony? znowu źle.

ZDZISŁAW. Same zagadnienia.

CZESŁAW. Ależbo, na mój honor, mam dziwne zlecenia.

ZDZISŁAW. Od kogo?

CZESŁAW. Od Bobiné.

ZOFIA (*na stronie, spojrzawszy skrycie*). Jak się zaczerwienił!

ZDZISŁAW. I do mnie?

CZESŁAW. Nie zgadujesz?

ZDZISŁAW. Nie.

CZESŁAW. Tę, com wymienił...

ZDZISŁAW. Cóż?

CZESŁAW. Ty kochasz.

ZOFIA (*jak wprzód*). Zbladł jak mur!

ZDZISŁAW (*po krótkim milczeniu wychodząc z zadziwienia*). I cóż to ma.

CZESŁAW. Właśnie ty tylko jeden możesz wytłómaczyć. [znaczy?

ZDZISŁAW. Jeśli żarty?—nie w miejscu; jeśli twoje swaty?—

Bardzo ci jestem wdzięczny, wspaniałys za katy!

CZESŁAW. Nie moje, nie, dla Boga! stój, nie strzelaj jeszcze.

Widzisz pani, że dobrze moję ufność mieszczę;

Lecz dla méj spokojności proszę cię, Zdzisławie,
Objaśnij nas niezwłocznie w tój dziwacznej sprawie.

ZDZISŁAW. Cóż mam plotkę objaśniać, w której sensu nie ma

I któż ją zrobił?

CZESŁAW. Ona, ona sama mniema,

Że ty za nią szalejesz.

ZDZISŁAW. Kto? ona powiada?

CZESŁAW. Tysiąc nawet dowodów nieproszona składa.

ZDZISŁAW. Cóż to znaczy?

CZESŁAW. Przeminę jój rejestr zbyt długi

Twoich słów, wejrzeń, westchnień, stokratnej usługi:

Jak w koczuś wziął za rękę, ścisnął przy kominie,

Jak jój dałeś raz gruszki, drugi raz brzoskwinie,

Jak ona prędko zjadła, tobie pestki dała,

Jakże ją w nogę szturchnął, aż krzyknąć musiała.

Tysiąc, mówię, dowodów, każdy oczywisty,

A wspomnę tylko teraz jakieś twoje listy.

- ZDZISŁAW. Listy? listy? cóż z tego? i któż się z tém kryje?
Każdy chciwy jest nowin, kto samotnie żyje.
- ZOFIA (z *ironią*).
Skądże taka ciekawość?
- ZDZISŁAW. Jestże moja wina,
Że ja źle zrozumiała?
- CZESŁAW. I wstążkę wspomina.
- ZDZISŁAW. Wstążkę?
- CZESŁAW. Skrycie uniosłeś.
- ZDZISŁAW. Tak, może, nie pomnę,
Przez żart pewnie; tak, żartem.
- ZOFIA (z *ironią*). Wyznanie zbyt skromne.
- CZESŁAW. I portret...
- ZDZISŁAW. Portret! —
- ZOFIA (z *ironią*). Tylko portret.
- CZESŁAW. Portret dała ..
- ZOFIA (na *stronie*).
Jak się miesza.
- CZESŁAW. I na tém spoczęła jej chwala.
- ZDZISŁAW. Dała mi portret, kiedy chcesz wiedzieć koniecznie,
I wziąłem; miałem nie wziąć? byłoby to grzecznie?
- ZOFIA. Co za grzeczność! (*wstając*). Lecz na cóż śmiesznie się zapie-
rać?
Wszak przez grzeczność na portret nikt nie zwykł pozierać
Z takim czuciem, że nie wie, gdy kto za nim stanie.
- ZDZISŁAW. Ach, ten Smakosz przekłętý!
- ZOFIA. Skończmy to badanie!
Nie chce naszej przyjaźni; ma swoje widoki.
- ZDZISŁAW. Z czasem powiem...
- CZESŁAW. Nie, nie, nie, powiedz nam bez zwłoki.

SCENA VII.

ZOFIA, CZESŁAW, ZDZISŁAW, SMAKOSZ.

- SMAKOSZ. Ach, zlituj się, królowo, użyj swojej łaski,
Każ mi zaprząć czém prędkiej do jakiej kolaski:
Furman jak sztok pijany nagle końmi skręcił,
I dyszel całkiem złamał. — Bodaj się nie świecił!
- ZDZISŁAW. Zaraz dam ci mój pojazd. (*prędko wychodzi*).
- SMAKOSZ (*biegnąc za nim*). Duszeko! serce! życie!
Tylko prędko — Bóg ci to nagrodzi sowicie.

SCENA VIII.

ZOFIA, SMAKOSZ.

ZOFIA (*wpól płacząc*).

Nie, tego już nie zniosę: uchodzi, ucieka,
 Nawet przyjaźni mojej całkiem się wyrzeka,
 I dla kogo? dla kogo? niewdzięczny! fałszywy!
 On nie ma serca, nie ma — lez tylko, lez chciwy.

(*po krótkim milczeniu*).

Czesławie! nie chcąc wprawdzie odkryłam ci duszę,
 Lecz tego nie żałuję, wyznać wszystko muszę.
 Tak jest, kocham go jeszcze, kochałam tajemnie,
 Miłość ta z każdą chwilą wzmacniała się we mnie,
 Musiałam przeciw sobie sama siebie bronić,
 Aby jój niewdzięcznemu całkiem nie odsłonić;
 I nieraz, tłumiąc skromność, chciałam wyznać szczerze;
 Lecz jeśli wzgarda bywa bolesną w tój mierze,
 Litość jest boleśniejszą, boleśniejszą jeszcze.
 Nie zwiodyli mię, jak widzę, me uczucia wieszczę:
 Czy byłby się miłości usunął, czy zbliżył,
 Jak tylko nie podzielał, byłby ją unżył.
 Mógł mię zrozumieć, nie chciał; ja chciałam się zmienić,
 Nie mogłam. — Wtedy aby żal duszy zacienić,
 W świecie, balach, rozrywkach pomocy szukałam;
 Śmiałam się, by nie płakać, by nie czuć, szalalam.
 Znasz teraz serce moje.

I znałem już wprzód.

CZESŁAW.

Jakto?

ZOFIA.

Za jasne miałem twych uczuć dowody.

CZESŁAW.

W czym?

ZOFIA.

W oddaniu twój ręki.

CZESŁAW.

ZOFIA.

Wtedy więc dopiero?

CZESŁAW.

Wierz mi, rada nie rada, ty musisz być szczerą,
 Bo taić się niewiele — mniej udawać umiesz.

Ale powiedz, Zofio, czyliż ty rozumiesz,
 Żem tak mało czuć zdolny szczęście, szczęścia tyle,
 Abym mógł być ci wierzyć choć na jedną chwilę?

ZOFIA.

Puśćmy więc wszystko w czasu zwyczajne koleje.

CZESŁAW.

Tak, zostawmy czasowi, a miejmy nadzieję.

ZOFIA (*obojętnie*).

Tak, nadzieję. —

CZESŁAW.

O twojój już ja tylko mówię.

ZOFIA (*porywczo*).

O mojej? mieć jój nie chcę.

CZESŁAW.

Az Zdzisław nam powie...

ZOFIA. Co ma Zdzisław powiedzieć? Co powiedzieć może?
 Czy chciałbyś mu wyjawić?... lecz tém się nie trwożę,
 Bo wiem, ile mi sprzyjasz, a jednym wyrazem
 Zerwałbyś moję przyjaźń i szacunek razem (*odchodzi*).

SCENA IX.

CZESŁAW. Gdy teraz wszystko zważam, co się działo, dzieje,
 Podobno margrabianka nie trochę szaleje.
 A Zdzisław?... lecz mnie żenił... na cóż mu się zdało?...
 Hm! byłem dotąd ślepy, teraz widzę mało.

SCENA X.

CZESŁAW, BOBINÉ.

BOBINÉ. No jakże? bo od Zosi nie wiedzieć nie można.
 Jakże, odkryta przecie jego miłość trwoźna?
 Zapewnione nadzieje? Gdzież się dotąd kryje?
 Ach, patrz, panie Czesławie, jak mi serce bije.

CZESŁAW. Stać widzę.

Czemuż milczał?

Milczał, bo nic nie wie.

BOBINÉ. Nie wie, że kocha?

Teraz dowiedział się w gniewie.

CZESŁAW. O miłości?

BOBINÉ. O plotce.

Jeszcze się zapiera.

CZESŁAW. Prawdę tylko powiada.

BOBINÉ. Zdrajca!

CZESŁAW. Et cetera.

BOBINÉ. Zwodziciel!

I tam dalej.

CZESŁAW. Ale mam dowody.

BOBINÉ. Nie wierzę.

CZESŁAW. Wstążka.

BOBINÉ. Fraszka!

CZESŁAW. Portret.

BOBINÉ. Widźmy wprzód.

CZESŁAW. Pokażę.

BOBINÉ. To zobaczę.

CZESŁAW. Idę.

BOBINÉ. Czekam.

BOBINÉ. Biegnę.

CZEŚŁAW. Adieu.

BOBINÉ.

Jeżeli zwodzę, niechaj w grobie legnę *(odchodzi)*

CZEŚŁAW *(sam)*. Ta go już nie wypuści, tój się nie wywinie,
I wszystko wiedzieć będziemy najdalej w godzinie.

SCENA XI.

CZEŚŁAW, SMAKOSZ.

SMAKOSZ. Wdaj się tu z zakochanym! kaduk go dogoni!
Wyszedł i zniknął — szukam, ni pana, ni koni.
O, przekłete niech będą wszystkie wraz furmаны!
Przekłety ten, co pierwszy dał dyszel drewniany.
I co tu za lud głupi, głupi nie do wiary,
Bo czy można: je mało a pije bez miary.

CZEŚŁAW *(do siebie)*.

Niech pozwoli powiedzieć, wszystko dobrze będzie:
Tu tylko prawe szczęście trzeba mieć na względzie.
(odchodzi za Zofią)

SCENA XII.

SMAKOSZ, *(później)* BOBINÉ.

SMAKOSZ. Proszę, co to przecucia — ten mój pasztet we śnie,
Co lecąc mi pod nogi przebudził boleśnie,
Nie byłże wieszczym znakiem, że czas już ucieka,
I że może *(z westchnieniem)* nie dla mnie bażant się dopieka!
O ludzkie przeznaczenia! któż was kiedy zgadnie?
Któż powie, jaka kostka na talerz nam padnie?

(przez okno)

Panie, panie Krupkowski! bój się waćpan Boga!
Jest już pojazd? co? zaraz? — a tu taka droga!

BOBINÉ *(wbiegając i w górę trzymając pularę)*.

Jest! jest!

SMAKOSZ *(biorąc kapelusz)*.

Jest przecie?

BOBINÉ.

Patrz, patrz.

SMAKOSZ.

Bądź waćpanna
zdrowa.

BOBINÉ *(zatrzymując go)*.

Czekaj!

SMAKOSZ.

A, jeszcze czego! *(wirywa się i trąca się z wbiegającym Zdzisławem)*.

SCENA XIII.

BOBINÉ, ZDZISŁAW (*potém*) CZESŁAW i ZOFIA, (*później*) SMAKOSZ.

BOBINÉ. Ach, gdzież moja głowa!

Myslałam, że to Czesław.

ZDZISŁAW. Błagam.

Nie pomoże.

BOBINÉ. ZDZISŁAW. Oddaj...

BOBINÉ. Nie, nic.

ZDZISŁAW. Zgubisz mię.

BOBINÉ. Raz koniec położę.

ZDZISŁAW (*klękając*).
Na klęczkach cię zaklinam.

BOBINÉ. Wszystko to daremnie.

CZESŁAW (*wchodząc, za nim Zofia*).

A, tu czasu nie tracą.

BOBINÉ (*pokazując i w górę trzymając pulares*).

Ha! śmiałeś się ze mnie,

Dostałam go, wyrwałam, wydobyłam zdradą,

Patrzcie — takięto, takie dowody się kładą!

Patrzcie wszyscy—oto jest (*otwierając*) co widzę! o nieba!

Portret Zofii!

CZESŁAW (*odbierając*). Więcej też nam nie potrzeba.

BOBINÉ. Jaktó! ty śmiesz ją kochać?

ZDZISŁAW (*tu Smakosz wchodzi i staje nagle*).

Nieszczęsna godzina!

ZOFIA. Zdzisławie, mogąż wierzyć?

ZDZISŁAW. Tak, to moja wina.

Lecz choć ciągle trawiony namiętnym pożarem,

Szczęście twoje jedynie było mym zamiarem,

I gdy sam je zapewnić nie mogłem mieć prawa,

Usiłowałem w ręce powierzyć Czesława.

Listy, dla czego pisał, w nich dowód zostaje:

(zrywając z szyi z mocnym rozczuleniem czarną wstążkę)

Wstążkę miała od ciebie — wzięłem... i.. oddaję.

Była ona wprzód twoją, nim moją żalobą;

Na nią padła lza twoja, gdy m się żegnał z tobą.

Dziś biorąc te złączone dwa razem portrety,

Brać tylko dar litości mniemałem, niestety!

Przebaczcie i żałujcie.

CZESŁAW (*do Zofii*). Czy jednym wyrazem

Mam zerwać twoją przyjaźń i szacunek razem?

Ach, Zdzisławie, *ty!* w którym przyjaźni wzór żywy,
Zofia kocha *ciebie*, *ty* będziesz szczęśliwy.

ZDZISŁAW. Ja? ja?

ZOFIA. Trzebaż ci mówić, coś zgadnąć mógł nieraz?

BOBINE. W tej Polsce nigdy ładu, ale najmniej teraz.

ZDZISŁAW. Milczę...

ZOFIA. A ja rozumiem.

ZDZISŁAW (*do Czesława*). Tobie czém odplączę?

CZESŁAW. Szczęściem waszém: *to* czuję, nie pomnę, *co* tracę.

SMAKOSZ. Oto mi się podoba! to mi przyjaciele!

Niechże z nimi dziś jeszcze i wieczrę dzielę.

GWALTU, CO SIĘ DZIEJE!

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH.

Sroka bije na jastrzębia i skrzekocze,
Przecież jastrząb jastrzębiem, a sroka sroką.

And. Maks. Fredro.

O S O B Y:

URSZULA, burmistrz w Osieku.

TOBIASZ, jój mąż.

BARBARA, pisarz.

KASPER, jój mąż, brat Tobiasza.

KASIA, icb synowica.

AGATA, bakalarz i dowódca straży.

BŁAŻEJ, jój mąż.

FILIP GRZEGOTKA.

JAN KANTY DOREBA, }
DYZMA BEKIESZ, } Towarzysze pancerni.

MAKARY, szeregowiec.

MIESZCZANIE, MIESZCZKI, SZEREGOWCE.

Scena w Osieku, sto lat temu.

AKT I.

(Duża izba w domu burmistrza, drzwi do ogrodu po lewój, w kącie okno, na przodzie po prawej stronie sceny drzwi do alkierza, w kącie mniejsze — w głębi drzwi otwarte, widok na rynek — przy tych schodki z poręczą i w górze małe drzwiczki, na środku stół suknem przykryty, krzesło — etc).

SCENA I.

MAKARY, (za nim) KASIA. (*Kasia po męsku ubrana — czamarka, żółte buciki, czapeczka konfederatka*)

MAKARY (*trzymając się za głowę*). Gwałtu, co się dzieje! gwałtu, co się dzieje!

KASIA. Cicho!

MAKARY. Co się dzieje! co się dzieje! gwałtu! gwałtu!

KASIA. Uspokój się dla Boga!

MAKARY. A to bisurmaństwo! a to tatarstwo! Boże zmiłuj się nade mną!

KASIA. Makary, ty nas chcesz zgubić!

MAKARY. To koniec świata!

KASIA. Zaklinam cię na wszystko — zmiłuj się, nie krzycz. Jakby cię zobaczono, albo i usłyszano tylko, jużby po nas było.

MAKARY. Ja słów nie połknę, ja gadać muszę.

KASIA. Mój Makary, mój kochany Makary, milcz, milcz, bo siebie, twego pana i mnie razem nieochybnie zgubisz!

MAKARY. Ja mam milczéć!

KASIA. Lękaj się...

MAKARY. Lękać się nie umiem.

KASIA. Stryjaszek już pół głowy ogolił...

MAKARY. Niech goli zdrów!

KASIA. Jak skończy...

MAKARY. Będzie ogolony...

KASIA. I spódnicę wdzieje...

MAKARY. I jak spódnicę wdzieje? — gwałtu, co się dzieje!

KASIA. Zaraz na targ wyjdzie...

MAKARY. I z kądzielą w rękę.

KASIA. Może nas tu zastać.

MAKARY. I cóż mi zrobi?

KASIA. Niewiele sam przez się, ale przez żonę.

MAKARY. Daj go katu! jaki mi Tatar straszny!

KASIA. Jenó co jój nie widać z polowania.

MAKARY. Z polowania! — No, proszę ja kogo?

KASIA. A stryjanka żartować nie lubi: każe cię zamknąć, albo wypędzić.

MAKARY. Zamknąć — Makary się nie da — a wypędzać niema potrzeby, bo sam jak drapnie, to się i nie obejrzy.

KASIA. A naszeż interesa?

MAKARY. Tu sęk! — Ale co, co tu począć w takim odmęcie? W tym Osieku zawsze dziwne sprawy: od pierwszego w nim kroku w głowie mi się kręci, w oczach się mieni, a jeszcze naczczó, Bóg mi świadkiem!

KASIA. Słuchaj mię więc.

MAKARY. Co mam słuchać? wiem wszystko! spódnica! polowanie!

KASIA. Powiedz mojemu drogiemu Jasiowi najpierw, że go zawsze kocham z duszy, serca, tak jak go kochałam; potem powiedz, co się dzieje w Osieku.

MAKARY. O, powiem, powiem.

KASIA. Nareszcie, że go zaklinam na miłość naszą, niech się nie waży tu pokazywać; bo jeżeliby nie pogorszył, toby i nie polepszył pewnie położenia naszego — ale niech mię czeka wieczorem w dębini, koło wielkiego kamienia.

MAKARY. Koło wielkiego kamienia?

KASIA. Już on będzie wiedział, gdzie to jest, a teraz ty nie baw się tu dłużej, i uchodź skrycie a czempredź, bo niebezpieczeństwo z wszelkich stron nam grozi.

MAKARY. Pójdę, ale nie ze strachu. — I biada temu, co mi zastąpi! ech! jeszcze Makary!

KASIA. Tylko się nie bij!

MAKARY. O ba!

KASIA. Narobisz kłopotu.

MAKARY. Wybiję i zapłacę.

KASIA. Zlituj się...

MAKARY. Bez litości.

KASIA. A więc dobrze, rób, co chcesz, ale ci powiadam, że Jasia i mnie zgubisz. — Ciebie chwycą — ty w złości wszystko odkryjesz — Jasia uwiężą — mnie zamkną — i koniec końców pomrzemy. (placze)

MAKARY. Tu sęk! — Ale nie bójcie się, panno Katarzyno, nie płaczcie. — Wasze łzy mój gniew przygasily. — Wszystko będzie dobrze, zrobię, co chcecie: spuszczę proporzec i czaty omine. — Bądźcie spokojne, wszystko dobrze będzie.

KASIA. Idź więc, idź bez zwłoki.

MAKARY. Śpieszę.

KASIA. Bóg z tobą, poczciwy Makary. *(ze drzwi)* W dębinie, koło wielkiego kamienia, pamiętaj, wieczorem.

MAKARY. Dobrze, dobrze. Bogu was oddaję. *(sam)* Ktoby się był spodziewał? dziwna sprawa! co się dzieje na tym świecie! Jeszczem naczczu.

SCENA II.

MAKARY, DOREBA *(spotykają się we drzwiach)*.

DOREBA. Dobrze, że cię spotykam.

MAKARY. Wcale niedobrze.

DOREBA. Czemu?

MAKARY. Bo źle.

DOREBA. Cóż to? czy jaka niepomyślna wiadomość? Kasia moja jak się ma? kocha mię zawsze? zdrowa? ładna? stary Tobiasz, jój stryj, czy żyje? widziałeś się z nimi? cóż mówili? gadajże — no, czemuż milezysz, opuściwszy wasa?

MAKARY. Łaska boska, że go jeszcze mam dotąd, zem go uniósł nienaruszonym i że może najeżyć się jeszcze, kiedy kto sto pytań zadaje, a nie chce słuchać tego, co mu wiedzieć najbardziej potrzeba.

DOREBA. Gadaj, milezę.

MAKARY. Wracaj waszmość, wracaj, skąd przybyłeś.

DOREBA. Ja mam wracać? to mi się podoba! No mój Makary, z twojój mowy wnoszę, że miód w Osieku, jak bywał, tak i jest dotąd niezły.

MAKARY. Miód jak miód, ale piwa nam tęgiego nawarzyli. Słuchaj mię waszmość; to nieprzelewki, to bunt, powstanie, nierząd, interregnum!

DOREBA. Jakto?

MAKARY. Czém byli mężczyźni, tém są teraz białogłowy — kobiety rządzą, wasacze słuchają; żony w kurtkach, mężowie w spódnicach — gwałtu, co się dzieje!

DOREBA. Makary, dość tych żartów. Gdzie Kasia?

MAKARY. Piękne mi żarty! — Kasia dopiero tu była; wołoszka zielona, czapeczka na ucho, wcale jój do twarzy.

DOREBA. To być nie może.

MAKARY. Ja mówię i powtarzam, że co do słowa wszystko prawda. — Kobiety w Osieku górę wzięły. — Burmistrz dzieci, a żona urząd piastuje, tak i pisarz i bakałarz i wszyscy inni. Świat do góry nogami.

DOREBA. Ja temu wierzyć nie mogę.

MAKARY. Łatwo mógłbyś się waszmość sam o tém przekonać, ale mu tego nie życzę — dalibóg nie życzę. I panna Katarzyna wyraźnie mi zleciła, abym przestrzegł o niebezpieczeństwie pokazania się tu w swoim stroju.

DOREBA. Co za szaleństwo!

MAKARY. Ktoby chciał zatrzymać się, a tém bardziej osiąść w Osieku, musi poddać się nowo nadanym prawom, to jest zawdziania spódnicy; w przeciwnym zaś razie jest uważanym jako burzyciel powszechnego pokoju, targający się na władzę miejscową i jako taki uwięziony.

DOREBA. Uwięziony?

MAKARY. Tu sęk! — Uwięziony, a może i co więcej, podług woli i humoru ichmość pań rządzących.

DOREBA. Cóż Kasia na to?

MAKARY. Wiele ubolewa: ale ulegać musi.

DOREBA. Widziałeś ją więc? mówileś z nią?

MAKARY. Widziałem i mówilem.

DOREBA. Ładna?

MAKARY. Otóż macie! czas o tém myśleć.

DOREBA. Cóż kazala powiedzieć?

MAKARY. To, com powiedział. Niech się mój Jaś tu nie pokazuje.

DOREBA. Mój, mój Jaś? tak mówiła?

MAKARY. A biada ż mi! mój czy nie mój, potem o tém.

DOREBA. Cóż więcej?

MAKARY. Mówiła, abys ją waszmość czekał wieczorem w dębini, przy kamieniu.

DOREBA. Ja mam wieczora czekać? — bać się pokazać? kryć się, jak złoczyńca? nie, tu zostanę.

MAKARY. I ja tak mówię.

DOREBA. Otwarcie działać będę.

MAKARY. Najlepiej.

DOREBA. Niczego się nie boję.

MAKARY. I ja także.

DOREBA. Ale jak nas napadną?

MAKARY. A zuienacka.

DOREBA. W wielkiej liczbie.

MAKARY. A obskoczą.

DOREBA. Szabli nie dobędę za nic w świecie przeciw kobietom.

- MAKARY. Wieczna plama.
- DOREBA. Więc nas schwyca.
- MAKARY. Być może.
- DOREBA. Uwiężą.
- MAKARY. Tu sęk.
- DOREBA. I z Kasią nie będę mógł się widzieć.
- MAKARY. Żle!
- DOREBA. Cóż tu robić?
- MAKARY. Hm! co robić?
- DOREBA. Ukryjmy się.
- MAKARY. Dobrze.
- DOREBA. Ukryci przypatrzymy się sami, w jakim stanie są rzeczy, a potem rozważymy i podług okoliczności działać będziemy.
- MAKARY. I ja tak mówię.
- DOREBA. Stary Tobiasz wprawdzie był zawsze niestałego charakteru, słabiej woli, zbytniej podległości.
- MAKARY. Ciele, ciele, mości towarzyszu, krótko mówiąc.
- DOREBA. Ale przytém miał rozsądek.
- MAKARY. Poczęstował jednak waszmości szarą gęsią.
- DOREBA. Prawda, że mi Kasię odmówił, ale mówiąc między nami, wtedy była trochę za młoda, a ja za rozpustny.
- MAKARY. Tu sęk.
- DOREBA. Teraz inaczej.
- MAKARY. Jeszcze gorzej.
- DOREBA. Jako gorzej?
- MAKARY. Tobiasz rozsądny czy nie rozsądny jest niczém, a żona wszystkiém. Żona dierży urząd i jego czuprynę — rządzi miastem i mężem.
- DOREBA. Ależ mężom to się podobać nie może.
- MAKARY. Tęgo nie wiem, ale zapewne niema im się co podobać.
- DOREBA. Może da się wszystko łatwo w dawne karby wrócić.
- MAKARY. W dawne karby? bardzo wątpię. — Co się raz zmieniło, trudno aby znowu, czém było, zostało. Wykop dół, a potem zasyp go tą samą ziemią, to zawsze braknie albo zbędzie.
- DOREBA. Ciszżej — ktoś nadchodzi — skryjmy się w sadzie, stamtąd rozpoznamy obroty nieprzyjaciela.
- MAKARY. Hej, hej! gdyby Makary był młodszy, a miał z dziesięciu sobie podobnych, nie kryłby się po sadach przed gołowąsą armią. — Ało już łeb się wylecił — was siwy, et cetera — deces!
- DOREBA (*wracając ode drzwi*). Tędy nie można, dużo ludzi.
- MAKARY. Którędyż?
- DOREBA. Przez ogród.

SCENA III.

DOREBA, KASIA, MAKARY.

KASIA. Co widz! jeszcześ nie poszedł? — Ach Jan! Janie, Jasiu, ty tu?

DOREBA. Kochana Kasiu!

KASIA. Jasiu kochany!

DOREBA. Przecież cię znowu oglądam.

KASIA. Sama nie wierzę mojemu szczęściu.

DOREBA. Tak dawno cię nie widziałem.

KASIA. Któż-to wie lepiej nade mnie.

MAKARY. A sęk! — Dalej w drogę, mości towarzyszu.

DOREBA. Kochasz mię zawsze?

KASIA. Zawsze i na zawsze.

MAKARY. Mości towarzyszu...

DOREBA. Wspominałaś mię czasem?

KASIA. I chwili nie zapominałam. Ach, nieraz już i śmierć twoję oplakiwałam, biedny Jasiu!

DOREBA. Mijała mię laskawie.

KASIA. Bogu dzięki.

MAKARY. O źle!

DOREBA. Jakżeś mi wyładniała!

KASIA. Jak tobie dobrze w tym stroju!

MAKARY. Mości towarzyszu...

DOREBA. Nie mogę rozstać się z tobą.

KASIA. Trzeba koniecznie, choć nie na długo.

DOREBA. Muszę więc odejść.

KASIA. Żeby cię tylko kto nie postrzegł.

DOREBA. Wszędzie pełno ludzi.

KASIA. Ach, jak cię zobacza, to już po nas.

DOREBA. Skryj mię.

KASIA. Zapewne, lepieby było, ale gdzie?

MAKARY. Tu sęk.

KASIA. Ha! czekaj, dobrze, w tej izdebce, gdzie akta miejskie złożone, rzadko teraz kto bywa.

DOREBA. Chodźmy.

MAKARY. Ej, to mi się nie podoba. — W otwartem polu zawsze lepiej; tam nas mogą głodem wziąć.

DOREBA. O tem Kasia myśleć będzie, może.

MAKARY. Ale to nie *może*, bo mnie się jeść chce; *może* — piękna potrawa!

KASIA. Bądź cierpliwy, nie zapomnę.

MAKARY (*wchodząc na schodki za Dorębą*). Aby co, aby co, byle przetrącić—z parę kielbas i sztukę pieczeni. — Aby co, aby co, panno Katarzyno, i popłukać czeln.

KASIA. Dobrze, dobrze.

DORĘBA. Do zobaczenia, luba, kochana Kasiu.

KASIA. Wkrótce, wkrótce, kochany Janie.

MAKARY. Tylko prowiantów, tylko prowiantów do fortecy, a re-szta się znajdzie (*wchodząc*). Jeszczem na czczo, Bóg mi świadkiem!
(*rozchodzą się*).

SCENA IV.

TOBIASZ, (*później*) KASPER, (*potém*) BŁAŻEJ.

(*Mężczyźni wszyscy w tej sztuce ubrani jak zwykle z miejska, tylko w spodnicach i fartuszkach—kobiety równie, prócz szarawarów i czapek, po swojemu*).

TOBIASZ (*koszyk na ręku, wychodzi rachując pieniądze*).

Trzy grosze, sześć, dwanaście, osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia.—Czy jejmość oszalała! za dwadzieścia groszy kazać mi tyle nakupić. A „żeby mi wszystko dobre było, bo mi się nie pokazuj!”—Dwadzieścia groszy! trudno będzie co urwać na tabaczkę. Oj! czasy, czasy!

KASPER (*z podobnym koszykiem, mówi szepleniąc*). Dzień dobli, blacisku Tobiaśu

TOBIASZ. Dobry dzień, bracie Kasprze.

KASPER. Jak się macie?

TOBIASZ. Jak widzicie, do góry nogami.

KASPER. Cóż lobić, cóż lobić, tżeba nawykać do śpodnicki.

TOBIASZ. Żebym się był nie żenił raz drugi!

KASPER. A ja laz pielwśy!

TOBIASZ. Oj czasy, czasy!

KASPER. Oj żonki, żonki!

BŁAŻEJ. Daj wam Boże dobry dzień, panowie sąsiedzi.

TOBIASZ. Wzajemnie, wzajemnie, panie Błażeju.

KASPER. Jak się macie?

BŁAŻEJ. Żle mam się—w uszach szumi.

KASPER. Katal, mości Błażeju!

BŁAŻEJ. Z ręki mojej żony.

TOBIASZ (*z westchnieniem*). Panująca choroba.

BŁAŻEJ. Już dosyć ja wymyślałem, dosyć zrzedziłem, kiedym był panem w domu, alem się i nie umyl do mojej Agaty. Wczoraj już ko-gut zapiał, jeszcze jój nie było.— Ja czekam, czekam, czekam, czekam,

co dmuchnę na ogień, to drzemnę, co dmuchnę, to chrapnę, aż tu jak mnie coś dmuchnie po czuprynie! — „Dalej leniuchu! wieczera!” Zerwałem się, jak gdybym nigdy nie spał — żwawo, prędko dałem wieczere. Ale: to złe, to twarde, to słone, to przydymione, a na mnie zawsze: czego śpisz! A ja, niech mię Bóg skarże, anim mrugnął.

KASPER. Jejmość zapewnie... (*pokazuje, że napita*).

TOBIASZ. Była w dobrym humorze.

BŁAŻEJ. Kat tam w dobrym.

TOBIASZ. Ale ja mówię w dobrym, jak to my dawniej bywali wracając do domu.

KASPER. Pod dobrą datą.

BŁAŻEJ. A, tak, tak.

TOBIASZ. Oj czasy, czasy! człowiek teraz i o dacie nie wie.

BŁAŻEJ. Dawniej! (*z westchnieniem*).

TOBIASZ. Hej! hej!

KASPER. Mnie z pędzeniem największe zmaltwienie. Już coś się naplącuję, nadlęcę, namolduję, zawsze pędza nielówna — nigdy, nigdy żonce dogodzić nie mogę.

BŁAŻEJ. Jużto i dawniej tak bywało.

KASPER. W pędzeniu, w pędzeniu najbaldziej. — Nie żaltuję, jakim Kaspel. — Ledwie zaklęcę wżecionko, żalaż niteckę ulwę; jak ulwę, muśc wiążać; jak żwiążę, guży.

BŁAŻEJ. Na czole waszeciném.

TOBIASZ (*częstuując tabaczką*). Oj czasy, czasy!

KASPER. I mówię, że nie mogę — dalibóg nie mogę — nie nie po-może.—Lób!— nie umiem—lób— nie będę—pac, pac—muśc lobić.

TOBIASZ. Mnie zaś ta pończoszka ze świata spędzi: druty łamię, oczka spuszczam, a jak przyjdzie na piętę—ani rusz.

KASPER. A z planiem: to żólto, to niebiesko!

BŁAŻEJ. A z kuchnią, pickło prawdziwe.

TOBIASZ. A z dziećmi: co noc wstawaj, noś, śpiewaj, kolysz.

BŁAŻEJ. Ja wam szczerze mówię, że to nie są żarty, trzeba po-myśleć o sobie.

TOBIASZ. Co tu myśleć pomoże!

BŁAŻEJ. Pierwój myśleć, potém działać.

KASPER. Co waseć mówisz? aj stlach, żeby któla usłysała!

TOBIASZ. Dajmy temu pokój.

BŁAŻEJ. Tak, bójcie się, bójcie, będziecie tego żalować.

TOBIASZ. Pst! Grzegotka.

BŁAŻEJ. Plotka miejska.

KASPER. Plimus ministel mojej żonki.

SCENA V.

TOBIASZ, KASPER, BŁAŻEJ, GRZEGOTKA.

GRZEGOTKA (*prędko mówi*). Kląniam, panowie sąsiedzi. Jak się macie; cóż porabiacie? — Cóż tu słyhać? gdzie są ichmoście wasze? żadnej spotkać nie mogę! No, cóż tam nowego?

TOBIASZ. Wszystko stare.

GRZEGOTKA. Ha, ha, ha, stare, stare, nie więcej nie wicie? ni-ceście nie słyszeli? — A ja wiem, wiem wiele nowego — rzadkie no-winy — jeno com się dowiedział.

KASPER. Cóż takiego mości Grzegotka? jaka anejdotka?

GRZEGOTKA (*do Tobiasza*). Ale gdzież jest wasza Urszula, nasz burmistrz szanowny? jój chciałbym najprędzej udzielić tych wiadomości. Boję się, aby mię kto nie uprzedził.

TOBIASZ. Wyjechała z chartami na polowanie.

KASPER. Ale cóż tam nowego? jestem tłoścekę ciekawy.

GRZEGOTKA. Słyhać, że przykład naszego miasteczka wiele skutkuje.

TOBIASZ. Tém gorzej!

GRZEGOTKA. Jakto, tém gorzej?

TOBIASZ. Tém lepiej, chciałem powiedzieć.

GRZEGOTKA. Mówią nawet, że i w Sandomierzu o tém myśleć za-czynają — niéma więc żadnego wątpienia, że wkrótce Kraków, a z cza-sem nawet sama Warszawa naśladować nas będzie.

KASPER. Płoś, płoś, koby się spodziewał; to jednak honol dla naszego miastecka, dalibóg wielki honol!

GRZEGOTKA. Przebakują także, że i pan wojewoda sandomierski zaczyna chodzić w spódnicy.

TOBIASZ. Bogu dzięki! — Kiedy wielcy panowie z nami, to nasza czynność przestaje być głupią.

BŁAŻEJ (*do Grzegotki*). Ale czegoż się waszeć tak wielce z tego cieszysz?

GRZEGOTKA. Czemuz się nie mam cieszyć? albo mi tak źle? — Nie mamże rozumu na poznanie niezmiernych korzyści, wynikających z nowego naszego położenia? W tym stroju mogę gadać, co mi się po-doba i wiele mi się podoba; nikt mi i słowa nie powie. Mogę dowiadywać się, co, gdzie, kiedy, jak robią — i co się dowiem, zaraz powtó-rzyć, nikt się nie zadziwi. Nie potrzebuję udawać odwagi, której nie mam; mogę bać się, drżeć, truchlćć, nawet zemdlćć — nikt mi za złe nie weźmie. Proszęć więc waszećców, nie mam przyczyny cieszenia się z położenia naszego?

TOBIASZ (*na stronie*). Niecnota!

BŁAŻEJ. Dlatego to waszeć u naszych żon w takiem poważaniu.

GRZEGOTKA (*do Błażeja ironicznie*). A jak się ma ucho?

BŁAŻEJ. Już to wiecie?

GRZEGOTKA (*do Kacpra*). Przędza drożeje.

KASPER. Oby się była nigdy nie lodziła! oby jej na świecie nie było!... ale nie powiadajcie mojej Balbaże, że ja tak myślę, plosę was, nie powiadajcie.

GRZEGOTKA (*biorąc na stronę Tobiasza*). Jak się tam Kasia miewa?

TOBIASZ. Niczle.

GRZEGOTKA. O mnie nie wspomina?

TOBIASZ. Wątpię.

GRZEGOTKA. Coś mnie zimno przyjmujecie.

TOBIASZ. Niegorąco.

GRZEGOTKA. Wszak waszeć znasz moje zamysły.

TOBIASZ. Chciałbym zapomnieć.

GRZEGOTKA. Nie sprzyjacie mi, jak uważam.

TOBIASZ. Żle, uważać nie umiecie.

GRZEGOTKA. Jejmość myśli inaczej.

TOBIASZ. Inaczej?

GRZEGOTKA. Nie nie ma przeciw mojej osobie.

TOBIASZ. Alboż ja mam?

GRZEGOTKA. Grzecznie mię przyjmuje.

TOBIASZ. Alboż ja niegrzeczny?

GRZEGOTKA. Odłożyła na czas późniejszy.

TOBIASZ. Potem o tём, mości Grzegotko, jeszcze dość czasu mamy.

GRZEGOTKA. Jeszcze jedną nowinkę waszociom udzielię.

KASPER. Kochany Gżzegotka, ja lubię nowinki.

GRZEGOTKA. Słychać, że u nas wąsy będą skasowane.

TOBIASZ. Tam u dyaska!

BŁAŻEJ. Aj! aj!

KASPER. A fe!

GRZEGOTKA. Bo w dawnych statutach ma być wyraźnie: *Quae maribus solum tribuuntur, mascula sunt*, co znaczy: Władza przy wásach — No, bądźcie zdrowi, nie mam czasu, pójdę naprzeciwno pań moich, niemalo je pewnie ucieszę. Bądźcie zdrowi! (*odchodzi*).

SCENA VI.

TOBIASZ, KASPER, BŁAŻEJ.

TOBIASZ (*podkręcając wásą*). Na to nigdy nie zezwolę.

KASPER (*podobnie*). I ja będę plosić żonki.

TOBIASZ. Przecie powaga.

KASPER. Pśecie ćlowiek co pod nosem zobaćy.

BŁAŻEJ. Aj sąsiedzi! daliście jabłko, a o korzonek wam idzie.

TOBIASZ. Ktoby myślał, że waszeć nie z naszych.

BŁAŻEJ. Przy powodzi strach i lodzi.

KASPER. Jużto sąsiad Błażej zawsze żartobliwy, zawsze ma jakies dyktelijki na pogotowiu (*śmieje się*). Już ja to mówię... (*nagle przestaje mówić, zobaczywszy żonę*).

SCENA VII.

CIŻ SAMI, URSZULA, BARBARA, AGATA. (*harapy w ręku*).

URSZULA. Otóż! patrzcie tylko. — Jak gawrony.

BARBARA. Cały dzieńby to trzepało, gęba im się nie zamknie.

AGATA (*do Błażeja*). I ty tu, mój kołowrotku?

URSZULA. Nie masz to innego zatrudnienia, jak plotek słuchać?

TOBIASZ. Ależ serdenko, tylko cośmy stanęli.

KASPER (*do Barbary*). Płosę cię, moja seldcuna żonecko.

BARBARA. Na targ mi zaraz.

KASPER. Jużem pobiegł. (*odchodzi*).

URSZULA. No, cóż?

TOBIASZ. Uspokój się, wszystko będzie.

AGATA (*do Błażeja*). Po coś tu przyszedł?

BŁAŻEJ. Chciałem rady zasięgnąć.....

URSZULA. Patrzcie, jacy do rady! róbcie, co wam każą, to wasza rada.

AGATA (*do Błażeja*). Wynos się!

URSZULA (*do Tobiasza*). Jeszcze stoisz?
(*Tobiasz i Błażej wychodzą*).

SCENA VIII.

URSZULA, BARBARA, AGATA, GRZEGOTKA.

URSZULA. Lubo w sercach naszych łaskawość i dobroć panuje; lubo łagodność, że tak rzekę, jest...że tak powieni, nam wrodzoną; lubo, mówię jednak przedsięwzięcie roztropne głębokiej roztropności każe nam i rozkazuje jak najkrócej trzymać naszych, tak nazwanych, mężów...

BARBARA. Tylko im trochę pofolgować, a już po wszystkiem; w jednej godzinie wszystko wróciłoby do dawnego nieladu.

AGATA. Niema żadnego wątpienia, cnota mężów od nas zawisła.

URSZULA. Dobrze wiedzeni, dobrze pójda.

BARBARA. Ich złe dotąd postępowanie wyunikalo, to trzeba wyznać, z naszego niedbalstwa.

AGATA. Ze zbytecznego pobłażania, powiedz, sąsiadko.

URSZULA. Bogu dzięki! wszystko pomyślnym i dobrym obróciło się obrotem. — Czwarty już tydzień, Osiek mądrością rządzony, doznaje niezaprzeczonych, że tak się wyrażę, korzyści. — Prawda, mości Grzegotko?

GRZEGOTKA. Trzebaż mego potwierdzenia? — Za małe mam oczy, bym się mógł dość napatrzeć — za małe uszy, by pojąć wszystko — za mały język, by głosił przyzwoicie sławę waszą, roztropność, powagę, zgodę i potęgę.

URSZULA, BARBARA, AGATA. Kochany Grzegotka!

GRZEGOTKA. Sługa wasz do śmierci.

URSZULA. Nowinki twoje tysiąca warte.

BARBARA. I projekta niezłe.

URSZULA. Gdy mamy być innym miastom chwalebny przykładem, trzeba, abyśmy się starały o najdoskonalszy stopień doskonałości. Agato! twój mąż jest uczony.

AGATA. Jest, ale ja mu tego nie przyznaję; owszem, przeciwnie myśleć mu o tém każę.

GRZEGOTKA. Roztropności nie zrównana!

URSZULA. A że on, mówiąc między nami, jest najmądrszym w naszej stolicy, waszec zostałaś nauczycielem tutejszej szkoły.

GRZEGOTKA. Bardzo sprawiedliwie.

URSZULA. Będąc dozorczą nauk, które mają obejmować w sobie razem sztukę czytania i sztukę pisania, jesteście przez to samo naczelnikiem... naczelnikiem...

GRZEGOTKA. Oświecenia.

AGATA. Jakto? światła?

GRZEGOTKA. Światła rozumu.

URSZULA. Oświecenia światła rozumu.

AGATA. Rozumiem; do mnie więc będzcie należec, mieć oko na pojętniejsze głowy; i jeżeliby się która wyszczególniała, przedstawić, zalecić..

URSZULA. Nic, nic z tego. Żadnego protegowania rozumu, żadnej pomocy rozwijającemu się talentowi — to nie wasz urząd, to do was nie należy. Niech czytają, piszą i dosyć — a oświecenie zgromadzaj waszec na siebie.

GRZEGOTKA. Tak; o sobie pamiętać, to jest oświeceniem, i tém można się najlepiej oświecić, można się jaśnie oświecić.

URSZULA. A później, mając tyle żaków pod ręką, będziesz waszec mógł wydawać jakie pisemko.

GRZEGOTKA. Gdzieby były nowinki.

URSZULA. Wybornie.

GRZEGOTKA. Uwagi.

BARBARA. Nad czém?

GRZEGOTKA. Nad tém, czego nie rozumiemy. — Krytyki.

AGATA. Co to krytyki?

GRZEGOTKA. Gatunek kleszczów czepiających się wszystkiego, co nad niemi.

URSZULA. O tytule później pomyślimy. Na tytuł zawsze dosyć czasu.

GRZEGOTKA. O co łatwiej, jak o tytuł.

BARBARA. A sami nie znajdziemy, to zapłaciwszy dostaniemy.

GRZEGOTKA. Za pieniądze wszystko — mądra uwaga!

URSZULA. Bezpieczeństwo miasta waszeci na wpol i siostrze Barbarze powierzam. Areszt w waszym domu, zatém klucze przy was będą.

AGATA. Za wiele na mnie.

URSZULA. Tém większa zasługa.

GRZEGOTKA. Jeszcze mało na rozum waszecin.

URSZULA. Dla honoru zaś będziesz z nami do sądu zasiadać.

BARBARA. Ach, jeszcześmy sprawy nie miały! — Ale prawda.. tak jest, mam! mam! jakżem mogła zapomnieć — jest sprawa...

URSZULA. Sprawa?

BARBARA. I niemała.

URSZULA. Prędzej z nią, sądziny.

AGATA. Jakąż karę wybieramy?

URSZULA. Ależ wprzód trzeba zobaczyć, kto jest winowajcą.

BARBARA. Macieja Kopytkę oskarzam.

GRZEGOTKA. Już wiem, o co idzie.

BARBARA. Był wczoraj na targu bez spódnicy.

AGATA. Co za śmiałość!

URSZULA. Wojewoda może chodzić w spódnicy, a on się wzbrania.

GRZEGOTKA. I miał czapkę, na moje oczy widziałem.

URSZULA. Do gąsiora z nim!

AGATA. Do gąsiora.

BARBARA. Do gąsiora!

URSZULA. Ależ on ma moją robotę.

AGATA. I moję, nawet na jutro koniecznie potrzebną.

URSZULA. W całym Osieku jeden tylko kowal.

BARBARA. A dwóch ślusarzy niepotrzebnie.

URSZULA. Dwóch? prawda — więc bardzo dobrze — i taki pierwszy dekret wydajemy: „kowal przewinił, ale że jest tylko jeden, a ślusarzy dwóch, zatém na jego miejsce jeden ślusarz uwiezionym będzie.”

GRZEGOTKA. Wybornie!

AGATA. Doskonale!

URSZULA. Dalszy wyrok potém odbierze, *jeżeli* nam czas pozwoli.

Tę sprawę zaś nasz pisarz, siostra Barbara, wciągnie do ksiąg miejskich, aby na zawsze została na czele spraw w Osieku sądzonych.

GRZEGOTKA. Najtrudniej zacząć, potem coraz łatwiej!

URSZULA. Widzicie, sąsiadki, bałyście się sądów, otóż nie tak rzecz trudna, jak się zdawała.

BARBARA. W samą rzecz, nigdy się nie spodziewała, abym mogła tak prędko nauczyć się sądownictwa.

AGATA. Co nam się sądem turbować — niech się winowajca turbuje.

GRZEGOTKA. Rozsądna uwaga!

URSZULA. Teraz po znoju obarczającego urzędu myślę odpocząć.

BARBARA. I mnie się na sen zbiera.

AGATA. Ja ochłodzę się wprzód śniadaniem.

URSZULA. Do zobaczenia. *(odchodzi)*.

AGATA. Do zobaczenia. Chodźmy, Barbaro! *(odchodzi)*.

SCENA IX.

GRZEGOTKA. Nie ja pierwszy korzystam z nieładu, nie ja ostatni będę czémsiś, że uważam, skąd wiatr wieje. Mądry zawsze dobrze wyjdzie, ledwie z piasku bieża nie ukręci, byle się nie piał, tylko sunął. Plotka bawi, pochlebstwo głaszcze, pilność strzeże, rozum bierze. Filip Grzegotka wie to dobrze *(odchodzi)*-

SCENA X.

DOREBA, MAKARY, *(na schodach, później)* KASIA.

MAKARY. A cóż, mości towarzyszu, nie mówiłem?

DOREBA. Nie wiem czy się śmiać, czy gniewać.

MAKARY. Jak jedno, tak i drugie mało pomoże.

DOREBA. Pst!

KASIA *(wchodząc ostrożnie, koszyk i butelka w ręku)*. Stryjaszka niéma, stryjanka śpi.

MAKARY. Ach, panno Katarzyno! aniele stróżu z koszykiem i butelką!

DOREBA. Cicho! *(Kasia przegląda — palec na ustach)*.

MAKARY. Ach prędczej, złota panno Katarzyno! niéma nikogo, jeschczem w gębie nic nie miał.

(chce schodzić, Kasia się zbliża, wtém Grzegotka wbiega)

SCENA XI.

CIŻ SAMI, GRZEGOTKA. (*Doręba i Makary mówią na stronie przez całą scenę.*)

GRZEGOTKA. Na wiekim zapomniał... a! Kasia! kochana Kasia!

MAKARY. Bodajżeś pęk!

GRZEGOTKA. Szczęśliwe spotkanie.

KASIA (*na stronie*). Dla Boga! co ja pocznę!

GRZEGOTKA. Gdzieżto niesiesz tę buteleczkę? (*odbiera*)

MAKARY. Otóż macie!

KASIA. Ja chciałam... ja chciałam...

GRZEGOTKA (*zaglądając w koszykę*). I żywność!

KASIA. Właśnie miałam... miałam...

GRZEGOTKA. Dla kogożto?

KASIA. To jest... dla kogo?

GRZEGOTKA. Dla kogoż trudzą się te rączki? (*całuje rękę*)

DORĘBA. Makary! co on myśli?

MAKARY. Cierpliwości trochę, mości towarzyszu.

KASIA. Usłyszałam głos waszeci i myślałam, żeś może jeszcze nie śniadał.

MAKARY. Masz teraz.

DORĘBA. Cierpliwości trochę, mości Makary.

GRZEGOTKA (*odbierając koszykę*). Dziękuję ci, gwiazdeczko moja; poznałaś mój głos, jak gołębiczka turkotanie swojego wiernego gołąbka.

DORĘBA. Makary! nie wytrzymam.

MAKARY. Ciszéj, mości towarzyszu.

GRZEGOTKA (*stawiając kosz*). Bryndza.

MAKARY. Bryndza, mości towarzyszu.

DORĘBA. Cicho.

GRZEGOTKA. Wyborna.

MAKARY. Wyborna, wyborna, mości towarzyszu!

DORĘBA. Bądźże cierpliwy.

GRZEGOTKA. Ach, gdyby do tego śniadania jeszcze całusek. —

Ale ja tylko proszę.

KASIA. Daremnie.

DORĘBA (*biorąc za kord*). Makary, ja go palnę!

MAKARY. Bądź waszmość cierpliwy.

GRZEGOTKA. I szynka.

MAKARY (*chwytając za kord*). Szynka! ech, nie wytrzymam.

DORĘBA. Ani się rusz! (*Kasia zbliża się i patrzy z wielką uwagą przez okno*)

GRZEGOTKA (*jedząc przy stole*). Niedobré m okiem na mnie patrzysz, Kasiuniu. — Wiem ja, co się święci. Pan Jan Doręba jeszcze

w myśli — pustak lepiej się podobał — ale już teraz pewnie gdzieś kozy pasie Tatarom.

DORĘBA. Poczekaj!

MAKARY. Ach szynka!

GRZEGOTKA. Cóż tam widzisz? (*po krótkim milczeniu*) Cóż się tak przypatrujesz? (*po krótkim milczeniu*) Cóż się dzieje?

KASIA. Nie, nic. (*patrzy z uwagą*)

GRZEGOTKA. Ale przecie?

KASIA. Ach! ach!

GRZEGOTKA (*zrywając się*). Co? co? co widzisz? (*wyglądając*) gdzie? co? kto?

KASIA (*odchodząc od okna*). Nic, nic.

GRZEGOTKA (*chodząc za nią*). Ale coś się stało? proszę cię, powiedz, co się stało?

KASIA. Nic, nic.

GRZEGOTKA (*biegając od okna do Kasi*). Czy kto przyjechał? czy się bił? powiedz — czy wpadł w wodę? czy końmi roztratowany?

KASIA. Nic, nic.

GRZEGOTKA. Ale czegoż tak patrzałaś?

KASIA. Tam na moście...

GRZEGOTKA. Co, co na moście?

KASIA. Ktoś..

GRZEGOTKA. Cóż ktoś?

KASIA. Ja nie wiem...

GRZEGOTKA. Ale coś widziałaś?

KASIA. Za daleko...

GRZEGOTKA. Ale przecie?

KASIA. Zdaje mi się...

GRZEGOTKA. Na moście? na moście?

KASIA. Na moście.

GRZEGOTKA. Prędźj sam zobaczę, niż się dowiem od ciebie. (*wybiega*)

KASIA. Biegaj, biegaj! wiele się dowiesz. (*śmieje się*) Takto zwozda... nie powiem kogo. (*Doręba i Makary schodzą*)

SCENA XII.

KASIA, DORĘBA, MAKARY.

MAKARY. Do ataku, mości towarzyszu.

KASIA. Co czynicie?

MAKARY. Proszę zacząć, ja skończę.

DORĘBA. Jedz, pij, daj mi pokój. — Kasiu, co to znaczy ten Filip Grzegotka?

KASIA. Co znaczy?

DOREBA. On ciebie kocha.

KASIA. Na moje nieszczęście.

DOREBA. Ja mu kark skręczę.

MAKARY. Fiat!

KASIA. Niewielkaby szkoda była.

DOREBA. Cóż stryj na to?

KASIA. Stryj go nie lubi, ale ..

DOREBA. Ale?

KASIA. Ale stryjanka.

MAKARY. Tu sęk!

DOREBA. Ta zawsze mi na zawadzie.

KASIA. Z pewnością jeszcze nie wiem, ale zdaje mi się, że się z sobą rozumieją. On jest nieodstępny, zawsze nadskakuje, wszystkiemu potakuje, a pochlebia co słowo; ona zato żadnej sposobności nie opuści sprowadzenia nas sam na sam.

DOREBA. Krew mi się burzy! ten hultaj ośmiela się ciebie kochać.

MAKARY. Wara mu! bo nos niepewny.

KASIA. Nie lękaj się, wszystkie jego zabiegi daremne, bo nietylko kochać umiem, ale i utrzymać się przy swoim potrafię.

DOREBA. Ale stryj, stryjanka.

KASIA. Dam sobie radę, spuść się na mnie. I com ci przyrzekła, powtarzam: będę twoją, albo niczyją.

DOREBA. Kochana Kasiu!

KASIA. Prawdziwam Polka; nie chcę innego męża, jak przy szabli.

MAKARY (*jedząc*). Dobrze, panno Katarzyno.

DOREBA. Trzeba jednak chwycić jakie przedsięwzięcie.

KASIA. Mnie się zdaje, czekać jeszcze.

DOREBA. Stan terażniejszy rzeczy długo trwać nie może. Jednak, jeżeli wszystko swojemu biegowi zostawimy, ja będę musiał oddalić się stąd, a ty tysiąc doznasz przykrości od stryja, stryjanki, Grzegotki i całej rzeczywistości.

KASIA. Cóż robić?

MAKARY (*pijąc*). Atakować.

DOREBA. Będę mówić z twoim stryjem.

KASIA. On ci się przestraszy.

DOREBA. Będę się starał przez niego i innych pobudzić i dodać odwagi do zrzućcia nowoprzyjętego jarzma.

KASIA. Trudno będzie.

DOREBA. Chciałbym tylko znaleźć sposobność z nim mówienia.

KASIA. Jenó go nie widać.

DOREBA. Tu go więc na przesmyku czekać będę.

KASIA. Nie trzeba jednak, aby nas razem zastał.

DOREBA. Poglądaj tam, Makary.

MAKARY. Zaraz idę, *(ku drzwiom z koszykiem i butelką)* ale nie sam.

DOREBA. Słyszałem rozmowę stryjów twoich z Błażejem; ich nieukontentowanie jest jawne.

KASIA. Jak i bojaźń.

DOREBA. Spodziewam się jednak, że nie będzie mi trudno dawny przywrócić porządek.

KASIA. Co najgorzej, że i dawniej stryjaszek był ci przeciwnym.

DOREBA. Ona najbardziej. Ale inne czasy, inni i my. Bądź dobrej myśli i stałej woli, a szczęście nasze niezawodnie spełnionem zostanie.

MAKARY. Idzie, idzie!

DOREBA *(do Kasi)*. Miěj oko na stryjankę.

KASIA. Spuść się na mnie. *(odchodzi)*

DOREBA. Ty Makary, usuń się na stronę, a jak wnijdzie, zostań na czatach.

MAKARY. Rozumiem.

DOREBA *(do siebie)*. Niewielem się dorobił odwagą, zobaczę, co mi wymowa przyniesie. Co lepiej w świecie popłaca, język czy szablę, teraz się przekonam.

SCENA XIII.

TOBIASZ, DOREBA. *(Makary w ciągu sceny pokazuje się czasem we drzwiach).*

TOBIASZ. Wszelki duch chwali pana Boga!

DOREBA. Witam waszeci.

TOBIASZ. Co ja widzę!

DOREBA. Dobrego przyjaciela.

TOBIASZ. Pan Doreba.

DOREBA. On sam.

TOBIASZ *(oglądając się)*. Aj źle, bieda będzie.

DOREBA. Jejmość śpi.

TOBIASZ. Śpi pewnie?

DOREBA. Tu ją słychać.

TOBIASZ. Cóż waszmość tu robisz?

DOREBA. Wracam do domu.

TOBIASZ. Ale tu nie dom.

DOREBA. Chciałbym, żeby tu był.

TOBIASZ. Stara piosnka.

DOREBA. Waszeć mi nie bardzo sprzyjasz, panie burmistrzu.

TOBIASZ. Jako na synowca, weale nie.

DOREBA. Kocham Kasię.

TOBIASZ. Niepotrzebnie.

DOREBA. Ona mi źle nie życzy.

TOBIASZ. Tém gorzej!

DOREBA. Jestem szlachcic.

TOBIASZ. Herbu golec.

DOREBA. Jednak wystąpiłem z szeregowcem na usługi Rzeczypospolitej.

TOBIASZ. Szeregowiec na Tatary, na dziewczęta intrata.

DOREBA. Mój ojciec ma własną częśćkę w Szlacheckiej Woli pod Sandomierzem.

TOBIASZ. A waszmość częśćkę tój częśćki; szkoda tylko, że mała częśćka małej częśćki równa się nuli.

DOREBA. Za cóż mnie, panie Tobiaszu, tak ostro przyjmujecie?

TOBIASZ. Bobym chciał, żebyście sobie już poszli; zwłaszcza, że moje myśli dawno znacie.

DOREBA. Kiedym otrzymał niepomyślną waszę odpowiedź, byłem jeszcze młokos.

TOBIASZ. Prawda.

DOREBA. Trzpiot.

TOBIASZ. Jakich mało.

DOREBA. Niedostatek.

TOBIASZ. Gdzie bójka, hulanka, waszmość pierwszy, a zaraz do korda: dotychczas jeszcze organista bez ucha chodzi.

DOREBA. Ależ teraz już nie jestem ów Jaś pędziwicher; służyłem mojemu krajowi, byłem towarzyszem pancernej chorągwi. Nikt mi nie powie, żem próżniak nieużyty. Biłem się jak dobry Polak, i śmiało sobie teraz węża pokręcić mogę.

TOBIASZ. Hm! (*przyglądając się*) Aleś mi urósł i zmężniał, panie Janie. — Ba i kręsa.

DOREBA. Drapnięcie.

TOBIASZ. Ej, toż waszmość musiał gdzieś niepomału macnąć tego kotka, co tak drapnął.

DOREBA. Nieźle, Bóg pobłogosławił szabli mojej.

TOBIASZ. Powiesz mi, jak się to stało.

DOREBA. Z duszy, serca. Waszeć mnie zrozumiesz; byleś przecie pode Lwowem.

TOBIASZ. He, pode Lwowem, ba, ba, ba! Jakaśmy przyszli z Jabłonowskim, wielkim hetmanem koronnym, to było na co patrzeć. Jak to waszmość wiesz?

DOREBA. Któżby o tém nie wiedział!

TOBIASZ. Oj załaliżeśmy, załali wtedy Tatarom nietrochę gorące-

go sadła za skórę! mój mocny Boże! jak to drapało! a my tuż tuż za niemi — tuż tuż — Ej! Ha!

DORĘBA (*zatrzymując go*). Jejmość!...

TOBIASZ. Jejmość? strach..

DORĘBA (*zatrzymując go*). Ja tylko przestrzegam, aby nie uszła.

TOBIASZ. Dobrze mówicie. — Oj! czasy! czasy!

DORĘBA. I jakże? wojskowy wojskowemu odmówi pomocy, nie chce go uszczęśliwić, kiedy to od niego zależy?

TOBIASZ. Ach serdenko! niekoniecznie ode mnie, trzeba się i żony poradzić.

DORĘBA. No, poradzić się można, ale na swoim utrzymać.

TOBIASZ. Ach, kiedyżto trudno.

DORĘBA. Co tu trudnego?

TOBIASZ. Niezawszebo mnie słucha.

DORĘBA. Niezawsze?

TOBIASZ. Ba, nawet i nigdy.

DORĘBA. To się jój nie pytać.

TOBIASZ. Ale jak ona się spyta?

DORĘBA. To nie odpowiedzieć.

TOBIASZ. A jak każe?

DORĘBA. Nie słuchać.

TOBIASZ. Ach serdenko! tu inaczej rzeczy idą.

DORĘBA. A dobrze idą?

TOBIASZ. Pst, pst... bój się Boga, człowieku, zgubisz nas obydwóch.

DORĘBA. Między nami, po cichu, powiedz waszeć, dobrze tu się dzieje?

TOBIASZ. Dyaska tam dobrze, tylko cicho, dla Boga, cicho...

DORĘBA. Kiedy więc źle, trzeba starać się złemu zaradzić.

TOBIASZ. Ale jak? jak?

DORĘBA. Jabym wiedział.

TOBIASZ. Doprawdy? powiedzże mi do ucha: święty Antoni ci to stokrotnie nagrodzi.

DORĘBA. Ale pod warunkiem.

TOBIASZ. Naprzykład?

DORĘBA. Że mi Kasię dacie.

TOBIASZ. No, wiesz co waszmość: jak nas od spódnice, kądzieli, drutów, wszystkich tych plag boskich uwolnisz, a ja znowu burmistrzem będę, Kasia twoja.

DORĘBA. Słowo?

TOBIASZ. Verbum.

DORĘBA. Teraz możesz waszeć oznajmić znaczniejszym mieszczanom, że tu jestem w celu ich oswobodzenia.

TOBIASZ. A jak mnie który wyda? będzie mi, będzie!

DOREBA. Każdy pewnie tego pragnie.

TOBIASZ. Jak ryba wody.

DOREBA. O godzinie więc, w której waszych żon w domu niema, niech się tu wszyscy zejdą, przez ogród tajemnie.

TOBIASZ. Niech i tak będzie.

DOREBA. Jak tu będą, ja przyjdę.

TOBIASZ. Skąd?

DOREBA. Z tej izdebki.

TOBIASZ. Aj, dla Boga! nie, tam sama imość bywa.

DOREBA. Skryj mnie więc gdzieindziej.

TOBIASZ. Zamknę waszmości w spiżarni, tam jój noga nie postanie, tam moje panowanie.

DOREBA. Gdziekolwiek.

TOBIASZ (*cicho*). Jest tam i miodek.

DOREBA. Miodek?

TOBIASZ (*potakując głową*). Ale sza! (*wchodzi przed Dorębą do bocznych drzwi, za którym na znak tegoż, Makary*).

MAKARY. Gwałtu, co się dzieje!...

AKT II.

SCENA I.

TOBIASZ, KASPER.

(Siedzą przy przeciwnych stronach sceny. — Tobiasz w okularach robi pończochę z wielką uwagą, Kasper przędzie, kotłyszac dziecko i śpiewa).

KASPER. Lu lu, lu lu, luluniu.
Lulaj, lulaj, Maciuniu.

TOBIASZ. Aj, aj, ratuj!

KASPER. Cóż tam?

TOBIASZ. Oczko, oczko, oho... oho... zjedzże dyaska! jużem spuścił.

KASPER. Daj blacišku, ja ci naplawię. — Patźże — o tak.

TOBIASZ. A dalej?

KASPER. Tak, widziś... oho!...

TOBIASZ. Waśbo porzesz, u licha!

KASPER. Tłośkę tylko.

TOBIASZ. Oddaj, oddaj; to mi do nauki! tfy!

KASPER. Ja umiem.

TOBIASZ. Nie umiesz. Ale dajmy teraz temu pokój; o ważniejszych rzeczach mam z tobą pomówić.

KASPER. A wolnoż o nich mówić? nie będzie się imoś gniewała?

TOBIASZ. Co mi tam imoś!

KASPER. Aj!

TOBIASZ *(ogląda się przestraszony)*. Czegoż krzyczysz?

KASPER. Nie tżeba, blacišku, tak gadać.

TOBIASZ. A ty tchórz?

KASPER. Jużto moja taka natula.

TOBIASZ. Nie bój się.

KASPER. Żebym tylko mógł.

TOBIASZ. Nic ci nie będzie.

KASPER. Ależboto moja żonka baldzo niegżećna.

TOBIASZ. Póty ich panowania.

- KASPER. Blacišku, dla Boga, co ty mówisz?
- TOBIASZ. Słuchaj. — Przyjechał tu pan Doręba.
- KASPER. Kto? Dolęba? Dolęba? ten Dolębecka?
- TOBIASZ. Ten sam.
- KASPER. Ten, co mnie był z ólenkiem wywłócił?
- TOBIASZ. Ten sam.
- KASPER. Co to mnie był laz w nocy nastlażył, że mnie potem fe-
bla sześć tygodni samotala?
- TOBIASZ. Ten sam.
- KASPER. Ten śalawila niegodziwy?
- TOBIASZ. Był towarzyszem pancernym.
- KASPER. Pancelnym? płośę ja kogo! pancelnym?
- TOBIASZ. Żwawy się chłopak z niego zrobił.
- KASPER. Czegoż on tu chce?
- TOBIASZ. Chce nas oswobodzić.
- KASPER. Blacišku, ja tluchleję.
- TOBIASZ. Nic nie pomoże, trzeba działać.
- KASPER. Blacišku, ja zemdleję.
- TOBIASZ. Nic nie pomoże. Idź powiedz o tém Błażejowi.
- KASPER. Błażejowi? ja mam iść powiedzić? ja? blacišku, ty mnie
pehaś między mlot a kowadło.
- TOBIASZ. Nic nie pomoże, gdzie drwa rąbia, tam trzaski lecą.
- KASPER. Byłem nie był tzaśką.
- TOBIASZ. Pode Lwowem nie tak było. a przeciemy żywy.
- KASPER. Nadto jesteś odważny; tylko pomialkuj...
- TOBIASZ. Ani słowa! (*oglądając się*). Tylko się nie bój; idź
śmiało, powiedz mu o wszystkim i z nim razem udajcie się do znacz-
niejszych mieszczan, i zaproszcie ich, aby zeszli się tu do mnie.
- KASPER. Aj! aj! aj!
- TOBIASZ. Małą furtką przez ogród wejść mogą.
- KASPER. Aj! aj!
- TOBIASZ. Nasze panie pewnie swoim zwyczajem wkrótce wyjdą
i nie wrócą jak w nocy; mamy czas i sposobność.
- KASPER. Ty nie wieś, jaka moja żonka zazdrośna o mnie.
- TOBIASZ. Nic nie ma dó rzeczy.
- KASPER. Wszystkim powiada, że ja głupi, aby odstłęczyć...
- TOBIASZ. Co to szkodzi.
- KASPER. Zawśe muśę być psy niěj na każde zawołanie, kiedy jest
w domu, aby jěj służyć.
- TOBIASZ. Właśnie téż jěj teraz nie ma i potem nie będzie. No
idź, idź.
- KASPER. Blacišku, ty mnie zgubiś.
- TOBIASZ. Nie zgubię, od przedzenia uwolnię.

KASPER. Ach, toby dobrze było!

TOBIASZ. Idźże, u dyaska!

KASPER. To już pójdę. — Ale Maciuś będzie plakał. —

TOBIASZ. Odnieś go i krzyknij tam na którego z parobków, niech go pokolysze

KASPER (*bierze kołyskę i odchodzi*). Aj! aj! Boże zmiluj się nad duszą moją!

TOBIASZ (*sam*). Ho! ho! mościa Urszulo! teraz inaczej gadać będziemy; kroku, jednego kroku nie ustąpię.

SCENA II.

TOBIASZ, URSZULA (*mówi z wielką flegmą*).

URSZULA. Zawsze z założonemi rękoma.

TOBIASZ. Dopiérom, serdeńko, robotę położył, dalibóg dopiéro

URSZULA. Słuchaj i uważaj, co powiem.

TOBIASZ. Obie uszy na twoje usługi.

URSZULA. Kasia przyszła już do lat, gdzie o mężu myśleć należy.

TOBIASZ. Tak, myśleć należy.

URSZULA. Jój rozsądek nie w jednym razie okazany, godzien wszelkich pochwał.

TOBIASZ. Tak, pochwał.

URSZULA. Widzę, że jest już w stanie domem rządzić i że będzie umiała utrzymać swego małżonka w przyzwoitych karbach wierności, pilności i nieograniczonego posłuszeństwa.

TOBIASZ. Słowo w słowo i ja tak myślę: będzie w stanie domem rządzić — nie ma wątpienia. I utrzyma w karbach — dobrze waszeć mówisz.

URSZULA. Trafia się jój człowiek znakomitych przymiotów, głębokich zdolności, młody i lubo podubożalego, ale znakomitego rodu.

TOBIASZ. Byle nic. .

URSZULA. Ciszéj! — słowem, Filip Grzegotka.

TOBIASZ. Ale zmiluj się, uważaj...

URSZULA. Ciszéj, mówię!

TOBIASZ. Ja na to nie zezwolę.

URSZULA. Co, co, co? jak? coś powiedział?

TOBIASZ. Ja mówię, serdeńko, że zapewne na to nie zezwolisz, i że taka i moja rada.

URSZULA. Czy się pytam o radę?

TOBIASZ. Nie pytasz się? to ja nic nie powiem. — Myślałem, że się pytasz.

URSZULA. I cóżbyś mógł powiedzieć?

TOBIASZ. Nic, wcale nic, serdeńko.

URSZULA. Naprzykład?

TOBIASZ. Będziesz mnie łajać.

URSZULA. Nic nie szkodzi, chcę wiedzieć.

lip Grzegotka
dla Kasi. TOBIASZ. Ośmielam się więc przedstawić twojej rozwadze, że Fi-
nie jest takim, jakiegoby sobie można życzyć na męża

URSZULA. A ja mówię, że jest takim, jakiego sobie można życzyć.

TOBIASZ. Ależ proszę cię.

URSZULA. Ja mówię, że jest takim.

TOBIASZ. Ha! więc może i jest takim.

URSZULA. Nie *może*, ale *pewnie*.

TOBIASZ. Tylko uważaj...

URSZULA. Ja mówię, że nie *może*, ale *pewnie*.

TOBIASZ. Ha, więc *pewnie* jest takim, jakiego sobie życzyć można.

URSZULA. Jesteś więc mego zdania?

TOBIASZ. A jestem.

URSZULA. Bo jeżeliby to miał być człowiek złych obyczajów.

TOBIASZ. Nienajlepszych, nienajlepszych.

URSZULA. Jeżeli nieczem niezajęty, nieczem nietrudniący się pró-
źniak.

TOBIASZ. Zawsze nie nie robi.

URSZULA. Jeżeli oszczerca, jeżeli plotka..

TOBIASZ. Jak stara ba.. ba... ba... ba, i jaki!

URSZULA. To nie byłabym za nim.

TOBIASZ. I ja nie — o, wcale nie.

URSZULA. I jakże wam tu wierzyć? raz tak, raz siak, raz jesteś
za nim, raz przeciw niemu. Otóż to wszyscyście tacy — za grosz
zdania, za grosz zastanowienia, stałości, rozsądku — każdy gada, byle
gadać; sprzeciwia się, byle się sprzeciwiać — powiedz sam, jak mówileś?

TOBIASZ. Serdeńko, ja już nie nie mówiłem. O mój dobry Boże!
odbierzże mi język, bo już nie wiem, co z nim robić.

URSZULA. Dąsasz się?

TOBIASZ. Ja? ja dąsam się? dalibóg, że nie.

URSZULA. Skrzywiłeś się?

TOBIASZ. Może niechący — przepraszam cię, serdeńko. (*chce ją
uściskać*).

URSZULA. No no, bez tych czułości. Kasię zatem wydamy za
Filipa.

TOBIASZ. Kiedy taka twoja wola.

URSZULA. I twoja.

TOBIASZ. Nie, nie moja, kiedy waszeć prawdy chcesz koniecznie.
Do czego téż ten Grzegotka? ni przypiąć, ni przylatać, ni mieszczanin,

ni szlachcic, ni gospodarz, ni wojskowy; je, pije, bąki strzela i kwita. A plotka, a ciekawy jak stuletnia baba...

URSZULA. Co, co, co? jak kto?

TOBIASZ. Masz teraz! bodajżem oniemiał! albo waszę, serdeńko, wybacz czasem, kiedy nie z myśli, ale z nałogu wymknie się jakie niepotrzebne słówko. Miej uwagę, że kto żyje przeszło lat sześćdziesiąt, trudno, aby w kilku tygodniach odmienił całkiem sposób mówienia.

URSZULA. Aha! to przez sześćdziesiąt lat umiałeś rozkazywać, gderać, łajać, i musiano cię słuchać, musiano cię znosić? a kilka tygodni dopiero, a już nie możesz być uległym?

TOBIASZ (*na stronie*). O Dorębo! Dorębo! Janie Dorębo! szlachci-cu! towarzyszu pancerny! zmiłuj się nad nami!

URSZULA. Cóż tam mruyczysz?

TOBIASZ. Zakrztusiłem się.

URSZULA. Ej, jeszcze, widzę, waszeci burmistrzostwo nie wywie-trzało z głowy. Ale przestrzegam, przestrzegam! Idź, Kasię zawołaj!

SCENA III.

URSZULA.

URSZULA. Ileżto pracy i mozołu nie kosztuje wykorzenie da-wnych przesądów. Ileż nie trzeba pilności, czujności i stałości kobie-cój do utrzymania porządku, wznoszącego się na męskim bezrządziu. Ale Osiek musi jakimbądź sposobem uwiecznić swoje sławę koniecznie.

SCENA IV.

URSZULA, GRZEGOTKA.

GRZEGOTKA. Gwiazdo, pełna splendoru i rozłożystych promieni, panująca nam na niebie naszym! Póki woda w Wiśle płynąć będzie, póty Filip ciebie cię nie przestanie. Przychodzi dowiedzieć się pokor-nie, czy spełnione już jego nadzieje.

URSZULA. Przyrzekłam.

GRZEGOTKA. Dzięki ci, dzięki stokrotnie — a Tobiasz?

URSZULA. Jest moim mężem.

GRZEGOTKA. Prawda, rozumiem; a Kasia?

URSZULA. Posłałam po nią; oświadczę jej w przytomności wasze-cinój zamiary waszeci i moję wolę.

GRZEGOTKA. Choćbym się plackiem położył u nóg waszmości, jeszcze byłbym za wysoki do niskiego ukłonu, przynależnego dobroci i mądrości waszej.

URSZULA. Lubię cię, Grzegotko!

SCENA V.

URSZULA, GRZEGOTKA, KASIA, TOBIASZ. (*bierze pończoszkę*).

URSZULA. Oznajmił ci stryj, po co cię przywołuję?

KASIA. Oznajmił.

URSZULA. To jest nasz sąsiad, Filip Grzegotka.

KASIA. Wiem.

URSZULA. Chce się z tobą żonąć.

KASIA. Doprawdy?

URSZULA. Dasz mu więc rękę

KASIA. Nie dam

URSZULA. Nie?

KASIA. Nie.

URSZULA. Panno Katarzyno, dlaczego nie?

KASIA. Bo mi się nie podoba.

URSZULA. I tak mi w oczy mówisz?

KASIA. Nie jestem kobietą, abym nie miała własnej woli? dlategoż mię niebo wyższością płci udarowało, abym słabszej ulegała? co? ja? na skinienie mężczyzny mam być posłuszną? I to waszeć, stryjanko, nie tylko cierpieć, ale i radzić możesz? Wszystko się już zmieniło twojemi mądrymi prawami, a jedno wybieranie, przerzucanie między nami mężczyznom zostawione będzie? Czemuż my ich miejsca zając nie mamy? Czemuż oczekiwać, aż który okiem rzucić raczy? Przyjdzie jeszcze czas, kiedy stare panny będą w modzie, starzy zaś kawalerowie będą uczyli papugi gadać, kosi śpiewać, i mopsy służyć, a po śmierci powiodą małpy do piekieł, jak o pannach niegdyś mówiono.— Nadchodzi czas, w którym o swoim postanowieniu myśleć wypada? dobrze więc, niech wprzód przepatrzę między młodzieżą. Najpierw posag, potem urodę, potem rozum, a na koniec dopiero trzech zwiodek, czwartego wybiorę. (*długie milczenie*).

TOBIASZ. Winszuję waszeći.

GRZEGOTKA. Kasiu... ale... pani stryjanko... pani... pani, ale... jakże?

TOBIASZ (*na stronie*). Kiedy już temu język zdrętwiał, to nie żarty.

URSZULA. Nie chcemy nagle stanowić, i lubo wniosek Kasi zdaje się być ze wszech miar rozsądny, godnym nawet nagrody, jednakże do późniejszej narady wyrok mój odroczyć postanawiam niniejszemu postanowieniem.

GRZEGOTKA. Czy być może?

URSZULA. Jak tylko tak mówię, to tak być może. Czekał i spodziewaj się.

TOBIASZ. Amen!

URSZULA. Teraz chodź waszeć ze mną, będziesz mi towarzyszył; mamy zejść się wszystkie za miastem i radzić, czyby Osiek nie mógł

być fortecą — chodź. (*do Tobiasza*). Waszeć zostaniesz przy dzieciach. Ty, kochana Kasiu, mićj tu wszystko na oku, spuszczam się na ciebie. (*odchodzą*).

SCENA VI.

TOBIASZ, KASIA.

TOBIASZ. Fiu! fiu! panno Katarzyno, zakatys podrosła.

KASIA. Nie lękaj się, stryjasku, nie taka ja, jak się wydaję.

TOBIASZ. To mi nowina.

KASIA. Koniec to wszystko pokaże. (*odchodzi*).

TOBIASZ (*sam*). Zły przykład dla kobiet, jak motylca na owce; jedna, druga, trzecia, jużci i wszystkie. Oj, czasy! czasy!

SCENA VII.

TOBIASZ, KASPER, (*późnićj*) BŁAŻEJ (*potém*) MIESZCZANIE.

KASPER. Czy już wysli? niema nikogo?

TOBIASZ. Nikogo, tylko dzieci i ja pod dozorem Kasi, ale od nićj drzwi zaraz zamkniemy.

KASPER. Ostloźnie, blacišku, źmiluj się, ostloźnie.

TOBIASZ. Cóżeś zrobił?

KASPER. Bylem u Błażeja i u kilku innych, zalaz tu będą.

TOBIASZ. Cóż mówili?

KASPER. Stlaśną mają ochotę, aż drżą!

BŁAŻEJ (*wchodząc*). Nasi już w ogrodzie; można ich wpuścić?

TOBIASZ. Można, a potém drzwi pozamykajcie; ja idę po naszego patrona. (*odchodzi*).

KASPER. Zamykaj, źmiluj się, zamykaj.

BŁAŻEJ. A wy tchórzem podszyeci, jak widzę. (*zamyka drzwi*).

KASPER. Wiećcie mi, sąsiedzie, ja pćceuwam, że to się na mnie źniele. -- Ulodzilem się już pod źłą gwiazdą: żebym w maslo palec włożył, to go źlamieć.

BŁAŻEJ (*otwierając drzwi boczne*) Proszę! proszę! cicho a śmiało! *Mieszczanie wchodzą następnie po kilku, skradając się w oponćczach po sukniach, któremi się zastaniają. — W milczeniu ręce sobie podają.*

SCENA VIII.

CIŻ SAMI DOREBA I MAKARY.

DOREBA. Pozdrawiam waszeciów!

WSZYSCY. Witamy! witamy!

DORĘBA. Daj nam Boże szczęście.

WSZYSCY. Daj Boże! (*Doręba wstępuje na krzesło naprzeciwko okna. — Makary szykuje mieszczan w półkole, potem oparty na poręczy krzesła potakuje jestami mowie towarzysza.*)

DORĘBA (*po krótkim milczeniu*). Kiedy rzucę okiem po wystruganych głowach, kutasistych czuprynach, po nosach czerwonych, świadczących dostatek domowy; zdaje mi się, że tylko proporców nad niemi brakuje, abym widział przed sobą jeden z najdzielniejszych hufców Rzeczypospolitej. — Ale przebóg! gdy spojrzę dołem, o boleści! o sromoto! w fałdzystych spódnicach wzrok mój tonie. — (*powszechnie westchnienie*). Jakto, w spódnicach chodziecie i śmiecie jeszcze wąża podkrecać? — O mieszczanie Osieka! jakżeście doszli do tego poniżenia? jakżeście mogli przywdziać oznakę wyrzeczenia się praw waszych, i uznania słabości niegodnej płci waszjej? — Stało się! Ale teraz zastanówcie się, czy sami nie jesteście tego przyczyną, czy nie wy to sami związali tę miotłę bożą — powiedzcie — nie naudżywalście władzy waszjej, jako mężowie? byliście zawsze naczelnikami rodziny, a nie srogimi panami w domu? uważaliście zawsze w żonie przyjaciółkę, towarzyszkę życia, matkę waszych dzieci, a nie słabszą istotę, stworzoną do usług i cierpienia? milczycie? tak jest, widzę, zgaduję, skąd to wszystko poszło — przebierało się miarki — nosił dzban wodę...

TOBIASZ. Aż się ucho urwało.

KILKU MIESZCZAN. Oj! urwało się, urwało.

MAKARY. Tu sęk!

BŁAŻEJ. Dobrze mówić.

TOBIASZ. Co prawda, to nie grzech.

KASPER. Ja się boję, że ledwie stoję.

DORĘBA. Rządziło się w domu samowładnie. Dla siebie rozrywka, dla żony zatrudnienie. Do tego nigdy dobrego słowa. — Było za co, czy nie, zrzędziło się, gdęrało w nagrodę najlepszych chęci, a cóż dopiero, gdy się z jakiejś biesiady wróciło: nogi w zygzak, język w kłakach, z czupryny jak z komina.

TOBIASZ I KILKU. Hej, hej!

DORĘBA. Krzyk, odmet w domu, a żona cierpi, cierpi i milczy — aż też nareszcie co nadto to nadto — niemożność znoszenia daje możność nieznoszenia — powstały kobiety i teraz rząd, a wy kądziel macie.

KASPER. Oj kądziel, kądziel, to żeć stłaśna.

DORĘBA. Chcę was jednak oswobodzić w nadziei, że wasze nieszcześnie przestrogą zostanie i że słabszych szanować będziecie, równie przez uczciwość jak i przez rozum. — Będzicież mię wspierać?

WSZYSCY. Będziemy.

DORĘBA. Nie odstąpicie?

WSZYSCY. Nie odstępimy.

DOREBA. Przyrzekacie stałość w przedsięwzięciu, odwagę w działaniu?

WSZYSCY. Przyrzekamy.

DOREBA. Stałość?

WSZYSCY. Stałość.

DOREBA. Odwagę?

WSZYSCY. Odwagę.

DOREBA. Przyrzekacie?

WSZYSCY. Przyrzekamy.

(Słychać śpiew kobiet przechodzących za sceną).

Górá żony! górá żony!

W kąć ezupryna, na dół wąs!

Niech w cymbałach zadrzą strony,

Daléj żwawo, daléj w płas!

Górá żony, górá żony!

(Na pierwszy odgłos rozbiegają się wszyscy i gwałtem, nie mogąc zamkniętymi, bocznymi drzwiami od ogrodu uchodzą. Błażej otworzył środkowe a Tobiasz małe po prawej stronie drzwi i niemi wyszli. Kasper oknem uciekł, wyrwawszy się Makaremu, który odepchnięty znajduje się naprzeciwko Doreby; ten z wyciągniętą ręką, w zadziwieniu czas jakiś zostaje).

SCENA IX.

DOREBA, MAKARY.

MAKARY. Tu sęk!

DOREBA *(zstępując z krzesła)*. Niech ich lichy porwie!

MAKARY. I ja tak mówię.

DOREBA. Co za nieczulość!

MAKARY. Co za tchórzostwo!

DOREBA. Mówilem tak pięknie, tak czule, samemu mi serce rosło — myślałem, że w ogień za mną pójda.

MAKARY. Nie tak trzeba było z przeproszeniem waszmości.

DOREBA. Jakże, mości Makary?

MAKARY. Ja byłbym do nich tak przemówił: Hultaje! jak mi się który stąd ruszy, to mu obetnę uszy.

SCENA X.

MAKARY, BŁAŻEJ.

BŁAŻEJ. Niema niebezpieczeństwa, oddział kobiet tylko przeciągnął tędy. Ale cóżto? już się rozeszli?

DORĘBA. Uciekli, uciekli, jak długouszkie zające, wstydźcie się.

BŁAŻEJ. Ja pewnie mam chęć i odwagę, ale trudno płynąć przeciw wodzie; sam cóż zrobić mogę? zle swoje położenie pogorszyć, więcęj nie. — Ale radź waszmość, znaleźć jaki sposób; rozkaż, co mam czynić, a do wszystkiego znajdziesz mię ochoczym.

MAKARY. Póki żony nie zasłyszę.

DORĘBA. Wszyscyście w ten moment to przyrzekli. .

MAKARY. I uciekli.

BŁAŻEJ. Ja wróciłem i nie odstąpię; proszę mi wierzyć.

DORĘBA. Więc dobrze, jeszcze wszystko niestracone, możemy jeszcze szczęścia próbować. Mam w odwodzie jeden sposób, może nam się uda — ale ręka rękę myje — ja wam, wy mnie pomożecie. Kocham Kasię i mieć ją muszę. Rozumiecie?

BŁAŻEJ. We wszystkiem pomagać będę.

DORĘBA. Ja w tym domu dłużej zatrzymać się nie mogę — gdzieś tam i zdrajca — wydany, schwytany, uwięziony, i sobie i wam nie pomogę. Wyjść zaś z miasta nie wypada ani mnie, ani Makaremu; zostaniemy zatem ukryci, a wy za nas działać będziecie.

BŁAŻEJ. Dobrze, od czegoż zaczniemy?

DORĘBA. Zaprowadźcie Kasię do waszego domu i tam ją ukryjecie.

BŁAŻEJ. Czy tylko zechce?

DORĘBA. Spodziewam się. . ale otóż i ona.

SCENA XI.

CIŻ I KASIA.

DORĘBA (*do Kasi*). W dobrą porę nadchodzisz.

KASIA. Cóż się tu stało? — Co za hałas?

DORĘBA. Zaraz się dowiesz. Makary, ty idź na przeszpiegi, ale z wszelką ostrożnością.

MAKARY. Ej, mości towarzyszu! wierz Makaremu, uderzmy we dwóch na miasto, a dalibóg kapitulować będzie.

DORĘBA. Idź, idź, nie trać czasu.

MAKARY (*na stronie*). Ach, cóżto ża młodzież teraz!

SCENA XII.

DORĘBA, KASIA, BŁAŻEJ.

DORĘBA. Kasiu, czy mię kochasz, teraz daj dowód. Wszelkie moje starania i namowy były daremne; głuche na głos rozsądku, znieściciałe dusze.

KASIA. Tegom się spodziewała.

DORĘBA. A póki rzeczy w tym stanie zostaną, my tu z sobą połączeni być nie możemy.

KASIA. Cóż czynić wypada? czegoż odemnie żądasz?

DORĘBA. Uchodźmy skrycie.

KASIA. Jakto? skrycie dom porzucać?

DORĘBA. Niéma innego sposobu.

KASIA. Niezaślubiona?

DORĘBA. W jednej dobie nią będziesz.

KASIA. Gdzie pewność?

DORĘBA. Szaleństwo tu panujące długo trwać nie może.

KASIA. Zapewne, ale i na krótki czas nie chcę być naganna.

DORĘBA. Udamy się do moich rodziców i to wtedy dopiero, jak mi się dziś mój zamiar nie uda.

KASIA. Czekajmy więc do jutra.

DORĘBA. Jutro jużby za późno było — pójdziesz z sąsiadem Błażem i u niego skrytą zostaniesz. Uda mi się, to dobrze; ale wtedy już trzeba nam będzie ujść nocą, ujść szaleństwa i wszelkich przeszkód, zostawiając czasowi przywrócenie porządku w tym zaczarowanym zakątku.

KASIA. Sama, z tobą?

DORĘBA. Czyż mi nie ufasz?

KASIA. Przrzekasz, że prosto do twoich rodziców pojedziemy?

DORĘBA. Przrzekam, przysięgam na ostrze szabli polskiej.

KASIA. A twój zamiar?

DORĘBA (*do Błażeja*). Do tego waszcć pomożesz.

BŁAŻEJ. Już mówiłem; z ochotą.

DORĘBA (*siadając do stolika*). Napiszę małą kartkę, kilka słów tylko.

KASIA (*do Błażeja*). Ale jak mnie w waszym domu Agata odkryje?

BŁAŻEJ. Nie lękaj się, mój dom, jak wiesz, obszerny, a żona rzadko w nim bywa.

DORĘBA (*dając kartkę*). W pierwszej wiosce na drodze do Sandomierza w gościnnym domu, był jeszcze dziś rano mój kolega Dyzma Bekiesz, jeżeli go zastaniecie, oddajcie mu tę kartkę; on was uwiadomi, co dalej czynić będzie potrzeba.

BŁAŻEJ. Waszmość przecie nie zechcesz usłuchać rady swojego szeregowca i z bronią w rękę...

DORĘBA. Nie, nie, bądź waszeć zupełnie spokojnym w tój mierze.

KASIA. Kiedyż ja mam pójść?

DORĘBA. Tój chwili.

KASIA. Ale jakże?

DORĘBA. Jeśli mię kochasz, żadnego wahania, czas drogi.

BŁAŻEJ. Śmiało Kasiu, śmiało!

DORĘBA (*do Błażeja*). Staraj się tam być i wrócić jak najprędzej.

BŁAŻEJ. Ile możności.

KASIA. Wiele ci ufam.

DORĘBA. Nie będziesz tego nigdy żałować.

KASIA. Chodźmy więc

DORĘBA. Do zobaczenia, kochana Kasiu.

KASIA. Idźcie, idźcie, Błażeju, ja zaraz przyjdę, tylko wstąpię do mojej izdebki. (*odchodzą — Doręba boczniemi do ogrodu drzwiami — Kasper wygląda oknem — Tobiasz drzwiami od spiżarni, wkradają się powoli i zobaczywszy się, przestraszają się wzajemnie*).

SCENA XIII.

TOBIASZ, KASPER.

TOBIASZ. A zawsze się boisz.

KASPER. Niby niema czego

TOBIASZ. Sam nie wiem, jak się na strychu znalazłem.

KASPER. A ja w kulniku.

TOBIASZ. Ale ja to przez zapomnienie zrobiłem.

KASPER. A ja ze stłachu.

TOBIASZ. Fe, wstydz się.

KASPER. Zobaćś, blacišku, że ty się kiedyś dowojujes z tą twoją stlaśną odwagą; zobaćś; ja ci to przepowiadam.

TOBIASZ. Gdzie się Doręba podział? czy tylko go nie schwymano?

KASPER. Niechby i powieśono tego lotla, za Piotla, co nam napędził.

TOBIASZ. Co ty mówisz, człowieku? — jak go schwyca, to już po nas.

KASPER. A fe!

TOBIASZ. Będzie musiał nas wydać.

KASPER. A fe! gotów może powiedzieć, że ja chodziłem do Błażeja.

TOBIASZ. Pewnie.

KASPER. Macieź telaz! — A ja mówilem, a ja plosilem: zmiluj się, blacišku, nie pehaj mnie w biédę. Ja przewidzialem, że się na mnie źmiele. Jak go schwyca... O mój Boże, stżeźze tego poćiwego śla-
hcica od wśelkiego nieśczęcia.

TOBIASZ. Czy go dyasek tu nada!

KASPER. Ja mówilem, ja plosilem.

TOBIASZ. Jak mię zaczął rozczulać, jak zaczął namawiać...

KASPER. Takeś mu uwieżył; ale było wiczyć, kiedyś chciał, ale na co mnie wplątywać.

TOBIASZ. Ciszéj! nasze ichmoście.

KASPER. A, a gdzież kądziel? (*siadają*).

SCENA XIV.

TOBIASZ, KASPER, URSZULA, BARBARA, GRZEGOTKA.

URSZULA. Jeszcze do siebie przyjść nie mogę, tak z zadziwienia, jak i ze złości.

GRZEGOTKA. I słuszną masz waszmość przyczynę.

URSZULA. O bezczelności! o zuchwalstwo!

BARBARA. Kara powinna być przykładna.

URSZULA. To się rozumie.

BARBARA. Będziem sądzić — wszak prawda?

URSZULA. Nieinaczéj: skarżemy i osądzimy. — Ach, któż zgadnąć, któż przewidziéć zdola wszystkie niebezpieczeństwa, które mu skrycie zagrażają. Powiedz, Grzegotko: widziałeś, bronił się niecnota?

GRZEGOTKA. Bronił się zawzięcie i z wielką trudnością, obskoczywszy go dokola, nareszcie schwymano. (*Kasper wypuszcza kądziel*).

URSZULA. Jabym nie przysięgła, czy nasze męzulki o tém co nie wiedzą.

BARBARA. I ja nie; nie ma im co dowierzać.

URSZULA. Tobiaszu!

BARBARA. Kasprze! patrz mi się w oczy — znasz ty jakiego żołnierza?

KASPER. Ja éy znam? zmiluj się, żonko, ty wiesz, że ja się żołnierów baldzo tego boję.

URSZULA (*do Tobiasza*). A ty?

TOBIASZ. Jakiego znowu mam znać żołnierza?

URSZULA. Tego, którego schwymano niedaleko mego domu?

TOBIASZ. Możem go kiedy w życiu i widział.

URSZULA. Pokaże to się, pokaże.

BARBARA. Kasprze, ty mnie znasz.

KASPER. Jak własną lękę.

BARBARA. Pamiętaj! jeżeli co wiesz a nie powiadasz... pamiętaj!

URSZULA. Przystąpmy do sądów. — Mężczyzni na ustę! (*do Grzegotki*). Winowajca niech staje! (*mężczyźni wychodzą*).

BARBARA. Mnie się zdaje, że, aby czasu nie trwonić na próżnych badaniach, odrazu wziąć go na pytki.

URSZULA. To dopiero przy drugiem badaniu nastąpi. Nie troszcz

się, nie opuszczę żadnego artykułu przywileju naszego. (*Agata w czele straży wprowadza Makarego, ręce w tył związane — kładzie płaszcz na stole i zasiada. Barbara bierze pióro.*)

SCENA XV.

URSZULA, BARBARA, AGATA, MAKARY. (*Straż w głębi.*)

MAKARY. A cóżto! czy ja na Łysiej górze?

BARBARA. W Osieku jesteś.

URSZULA. Pst!.. pytać nam przystoi, nigdy odpowiadać. — Kto jesteś?

MAKARY. Człowiek.

URSZULA. Jak się zowiesz?

MAKARY. Jak mię nazwano.

URSZULA. Skąd przybywasz?

MAKARY. Stamtąd.

URSZULA. Gdzie idziesz?

MAKARY. Tam.

URSZULA. Jakiś się tu dostał?

MAKARY. Idąc przed siebie.

URSZULA. Co tu porabiasz?

MAKARY. Stoję.

URSZULA (*do Barbary i Agaty*). To tylko zwyczajna forma; teraz do rzeczy. (*do Makarego*) Wyznaj.

MAKARY. Co? (*krótkie milczenie*).

URSZULA. Wszystko.

MAKARY. Wyznaję...

URSZULA (*do Barbary*). „Wyznaję” napisz na dole, tu zostaw miejsce; potem wpiszemy, o co rzecz idzie.

BARBARA. Teraz do kary!

URSZULA. Zaraz, jeszcze niedość, zobaczycie, nietylko tyle, więcej się okaże. (*do Makarego*). Czy wiesz, jaka od kilku tygodni odmiana błogosławiona zaszła w naszym mieście Osieku?

MAKARY (*po krótkim myśleniu*). Wiem.

URSZULA. Wiesz, że kobiety rządzą?

MAKARY. Wiem.

URSZULA. Że żaden z mężczyzn tu przebywać nie może, nie poddawszy się ustanowionym prawom?

MAKARY. Wiem.

URSZULA. Wiesz, jaki mężczyznom strój przeznaczony?

MAKARY. Wiem.

URSZULA. Wiesz, że strój, w jakim stajesz przed prześwietnym sądem naszym, białogłowom tylko pozwolony?

MAKARY. Wiem.

URSZULA. Czemuż go nosisz?

MAKARY (*ściągnąjąc do swojej siwizny*). Alboż ja nie białogłowa.
(*mocne zadziwienie—pióro z rąk wypada—długie milczenie*).

URSZULA (*podnosi się z krzesła i przypatrując się Makaremu, mówi do siebie*). To być nie może (*siadłszy, do Barbary i Agaty*), być nie może.

BARBARA (*podobnież i siadłszy*). Nie ma wątpienia.

AGATA (*podobnież i siadłszy*). Więcej niż pewnoś.

URSZULA (*do Barbary*). Pisz!

BARBARA. Co?

URSZULA. Jego wyznanie.

AGATA. Jego wyznanie fałszywe, głową ręczę.

URSZULA. Nie ma nic do tego, pisz!

BARBARA. Już jest.

URSZULA. A teraz tu, na boku, pisz „Notabene” — tak — „punkt do objaśnienia”.

BARBARA (*skończywszy*). Do objaśnienia.

URSZULA. Teraz wyznaj .. (*do Agaty*) Cóż ma wyznać?

AGATA. Niech wyzna... (*do Barbary*) prawdziwie nie wiem.

BARBARA. Niech wyzna, co myśli.

URSZULA. Wyznaj, co myślisz.

MAKARY. Myślę, żeście do kądzieli, nie do pióra stworzone.

URSZULA. Litujemy się nad tobą, twojej obelgi nie zapisujemy i przebaczymy.

MAKARY. Że gdzie wy rządzicie, tam gorzej niż w piekle.

URSZULA (*śmiejąc się*). Przebaczymy.

MAKARY. Że to zgorszenie długo trwać nie będzie.

URSZULA. Przebaczamy!

MAKARY. Żeście szalone.

WSZYSTKIE (*śmiejąc się*). Przebaczamy.

MAKARY. Żeście trzy stare, brzydkie baby... (*zrywają się*).

URSZULA. Karać go natychmiast!

BARBARA, AGATA. Karać! karać!

SCENA XVI.

CIŻ I GRZEGOTKA.

GRZEGOTKA. Dla Boga! dla Boga! co się dzieje, słuchajcie! truchlejcie! Na potem badanie. Na potem z nim, mówię, tu są lepsi.— Wiem wszystko. Gdzieindziej, sędziowie! gdzieindziej zwróćcie uwagę i czynność waszą.

URSZULA. Cóż nowego? — Agato! każ winowającę odprowadzić do więzienia.

AGATA (*do straży*). Weźcie go! — stare baby? — poczekaj!

MAKARY. Stare, stare, jak samo piekło!

URSZULA. Precz z nim!

MAKARY (*do odprowadzających*). Czegoż ciągniesz? — czego szturchasz? — czego szczypiesz? kara boska! (*wyprowadzają go*).

SCENA XVII.

URSZULA, BARBARA, AGATA, GRZEGOTKA.

GRZEGOTKA. Odkryłem wielki spiszek.

URSZULA. Przebóg! — Agato, strażce podwoić.

GRZEGOTKA. Bunt mężów.

URSZULA. Jak? co? mów prędzej.

BARBARA. Drżę ze złości.

GRZEGOTKA. Herszt ukrywa się w mieście.

URSZULA. Herszt? Agato, na gwałt dzwonić! herszt, rzecz straszna!

GRZEGOTKA. A hersztem jest: Jan Doręba.

URSZULA. Ten! ten, młody? żwawy?

BARBARA. Ten przystojny, co tu był przed parą laty?

AGATA. Ten z czarnemi oczyma?

GRZEGOTKA. Ten, ten, ten sam!

BARBARA. Ale, nie czarne, tylko niebieskie.

AGATA. Ależ moja sąsiadko, czarne.

GRZEGOTKA. Czarne, niebieskie czy żółte, tu nie o to idzie.

URSZULA. Gdzież się ukrywa?

GRZEGOTKA. Gdybym wiedział! w mieście.

URSZULA. W jakim celu?

GRZEGOTKA. W jakimże innym, jak wzniecenia buntu i przywrócenia dawnego nieładu.

URSZULA. Nie ujdzie kary.

GRZEGOTKA. Wprzód go jednak trzeba schwytać.

BARBARA. Tak prawo każe — rozumiem.

URSZULA. Agato, Barbaro, śpieszcie!

GRZEGOTKA. Kilkunastu już mieszczan namówił. — Łączą się z nim, przysięgają na trupięj głowie.

URSZULA. Święty Antoni! a mój Tobiasz?

GRZEGOTKA. Podobno.

BARBARA. Mój Kasper?

GRZEGOTKA. Być może.

AGATA. Mój Błażej?

GRZEGOTKA. Niezawodnie!

URSZULA. Wszystkich uwięzić.

BARBARA, AGATA. Wszystkich, wszystkich!

GRZEGOTKA. Na to dość czasu. — Dorębę trzeba ścigać. — Mieli w nocy, to wiem z pewnością, miasto na cztery rogi podpalić.

URSZULA. Przebóg!—nie traćmy czasu—Agato! uderz w twój bęben, niech cała zbrojna siła wystąpi.

GRZEGOTKA. Mam nadzieję, że nam nie ujdzie.

URSZULA. Śpieszcie! walcicie! bicie! chwytajcie! dla dobra miasta nieście i życie w ofierze, jeśli tego potrzeba, ja was zachęcać będę.

GRZEGOTKA. Zobaczymy się, panie Dorębo!

BARBARA (*do siebie*). Przysięgnę, że niebieskie, nie czarne!

AKT III

SCENA I.

KASPER, (później) TOBIASZ. (*Kasper stoi na środku i płacze, potem szlocha*)

TOBIASZ. Czegoż płaczesz?

KASPER. Ach! ach!

TOBIASZ. Niebezpieczeństwo już minęło.

KASPER. Ach! ach! (*ustając*)

TOBIASZ. Ciszejże u dyaska! szlochasz jak pogrzebowa płaczka!

KASPER. Blacišku, żeby ciebie lichy polwalo lazem z twoją Dolębą.

TOBIASZ. Dziękuję waszeci. — Cóż się stało?

KASPER. Moja żonka ach! ach! (*znowu w płacz*).

TOBIASZ. Cóż twoja żoneczka?

KASPER. Niegżećność mi zlobila.

TOBIASZ. Ech! kto tam w tych czasach na niegrzeczność uważa.

KASPER. Ale bo wielką niegżećność.

TOBIASZ. Zapomnij i kwita.

KASPER. Tak, zapomnij, kiedy kalkiem nie mogę lużyć.

TOBIASZ. Ho, ho! to nie żarty.

KASPER. Pewnie nie żalty.

TOBIASZ. I o cóżto wam poszło?

KASPER. Niby nie wieś.

TOBIASZ. Jakże mam wiedzieć?

KASPER. Nie gadaliżemy przeciw naszym imościom?

TOBIASZ. A prawda

KASPER. Nie wysłałeś mię sam do Blażeja?

TOBIASZ. Wysłałem.

KASPER. Nie ześliśmy się tu na ladę, jakby można dawny pożądek przywłócić?

TOBIASZ. Prawda, prawda, ale jakżeto twoja żona mogła wiedzieć?

KASPER. A to co? jakiżes ty dziwny, blacišku. Jak mogła wiedzieć? śmieśne pytanie! — Jużci mogła wiedzieć, kiedym ję powiedział.

TOBIASZ. Powiedziałeś? co słyse! wszystko zgubiłeś, człowieku bez litości, cóżes ty zrobił?! naco? poco?

KASPER. Bo mi kazala powiedziéć wśystko, óo tylko wiem.

TOBIASZ. A mozes ty i o mnie wspomniał.

KASPER. Juzei kiedy wśystko, wśystko co wiem, kazala powiedziéć.

TOBIASZ. A do dyaska! będziez nam teraz.

KASPER. Mnie już bylo.

TOBIASZ. To jeszcze malo, to jeszcze nie.

KASPER. Zmiluj się, blaciśku, bloń mię, ja twój blat.

TOBIASZ. A mnie kto bronieć będzie? biada nam, biada!

SCENA II.

TOBIASZ, KASPER, DOREBA (*wybiegając ogrodowemi drzwiami*).

KASPER. Święty Antoni! otóz jest!

DOREBA. Cicho! jestem ścigany.

TOBIASZ. Precz ode mnie!

DOREBA. Słuchajcie, tylko dwa słowa.

KASPER (*zatykając uszy*). Nie nie słyse.

DOREBA (*zatrzymując go*). O was idzie.

KASPER (*krzycząc*). Nie dotykaj mi się!

DOREBA. Czekał!

KASPER. Pusał, bo będe kżyćeć! (*wyrywa się i wybiega z zatka-*
nemi uszami).

SCENA III.

DOREBA, TOBIASZ.

TOBIASZ. Wynos się stąd waszmość bez popasu, bardzo proszę. Nieproszony, niedziękowany nabawiłeś nas kłopotu, i dość złe położenie sto razy pogorszyłeś. Ruszajże sobie z Bogiem!

DOREBA. Dla was tylko tu jeszcze jestem. Ale nie trać nadziei i słuchaj. Jestem ścigany — Grzegotka śledzi mię zawzięcie, czaty wszędzie porostawiane, trudno abym uszedł. Wam zaś powiadam, nie traćcie serca i jeżeli przyjdzie do tego, że wam żony władzę waszę wrócić zechcą, nie przyjmujcie jęj — rozumiesz waszeć?

TOBIASZ. Tak, tak! gadaj sobie waszmość, ja wiem, co myślę.

DOREBA. A teraz ukryj mię gdzie.

TOBIASZ. Jeszcze czego?

DOREBA (*na stronie*). Ach Dyzmo, Dyzmo, że nie przybywasz! (*do Tobiasza*) Nic nie pomoże, musisz mię ukryć, bo już wyjść nie mogę.

TOBIASZ. A mnie dyasek do tego? mozesz, czy nie mozesz.

DORĘBA. Kiedy tak, więc tu zostanę.

TOBIASZ. Szczęś Boże! (*chce odejść*)

DORĘBA (*zatrzymując go*). O nie! razem zostaniemy.

TOBIASZ. Ale bo ja nie chcę.

DORĘBA. Ale bo ja chcę.

TOBIASZ. Otóż masz! (*słychać krzyk za sceną*)

DORĘBA. Idą.

TOBIASZ. Aj gwałtu! puść mię — Jasiu! serdeńko! dobrodzieju!

DORĘBA (*obejmując go*). Niech nas zastaną, niech chwycą w serdeczném uściśnieniu. (*jak nawiasem*) Ukryj mię.

TOBIASZ. Czy oszalał!

DORĘBA. Mamy ginąć, ginimy razem, przyjacielu; jedna dzida niech nas przebije. — (*nawiasem*) Ukryj mię.

TOBIASZ. Ukryję! ukryję!

DORĘBA. Prędzěj — gdzie?

TOBIASZ (*szukając koło siebie*). Koło śpiżarni... już wiesz... jest.. są, te, jak się zowią... ten... dziedzinice na drzwiczki.. na dziedzińcu chcę mówić... stamtąd furtka do rzeki nad sadem .. ten... do sadu.. gdzieżem furtkę podział... a to co... święty Antoni! ratujże mię — jes przecie... na, masz klucz... ruszaj!

DORĘBA (*wybiegając*). Bądź zdrów.

TOBIASZ (*wybiegając*). Kara boska!

SCENA IV.

AGATA, GRZEGOTKA, MIESZCZKI. (*krzyk za sceną*)

GRZEGOTKA (*za sceną*). Wszedł, wszedł do domu.

AGATA (*do Grzegotki we drzwiach*). Wy tamtędy, a ja tęty — jeszcze tu być musi.

GRZEGOTKA. Dalěj żwawo! za mną siostry! (*we drzwi, któremi Doręba wyszedł*). — Agata za sceną w tęż samą stronę!

SCENA V.

URSZULA, BARBARA.

URSZULA. I chwili odpoczynku! W głowie mi szumi. — Ciężar rządów mnie gniecie! Obszerność i głębokość roztropności mojej ledwie wydolać może co raz nowym, że tak rzekę, dolegliwościom.

BARBARA. Początki najtrudniejsze.

URSZULA. Zdrada otacza ustawy nasze.

BARBARA. Właśni mężowie spiski knują.

URSZULA. Niewdzięczni!

BARBARA. Byle tylko Doręba nam nie uszedł.

URSZULA. Ujść nie może, moje rozkazy dane, rozrządzenie niezawodne — ujść nie może, ja powiadam.

BARBARA. Po osądzeniu i skaraniu Doręby, do domowych winowajców przystąpimy.

URSZULA. Tak, codzień jednego sądzić będziemy.

BARBARA. Do każdego przestępstwa nowe prawo napiszemy.

URSZULA. Nasza czynność przyszłym wiekom wzorem będzie.

BARBARA. Sława Osicka już zaginąć nie może, żeby tylko nie ten strój, bo przynależać trzeba, że wcale nam w nim nie do twarzy.

URSZULA. To mniejsza. Ale słuchaj, siostrze, mnie inna ważniejsza myśl niepokoi i wstrzymuje, że się tak wysłowię, zapęd mojego rozumu: jak winowajców skarzemy przykładnie, to zostaniemy bez mężów.

BARBARA. Prawda, nad tём jeszcze się nie zastanawiałam.

URSZULA. Jednakowoż są potrzebni.

BARBARA. Są potrzebni, niema gadania.

URSZULA. Mąż, jest to złe konieczne.

BARBARA. Ach, konieczne!

URSZULA. Jakże tu postąpić?

BARBARA. Niema co myśleć, skarać musimy, ale taką karę wymyśleć potrzeba, która nam nie uwłóczy a nawet z korzyścią będzie.

URSZULA. Dobrze mówisz, roztrząśnieniemy to w przyzwoitym czasie. O dowcipie mądrości! któryś nam dotąd w łatwiejszych dziełach przewodniczył; nie odstępuj teraz głowy nasze i umocnij w chwiejącym kroku. (*krzyk za sceną*)

SCENA VI.

URSZULA, BARBARA, GRZEGOTKA.

GRZEGOTKA (*z papierkiem na nosie*). Palnął mię, palnął, ale jest Doręba, jest w naszym ręku, Bogu dzięki! już go wiedzie dzielna Agata. — Trzeba widzieć było natarcie i obronę — siła zbrojna okryła się nieśmiertelną sławą.

URSZULA. Mów, chcemy słyszeć szczegóły odniesionego zwycięstwa.

GRZEGOTKA. Kiedy ja z dobranym pocztą przeszedłszy ten dom w tropy go ścigałem, odważna Agata ze swoim hufcem przecięła mi drogę sandomierską. — Ujrzeliśmy go nareszcie, i on widząc się odkrytym, stanął grożąc dzielnym odporem. — Ten z mężczyzn, który przystąpił, doznał niebawem zamaszystości jego ręki, ale przed płcią

piękną, gdy się cofać musiał, gałęź na drodze płące mu nogi, pada jak dąb, a cały hufiec Agaty przykrywa go sobą. Pod ogromną niewieścią kupą, ani znaku szlachcica. Wstrząsł się jednak, dziesięć czapek spadło, wstrząsł się i był wolny. W témto niespodziewaném uwolnieniu, przystąpiwszy za blisko, zaczęłam o piętę jego moim nosem. Ale powstały hufiec znów go otacza, przypiera, chwytą, kuje w łańcuszki i z okrzykiem radośnym przed twój sąd wiedzie, przemądra rządczyni! gromnico rozsądku! studnio rozumu!

URSZULA. Miło nam jest przyjmować dowody poświęcenia się waszego. Nagrodę zasług odkładamy na czas późniejszy. Teraz udaj się waszeć do parocha, niech odśpiewaném będzie: „*Te deus laudabus.*” (za sceną krzyk ludu) Wiwat! wiwat!

GRZEGOTKA (odchodząc do wchodzącego Doreby). Bliżej panie szlachcie — proszę bliżej — panna młoda już go czeka — będę mu za družbę. (odchodzi — śmiech)

SCENA VII.

URSZULA, BARBARA (siedzą przy stole), AGATA, DOREBA (w łańcuszkach), STRAŻ (w głębi) i MIESZCZKI, i t. d.

AGATA. Ciszej! — Oskarżyłam, uwięziłam, teraz sądzić będę. (siada)

URSZULA. Nie, Agato, dokończ dzieła chwalebnie zaczętego, teraz jeszcze nie będziemy sądzić, tylko badać winowajcę. Waszeć tymczasem gdzieindziej jesteś potrzebną. Przejdź miasto wzdłuż, wszersch, wkoło i wróć wszystko do należytego porządku.

AGATA. Czyż nie lepiej, abym badaniu przytomną była? abym przed sądzeniem wiedziała, o co rzecz idzie?

URSZULA. Nacoto wiedzieć? już ja powiem, winny czy niewinny.

AGATA. Ale zastanów się waszeć...

URSZULA. Oświadczyłam moją wolę.

AGATA. Ale jednak...

URSZULA. Rozkazuję.

AGATA. Idę więc, idę. (na stronie) Patrzenie! jak urosła: „rozkazuję!”

DOREBA (do Agaty na stronie). Nie zapomnij, królowo serca mojego!

AGATA (odchodząc, do Doreby na stronie). Bądź spokojny.

URSZULA. Straż odstąpi.

SCENA VIII.

URSZULA, BARBARA, DOREBA.

URSZULA (krzycząc). Bliżej!

DOREBA (przystępując). Pani! ciebie dość blisko nigdy być nie można.

URSZULA. Napisz to, siostrzo. (*do Doręby*) Jak się zowiesz?

DOREBA. Jan Kanty Doręba, herbu Strzała, towarzysz pancernój chorągwi.

URSZULA. Co tu robisz?

DOREBA. Szukam szczęścia.

URSZULA. Nikomu tu niewolno ani być szczęśliwym ani się smuć bez naszego rozkazu.

DOREBA. Gdzie twoja przytomność, pani, tam wzbronie szczęścia jest niepodobieństwem.

URSZULA. Napisz to, siostrzo. (*do Doręby*). Jakież zatrudnienie waszecei?

DOREBA. Bić, pić i kochać.

URSZULA (*do Barbary*). Kochać?

BARBARA (*do Urszuli*). Kochać?

URSZULA. Bić, mniejsza z tém — pić, pij waszmość zdrów. Ale kochać — kogo kochać?

BARBARA. Tak, to jest wielkie pytanie: kogo kochać i jak kochać?

DOREBA. Pani! ufny w twojej głębokiej mądrości, która objęła szerokie pole umiejętności — przezorności, której blask całe miasto oświeca, jak słońce, kiedy żadnej chmury niema — dobroci, która...

URSZULA. Pisz, pisz siostrzo. Trochę wolniej, mości towarzyszu.

DOREBA. Dobroci, która słodsza nad miód, głaszcze i rozgrzewa dusze otaczające ciebie — ufny, mówię, w te wszystkie wielkie przymioty, otworzę ci serce moje; powiem przypadki i nieszczęścia życia całego, wyznam zamiary i nadzieje moje, ale jednej łaski śmiem się wprzód domagać. Racz mi jej nie odmówić.

URSZULA. Niech ją slysze, nieszczęsny młodzieńcze.

DOREBA. Aby przed tobą tylko samą złożył wyznania moje.

URSZULA. Przede mną samą?

BARBARA. To być nie może.

URSZULA. Byby mogło, ale nie widzę, że się tak wyrażę, nieodzownej potrzeby.

DOREBA. O tój się przekonasz, jeśli zadość uczynisz żądaniu mojemu. Wszak zawsze zostaje wola twojej niezmierzonej roztropności kazać mi powtórzyć w obliczu całego miasta, to, co pałam wyjawić ci w tój chwili.

BARBARA. Cóż to być może?

URSZULA. Trafiają się podobne wypadki, wyczytałam to w aktach; nie odmawia się winowajcy tajemnego posłuchania.

BARBARA. Czyń, siostrzo, jak ci się zdaje. (*na stronie*) Skrytość w guście jejności.

URSZULA. Przystępuję do żądania waszmości — otrzymasz łaskę, której śmiesz się domagać.

DOREBA. Dzięki, dzięki ci pani.

URSZULA. Siostró pisarzu, zostaw nas samych.

SCENA IX.

URSZULA, DOREBA.

DOREBA (*kłękając*). U nóg twoich, pani, miejsce moje.

URSZULA. Wstań waszmość.

DOREBA. Nie, skarż mię pani za przewinę, której ty sama winną jesteś.

URSZULA. Ja winną?

DOREBA. Tak jest — nieczas już tać, co serce lat kilka starannie ukrywało. Tak jest, wdzięki twoje przyczyną nieroztropności mojej; one mnie pokoju pozbawiły, natchnęły namiętnością, a razem tęsknotą niezwykłą za miejscem ożywionem twojem anielskiem wejrzeniem.

URSZULA. Co słyszysz? śmiesz to mówić (*podnosząc go — czule*) Wstań waszmość.

DOREBA (*ucalowawszy podnoszącą rękę*). Wiem, na co się odważam. Ale niech ginę z pociechą, że moje nieszczęścia wiadome ich sprawczyni, że może lży litości nie odmówi temu, który w grobie jeszcze do niej wzdychać będzie.

URSZULA. Nieszczęsny szlachcicu!

DOREBA. Jednego tylko litośnego błagam wejrzenia; powiedz, że mi przebaczasz, a potem oddaj pod sąd, niech umrę. Ty mnie nienawidzisz, nacóż mi życie?

URSZULA. Nienawidzić bliźnich nie godzi się. Ale pocóż tu przybyłeś?

DOREBA. Widzieć cię, pani.

URSZULA. Nie wiedziałeś, jakie w tém niebezpieczeństwo?

DOREBA. Miłość nie zna niebezpieczeństwa.

URSZULA. Nieznanaż ci była zaszła tu odmiana?

DOREBA. Niech się zmienia świat cały, moje serce nigdy.

URSZULA. Nie widziałeś przepaści, w którą śpieszyłeś?

DOREBA. Namiętność ślepa, ona mię wiodła.

URSZULA. Gdzież rozsądek?

DOREBA. Tam, gdzie miłości niema.

URSZULA. Jakaż masz nadzieję?

DOREBA. Ty powiedz, pani.

URSZULA. Jaki zamiar?

DOREBA. Żyć przy tobie.

URSZULA. Czemuż nie szedłeś prostą drogą? mogłeś przyjąć miejsce i zostać z nami gdy ci... gdy ci... Osiek tak miły.

DORĘBA. Wojskowym będąc, nie mogłem tu osiąść a mniej jeszcze poddać się prawom nowo ustanowionym, które jednak umiem cenić i szanować podług rzeczywistej wartości.

URSZULA. Czemuż buntowałeś mężów naszych.

DORĘBA. Aby zostać uwięzionym. Jak zostanę, myślałem, w miejscu, gdzie ty blyszczysz, widzieć cię czasem choć zdaleka będę, a nie złamię przez to powinności moich.

URSZULA. Dla mnie wyrzekłeś się wolności.

DORĘBA. Reszty wolności, powiedz; jęj większą część dawnoś już wzięła.

URSZULA. Wzięłam?

DORĘBA. Ach, wspomnij pani, przed kilku laty ów wieczór, w tydzień jak zostałaś żoną starego Tobiasza.

URSZULA. Ach, nie kończ!

DORĘBA. Wtedyto roztopiłaś serce moje. Chciałem cię zapamięć, ale daremnie — zawsze stała przed myślą natężoną. Widziałem cię na niebie, gdy spojrzałem w górę; w powietrzu, gdy przed siebie; gdy na dół, w piasku. — Widziałem cię w misce, gdy jadłem; gdy piłem, na dnie szklanki — wszędzie, wszędzie cię widziałem.

URSZULA. Skończ waszmość, skończ, dla Boga.

DORĘBA. Chciałem umrzeć.

URSZULA. Ach!

DORĘBA. Tak, chciałem umrzeć. Rzuciłem się naoslep w szeregi nieprzyjaciół, ale i tak w każdym Tatarze twój obraz widziałem.

URSZULA. Dobry Janie!

DORĘBA. Jeślim kiedy miał sen miły, to wtedy tylko, gdyś ty mi się śniła.

URSZULA. Ach, i mnie raz to spotkało.

DORĘBA. Co słyszę? o rozkoszył kochałaś mię we śnie?

URSZULA. Rozczuliłam się, wyznać trzeba.

DORĘBA. Chceszże tylko na jawie być okrutną?

URSZULA. Muszę.

DORĘBA. Możesz mię uszczęśliwić, królowo osoby mojej.

URSZULA. Chciałabym, drogi Janie.

DORĘBA. Od twojej woli zależy.

URSZULA. Jakim sposobem?

DORĘBA. Wstrzymaj sąd do jutra.

URSZULA. Czemuż go na zawsze oddalić nie mogę! ach, czemuż tak nagle, bez mojej wiedzy tu przybyłeś? — Czemuż się wdałeś z mężami, i do tego jeszcze z moim? o nieszczęśliwy!

DOREBA. Zbłądziłem, ale zbłądziłem z miłości. Przybywam, wkradam się do twego domu, spotykam niespodzianie Tobiasza, nie wiem co powiedzieć, przyrzekam ich uwolnić; wtem zawczesne pojmanie mojego szeregowca inny obrót rzeczom daje.

URSZULA. Ale jak sąd do jutra odroczyć? pod jakim pozorem?

DOREBA. Rządzisz w Osieku i pozor ci trzeba?

URSZULA. Agata, Barbara, Grzegotka i całe miasto, wszyscy cheiwi sądu i kary twojej.

DOREBA. Do jutra, do jutra tylko.

URSZULA. A jutro co?

DOREBA. Co?... co?... O, jutro, jutro, daleko — będziemy miał czas naradzić się dokładnie.

URSZULA. Ale sposób, sposób?

DOREBA. Zleć badanie Barbarze, ja jój tak odpowiadać będę, że z protokołu nie dojsć nie potraficie.

URSZULA. Prawda, ona beze mnie nic nie poradzi.

DOREBA. Będziecie więc musiały badanie powtórzyć; wieczór na-
dejdzie i nasza wygrana.

URSZULA. Truchleję o ciebie.

DOREBA. Z twoją łaską niczego się nie lękam.

URSZULA. Janie, ach, Janie!

DOREBA. Urszulo, ach, Urszulo! (*jak nawiasem*) każ mi zdjąć okowy.

URSZULA. Hola! straż! Barbaro! — Zdjąć kajdany! — Muszę przeglądnąć powierzone mi papiery i aktów się zaradzić. Ty, siostró, potrafiysz wybadać winowajęcę. Spodziewam się, że twoja przenikliwość złączona, że się tak wyśłowię, ze sprawiedliwością ułatwi rozstrzygnięcie sądowni. Taka wola moja! (*odchodzi ze strażą*).

SCENA X.

BARBARA, DOREBA.

BARBARA (*siadając, do siebie*). Jak widzę, rozmowa sam na sam pomyślny skutek wzięła. Wielkie zapewne, wielkie, ogromne tajemnice odkryte zostały; ja tego wiedzieć nie mogę, nie moja w tćm głowa. Ale do rzeczy, panie sam na sam! (*pisząc*) Pytam się...

DOREBA (*który od początku sceny w głębokim zostaje zamysleniu, jakby do siebie*). Co za rączka! cudna!

BARBARA. Pytam się...

DOREBA (*zawsze z założonemi rękoma, jak do siebie*). Co za białość! co za skład! nie, nie podobnego w życiu nie widziałem.

BARBARA. Pytam się.

DORĘBA. Tysiąc całusów zdawałyby się tylko jednym. Usta same ciągną się do niej.

BARBARA. Proszę odpowiadać, pytam się...

DORĘBA. Za jedno ściśnięcie tój rączki, niewola sama byłaby rozkoszą; ten tok, pulchność, giętkość!

BARBARA. Siadaj waszmość i opowiadaj.

DORĘBA (*jak przebudzony*). Ach tak, ja mam odpowiadać. (*siada i wznosi oczy*) Ach! O, błagam cię pani, odwróć oczy twoje, tego wejścia nie zniosę.

BARBARA. Ależ młodzieńcze...

DORĘBA. Czy myślisz, że seree moje kamienne? albo chcesz się pastwić nadę mną?! Ach odwróć, dla Boga, te siwe dwie gwiazdy palą wnętrzości moje.

BARBARA. Pomiarkuj się...

DORĘBA. I cóż ci z tego przyjdzie, że powiększysz nieszczęście moje? cóż ci przyjdzie, że osłabione serce wdziękami twojemi do reszty ujarzmisz i oddasz strapieniom bezowocnej miłości? ach lituj się! lituj! odwróć oczy mordercze

BARBARA. Ja lituję się, ale trudnoż; mam oczy zamknąć?

DORĘBA. Ach zamknij je, zamknij, proszę cię, zamknij; wtedy śmiało wpatrywać się będę w doskonałość nie do naśladowania rysów twoich: opatrzę nosek, oglądnę buzię, przejrzę bródkę i dalej... (*spojrzawszy na nią i zasłoniwszy sobie oczy*) Ach okrutna, ty się na mnie patrzysz!

BARBARA. Nie jestem okrutna, Bóg widzi, nawet chcę ci pomagać, ile w mej mocy.

DORĘBA. Chcesz mię ratować? dla ciebiem tu przybył.

BARBARA. Szczerze pragnę, ale jakim sposobem?

DORĘBA. Mogłabyś sąd odwlekać. — Dla ciebiem tu przybył.

BARBARA. To być żadnym sposobem nie może, ale w czém inném.

DORĘBA (*płaczącym głosem*). Ach ty nie pomożesz, bo Urszula nie chce. I to, co o tobie powiedziała, ach!

BARBARA. Cóż powiedziała?

DORĘBA. Ze twój rozum płaski — ach, ty nie pomożesz!

BARBARA. Mój rozum płaski, Urszula powiedziała?

DORĘBA (*płaczącym głosem*). Powiedziała: że Barbara czterdziestki sięga, a w głowie jak u dziecięcia — ach, ty nie pomożesz!

BARBARA. Czterdziestki sięga — i nie pomogę?

DORĘBA. Że jeżeli ma pudłowatą głupią twarz, to jeszcze głupszą duszę — nie, nie, ty nie pomożesz.

BARBARA. Pudłowatą duszę? głupią twarz? Urszula powiedziała? i nie pomogę? otóż pomogę, pomogę!

DORĘBA. O zgrozo! kalmucką facyatą cię nazwała.

BARBARA (*zrywa się*). Kalmucką... pomogę ci, pomogę, sąd odrocze... niech się wścieka ze złości... zaraz pójdę...

DOREBA (*zatrzymując*). Wstrzymaj się.

BARBARA. Wszystko jój wymówię...

DOREBA. Słuchaj mię...

BARBARA. Powiem, że tego dmuchania już nadto...

DOREBA. Tylko słowo...

BARBARA. Że dłużej znosić nie będę, że nie tylko burmistrzem, ale i parobkiem nigdy być nie może.

DOREBA. Ale...

BARBARA. Powiem jój zaraz ..

DOREBA. Ale...

BARBARA. Powiem jój zaraz...

DOREBA, Ale...

BARBARA. Idę w ten moment!...

DOREBA (*wstrząsając jój rękę mocno*). Chcesz więc mię zgubić?

BARBARA (*przychodząc do siebie*). Hm?

DOREBA. Chcesz więc mię zgubić?

BARBARA. Chcę cię ratować, jój na złość.

DOREBA. Jak tylko jawnie ujmiesz się za mną, to już niema ratunku — ale skrycie postępując, zemścisz się snadnie i mnie usłuszysz.

BARBARA. Mów, co mam robić, byłem się zemściła, byle tylko prędko, mów, co czynić?

DOREBA. Na teraz — sąd do jutra odłożyć.

BARBARA. Dobrze, dobrze, muszę odłożyć.

DOREBA. Tylko uspokój się — nieroztropném uniesieniem wszystko popsujesz.

BARBARA. Jestem spokojną.

DOREBA. Nadchodzą. (*na stronie*) Truchleję, przebrałem miarki.

BARBARA (*na stronie*). Czterdziestki sięga — pudłowata twarz, kalmucka facyata.

URSZULA (*wchodząc z Agatą i strażą*). Na ustęp, mości towarzyszu — do alkierza.

DOREBA (*odchodząc i kłaniając się każdej*). (*do Urszuli*) Pamiętaj! (*do Barbary*) Ostrożnie! (*do Agaty*) Nie zapominaj!

SCENA XI.

URSZULA, BARBARA, AGATA.

URSZULA. Jakież było jego tłómaczenie?

BARBARA. Tłómaczenie?... co?... co mówił?

AGATA. Protokół to okaże.

URSZULA. W samą rzecz. (*biorąc*).

BARBARA. Nacóż kiedy... zaraz. —

URSZULA. Zaraz, zobaczymy — (czyta) „Jan Doręba...” etc. etc. to już było — stąd więc: (czyta) „pytam się... pytam się... rączka... usta.. pytam się... siadaj... wcale grzeczny”. (milczenie) I nic więcej — cóżto jest? co znaczą te wyrazy bez związku?

AGATA. Dziwny protokół!

BARBARA. Cóż miał odpowiadać? Nawet nie mówić nie chciał, wszystko wprzód odkrywszy jejmości burmistrzowi, która laskawie zechce nam udzielić te ważne odkrycia.

URSZULA. Udzielę w przyzwoitym czasie.

AGATA. Nacóż ta tajemnica?

URSZULA. Taka wola moja.

BARBARA. Która nie jest bez granic.

URSZULA. Z większém uszanowaniem.

BARBARA. Jak kto zasługuje.

URSZULA. Podległości żądam z urzędu mego.

BARBARA. Urząd niewieczny.

AGATA. Dla Boga, uspokójcie się, prześwietni sędziowie.

URSZULA. Jak sądzić podług takiego badania?

AGATA. Możemy sąd do jutra odłożyć.

URSZULA (na stronie). Wygrałam.

BARBARA (na stronie). Tego mi trzeba. *f*(głośno) Zapewne możemy odłożyć.

URSZULA. Hm! do jutra? mniejsza z tém — odłożmy.

AGATA. Biorę go więc z sobą.

URSZULA. Dokąd?

AGATA. Do więzienia w domu moim.

URSZULA. Nie, Agato; lubo jest winowajcą, trzeba mieć dla niego niejakię względy, aby nie powiedziano, że tylko prześladować i karać umiemy; zatem, niech aż do rozstrzygnięcia sprawy w moim domu zostanie, ja rączę za niego.

AGATA. A jaż klucze od więzienia daremnie dzwigać będę?

URSZULA. Jego szeregowiec jest ci powierzony.

AGATA. Ja chcę towarzysza, nie szeregowca.

URSZULA. To być nie może dla sławy całego miasta.

AGATA. Co mi sława miasta! ja go biorę i zamykam.

BARBARA. Aby ustała sprzeczka was niegodna, a jedna drugiej nie ustąpiła, ja przyjmuję ten ciężar na siebie. Niech zostanie pod moim dozorem.

AGATA. Pod naszym, tylko pod moim.

URSZULA. Pod moim, nie pod naszym.

BARBARA. Ja go strzedz będę.

AGATA. I ja potrafię.

URSZULA. Ja chcę, ja każę, tak być musi.

AGATA. Rozkazuj swemu mężowi, a nie mnie.

URSZULA. Milczcie!

AGATA. Tego niema w naszych prawach.

URSZULA. Straże! obie słuchać musicie.

BARBARA. Straż! — proszę — na kogo?

URSZULA. Na was.

AGATA. Daj go katu! — to mi rządca! to mi rząd! nigdy dawniej nie podobnego nie słyszano! — Wolę sześciu mężczyzn, niż jednę kobietę.

URSZULA. Koniec końców Doręba tu zostanie.

BARBARA. Nie zostanie.

AGATA. Nie zostanie, ja go biorę.

BARBARA. Ja go biorę.

URSZULA. Musi, musi zostać.

SCENA XII.

URSZULA, BARBARA, AGATA, GRZEGOTKA.

GRZEGOTKA (*wbiegając*). Wiecie, wiecie, co się dzieje? ja wiem wszystko, wszystko powiem. Dla Boga, ledwie mi tchu staję, niemało mię pracy kosztowało, niemało znoju, ale dowiedziałem się, wysłodziłem, wiem wszystko, włosy mi stają na głowie. Ale trzeba, abyście wprzód wiedziały, co ja już wiem dawno, poco tu Doręba przybył.

URSZULA (*pociągając go ku sobie, na stronie*). Cicho!

AGATA (*podobnie*). Milcz!

BARBARA (*podobnie*). Ani słowa!

GRZEGOTKA (*zadziwiony*). Co? co?

URSZULA (*jak wprzód*). Będiesz miał Kasię — cicho!

GRZEGOTKA. Ale...

AGATA (*podobnie*). Dziesięć tynfów, milcz!

GRZEGOTKA. Ale...

BARBARA (*podobnie*). Ani słowa, bo ci oczy wydrapię.

GRZEGOTKA. Ale tylko słuchajcie.

URSZULA (*jak wprzód*). Kasia.

AGATA (*podobnie*). Tynfy.

BARBARA (*podobnie*). Oczy.

GRZEGOTKA. A to co? muszę powiedzieć.

WSZYSTKIE. Milcz!

GRZEGOTKA (*krzycząc*). Dla miłostek!

WSZYSTKIE. Milcz!

GRZEGOTKA. Z Kasią.

WSZYSTKIE. Z Kasią?

GRZEGOTKA. A! — Ale to nic, ja to wiedziałem, ale skutki, skutki! — Zaburzenie, a w zaburzeniu wykradzenie.

URSZULA. Co waszeć pleciesz?

GRZEGORKA. Pletę, plecę, — już ją wykradł.

BARBARA. Wszak on tu jest.

GRZEGOTKA. Ale Kasi niéma i Błażeja niéma.

AGATA. Błażeja?

GRZEGOTKA. Z Błażem uciekła. — Ale wiem, wiem, gdzie są.

AGATA. Błaż z nią? — gdzie są?

GRZEGOTKA. W jego domu; téj nocy pewnie mieli się złączyć z Dorębą i dalej w drogę.

URSZULA. O hultaj!

BARBARA. Poczekaj, łotrze!

AGATA. To lis!

URSZULA. Zemsta! zemsta! sążmy go.

BARBARA. Co tam sążmy — karzmy go.

AGATA. Bez zwłoki!

GRZEGOTKA. Dla lepszego przekonania, biegnę do domu Błażeja i Kasię za chwilę przyprowadzę. *(wołając)* Mości towarzyszu! mości towarzyszu pancerny! panie szlachcie! proszę bliżej.

DORĘBA *(wchodząc, na stronie)*. Dyzmo! zgubiłeś mię.

GRZEGOTKA. Panna Katarzyna zaraz będzie. — Może potańcujesz drabanta? *(odchodzi)*

SCENA XIII.

URSZULA, BARBARA, AGATA, DORĘBA. *(kobiety razem)*

URSZULA. Takiśto paniczu? dla mnieś się poświęcał?

AGATA. Takiśto paniczu? dla mnie tu przybyłeś?

BARBARA. Takiśto łotrze? ja cię miałam ratować?

DORĘBA *(w środku)*. Ależ moje panie... *(kobiety razem)*

URSZULA. Moje wdzięki pozbawiły cię pokoju? tęskniłeś za miejscem ożywioném wejrzeniem mojem?

AGATA. Dla mnie wyrzekłeś się sławy i majątku? pragnąłeś tylko jednego mego uśmiechu?

BARBARA. A rączka biała, cudna i pulchna? nie mogłeś wytrzymać mego wejrzenia palącego.

DORĘBA. Ależ moje panie.

URSZULA. A Kasię kochasz.

BARBARA. Kasięś wykradł.

AGATA. Z Kasią chciałeś uciekać.

DOREBA. Jedno tylko słowo.

BARBARA. Poczekaj!

URSZULA. Poznasz mię.

AGATA. Sądźmy go.

BARBARA I URSZULA. Sądźmy! (*słychać krzyk za sceną i kilka męskich głosów*) Na koń! na koń!

URSZULA. Cóż to jest?

DOREBA (*na stronie*). Oddycham.

AGATA (*ode drzwi*). Wojsko! proporce! (*głos za sceną*) Na koń! na koń! kto w Boga wierzy, na koń!

URSZULA. Cóż to znaczy?

AGATA. Gdzież nasi mężowie? strach mię bierze.

SCENA XIV.

URSZULA, BARBARA, AGATA, DOREBA, BEKIESZ, BŁAŻĘJ, TOBIASZ,
KASPER, DWÓCH SZEREGOWCÓW, POSPÓLSTWO.

BEKIESZ. W imię króla i rzeczypospolitój, kto czapkę nosi, niech na koń wsiada.

URSZULA. Poco? naco?

BEKIESZ. Liczny zagon Tatarów aż pod Jarosław sięga, nasze wojsko porażone — ogniem i mieczem wszystko niszczą i wkrótce tu będą, jeżeli im prędkiego nie da się odporu.

KOBIETY. Tatary u nas? biadaż nam! cóż my poczniemy! cóż my będziemy robić! biada! biada! ratujcie! ratujcie!

BEKIESZ. Ciszej! — Tu płacz nie nie pomoże. Na koń prędko, kto czapkę nosi.

KOBIETY (*zdejmując czapki*). Ratujcie! ratujcie!

URSZULA. Mężulku mój!

BARBARA. Kasperku!

AGATA. Błażeju, bierz broń!

BŁAŻĘJ. Nie, kto przy rządzie, ten przy kordzie.

URSZULA (*do Tobiasza*). Nie chcesz-że mię bronić?

TOBIASZ. Kto umie rządzić, niech umie i bronić.

KASPER. Z dwojga złego, wolę pząść niż wojować; lżejsza kądziel niżeli dzida. Basiu, siadaj na koń, siadaj!

URSZULA. Zlitujcie się — rządzcie a bróńcie; oddajcie szablę panu Dorębie.

BŁAŻĘJ. Uciekajmy.

TOBIASZ. Na koń i w nogi.

URSZULA. Mężu drogi — burmistrz! (*słychać krzyk za sceną*)

JEDNA Z KOBIET. Tatory!

KOBIETY (*uciekając*). Tatory! gwałtu! gwałtu!

BEKIESZ. Nie, nie, nie! czekajcie! — nie słyszą.

SCENA XV.

BEKIESZ, DOREBA, TOBIASZ, BŁAŻEJ, KASPER, SZEREGOWCY, MAKARY.

MAKARY (*cofając się przed nacierającą strażą, łopata w jednym, miotła w drugim ręku*). Precz! precz, mówię! precz ode mnie! gwałtu, co się dzieje! A, jesteście przecie waszmoście. A to Sodom! pókiż tego będzie? zamknęły mię do piwnicy — do próżnej piwnicy, mości towarzyszu — drwinki i przekąski i śmiechy... A do stu paralizów! jak się nie ruszę! straż w nogi, ja za nią — ja w nogi, straż za mną, to tak, to siak, aż się tu dostałem.

DOREBA. Spocznij sobie teraz.

MAKARY. A jakie mam pragnienie! ty!

DOREBA. Wy zaś idźcie zaspokoić wasze żony, że jeszcze Tatarów niema, jednak wkrótce być mogą i zmieńcie przytém z niemi piękne wasze ubiory.

TOBIASZ. Bóg ci to nagrodzi.

SCENA XVI.

BEKIESZ, DOREBA, MAKARY.

DOREBA. Bóg zapłać, kolego, w sam czas przybyłeś: krótko już było koło nas.

BEKIESZ. W całkiem nowój wojnie.

DOREBA. Ale najłatwiejszój, muszę wyznać.

MAKARY. Już chwiała się czupryna, mości towarzyszu.

SCENA XVII.

CIŻ SAMI, GRZEGOTKA *prowadząc KASIE w swoim stroju*.

GRZEGOTKA. Otóż jest — nie mówiłem — otóż jest — cóż to jest? cóż to jest?

DOREBA. Będzie drabant.

KASIA. Ach Janie, co się tu dzieje?

DORERA. Wszystko dobrze.

KASIA. W jakim ja strachu byłam.

DOREBA. I ja nie w mniejszym.

GRZEGOTKA. Cóż to ja słyszę? co widzę? co to znaczy?

DORĘBA. To znaczy, że Kasia będzie moja, a pan Filip Grzegotka na uzupełnienie weselnych zabaw dnia tego, tak ubrany, jak jest, czerwony język na piersiach, na plecach skórka zajęcza, w jednym ręku kądziel a w drugim miotła, przejedzie się na osie trzy razy wkoło miasta.

BEKIESZ. A potem do gąsiora na dni parę, taka moja rada.

MAKARY. A będziesz jadł cudzą szynkę?

SCENA XVIII.

CIŻ SAMI, KASPER, BARBARA, *potem* AGATA I BŁAŻĘJ, *potem* TOBIASZ I URSZULA *w swoich ubiorach.*

KASPER. Lóbcie éo chcecie, w spodnicy nie w spodnicy, ja na Tatalów nie pójdę.

BARBARA (*wciąga za rękę Kaspra*). Pójdiesz, serce moje, pójdiesz!

AGATA (*do Błażeja*). Już się nie gniewaj, przebacz mi tą razą. Będę spokojną, dobrą jak baranek, ale siadaj na koni, siadaj na taranta.

BŁAŻĘJ. Zobaczymy, zobaczymy!

TOBIASZ. Jestem więc znowu burmistrzem?

URSZULA. Jesteś, jesteś, mężulku kochany, ale Tatary, Tatary!

GRZEGOTKA. Co. Tatary? (*chce uciekać, szeregowiec go zatrzymuje*)

DORĘBA. Uspokójcie się. My bierzemy na siebie obronę Osieka.

URSZULA. Dobry panie Dorębo!

DORĘBA. Teraz słowo waszeci.

TOBIASZ (*łącząc go z Kasią*). Dotrzymuję — szczęść Boże!

KASIA. Jestem twoją na zawsze.

DORĘBA. Bądźcie zgodni, uprzejmi, stali w małżeństwie — wyrzeknijcie się wzajemnie władzy, znajdziecie przyjaźń; wyrzeknijcie się rządów, a znajdziecie szczęście.

MAKARY. Teraz dajcie miód. Wiwat państwo młodzi! —

NIKT MNIE NIE ZNA.
KOMEDYA
W JEDNYM AKCIE, WIERSZEM.

Uczy złe czynić, kto się niepotrzebnie obawia.

And. Maks. Fredro.

O S O B Y:

MAREK ZIĘBA.

KLARA, jego żona.

CZESŁAW, jój brat.

SŁAWNICKI, major.

ŁAPKA, lichwiarz.

KASPER, służący Marka.

MARTA, żona Kaspra.

Urzędnik policyi, straż, służy Marka.

Rzecz dzieje się w mieście, w domu Marka.

SCENA I.

KLARA, CZESŁAW, MARTA. (*Marta stoi i trzyma surdut, laskę i kapelusz*).

CZESŁAW. Kochasz męża, to dobrze, bardzo sprawiedliwie,
Bronić nie chcę, nie myślę; lecz nad tém się dziwię,
Że znosisz samochęący dziwactwa szalone,
Którymi zawsze krzywdzi i siebie i żonę.

KLARA. Ależ dobry mój bracie, krzywdzić mię nie mogą,
Gdy mi dowodzą razem, jak mu jestem drogą.

CZESŁAW. Piękny dowód miłości, nieufność bez miary!
Marek, choć sam uczciwy, w nikim nie ma wiary:
Myśli, że on jedynie wszystko w korbach trzyma,
Że wszystko w niwecz idzie, gdy go w domu niéma;
Że już od sług, przyjaciół, od ciebie zdradzony,
Że handel jego upadł, majątek strwoniony.
Dlatego z swoich podróży nigdy nie powróci,
Aż cię wprzód swém śledztwem znudzi i zasmuci;
I wytarte szpiegostwa przywdziewając stroje,
Coraz innym oznacza niebytrości swoje.

KLARA. Prawda, lecz czyż nie lepiej, gdy się zdrady boi,
Że zamiast utajenia — bojaźń zaspokoi?

CZESŁAW. Nie, nie, to ustać musi; moje z nim poznanie
Dla ciebie i dla niego korzystném zostanie.
Bo cóż może wyrównać przyjemnej godzinie,
Gdy się z dłuższej podróży zbliżamy rodzinie.
Z każdym obrotem koła niecierpliwość rośnie,
Dreszcz nas przebiega, serce uderza radośnie,
Ledwie zoczne przedmioty wzrok łatwo poznaje,
A cóż, gdy się już w kole ukończonych staje?
Ten pierwszy luby zamęt, wzajemne witanie,
Łzy, śmiech, bez odpowiedzi tysiączne pytanie,
Gwar, krzyk, hałas, psów nawet z wrzaskiem skoków krocie,
Wszystko, wszystko rozkoszą przy szczęsnym powrocie.

- Broń Boże!
- KASPER. Nikt z domowych nie poznał.
- MAREK. I poznać nie może.
- KASPER. I żona mnie nie pozna.
- MAREK. Gdzie tam jęć pan w głowie! (*śmieje się*)
- KASPER. Głupiś! (*Kasper się kłania*)
- MAREK. W jęć głowie jestem — lecz jak się nie dowie,
To i widzięć nie będzie...
- KASPER. Że to pan w mundurze...
Jak i Bartosz — nie poznać pana temu rurze!
Oczy wytrzeszczał, (*śmieje się*) śmiał się i wejścia nam
bronił. (*śmieje się*)
A pan jak go pełnie! gdzieś w brzuch, (*śmieje się*) aż się
nam pokłonił.
- MAREK. Godny officer.
- KASPER. Bartosz?
- MAREK. Głupiś!
- KASPER. Wiem, wiem, panic:
Ten, co z nami nocował.
- MAREK. Jużci — jego zdanie
Wiele mię oświciło; jego mądra rada
Ułożyła plan cały.
- KASPER. Hm! rozum nielada!
- MAREK. Widział, zem niespokojny, jak każdy mąż bywa,
Ktoremu już za domem drugi rok upływa,
A w domu młoda żona na boskięć opiece.
- KASPER. Jak moja Marta, prawda?
- MAREK. I choć jak ptak lecę,
By zawsze wpaść znienacka, wszystko nic nie znaczy,
Bo zawsze zły duch jakiś usłyszcy, zobaczy;
A jeżeli zajądę skrycie do sąsiada,
Ktoś, gdzieś, jakoś, przed żoną zawsze się wygada.
Raz byłem i śmierć własną ogłosił listami,
Ale w łeb dostał guza słuchając pod drzwiami:
Drzwi pękły, pies zaszczekał, żona nie czytała.
I tak spęćzła dorazu tajemnica cały.
Teraz za tym powrotem conceptu nie stało,
Jakby zręcznie wysłedzić, co się w domu działo,
Aż mnie ów godny człowiek swoją radą wspiera:
Daje swój własny pasport, w swój mundur ubiera,
I ze mnie, Marka Zięby, kupca...
- KASPER. Takie lichol! (*śmieje się*)
- MAREK. Kasprze, kiedy pan gada, należy być cicho. —

Jadę, wjeżdżam do miasta, u rogatki stoję,
 Jako Jan Rembosz, były rotmistrz, podpisuję,
 Jan Rembosz, pisze strażnik, co mię zna oddawna.

KASPER. Ten, ten z nosem na bakier?... *(śmiejąc się)*

MAREK. I co rzecz zabawna,

Żołnierz przede mną: trafi trafi!

KASPER *(śmieje się)*. Jak przed jenerałem.

Co tu śmiechu, gwałt! *(śmieje się)*

MAREK. Słowem, tyle dokazałem,

Że nikt mnie nie zna w mieście, nikt mnie nie zna w domu...

Ale słuchajno, Kasprze: jak ty powiesz komu?

KASPER. O! czy ja lada głupiec?

Może tylko żonie?

MAREK. A fe!

KASPER. Któż jestem?

MAREK. Marek Zięba.

MAREK. Kto, gawronie?

KASPER. Nie... Rembosz, Marek Rembosz.

MAREK *(biorąc go za ucho)*. Marek?

KASPER. Jan, Jan, panie.

MAREK. Proszę cię więc, pamiętaj.

KASPER *(macając się za ucho)*. Już, już tak się stanie,

Jak pańska prośba każe.

MAREK. Żeby cię kto dręczył

Prośbą, groźbą, kulakiem, żeby i umęczył,

Żebym ja sam rozkazał, chciał nawet przymusić:

Nie powiesz, kto ja jestem?

KASPER. Wolę się zakrzusić,

Wolę się...

MAREK. Koniec końców, nie gadając wiele,

Jak powiesz, żem ja jest ja, to ja ci w łeb strzelę.

KASPER. A ja, ja?

MAREK. Jaktó jaja?

KASPER. Co też to pan plecie!

MAREK *(w złości)*.

Pleć, pleć?

KASPER. A juźci.

MAREK. Chcesz ty wziąć po grzbiecie?

KASPER. Nie chcę.

MAREK. Cóż chcesz?

KASPER. Ja, czy ja, czy nie ja?

MAREK. Żle w głowie!

Będziesz sługą rotmistrza. Jak się tamten zowie?

- KASPER. Kasper także, jak i ja. Może jaki krewny.
 MAREK. Nazwij się zatem Kasprem; będę nawet pewny
 Ze myłki...
- KASPER. Cóżbo pan drwi! czy rozum straciłem!
 Jak tylko zapamiętam, to już Kasprem byłem.
 Nacóż mam się nazywać?
- MAREK. Gadaj tu rozumnie,
 A głupi głupim. (*Kasper kłania się*)
 Kasprem jesteś, Kasprem u mnie,
 Ale nie tantym Kasprem, co się Kasprem zowie.
- KASPER. Już, już wiem to, wiem — mądrój głowie dość na słowie.
 MAREK. Słuchaj: czy wszystko dobrze? (*obracając się przed nim*)
 Mina? — co? — wojskowa? —
- KASPER. Jak Holofernes jaki!
- MAREK. Wzrok?
- KASPER. Jak dzika!
- MAREK. Mowa?
- KASPER. Jak grzmoty! aż strach.
- MAREK. Wąsy?
- KASPER. Jak pańskie rodzone!
- MAREK. Peruka?
- KASPER. Jak przykuta!
- MAREK. Teraz moję żonę
 Wypróbuję dokładnie; ale biada! biada!

SCENA IV.

MAREK, KASPER, MARTA.

- KASPER (*ciągnąc za pole Marka*).
 Pst! — paniel! — Marta.
- MAREK (*do Marty*). Panno...
- KASPER (*na stronie do Marka*). Panno! co pan gada?
 To moja żona.
- MAREK. Cicho!
- KASPER (*jak wprzód*). Muszę przecie wiedzieć.
- MAREK (*do ucha Kasprowi*).
 Cicho, bo jak cię trzasnę!... (*do Marty*) Pani chciej powie-
 że rotmistrz Rembosz tu jest, i prosi na chwilę. [dzieć,
- MARTA (*wstrzymując się od śmiechu*).
 Rembosz? — Rotmistrz?
- MAREK. Tak.
- MARTA. A ten?

MAREK.
MARTA.

Luzak.
Tylko tyle!

(śmiejąc się odchodzi)

SCENA V.

MAREK, KASPER

KASPER *(zadziwiony)*.
Śmieje się.

MAREK.
KASPER. Śmieje.

Ale z czego?

MAREK. Z ciebie może.

KASPER. Kiedy nie wie, żem ja mąż? *(po krótkim namyśleniu)*

A ja się założę,

Żem jęj wpadł w oko; otóż z podróz zysk w tój dobie:

Człowiek własną małżonkę zbałamuci sobie!

MAREK. Co to za rozkosz, Kasprze, jak dyabeł kulawy...

KASPER. Kulawy? *(śmieje się)*

MAREK. W domu własnym widziéć wszelkie sprawy.

SCENA VI.

KLARA, MAREK, KASPER.

KASPER *(ciągnąc za połę)*.
Pst! panie! pani.

MAREK. Cicho!

KLARA. Pan rotmistrz, jak wnoszę,

(Kasper śmieje się pomimo znaków swego pana)

Chce mówić z moim mężem. *(Kasper śmieje się)*

MAREK *(cicho do Kaspra wykręcając mu rękę)*.

Kasprze, póki proszę.

(do Klary)

Tak, z mężem.

KLARA. Niech pan siada.

(siadają, Kasper staje za krzestem Marka)

Męża w domu niéma.

MAREK. Wiem.

KLARA. Ale wkrótce będzie.

KASPER. *(nie mogąc dłużej wytrzymać, parska śmiechem)*.

Kaduk tu wytrzyma.

MAREK *(do Klary)*.

Za pozwoleniem.

(wstaje, bierze Kaspra za kołnierz i za drzwi wyprowadza;

Kasper wkrótce wraca cicho i staje za krzesłem, zatykając sobie gębę, aby się nie śmiał (siadając).

Słucham.

KLARA.

Mój mąż...

MAREK (do siebie).

Hultaj!

KLARA.

Pewnie...

MAREK (do siebie).

Czekaj!

KLARA

Panu...

MAREK (do siebie).

Za twój śmiech zapłaczesz mi rzewnie.

KLARA.

Jest znany?

MAREK.

Pan Zięba?

KLARA.

Tak.

MAREK.

Od kolebki prawie;

Dlatego w jego domu czas jakiś zabawię...

Jeśli pani pozwoli?

KLARA.

Bądź pan jak u siebie.

(*Kasper obiema rękami gębę sobie zatyka*).

MAREK.

Zaczekam tu dni parę.

KLARA.

I tydzień w potrzebie.

MAREK.

Mam w sądzie ważną sprawę a nie znam nikogo,
Rady więc pana Zięby wiele mi pomogą.

(*po krótkim milczeniu*).

Dobry to człowiek!

KLARA.

Mój mąż?

MAREK.

Co, niedobry może?

KLARA.

O, i owszem, i owszem, sto razy powtórzę.

MAREK.

Kochasz go zatem?... Pani... żyjesz z nim szczęśliwie?

KLARA.

I nad tém zapytaniem niemało się dziwię:

Grzeczności i rozsądku niewiele dowodzi,
Kto wstępny prawie bojem w cudze sprawy wchodzi.

Jednak nie mam potrzeby postępować skrycie;

Tak jest, mój mąż stara się upiększyć mi życie.

Zbyt pewny, że w małżeństwie miłość bez ufności

Jest tylko źródłem trwogi, niesnasek, zazdrości,

Na zobopólnej wierze, tej stałej zasadzie,
Pokój domu i szczęście nas obojga kładzie.

I słusznie, bo któż może taką miłość cenić,

Któręj strzeżeniem tylko wzbrania się odmienić?

Któż znać jaką osobę przyjacielem może,

Gdy się lęka jej zdrady w każdej życia porze?

Mój mąż nie szuka chluby w tym przykrym sposobie,

Co każdy dobry skutek przypisuje sobie.

Bo cóż boleśniejszego może być dla żony,
 Jak słyszeć, że jęj enota, honor nieskażony,
 Dobroć, cierpliwość nawet, co tyle zwycięża,
 Są tylko dzielnemu często najgłupszego męża?
 Do własnej więc wartości żona nie ma prawa. (*ironicznie*)
 Gdyby nie mąż, jęj działem byłaby niesława.

MAREK. Łatwo obojętnemu rozprawiać w tęg mierze,
 Ale to strzeżonego, mówią, Pan Bóg strzeże.

KLARA. Ach, potrafi oszukać, kto szukać żąda;
 A zwykle mało widzi, kto we wszystko wgląda.

MAREK. Ale mniej jeszcze widzi, kto oczy zamyka.

KLARA. Tych dwóch ostateczności pan Zięba unika.
 (*Kasper wstrzymuje się od śmiechu*).

MAREK. Pan Zięba ma więc rozum?

KLARA.

I rzadkie przymioty:

Dzieli ze mną jak radość, tak równie zgryzoty,
 Ale nie są mi znane te kwaśne humory,
 Te dasy mężów, gorsze niż najzwawsze spory,
 Które chcąc przerwać, trzeba wprzód myśleć godzinę,
 Nim się trafem nareszcie odgadnie przyczynę.
 I często się wydarza, że za głupstwo slugi,
 Za to, że jeden zblądził, albo pił się drugi,
 Za to nawet, że słoła i snopki zmoczone,
 Mąż, nie mając na kogo, dąsa się na żonę.
 Ale i zrzędnosć także równie przykra wada,
 Mój mąż nigdy nie zrzędzi.

(*Kasper parska śmiechem w ucho swemu panu*).

KASPER (*śmiejąc się*).

Co też pani gada!...

MAREK (*zrywając się*).

Precz, lotrze!

KASPER. Ani pisać.

MAREK (*chwyając go za kołnierz*). Precz!

KASPER (*chcąc się wyrwać*).

Już się nie śmieję.

SCENA VII.

KLARA, MAREK, KASPER, CZESŁAW.

(*Marek trzymając Kasptra za kołnierz, zostaje w tęg pozycyi — trochę przy stronie. Obydwa nie spuszczaają oka z Czesława, który nie widząc ich niby i do Klary wciąż mówiąc, po przed nich chodzi*).

·CZESŁAW. A niech też kaci porwą! co się tutaj dzieje!

Człowiek z domu, szkoda w dom. (*rzucając kapelusze o stół*)

Wszystko przewrócone!

Nigdzie rządu i ładu, każdy w swoją stronę,
A żeby jedna dobra dusza się ocknęła,
Tu, ówdzie jakoś przecie czasami wglądnęła!
Gdzie tylko sam nie zajrzysz, tam się dyabeł gnieździ!

MAREK (*puszczając kołnierz*).

Już i po całym domu, jak uważam, jeździ.

CZESŁAW. Dozorca chrapie w cieniu, słoneczko go razi:
Gieśła ciupie jak przez sen, stolarz jak ćma łązi;
Pan mularz gdzieś na szynku półgarncówkę doi,
A stajnia dotąd jeszcze nieskończona stoi.
I tę ścianę miał wybić, powyglądać wszędzie:
Karnawał dalej przyjdzie, a sali nie będzie.

MAREK (*nie spuszczając oka z Czesława*).

(*na stronie mówi z Kasprem aż do końca sceny*).

Kasprze, co to jest?

KASPER.

Surdut pański.

MAREK (*coraz trwożliwiej*).

Kasprze!

KASPER.

Panie?

MAREK. Co to jest?

KASPER.

Krymka pańska.

CZESŁAW.

Czy boskie skaranie!

Nikt nigdy nie zrozumie, choć powiem wyraźnie:
Kazałem sad tam wyciąć, gdzie mają być łaźnie,
A oni w prawo, w lewo ciąli dla uciechy,
Tak, że zostały tylko płonki i orzechy.

KASPER (*ciągnąc za połę*).

Panie, to pańska laska, znam ja ją niemało.

MAREK.

Kasprze!

KASPER.

He?

MAREK.

Kasprze!

KASPER.

Panie?

MAREK.

Co się tutaj stało?

Mnie coś mdło koło serca.

KASPER.

Głowę panu ścisnę.

MAREK.

Glupiś! (*Kasper śmieje się*) Nie śmiěj się.

KASPER.

Dobrze.

MAREK.

Cicho!

KASPER.

Ani pisnę.

CZESŁAW.

Wczoraj przecie przedałem folwark za mogiłą.

MAREK.

Ach!

(*wsparty na Kasprze zostaje w osłupieniu aż do końca sceny*).

CZESŁAW.

Wprawdzie za pół darmo, leez cóż robić było?

Raz się przecie przekłete długi zaspokoi;
 Chodźmy wszystko obliczyć, a czy się co skroi!
 KLARA. Lepiej byłoby może...
 CZESŁAW. Może czy nie może,
 Stało się, co się stało. — Dyabeł nie pomoże!
(odchodzą do pokoju po prawej stronie).

SCENA VIII.

MAREK, KASPER.

MAREK *(po długim milczeniu)*.
 Ha! słyszałeś?

Słyszałem.

KASPER.

Widziałeś?

MAREK.

Widziałem.

KASPER.

MAREK. Zatem folwark?...

KASPER.

Sprzedany

MAREK.

I ja, ja milezałem!

Mogłem słuchać wszystkiego i dotąd tu stoję!
 Stajnia, sala, sad, folwark .. jeszcze żonę moję...

*(chce drzwi otworzyć).*Zamknięto. *(puka)* Hej! mospanie! do dyabła, mospanie!Nie słyszy. *(ironicznie)* Ogłuchł biedny. *(puka)* Daremnie

pukanie,

Na co ma słyszeć? albo mu źle!... *(puka z największą złością)*

Hej! do kata!

Ale cicho, czas zawsze ulowić pralata;

A jeszcze czego więcej dowiemy się może.

(Kasper, który stał zamysłony, zaczyna śmiać się nagle).

A to co?

KASPER *(śmiejąc się)*. Ale.. proszę. . bo to .. o mój Boże! ..

Kubek w kubek pan a pan ten jegomość nowy:

Tak chodzi, zrędzi, laje i grzmocić gotowy.

MAREK *(chwytając za piersi)*.

Śmiejesz się?

KASPER.

Ani pisnę. — Jednak powiem szczerze,

Że który z panów mój pan, sam sobie nie wierzę,

I nie przysięglbym teraz za nic na tym świecie.

MAREK.

Wiem ja, wiem, jakiś mądry, poznasz ty mnie przecie.

KASPER.

Lecz pan nie wie, iż tego, co się wyrzekł siebie,

Každy, kto chce, figurę może wziąć w potrzebie.

MAREK.

O.. o.. o.. co za żarty!

KASPER.

Czas na żarty właśnie!

- MAREK. Skądże ty to wiesz? gadaj (*z przymuszonym śmiechem*)
Ale to są baśnie.
- KASPER. Mnie jeden kuchta w Gdańsku, człowiek godzien wiary,
Kłął się, że mu powiadał jeden mularz stary...

SCENA IX.

MAREK, KASPER, ŁAPKA.

ŁAPKA (*powoli się usuwając*).

Nóżki pańskie całuję, sługa uniżony.
Przecie też pan zawitał, zawitał w te strony;
Nie mam szczęścia być znany, ja to wiem, ja to wiem.
Mój braciszek, to ale.

MAREK.

Kto? — Jak?

ŁAPKA.

Zaraz powiem.

Wszak jegomość pan Rembosz ze mną mówić raczy?
Hm? — A, tak.

MAREK.

Jan?

ŁAPKA.

Hm?—A Jan.

MAREK.

Rotmistrz?

ŁAPKA.

Nieinaczej.

MAREK.

ŁAPKA.

Mam tu jego rewersik, rewersik maleńki.

MAREK.

Mój? Czyś waćpan szalony?

ŁAPKA (*odsuwając się pokazując*).

Podpis jego ręki.

W Poznaniu mój braciszek, pan Łapka Gierwazy,
Dał panu po sto czątych...

MAREK.

Sto czątych!

ŁAPKA.

Trzy razy.

MAREK.

Trzy razy! mnie?

ŁAPKA.

A zatém rzecz jasna i czysta,

Że zapłacisz laskawie dukacików trzysta.

MAREK.

Ja, ja?

ŁAPKA.

Pan, pan.

MAREK.

A! już wiem—nie moje to długi.

(odprowadzając go na stronę).

Słuchaj mnie panie... panie...

ŁAPKA.

Łapka na usługi.

MAREK.

Panie Łapka: mieć trzysta dukatów to ładnie,
Żeś więc człowiek uczciwy, poznaję dokładnie;
Dam ci...

ŁAPKA.

Czy tylko ważne?

MAREK.

Najważniejszy w świecie

Dam ci dowód ufności—wyznam ci w sekrecie:

(odprowadzając go jeszcze dalej—Kasper za niemi postępuje).

Ja nie jestem Remboszem.

ŁAPKA (*ironicznie*).

Tak?

MAREK (*oglądając się*).

W pewnym zamiarze

Przybrałem to nazwisko.

ŁAPKA.

A roztropność każe

Odmienić je naprędce.

MAREK.

Pst!

KASPER.

Pst.

MAREK.

Ciszéj gadaj.

Zrobiłem ci zwierzenie, przyczyny nie badaj,

I ruszaj sobie teraz, bo możesz przeszkodzić.

ŁAPKA.

Doprawdy?

MAREK.

Już tu nie masz po co i przychodzić.

ŁAPKA.

Nie Rembosz?...

MAREK.

Ciszéj!

KASPER.

Ciszéj.

ŁAPKA.

Jesteś...

MAREK.

Ani słowa!

KASPER. Ani mrumru.

MAREK (*odprowadzając w drugą stronę, Kasper za niemi postępuje*).

Słyszą nas. — Chcesz, napisz do Lwowa,

Rotmistrz, jak list odbierze, zapłaci do grosza;

A teraz idź i rozgłoś, żeś widział Rembosza.

(Łapka śmiać się zaczyna, Kasper, z razu zadziwiony, śmieje się potem z nim razem).

Czegoż się waćpan śmiejesz?

(*w złości do Kaspra*) A ciebie co śmieszy?

ŁAPKA.

Z konceptu swego pana wraz ze mną się ciesz.

Za kogożto mnie pan masz? — Czy ja nie mam głowy,

Abym się szczerze nie śmiał z téj wykrętnéj mowy?

Ja krok w krok za nim pędzę z samego Poznania.

MAREK.

Ja w Poznaniu nie byłem.

ŁAPKA.

Dość tego gadania.

MAREK.

Kiedy mówię, że zamiar.

ŁAPKA.

Kto się o to pyta?

To jest rewers waćpana, zapłacisz i kwita.

MAREK.

Nie zapłacę.

ŁAPKA.

Zapłacisz

MAREK.

Idź do dybła!

ŁAPKA.

Fraszka!

MAREK.

Precz!

ŁAPKA.

Zapłać.

- MAREK. Precz!
- KASPER. Precz!
- ŁAPKA. Pójdę, jak oskubię ptaszka.
- MAREK. Idźże, idź, pókiś cały, jeszcze raz ci mówię;
Szukaj sobie Rembosza, ja się Zięba zowię.
- ŁAPKA. Zięba czy szechygieł, jesteś, ptaszku, w mojej klatce.
Widziałem pasport, świeżo, zaraz na rogatce;
Próżny więc wykret, zapłać — niech czasu nie tracę.
- MAREK. A, tego nadto! — zaraz ja ci tu zapłacę.
Kasprze! strąć go ze schodów!
- ŁAPKA. Mam dekret w kieszeni.
- MAREK. Kasprze! precz z nim! *(odchodzi do pokoju po lewej stronie)*.
- ŁAPKA. Poczekaj! koza cię odmieni!
(szamotając się z Kasprem wychodzą — słychać upadnięcie za drzwiami).

SCENA X.

- KASPER. *(wchodzi, kołnierz podniesiony, peruka przekrzywiona i najeżona) (poprawiając i ocierając suknie)*.
Dyabeł, nie Łapka! — O fe! — A bodajże zginął! —
(śmiejąc się) Ja chciałem nim zawinąć, a on mną zawinął.
Ledwie drzwi łbem nie wybił, a tęgom się zaparł.
(pokazując) Ja tak — on siak — jak go pchnę! — ażem nogi zadarł.
Ktoby się był spodziewał, że wędzonka taka ..
Tfy! i jeszcze mi za kark dołożył kułaka.
Ale też co tchórz to tchórz! jak dotąd nie było: *(śmieje się)*.
Drapał przez cztery schody, aż się zakurzyło! *(śmieje się)*.

SCENA XI.

KASPER, MARTA.

- KASPER *(na stronie)*.
Ha! Marta; muszę także zrzęcznie ją wybadać.
Marto! kochasz ty męża?
- MARTA. Ach! na cóż mam gadać
O tém, co kiedyś było.
- KASPER. Było? nie jest zatem?
- MARTA. Jak ma być, kiedy mój mąż rozstał się z tym światem.
- KASPER. Co, co? Kasper Dzbankiewicz?
- MARTA. Nie żyje! nie żyje!
- KASPER. Ej fe, fe! .. co to gadać. *(na stronie)* Jak mi serce bije!
*(po krótkim namyśleniu zaczyna się śmiać i coraz mocniej za każdą
odpowiedzią Marty)*.

- To ktoś skłamał! Ależto skłamał jak należy.
 MARTA. Ach, nie!
 KASPER. Nie skłamał?
 MARTA. Ach, nie!
 KASPER. Ona temu wierzy!
 MARTA. I tyle cierpiał!
 KASPER. Cierpiał?
 MARTA. Nie za swoją winę.
 KASPER. Umarł więc?
 MARTA. Umarł.
 KASPER. Kasper?
 MARTA. Kasper.
 KASPER (*trzymając się za boki i zachodząc się od śmiechu*).
 (*siadając i coraz słabszym głosem*). Aj!... strach!... zginę!...
 Oj! kolki!... och... och... gwałtu!
 MARTA. Wszak byłam w téj chwili,
 Widziałam. (*placze*).
 KASPER (*drwiąc*). Cóż widziałas?
 MARTA. Jak go powiesili.
 KASPER (*zrywając się*). O, o!, fe, fe! złe żarty, fe, fe! brzydkie żarty;
 Z tém nie trzeba żartować.
 MARTA. W oczach swojej Marty
 Biedny życie zakończył:
 (*Marta płacząc mówi dalej, Kasper rozczuła się powoli*).
 Bywaj zdrowa, żono,
 Mówił. — Bądź, zdrów, ja rzekłam — potem go... złożono...
 W ziemię .. (*szlochając*) głęboko...
 KASPER (*w głos płacząc*). Biedny! (*po krótkim czasie śmiejąc się*).
 A czego ja płacę?
 I mądry czasem głupi; (*na stronie*) lecz teraz zobaczę,
 Czy mnie żona kochała (*do Marty*). Cyt, nie płacz, kochanie,
 Pociesz się, wszakże twój mąż kiedyś zmartwychwstanie.
 Co to za dusza była!
 MARTA.
 KASPER. Ja wiem, takich mało.
 MARTA. Nigdy mędrceem być nie chciałem...
 KASPER. Dobrze ci się działo.
 MARTA. Żał mi go niewymownie.
 KASPER. Bóg ci to nagrodzi.
 Żał twój straszny, okropny okrutnie dowodzi,
 Że i byłaś i jesteś dobrą białogłową;
 Słuchaj mię zatem Kaspra Dzbankiewicza wdowo:
 Ja się z tobą ożenię.
 MARTA. Niemożna.

- KASPER (*z ukontentowaniem*). A czemu?
 MARTA. Bom już serce i rękę przyrzekła innemu.
 KASPER. Komu? Niegodna!
 MARTA. Bratu Błażeja mielnika.
 KASPER. Kiedy?
 MARTA. Jeszcze za życia męża nieboszczyka.
 KASPER. A fe! — I kochasz?
 MARTA. Kocham.
 KASPER. Kochałaś?
 MARTA. Kochałam.
 KASPER. Zatem Kaspra zwodziłaś?
 MARTA. Ach, cóż robić miałam!
 KASPER (*w złości*). Marto!
 MARTA. Lecz wybacz waćpan, oddalić się muszę.
 KASPER. Czekał!
 MARTA (*wybiegając*). Adje.
 KASPER. Niewierna, rozszarpie, uduszę!
 (*biegnie za nią — Major go zatrzymuje we drzwiach*).

SCENA XII.

MAJOR, KASPER.

- MAJOR. Jest pan?
 KASPER (*chcąc odejść*). Jest.
 MAJOR. Gdzie?
 KASPER. Tu.
 MAJOR. Gdzie?
 KASPER (*chcąc odejść*). Tam.
 MAJOR. Proś go do mnie.
 KASPER (*obracając się*). Panie!
 MAJOR (*potrącając go*). Idź, nie krzycz.
 KASPER (*chcąc odejść*). Nie mam czasu.
 MAJOR (*pchnąwszy ku drzwiom*). Ruszajże, bałwanie!
 KASPER. Idę, idę. — A to co! — Czego się pan złości?
 (*odchodząc*). To znowuż jakaś łapka; dopókiż tych gości!

SCENA III.

MAJOR (*dobywa list i czyta*).

Jan Rembosz, lat trzydzieści, mężny i wysoki,
 Włos jasny, nos zadarty, czasem jednooki,

Jak mu tego potrzeba; często mundur nosi
Naszego pułku, zatém, pułkownik cię prosi....

SCENA XIV.

MAJOR, MAREK, KASPER.

MAJOR (*na stronie*).

To nie on — cóż to znaczy? Inna postać cała.
Przebacz, panie kolego, omyłka się stała.
Jestem major Sławnicki; mieszkam w tym powiecie,
I choć ze służbym wyszedł, zawszem żołnierz przecie.
Wczoraj dostałem opis pewnego szulera,
Który się w mundur pułku bezwstydnie ubiera,
Pułku, gdzieś nigdy służył, a którego sława
Dotąd do méj opieki nie straciła prawa.
Wszakże i za powinność obaj pewnie mamy,
Znaków naszój zasługi strzedz od wszelkiej plamy.
(*Marek coraz mocniej zmieszany*).

Dziś więc zdala zoczywszy jakeś tu z nim wchodził,
Rzekłem: może przypadek prędko mi wygodził,
I kto wie, może ten łotr w moje ręce wpada;
Idę, pytam, i proszę — każdy mi powiada,
Że w samój rzeczy Rembosz, ów hultaj, przybywa.

KASPER. Co? Rembosz, Jan? to mój pan! pan tak się nazywa.
Rotmistrz, jedzie z Poznania ..

MAREK (*na stronie do Kaspra*). Bodajżeś skamieniał!
Bodajżeś pękł dwa razy!

KASPER. Za to, żem wymieniał ..

MAREK. Cicho, Kasprze przeklęty!

KASPER. Ale cóż ja robię?...

MAREK. Idź, Kasprze, mój Kasperku, proszę cię, idź sobie,
Bo ci zęby wybiję.

KASPER (*wzruszając ramionami*). Idę, pójdę, idę (*odchodzi*).

SCENA XV.

MAJOR, MAREK.

MAJOR. Cóż to?

MAREK. Nie, nie, to nie tak. (*na stronie*). Mamże nową biędę!

MAJOR. Jednak?

MAREK. Kasprze przeklęty!

- MAJOR. Mospanie do rzeczy:
Kto jesteś?
- MAREK. Kto? — Nie Rembosz.
- MAJOR. Hm! Kto jedno przeczy,
Drugie miewa nazwisko; zatém jak się zowiesz?
- MAREK. Nie nikomu do tego
- MAJOR. Ale przecie powiesz,
Oficerem czy jesteś?
- MAREK. Nie jestem, broń Boże!
- MAJOR. A mundur, bratku, nosisz?
- MAREK. Pojutrze go złożę.
- MAJOR. Wiesz, że to kulkę ściągą?
- MAREK. Od kogo?
- MAJOR. Ode mnie.
- MAREK. Bywaj zdrów.
- MAJOR. Wyzywam cię.
- MAREK. Wyzywasz daremnie.
- MAJOR. Nie wyjdiesz?
- MAREK. O, nie wyjdę.
- MAJOR. Przymuszę w potrzebie.
- MAREK. Bajki!
- MAJOR. Na honor, prawda.
- MAREK. Zamknę się u siebie:
Nie najdziesz w domu własnym, drzwi mi nie wybijesz.
- MAJOR. Ale u drzwi zaczekam, nigdzie się nie skryjesz,
Wszędzie ścigać cię będę.
- MAREK. Ścigaj sobie wszędzie;
Marek Zięba nie głupi, strzelać się nie będzie. (*odchodzi*).

SCENA XVI.

MAJOR, CZESŁAW.

- MAJOR. Co? Zięba? jakiś kupiec....
- CZESŁAW. (*wchodząc*). Jak się masz, majorze?
- MAJOR. A, Czesław! cóż tu robisz i w takim ubiorze?
- CZESŁAW. Gram komedią.
- MAJOR. Bravo!
- CZESŁAW. I ty także z nami.
- MAJOR. Jakto?
- CZESŁAW. Wszystko objaśnię kilkoma słowami,
Ale nie teraz; musisz, by skończyć dokładnie,
Zaraz stąd odejść

MAJOR . Dobrze, lecz jak się wykradnie
 Ów panicz?
 CZESŁAW. Dzisiaj jeszcze sam ci go przystawię.
 MAJOR. Bo jednak...
 CZESŁAW. Bądź spokojny, ufaj mi w tej sprawie:
 Będziesz śmiał się wraz ze mną.
 MAJOR (*odchodząc*). No, do zobaczenia.
 CZESŁAW. Do zobaczenia wkrótce.

SCENA XVII.

CZESŁAW, KLARA.

(Klara weszła przy końcu sceny i stała przy drzwiach).

CZESŁAW. Wyborne zdarzenia!
 Major i Łapka przyszli jak z namowy właśnie.
 KLARA. Ale za Łapką poślij.
 CZESŁAW. Oho! ten nie zaśnie,
 Będzie on tu niebawem.
 KLARA. Kończmy więc te żarty.
 CZESŁAW. O, chce, nie chce, grać musi, kto już rozdał karty;
 Zatem gdyśmy zaczęli, kończmyże roztropnie,
 Inaczej wszystko na nic, a on swego dopnie.
 Powie, że w samej rzeczy chciano mu się rządzić,
 I jak błędził dotychczas, będzie znowu błędzić.
 Nie, nie, nie, tak jak układ, działajmy powoli,
 Czekałmy, niech on wprzódzy rzeknie się swęj roli.
 KLARA. Chodźmy, chodźmy do niego.
 CZESŁAW. Stąd chodźmy, to lepiej;
 Niech nas pan rotmistrz szuka, niech nas sam zaczepi.
(odchodzi).

SCENA XVIII.

MAREK.

Już go niema — złem zrobił — wszystko złe z nazwiska.
 Trzeba było się zgodzić — sprawa dyable ślizka.
 Wyzwał mię — może zabić, nikt mu nie powie,
 Wyzwał mię — wolno strzelać — dyabeł nie śpi, kto wie,
 Jeszcze gotów z za płota gdzie do mnie wywalić.
(po krótkim milczeniu).
 A do kroć sto tysięcy!... chciałbym dom zapalić.

Dom spalić, sam się spalić, wszystko spalić wkoło!...
 I żona... gdzie?... I ten lotr... o miedziane czoło!
 W moim domu... lecz gdzie są?... Co, co on tu robi?
 Co robi? — łatwo zgadnąć: domi mi niby zdołi.
 Dośe tego, dalej. (*idzie i wraca*). Ale już wytrwałem tyle,
 Będę jeszcze cierpliwym i zaczekam chwilę.
 (*siada w środku*).

SCENA XIX.

MARTA, KASPER.

KASPER. A fe, fe! — O, to brzydko! — To obelgą pachnie.
 MAREK. Cóż ci to?

KASPER. Bartosz wziął kij, i fiu, fiu, jak machnie!
 Uderzył mię tu, w plecy, raz po raz, trzy razy.
 Ja drugi raz nie zniósę podobnej urazy,
 Ja wcześniej zapowiadam jasno i dobitnie,
 Ja mu co powiem, jak mi jeszcze raz tak przytnie.
 MAREK. Zacóż cię tak pomacał?

KASPER. Piękną mi macanka!
 Za to, że moja żona ma sobie kochanka,
 I miała nawet jeszcze za mojego życia.
 Nie mogłem więc z krwią zimną znieść tego odkrycia,
 Chciałem trochę nastraszyć moją panią Martę,
 Aż ten Bartosisko, ten!... bo to dyabła warte!
 To! do niczego! niewiem naco to pan trzyma,
 Nuż do mnie. „Nikt tu, wrzaśnie, do nięj prawa niema.
 Ja z Kaspresem nieboszczykiem żyłem jak brat z bratem,
 Kto więc wdowie dokucza, może dostać batem”.
 Może! — i łup cup, o tu. — Z tego więc wynika,
 Że wybił mnie żywego za mnie nieboszczyka.
 MAREK. Kasprze! czyś ty oszalał?

KASPER. Zapewne! szalony!
 Nie wiem, jak pan zaśpiewa, jak mu koło żony...

MAREK (*zrywając się*). Co! — prędko, pukaj we drzwi, wal, bij, tłucz co siły.
 Koło żony... A walże! — choćby drzwi puściły.

CZESŁAW (*za drzwiami*). Kto tam?

KASPER (*powtarzając panu*). Kto tam.

MAREK (*chodzi dużym krokiem i dyktuje Kasprowi*).

Otworzyć.

KASPER (*do drzwi*). Otworzyć.
 (*milczenie*).

MAREK. Cóż!

KASPER (*posłuchawszy*). Cicho.
 (*nastuchując*).
 Szepczą.

MAREK. Szepczą? A walże! (*Kasper puka co siły!*)
 CZESŁAW (*za drzwiami*). A cóż tam za licho?

KASPER (*powtarzając*).
 A cóż tam za licho.

MAREK. Ja.

KASPER (*do drzwi*). Ja.

CZESŁAW (*za drzwiami*). Ciszżej tam, capie!

KASPER (*powtarzając*). Ciszćj, capie.

MAREK. O lotrze! niechno ja cię złapię!
 (*do Kaspra*). Pan rotmistrz Rembosz prosi.

KASPER (*powtarzając do drzwi*). Rotmistrz Rembosz prosi.

CZESŁAW (*za drzwiami*). Zaraz idę.

KASPER (*odskakując*). Już idzie! niech się pan wynosi.

SCENA XX.

MAREK, CZESŁAW, KLARA, KASPER.

CZESŁAW. Ach, wybacz mi, rotmistrzu, moje roztargnienie.
 Witam cię z duszy serca.
 (*bierze go za rękę, którą ten wyrzywa*).
 Lecz miałem zmartwienie,
 Nie spostrzegłem cię pierwój, myśląc o méj stracie.

MAREK. Kto jesteś, kto? kto?

KLARA. Cóż to? czy wy się nie znacie?

MAREK. Wszak pan mówileś, że znasz od kolebki prawie.
 Jego? ja?

CZESŁAW. A tak, w szkołach byliśmy w Warszawie.

MAREK. Ja? z tobą?

CZESŁAW (*chcąc go uściskać, czego ten unika*).
 Jaś ci to mój, Jaś drogi, kochany.
 Aleś mi coś zakaty, Jasiu podszarżany.
 Byłbym cię jednak poznał: ten nos, wzrok — a broda —
 Nieboszczyk sędzia kula w kulę.

MAREK. Czasu szkoda:
 Słuchaj....

- CZESŁAW. Pamiętasz, Jasiu, różne nasze psoty?
Byłto z ciebie trzpiot wielki! hej, hej, wiek to złoty!
- MAREK. Milczże, do stu kaduków! już cierpię czas długi. *(do Klary)*.
Kto to jest?
- KLARA. Mój mąż.
- MAREK *(odskakując)*. Twój?
- KLARA. Mój.
- MAREK. On?
- KLARA. On.
- MAREK. Mąż?
- KLARA. Mąż.
- MAREK. Drugi?
- KLARA. Jednego miałam i mam.
- KASPER *(uderzając w ręce)*. Masz teraz, do kata!
- MAREK. Jednego? nigdyż Zięba nie oglądał świata?
- CZESŁAW. Ja też nim jestem właśnie.
- MAREK *(po krótkim zdziwieniu)*. Kto?
- CZESŁAW. Ja.
- MAREK. Ty? ty?
- CZESŁAW. Ja, ja.
- MAREK. Zięba?
- CZESŁAW. Zięba.
- KASPER. Aj, gwałtu!
- MAREK. Kasprze, weź hultaja,
Uduś go, zabij!
- KASPER *(cofając się)*. Zaraz.
- MAREK *(do Czesława)*. Marek?
- CZESŁAW. Marek, Idzi,
Franciszek Zięba.
- MAREK *(do Kaspra)*. To ja.
- KASPER *(do Czesława)*. Do słowa, Bóg widzi.
- MAREK *(do Czesława)*.
A któż ja jestem?
- CZESŁAW i KLARA. Rembosz.
- KASPER *(śmieje się)*. Toż nam się udało!
- MAREK *(do siebie)*.
Będzie tu zaraz strachu i wstydu nie mało.
Kasprze, odepnij wąsy.
- CZESŁAW *(do Klary na stronie)*. Dobrze mu się dzieje.
- KLARA *(podobnie)*.
Zbyt się dręczy.
- CZESŁAW *(podobnie)*. Tém lepiej.
- MAREK *(na stronie)*. Niewierna struchleje!

(*przystępując do Klary trzymając w rękę*).
Cóż?

KLARA. Wąsy przyprawiane.
MAREK. Nic więcej nie widzisz?
KLARA. Nic.
MAREK. Nie widzisz mnie, męża?
KLARA. Czy waćpan z nas szydzisz?
Oto mój mąż.
KASPER. Żle!
MAREK. Jakto? Ty mnie nie znasz, Klaro?
KLARA. Widzę pierwszy raz w życiu.
MAREK. O, straszna niewiarno!

SCENA XXI.

MAREK, KLARA, CZESŁAW, KASPER, ŁAPKA, URZĘDNIK POLICYI I STRAŻ.

ŁAPKA. Otóż jestem — tu dekret — tu straż — proszę z sobą.
MAREK. Jestem Zięba, nie Rembosz.
ŁAPKA. Zawsze jest osoba,
która wzięła pieniądze i zapłacić musi.
Idziesz?
MAREK. Wprzód cię ta ręka jak węża udusi.
ŁAPKA (*pokazując*). Dekret.

MAREK. Kasprze!
(*Łapka kryje się za urzędnika, Kasper cofa się w przeciwną stronę*).
KASPER. Niegłupim!

MAREK (*do siebie*). Któż mi wytłómaczy,
Co tu się w domu stało? — Co to wszystko znaczy?
(*w ciągu rozmowy Marka z Klarą, Czesław w głębi rozmawia z Łapką i urzędnikiem, którym zdaje się rzecz objaśniać*).
Klaro! przestań udawać; na co to się przyda?
Powiedz im, kto ja jestem, odpraw tego żyda.

KLARA. Mój panie, dość już tego.
MAREK. Przebaczę.
KLARA. Przebaczam.
MAREK. Żono!
KLARA. Skończmy rozmowę, gdzie równie uwłaczam
Sobie, jak i mężowi.

MAREK (*na stronie*). Co się ze mną dzieje!
Czy ja śpię, czy ja czuwam? kto tu z nas szaleje? (*do Klary*)
Klaro, żono! zbierz zmysły, patrz, kto w tej osobie.
Ja jestem Marek, twój mąż — przypomnijże sobie,

Nie pamiętasz? w Lublinie, w dzień świętej Justyny
 Poznałaś mnie na balu — miałem fraczek siny —
 Upadłem z tobą w tańcu, stłukłem ci kolano,
 Potem ci powiedziałem, że jesteś kochaną.
 Nie pamiętasz? — A potem w Łęczny na jarmarku
 Rzekłaś raz pierwszy: Kocham ciebie, miły Marku. —
 A potem, gdy zapowiedź wyszła już trzy razy,
 U ojców kapucynów ojeiec Anastazy
 Skojarzył nas w Lublinie, dnia piątego kwietnia;
 A potem, nie pamiętasz? była to noc letnia ..
 Nie pamiętam i nie znam.

KLARA.
 MAREK.

Tak? dobrze — *(dzwoni)* hej słu-
 [dzy!

(dzwoni)
 Nie znasz, ale mnie poznasz, jak poznają drudzy.

SCENA XXII.

CIŻ SAMI, MAREK, FILIP, BARTOSZ.

(stają w rzędzie po prawej stronie, po lewej Łapka i Czesław, na przodzie Klara z jedną, Kasper z drugiej strony).

MAREK. Moje dzieci! — powiedzcie razem, głośno, jasnie.
 Kto jestem? *(milczenie)* Nie znacie mnie? *(milczenie)*

Niech was piorun trzaśnie!

(czule) Ty Marto, żono Kaspra, którą zawsze lubił,
 Której nie dać nie chciałem, gdy cię mąż zaślubił,
 Którą już raz wypędził uwiedziony plotką;
 Nie znasz mnie? powiedz — nie znasz?

(Marta wzrusza ramionami)

Poczekaj, czeczotko!

(czule) Ty Filipie, którego rzadko minie kara,
 Któremum za karafkę potracił talara,
 Którego nie chcę trzymać, który nie dbasz o to;
 Nie znasz mnie? powiedz — nie znasz?

(Filip wzrusza ramionami).

Poczekaj, niecnoto!

(czule) Ty Bartoszu, którego kij często przemierza,
 Którego co niedziela wsadzam do szpichlerza,
 Który przy bramie stoisz od rana do rana,
 Powiedz, powiedz, Bartosiu, nie znasz twego pana?

(milczenie, Bartosz wzrusza ramionami).

Niewdzięczni! nie znacie mnie! nikt mnie nie zna w domu!
 O chwilo zaślepienia, nieszczęścia i sromu!

(rzuca mundur, perukę i obraca się przed niemi w prawo i lewo).

Teraz? teraz, znacie mnie?
(*milczenie, Marek wybiega na sam przód sceny!*)

Co to jest? o Boże!

(*po krótkim zastanowieniu*).

Kasprze! na tobie Zięba zawieść się nie może.
Kasprze! ty wierny sługo, zawsze przy mym boku,
Co mi strzeżesz szkatulki, sypiasz na łumioku,
Słuchaj, słuchaj mnie, pana: uwalniam od słowa,
Zapomnij, jaka była przeklęta umowa,
Powiedz, tu, jakeś Kasper, jak ci miłe zdrowie,
Ach powiedz, kto ja jestem? jak się twój pan zowie.

(*do wszystkich*) Cicho!

KASPER (*okazawszy, że wie, o co idzie*)

Jan Rembosz, rotmistrz, jedziemy z Poznania

MAREK. O morderco! zabójco! — lecz stój, bez gadania:

Gdzie papiery? gdzie skrzynka?

KASPER (*pokazując ucho żelazne*).

To się z nię zostało.

MAREK. Jak? co?

KASPER.

Siedząc na bryczce, trochę się drzémało,
Wtém słyszę, ktoś przy skrzynce — nie to, dalej chrapię.
Niech kradnie, myślę sobie, na uczynku złapię —
Ba! już ciągnie, a ja łap — on sobie, ja sobie,
Wtém trzask prask, ucho pęka w tak nagłym sposobie,
Że fik! on leżał w jednym, a ja w drugim rowie.
Dwóch nas leżało — on na plecach, ja na głowie.
On się zerwał piorunem, jam się zerwał duchem;
On w nogi, jam został — on ze skrzynką, ja z uchem.

MAREK. Milcz, milcz! (*rzucając się na krzesło na środku stojące*).

Dosyć już tego, niegodziwa gębo!

(*Czesław wszystkich odprawia, potem on z jedną, Klara z drugiej strony Marka stają — Kasper i Marta trochę w głębi przy przeciwnych stronach*).

SCENA XXIII.

MAREK, KLARA, CZESŁAW, KASPER, MARTA.

KLARA. Mój mężu!

MAREK (*w zapomnieniu*). Jestem mężem?

CZESŁAW.

Ziębo!

MAREK (*jak pierwszy*).

Jestem Ziębą?

CZESŁAW. Jesteś.

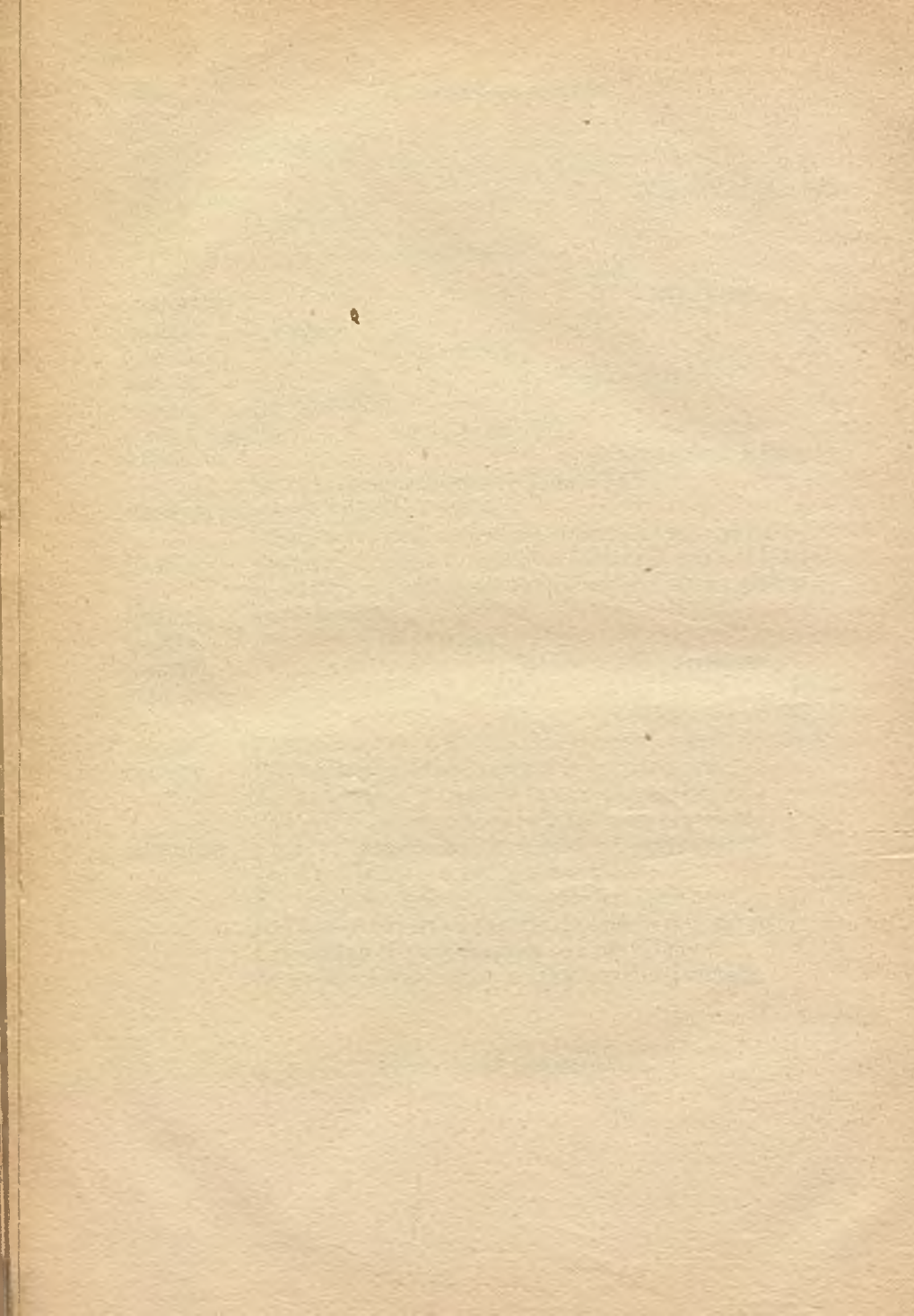
MAREK.

Czém że ty będziesz?

CZESŁAW.

Szwagrem mego pana.

- MAREK. Szwagrem?
 KLARA. Wszystko już dobrze.
 CZESŁAW. Wszystko rzecz udana.
 MAREK. A folwark?
 CZESŁAW. Niesprzedany.
 MAREK. A sad?
 CZESŁAW. Niewycięty.
 MAREK. A major?
 CZESŁAW. Nic nie robi.
 MAREK. A Łapka przekłęty?
 KLARA. Już poszedł.
 MAREK (*wstając*). Ach, to dobrze.
 CZESŁAW. Jam namówił Klarę,
 By ci za podejrzliwość tę zadala karę.
 KASPER (*zdejmując perukę i wąsy*).
 Panie, teraz czas na mnie—Marto! jak to będzie?
 MARTA. Kasprze, mógłżeś ty wierzyć? jesteś dotąd w błędzie?
 Miałżebyś się odmienić? chciałeś mieć mędrszą głowę?
 KASPER. Broń Boże!
 MARTA. Więc wiesz..
 KASPER. Wiem, wiem, spełniałaś..
 MARTA. Umowę.
 (*śmiejąc się ściskając*).
 KLARA. Przebaczasz mi więc szczerze, żem cię mogła dręczyć?
 MAREK. Przebaczam z duszy, serca, i mogę zaręczyć,
 Że nie spełźnie daremnie ta nauczka mała;
 Podejrzliwość na zawsze władać mną przestała.
 CZESŁAW. I bardzo sprawiedliwie. Wierz mi, przyjacielu:
 Ta furja bezsenna nigdy nie ma celu;
 Nie polepszy dobrego, złe pogorszy życie,
 Kto byłby trzpiotem jawnie, będzie lotrem skrycie.
 I tysiączne w pożyciu uczą nas przykłady,
 Że podejrzliwość bywa matką wszelkiej zdrady.



ALEKSANDER FREDRO.

„W śmiechu mniej jesteśmy klasycznymi niżeli we łzach” — pisał Kazimierz Brodziński r. 1820 w *Pamiętniku Warszawskim* (t. XVIII), mając zapewne na uwadze tę okoliczność, że obok sztuk w smaku francuskim grywano u nas równocześnie komedye niemieckie.

A jednakże zdanie to w gruncie rzeczy nie może być nazwane trafnym. Romantyzm nie lubił wogóle komedyi, a przynajmniej takięj, jaka za czasów jego narodzin panowała na scenach europejskich, t. j. Molierowskieję. Dla romantyków śmiech wesoly, szczery, z całego gardła był częms bardzo pospolitým, trywialnym; oni cenili tylko uśmiech i to przeważnie uśmiech ironiczny.

Pamiętając o tęg właściwości nowego prądu umysłowego i artystycznego, można sobie wyjaśnić i obojętne zachowanie się Fredry względem romantyzmu i niechęć romantyków do autora „Pana Geldhaba.” Fredro był zwolennikiem i przedstawicielem komedyi Molierowskieję, z pewną oczywiście odmianą; dążył do wywołania utworami swojemi śmiechu swobodnego, wybuchowego. Wesolość jego, wolna od wydwarzania, nie wpadająca w ostry sarkazm, była wylewem uczci nie krępujących się ani konwenansem, ani poważnym rozmysłem. Nie zapuszczał się on głęboko w tajniki natury ludzkieję, nie badał subtelných odcieni psychicznych, brał pod uwagę ludzi powszednich i przedstawiał zjawiska codzienne, wykazując śmieszne ich strony. Jakkolwiek znał kierunek romantyczny; jakkolwiek sam pisywał ballady a nawet poemat na podaniu cudowným oparty p. t. „Kamień pod Liskiem;” to przecież w przeważnym dziale twórczości swojęj, w komedyi, trzymał się poglądów i zwyczajów pseudo-klasycyzmu, zachowywał przepisy dramatyki francuskieję co do jedności akcji, miejsca i czasu, niekiedy tylko (i to w krotoczwilach) pozwalając sobie na zmiany dekoracyję, a dalej co do tworzenia *typów* komicznych, niewiele zważając na ścisłe prawdopodobieństwo i niewiele bacząc na umotywowanie wejścia osób na scenę i schodzenia z nieję. Lubo pisywał i prozą, chętnieję jednak

zwracał się do wiersza, bo forma rymowana wydawała mu się piękniejszą i odpowiedniejszą w ustach typów, jakie przedstawiał.

Fredro pochodził z rodziny, która w wieku XVII wydała Andrzeja Maksymiliana, autora dzieła p. t. „Przysłowia mów potocznych,” skąd nasz komedyopisarz brał stale dewizy do swoich utworów. Urodzony w r. 1793 w Suchorowie, wychował się w Beńkowej-Wiszni pod wpływem francuskim, panującym u nas w owęj dobie, z tą wszakże dodatnią różnicą, że w wykształceniu nie był pominięty i język polski. Pierwszych atoli zwrotów mowy uczył się chłopiec po francusku; skąd w jego komedyach, pomimo toku czysto polskiego, znajduje się sporo galicyzmów, zwłaszcza w użyciu biernika zamiast dopełniacza po czasownikach czynnych z przeczeniem. Rodzeństwo miał bardzo liczne.

Zaczął rok trzynasty, kiedy utracił „najlepszą, najtroskliwszą” matkę, a jednak rysy jej twarzy nie dość wyraziście utkwily mu w pamięci; widział ją zawsze zajętą ogrodem... Ojca natomiast zapamiętał doskonale i miał cześć dla niego, wzmagającą się z latami; wychwałił jego charakter prawy, rozum nie błyszczący świetnym kształceniem, ale głęboki, logiczny, „dobroć nieprzebraną, uprzejmość, uczynność...”

Edukację prowadził najprzód niejaki Trawiński, potem Płachetko. O tym drugim kierowniku swoim pisał Fredro w wieku już sędziwym: „O Płachetko! niech ci Bóg, przed którym już stoisz, przebaczy, ale ja nie mogę, żeś mój czas najpiękniejszy od 1807 do 1809 zabił, zamordował bez litości! Książki w rękę nie wziąłem. Jeżelim czytał, to romanse. Mój ojciec, zajęty interesami a szczególnie fabryką żelaza, którą założył w Ciśnie, rzadko bawił w domu. Nie mógł więc dla dzieci zrobić jak do szczególnego dozoru wziąć guwernera, a do szkolnych nauk dyrektora (Stecewicza). Odpowiedzialność więc cała ciążyła na panu Płachetce. Pan Płachetko nie nie robił; nie robiłem i ja nie. Polowałem, jeździłem konno.”

W tych to czasach chwycił młody Aleksander za pióro i napisał komedię p. t. „Strach przestraszony.” O okolicznościach, wśród których powstała ta dziecinna robota, okazująca już przecie zmysł do ujmowania śmieszności, szczegółowo z humorem opowiedział sam autor w pamiętnikach: „Trzy po trzy.” Nie zawadzi poznać te znamienne drobiazgi.

„Był zwyczaj — mówi Fredro — że co niedzieli dzieci wyprawiały bal, na który otrzymywały prócz codziennych jabłek, trochę suszonych śliwek i wiśni, trochę rodzenków i migdałów i kawałek cukru. Mój brat Seweryn, jako najstarszy, przywłaszczył sobie *jure fortioris* zadzroszczony urząd kuchmistrza. On siekał, skrobał, nadziewał śliwki rodzenkami a rodzenki migdałami, kiedy tymczasem młodsze rodzeństwo, obsiadłszy mały stoliczek, zastawiony cynowemi talerzykami, czekało niecierpliwie pierwszego dania. Nareszcie gdy nadeszła chwila

pożądana, półniski wypróżniały się w mgnieniu oka, nie bez zatargów i nie bez pokrzywdzenia młodszych, pomimo reklamacyi piastunek. Często też kończyło się na placzu i dopiero cała śliwka wpakowana w gębę wzięła z sobą ostatnią łzę sunącą się po nosie. Czasem i bunt powstał; rzucano się na surowe kuchenne materyały — a gdy kuchmistrz nie mógł ich już obronić, rozdawał szturchańce i ciągnął za uszy, ale rodzenki osładzaly wszystko.

„Mój brat Seweryn, o cztery lata starszy ode mnie, był do swoich lat 13-u dokładnym egzemplarzem lamparta. Swawolny, nieposłuszny, zawsze w zdeptanych trzewikach i podartej czapce, którą uczył psy aportować, był dla guwernera prawdziwą plagą. Szczególne miał upodobanie szcuć świnie psami i nieraz Cusin, ówczesny guwerner, Francuz, przyprowadzał go za ucho z tego polowania do lekcyi i za karę przywiązywał sznurem do stołu. Z tego powodu napisał Sewerym komedye, której osoby były: Cusin, Seweryn, Burda (kundys) i Świnia. Tak to talent dramatyczny w naszym rodzie parł się w górę wszystkimi porami. Seweryn uczył się lepiej odemnie, ale ja byłem poważniejszy... nigdy nie byłem dzieckiem. Dlatego mnie zwano *staruszkciem*...

„Otóż, wracając do rzeczy, taki bal dziecinny był treścią mojej sztuki. Osoby były: Pan... zapewne Cnotliwski, ale nie pamiętam, również jak nazwiska synka i córeczki pana Cnotliwskiego, Michał lokaj i Szafarka. Rzecz się zaczyna: Pana nie ma w domu, dzieci narzekają, że niedziela przejdzie bez balu. Michał obiecuje im dostać śliwek, rodzenków i t. d. Ubiera się w prześcieradło, jak to zwykle wystawiają duchów, i idzie do szpiżarni straszyć Szafarkę. Szafarka przestraszona kryje głowę w beczkę z mąką, Michał ładuje kieszenie nie tyle dla dzieci, ile właściwie dla siebie. A wtém... otwierają się drzwi... wchodzi Pan... Kolej na stracha przestraszyć się.. Michał kryje głowę w drugą beczkę. Rozwiązanie następuje prędkie i jasne, zamknięte nareszcie sensem moralnym.

„Był w naszym domu nauczyciel muzyki, Mikołaj Matłowski... poczciwy, dobry Matłowski .. Dziwną miał zaletę, mógł kilka godzin siedzieć wyprostowany na jedném miejscu i nic nie mówić, i nic nie robić, jak tylko od czasu do czasu zażyć tabaki i utrzyć nos w kraciestą chustkę z wymaganym rozgłosem. Jego wybrałem za słuchacza tém śmielej, że obawa, która mnie w ciągu życia nie odstępowała, abym kogo nie znudził, nie mogła względem niego mieć miejsca, bo w niczém nie naruszałem jego moralnej i fizycznej nieruchomości. Poczciwy Matłowski uśmieł się serdecznie z conceptów Michała. Pokochałem go za to jeszcze więcej, niż go kochałem, i odwdzięczając jego pochwały, przestałem brać od niego lekcyę na fortepianie. Niemały z niego zdjąłem ciężar. Cztery lata uczyłem się i nigdy zrozumieć nie mogłem, czego właściwie żądają odemnie. Przy lekcyach zawsze nogami dzwoniłem,

oczywiście nie w takt, i nieustannie wciągałem nosem, *vulgo*: siąkałem, co jest niezawodną oznaką słabego usposobienia uczucia i powinno zwracać uwagę rodziców. Jeżeli podrostek mocno siąka przy muzyce — nie tracić czasu. Czasem zły muzyk bywa dobrym jurystą. Jeżeli zaś siąka i nad kodeksem, czemprowadź dajcie mu ołówki, może będzie malarzem. Ale, jeżeli zawsze i przy każdej nauce siąka i siąka — to hebes jak Bóg Bogiem. *Scientia* nic z niego mieć nie będzie: niech się cepia dworów...

„Śmiech Matłowskiego ochrzcił mnie na autora. Przy tej sposobności muszę zrobić uwagę, że sposób najdzielniejszy podobania się jest łatwość śmiechu. Śmiech jest nieudaną aprobatą konceptu... a aprobaty któż nie lubi?!”

Taka była pierwsza próba talentu, ale talent rozwinął się daleko później. Naukę Fredry wielce zaniedbaną nazwać musimy; fechtunek, taniec i konna jazda zajmowały młodzieńca, książka zaś szkolna mierzyla go. O wierszowaniu polskim nie miał najmniejszego pojęcia; w wojsku dopiero od kolegi dowiedział się, co to jest średniówka.

Gdy wojsko polskie r. 1809 wkroczyło pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego do Galicji, ojciec Aleksandra, opatrzywszy w pieniądze, wyprawił go „z krzyżykiem” na drogę. Od tej chwili aż do końca epopei Napoleońskiej dzielił on losy towarzyszków. Pierwsze trzy lata, aż do kampanii rosyjskiej, przepędził w pokoju, wśród wesołego i hulaszczego życia koszarowego w Lublinie. Tu zaczął pisywać wesołe, grubo żartobliwe wiersze, które wojskowym mocno się podobały. Potem dzielił trudy wojenne: czas jakiś był adjutantem przy boku Napoleona.

Po upadku „boga wojny” zabawił czas jakiś w Paryżu. Wtedy to po raz pierwszy widział grane na scenie komedye Moliera; ugruntowały w nim one zamiłowanie do sceny. Nabywszy dzieła wielkiego komedyopisarza, rozczytywał się w nich pilnie. A gdy wrócił do Galicji i osiadł na wsi, zaczął pisać dla teatru. Pierwszą wtedy napisaną sztukę posłał do Lwowa, gdzie dyrektorem teatru był Jan Nepomucen Kamiński. Gdy ten ją odrzucił, Fredro bez wahania zniszczył swój utwór, tak że nawet tytułu jego nie znamy, ale do pisania się nie zraził i niebawem wyprawił do Lwowa drugą komedycę, której dyrektor nie przyjął tak samo jak pierwszój. Fredro tym razem nie poprzestał na sądzie Kamińskiego, lecz utwór swój wysłał do Warszawy, gdzie dyrektorem teatru był znany tłumacz arcydzieł francuskich, Ludwik Osiński. Ten uznał zalety komedyi i w r. 1821 wystawił „Pana Geldhaba.” Sztuka miała duże powodzenie, a to zachęciło jój autora do dawania dla Warszawy nowych sztuk prawie rok rocznie. Lwów nie chciał pozostać w tyle i dopraszał się u Fredry o komedycę dla siebie. W ten sposób w przeciągu lat 14 (do r. 1834) powstało 19 sztuk poważniej-

szych i lżejszych, które wypełniły 5 tomów, ogłoszonych drukiem między r. 1826 a 1838.

Nie zamierzając podawać szczegółowego rozbioru sztuk wszystkich, rozpatrzę je tylko z ogólniejszego stanowiska, starając się uwydatnić istotne cechy talentu autora.

Utwory komiczne Fredry można podzielić na trzy grupy: krotkowile, komedye obyczajowe o cechach mniej więcej kosmopolitycznych i komedye z wybitnym charakterem swojskim.

W krotkowilach, gdzie nie chodzi o prawdopodobieństwo powikłań, ani o rysunek charakterów, lecz o zabawienie tylko widzów przez wprowadzenie śmiesznych figur i sytuacji, najlepiej i najwidoczniej przejawia się werman komiczna, t. j. zdolność do tworzenia takich plastycznie w wyobraźni naszej rysujących się położeń, które nawet bez pomocy dowcipu słowa mogą śmiech szczery i swobodny obudzić. Ze wszystkich naszych komedyopisarzy, dawnych i nowszych, Fredro posiadał zdolność tę w stopniu najwyższym. Musimy naturalnie zgóry się już zgodzić na pewne naciąganie stosunków, na pewien stopień karykaturalności postaci, na pewną przesadę w malowaniu ludzkich słabości (wielkiego ograniczenia, niedomyślności lub wad fizycznych np. głuchoty i t. p.); ale jeżeli te ustępstwa zrobimy, możemy być pewni, że nas Fredro rozśmieszy. Śmiech ten oczywiście zniknie wraz z przedstawieniem, bo jest oparty na bardzo powierzchownych sprzecznościach i nieporozumieniach, ale w czasie przedstawienia jest szczery i silny. Nie wszystkie naturalnie farsy Fredry mają wartość jednakową; są bowiem takie które wprost nieudatnemi nazwać można, jak np. „Gwałtu, co się dzieje,” rzecz rozwlekła i nudna; są inne zbyt rubaszne i płocze, jak „Nocleg w Apeninach” lub „Dyliżans” (ogłoszony dopiero w zbiorze komedyj pośmiertnych), są zanadto naciągane jako całość, lecz dobre w szczegółach, jak „Nowy Don Kiszot,” ale są także wyborne w swoim rodzaju, jak „Damy i Huzary,” „Ciotunia,” „List,” „Pierwsza lepsza,” „Nikt mnie nie zna.”

Drugą grupę stanowią komedye salonowe, z pewnemi cechami kosmopolitycznemi, jakeimi się salon wszystkich krajów europejskich odznacza. Naturalnie, że nawet w takich sztukach indywidualność autora Polaka odbić się musiała zarówno w wyborze rysów znamienych, jak w języku i stylu. Powszecchnie, ogólnoludzkie śmieszności i wady musiał przybrać w formie uzewnętrznienia się swego pewne właściwości krwistego lub cholerycznego temperamentu, jaki znamionuje nasz naród. Rysy te jednak i właściwości nie występują w tych komedjach z taką siłą i wyrazistością, żeby miały nadawać wybitny odrębny charakter narodowy osobistościom i sytuacyom, w nich przedstawionym.

Najwięcej cech kosmopolityczno salonowych, a ściślej mówiąc francuskich ma „Mąż i żona,” komedya wyborne zbudowana, pod wzglę-

dem kompozycji może najdoskonalsza ze wszystkich, ale rażąca lekko-myślnością, z jaką traktowane tu są stosunki bardzo drażliwe w życiu małżeńskim. Łamanie wiary małżeńskiej, pokątne miłości tak swobodnie i z takim nawet dobrym humorem są tu odmalowane, jakby chodziło o najpospolitsze i najniewinniejsze figle. Czasy, które obrazuje ta sztuka, mianowicie epoka Księstwa Warszawskiego, obfitowały i u nas pod wpływem francuskim w przykłady życia rozwiązłego, nie zastanawiającego się nawet nad doniosłością popełnianych wykroczeń przeciw moralności, zwłaszcza wśród sfer próżniaczych, otoczonych wygodami i dobrobytem; w każdym jednak razie sposób, w jaki ta zupełna bezwrażliwość na kwestye etyczne objawia się w sztuce, nie może się nam pomieścić w głowie jako rys znamieny naszego charakteru narodowego.

I „Pan Geldhab” ma rysy raczej ogólnoludzkie, niż narodowe. Na tej komedyi można najlepiej chyba wskazać podobieństwo i różnice, zachodzące między Fredrą a Moliere. „Le bourgeois gentilhomme” i „Pan Geldhab” wystawiają też samą śmieszność ludzi raptem z bogactwem, którzy się chcą koniecznie wedrzeć do towarzystwa arystokratycznego. W ogólnikowości typowej są oni do siebie podobni, ale w szczegółach wykonania znacznie od siebie odbiegają. Gdyby się chciało bądź co bądź upatrzeć w tych szczegółach podobieństwo, to możnaby tylko owe przesadne i z rozkoszą wykonywane ukłony, w jakich Geldhab wobec listu księcia się wygina, w połączeniu z ukłonami Zofii, z innego nieco wypływającemi źródła, zestawić z lekeyami śpiwu i tańca u Moliere. Zresztą wszystkie inne właściwości Geldhaba są wynikiem obserwacji naszego komedyopisarza. Geldhab to dorobkiewicz z bogactwem na liverunkach za czasów Napoleona. Zbyt on był zajęty korzystnemi spekulacyami i zbyt mało miał swobodnego czasu, by nabrać wykształcenia, a choćby tylko oglady towarzyskiej. Córcie stara się dać najwykwintniejsze, to znaczy, najmodniejsze i najkosztowniejsze wychowanie i czyni z niej gadającą lalkę salonową, ale sam pozostał zupełnym ignorantem w rzeczach historyi i literatury, tak że najdziwniejsze brednie może wygłaszać z całkowitym spokojem sumienia. Wydając ogromne sumy na pokaz, zostaje w gruncie rzeczy skąpcem, oszczędzającym na drobiazgach, bo to jest nałóg, który wyrobił sobie w samych początkach swojej karyery, bo tylko oszczędzając, mógł uciąć pierwszy kapitalik, mający mu do jego operacyj finansowych posłużyć. Na przyjęcie paru osób każe rozłożyć na stole wszystkie srebra, ażeby znano jego bogactwo, lecz lokajowi nakazuje surowo, by resztki wina zlał do jednej butelki a niedopałki świec oddał mu pod rachunkiem. Na spalone Bambergą przedmieście daje kwotę pokaźną i sam dyktuje zawiadomienie o tém mające być zamieszczone w gazetach, lecz, gdy siostra prosi go o przyspieszenie wypłaty procentu, odmawia

sucho i twardo, bo mu żal téj szczypty dochodu, jaki przez parę miesięcy ciągnąć jeszcze może z kapitału. Jest zuchwalcem i tchórzem, samochwalcem i pokornym stosownie do tego z kim rozmawia: z wyższym czy niższym, odważnym czy bojaźliwym. Wszystko w nim jest sztuczne i na chwilowy interes obrachowane.

Wyborną jest zarówno w rysunku charakterów jak i w układzie krótka, jednoaktowa komedia p. t. „Zręczność i Przekora.” Ze wszystkich figur Fredrowskich, te dwie postacie tytułowe są bodaj najbardziej typowymi, najlepiej i najkonsekwentniej przeprowadzonymi, w sposobie wyrażania się, w nastroju i rozumowaniu najwyraźniej nacechowanymi. Gdyby bohater dodatni był mniej sztywny — bohaterce nie zarzucić nie można — mielibyśmy małe, lecz prawdziwe arcydzieło.

Innego rodzaju wadę — mizantropię przedstawia druga jednoaktowa komedia, mniej doskonała w budowie, lecz mająca za to dodatnie strony innego rodzaju, t. j. „Odludki i poeta.” Zgorzknienie, zniechęcenie do ludzi, satyryczny nastrój, a obok tego młodzieńczy zapal, śmiało występujący do walki ze starcem, goryczą przejętym; polot poetycki w zetknięciu z chłodną prozą nadają utworowi temu znamię odrębne, wyróżniające go od innych sztuk Fredry, czyniące go miłym dla tych, co lubią i cenią entuzjazm. Figura zabawna oberżysty urozmaica poważną treść zasadniczą téj sztuki.

W „Dożywociu” mamy ładne szczegóły, wiersz prześliczny, figury dwie lichwiarzy (Łatki i Twardosza) znakomite, figurę birbanta (Leona), mniej co prawda dobrą, lecz sympatyczną, ale całość szwankuje pod względem prawdopodobieństwa pomysłu ogólnego. Trudno przypuścić, ażeby skąpy Łatka, dla bardzo wątpliwego skutku przedłużenia życia Leonowi, chciał ponosić znaczne wydatki, otaczając osobę birbanta szczególniejszą, bo wielce wyszukaną opieką. Przyjmujemy ten pomysł z niedowierzaniem i dlatego akcja sztuki nie pociąga, nie zajmuje i nie przekonywa.

W „Przyjaciolach” w gruncie rzeczy jest tylko jedna doskonała postać Smakosza, która zwłaszcza w grze Żółkowskiego zapewniała komedii powodzenie. Zarówno bowiem parę dodatnich bohaterów, jak i goście Zofii, jak wreszcie ona sama niewiele nas interesują, a nieprawdopodobieństwo pomysłu i kollizyj psuje nam wrażenie, gdy chcemy jednym poglądem całość ogarnąć. Uczuciowa strona, stanowiąca oś sztuki, nie została wypowiedziana takimi słowami, któreby nas rozrzewnić mogły, a nie daje oczywiście powodu do śmiechu; możemy chyba tylko uśmiechać się z łatwowierności Zofii, mogącej uwierzyć, iż jej ukochany zdolnym był pokochać się w zalotnej staréj pannie.

Trzecią grupę komedyj Fredry składają te, w których albo jakiś znamieny szczegół obyczajowy, albo wybitne rysy charakteru, lub wre-

szcie rodzaj kollizyj wskazują wyraźnie, że mamy do czynienia z Polakami pewnej doby dziejowej.

Na najniższym szczeblu doskonałości artystycznej postawić tu należy „Cudzoziemczynę,” długą, a mało urozmaiconą, ubogą w akcję komedję, która nie figurami, nie sytuacjami nawet, ale pochwycciem pewnej bardzo znamiennej cechy w naszym rozwoju obyczajowym, cechy naśladownictwa wszystkiego, co sobie rozgłos za granicą zjednało, i bardzo świetnym w niektórych ustępach wyrażeniem tej cechy pozyskała uznanie i utrzymała się na scenie. Niektórzy wątpią, czy w czasach, kiedy Fredro pisał swą sztukę, anglomania u nas grasowała i gotowi byli przyznać autorowi dar wieszczca, przeczuwającego późniejsze pokolenia. Kto sobie przypomni, że już Krasicki w „Panu Podstolim” przedstawił nam anglomana w osobie kasztelanica, jeżdżącego na wysokim kabrylocie z „żokiejsem,” ten nie będzie potrzebował uciekać się do hipotezy o wieszczem natchnieniu Fredry. Niewątpliwie, moda angielska, wyścigi nie były jeszcze tak rozpowszechnione, jak później, lecz miały swoich zwolenników, tém zagorzalszych, im mniej ich było. Co prawda uosobienie śmieszności powierzchownego naśladownictwa cudzoziemczyzny w *Radoście* nie może być nazwane szczęśliwem. Radosć jest zbyt ograniczonym, zbyt mało ma ukształcenia, zupełnie nie zna obcych krajów, a przytém z woli autora ma mieć przynajmniej zdrowy rozsądek i poczciwe polskie serce; otóż połączenie tych właściwości nie udało się komedyopisarzowi; musimy tu być, podobnie jak w krotochwilach, aż zanadto wyrozumieli na nieprawdopodobieństwa. Werwa atoli komiczna sprawia, że zapominamy o surowszych wymaganiach i bawimy się wesoło i Radostem i jego pomysłami dotyczącymi wyścigów w obrębie domu oraz ubrania służby na sposób cudzoziemski.

Drugie miejsce na owęj skali dać możemy „Panu Jowialskiemu.” Intryga tu również mało prawdopodobna i słabo rozwinięta; ale figura naczelna — świetnie wykonana, nawskroś i szczerze polska. Ta dobroduszość, ta żartobliwość i jowialność, ta pogoda ducha, to posługiwanie się przysłowiami w każdym ważniejszym lub powszednim wypadku tak doskonale charakteryzują poczciwą, a powierzchowną, głębokimi namysłami nigdy nie nawiedzaną, wyrzutami sumienia nigdy nie dręczoną naturę staruszka, że niepodobna pomyśleć sobie doskonalszego wcielenia takiej postaci w formie dramatycznej. Bardzo trafnie powiada Tarnowski: „Rodzaj conceptów i dowcipu Jowialskiego jest typowy; wyobraża jedną charakterystyczną stronę polskiej wesołości, upodobanie w anegdotach, dykteryjkach i facecjach, które było u nas zawsze, było w wieku XVI i dziś jeszcze się znajduje i pomiędzy reprezentantami polskiego humoru, od dawnych Pszonków i Stańczyków począwszy, przez pana Paska i Krasickiego, aż do Henryka Rzewuskie-

go zawsze wymienić trzeba Jowialskiego." Dodać tylko musimy, że ten Jowialski jest dobroduszniejszy od wszystkich wymienionych i że ukształcenia książkowego zgoła nie posiada.

I w „Zemście” budowa całości nie zadawała; są w niej niewłaściwości i nieprawdopodobieństwa, a nie ma jednolitego rozwinięcia, ale trzy typy znakomicie nakręślane nadają komedyi wysokie znaczenie. Jeden typ (Cześnik) — to popędliwy choleryk, nie znoszący sprzeciwienia swojej woli, gwałtowny wybuchowo, ale jak wszyscy impetycy — dobrotliwy po ochłonięciu, dumny, ale i szlachetny zarazem, nigdy nie używa podstępów, fałszu i obludy, lecz prosto, krzyżową sztuką zmierza do celu. Można go się lękać, gdy jest w furji, ale można go kochać a nawet wielbić, gdy wroga w domu swoim podejmuje. Drugi typ (Rejent), mniej w dziejach naszych uwydatniony, lecz istniejący, — to człowiek udający potulnego, pokornego, pobożnego, ale przebiegły i przewrotny w postępowaniu, nie waha się używać obludy i powierzchownej pobożności za środek do osiągnięcia pożądanego celu, pała zemstą i powoli, pocichu dąży do jój nasycenia. Jego milczących ukąszeń i ciosów więcej lękać się potrzeba niż groźnych, hałaśliwych pogroźek Cześnika. On jednym słówkiem, jednym skinieniem umie ludzi trwożliwych a junacko się odzywających przyprowadzić do porządku. Jego pocałunek jest zatruty. Trzeci typ (Papkin), również niezbyt często u nas napotykanym, jest najświetniejszą, jaką sobie pomyśleć można, przeróbką postaci stworzonej przez komedyopisarza rzymskiego Plauta w sztuce p. t. „Żołnierz samochwał” (*Miles gloriosus*). Samochwalstwo Papkina i jego tchórzostwo od początku do końca komedyi najkonsekwentniej zostało przeprowadzone zarówno w sytuacjach jak w wygłaszanych przezeń tyradach. Do najznakomitszych scen koniecznych nie tylko w repertuarze Fredry, ale w komedyopisarstwie powszechnym należą te, w których Papkin buńczucznie i po junacku wobec Rejenta występuje, a miarkuje się i milknie, gdy mu Milczek przypomina, że tam za drzwiami ma ludzi, gotowych na spełnienie każdego rozkazu. W innym rodzaju, ale nie mniej doskonała jest scena dyktowania listu Dynalskiemu przez Cześnika. Mało jest podobnych w literaturze powszechnej. Do łez uśmieć się można. Wiele rysów, a nawet niektóre wyrażenia przejął Fredro z komedyi Zabłockiego „Sarmatyzm,” ale zrobił to tak wybornie, z takimi sobie właściwymi zmianami, z taką pełnią plastyki, z taką obfitością komizmu sytuacyjnego, z takim dowcipem słowa, że pożyczka nie wpłynęła na obniżenie stopnia oryginalności sztuki, jeżeli w niej nie pomyśl, lecz wykonanie rozważać będziemy. Gdyby budowa jój była spójniejsza, możnaby ją za arcydzieło Fredry uważać.

Arcydziełem takim, wedle powszechnego uznania, są „Śluby pannieńskie czyli Magnetyzm serca.” Z pozorów osoby tu występujące nie

mają tak wybitnej cechy narodowej jak osoby „Zemsty” np. lecz wpa-
trzywszy się dokładniej w ich fizyognomię duchową, w rysy znamionu-
jące ich temperament i charakter, ich sposób postępowania i zwyczaje,
w ich pojęcia i mowę, niepodobna będzie się pomylić w określeniu ich
narodowości. Taki miły trzpiot i hultaj jak Gustaw, lampartujący się
raczej dla okazania swej tęgości, aniżeli z zamiłowania, płatający figle
z najlepszą miną i najlepszym sercem, ufny w swoje zalety i umiejęt-
ność podobania się płci pięknej, uczuciowy i poetyczny w miarę bez
popadania w jakiegokolwiek ekstrawagancje i przesadę, żywy i dowcip-
ny bez sadzenia się na dowcip, umiejący przybierać miny wszelakiego
rodzaju, a jednakże nie obłudny; to tak typowy okaz lepszej młodzieży
naszej, że potrzeba mu jeno dać sposobność okazania dzielności swojej
na wojence, ażeby wystąpił w całej pełni swego rozkwitu.

Przeciwieństwem jego jest bierny i płacziwy Albin. Mniej on nie-
wątpliwie odpowiada naszemu usposobieniu narodowemu, ale nie po-
dobna zaprzeczyć, iżby podobnych do niego okazów wśród nas nie by-
ło. Niechętnie do nich się przyznajemy, to prawda, bo nam chluby nie
przynoszą, lecz istnienie ich stwierdzić musimy, dodając chyba tylko,
że komedyopisarz dla uczynienia kontrastu jaskrawszym, zanadto krzy-
kliwych użył barw do odmalowania tej komicznej postaci.

O dwu pannach, które doskonale dostrojone są do charakterów dwu
kawalerów, jako też i pocziwiej Dobrójskiej, nie rozpisuję się tutaj, gdyż
postaciom kobiecym oddzielne już poświęciłem studyum. Tu tylko do-
dam, że zarówno energiczna i przedsiębiorcza Klara, jak łagodna Anie-
la reprezentują dwa typowe usposobienia dziewcząt naszych i wybornie
dopełniają obraz naszych stosunków domowych. Ażeby zaś w tym
obrazie nie brakowało żadnego wybitniejszego pierwiastku, nie można
zapominać i o starym Radoście, który niby to srogi jest wielce, odgra-
ża się potężnie, klnie szczyście, ale jest miękki i serdeczny; łatwo
wybacza wszystkie figle trzpiotowi, bo w nim widzi odbicie własnej
swojej młodości, własnego swego temperamentu.

Akcya komedyi jest szczupła, intryga wcale nie zawila, jak we
wszystkich zresztą komedyach Fredry, ale w rozwinięciu stosunku Gu-
stawa do Anieli tyle jest sytuacji pięknych — przypomnę tu tylko prze-
śliczną scenę dyktowania listu — że się łatwo wybacza trochę przydłu-
gie przemówienia, lub mniej interesujące szczegóły. Z wyjątkiem ja-
kich kilku lub kilkunastu wierszy, nie mamy nic do zarzucenia ani bu-
dowie, ani sposobowi wykonania sztuki, sprawiającej i w całości i w epi-
zodach nader miłą, atmosferą swojskości — nabrzmiałe wrażenie. Są
w innych komedyach lepsze niektóre części, aniżeli w „Ślubach,” lecz
całości równie pięknej niema.

Z powyższego przeglądu sztuk Fredry, napisanych przed rokiem
1835, widzimy, że celował on jako mistrz obserwacji i władca werwy

komicznój w malowaniu postaci charakterystycznych, że kręśląc je w sposób typowy używał często barw nie tylko dobitnych, ale nawet jaskrawych, a rysy niekiedy do karykatury artystycznej doprowadzał. Co do postaci dodatnich, mniej był szczęśliwym. Jego wojskowi młodzi (starsi należą do charakterystycznych) są wielce mili, szlachetni, sympatyczni, ale dosyć nudni i mówić zazwyczaj dobrze nie umieją. Jeden tylko hulaka Leon i jeden trzpiot kochany Gustaw wyróżniają się z tłumu powszedniości i pozostawiają trwalsze w umyśle wrażenie. W świecie kobiecym jest większa pod tym względem obfitość, chociaż i tutaj nie brak figur banalnych. Starsze osoby dodatnie, zazwyczaj miłe, traktowane są z łagodną ironią.

W r. 1835 zaszedł wypadek, który na długo pozbawił literaturę naszą utworów talentu Fredry. W roku tym ukazały się dwie oceny, ogarniające ogół ówczesnie wydanych sztuk naszego znakomitego powieściopisarza. Jedna z nich ukazała się w „Kwartalniku Naukowym” (t. I, str. 347 — 363) p. t. „Teatr i Aleksander Eredro,” podpisana literami W. P., które jako nazwisko Wincentego Pola wykładają. Była ona dla autora wogóle bardzo przychylna, lecz zbyt może wyłącznie „salonowość” komedyj Fredry akcentowała, przedstawiając tej salonowości świat tak silnie narodowością nacechowany, jaki w „Zemście” widzimy. Autor oceny był zwolennikiem „czerstwój poezji przeszłości” i życzył sobie, ażeby „Zemsta” nie przedstawiła się tylko jako „świetna i nlotna gra wyobraźni” podobie jak „Odludki i poeta;” nie sądził, by komedyopisarz znowu miał do salonów powrócić, bo i Molier wyczerpał się w końcu, kiedy przeciwnie świat dramatu „Zemsty,” jakby nowo odkryta „wyspa, w pełnym kwiecie dziewiczego wdzięku na oceanie poezji się wznosi.”

Drugi krytyk, Seweryn Goszczyński, w rozprawie pomieszczonej w „Pamiętniku powszechnym nauk i umiejętności” (t. II, str. 9—12) p. t. „Nowa epoka poezji polskiej,” przyznając Fredrze „dowcip, wesołość, łatwość wierszowania i kilka miejsc godnych znakomitego pisarza,” zarzucał mu „kosmopolityzm, niemoralność, poziomność uczuć,” a obok tych wad zasadniczych, inne, które uważał za pomniejsze jako to: „niedołężne cieniowanie charakterów, powszednią nienaturalność i deklamacje w rozmowach, naśladownictwo, a niekiedy żywe przyswajanie włoskiego i francuskiego teatru, wieczne tego samego ducha i kształtu dowcipki, bez względu na charakter, na położenie osoby, jednostajność stylu, oklepane miłosne intrygi, jedném słowem wszystkie niedorzeczności pseudoklasycznych komedyj.”

Zarzuty, dotyczące nie tylko artystę, lecz i człowieka-patryotę, mocno oddziaływały na wielce wrażliwego komedyopisarza; rzucił pióro i przez lat 13 nie zgoła w formie dramatycznej nie tworzył; wydał tylko jeszcze tom V dawniejszych komedyj swoich (r. 1838), ogłosił drugie

wydanie powiastki, drukowanój pierwotnie r. 1832 p. t. „Nieszczęścia najszcześliwszego męża” (1841) — i pozatém milczał uparcie, na żadne perswazy i zachęty przyjaciół nie zważając.

Po trzynastu latach ugórowania, umysł uległ przewadze skłonności, która się drugą już naturą stała, przybierania pomysłów w kształty dramatyczne; Fredro zaczął znów pisać komedye, ale je szczernie zamykał w swém biurku, nikomu ich (prócz najbliższych i najdroższych) nawet nie odczytując. Utworzył wtedy sztuk 18, to jest o jedną mniej niż w okresie poprzednim.

Czy sztuki te są inne od dawniejszych? Tarnowski twierdzi, że tak. „Nie lubił on — powiada — ani cenił nowszego teatru (francuskiego), nie myślał, ani chciał wchodzić w otwarte przezeń koleje; a przecież jego pośmiertne komedye dowodzą wyraźnie, że wpływ ten musiał na niego działać, że rodzaj jego pomysłów, sposób jego tworzenia, budowa jego komedyj uległy w tych latach znacznym zmianom, — i jeżeli dawniejsze mają widoczne znaki pokrewieństwa z Molierem, to te ostatnie tracą to podobieństwo, azbliżają się bardzo do nowoczesnej komedyi. Figury są w nich więcej indywidualnami niż typami, w traktowaniu jest więcej realizmu, w budowie więcej zawikłań, epizodów i wtrąconych szczegółów i więcej może wyraźnego określonego związku z bieżącym życiem.”¹⁾

Otóż na tak sformułowane określenie zmian, zaszłych w sposobie tworzenia Fredry, zgodzić się niepodobna. Że zmiany są, nie ulega to wątpliwości; ale dotyczą one raczej materiału niż formy, raczej strony zewnętrznej niż istoty metody twórczej. Częściej teraz używał Fredro prozy aniżeli wiersza. Brał do swoich nowszych komedyj treść ze świeżych objawów życia narodowego i obcego, ale tę treść ujmował w formę dramatyczną, do której przywykł, nie w niej nie zmieniając, ani w charakterystyce osób, ani w sposobie prowadzenia akcyj, ani w dialogu. Figury jego nowszych komedyj wydają się tu i owdzie mniej typowemi niż w dawniejszych, ale nie można ich nazwać charakterami indywidualnemi; mają tylko trochę więcej rysów, niż ich miały typy dawniejsze, chociaż i tam bywały osoby, które na brak rysów uskarżać się nie mogły, np. Gustaw w „Ślubach panińskich.”

Co do nastroju, to również przeważa w nowszych komedjach, tak samo jak dawniejszych, żywioł wesołości, werwa niepohamowana, nie krępująca się miejscem ni czasem, śmiała i wymowna. Tematy obierał Fredro i w téj nowszej dobie twórczości swojej z dziedziny takich zawikłań, które pogodnie rozwiązane być mogły. Znam tylko trzy sztuki, w których widocznym jest nastrój posępny i kollizye seryo dra-

¹⁾ St. Tarnowski: „Rozprawy i Sprawozdania,” t. II, str. 97 (Kraków 1896).

matyczne; to „Wychowanka,” „Teraz” i „Rewolwer” — i wszystkie trzy należą do rzeczy najslabszych w pośmiertnym zbiorze komedyj. Naginał się w nich talent wesołego komedyopisarza do podjęcia treści i stosunków nie usposabiających do śmiechu na całe gardło, lecz zmuszający do poważnej i smutnej zadumy; to też nie będąc w swoim żywiole, nie zdobył się na wykonanie, godne stopnia tej doskonałości, jaką umiał rozwinąć w dziedzinie sobie właściwej.

I teraz krotochwila, nawet z odwiecznym przebieraniem się mężczyzn za kobiety, pozostała ulubioną formą, w której żywy źródło komizmu sytuacji i dowcipu słowa mógł tryskać swobodnie, nie krępowany względami prawdopodobieństwa. Na 18 sztuk mamy siedm krotochwil, dwie komedyjki konwersacyjne, jedną komedię allegoryczną, jedną trzy aktową operę, trzy sztuki z charakterami lub położeniami dramatycznymi i cztery komedye salonowe.

Krotochwile są bardzo różnej wartości. Są długie trzyaktowe o rubasznym dowcipie i ledwie ociosanych figurach lub przestarzałych sytuacjach, jak „Ożenić się nie mogę” lub „Ostatnia wola;” są dwuaktówki bardzo zabawne, ale bardzo naciągane w położeniach, jak „Od Przemyśla do Przerowy;” są jednoaktówki mające na celu wystawienie jednej głównie śmiesznej osobistości, jak „Jestem zabójcą!” — są inne z przebieraniem się i dwuznacznymi konceptami, jak „Lita et Cgnie,” są wreszcie bardzo wesołe i bardzo zabawne, jak „Z jakim się wdajesz, takim się stajesz,” a zwłaszcza świetnym dowcipem żywą akcją się odznaczający „Pan Benet,” jedna z najlepszych fars w całym zasobie sztuk Fredry.

Dwie sztuczki konwersacyjne: „Koncert” i „Świeczka zgasła” mają dużo wdzięku i dużo dowcipu, są prowadzone zręcznie; ale tylko druga cieszy się powodzeniem na scenie.

Komedia allegoryczna ze świata zwierzęcego wzięta, p. t. „Brytan Bryś” ma tylko niektóre ustępy ładne lub rozumne, ale jako całość musi być uznana za słabą.

Trzyaktowa opera „Rymond” nie zadawała ani pod względem charakterów, ani pod względem wykonania; również częściowe jeno posiada piękności.

O trzech sztukach, mających temat posępny, wzmiankowałem już wyżej; nie leżały one w zakresie talentu i upodobań Fredry; o tyle tylko posiadają wartości, o ile w nich znajdują się sceny śmieszne, ale to szczerze śmieszne; satyra bowiem unosi autora za daleko i chybia celu.

Pewnym częściowym podobieństwem z temi trzema utworami łączy się czteroaktowa komedia wierszem p. t. „Co tu kłopotu!” I tutaj znajdujemy mocno czarny charakter i tu koliduje w ton dramatyczny wpadają, ale obok nich są prawdziwie zabawne figury i sceny pełne weso-

ści. Dobrą komedyi téj nazwać trudno, lepszą jest jednak od owych trzech.

Za najznakomitsze w całej nowéj seryi (poza krotochwilami) poczytać można: „Dwie blizny,” „Godzien litości,” „Wielki człowiek do małych interesów.”

„Dwie blizny” to wybornie ułożona, w doskonałe figury obfitująca, dowcipna i wesoła jednoaktówka i gdyby pomysł ogólny nie był oparty na pomyłce, możnaby ją policzyć do najlepszych komedyj Fredry. Głębszego znaczenia w niéj nie szukać, ale umiejętne wyzyskanie zabawnych powikłań, wynikających zarówno z charakteru osób jak i z przypadkowego położenia, sprawia, że się dobrze bawimy, czując w każdym nieomal wyrażeniu szczęśliwe dotknięcie ręki mistrza.

Głębszą wartość psychologiczną posiada trzyaktowa komedia prozą p. t. „Godzien litości.” Mianowicie wybornie nakreślił tu charakter Elwina, egoisty, wyzyskującego wszystko i wszystkich na swoją korzyść, pomysłowego w tym względzie do wysokiego stopnia, a wciąż utyskującego na swój los nieszczęśliwy, na niezrozumienie swego serca i swego talentu. Bo Elwin jest poetą, a przynajmniej zdaje mu się, że posiada niepospolite zdolności w tym kierunku. Przebiegły i przewrotny, umie on doskonale podpatrzeć słabą lub czulą stronę każdego człowieka i stosownie do tego urządzić swoje postępowanie. Najlepiej to widnieje w stosunku z przyjacielem, Dormundem, który zdawałoby się powinien być znać Elwina na wylot, a jednak daje mu się wciąż wyzyskiwać i pozwala się wplątać w bardzo niemilą kabałę. Oto początek rozmowy Elwina, wracającego z hulanki, na której wszystko przegrał, z Dormundem: „Jestem godzien litości; każdy mi to przyzna. Nigdy jednéj chwili pociechy los mi nie użyczył. Zawsze, zawsze, od dzieciństwa, płynąłem jak pod wodę — a jeżeli chwyciłem się czego, to pewnie spróchniałej gałęzi. Jestem godzien litości; nikt mi nie zaprzeczy... Mój Boże, kiedy czasem w cichéj, pogodnéj nocy zatopię oko w gwiazdziste sklepienie... kiedy rosa rozwinie wonie tysiąca kwiatów, a słowik rzewnie swoją piosnkę zadzwoni... jakże piękny ten świat cały... a na nim człowiek jak lichy! jak podły!” Dormund odrazu się domyślił, że Edwin przegrał, gdyż ile razy tenże wpadał w sentymentalność, to można było być pewnym, że strzelił jakiego baka. Wie on, że melancholia Elwina jest przymówką do jego kieszeni i to w dodatku przymówką pewną siebie, bo ten poeta zapisuje wszystkie pożyczki i obiecuje oddać je razem. Obmyśla pewną kombinację finansową. Oto Berko obiecał mu dać na trzymiesięczny weksel „pewną sumę gotówką, a w drugiéj połowie... „cztery konie... parę żelaznych pieców... parę kamieni mydła węgierskiego i kilka fasek powideł.” I już wszystko obmyślił, jak i co zrobi, bo oprócz koni ma kupca na wszystko, wprawdzie coś straci, ale się odbije na koniach, które wygładziwszy i wyle-

czywszy sprzeda za bajeczną sumę — i wtedy — wtedy wszystkie długi popłaci. Bagatelki mu tylko potrzeba i drugiego podpisu na wekslu. Dormund odmawia; nie chce już dalej ulegać kaprysom Elwina, nie chce spółki z jego Berkkiem, z jego mydłem i powidłem. Wtedy Elwin uderza w ton inny, znając czule serce przyjaciela: „Prawda, prawda — powiada — nadużywałem macierzyńskiej opieki i twojej przyjaźni, Dormundzie. Zapomniałem, że nie mam, że nie miałem prawa do waszej miłości. Odrzucasz mię, dobrze — ale zostawże mi przynajmniej wspomnienie, że byłem kiedyś kochany; zostaw przekonanie, że nie słusznie ściągnął twoją nienawiść — bo jeżeli komu szkodził, to tylko sam sobie.” I osiąga to, czego pragnął: Dormund daje mu pieniądze.

Tak zarysowany charakter, znakomicie zaobserwowany, nie został należycie rozwinięty w dalszym ciągu akcji, w której za dużo przypisano Elwinowi sprytu i przebiegłości, a innym ludziom (mianowicie rozumnemu Dormundowi) za dużo dobrodusznjej ślepoty i pobłażania lub też nierozgarnięcia, ażebyśmy mogli uwierzyć w prawdziwość przedstawionych tu zakłóceń.

Najrozległej pomyslaną, chociaż w wykonaniu, a mianowicie w rozwoju akcji nieutrzymaną należycie, jest czteroaktowa komedia p. t. „Wielki człowiek do małych interesów,” ciesząca się powodzeniem scenicznem. Komizm wynika tu ze złudzenia Jenialkiewicza, któremu się zdaje, że wszystkiemi i wszystkiem kieruje, kiedy w gruncie jest on tylko dobrodusznie zarożumiałem zerem. Doskonale to złudzenie przedstawił Tarnowski: „Jenialkiewicz jest bardzo wielki. Wszystko opiera się o niego i u niego skupia. Najtęższa głowa i najsprężystszy charakter w okolicy (przycem nieposzlakowanej prawości, i to, to naprawdę), miał opiek 54. A jak je sprawował! Jak Febus. Brat Józef zostawił majątek jak cacko, zagospodarowany, zabudowany; dziś co się z tego majątku zrobiło! ani ściany, ani strzechy; kapitały rozlokowane tak szczęśliwie, że każdy trzeba egzekwować, procesować. Brat Antoni zostawił majątek zadłużony — pan opiekun tak go zręcznie oczyścił, że pupil Leon wyszedł z opieki czysty jak bursztyn — bez jednego grosza. A oprócz spraw prywatnych pan Jenialkiewicz przywalony jest publicznie, płaci korespondentów we wszystkich częściach Galicyi przynajmniej, jeżeli nie świata, ma kancelaryę, z której żaden świstek nie może wyjść bez swego numeru, ma osobne teki z papierami na różnego rodzaju kwestye lub spostrzeżenia, ma czas tak dobrze rozłożony, a takie mnóstwo zajęć, że na pewne pytania odpowiada tylko w poniedziałki, na inne znowu w środy, lub w piątki... Nie obcą mu i nauka, owszem chce i musi znać i zapisywać wszystkie jej postępy... Słowem Jenialkiewicz nie wie naprawdę, ale o wszystkiem coś słyszał i czytał, o wszystkiem umie mówić i zawsze znajduje takich, którzy go z nabożeństwem słuchają; nigdy nie wie, co o czem ma myśleć, ale nie wątpi,

że to, co pomyśli, zawsze będzie mądrém. Kiedy mu mówią, że ma głowę na ministra, protestuje z udaną skromnością, ale gdyby dziś była elekcyja króla polskiego, dziwilby się bardzo, gdyby go nikt na kandydata do korony nie podał, a jeszcze bardziej, gdyby ta korona nie dostała się najgodniejszemu." ¹⁾

Ale i w tej komedyi, podobnie jak w „Godnym litości,” tylko nakreślenie charakteru jest znakomite; natomiast wprowadzenie go w akcyę nazwać się musi ułomném, nie wykazuje bowiem tych cech właśnie, które w charakterystyce są doskonałe pochwycone. Więcej jest dowcipu i sytuacji komicznych w „Wielkim człowieku,” aniżeli w „Godnym litości;” lecz i dowcip ten i te sytuacje wynikają w znacznej części nie z naturalnego rozwoju charakteru osoby głównej, tylko z okoliczności podrzędnych. Stąd zainteresowanie, obudzone początkiem, nie wzmagą się i nie potęgują w dalszym ciągu, lubo śmiać się jest z czego.

Rozejrzawszy się jednym rzutem oka w utworach pośmiertnych Fredry, można stwierdzić, że jakkolwiek werwa komiczna prawie wcale w nim nie osłabła, jak tego dowodzą krotochwile i liczne sceny w innych komedyaeh, to jednakże prócz paru fars, dorównywających doskonałością dawniejszym, nie utworzył nasz komedyopisarz żadnej wyższej komedyi, którąby można postawić jako całość na równi ze „Ślubami panieńskimi.” Miał pomysły lepsze i ważniejsze („Godzien litości,” „Wielki człowiek”), ale nie potrafił ich tak harmonijnie rozwinąć pod względem artystycznym, ażeby mogły tworzyć skończone dzieła sztuki.

Fredrze przychodziła nieraz chętka puszczenia z dymem wszystkiego, co wierszem lub prozą napisał w drugim okresie twórczości, bo, jeżeli jemu, jak powiadał, trudno było zrozumieć, co przedstawiają młodzi autorowie, to zapewne i młode pokolenie, żadne nowości, nie zechce pójść za nim „w tory raz ubite:”

Może portret prababki z lamusu dobyty
Był niegdyś i podobnym, lecz dziś pyłem skryty,
Stracił już świeżość, a z nią połysk życia razem
I stał się tylko zimnym i martwym obrazem.

Najrozsądniej więc byłoby — myślał sobie — „nie chcieć uplatać wieńców przywiedłym już kwiatem;” skłonność atoli przemogła te obawy, nie o tyle jednakże, by autor chciał za życia jeszcze posłyszeć zarzut, iż w niskiej tylko sferze poezyi się kręci, niech tam mówią, to sobie po jego śmierci:

¹⁾ Zob Rozprawy i Sprawozdania, t. II, str. 101, 102.

. Cóż to szkodzić może,
 Jak się tu pod murawą wygodnie ułożę,
 Ze gdzieś, na jakiejś scenie na lodzie osiędę;
 Złym poetą nie pierwszym, nie ostatnim będę;
 I jak klaskać lub gwizdać będą w mojej sztuce,
 W grobie się nie ucieszę, ani się zasmucę.
 Dalej więc na tandetę moje stare graty;
 Może kto i oceni, co było przed laty. ¹⁾

Po śmierci Fredry (zaszłój, w lipcu 1876 r.) wystawiono prawie wszystkie komedye jego późniejsze na scenie krakowskiej i lwowskiej, w części i na warszawskiej; trwalszego wszakże powodzenia doznały niektóre tylko, a mianowicie: „Pau Benet,” „Świeczka zgasła” i „Wielki człowiek do małych interesów.” Dlaczego tak niewiele, chociaż dawny repertuar wciąż jest wznawiany? Prócz powodów artystycznych, zaznaczonych powyżej, może i ta okoliczność wpływ wywarła, że dawne komedye ukazywały się i ukazują z wyrobioną już tradycją, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, a te późniejsze przedstawiły się jako nowość i musiały być przez widzów oceniane jako nowość, a więc według tych wymagań, do których wzwycała ich komedya współczesna. Fredro pisał swoje sztuki po dawnemu, używając w malowaniu osób i rozwijaniu sytuacji środków i sposobów, które dziś za przestarzałe uznajemy. Inaczej się patrzy na *wznowienie* starej sztuki, a inaczej na utwór podany za świeży; tam nastrajamy się odpowiednio do epoki powstania dzieła, żądamy nawet starych kostiumów i starego urządzenia sceny; tu, widząc przed sobą postaci dzisiejsze, spodziewamy się i dzisiejszej metody przedstawiania ich, a gdy tego nie znajdujemy, ogarnia nas pewne zniescierpliwienie, które nie pozwala spokojnie i swobodnie oceniać wielkich zalet dawniej roboty.

Ze wszystkich naszych komedyopisarzów Fredro posiadał największy zapas plastyki komicznej, ale tylko w zakresie natur prostych, niezłożonych, gdyż psychologia jego nie była głęboką i subtelną. Obdarzony zdrowym rozsądkiem, byстрыm zmysłem spostrzegawczym, łatwym i trafnym dowcipem, wielką żywością słowa, doskonale odtwarzał wszystkie wybitne śmieszności życia, potęgując ich wyrazistość metodą *typowego* skupiania rysów w jednej danej osobistości i w jednej danej scenie. Co do śmieszności osób i sytuacji, przez niego odmalowanych, nie może być nigdy pomyłki najmniejszej, bo nawet średnio rozwinięty widz dostrzeże z łatwością słabe, ujemne, a zabawne strony tego, na co patrzy.

¹⁾ Wiersz Fredry p. t. „Spalić nie spalić” w zbiorze „Dzieł” t. XIII, str. 5.

Ale gdzie chodzi o natury i położenia bardziej złożone, nie^odające się kilkoma grubemi rysami wyczerpać, lecz wymagające analizy, subtelniejszego dotknięcia, tam zmysł spostrzegawczy Fredry wystarcza do zrozumienia takich osobistości i do ich określenia, lecz plastyka już mu nie dopisuje; dawszy nam poznać w rozmowie rys charakteru wyborny, nie umie go autor pokazać w akcji, wysnutęj konsekwentnie z owego zarysu, lecz go wikła w położenia odpowiedniejsze właściwościom swojego talentu, bardzo dobre jako pomysł komiczny sam w sobie, lecz nie bardzo zgodne z zasadniczymi cechami charakteru, który się w nich miał nam plastycznie pokazać.

Każdy talent ma właściwą sobie sferę działania, wykazującą jego mistrzostwo w całej pełni. Nie chciejmy ani wymagać od Fredry, ani weń wmawiać uzdolnień mu obcych, gdyż te, jakie posiadał rzeczywiście, zapewniają mu bardzo świetne miejsce w dziejach naszego teatru. Dał nam komedye typów powszednich tak wesołą, tak plastyczną, tak dowcipną, jaką u nader niewielu tylko narodów znajdujemy; u Rzymian Plaut, u Francuzów Molier mogą jedynie być zestawiani z naszym Fredrą. Zarówno dla komedypisarza, jak dla nas chluby i sławy w tém dosyć.

P. Chmielowski.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Pan Geldhab	1
Cudzoziemczyzna	47
Damy i huzary	97
Zręczność i przekora	151
Mąż i żona	173
Nowy Don Kiszot	225
List	269
Pierwsza lepsza	299
Odludki i pocta	321
Przyjaciele	341
Gwałtu co się dzieje	401
Nikt mnie nie zna	459
